

TOVE ALSTERDAL

WEŹ MNIE ZA REKĘ



Najlepsza szwedzka powieść
kryminalna 2014 roku

TOVE ALSTERDAL

**WEŹ MNIE
ZA REKĘ**

Przełożył
Mariusz Kalinowski



Tytuł oryginału: *Låt mig ta din hand*

Projekt okładki: *Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN*

Redakcja: *Elżbieta Ptaszyńska-Sadowska*

Redakcja techniczna: *Karolina Bendykowska*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Maria Śleszyńska, Elżbieta Steglińska*

Copyright © Tove Alsterdal 2014 by Agreement with Grand Agency, Sweden and BookLab, Poland.

Zdjęcie na okładce © Stephen Carroll/Arcangel Images

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2016

© for the Polish translation by Mariusz Kalinowski

ISBN 978-83-7758-646-4

Wydawnictwo Akurat

Warszawa 2016

Wydanie I

SPIS TREŚCI

BUENOS AIRES 1978

JAKOBSBERG 2014

BUENOS AIRES 1977

BUENOS AIRES 2014

SZTOKHOLM 2014

BUENOS AIRES 1977

JAKOBSBERG 2014

BUENOS AIRES 1978

JAKOBSBERG 2014

BUENOS AIRES 2014

BUENOS AIRES 1978

BUENOS AIRES 2014

BUENOS AIRES 1978

BUENOS AIRES 2014

JAKOBSBERG 2014

CARACAS 1978

BOGOTA 2014

SOLNA 2014

BERLIN 2014

JAKOBSBERG 2014

BERLIN 2014

SZTOKHOLM 2014

PODZIĘKOWANIA

Przypisy

BUENOS AIRES

1978

W mroku zdawało jej się, że się dusi, raz po raz. Na twarz naciągnięto jej kaptur i nie starczało powietrza. Musiał być wcześniej używany. Czuła jakby woń potu, jakichś ludzkich wydzielin, kogoś, kto nie wytrzymał.

Ciało zwróciło się przeciwko niej. Płonęło od elektrycznego prądu i krzyczało z otwartych ran na spodzie stóp, pulsowało w podbrzuszu, gdzie znowu jej nie darowali.

Puszczali muzykę. Cały czas ta muzyka.

You can dance, you can jive, having the time of your life...

Przez huk systemu wentylacji mogła dosłyszeć daleki odgłos pociągów i ruchu ulicznego, który narastał tam, na zewnątrz, gdy noc zamieniała się w dzień. Dźwięki poranka przerażały ją najbardziej. Drzwi trzaskające na piętrach poniżej, kroki na schodach wiodących na strych, gdzie leżała. Oczekiwanie, aż w szczelinie pod krańcem kaptura pojawią się wysokie buty, a potem znowu zacznie się muzyka, dźwięki z marnego magnetofonu kasetowego, które narastały pośród kamiennych ścian, sprawiając, że pragnęła śmierci. Wyobrażała ją sobie jako bezdenną, chłodną ciszę. To była lśniąca czarna woda w lesie, którego więcej miała nie zobaczyć, to była cisza. Nocą, kiedy samotność gęstniała pod kapturem, a ona mogła tylko się domyślać oddechów dokoła, myślała właśnie o tym jeziorze. Dziwne. Tak dawno nad nim nie była. Nudziła się tam. Te wieczne lasy Värmlandu w tamtych czasach sprawiały, że się dusiła, a teraz wydawało jej się, że tam, tylko tam, mogłaby znowu oddychać.

Ból się nie kończył. Dni nie przestawały nadchodzić.

See that girl, watch that scene, diggin' the dancing queen...

Bywało, że słyszała gdzieś z daleka śpiew szkolnych dzieci, i to było gorsze od krzyków i głośnego stuku wysokich wojskowych butów o kamienną posadzkę. Po drugiej stronie było życie, które jej odebrano, i nikt nie wiedział, gdzie ona teraz jest. Zaczęła słyszeć głosy, głosy, które rozpoznawała. Szaleństwo nie dawało jej spokoju. Widziała tylko posadzkę i stopy, i ich wysokie buty, gdy stawali bliżej. Kiedy odważyła się unieść trochę głowę, mogła zobaczyć dolną część tułowia.

Wywołali teraz jej numer. Strasznie bolało, gdy wstawała. Poprowadzili ją

schodami w dół, potykającą się o łańcuchy na nogach, z kapturem naciągniętym tak nisko, że widziała tylko po jednym stopniu naraz.

Szczęk łańcuchów dokoła niej, jakieś kolejne schody.

Musi spróbować powiedzieć coś o dziewczynkach, że jest mamą, nie rozumieją tego? Cios pałką w kark i więcej nie próbowała się odzywać.

Piwnice. Znała już trochę ten budynek, doświadczyła już zła, bólu i pogardy dla takiego ludzkiego śmiecia jak ona. Przemknęła jej przez głowę myśl o Bogu, ale ta, którą była wcześniej, nigdy nie padłaby na kolana, żeby się modlić.

Ktoś ją pchnął i się przewróciła. Wilgotne dłonie, trzymające mocno jej ręce i nogi, palce wtykane do jej ran. Powiedzieli, że dostanie szczepionkę.

Ukłucie w ramię. Potem mgła. Jak poranne opary nad jeziorem Fryken, chciała pomyśleć, o jeziorze chciała pomyśleć i o ciszy, ale zaczęła się trząść. Nie chciała umierać. Jej członki opierały się tej niesprawiedliwości, jaką byłaby śmierć, żyła przecież tak krótko, lecz już nie mogła się poruszać. Ciało osunęło się na posadzkę. Ból odpłynął, nie czuła już udreki. Woń uryny w jej nozdrzach.

Potem dobiegło ją czyjeś jęczenie tuż obok i więcej nic już nie słyszała.

JAKOBSBERG^[1]

2014

Dwie kobiety obracały się przed lustrem, próbując znaleźć swój najkorzystniejszy profil. Lewy czy prawy, to było pytanie, gładka cera i odęte kapryśnie usteczka, proszące się, by je całować. Jedna z nich ścierała z zęba ślad po szmince, zezując w jej stronę. Charlie podejrzewała, że ledwie wyjdzie, zaraz zaczną komentować jej wiek.

Możecie stać tu sobie i mizdrzyć się do woli, pomyślała, ale co wy wiecie o kochaniu?

Zatoczyła się lekko, wracając do baru.

Nie macie pojęcia o życiu, o tym, co trudne i co brzydkie.

Jej miejsce przy barze zajął ktoś w czerni i błyskotkach.

– Przepraszam, ale ja tu stałam – zawołała, żeby przekrzyczeć muzykę.

Tamta lekko się odwróciła.

– Niby kiedy?

Charlie wcisnęła się, spychając przy tym dziewczynę ze stołka. Poczowała kolano faceta na swoim udzie, a jego usta tuż przy uchu.

– Ty i ja jesteśmy, zdaje się, najstarsi w tym lokalu – powiedział. – Mówisz, że byłaś tu już kiedyś?

Charlie pociągnęła trochę trzeciego drinka i odwróciła się w stronę parkietu, który falował i kolebał się rozdygotany, to łomotanie czuła w całym ciele. Tak, pomyślała, byłam tu już kiedyś. Byłam tu całe swoje życie. Znalazłam miłość, potem ją straciłam. Wciąż tutaj jestem, bo płonę. Bo żyję.

– Idziemy stąd? – zawołał.

Jego nick w sieci to „Czego Zapragniesz”. Co on powiedział, że kim jest z zawodu? Projektant programista? Nie myśl, że pójdzie ci tak łatwo. Nie myśl, że zaraz padnę plackiem tylko dlatego, że jesteś parę lat młodszy. Jeśli faktycznie jesteś.

Spojrzała mu w oczy, ale nie stało się nic, nie było między nimi żadnej chemii. On nie potrafiłby jej pomóc. Wieczór był stracony.

Chyba że. Omiotła lokal spojrzeniem. Facet, którego spostrzegła już wcześniej, wciąż tam stał. Koło wejścia, ukryty w mroku, sam, przyglądając się jej. Spotkała jego wzrok w momencie, kiedy snop światła ukazał jego twarz, i nagle to poczuła. Śmiech zrodził się w podbrzuszu i śmignął przez całe ciało, były w nim żar i krew.

Rausz szumiał w głowie. Odstawiła drinka.

Ruszyła z wolna w stronę parkietu, czując na plecach męskie spojrzenia, ale nie chciała towarzystwa. Tańczyć wolała sama, tak jak zawsze. Nigdy nie bała się pokazać, co potrafi, i teraz też nie zamierzała. Podniosła ręce nad głowę i zaczęła wolno kołysać się z muzyką, w rytmie ciężkich basów; upewniła się, że mężczyzna przy drzwiach wciąż na nią patrzy, że podszedł trochę bliżej i nie może oderwać od niej wzroku, potem zamknęła oczy i tańczyła, nie myśląc już, skąd weźmie siły, żeby stamtąd pójść.

Nikt, kto go widział, jak tej nocy wędruje alejkami Jakobsberga, nie wiedział, kim on tak naprawdę jest. Ludzie się stamtąd powyprowadzali w pogoni za swoimi marzeniami, niektórzy oczywiście już wykitowali, nowi powstawiali swoje meble.

Zdjęto jakąś tabliczkę, zatarła się w pamięci czyjaś twarz.

Rycerz skręcił w kierunku centrum dzielnicy i spostrzegł, że w neonie nad kinem Sokół nie świecą dwie litery. Przeszedł pod witrynami dawnej kafejki domu towarowego Domus, gdzie stały teraz kasy sklepu Coop. Gdy zmrużył oczy, wciąż jeszcze mógł dostrzec tam, w środku, swoich dawnych kumpli przy okrągłym stole. Zobaczyć życie takie, jak wyglądało wtedy z tamtej strony.

Wiedział dokładnie, przy którym oknie siedział z nią, kiedy po raz pierwszy byli tam razem. Pamiętał zapach jej włosów opadających niesforną falą na oczy, jak odchyłała do tyłu głowę, gdy sprowokował ją do śmiechu.

Mroźny wiatr wdarł się między nudne budynki centrum i nic nie wiedział o wiosnie, zawirowały tylko śmieci i garść nieproszonych wspomnień.

To jasne, że nikt nie mógł utrzymać kafejki, w której ludzie przez pół dnia tylko siedzieli i gadali nad filiżanką kawy. Nawet Coop. Nie w dzisiejszych czasach. Społeczeństwo musi się rozwijać. Albo iść do przodu, albo w diabły.

Przeciągała wataha rozwrzeszczanych gnojków. Opuszczone portki i bluzy z kapturem, zmierzali w stronę Söderhöjden^[2]. Rycerz wolał im zejść z drogi, ruszył więc przejściem między Urzędem Dzielnicowym a kioskiem Angela. Z tunelu wyszło paru nocnych marków z ostatniego pociągu kolejki, rozeszli się każdy w swoją stronę. Przed knajpą Rycerz Jakob stał ochroniarz i palił.

To właśnie wtedy ją zobaczył. Ewentualnie chwilę później. Najpierw ze śmiechem wypadło z knajpy kilka dwudziestolatek. Muzyka disco huczała po kamiennym placu, póki drzwi z powrotem się nie zamknęły.

Rycerz Jakob. Knajpa była tam od zawsze, nad tunelem. Poczuł zew z dawnych lat. Ciepło w środku i gęste kłęby dymu, na samą myśl o piwie pieniącym się w szklankach aż drgnęły mu nogi. Wibracje strun pod opuszkami palców lewej dłoni w akordzie C-dur! Blues był w powietrzu, *i proszę teraz o ciszę, bo zagram i zaśpiewam wam o gorzkim życiu i słodkiej miłości...* Rycerz napiął i zgiął palce dłoni trzymanej w kieszeni, wskazujący na strunie B, na pierwszym progu, środkowy na strunie D, na progu drugim. Struna A pod opuszką serdecznego, mały na E i *waeng*, usłyszał to klarownie czysto, gdy uderzył.

Potem drzwi do Rycerza Jakoba znów się otworzyły. Czy to naprawdę ona?

Wiatr targał jej ciemne włosy – jaka ładna. Nie zastanowił się, co robi, gdy wyszedł z cienia i podniósł rękę.

– No cześć – powiedział. – Siemasz, dziewczyno.

Była w rozpiętej skórzanej kurtce i płóciennych tenisówkach, raczej trochę za lekko ubrana.

– Co tam słyhać? – zapytał i drżącą ręką zaczesał włosy do tyłu. Kiedyś często miał je ściągnięte w koński ogon. – Poznajesz mnie?

Facet, który był z Charlie, zrobił dwa kroki w jego stronę. Zajrzał mu w oczy.

– Czego chcesz?

Rycerz wiedział, kiedy należy się wycofać. Gość nie był tak wysoki jak on, za to o wiele szerszy. Ogolony na łyso.

– Chodź, idziemy – rzuciła Charlie.

– Znasz go? – zapytał facet.

Potrząsnęła włosami, kręcąc głową.

– Zimno mi – powiedziała i pociągnęła gościa za ramię. – No, chodź już, idziemy.

Facet popatrzył na Rycerza ostatni raz, po czym odeszli, przecinając plac.

– Ty też się lepiej stąd zabieraj – powiedział z tyłu ochroniarz. – Zamarzniesz, jak tu będziesz stać.

Rycerz zatupał, żeby rozruszać nogi. Poszedł za parą w pewnej odległości. Ten gość nie był przyjemny. Czy nie można zachować się grzecznie, jak ludzie? Minęli nową galerię, która górowała nad dachem Domusu, zmieniając proporcje: domy

z lat pięćdziesiątych wyglądały przy niej na starsze i mniejsze, niż je zapamiętał. Charlie przywarła nieco bliżej do tamtego faceta, potem rozmyła się w mroku, gdzie kończy się centrum, i znikła.

Przystanął przy jakimś koszu na śmieci. Pogrzebał w nim trochę i znalazł pół torebki frytek i numer gazety „Metro”. Nic do picia. Głucha pustka w piersi, już dopadł go diabeł i ssie, musi zaraz coś zdobyć. Czuł ćmienie i kłucie w palcach, najbardziej wrażliwych na mróz, zdrętwiały mu palce stóp. Podniósł głowę, gdy poczuł, że ktoś zbliża się z tyłu.

Szykowny czarny płaszcz trzy czwarte, taki jak noszą goście w centrum miasta. Spotkali się spojrzeniami.

– No co, kurwa, recykling – powiedział Rycerz i potrząsnął trochę torebką z frytkami, popatrzył na gazetę. Wczorajsza. Tam, w Syrii, dalej rozpierducha, biedne sukinkoty. Anders Borg^[3] mówi, że Szwecji dobrze idzie, a co ma, kurwa, mówić, jak zaraz wybory.

Mężczyzna w płaszczu nic nie powiedział, tylko poszedł szybko w tę samą stronę co tamci. Po chwili on też zniknął.

Beton chodnika. Zrywane podmuchem śmieci. Wiatr wpadający do tuneli i zaułków.

Rycerz musiał tej nocy iść aż na Kvarnbacken. Przez tunel kolejki podmiejskiej, gdzie wszystkie kosze na śmieci nie dały mu więcej jak pół butelki mineralki Loka o smaku cytrynowym i resztkę kanapki z Subwaya z tuńczykiem. Krótki przystanek w nowej poczekalni przy autobusach, by się ogrzać, dłużej nie dało się wytrzymać tego jaskrawego światła. Poszedł dalej przez Fågelsången, spacerową aleją, którą nogi same odnajdowały, wcale nie musiał o tym myśleć.

Tu, w Jakan, jak mówiło się o Jakobsbergu, znajdowało się wszystko to, czym był. Wspomnienia i Chata, drewniana willa przy Aspnäsvägen, gdzie spędzali swoje dzikie młode lata, a wcześniej była Łąka, tuż przy centrum, gdzie się zbierali wieczorami, grillowali i napełniali starą studnię flaszki po piwie, aż się przepełniła. Ludzie bali się obok przechodzić, a w lokalnej gazecie pojawiały się artykuły o ich niebezpiecznej bandzie, mimo że nie robili nic takiego, tylko pili tani browar z małych pękatych flaszek, które w tamtych czasach kupowało się w sześciopakach, grali na gitarze i śpiewali, jarali sporo gandzi oczywiście i łykali to i owo, ale co, kurde, przecież byli młodzi. To było bardzo dawno temu, potem ich stamtąd przepędzono, a na tej ziemi, która była Łąką, pobudowano domy, lecz w jego głowie ferajna wciąż jeszcze istniała, ciągle grali kawałki, których nikt inny nie mógł słyszeć.

Kiedy z wysiłkiem szedł pod górę, na wzgórze Kvarnbacken, gdzie przez dwieście lat stał młyn, nim się nie spalił, odbudowali go i znów się spalił, Rycerza naszała wątpliwość, czy ta dziewczyna, którą widział, to naprawdę była Charlie. Zdarzało mu się, że widywał rzeczy, których nikt inny nie widział. Miał taką teorię, że wszystkie czasy istnieją jednocześnie, biegną po równoległych torach, a nie jedną prostą linią. Istniało wiele kobiet podobnych do siebie, ale ona to zawsze było coś wyjątkowego.

Złota dziewczyna.

Pod kępą krzaków znalazł w końcu na wpół ukryte w starych liściach dwie nie do końca puste puszki piwa. Mariestad 4,5, a druga 3,5 procent, zawsze coś. Problem w tym, że browar zamarzył na dnie w bryły lodu. Rycerz powlókł się więc w stronę sterty drewna naściąganego przez ludzi z okolicy. Jutro będzie święto Walpurgii, a potem maj, a wtedy wiosna chyba musi wrócić. Przypomniawszy sobie, jak dziewczynki były małe, a on sam pracował w fabryce prezerwatyw. Na Walpurgię dostały białe sandaalki, wtedy nie było, kurwa, mrozu.

Były pieśni chóralne i petardy i *Zima już się wyszalała*^[4].

Znalezione piwo poprawiło mu trochę humor. Zobaczył sofę postawioną na sztorc przy wielkim stosie z gałęzi i różnych rupieci. Dwuosobowa, czerwona, ktoś zdecydował się ją tam przytaszczyć. Wyglądała naprawdę kusząco. Zepchnął ją na ziemię i usadowił się, a potem przykrył się kilkoma kartonami. Bez zapalek nigdzie się nie ruszał. W podszewce kurtki znalazł poza tym tealighta z Ikei. Przeczytał kiedyś w gazecie o gościu, który przeżył noc w samochodzie na północ od Pajali, w środku zimy, tylko dzięki tealightom ze schowka w desce rozdzielczej. Od tego czasu zawsze, jak tylko miał okazję, upychał je sobie po kieszeniach. Zapalił świeczkę i potrzywał nad nią puszkę Mariestad. Rozmrożenie pilznera trwało dłużej, niż sądził. Rycerz zaczął się trząść, czy to z zimna, czy zbliżał się atak. Chlapnął niechcący stearyną, zalewając płomyk. Zapalił zamiast świeczki „Metro” – gazeta była całkiem sucha. Gdy buchnął płomień, pomyślał o wojnie w Syrii. Ogień zajął kawałek tektury, a potem kilka patyków i desek, u stóp miał więc teraz małe ognisko. Czuł, jak płomień kłują go w twarz, a lód powoli ustępuje, gdy pierwsze łyki piwa spłynęły z grudy na dnie.

Lena Morberg zobaczyła, jak na zegarze na nocnym stoliku zmienia się godzina. Teraz była czwarta. Nasłuchiwała trzasków z pokoju syna. Nocami wszystkie dźwięki olbrzymieją. Teraz zakładał już słuchawki, żeby oszczędzić jej eksplozji i strzałów, a mimo to miała wrażenie, że słyszy, jak on tam walczy, strzelaj, strzelaj, by zabić, i w środku nocy zastanawiała się, jak to go zmienia? Kim on tam staje się w tym swoim świecie, jej najmłodszy?

Kołdra była za ciepła, więc odwróciła ją na drugą stronę, nie mogła sobie znaleźć miejsca, chyba będzie musiała wstać. Może powinna inaczej postępować? Wyznaczać mu jakieś nagrody, jakieś coś za coś albo kary, godzina gry na komputerze w zamian za godzinę nauki? Musi mu przecież coś powiedzieć. Pamiętaj, że musisz rano wstać, twoje oceny, życie, twoja przyszłość, to niebezpieczne tak zakłócać rytm dobowy. Zamykasz się w tym sztucznym świecie, to nie jest normalne życie.

Czy może jest?

Może to dobrze, że czymś się interesuje? Uczy się mnóstwo o komputerach, ćwiczy szybkość reakcji?

Owinęła się w kołdrę i otworzyła lufcik; na dworze chłód, potrzebowała świeżego powietrza. Nie chciała brać nic na sen. Tabletki ją otępiały. Przez nie noc zlewa się z dniem. Na termometrze było minus dwa. Noc przed Walpurgią, a tu wciąż poniżej zera, niesłychane. Popatrzyła na rzędy okien w miękko wygiętej fasadzie domu naprzeciwko. Kilka dni temu było ciepło, prawie lato, drzewa puściły pąki. Czy to naprawdę śnieg w powietrzu?

W niektórych oknach paliło się światło. Nie ona jedna snuje się nocami po mieszkaniu. Już ich widywała. Tych bezsennych.

W dole, na drugim piętrze, ktoś zapalił lampę, w kilku oknach widziała blask od komputera, sieć, która nigdy nie zasypia; ludzi kryjących się za nickami, którzy kochają, nienawidzą i wygrywają wojny. Na siódmym piętrze, po skosie naprzeciwko, młoda kobieta w samych majtkach weszła do kuchni i nalała sobie herbaty. Nie pomyślała, że ją widać? Jakiś starszy człowiek siedział przy zapomnianym świeczniku adwentowym. Chyba go znała, ale nie pamiętała nazwiska. Czy to nie on na ostatnim rocznym zebraniu wspólnoty chciał ogrodzić podwórze siatką i furtkami, pomyślała, gdy nagle coś mignęło, jakiś cień runął w dół tuż przed nią. Krzyknęła i odskoczyła do tyłu. To były rozłożone nogi, za

oknem, całkiem nagie, jakieś ludzkie ciało. Otwarte usta i szeroko rozwarte oczy, rozwiane włosy, potem nic. Pusto. Sekundę później usłyszała łomot na dole, tego odgłosu nigdy nie zapomni. Twardy stuk i chrupnięcie, a potem krzyki skądś i ten dźwięk zwielokrotniony echem między domami.

Później myślała często: tak wielu nas było.

Tylu ludzi, którzy nie mogli spać tej nocy.

Siedem osób zdążyło zjechać na dół, na plac zabaw, kiedy od strony trasy Viksjöleden dobiegła syrena pierwszego wozu policji. Ponarzucali płaszcze na piżamy albo ubrali się pośpiesznie w dresy i niedopięte kurtki. Jakiś Latynos koło siedemdziesiątki przeszedł przez niski płotek otaczający plac, żeby przyłożyć dłoń do szyi nieżyjącej – szyja była zalana krwią, rozrzucone włosy zasłaniały twarz wykręconą pod tak dziwnym kątem, że wyglądała groteskowo. Cienki szlafrok kobiety opadł, przykrywając większą część jej ciała.

Ktoś się gapił, ktoś odwrócił głowę.

– Nie czuję pulsu – powiedział mężczyzna. Nazywał się Rodriguez i przybył do Jakobsberga przed czterdziestu laty jako uchodźca z Chile. Mówiło się, że był z obstawy prezydenta Allende.

– No pewnie, kurwa, że nie czuje – burknął jakiś chłopak, który nie zdążył nawet zarzucić na siebie kurtki. W samej przyciasnej koledźówce wskazał na szczyt wieżowca. Wygięta w lekki łuk fasada wznosiła się na tle czarnego rozgwieżdżonego nieba na jedenaście pięter.

– Stamtąd zleciała. Widziałem. Nie ma szans, żeby coś takiego przeżyć. Nie?

Lena stała tam tylko i patrzyła. Słyszała, jak inni mówią do siebie rzeczy w stylu: „to straszne” i „to okropne, wierzyć się nie chce, od razu zadzwoniłam pod sto dwanaście”, i „pan mieszka pod dwadzieścia dwa, prawda?”.

Potem zdążyli umilknąć na kilka minut, bo brakowało słów. Spojrzała w górę i zastanowiła się, jak długo trwa ten moment, od chwili gdy się wyskoczy. Czy człowiek zdąży zobaczyć całe swoje życie, wyobrazić sobie nadchodzący ból? Zadygotała z zimna, ciaśniej owinęła płaszcz wokół nocnej koszuli, żałując, że nie włożyła spodni, nim wybiegła.

– Co ich tak długo nie ma? – zapytał Gustavsson, ten starszy mężczyzna z zebrania wspólnoty, który też zjechał na dół. Lena zerknęła na zegarek. Minęło ledwie pół godziny od chwili, kiedy jej budzik na górze pokazał czwartą. Słyszała, jak ktoś cicho mówi, że to plac zabaw dla najmniejszych dzieci. Że dlatego to

jeszcze straszniejsze. Sama tak wcześniej pomyślała, choć może nie powinna była. Place zabaw, z których wspólnota mieszkaniowa była taka dumna, tak jak z rabatek i placyku do grillowania, i minigolfa między wieżowcami. Czy zdąży się uprzątnąć ciało, krew i całą resztę, tę bezkształtną maź, która zbryzgała wszystko dokoła, kiedy kobieta walnęła o ziemię, czy to policja się tym zajmie? Żeby już było czysto, kiedy wyjdą dzieci?

Ludzie zdążyli już odchrząknąć po raz wtóry i spytać, gdzie podziwia się policja; niektórzy z nich przytupywali i czuli, że powinni wytłumaczyć, dlaczego nie spali w niedzielną noc o czwartej trzynaście, dokładnie wtedy bowiem to się stało.

Lena, która nie chciała opowiadać o swojej chronicznej bezsenności, patrzyła w górę, na okno na ósmym piętrze, gdzie migotały ekrany jej syna. Nawet nie zauważył, że wybiegłam, pomyślała, nie wie, że pod jego oknem ktoś zginął. Zapragnęła nagle wrócić na górę i wywlec go z jego pokoju w tę cholerną kwietniową noc, za zimną jak na kwiecień, i pokazać mu. Istnieje rzeczywistość, która czasem jest straszna, ale to w niej żyjemy, ZROZUM WRESZCIE! A potem by go przytuliła, tuliłaby go tak jak wtedy, gdy był mały.

Uffe Rainer cofnął się ku bramie, kiedy zobaczył, jak długie światła policyjnego radiowozu omiatają dziedziniec. Stał nieco dalej i widział, co widzieli wszyscy: kobietę, która spadła na drewniany płotek i zginęła tutaj pośród nich, na zadbanym dziedzińcu między dwoma wielkimi wieżowcami przy Aspnäsvägen w Jakobsbergu.

Jak w jakimś pieprzonym filmie. Gapił się na jej włosy, rozlane w ciemną plamę, naga stopę sterczącą do góry. Wkrótce zabiorą ją stąd na noszach, policja pewnie zakreśli kredą kontur ciała i już nigdy jej więcej nie zobaczy.

Radiowóz podjechał, wcisnął się między kępą krzaków a rowerami stojącymi tam przez całą zimę. Przebił się prosto przez zmarzniętą breję trawnika i przystanął. Wysiedli z niego dwaj policjanci.

Uffe Rainer odwrócił się na pięcie i wślizgnął z powrotem do bramy. Instynktownie. Przytrzymał drzwi, żeby nie było słychać trzasku, gdy się zamkną.

Kiedy dotarł na jedenaste piętro, poczuł, że musi podejść pod jej drzwi. Tak bardzo pragnął wziąć za klamkę, przekręcić klucz, zobaczyć ją śpiącą w środku.

N. Holm, głosił napis przy otworze na listy. Nie Eriksson, jak brzmiało nazwisko Charlie. Wiedział, że wynajmowała na czarno, z drugiej ręki, od krewnych Nanny Holm, którą ci kilka lat temu umieścili w domu starców. Uffe musiał obiecać Charlie, że nikomu tego nie zdradzi, bo wtedy by od razu wyleciała. Jej kłamstwa były jak drobne skarby, które ukrywał przed światem.

W swoim mieszkaniu zamknął szybko drzwi i odpędził kakadu, która nadleciała, by usiąść mu na ramieniu. Obrażona Ebba Grön wzbila się wyżej i przysiadła na półce nad wieszakiem.

– Osiemset stopni – zaskrzeczała – zaufaj mi^[5].

– Zamknij się – syknął Uffe Rainer.

– Zamknij się, Major Tom – zawtórował mu Ziggy Stardust^[6] z pokoju. Żako z czerwonym ogonem siedział na swoim ulubionym miejscu na żyrandolu, ale Uffe nie mógł go dostrzec w mroku. Po omacku zdjął z półki lornetkę i stanął przy zasłonie, tej starej w kwiaty, która wisiała tu od śmierci matki cztery lata temu; po niej ją odziedziczył.

Na dziedziniec wjechała teraz karetka. Pojawił się kolejny policyjny samochód. Jeszcze dwóch policjantów. Przez lornetkę widział, jak twarze zwracają się ku

górze, gapią się. Ktoś wskazał ręką, prosto w okno, za którym stał. Czy może obok, na balkon Charlie? W niebo wzbijał się dym, najwyraźniej coś się niedaleko paliło. Personel karetki przykrył ciało jakąś płachtą. Więcej jej nie widział.

Ktoś odłączył się od gromadki sąsiadów. Uffe poznał błyszczącą łysinę tego tetryka Reinikainena. Mieszkał w tej samej klatce, na czwartym piętrze albo jakoś tak, a teraz szedł przed gliniarzami w stronę wejścia.

Uffe opuścił lornetkę. Zaraz pewnie usłyszy znajomy zgrzyt dźwigu windy.

Karetką wyjeżdżała tyłem z dziedzińca. Nie zabrali jej. Wiedział, co to znaczy. *Sine spe*. Bez nadziei.

– Zamarzniemy na śmierć – wrzasnęła Ebba Grön, kiedy wrócił do przedpokoju. Uffe zwabił papugę z półki i zamknął ją w sypialni. Kosztowało go prawie dwa lata i wiele kilogramów ziarna, żeby nauczyć nimfę podstawowych odzywek z tekstów Ebby Grön; prawdziwy ptaszek punk z szaro-żółtym irokezem na głowie. „Zaufaj mi, zaufaj mi”. Protesty zza drzwi były teraz słabo słyszalne. Z papierowej torby stojącej w przedpokoju wyciągnął plik ulotek reklamowych. Zrolował je i wetknął ostrożnie w otwór na listy, dzięki czemu powstała szpara, przez którą dobiegały odgłosy z klatki schodowej. Potem usiadł na podłodze przy drzwiach i usłyszał, jak zatrzymuje się winda, a później ciężkie kroki na kamiennej posadzce w korytarzu.

– A to nie żyje? – Ariel szarpnęła za gałązkę, ciągnęła i darła ją tak, jakby drzewo odmawiało jej czegoś, co jej się należy.

– Żyje, kochanie, żyje jak najbardziej – powiedziała Helene i wskazała na nierozwinięte, trochę opóźnione pąki.

Wzięła dłonie małej i rozgrzała je, rozcierając swoimi.

– Może wrócimy już do reszty?

Na łączce koło plaży rósł stos na cześć wiosny. Chrust i stare drzewa, które nie przetrwały zimy, sterty suchych zeszłorocznych liści i najróżniejsze graty wyrzucane z okolicznych letnich domków. Zatoka migotała błękitem, w wodzie siedem stopni, stwierdził Malte, który zawsze od razu biegł na pomost, żeby sprawdzić termometr przywiązany do boi. Helene patrzyła, jak mały wlecze na stos parometrową deskę, gdy usłyszała dzwonek swojej komórki.

– Uważaj, w niej mogą być gwoździe – zawołała i pomyślała, że powinna wyłączyć telefon, żeby im nie zakłócał kontaktu z przyrodą.

– Pani Helene Bergman?

Obcy głos, ton formalny.

– Tak, to ja.

Helene nie zdążyła pochwycić nazwiska, a tylko to, co padło po nim.

– ...z Komendy Rejonowej Północ.

– A o co chodzi?

Odwróciła się plecami do wiatru. Rejon północny, zdążyła pomyśleć, czy Norrtälje^[7] też do niego należy? Roslagen i Vaddö, Nyby, gdzie właśnie teraz jest, czy coś się stało z ich domkiem letniskowym albo z Jockem? Został tam, żeby naprawić kran uszkodzony zimą przez mróz. Przemknął jej przez myśl pożar, ale wtedy chyba widziałyby nad drzewami dym?

– Wolimy raczej nie przekazywać takich informacji przez telefon. Szukaliśmy pani w miejscu zamieszkania, ale nikogo nie zastaliśmy. Jest pani sama?

– Dlaczego pan o to pyta?

Helene odeszła w stronę mola, żeby nikt nie słyszał, dalej od łączki, gdzie zebrało się około dwudziestu osób, miejscowych i letników, nie wliczając dzieci. Nikogo nie znała zbyt dobrze, bo nie udzielali się towarzysko, ale kłaniali się

oczywiście sąsiadom i gdy mieli możliwość, brali udział w lokalnych imprezach, święcie Walpurgii, nocy świętojańskiej czy dorocznych zebraniach gminnego zrzeszenia. Ton policjanta zdradzał, że czeka ją coś nieprzyjemnego, już samo to, że w niedzielę ma w słuchawce policję, zaburzyło porządek rzeczy. Odwróciła się w stronę morza, które pochłaniało wszelkie dźwięki, i gdzie nikt nie widział jej twarzy.

– Chodzi o Camillę.

– Przepraszam, o kogo?

– Pani siostrę.

– Aha.

Helene usłyszała powtórzone imię, Camilla Eriksson, a potem resztę wiadomości. Osunęła się na pomost, nie czuła chłodu drewna. Nie żyje. To takie dziwne słowa, tylko trzy sylaby, jakby rzecz trzeba było załatwić szybko, w jednej chwili, a potem wszystko jest już inne. W słuchawce wciąż głos policjanta. Coś o balkonie. Że jeszcze nie są wyjaśnione wszystkie okoliczności.

– Pani Bergman, jest pani tam?

Spojrzała w wodę, na podskakującą boję. Jej łańcuch chrobotał rytmicznie. Gdy usłyszała własny głos, miała wrażenie, że dobiega gdzieś spoza niej.

– Przepraszam... ja zawsze o niej myślę jako o Charlie. Dlatego nie zrozumiałam.

– Musimy zadać pani parę pytań. Najlepiej byłoby, gdyby pani mogła podjechać do nas na komendę w Sollentunie. Ale możemy też wysłać do pani kogoś z miejscowej policji. Jak rozumiem, jest pani teraz na Vaddö, gmina Norrtälje?

– Tylko że ja nie mogę teraz stąd wyjechać. – Popatrzyła na wielki stos ogniska, gałęzie sterczące do góry jak z olbrzymiego ptasiego gniazda. Nie wolno im się tutaj zjawić, bo zburzą dzieciom tę idyllę, poczucie bezpieczeństwa, które zbudowała wokół nich. Powtarzane co roku tradycje. Widziała, jak Ariel i inna dziewczynka rozrzucają wkoło suche liście, śmieją się. Jocke mógłby zostać z dziećmi. Pojechałaby do miasta autobusem. Gdyby wysiadła w Mörby albo koło szpitala w Danderyd, to czy znajdzie jakieś połączenie z Sollentuną?

– To znaczy... dzisiaj przecież jest Walpurgia.

Sekundy ciszy. Wolałaby otwarty horyzont, ale wyspy zamykały zatokę linią lasu. Jak mogła myśleć o czymś takim jak świętowanie Walpurgii? Co ten policjant, którego nazwiska nie dosłyszała i nie chciała znać, pomyśli sobie o niej? A mimo wszystko było coś istotniejszego, akurat w tym momencie, kiedy wszystko

w niej się rozpadało: ważne jest trzymać się tego, co postanowione. Nie wolno jej zrejterować. Ogień ma płonąć, pieśni mają być śpiewane. Grono miejscowych przygotowało też loterię. Jej rodzina dała im kilka toreb słodczy na nagrody i dzieciakom bardzo zależy, żeby wygrać je z powrotem.

Odchrząknęła.

– A mogłabym przyjechać jutro?

O zmierzchu zapalono ogień, tuż przed dziewiątą, gdy wiosenne światło zbłękitniało. Kilku miejscowych obeszło stos dokoła, chlustając płynną podpałką, płomienie wystrzeliły w górę i zabuzowały. Musieli cofnąć się o krok przed żarem. Zatoka pociemniała, drewno syczało i trzaskało, pieśń brzmiała mocno i czysto. *Śnieżne kwiaty topią się i płyną... w jasne wieczory niebo się uśmiecha, słońce pocałunkami budzi las...* Niektóre z miejscowych kobiet śpiewały w chórze kościelnym, wysokie tony tańczyły w płomieniach na tle czarnego nieba, twarze jaśniały blaskiem ognia. Wspomnienie pewnej nocy Walpurgii dawno temu: grudka żaru spadła na jej pikowaną kurtkę, jej starsza siostra wymachiwała rękami i waliła w nią, ona krzyczała i krzyczała, a Camilla tak długo trzepała w kurtkę, aż zdusiła żar. Została po nim wypalona dziura. Helene pamiętała, że to było na wzgórzu Kvarnbacken w Jakobsbergu, pamiętała wielki młyn jak cień na mroczniejącym niebie i chłód, kiedy musiała już odejść od ognia, rękę, która ją stamtąd odciągała. *Wkrótce lato przyjdzie tu w purpurze, w odcieniach złota i lazuru...*

Ariel stała przyciśnięta do jej nóg, opatulona tak, jakby to jeszcze była zima. Helene trzymała córkę za ramiona, w końcu zdrętwiały jej ręce i dotarło do niej, że ściska ją za mocno. Malte szalał dokoła i próbował deptać latające iskry. O śmierci żadne nie wiedziało.

Szepnijcie ptakom w kraju, że już idę, wesołe wiatry...

Nie mogła się przemóc, żeby im powiedzieć, ani im, ani Jockemu. Zjedli hamburgery, które Jocke przyrządził na grillu. Potem wspólnie wietrzyli pościel i uprzętały mysie bobki po zimie. Wspomniała, że musi jutro jechać do miasta popracować. Jak miałyby wyjaśnić dzieciom coś takiego, co miałyby powiedzieć?

Przykro mi, kochani, ale wasza ciocia nie żyje.

Że co? Przecież nie mamy żadnej cioci.

– Proszę przyjąć wyrazy współczucia – powiedział policjant, który usiadł naprzeciwko niej. Nazywał się Aureliusz Krawczyk i miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu, musiał podkurczyć nogi, żeby się pomieścić. Stół był z dębu, w tym nudnym kolorze, który widuje się wyłącznie w budynkach publicznych. Każde z czterech krzeseł było z innej parafii.

– Ciało zostało przewiezione do Zakładu Medycyny Sądowej w Solnie^[8] – oznajmił jej i zajrzał do papierów.

– Muszę...?

O tym właśnie myślała wcześniej w autobusie pędzącym autostradą w stronę miasta – czy mogą tego od niej zażądać. Wchodzi do lodowatej sali, wyobrażała sobie echo tam, w środku, i ten chłód, może zapala światło nad stołem, i uchyla prześcieradło, a tam zmasakrowana twarz Charlie i jej oczy patrzące martwo na Helene, oskarżające ją ostatni raz.

Więc teraz dopiero się zjawiasz. Rychło w czas.

– Koledzy wolą mówić „Aurek” – Mężczyzna wskazał na swój identyfikator. – Nawet mojej mamie nie chce się tego wymawiać, ale tu, na komendzie, wszystko ma być formalne, żadnych zdrobnień, żeby się nie spoufalać z bandziorami.

Uśmiechnął się i podsunął jej papierowy kubek z kawą z mlekiem. Ciepło w jego spojrzeniu wyglądało na prawdziwe.

– Nie musi pani jej identyfikować – powiedział. – To już nie te czasy. Wiemy, że to ona.

Otworzył teczkę, którą przyniósł, i wyjął z niej zdjęcie. Charlie na wprost odwrócona, w półprofilu. Musiało być sprzed paru lat. Pozowała przed fotografem, wyglądała, jakby naśladowała kogoś z jakiegoś klasycznego filmu, całkiem zgrabnie. Było coś nieregularnego wokół jej oczu, co przydawało jej specyficznej urody. Spojrzenie w dal, które można było uznać za głębokie i zarazem nieobecne.

– Obdukcja potrwa kilka dni. Raport z badania technicznego dostanę pewnie jeszcze dzisiaj.

– Okej.

Okej? To miała być odpowiedź? Helene szukała czegoś, na czym mogłaby zaczepić wzrok. Żaluzja była lekko uszkodzona, okno jeszcze niemyte po zimie. Gdy słońce wyszło zza chmur, zobaczyła kurz i spaliny, które osiadły na szybie.

Jakiej reakcji oczekiwał z jej strony? Szczęki bolały ją od zaciskania. Swojej złości nie mogła okazać, nie mogła przecież wybuchnąć: za jakie grzechy mnie tutaj przywlekłaś, ciągasz po jakiejś cholernej komendzie! I to pierwszego maja! Tu przypomniało jej się coś, o czym już dawno nie myślała, akurat pierwszy maja, czy raczej pierwszomajowy nastrój, gdy były w mieście i szły w pochodzie z Barbro, ich przybraną matką, nie miały chyba więcej jak osiem i dziesięć lat, w powietrzu czuło się radość festynu i wiosnę, a potem obiad w chińskiej restauracji na Drottningatan. Frytowane banany i lody waniliowe, zawsze tylko w ten jeden dzień. Uświadomiła sobie, że gdy przed chwilą wysiadała na przystanku Sollentuna centrum, widziała kilkoro młodych alternatywnych, niosących zrolowane transparenty, w drodze do śródmieścia. Że ludzie dalej demonstrują. Przeciwko czemu? Albo za czym?

– Kiedy ostatnio miała pani kontakt z siostrą?

– Nie wiem... jakiś miesiąc temu, może więcej. Zadzwoiła.

– Wydawała się przygnębiona?

– Nie... znaczy, chyba nie, raczej przeciwnie, maniakalna. Może. Czasami się tak nakręcała.

Kiwnął głową i dalej przeglądał papiery. Helene upiła trochę kawy z mlekiem, prosiła wprawdzie o czarną, ale nie chciała protestować. Przecież to w końcu nie kawiarnia.

– Ona już to robiła wcześniej – powiedziała.

– Co?

– Próbowwała popełnić samobójstwo.

Nagła myśl: to, co teraz mówię, to wszystko, co będą wiedzieć o mojej siostrze. Zapiszą to w tych dokumentach, w systemie komputerowym, w oficjalnych archiwach, i na zawsze już tak zostanie.

– Mieszkanie było otwarte – powiedział. – Nie zamykała za sobą drzwi na zamek?

– Nie wiem... Charlie... Camilla nie jest zbyt ostrożna. To możliwe. Znaczy, że nie zamknęła. A dlaczego?

– Nasi ludzie nie znaleźli w mieszkaniu żadnej komórki, miała telefon komórkowy?

– Miała, oczywiście. Wszyscy chyba mają?

– Ma pani jej numer?

– Tak. – Helene pochyliła się i zaczęła szukać w torebce. Czuła na sobie wzrok policjanta, gdy wyjmowała telefon, prześwietlał ją na wylot? Uczą ich takich rzeczy? Przewinęła swoje kontakty, aż doszła do litery C, chociaż numeru tam nie było. Został skasowany. Pamiętała tę małą ulgę, kiedy to robiła, i myśl, że powinna była zrobić to już dawno.

– Musiał mi zniknąć, kiedy zmieniałam telefon – wyjaśniła.

– A więc nieczęsto żeście się kontaktowały?

– No, raczej nie.

– Szybciej znajdziemy jej operatora, jeśli będziemy znać numer, może pani mąż albo ktoś inny z rodziny...

Nie słyszała dalszego ciągu zdania. Tylko głos Charlie tamtym razem, kiedy ostatni raz dzwoniła.

Usłyszała go nagle tak wyraźnie, ale nie w duchu, jak można by sądzić, tylko gdzieś z zewnątrz, jakby Charlie była tu, w pokoju, i wypełniła go całą swoją imponującą obecnością. Helene musiała się odwrócić. Słońce za oknem zniknęło i niebo zrobiło się brudnoszare, przycisnęła rękę do ust i zdusiła płacz, dławiąc go gdzieś w brzuchu.

To było miesiąc temu? Nie, więcej, może sześć tygodni, zimne dni w połowie marca, gdy zanosilo się na powrót zimy. Miasto otulone śniegiem, waciana cisza i świadomość, że jutro skoro świt przyjedzie pług, narobi hałasu, obudzi ją pewnie przed szóstą, więc irytacja jeszcze większa, bo jak nie prześpi swoich siedmiu godzin, to cały dzień już będzie do niczego. Z biegiem lat nauczyła się, że aby żyć w miarę spokojnie, trzeba nauczyć się pilnować ustalonego rytmu. Wiedzieć, kiedy na stole ma być obiad, ile trzeba minut, żeby na czas wyprawić dzieciaki do szkoły, a jeszcze przed zbudzeniem ich zdążyć wziąć prysznic; ubranka dla nich przyszykowane już wieczorem.

I ten telefon, który rozdarł ciszę. Helene musiała wyskoczyć z łóżka, żeby sygnał nie zbudził też dzieci. Łomot serca, jak zwykle w takich sytuacjach. I głos Charlie, ciemniejszy niż jej własny.

O Jezusie, jeszcze nie ma nawet jedenastej, o której ty właściwie chodzisz spać, chcesz przespać całe życie?

A potem jej wariacka paplanina, znowu ta stara śpiewka, o ich mamie i Argentynie, i jakimś nazwisku, które udało jej się zdobyć, że teraz już rozumie, że... diabli wiedzą, o co jej tam chodziło. Ciągłe nie było temu końca, mimo że

Helene parę lat temu oznajmiła, że jej to nie interesuje, że to nie ma sensu. Przychodzi taki dzień, kiedy trzeba dorosnąć, zostawić za sobą dzieciństwo, i ten dzień w jej życiu przyszedł już dawno.

Chodzi tylko o to, że potrzebowałabym pożyczyć trochę pieniędzy, obiecuję, że wszystko opowiem...

Helene rzuciła słuchawką w połowie tego zdania. Ani słowa więcej. Kiedyś wyraźnie powiedziała Charlie, żeby już nigdy więcej nie dzwoniła z tymi swoimi chorymi fantazjami. Człowiek musi wcześniej czy później otoczyć się murem, by nie pozwolić się wykorzystywać. Helene przestała pożyczać pieniądze, których nigdy nie dostawała z powrotem.

Naprawdę rzuciła słuchawką?

Helene wygrzebała z torebki chusteczkę i wysiękała nos.

– Przepraszam – powiedziała cicho.

Zaczekał, aż skończy.

– Znaleźliśmy w mieszkaniu sporo leków – poinformował potem. – Wie pani, co to jest?

Aurek Krawczyk podsunął opakowanie. Helena przeczytała: Flunitrazepam.

– Należą do grupy benzodiazepin, to znaczy środków uspokajających przepisywanych przy stanach lękowych i bezsenności. Używa się ich także do łagodzenia kaca lub do wzmacniania działania alkoholu. Akurat ten preparat był znany wcześniej pod nazwą Rohypnol, która, jak sędzę, oblała się pani o uszy.

Gapiła się na długie oznaczenie na opakowaniu, cyfry, 0,5 mg.

– To o tym mówi się „pigułka gwałtu”?

– Tak, ale ona działa też inaczej. – Odwrócił pudełeczko w dłoni. – Ten preparat tłumi uczucia i usuwa lęk, można powiedzieć. Jest popularny wśród ciężkich przestępców, łykają go przed akcją z użyciem przemocy. Większość ludzi wzdraga się mimo wszystko przed wpadaniem z wyciągniętą bronią do banku czy przed katowaniem bliźniego. Czy pani siostra była narkomanką, zamieszana w coś?

– Pan sugeruje, że była w jakiejś grupie przestępczej?

– Nie wiem, pani wie lepiej.

– Nie... jakie to zresztą teraz ma znaczenie?

Helene rzuciła okiem na identyfikator policjanta, niełatwo było się połapać w kolejności spółgłosek w jego nazwisku. Wyglądał na młodszego od niej o jakieś dziesięć lat, pewnie był tuż przed trzydziestką. Wyglądał też na zmęczonego, ale

chyba wszyscy sprawiają takie wrażenie o tej porze roku. Nie wiedzieć czemu pomyślała o pierwiosnkach, które już prawie zakwitły pod ich domkiem letniskowym, zanim przyszedł ten ostatni przymrozek.

Poczucie, jakby Charlie obserwowała ją przez ramię: *Co, będziesz mnie teraz obgadywać?*

– Charlie... znaczy Camilla, potrafiła być jak opętana jakimiś swoimi pomysłami... Czasami aż do przesady, odkąd tylko sięgnę pamięcią. Pewnie trochę dlatego, że nasza biologiczna mama wcześniej zniknęła.

Możesz przestać nazywać mnie Camillą, to imię dał mi ktoś, kto nie miał pojęcia, kim się stanę.

– Ing-Marie Sahlin – przeczytał komisarz w papierach. – Jest zarejestrowana jako zaginiona?

– Bo nie mogli uznać jej za nieżyjącą. Prawdopodobnie wyjechała do Ameryki Południowej i zniknęła, kiedy siostra miała pięć lat. Ja miałam trzy. Nasi rodzice byli już wtedy rozwiedzeni.

– Oj. – Wyglądał, jakby go to trochę poruszyło, potem błysk rozbudzonej ciekawości w oku. Rozpoznawała tę reakcję, tę ochotę, by wybebeszyć przeszłość, wywlec ją na światło, a potem rozebrać na czynniki pierwsze, pochylić głowę z lekkim współczuciem. To był jeden z powodów, dla których przestała o tym opowiadać, już wiele lat temu. Ludzie nie muszą wszystkiego wiedzieć. Ich mama zniknęła, ale zastąpiła ją przybrana mama, która zrobiła, co mogła, zaprowadziła ład w ich życiu, otoczyła troską. Barbro kochała je jak swoje własne. Gdyby Charlie tu była, powiedziałyby, że to nieprawda, ale przecież jej nie ma.

– Moja siostra żyje... to znaczy żyła, pewną fantazją o sobie i o świecie i nie dość jasno zdawała sobie sprawę z granic. – Helene dotknęła palcem opakowania z tabletkami. – Pewnie dlatego brała takie rzeczy.

– Problem z nimi jest taki – powiedział Krawczyk – że one nie są przepisane przez lekarza, nie mają aptecznej etykiety. Musiała zdobyć je nielegalnie.

– Nic absolutnie o tym nie wiem.

Helene zerknęła na zdjęcie leżące ciągle na stole. Spojrzenie siostry wybiegające gdzieś poza czas i przestrzeń.

– Znaleźliśmy właścicielkę jej mieszkania... – Przeglądał papiery. – A raczej syna właścicielki, który jest jej opiekunem prawnym. Ingvar Holm. Twierdzi, że nie wiedział, że pani siostra tam mieszkała. Wynajmowała z trzeciej ręki, co jest niezgodne ze statutem wspólnoty mieszkaniowej. Chce, żeby mu natychmiast

umożliwić dostęp do mieszkania, ale powiedzieliśmy, że musi poczekać, aż będziemy wiedzieć więcej.

Komisarz podsunął jej klucz i blankiet.

– Przypuszczalnie jutro zwolnimy mieszkanie, technicy już zrobili tam swoje.

– A co to znaczy?

– Tylko tyle, że zabezpieczyliśmy ewentualne ślady, na wypadek gdyby chodziło o przestępstwo. Oczywiście możemy zwrócić się do kogoś innego z rodziny, jeśli pani woli.

– Dziękuję. Ja się tym zajmę.

Helene wzięła blankiet, złożyła podpis, zważyła klucz w dłoni. Też nie miała pojęcia, że Charlie tam mieszka, nim policjant nie podał jej adresu przez telefon. Wspomnienie kilku wyrosłych na wzgórzu wysokich bloków.

– Zadzwonimy do pani, jak tylko założymy znowu zwykły zamek, tak żeby mogła pani wejść i zabrać jej rzeczy.

Są rzeczy, które koniecznie trzeba zrobić, na przykład odprowadzić ośmiolatkę do szkoły. Jeszcze raz wrócić do domu, bo jedenastolatek zapomniał zabrać adidas. Materiał promocyjny dla Osiedla Jarzęb, który ma być gotowy do końca tygodnia.

Wiosenne słońce wlewało się przez wysokie okna, malując intensywnym światłem ściany i błyszczące blaty biurka. Helene skinęła głową koledze obok i włączyła swój komputer. Ruben pracował już skoncentrowany z muzyką w słuchawkach, majstrując w rysunku 3D. Zastanowiło ją, czy on przypadkiem nie śleczął tu przez całą noc. Nie było po nim widać, czy spał tej nocy, czy nie, za młody na to, pomyślała, otwierając program i wchodząc w zdjęcia szeregowców w parku Beckomberga.

Ciągi budynków wyłoniły się z wolna. Metaliczne kolory, surowe linie fasad. Przelotna myśl, że inni wzięliby może wolne w taki dzień, ale ją gonił jednak termin. Pozwolenie na budowę przyszło w zeszłym tygodniu. Musiała przygotować prezentację, która pozwoli sprzedać na pniu co najmniej sześćdziesiąt procent segmentów, w przeciwnym razie deweloper zrezygnuje z projektu. Myśli o Charlie zniknęły, gdy po kolei wklikiwała się w pokoje i obracała się w nich, szukając właściwego kąta, żeby pokazać zieleń za oknem. Beckomberga to dziś niesamowity, bujny park, teren izolowany przez sto lat, gdy mieścił się tam wielki, odcięty od świata szpital psychiatryczny. Stara aleja jarzębowa nadała projektowi

nazwę „Osiedle Jarzab”, który był jednym z ostatnich etapów totalnej przemiany okolicy w tereny mieszkalne.

Helene weszła w trójwymiarowy obraz i zmieniła pozycję słońca. Chciała mieć jak najwięcej słonecznego światła, dać wrażenie wiecznego lata. Pogłębiła błękit nieba i przyniosła sobie kawę. Przedpołudnie zeszło jej na szukaniu w archiwach odpowiednich cyfrowych postaci, potem pozwoliła im się wprowadzić, zmniejszyła je trochę, żeby podbić wysokość sufitu, następnie otworzyła na oścież jedno okno, kazała zasłonie falować na wietrze i umeblowała mieszkanie klasycznym duńskim designem, w końcu wysłała młodą mamę na spacer z wózkiem po jarzębowej alei. Wspólnota, tradycja i odnowa. Powiększyła główne hasło: „W Beckomberdze idylla pozostanie idyllą”, i pomyślała o krzykach wariatów, o kratkach i zamkach, które nie pozwalały im uciec albo wyskoczyć przez okno.

Ile potrzeba smutku, żeby zrobić coś takiego? Szaleństwa albo rozpacz?

Był taki okres, kiedy czytała wszystko o samobójstwie, w historii, literaturze, psychologii. Melancholia, mówiły stare księgi kościelne, była pierwszą przyczyną, obok obłądzenia, który jednak tę zbrodnię usprawiedliwiał. Gorzej, gdy człowiek naprawdę wiedział, co robi. Temu, kto świadomie podniósł na siebie rękę, można było odmówić pochówku, wlec go nagiego przez miasto i skazać na wieczne potępienie.

Czy Charlie była szalona?

Helene siedziała ponad godzinę, formułując nowe slogany, szukała słów kluczy do ludzkich marzeń. Dających poczucie, że przyroda jest na wyciągnięcie ręki, a jednocześnie blisko centrów usługowych i miejskiego życia. Atrakcyjna oferta dla świadomej, nowoczesnej rodziny. Kto nie chce być świadomy i nowoczesny?

Zadzwoniono z policji, kiedy stała w ciasnym pomieszczeniu ksero. Szum wokół niej, ciepło od elektroniki. Blokada zdjęta, zameldował komisarz Krawczyk, i mieszkanie na Aspnäsvägen jest znowu dostępne. Przeczytał raport sekcji technicznej.

– Nie ma niczego, co by jednoznacznie wskazywało na obecność innej osoby w mieszkaniu.

Maszyna powoli wysuwała wydruki.

Helene wzięła szkice i przeszła się z nimi do Peo Ahlséna, który był współwłaścicielem i architektem odpowiedzialnym za projekt. Siedział na samym końcu tej dawnej hali przemysłowej, a tym samym miał plecy swoich wszystkich pracowników w zasięgu wzroku.

Peo spojrział i zrobił parę znaczków w tekście, powiedział coś o ukrytych rozwiązaniach IT. Żadnych brzydkich kontaktów ani kabli płaczących się po podłodze, warto to zaakcentować, chociaż obecnie to już prawie standard.

– Dzwonili ze szkoły mojej córki – powiedziała Helene. – Muszę wyskoczyć po obiedzie, ale zrobię co trzeba z domu, wieczorem, jak dzieciaki pójną spać.

Dlaczego nie powiedziała mu, jak jest? Czy dlatego, że także na nią padłby cień Charlie, melancholii i szaleństwa, ściągając ją w dół, w jakieś miejsce, gdzie nie chciała się znaleźć?

– Jasne, nie ma problemu – odparł Peo, który już gapił się we własny monitor. Dostrzegła projekt jakiejś bujającej w powietrzu hali wystawowej.

Zwinęła swoje szkice i wyszła z biura.

Poszła na stację Karlsberg, rzut kamieniem stamtąd, i wsiadła do kolejki do Jakobsberga.

Wieżowce były tak monumentalne, jak je zapamiętała, wyraz rozmachu lat siedemdziesiątych. Z czasów, kiedy odległość między blokami określał zasięg dźwigów budowlanych, miękkie linie nadawały im jednak ludzki wymiar, niemal rzeźbiarski rys.

Szła pod górę. Czuć było tu gliniastą ziemią i psim gównem, które zamarzło i z powrotem odtajało, łagodny powiew świeżości mieszał się ze spalinami z trasy Viksjöleden. Wszystko wnikało prosto w nią. Oto prawdziwy zapach wiosny, inny od tego w centrum miasta czy na wsi pod Norrtälje, bardziej cierpki i w jakiś sposób mocniejszy.

Przy placu zabaw, oparty o mały płotek, stał bukiet żonkili. Leżała jakaś zwiędła róża.

Helene przykucnęła, chciała sprawdzić, czy jest jakaś kartka. Wstyd jej było, że nie pomyślała o kwiatach. Położyła dłoń na asfalcie, czy to ciemniejsza plama? Ofiarodawca był anonimowy, żadnego słowa pożegnania. Odwróciła się i spojrzała do góry, na szereg balkonów. Policzyła piętra, do jedenastego.

– Tutaj jedna umarła. – Mały chłopiec, na oko czterolatek, zatrzymał swoje autko na pedały parę metrów od niej. – Jedna pani spadła.

Helene chciała coś powiedzieć, ale nic jej nie przyszło do głowy.

– Nie wolno wychodzić na balkon – dodał chłopiec i popedałował dalej.

Kiedy stała, czekając na windę, uświadomiła sobie, że kiedyś tu była. Na samym

dole, w gigantycznym garażu ciągnącym się pod całym blokiem. Pamiętała nerwowe napięcie, kiedy się tam zakradły. Niski strop i grube betonowe filary, które dźwigały cały ciężar olbrzymiego budynku, niekończące się rzędy samochodów. Helene nie rozumiała, dlaczego Charlie wzięła ją ze sobą, gówniarę, której zwykle nie zdradzało się tajemnic. Zakraść się tam nie było trudno, Charlie wskoczyła na platformę jakiegoś pick-upa, skuliła się, żeby nie było jej widać we wstecznych lusterkach, i w ten sposób wjechała do środka. Potem bocznymi drzwiami wpuściła pozostałych. Banda miała parę poduszek i koców schowanych w jakimś zakurzoną aucie w kącie, zamek był wyłamany. Helene zastanawiała się, czy to tam Charlie czasem nocowała, gdy uciekała z domu. Musiała przysiąc na wszystkie świętości, że nigdy nie zdradzi tego miejsca. Potem jednak zdradziła, powiedziała Barbro, gdzie może jej szukać. Dlaczego to zrobiła, nie wiedziała sama, i nigdy się do tego nie przyznała, choć Charlie jej groziła, przyciskając ją do ściany. Czy po to, żeby pomóc Barbro, czy żeby ratować Charlie? Chłopaki z tego gangu śmierdziały dymem, jeden z nich obmacywał Charlie w tamtym aucie, a ona wyglądała przy tym, jakby tylko robiła Helene na złość, bo wciąż zerknęła na nią i śmiała się, ciągnąc chłopaka na siebie.

Czy wygadała się po to, żeby jej starsza siostra przysłała czasem do domu, choć na trochę? Pokój Charlie stał pusty wieczór za wieczorem, chociaż miała największy, a Helene ten malutki, który właściwie był garderobą. Czasami się tam zakradała, żeby położyć się w chaosie poduszek i pism, patrzeć na afisze z Michaelem Jacksonem w jego różnych wcieleniach i udawać, że sama jest Charlie, że planuje ucieczkę i że odjedzie tamtym autem, może razem z którymś z chłopaków z bandy, a potem Barbro ją wołała i Helene znów była sobą, posłuszna.

Winda stanęła na jedenastym piętrze. Na drzwiach po lewej napis: „N. Holm”; wsunęła klucz do zamka i przekręciła bez problemu.

Zatrzymała się w wejściu, na progu. Patrzyła na obcy przedpokój. Jasne tapety z borderami, brzydka, przekrzywiona wycieraczka. Policjanci zostawili po sobie ślady butów idące we wszystkie strony, błoto i żwir naniesione z podwórza. Skórzana kurtka, która zsunęła się z wieszaka. Jakby Charlie wyszła tylko na chwilę, w pośpiechu.

Na moment, zanim zamknęła za sobą drzwi, dobiegł ją z klatki schodowej jakiś krzyk, nie był to ludzki odgłos. Jakiś ptak? Potem drzwi się domknęły i zapadła cisza.

Nie słyszała żadnego dźwięku, nawet gdy bardzo się skupiła. A jednak, szmer

lodówki. Szum wody gdzieś w rurze. Czego się spodziewała? Że ją otoczą echa głosu Charlie, że będą tu krążyć duchy, w betonowym molochu z lat siedemdziesiątych? Musiała sama sobie wytłumaczyć. Strach jest irracjonalny. Poczucie winy jest czymś naturalnym. To nie oznacza, że jest winna. Każdy sam odpowiada za swoje życie.

Mimo to drżała trochę, kiedy schyliła się, by podnieść kurtkę. Klasyczny model, taki, który w butikach vintage kosztował masę pieniędzy, ale Charlie odkryła go, kiedy jeszcze był okazją. Przy kołnierzu dało się ciągle wyczuć zapach perfum. Helene ścisnęła kurtkę mocno w dłoniach, nie przyciskała jej do twarzy, lecz czuła zapach mimo to i nie mogła powstrzymać myśli o posiniaczonym ciele swojej siostry. Charlie zawsze łatwo dostawała siniaków, wystarczyło mocno chwycić ją za ramię, a już wyglądała, jakby ją ktoś pobił. Czy zdążyły wystąpić siniaki?

Helene powiesiła kurtkę na wieszaku. Wyglądało to nagle tragicznie, jakby czekała na powrót swojej właścicielki.

Ściągnęła kozaki i weszła do środka.

Na drugim końcu przedpokoju była kuchnia. Stół zavalony gazetami i niepotwierzanymi listami. Okruchy wokół tosterów. Podniosła kilka białych kopert. Urząd podatkowy, rachunek za prąd, komornik. Nie śmierdziało tak bardzo, jak się spodziewała. Technicy policyjni musieli chyba wynieść śmieci, bo przecież nie zrobiła tego Charlie na moment przed śmiercią? Na kuchennym blacie stał karton białego wina. Helene potrząsnęła nim, trochę zostało na dnie. W zlewie kilka talerzy i kieliszków, torby ze śmieciami nie było, tak jak myślała. Otworzyła lodówkę, przeczytała daty ważności na paru opakowaniach: szynka, jogurt, otwarta paczka tortellini. Większość miała dotrzeć do końca tygodnia.

Helene osunęła się na krzesło i wbiła wzrok w ścianę. Plamy na żółtawej tapecie. Zmęczenie tak ciężkie, że prawie nie mogła się podnieść.

Kiedy następnym razem spojrzała na zegarek, upłynęły ponad dwie godziny. Minęły, podczas gdy chodziła z pokoju do pokoju, nie wiedząc, od czego ma zacząć.

Jedna z sypialni zdawała się nieużywana. Stały w niej zmagazynowane meble, eleganckie, wyglądające na antyki, i pudła ze sprzętem kuchennym, świecznikami, obrazami. To, co gospodarz chciał oszczędzić, czy czego Charlie nie chciała mieć wokół siebie?

W łazience wannę zamieniono na prysznic przystosowany dla osób niepełnosprawnych, zostały po niej ślady na łazienkowej wykładzinie, uchwyty przyśrubowane do ściany. N. Holm musiała mieszkać tutaj długo, widzieć, jak

dzieci się wyprowadzają. To normalne. Tylko Charlie tułała się bez stałego punktu zaczepienia. Pętała się po życiu, nie zostawiając żadnych śladów, z jedną walizką i paroma kartonami do przeprowadzek. Helene zobaczyła je, gdy weszła do dużego pokoju, stały w kącie, nierozpakowane.

Parę poduszek kanapowych zsunęło się na podłogę. Stół obiadowy w kącie zawalony stosem papierów. Tu i tam stały kubki z zaschniętą kawą na dnie.

Helene podniosła jeden z nich i odstawiła go z powrotem, znowu poczuła tamtą złość.

Sprząta po Charlie, jeszcze raz.

Że ona nie umiała nawet umyć po sobie kubka, nim wyjechała następny.

Z drugiej sypialni był widok na lasy Järvafältet^[9] i brzydką elektrociepłownię, a na południowy wschód aż do kopuły Globen. Pościel leżała poskręcana, kołdra spadła i tkwiła do połowy wciśnięta pod łóżko. Może miała z kimś seks, pomyślała Helene. Albo koszmary. Może technicy zrobili bałagan, kiedy tu weszli.

Szukali śladów, analizowali zaschnięte cielesne wydzieliny i co tam jeszcze się robi w takim miejscu jak to.

Gdy otworzyła drzwi szafy, wysypał się z niej kłęb ciuchów. Rozróżniła w tym stosie ubrania i wzory, które niejasno pamiętała, kawałki tego, w czym Charlie chodziła. Znoszone marynarki od Diora i Chanel, czarną sukienkę z lat sześćdziesiątych i oryginalne džinsy dzwony z lat siedemdziesiątych, rzeczy, które wynajdywała w second handach i nosiła w zestawieniach, na które nikt by nie wpadł. Znowu przelotna woń tamtych perfum, która zbudziła pewne wspomnienie i równie szybko zniknęła, ulotniła się, zastąpiona innym zapachem. Helene uświadomiła sobie, że będzie musiała wszystko to spakować, tymczasem jednak wcisnęła cały kłęb z powrotem do szafy.

Niepokojący ból przy skroniach, jak zaciskana obręcz. Poszła do kuchni i wzięła tabletkę Iprenu.

Próbowała nie patrzeć w stronę drzwi na balkon.

Powoli wróciła do pokoju. Podeszła do stołu, którego Charlie najwyraźniej używała jako miejsca pracy. O ile w jej przypadku można było mówić o pracy.

Leżały na nim stosy papierów, wydruków, artykułów. Helene odstawiła jeszcze jeden kubek.

Może jednak jest tu ten ostatni, wyjaśniający wszystko list, w jednym z tych pootwieranych brulionów, na porzrzucanych karteluszkach, w tekstach

nabazgranych na odwrotnej stronie czegoś innego.

Rozpoznawała styl Charlie, pochylony lekko do tyłu, ledwie dający się odczytać. Kto jeszcze dzisiaj pisze ręcznie? Podnosiła ostrożnie tu jakąś kartkę, tam notes. Pojedyncze wersy, urywki tekstów, które nigdy nie będą ukończone.

...były jak strumień lawy płynący przez jej ciało, a potem chłód, gdy on się odwracał, a między jednym a drugim nie było już życia. Tylko dni.

...sprawiał, że byłaś gotowa zapomnieć o wszystkim i skoczyć w przepaść, który sprawiał, że umierałaś i pragnęłaś umrzeć znowu?

...i że nigdy do ciebie nie dotrę tym moim wołaniem, bo dzieli nas ocean i otchłanie, i to wszystko, czego nie da się wybaczyć.

Helene zmięła w dłoni ostatnią kartkę, poezję czy co to miało być, może jeszcze jeden początek tej powieści, z której w końcu nigdy nic nie wyszło? Charlie opowiadała o niej wiele razy, ale nigdy nie opublikowała choćby jednego zdania. Opowiadała też, że pisze scenariusze dla Killinggänget^[10] i że planuje własny telewizyjny talk-show, który ma odnowić ten gatunek.

Podniosła jeszcze kilka papierów, przekartkowała pobieżnie jakiś brulion. Tylko piętnaście procent z tych, co odbierają sobie życie, zostawia listy pożegnalne, tak gdzieś kiedyś wyczytała. To raczej gest znany z książek i filmów, historii opowiadanych, aby pocieszyć i zrozumieć.

W końcu doszła do samych drzwi balkonowych i otworzyła je na oścież. Ciężkie od chmur niebo, bez nadziei, masywna szara derka nad Jakobsbergiem.

Na betonową posadzkę nie wyszła, nie mówiąc już o zbliżeniu się do metalowych prętów balustrady, nigdy w życiu. I tak poczuła zawrót głowy i mdłości.

A jednocześnie: rodzaj ulgi.

Już po wszystkim.

Nie będzie więcej takich rozmów.

Pamiętała jasno i wyraźnie szpitalną salę o żółtych ścianach. Siedem lat temu. Oddział ratunkowy, gdzie przyszła z wizytą, przynosząc w reklamówce miesięczniki, owoce i żelki samochodziki; jak kretyńsko czuła się z tą torbą w dłoni. Jakby sądziła, że jakieś kolorowe pismo i trochę słodczy może stanąć do walki ze śmiercią, ale nie chciała przecież przyjść z pustymi rękami. A Charlie leżała w łóżku z przetłuszczonymi włosami i niebieskawym odcieniem bladości, przez który jej cera przypominała porcelanę, taka krucha. Połknęła tabletki,

a potem sama zadzwoniła po karetkę. Gdy się obudziła, już po płukaniu żołądka, podała Helene jako osobę, którą mają powiadomić, Helene pojechała wtedy do ówczesnego mieszkania siostry, wynajmowanej z drugiej ręki kawalerki w Blackebergu^[11], żeby jej przywieźć ubranie na zmianę, szczoteczkę do zębów i kosmetyczkę. Wcześniej przysiadła na moment na skraju jej łóżka jako ta przywołana. W najcięższej chwili Charlie zwróciła się do niej, mimo że prawie nigdy się nie widywały.

Ktoś, kto sam dzwoni na pogotowie, nie chce chyba naprawdę umrzeć? To raczej tylko głośne, rozpaczliwe wołanie o pomoc? Ten, kto sam dzwoni, nie będzie przecież próbować jeszcze raz, tym razem naprawdę?

Helene spróbowała zapytać dlaczego.

Charlie wzruszyła ramionami, odwróciła wzrok.

Chyba nie przyszedł tutaj po to, żeby się bawić w psychologa, co?

Tamto mieszkanie w Blackebergu. W firankach przy łóżku były dziury wypalone papierosem, zarzewie ognia, który na szczęście nie wybuchł. Po tym incydencie gospodarz wymówił Charlie mieszkanie. Te firanki odziedziczył po babce.

Helene spojrzała na zegarek.

Dwie godziny, a ona jeszcze nawet nie zaczęła.

Przeszła się po mieszkaniu i pozbierała brudne kubki. Włożyła je do zlewu i zalała gorącą wodą. Z rolki worków na śmieci, którą przyniosła ze sobą, oderwała jeden i powrzucała do niego jedzenie z lodówki, a potem przeszła się z tym do zsypu.

Oderwała kolejny i wzięła się do sterty papierów w pokoju.

Wyglądało na to, że większość z nich to artykuły, które Charlie wydrukowała z sieci. Musiała iść w tym celu do biblioteki albo poprosić kogoś, bo w mieszkaniu nie było przecież ani komputera, ani drukarki. Sporo po angielsku, z gazety „Guardian”, z BBC i z czegoś, co się nazywało „Buenos Aires Herald”. Wszystkie dotyczyły Argentyny.

Helene wiedziała, że kiedy się sprząta, nie wolno zacząć czytać, bo wtedy nigdy się nie skończy. Nie mogła jednak nic na to poradzić, że pojedyncze słowa zaczęły układać się w zdania, które zmuszały ją niejako do przeczytania następnych.

Oczywiście znała historię, ale nigdy nie zagłębiała się w te wydarzenia tak jak Charlie. Były wtedy małe, w latach siedemdziesiątych, kiedy w Argentynie

zniknęło wiele tysięcy, może nawet trzydzieści tysięcy ludzi, których torturowano, a następnie zabijano. Mówiono o tym *la guerra sucia*, brudna wojna. Najwyraźniej wciąż jeszcze trwały procesy. Matki żądały prawdy o tym, co stało się z ich dziećmi, a dawnych wojskowych oskarżano o zbrodnie przeciw własnemu narodowi.

Były tam szczegóły, o których nie chciała czytać, ale nie dało się ich pominąć, o więźniach rażonych prądem w genitalia, torturowanych, którym zdzierano skórę ze spodu stóp i zamykano ich w celach z psami tresowanymi do agresji, o ludziach żywcem wyrzucanych z samolotów.

Tu i ówdzie w tych tekstach Charlie coś bazgrała. Maząca na marginesach rozkojarzone bohomyzy i zakreślała kółkiem pewne słowa. Głównie nazwiska i przydomki tamtych wojskowych; *El Tigre*, Tygrys, nazywał się jeden, najwyraźniej nosił takie przydomki. Byli też Wąż, Lew i Pingwin, nawet Delfin. *El Ángel Rubio*, Złotowłosa Anioł, został skazany na dożywocie za porywanie ludzi i morderstwa. Imię Squatina zaznaczyła parokrotnie, to też musiało być jakieś zwierzę, jakiś rekin, bo w jednym miejscu napisała „Squatina = Angel Shark”.

Wyrzuciła całą stertę papierów, zastanawiając się, co też Charlie chodziło po głowie, jak bardzo pragnęła samoudręki? Czy to dlatego nie miała siły dalej żyć? Grzebała w ranach, którym należało pozwolić goić się w spokoju, to było jak nawrót nałogu, w który nie wolno dać się wciągnąć.

Co z tobą jest nie tak, nie chcesz poznać prawdy, przez całe życie chcesz żyć w kłamstwie?

Prawda.

Tak jakby dało się ją znaleźć w stercie artykułów, w bezustannym grzebaniu w przeszłości, gdzie, jak już wiedziały, nie ma żadnych odpowiedzi.

Helene wrzucała do worka plik za plikiem.

Nie było nawet żadnych dowodów na to, że ich mama wyjechała do Argentyny. Tylko pogłoska. Tak powiedziano Helene, kiedy już trochę podrosła.

Ing-Marie Sahlin zgłoszono jako zaginioną w listopadzie 1977 i gdy czas mijał, a ona się nie pojawiała, policja i MSZ wystosowały zapytanie do władz argentyńskich. Nie znaleziono tam żadnych jej śladów. Linie lotnicze w Szwecji i w reszcie Europy Zachodniej otworzyły swoje rejestry, ale nikt o nazwisku Ing-Marie Sahlin nie odleciał w tamtym okresie do Buenos Aires.

Nie udało się także ustalić miejsca pobytu Argentyńczyka o imieniu Ramón. Przybył on do Jakobsberga jako uchodźca, a ich mama najwyraźniej się w nim

zakochała. Grupka przyjaciół z uniwersytetu ludowego w Jakobsbergu opowiadała, że ci dwoje, z niejasnych powodów, wybierali się do Argentyny. Wtedy panował tam stan wyjątkowy, i nie był to kraj, z którego się ucieka, żeby tam potem wracać.

Prawda, jeśli już mówić o prawdzie, była taka, że ich mama porzuciła je obie, nim Helene podrosła na tyle, żeby cokolwiek pamiętać. Nie pamiętała żywej twarzy ani nawet brzmienia jej głosu, niczego. To miejsce zajmowała pustka, niebyt. Oto prawda.

Natomiast Barbro tam była.

Mama istnieje dla swoich dzieci. Jest miłością i troską, własne potrzeby stawia na drugim miejscu. Mama jest mamą po prostu, jeśli chce mieć prawo, aby ją tak nazywać.

Helene przeglądała garść fotografii i rozpoznała Ing-Marie, która śmiała się w środku grupki trzech osób, odrzucając włosy do tyłu. Wyblakłe kolory, lata siedemdziesiąte. Zdawała się taka... żywa. Przez sekundę Helene miała wrażenie, jakby widziała samą siebie, chociaż młodszą niż teraz. Nigdy przedtem nie spostrzegła, jak są do siebie podobne, może dlatego, że minęło już bardzo wiele lat, odkąd ostatnio oglądała zdjęcia mamy. Jeżeli miała jakiegokolwiek, to leżały w jakimś pudle na strychu. Takim, którego nigdy się nie otwierało, a tylko przewoziło ze strychu na strych przy przeprowadzkach.

Helene odwróciła fotografię, ale nie było tam żadnej informacji, kim są ci pozostali, tylko pieczętka, tak niewyraźna, że już nie dało się odczytać daty.

Odłożyła zdjęcie do jednego z kartonów przeprowadzkowych, razem z paroma innymi fotkami Charlie, które znalazła, jej starymi szkolnymi świadectwami, portfelem i paszportem, i kilkoma szkolnymi zeszytami, nie wiedząc właściwie, czemu akurat to trzeba zachować.

Blat stołu był w końcu uprzątnięty, worek na śmieci pełen, związała go i wystawiła do przedpokoju.

Zrobiło się chłodno. Podeszła, żeby zamknąć drzwi na balkon, i przystanąła w progu. Parę doniczek wstawionych jedna w drugą w rogu, składane krzesło.

Czy Charlie poszła prosto i skoczyła, czy może chwiała się, wahała?

Zimny cement pod skarpetkami, dwa, trzy, cztery kroki do balustrady. Helene chwyciła metalową poręcz, spojrzała w dół. Podwórze było rozplanowane symetrycznie, daleko w dole. Placyki zabaw i krzaki, okręgi i linie proste. Pagórek bardziej naturalnie krzewiących się zarośli w środku. A tutaj tylko ta cienka barierka.

Ostrożnie wychyliła się nieco dalej, żeby zobaczyć miejsce upadku i oszacować odległość. Wtedy z mieszkania dobiegł jakiś odgłos. Przez sekundę zdawało jej się, że poręcz się zapada. Cofnęła się i odwróciła, zamarła i nasłuchiwała.

Odgłos dochodził z przedpokoju. Klucz obracany w zamku. Potem powiew przeciągu, gdy otworzyły się drzwi wejściowe.

– Halo! – zawołała Helene.

Żadnej odpowiedzi.

Zrobiła kilka kroków w głąb mieszkania, czuła, jak bije jej serce. W przedpokoju stał jakiś mężczyzna i gapił się na nią.

– Cholera... Nie wiedziałem, że ktoś tu będzie.

– Kim pan jest? – Helene uprzytomniła sobie zimno ciągnące z balkonu, obrazy Charlie przemknęły jej przez głowę, uczucie spadania. – Co pan tu robi?

Wyglądał na starszego od niej o parę lat, ubrany w wyświechtane wojskowe spodnie i sprany T-shirt, włosy półdługie, siwiejący blondyn.

– Pani z policji? – spytał.

– Mam posprzątać i zabrać jej rzeczy.

Kosztowało ją sporo wysiłku, by zapanować nad głosem. Mężczyzna przestępował chwilę z nogi na nogę, przyglądał się jej. Potem twarz mu się nieco rozjaśniła.

– Ja cię pamiętam. Jesteś siostrą Charlie, nie? Chodziłaś do podstawówki Kvarnskolan.

– A ty kto jesteś?

Rzadko zdarzało się, że pamiętała kogoś z dawnych czasów, może dlatego, że o nich nie myślała. Cały okres jej podstawówki był zaludniony tłumem bezimiennych dzieci, których przemiany w dorosłych nie widziała.

– Uffe – powiedział i potrząsnął kluczem, który trzymał w dłoni. – Uffe Rainer. Widziałem dziś z rana, jak ci technicy policyjni się wynieśli. Pomyślałem, że zajrzę i zobaczę, czy mogę zabrać swoje rzeczy.

– Jakie rzeczy?

– Ja tutaj mieszkam, naprzeciwno. – Wskazał kciukiem za siebie. – Charlie dała mi klucz. Żeby mieć oko na mieszkanie i w ogóle, jak jej nie było w domu. Pomagałem jej.

– Okej – powiedziała Helene – to możesz oddać klucz mnie.

– Co mówi policja? Znaleźli coś?

– Nie, niby co mieli znaleźć?

Mężczyzna spojrział w stronę kuchni. Był dużo wyższy od Helene, chwiejny chudzielec.

– Kiedy ostatnio ją widziałeś? – spytała.

– Tego samego dnia. W pale się nie mieści, że... kurde.

Zobaczyła, że oczy mu wilgotnieją i zaciska szczęki.

– I co mówiła? Zauważyłeś coś?

– Co miałem zauważyć? – Zaczął przygryzać paznokcie, spojrzenie miał rozbiegane.

– No, a jak myślisz? – ciągnęła Helene z irytacją. – To, co się zauważa u człowieka, który ma zamiar popełnić samobójstwo. Powiedziała ci „sorry” i „żegnaj”? Czy nic nie powiedziała, zachowywała się jak wariatka? Coś przecież musiałeś zauważyć.

– Czemu tak mówisz? Dlaczego miałyby popełnić samobójstwo?

Poruszał się nerwowo, zrobił parę kroków tam i z powrotem, cały czas błędząc spojrzeniem po mieszkaniu.

– Z nią wszystko było w porządku.

– W porządku. – Helene podeszła do swojej torebki leżącej na kuchennym krześle, wyjęła z niej komórkę i od razu poczuła się pewniej. – To dlaczego łykała tyle tabletek uspokajających, skoro wszystko było w porządku, i dlaczego wyskoczyła? A w ogóle, to co ty sobie wyobrażasz, że możesz tak tu wejść, po prostu?

– Cholera, no.

Teraz ruszył w stronę łazienki. Czy miała prawo go wyrzucić, zgłosić bezprawne wtargnięcie?

Cofnęła się ku drzwiom wejściowym. Pomyślała o Maltem, o Ariel. Opiekunka miała ich zabrać ze szkoły i zrobić zakupy na obiad, sporo czasu upłynie, nim ktoś spyta, gdzie się podziewa Helene. Wcześniej wysłała esemesa do Jockego, żeby nie czekali na nią z obiadem.

– Czego szukasz? – rzuciła, ściskając w dłoni komórkę.

Zawrócił na pięcie, miał w oczach coś dzikiego.

– Co powiedziała policja? – zapytał. – Co tu znaleźli, jak tu wszystko

przeszukali? Przecież musieli ci powiedzieć. Jej siostrze.

Helene cofnęła się dwa kroki, kiedy podniósł rękę.

– Myśmy byli ze sobą o tak blisko – pokazał jej splecione dłonie. Głos mu się łamał, jakby miał wybuchnąć płaczem. – Bliźniacze dusze, kapujesz?

Potem przepchnął się obok niej i wyszedł na klatkę schodową. Przystanął pod swoimi drzwiami i jeszcze się odwrócił.

– To nie jest tak, jak ci mówią. Charlie nie chciała umrzeć, to bzdura, jak tego nie rozumiesz, to zwyczajnie jej nie znałaś.

Nim zamknął za sobą drzwi, Helene spostrzegła w środku dużego, trzepoczącego skrzydłami ptaka. Trzask rozległ się echem po klatce schodowej, potem znowu zrobiło się cicho.

Już było ciemno, gdy wyniosła worki do śmietnika. Wrzuciła wszystko do dużego pojemnika, wyszła, drzwi same się za nią zamknęły. Następnie zadzwoniła po taksówkę.

Adres tkwił w niej jak zaprogramowany, płynął w jej mleczu pacierzowym, podała go bez namysłu. Veckovägen 33 w Västerby, nie dalej jak dwa kilometry stąd.

Jedyny dom rodzinny, jaki znała. Szeregi bloków spółdzielczych dokoła olbrzymiego placu. Pamiętała je jako szare, ale teraz były otynkowane na kolorowo. Na balkonie kwitły w doniczkach bratki i żonkile, tak jak zawsze, w odcieniach żółci i lila. Dopóki można było spodziewać się nocnych przymrozków, Barbro wносиła je wieczorem do mieszkania i wystawiała z rana, chociaż właściwie dobrze znosiły mróz.

– Ależ kochanie – powiedziała, odgarniając kosmyk z twarzy Helene.

Ponownie wzięła ją w ramiona, mocno przytuliła. – Czemuś nie przyszła już wczoraj?

Helene oswobodziła się z jej objęć i usiadła na krześle w przedpokoju. W podmuchu po zamknięciu drzwi pobrzękiwały cicho dzwonki z muszelek. Krzesło było z XVIII wieku, wycięte z jednej kłody, Barbro odziedziczyła je po swoim dziadku. W tym mieszkaniu każda rzecz miała swoją historię; pradziadowie i babki, i własne wspomnienia Barbro z dzieciństwa, wszyscy żyli dalej w naczyniach i starych tkaninach, przerabianych przy różnych okazjach. Helene zawsze okropnie się bała, że coś stłucze, bezpowrotnie niszcząc w ten sposób jakieś

wspomnienie.

– Nie zostanę długo – powiedziała. – Tylko nie chciałam mówić ci tego przez telefon.

Ale dlaczego nie? Czy nie byłoby lepiej dostać taką wiadomość i nie musieć tłumić swoich reakcji, jak Barbro w tej chwili? Jej pogłębione nagle zmarszczki, drżące dłonie zasłaniające usta. Helene zauważyła po raz pierwszy, że siwizna pokryła całą jej głowę.

– A myśmy się pokłóciły ostatnim razem. – Barbro opadła ciężko na komodę, jedyny mebel stojący w pobliżu. – Camilla mnie nie odwiedzała przez kilka lat, sama przecież wiesz, nie chciała ze mną rozmawiać, a potem nagle zjawia się i krzyczy, robi raban. Mówiła, że chce swoje rzeczy, wszystko, co do niej należało. Ja nie wiedziałam, o czym ona mówi, ale pootwierała szafki i szuflady i powybierała...

Barbro machnęła ręką w stronę saloniku i stojącej tam sekretery. Głos miała udręczony, podobnie jak wzrok, kiedy podniosła oczy.

– Ja przecież chciałam wam to dać, jak będziecie dorosłe.

– Dać nam co? Dorosłe już jesteśmy od dwudziestu lat.

– To było tylko parę zdjęć, poza tym chciała serwis stołowy, bo tam, u siebie, nic nie miała, czy też właściciel schował swoje sprzęty, pewnie się o nie bał. –

Barbro musiała chwycić za futrynę, żeby się z powrotem dźwignąć. W ostatnich latach pogłębiło się jej zwyrodnienie biodra. – Camilla nie czuła się dobrze. Widziałam przecież, ale co mogłam zrobić? Najpierw nie daje znaku życia, a jak się już zjawia, to biega tu jak opętana i krzyczy, żebym się zamknęła, bo nie mam nic wspólnego z waszą rodziną.

– Nie znosiła, jak ktoś nazywał ją Camillą.

– Z nią nigdy nie było łatwo. Nie to co z tobą. – Barbro trzymała jedną dłoń na plecach, idąc w kierunku kuchni. – Ale ty musisz przecież coś przekąsić.

Helene poszła za nią. Patrzyła, jak Barbro wyjmuje z lodówki gotową tacę z serami, w plastikowym sklepowym opakowaniu.

– A może zjesz coś porządnego?

– Nie, dziękuję, muszę jechać do domu. Ja... oni nic nie wiedzą. Nie znali jej. –

Helene przysiadła na kuchennym krześle, swoim dawnym miejscu pod ścianą. Charlie siadała zazwyczaj pod oknem, kiedy bywała w domu. *Nazywaj to sobie, jak chcesz, ale to nie jest mój dom.*

– Wyobraź sobie, jaką mieliśmy Walpurgię tutaj, w Jakobsbergu – powiedziała Barbro, odmierzając wodę w czajniku. – Przedwczoraj w nocy ktoś spalił na Kvarnbacken cały stos i kiedy wczoraj przyszły wszystkie rodziny z dziećmi, zobaczyły tylko kupę popiołu. Próbowaliśmy w parę osób śpiewać pieśni i tak, ale nie dało się, nie było nastroju. Kto robi takie rzeczy, masz pojęcie?

Helene słyszała ją gdzieś w tle. Wyglądała przez okno, na balkon, który czekał na swój olśniewający rozkwit. Barbro przeszła na emeryturę po latach pracy na etacie kuratora, jeździła teraz na wycieczki po ogrodach Holandii i Japonii i wracając, przemyślała ze sobą nasiona i sadzonki, którymi czasem się dzieliła. Helene sadziła je i od razu zapominała, skąd się wzięły.

– Moje dzieci nigdy jej nie poznały – powiedziała. – A teraz już za późno.

– Wszyscy żyjemy, jak umiemy i jak myślimy w danej chwili, że będzie najlepiej.

Barbro westchnęła ciężko i usiadła na innym z krzeseł, które odziedziczyła po matce. Helene pamiętała staruszkę, *możecie do mnie mówić babciu, jeśli chcecie, chociaż nie jestem waszą babcią tak naprawdę*. Sama nie nakłaniała nigdy dzieci, by nazywały Barbro babcią, była dla nich po prostu Barbro, kiedy się spotykali. Charlie nigdy przy tym nie było. Nigdy o niej nie rozmawiali.

Uparta cisza. Bezślowie. Sery stały nietknięte.

– Wiadomo coś więcej, jak do tego doszło? – spytała wreszcie Barbro.

– Odebrała sobie życie – powiedziała Helene i poskrobała trochę paznokciem o kant stołu. – Policja przeprowadza dochodzenie, chcą oczywiście wiedzieć, jaka była, takie tam rzeczy, chyba zawsze tak robią.

– Pewnie muszą, są ustalone procedury.

Barbro zaczęła w końcu ściągać folię z serów, wyłowiła kawałek brie palcami i ugryzła kęs.

– Właściwie to chciała tamte listy – powiedziała. – Po to przyszła. Kiedy to było? Jakiś miesiąc temu, może więcej.

– Jakie listy?

– Od waszej mamy.

Helene gapiła się na nią.

– Nigdy nie wspominałaś nic o listach.

– Bo żadnych listów nie było. – Barbro znowu wstała i wydawało się, że nie bardzo wie, do której szafki idzie. Zajrzała do jednej i drugiej. – To wasz tata tak

mówił, jak byłyście małe, zaraz po tym, jak ona zniknęła. To były takie bajki. Udawał, że czyta wam z jej listów przed zaśnięciem. Byłaś mała, nie możesz pamiętać, ale Camilla uparła się, że pamięta. Że mama tęskni tak bardzo za wami, że mama wróci niedługo do domu, i takie tam klituś-bajduś. Rozumiesz? Opowiadał wam te bajeczki, bo nie miał serca powiedzieć, jak jest.

Wyjęła paczkę herbatników i postawiła ją na stole nierozpakowaną.

– On nie był złym człowiekiem. Nie powiem.

Helene odwróciła głowę. Jeżeli o czymś nie rozmawiała, to o nim. Z zasady. Barbro związała się z ich tatą niedługo po tym, jak Ing-Marie zniknęła z pola widzenia. Po paru latach ich związek się rozpadł. „Niełatwo się z nim żyło”, powiedziała kiedyś, i jeszcze to i owo wymknęło jej się z biegiem lat, mimo że o tych rzeczach się nie rozmawiało.

Kiedy biuro opieki społecznej odkryło, że jego dom nie jest właściwym miejscem na wychowywanie dzieci, Barbro zadeklarowała, że je przygarnie. *Ty przecież jesteś jak moja rodzona córka i gdybym miała własne dziecko, tobym nie mogła kochać go bardziej niż ciebie.* Helene nie wiedziała dokładnie, jak wyglądała formalna ugoda z władzami, ale któregoś razu powiedziano, że jeśli tata uporządkuje swoje życie lub jeśli mama wróci, wtedy dziewczynki przeprowadzą się z powrotem do któregoś z biologicznych rodziców. Stale się tego obawiała. Wszystko dokoła niej było tymczasowe: łóżko i pokój, który nazywała swoim, drzwi, które za sobą zamykała, jej stałe miejsce przy kuchennym stole, poczucie bezpieczeństwa w ramionach Barbro. Kiedy skończyła osiemnaście lat, Barbro spytała ją, czy nie chce czegoś w tej sprawie zrobić, teraz, gdy jest już pełnoletnia i sama może decydować. Istniała możliwość prawnego uznania przybranej matki za własną. Helene wzięła od niej te papiery i obiecała pomyśleć, i uściskała ją i powiedziała, że „przecież jesteś moją mamą”. Potem włożyła formularze do szuflady. Od tamtej pory ta kwestia była nabrzmiałym punktem między nimi, wyczuwalna w każdym uścisku jak żwir w bucie, czy podczas wizyt dzieci, które nie mogły stać się prawdziwymi wnukami.

– Powinnam była zrobić dla Charlie więcej – powiedziała Barbro. – Nie trzeba było dać się jej odtrącić.

– To nie twoja wina.

– Wykrzykiwała, że kłamałam, bo byłam zazdrosna o Ing-Marie, bo jej ukradłam dzieci i udawałam matkę. A ja przecież to zrobiłam tylko dla waszego dobra.

Helene położyła jej dłoń na ramieniu. Barbro chwyciła ją i uścisnęła tak, że aż

zabolało. Przyciskała ją sobie do twarzy wilgotnej od łez. Potem siąknęła nosem i puściła dłoń. Pogłaskała Helene po ramieniu.

– Przepraszam. Tobie jednak musi być najciężej.

– Naprawdę powinnam już jechać.

Helene podniosła się. Poczwała, że zgłodniała, nie tknęła ani serów, ani herbaty, teraz nawet pożałowała, nie chciała jednak siedzieć tutaj dłużej.

Barbro stała, milcząc, w przedpokoju i patrzyła, jak Helene się ubiera.

– Znaleźli go? – spytała w końcu. – Ktoś powiadomił waszego tatę?

Helene skoncentrowała się na kozakach, miały o wiele za ciasne cholewki. Musiała się namęczyć, żeby wciągnąć prawy.

– Czasem go widuję – powiedziała Barbro. – Ktoś go powinien przecież zawiadomić.

– Wiem.

– Chcesz, żebym...?

Helene pokręciła głową.

– Nie, nie trzeba.

Czuła go w brzuchu, kiedy szła. Ból, który zawsze tam był, tylko czasami o nim zapominała. Wstyd nazbyt wielki, zaogniony, którego z nikim nie mogła już dzielić, bo nie było nikogo innego. Tylko Charlie i ona.

– I zajrzyjcie niedługo tu wszyscy – zawołała za nią Barbro. – Stęskniłam się za maluchami.

Na Vasavägen było specjalne pomieszczenie na odpady, którego zamek nie zawsze się zatrzaśniał.

Rycerz rozejrzał się i pomyślał, że jest niewidzialny. Jak się nie wierzy w Boga, to zawsze jeszcze pozostaje siła myśli, powiedział sobie, zanim wszedł między bloki. Kilka dni temu wyszperał tam parę butów, tylko o dwa numery za duże. Prawdziwa skóra. W takich butach człowiek daleko zajdzie, pochwalił się ze śmiechem kumplom z Parku Rycerskiego^[12], jednak nie zdradził im, gdzie je znalazł. Jak tylko mieszkańcy odkryją, że jacyś obcy buszują w ich śmietniku i biorą sobie wyrzucane przez nich rzeczy, to będzie po zabawie. Zamki i kłódki, i klucze i kody, i diabli wiedzą kto na straży.

Łatwiej się wbić do nieba, gdzie na bramce stoi święty Piotr, niż ostatnimi czasy wejść do jakiegoś bloku w centrum Jakobsberga.

Nacisnął klamkę, alleluja! Otwarte! Jeszcze nie naprawili zamka. Wślizgnął się za ciężkie metalowe drzwi i zaczekał, aż się zatrzasną, zanim zapalił światło.

Stały tam dwa kontenery, oba wypełnione po brzegi. Kartony Ikei sterczące na wszystkie strony, połamane krzesło, boczna ścianka półki na książki. Schylił się nad krawędzią jednego z pojemników i trochę pogrzebał, sprawdził jakąś walizkę i opróżnił reklamówkę z ciuchami, które niestety pasowały tylko na bardzo małe dziecko. Wyłowił jednak sweterek – jak się odpruje rękawki, to super się nadadzą do tych nowych butów. Głębiej już nie mógł sięgnąć, musiał więc przeleźć przez krawędź i wskoczyć do plastikowego kontenera. Wylądował na stercie książek, których ktoś się pozbył, na oko była to zawartość całej półki. *Anna Karenina* Tołstoja trafiła go prosto w nerw łokciowy, aż przeszył go prąd. Zaczął ją kartkować, czekając, aż mu przejdzie odrętwienie ręki. Czy to w szkole ją kiedyś czytali? Odłożył książkę i odrzucił parę pustych pudeł zajmujących połowę kontenera.

Wtedy go spostrzegł. Gryf. Sterczał w samym rogu. Rycerz wciągnął głęboko powietrze, poczuł smak kurzu i smród szczyń. Zrobił kilka kroków w tamtą stronę, odsunął jakiś materac, chwycił gryf i wyciągnął, ujrzał korpus, nieuszkodzony, krągłe wygięcia, talia z drewna. Pogładził jej zaokrąglenia. Kiedy ostatni raz miał gitarę?

Brakowało trzech strun. Popularny model, nie umywał się do Strata, którego miał kiedyś. Ostrożnie pokręcił kluczem struny B. Jasne, cholera, że da się zagrać

Streets of London tylko na trzech strunach, przecież wszystkie tony tam jednak są.

Rycerz opuścił śmietnik i ruszył dalej w stronę Parku Rycerskiego. Nie miał zamiaru więcej łązić tego popołudnia. Przysiadł na ławce i tak długo brzdąkał i kręcił stroikami, aż w końcu uznał, że znalazł właściwe tony w tych trzech strunach. I grał, hej, jak śpiewało w pudle rezonansowym! Palce miał sztywne i minęło trochę czasu, zanim wdroszyły się do zmian akordów, ale tekst, który kiedyś zagnieździł się w głowie, wciąż w niej był, wystarczyło znaleźć melodię i właściwą tonację sprzed lat, a chłopaki dokoła już klaskali mniej lub bardziej rytmicznie, któryś próbował śpiewać razem z nim, ale mieszały mu się wersy. *So how can you tell me, you're lo-o-onely...*

Rycerz podniósł wzrok, żeby spotkać spojrzenia swojej publiki i mocniej zaakcentować refren, jednak nie zdołał go z siebie wydobyć. Palce nie odnalazły akordu G7, ręka opadła na kolano. Teraz porządnie mi przeryło beret, pomyślał. Zamrugął, przymrużył oczy i nie mógł uwierzyć w to, co widzi. To pewnie muzyka go zwodzi, wywołała haluna kobiety, która stoi, wpatrując się w niego.

Stała między skrzynkami na kwiaty, w alejce, te same blond włosy, długie włosy, o Boże. Patrzył spod przymrużonych powiek, lecz nie mógł dokładnie zobaczyć twarzy, mimo to wiedział, że to ona. Ing-Marie. Ten szczególny sposób chwytania się za własne włosy, jakby się ich trzymała, i te wąskie dłonie.

Postarzała się, tylko że to się nie zgadzało, to czas zatoczył wokół niego pętlę i wrzucił go w coś, czego nie pojmował. Przeraziło go to. Postać przed nim była zarazem za stara i za młoda, ubrana cała na czarno, jakby to był pogrzeb. Czy przyszła po niego, czas już poddać walkę, czy to śmierć w przebraniu?

Rycerz wstał z ławki. Teraz naprawdę się bał. To był halun najgorszego rodzaju, taki, który nie znika i podchodzi do niego jak widmo. Ciebie nie ma, wymamrotał, odwrócił się od niej i ruszył w stronę placów zabaw, ściskając mocno gitarę, między drzewami, w kierunku Brittavägen, w stronę szpitala, pójdzie tam prosto, niech mu dadzą łóżko, bo takie rzeczy to za wiele jak na niego.

– Zaczekaj, Håkan.

Przystanął i ledwie odważył się obejrzeć. Nikt go tak nie nazywał już od wielu lat.

Ta piosenka. Helene usłyszała ją, kiedy skręciła w stronę parku, najpierw głos. Inaczej może by go nie poznała.

Podstarzały mężczyzna na ławce, pochylony nad zdezelowaną gitarą. Włosy opadające w siwych strąkach, chude nogi w za dużych spodniach.

Przez chwilę stała tam, jakby wrosła w brudny żwir, w rogu rzadkiego parku, który rozciągał się między blokami. Słyszała, jak się wydiera, i widziała, jak inni na ławkach dokoła klaszczą nierytmicznie, któryś z nich wymachiwał butelką, i musiała walczyć ze sobą, żeby nie zawrócić.

Pobiec.

Wsiąść do pociągu i nigdy nie wrócić.

Potem to on ją zobaczył, gapił się na nią jak wariat, widziała w jego oczach szaleństwo, wymachujące ręce, a potem wstał, zrobił w tył zwrot i poszedł, podrażował prosto przez błotnisty trawnik, sadząc wielkimi krokami.

Serce się jej ścisnęło. Ten jego chód. Płacz uwiązał jej w gardle, przełknęła raz i drugi. Tych rzadkich siwych włosów nie rozpoznawała. Kiedy widziała go ostatnio, były ciemne i gęste, i zebrane w koński ogon, na jego twarzy nie było wtedy także zmarszczek, tak bardzo się postarzał i zeszpetniał, z daleka niczym się nie różnił od tych wszystkich wysiadających w parkach, kiedy była mała, ale gdy wstał i zaczął iść, to znów był on. Widziała jego plecy, jego kroki.

Wielkie kroki, jak zawsze trochę pochylony, rozbujany.

Helene nie wiedziała, jakim cudem znalazła w sobie dość siły i woli, żeby zawołać jego imię.

Czemu nie pozwoliła mu po prostu zniknąć.

Potem musiała zmusić się, by podejść bliżej. Za późno już na coś innego.

– Cześć, Håkan – powiedziała do jego pleców. – Nie poznajesz mnie? To ja, Helene.

– Niesamowite, kurde – odezwał się, kiedy chwilę później siedzieli w knajpie wybranej przez niego. Na stole stała pizza, którą ledwie dziobnął, i kufel piwa, który już prawie opróżnił. – Jesteś taka podobna do mamy, jakbym zobaczył ducha.

Najwyraźniej nie umiał usiedzieć spokojnie – albo wybijał rytm stopą

o podłogę, albo jeździł ręką po stole. Helene miała nadzieję, że nikt nie usiądzie tak blisko, żeby poczuć ten smród. Na szczęście lokal był pusty.

– Masz jakiś adres? – zapytała. – Żebym ci mogła wysłać zaproszenie na pogrzeb. Nie wiem jeszcze gdzie ani kiedy...

Pokroił pizzę na małe kawałki. Gdy podniósł widelec do ust, spadła z niego pieczarka. Helene spostrzegła, że trzęsą mu się ręce. Nie skomentował jeszcze ani słowem tego, co mu powiedziała. Nie była pewna, czy zrozumiał.

– Były pewne trudności na tym froncie – powiedział i wskazał widelcem przez okno, w stronę wysokich bloków nieco dalej, po drugiej stronie olbrzymiego parkingu. – Jakiś czas temu miałem chatę na Sångvägen, ale... – Wstał z miejsca. – Przepraszam cię na chwilę.

Poszedł w kierunku toalety. Helene upiła łyk kawy, lurowatej i gorzkiej, filtrowanej, która prawdopodobnie stała i przypalała się na płytce jeszcze od obiadu. Teraz już dochodziła osiemnasta. Znowu musiała nałgać w pracy, żeby móc urwać się wcześniej: że musi jechać do Beckombergi i posprawdzać parę rzeczy. Opiekunka do dzieci, przychodząca trzy razy w tygodniu, miała odebrać je ze szkoły i dać im jeść. Nie należało do rzadkości, że Helene wracała później.

Przedtem krążyła prawie przez godzinę po centrum Jakobsberga, zanim doszła do wniosku, że to na nic. Miała gdzieś w sobie rodzaj mapy, wyczucie, gdzie powinna pójść. Wzgórek leżący przed pewną kafejką, nazywała się chyba Gillesgården? Stała tam kiedyś dzwonniczka, otoczona ławkami. Było to jedno z miejsc, których się unikało, będąc dzieckiem, bo tam zbierały się ćpuny i menele, można było znaleźć i sprzedać puszki po piwie, lecz gdy Helene tam doszła, nie znalazła ani dzwonniczki, ani ćpunów i meneli. Kafejka Gillesgården, która mieściła się w pobliżu Hennes & Mauritz, też już nie istniała. Pamiętała, że kiedyś były tam z tatą i grały z Charlie na flipperach. Gęsto od dymu i kufle piwa na stole.

Spróbowała wcześniej wygooglować Håkana Erikssona z Jakobsberga, ale ci, których znalazła, mieszkali w willach i można było skreślić ich z listy. Barbro zdawała się pewna, że on żyje, ale czy ma chociaż telefon, jakiś adres?

W końcu zebrała się na odwagę i podeszła do policjanta w mundurze.

– Przepraszam, szukam pewnego człowieka, który być może bywa w tej okolicy...

Policjant nie zareagował na nazwisko, ale kiedy wymieniła jego przydomek, twarz mu się rozjaśniła.

– A, Rycerz, trzeba było od razu tak mówić. Ostatnio jakby mniej się pokazuje,

ale czasem przychodzi pogadać i próbuje nas namówić, żebyśmy przekazali jego informacje do najwyższych władz.

– Jakie informacje?

– Że Olof Palme^[13] żyje. – Policjant powiódł wzrokiem za przechodzącą grupką małych dzieci w zsuniętych niskich portkach. Uśmiechnął się i ciągnął dalej: – A tak. Otóż według naszego Rycerza cała ta strzelanina, która zmieniła Szwecję, to tylko sprytnie zainscenizowane przedstawienie. Palmego trzeba było ukryć, chodziło o to, że posiadał jakieś drażliwe informacje o szpiegowaniu i przeciw USA, i Sowietaom, pani nie pyta jakie, nie wiem. Więc z pomocą SÄPO^[14] wyrzucili cały ten zamach. To dlatego koło miejsca zabójstwa widziano tylu ludzi z walkietalkami. Palmego wywieźli cichcem ze szpitala, tylnym wyjściem, i do dziś żyje sobie w nieznanym miejscu gdzieś w Szwajcarii. Jak tak policzyć, to powinien chyba mieć około dziewięćdziesiątki.

Policjant śmiał się. Helene nie wiedziała, co ma na to powiedzieć.

I nie, dziś go nie widział, ale poradził jej zajrzeć do Parku Rycerskiego. To tam zwykle siedzieli, zwłaszcza teraz, kiedy słońce wreszcie raczyło się pokazać.

Nie wiedziała, jak zareaguje, kiedy zobaczy swego ojca.

Na nieprzyjemne rzeczy była przygotowana, na gniew na niego też, nie na to jednak, że poczuje coś podobnego do radości.

Nim opuścili park, odwrócił się i zawołał w stronę kumpli:

– Wiecie, kto to jest? Moja córka! Przyszła odwiedzić swojego starego.

I ruszył obok niej swoimi wielkimi krokami, ściskając w dłoni gitarę. Jedną ze strun wisiła luzem i dyndała. Helene chciała odejść stamtąd jak najszybciej, od spojrzeń wszystkich tych, którzy wiedzieli teraz, kim ona jest. Zaproponowała kawę i kanapkę, może w Sans Rival, jedynej kawiarni, która, jak wiedziała, wciąż jeszcze tu jest. Kojarzyła jej się ze smakiem tortu waniliowego z marcepanem.

– Nie, kurde, jakieś piwo raczej wypijemy. Za spotkanie.

Usłyszała trzask drzwi do toalety w drugim końcu małego lokalu, czuła, jak zbliża się jego wysoka postać, jego cień na stole. I znów ten smród ubrania, mogła rozróżnić urynek i pot, piwo i dym z ogniska. Hurgot, gdy znowu zasiadł przed swoją nadgryzioną pizzą.

– Widziałem ją – powiedział.

– Kogo? Charlie?

Zakręcił lekko opróżnionym kuflem.

– Jak wyszła z knajpy, kurde, to musiała być ta sama noc, bo ja potem poszedłem na ognisko...

Helene pochwyciła wzrok właściciela i wskazała na pusty kufel. Jeszcze jedno, jakie to teraz mogło mieć znaczenie?

– Ładnie wyglądała... Tylko że w tej sytuacji pewnie nie chciała przyznać się do swojego starego. – Rycerz odgarnął trochę włosów z twarzy, wzrok utopił w dali. Obejrzał się, żeby zobaczyć, czy piwo jest już w drodze.

– Ale to nie mogła być ona – powiedziała Helene. – Jeżeli to był ten sam wieczór, kiedy poszedłeś na Walpurgię. Ona zmarła dzień wcześniej, w sobotę w nocy. – Umilkła i spojrzała za okno. Czy w ogóle ma sens tłumaczyć mu różnicę między sobotą a niedzielą? Człowiekowi, który twierdzi, że Olof Palme ma się dobrze? Ile razy będzie musiała powtarzać mu te słowa: Charlie nie żyje. Aż zupełnie tracą sens? Parking za oknem był na wpół opustoszały, na jego końcu stał niski szary budynek, gdzie kiedyś mieściły się świetlica i przychodnia dentystyczna; nagłe ukłucie, które skojarzyła z borowaniem, dentystką, która za nic miała jej protesty, Wandą Fleur. Dwadzieścia lat potraowało, zanim pozbyła się strachu przed dentystą.

– Właśnie mówię – rzucił Rycerz i chwycił kufel, nim właściciel zdążył postawić go na stole; upił łyk i oblizał pianę z ust. – Chciałem tylko znaleźć coś do picia i było tak cholernie zimno... Pomyślałem, że trochę się rozgrzeję, a potem chyba się kimnąłem albo coś. – Rąbnął dłonią w stół. – Cholera, że też ona... Tamten kolo to nie był miły facet. Wierz mi, ja widzę takie rzeczy.

Jego wzrok biegał między oknem i czerwonymi tapetami a kuflem piwa.

– To był ktoś inny, Håkan, albo pomyliłeś dni. W noc Walpurgii Charlie już nie żyła. Zmarła o czwartej trzynaście nad ranem, z soboty na niedzielę.

– A potem, jak się obudziłem, to zrobił się normalnie pożar. – Wymachiwał rękami. – Jakby się człowiek znalazł w piekle, tak wszystko dokoła mnie trzaskało i jarało się, cholera, aż musiałem stamtąd się wytoczyć.

Helene gapiła się na czarną plamę na rękawie jego kurtki. Pośrodku plamy była dziura. Wypalona.

Stos na Walpurgię, pomyślała. To o tym Barbro mówiła wczoraj wieczorem. Ktoś spalił cały stos przed czasem i dzieciaki z Jakobsberga zastały tam tylko kupę popiołu.

– Mówisz o ogniu na Kvarnbacken? To ty im spaliłeś ten stos?

– Niechący, nie wiedziałem, że to się tak rozjara.

– Z jakiej knajpy?

– Co?

– Gdzie ją widziałeś, co to była za knajpa, i jesteś pewien, że to było tej samej nocy?

– Rycerz Jakob.

Podniósł kufel i wypił parę głębokich łyków, zanim ciągnął dalej:

– Więcej ich wtedy wyszło, znaczy, że chyba już zamykali. O której teraz knajpy zamykają? Kurde, nie wiem.

Piwo znów się skończyło, a on zapadł się w sobie, jakby uszło z niego powietrze i siła.

– Pamiętasz, ona miała takie kucyki, mysie ogonki na głowie...

– O czym ty mówisz? Jak wychodziła z Rycerza Jakoba?

Helene pamiętała ten lokal, nocny klub nad tunelem kolejki. Naprawdę jeszcze działa?

– Nie, kurde, jak była mała. Teraz to miała takie potargane... – Pociągnął lekko za kosmyk własnych włosów i spojrzał jej prosto w oczy, po raz pierwszy spokojnie. Jeszcze miał w oczach ten jasnoniebieski płomyk, jakby coś dziecięcego w jego starej i zniszczonej twarzy.

– W co była ubrana? – spytała Helene.

Rycerz wykrzywił się, otworzył i zamknął usta, jakby próbował je rozruszać.

– W skórzaną kurtkę, chyba czarną, było ciemno, chociaż akurat tam oświetlone, a potem poszli, w stronę Sokoła, i pomyślałem, że to może jednak ktoś inny, bo...

Znowu grymas, odwrócił głowę.

– Bo co?

– Nie chciała ze mną gadać. Ja powiedziałem cześć i coś tam, ale ona...

Drzwi otworzyły się i do środka weszło trzech chłopaków, z ich słuchawek dobiegało słabe dudnienie w różnych rytmach. Właściciel postawił na barze kilka zapakowanych już kartonów z pizzą. Helene pomyślała o skórzanej kurtce w mieszkaniu Charlie, była czarna, ale to przecież nic nadzwyczajnego. Jeżeli Charlie rzeczywiście wyszła z knajpy z jakimś poderwanym gościem, to czy przystanąłaby, żeby przedstawić go ojcu? W życiu. Właśnie ten szczegół sprawił, że Helene na moment mu uwierzyła. Charlie na polowaniu, taka pewna swojej atrakcyjności, wszystkie światła na mnie. Ale czy idzie się do nocnego klubu po to,

by dwie godziny później postanowić umrzeć? Czy w ogóle da się ją pojąć normalną logiką? Był taki czas, gdy Charlie uważała, że tak naprawdę to Rycerz zamordował Ing-Marie w jakimś dramacie zazdrości. Wprawdzie nie byli już ze sobą, gdy zniknęła, ale może odbiło mu, kiedy spotkała kogoś innego?

Uderzyła ją inna myśl. Przypomniała sobie obraz mężczyzny, który stoi, przestępując z nogi na nogę, w przedpokoju mieszkania na Aspnäsvägen.

– Jak on wyglądał, ten człowiek, o którym mówisz?

Rycerz przecesał dłonią włosy, na ramiona spadła mu chmura łupieżu i parę okruchów suchych liści.

– Łysy był, całkiem wygolona czaszka, niewysoki gostek. – Przyłożył rękę do brody, żeby pokazać, dokąd facet mu sięgał. – Gapił się na mnie tak kurewsko krzywo, po co jej taki kolo?

Sąsiad Charlie był wysoki i miał włosy. Pytania wydały jej się bezsensowne. Chłopaki przeszły obok nich ze swymi kartonami pizzy, nie zaszczycili dziwnej pary nawet spojrzeniem.

Helene wstała i przywołała gestem właściciela, pora na rachunek.

– Jeżeli jesteś tego pewien, to musisz opowiedzieć to policji – poradziła.

Rycerz miał w oczach coś proszącego.

– Nie masz czasem na zbyciu paru dwudziestek?

Helene trzymała portfel w ręce, nie dało się ukryć. Wyjęła setkę i rozejrzała się dokoła, nim położyła ją na stole. Ktoś, kto ją widział, pomyślałby może, że zostawia napiwek.

– Dam znać – powiedziała. – Jak... kiedy będzie pogrzeb.

Uffe poczuł powiew na karku, gdy Ebba Grön zanurkowała z półki nad wieszakiem. Nimfa nie lubiła obcych i to ich akurat łączyło.

Za drzwiami stało dwoje policjantów.

– Ulf Rainer? Możemy wejść do środka?

Kobieta przedstawiła się jako komisarz Sofie Thompson, a mężczyzna miał jakieś polskie nazwisko, którego nie dało się powtórzyć.

– Proszę – powiedział Uffe, cofając się o krok. Kiedy weszli, wypełnili sobą cały przedpokój. Precisnął się obok nich i szybko zamknął drzwi, żeby ptaki nie powylaływały. – O co chcecie zapytać?

– Czy jest pan właścicielem telefonu komórkowego o tym numerze... – spytała kobieta i zerkając na własną komórkę, przeczytała mu numer zaczynający się od cyfr 073, który od razu rozpoznał. Znał go aż za dobrze.

– Tak... chociaż właściwie nie.

Co miał powiedzieć? Czy jest jego właścicielem w sensie prawnym? Czy to ma jakieś znaczenie dla tych dwojga, jako reprezentantów władzy? Nie powinni odnieść wrażenia, że ich obecność przejmuje go lękiem. Odwrócił się więc do nich plecami i jako pierwszy wszedł do kuchni. Spozrzegł, że Ziggy siedzi na martwym drzewie, przymocowanym sznurem w rogu pokoju; miał nadzieję, że żako będzie zachowywać się spokojnie. Zdarzało się, że atakował gości, nigdy Uffego, tylko takich, którzy go irytowali. Któregoś razu dziobnął Charlie. To był jedyny raz, kiedy uderzył ptaka, tego bystrego, chłonnego kretyna. „Przestań, bałwanie”, powtarzał potem żako tygodniami i wtedy Uffe za każdym razem czuł w sercu ukłucie na wspomnienie Charlie w tamtym momencie, na jego sofie, w rozpiętej koszuli. Jego koszuli.

– Może czymś poczęstować, chyba nie mam kawy... herbaty?

Stanęli w drzwiach do kuchni, rozejrzeli się.

– Wiemy, że Camilla Eriksson dzwoniła z tego numeru, który jest zarejestrowany na pana – powiedziała kobieta, ta Thompson. Włosy krótko obcięte, piersi wyraźne pod mundurem. – Co pana z nią łączyło?

– Byliśmy sąsiadami. – Spodziewał się, że to nastąpi. Czekąco na to każde włókno jego ciała. Nocami leżał spięty, nie mogąc zasnąć, budził się z bólem stawów i zeszywniałym karkiem. Weź się w garść, pomyślał i odchrząknął. –

Chyba się trochę przyjaźniliśmy, można powiedzieć. Powinienem być może o tym wspomnieć, jak zapukali tamci policjanci, ale to było w środku nocy, leżałem i spałem. Byłem w szoku.

Ta straszna noc. Słyszał przez wrzutnik na listy, jak dowódca kazał kolegom przejść się po wszystkich sąsiednich mieszkaniach. Na ich piętrze, piętro niżej, w tym i w sąsiednich pionach. Jeden z policjantów został wysłany do bloku naprzeciwko, żeby przesłuchać lokatorów, którzy mogli z drugiej strony dziedzińca widzieć, co się działo. Uffe zdążył ściągnąć z siebie ubranie i kiedy przyszli pod jego drzwi, otworzył im w samych slipach, rozczochrany. Co im powiedział poza tym, że spał? Już nie pamiętał, jak wtedy myślał i co z czego wynikało, a teraz stał tu uwikłany w kłamstwa i musiał sobie je przypomnieć, słowo w słowo.

– Jej telefon był już przestarzały, a zobaczyła ofertę z darmowym iPhone’em, tyle że ona była notowana w rejestrze długów... – Wstydział się, że zdradza jej marną sytuację finansową. To żadna zbrodnia, mieć trochę kłopotów. – Pomogłem jej tylko, zawarłem umowę, a ona dostała komórkę, sama za wszystko płaciła...

– Pomagał jej pan jeszcze w jakiś sposób? – Wysoki policjant miał łagodne wejrzenie, co przstraszyło Uffego jeszcze bardziej, z brutalnością miał już do czynienia, ale policjant patrzący na niego życzliwie, to było nie do wytrzymania. Osunął się na krzesło. Czy kochać to zbrodnia? Chcieć dla drugiego człowieka zrobić wszystko?

– Co pan ma na myśli? – spytał.

– Flunitrazepam. Miała go w mieszkaniu dosyć dużo, więc zastanawiamy się, jak go zdobyła. – Mężczyzna sięgnął po swoją komórkę, przewinął coś na wyświetlaczu. – Ulf Rainer – przeczytał. – Skazany za drobne przestępstwo narkotykowe.

– To dziewiętnaście lat temu – powiedział Uffe cichym głosem. – Jestem czysty. Mam pracę.

– Mieliście ze sobą romans?

Pokręcił szybko głową, wbił spojrzenie w stół. Szumiało mu w czaszce, twarz wydawała się prawie zmartwiała. Czy siostra Charlie powiedziała im, że wczoraj wszedł do mieszkania? Wyglądała na taką, co dzwoni na policję i wtyka nos w cudze sprawy.

– Charlie dała mi klucz do siebie – oznajmił – na wypadek gdyby trzeba było podlać kwiaty czy coś. Oddałem go jej siostrze.

Uffe zmusił się i podniósł wzrok. Wyluzowali trochę teraz, kiedy powiedział

coś, o co jeszcze nie pytali? Kiedy pokazał im, że ma kontakt z siostrą zmarłej?

– Był tutaj ktoś, kto mógłby zaświadczyć, że pan tamtej nocy spał?

– Wie pan, gdzie teraz jest jej komórka?

– Czy wspominała coś o samobójstwie?

Pytania, pytania. Mamrotał „nie” w opowiedzi na jedno po drugim.

– Zamknij się – wrzasnął Ziggy Stardust z pokoju.

Wysoki gliniarz zajrzał tam natychmiast, rozglądając się w lewo i w prawo. Odwrócił się do koleżanki i rzucił z uśmiechem:

– Papuga.

Uffe także spróbował się uśmiechnąć, ale poczuł, że niezbyt mu to wyszło. Naprawdę nie miał pojęcia, co Charlie zrobiła z komórką. Trochę go to irytowało. W końcu to on ją jej załatwił, a poza tym parę razy opłacił jej rachunki, bo w przeciwnym razie to przecież jego ścigałby komornik.

– Myślicie... – powiedział w końcu i wciągnął głęboko powietrze – myślicie, że ktoś ją mógł zabić?

Kobieta położyła wizytówkę na kuchennym stole.

– Odezwiemy się, jak będziemy mieli coś jeszcze.

Gdy szli do drzwi, pomyślał, że powinien wspomnieć im o gościu, którego widział tamtej nocy, ale już wychodzili, a i tak na wszystko było za późno. Nie mógł powiedzieć nic, nie obnażając jakiegoś kłamstwa, albo paru, dlatego został przy stole, dopóki nie usłyszał, że drzwi się zatrzasnęły.

Czy ci gliniarze mają w ogóle pojęcie o miłości? Wątpił, czy któreś z nich kochało tak jak on.

Wdarli się do jego domu. Teraz, gdy poszli, popatrzył na swój świat ich oczami, na wszystkie te gniazda, które chciał zbudować swoim ptakom, na gałęzie i gałązki, i wszystko, co przypominało o przyrodzie, zapach ptasich odchodów. Cisza w mieszkaniu, kiedy ptaki robiły przerwę w swojej wiecznej paplaninie.

Zagwizdał i wyciągnął rękę. Ebba Grön nadleciała i przysiadła na jego kciuku.

– Zaufaj mi – powiedział ptak i skubnął lekko rękaw jego swetra.

Uffe pogłaskał go palcem po szyi. Byli tacy, którzy twierdzili, że nimfy nie da się nauczyć mówić, ale on wiedział, że także w tym przypadku chodzi o miłość, o cierpliwość. *Omnia vincit amor*. Miłość przewycięza wszystko. Miał cierpliwość do Charlie, do końca czekał, aż go pokocha, a teraz było już za późno. Najście

policji zmniejszyło jego rewir, nie czuł się u siebie w domu. Wstał i niechcący machnął ręką tak, że nimfa spadła i rypnęła o podłogę. Ptak leżał i gapił się przez sekundę, następnie zatrzepotał i stanął na nogi. Pewnie przez moment zapomniał, że potrafi latać.

Głupi ptaszek skurwysyn.

To był naprawdę niewłaściwy moment na odbieranie telefonu, ale „numer zastrzeżony” mógł przecież oznaczać, że dzwonią ze szkoły, że któreś dziecko spadło z drabinek albo coś gorszego.

– Aurek Krawczyk, Komenda Rejonowa Północ.

– Chwileczkę – powiedziała Helene.

Prawie obok stał jej szef, Peo Ahlsén, i rozmawiał przez komórkę, a nieco dalej widziała kilku ludzi z firmy budowlanej, którzy przystanęli przy dużych ekranach, *zieleń i światło... idylla pozostanie idyllą...*

– Akurat teraz nie bardzo mogę rozmawiać.

Znajdowali się w dawnej auli Beckombergi, perle architektury lat trzydziestych, gdzie właśnie zakończyła swoją prezentację.

– Mogę zadzwonić później, chyba że pani woli zadzwonić do mnie – zaproponował Aurek Krawczyk.

– Proszę tylko powiedzieć, o co chodzi – rzuciła Helene, odchodząc na bok, ku stosom krzeseł w rogu.

Jego głos brzmiał neutralnie.

– Wczoraj po południu dostaliśmy raport z obdukcji. Pomyślałem, że poinformuję panią...

– Okej.

Wstrzymała oddech.

– Camilla Eriksson miała we krwi alkohol, kiedy zmarła, oraz niewielką ilość flunitrazepamu. Wykryto także ślady kokainy. Obrażenia ciała potwierdzają tylko to, co już wiemy: że spadła i jak wylądowała.

Krawczyk zamilkł na kilka sekund, Helene zrozumiała, że będzie coś więcej. Coś gorszego, pomyślała, co jest gorszego niż kokaina i niż śmierć?

Chwyciła za oparcie jednego z krzeseł, żeby się czegoś trzymać.

– Nic nie wskazuje na morderstwo – powiedział. – Formalności potrważą jeszcze chwilę, ale sprawa zostanie zamknięta. Jako samobójstwo.

– Morderstwo? – Poczwała, jak jej cierpnie skóra. – Skąd pomyśl, że to mogło być morderstwo? Podejrzewacie, że została zamordowana?

– Jak powiedziałem, nie znaleźliśmy niczego, co by na to wskazywało. Dochodzenie jest umorzone.

– Ale...

Helene usłyszała kroki za plecami. To Peo. Pochylił się, sięgając po marynarkę leżącą na jednym z krzeseł. Uśmiechnął się i ścisnął ją lekko za ramię, pokazał kciuk do góry.

– Dobra robota – szepnął, wyjął z kieszeni paczkę snusu i znów zniknął.

– Halo? Jest tam pani? – zapytał policjant.

Helene zniżyła głos jeszcze bardziej.

– Ale ja nie rozumiem... Myślałam, że to jasne, że skoczyła.

– To może być mylące. – Głos miał spokojny i cierpliwy, jakby mówił do kogoś, kto ma problemy z rozumieniem. – Nie było nic, co wskazywałoby, że chodzi tu o coś innego niż samobójstwo, jedynie pewne niejasności, ta komórka, która zniknęła, ten bałagan... Więc żeby się upewnić i żeby móc ściągnąć techników, dowódca operacyjny tamtej nocy był zmuszony wszcząć dochodzenie w sprawie morderstwa. To tylko tak się nazywa, formalna czynność, która może być opacznie zrozumiana...

Helene spróbowała przysiąść na górnym krześle, cały stos się zachwiał. Zamordowana? Dlaczego tak myślała, skoro on właśnie temu zaprzeczył? Uczucie, jakby wszystko wymykało jej się z rąk. Policja zamyka sprawę Charlie i pies z kulawą nogą więcej o nią nie zapyta. Bo niby kim tu się przejmować? Pijaczką łykającą fluntra... czy jak to się nazywa.

– Zdobyliśmy zresztą numer jej komórki, od przyjaciółki pani siostry. Okazało się, że abonament jest na kogoś innego.

– Na kogo?

– Na jednego z sąsiadów, rozmawialiśmy z nim.

– Nazywa się Ulf Rainer?

Krawczyk nie odpowiedział.

– Spotkałam go – powiedziała Helene. – Parę dni temu wszedł do jej mieszkania, wydaje mi się, że on kłamie.

– Możliwe, ale właściwie to nie ma nic wspólnego ze sprawą. Dostaliśmy billingi, to było ważne.

Helene przetarła sobie jedno oko; były w nim łzy, które chciała powstrzymać, palec zrobił się czarny od tuszu do rzęs, pochyliła się więc i jedną ręką zaczęła

grzebać w torebce, szukając lusterka. Nie potrafiła go sobie otworzyć bez pomocy drugiej ręki. Znalazła za to chusteczkę higieniczną i wytarła się pod okiem.

– Ostatnia osoba, do której dzwoniła – powiedziała i zmięła chusteczkę w dłoni.
– Kto to był? Chyba tego chcieliście się dowiedzieć?

– Według billingu po siedemnastej dnia dwudziestego dziewiątego nie dzwoniła do nikogo.

Sekunda ciszy.

– Jedno połączenie z telefonem firmowym. Właściciel, który figuruje na abonamencie, nie pamięta czegoś takiego. Rozmowa trwała krócej niż minutę, to mogła być pomyłka. Tak czy inaczej, to nie zmienia sytuacji.

Helene zamknęła oczy.

– Oni coś mieli ze sobą – powiedziała i usłyszała, że głos ją zawodzi, prawie szeptała – ten sąsiad i moja siostra. I ktoś ją widział, jak wracała z nocnego klubu, zaledwie parę godzin wcześniej...

Powinna była zadzwonić na policję parę dni wcześniej. Opowiedzieć, co usłyszała od Rycerza, i wysłać ich do Jakobsberga, żeby go odnaleźli w jakimś parku i przeprowadzili jego formalne przesłuchanie, pokazali mu zdjęcia z rejestru przestępców, sporządzili portret pamięciowy... ale nie zadzwoniła. To była taka nieskładna opowieść człowieka, który włóczył się po nocy, szukając czegoś do picia, który za wcześniej podpalił stos przygotowany na Walpurgię i któremu przeszłość mieszała się z teraźniejszością.

A więc wmówiła sobie, że to nie ma sensu, jednak gniotło ją w żołądku, bo wiedziała, że to niecała prawda. To był ledwie ułamek, ledwie znak przestankowy powodu, dla którego nie przekazała tej informacji dalej.

Nie było bowiem sposobu, aby to zrobić, nie zdradzając, że tamten człowiek, z którym macie porozmawiać, śmierdzący szczynami i spalenizną, to mój ojciec.

Krawczyk odchrząknął po drugiej stronie.

– Z kim ona się bzykała, to na dobrą sprawę nie takie istotne. Nie mamy żadnych śladów walki ani że ktoś znajdował się w mieszkaniu akurat w tym czasie. I nawet jeśli któryś z tych mężczyzn, z którymi się być może zadawała, obraca się w kręgach przestępczych, to niczego nie dowodzi, tylko potwierdza raczej obraz...

– Jaki obraz? O jakim obrazie pan mówi?

Nie wiedzieć czemu, Helene spojrzała na zegarek, zapamiętała dokładny czas.

Piątek, piątego maja, godzina piętnasta zero dwie.

Głos w jej uchu mówił o lekach i depresjach, rozchwianiu psychicznym i dragach i zrozumiała, że to właśnie jest ten obraz.

Powtarzane próby samobójcze także do niego należały.

Czy to ona o tym opowiedziała? Już nie pamiętała.

Wprawdzie obdukcja wykazała, że kobieta odbyła stosunek płciowy, możliwe, że tuż przed śmiercią, ale ponieważ nie istniało podejrzenie o morderstwo, była to, jak w przypadku większości obywateli, wyłącznie jej prywatna sprawa, z kim, jak i kiedy uprawiała seks.

– Jest tam pani? – zapytał.

– Tak – powiedziała Helene. – Rozumiem.

Dobiegł ją cichy gwar z szatni. Czy było już za późno, żeby wyjść i wymienić uścisk dłoni z tym i owym na znak jednomyślności co do kształtu projektu?

– Za to zyskały na tym inne śledztwa – powiedział Aurek Krawczyk w jej uchu, daleko. – Dlatego to się nam per saldo opłaciło.

– Słucham?

Próbowała zrozumieć, co powiedział.

– Dzięki numerom serii na opakowaniach wiemy, że ten flunitrazepam pochodzi z napadu na jedną z aptek w Jakobsbergu jakiś czas temu. Pani siostra mogła w to być zamieszana, albo kupiła go od kogoś, kto był.

Helene nie miała nic więcej do powiedzenia.

Krawczyk ciągnął dalej.

– Poza tym okazało się, że właściciel mieszkania, czy raczej opiekun prawny właścicielki, wynajął je osobie, która żyje z tego, że wynajmuje takie mieszkania podnajemcom, zarabiając w ten sposób na czarno. Mamy już kilka skarg na tę osobę.

– Aha.

Czegokolwiek by Charlie się tknęła, wcześniej czy później robił się z tego jakiś brud, coś podejrzanego, rodem z szarej strefy.

– I co mam teraz zrobić? – zapytała.

– Proszę się skontaktować z jakąś firmą pogrzebową, oni pomogą pani wszystko pozłatwiać, także formalności z Zakładem Medycyny Sądowej.

Powiedział do widzenia i może dodał jeszcze coś życzliwego, jakieś wyrazy

współczucia. Helene przerzuciła płaszcz przez ramię i ruszyła wolno w stronę drzwi. Jedno słowo, którego uczepiła się i które jakby trzymała za rękę, wychodząc: formalności. Brzmiało tak bezdyskusyjnie i czysto, tak niedwuznacznie. Było coś pocieszającego w tym, że śmierć ma także fazę biurokratyczną.

Pomyślała: powinnam czuć teraz ulgę.

Sprawa wyjaśniona, zamknięta.

Gdy wyszła z szatni, grupka ciemnych garniturów jeszcze stała, twarze zwróciły się w jej stronę.

– I o to chodzi – powiedział ktoś, wskazując ruchem głowy ekran, na którym młoda mama z wózkiem przechadzała się alejką pod jarzębami. – No, to teraz tylko trzymamy kciuki za sprzedaż.

BUENOS AIRES 1977

Przy bramie do pensjonatu stało drzewo jacarandy. Nigdy nie widziała czegoś tak pięknego, korona kwitła na fiołkowo, a pień kreślił faliste linie na tle nieba.

A więc tam mieli mieszkać.

Ramón przekręcił klucz, otworzył drzwi i puścił ją przodem. To był zniszczony dom, w posadzce obluzowały się kamienie. Ing-Marie słyszała skądś śpiew, śpiewało jakieś dziecko. Na dziedzińcu ktoś palił ogień, poczuła zapach grillowanego mięsa. Poręcz przy schodach chwiała się paskudnie, jakby miała się złamać. Chwyła go za rękę.

To Ramón załatwił ten pokój, *pensión*, gdzie można było przemieszkać miesiąc za grosze. Odebrał klucze od administratora, podczas gdy ona czekała w kafejce po drugiej stronie ulicy. Zajęło mu to ponad trzy godziny, a ona zdążyła wtedy pomyśleć o sprawach, o których najchętniej by zapomniała: *Co ja tu robię? Złapali go. Ktoś go rozpoznał na lotnisku i teraz go porwali, co ja zrobię, jak wrócę do domu?*

Pokój znajdował się na czwartym piętrze. Korytarz, brązowe drzwi, w szeregu kilku takich samych. Gdy Ramón je otworzył, Ing-Marie wydało się, że czuje zapach pleśni.

Była tam umywalka, a nad nią małe pęknięte lustro. Szafa z fornirowanej sklejki, stolik z dwoma krzesłami i pojedyncze łóżko zasłane bordową narzutą z jakiegoś rozlazłego materiału. Rozejrzała się, czy to naprawdę jest dwanaście metrów kwadratowych?

– Jesteś pewien, że dali nam właściwy klucz?

– Tak... kobieta powiedziała numer dziewięć. – Ramón zamknął za nimi drzwi i zdawał się nie zauważać ciasnoty i nędzy, ani łóżka, o wiele za wąskiego dla dwóch osób. – Mieliśmy szczęście, że jest wolny, ktoś się podobno wczoraj wyprowadził.

Odsunął beżową zasłonę, otworzył okna i lufciki. Na dworze było prawie dwadzieścia pięć stopni, a w środku jeszcze cieplej, powietrze stało nieruchome. Ing-Marie miała wrażenie, że wciąż wdycha to samo powietrze, które przed chwilą miała w płucach.

– Może wstawimy tu jakieś inne łóżko – powiedziała i spróbowała usiąść na tym, które było. Jęknęły sprężyny.

– Nie, to raczej nie jest dobry pomysł, lepiej nie zwracać na siebie uwagi. Pokoik jest skromny, to prawda, ale myślałem, że tak chciałaś.

– Bo i chcę.

Zamknęła oczy i spróbowała na powrót znaleźć w sobie samej drogę do powagi i nadrzędnego sensu. To nie byli tylko Ramón i Ing-Marie, tu chodziło o coś o wiele większego. O ciepło, którego nigdy wcześniej w swoim życiu nie zaznała, wspólne myślenie z innymi, o wspólnotę dążenia, o to, że wszystko jest możliwe.

Ing-Marie otworzyła znowu oczy, uśmiechnęła się do Ramona.

Podjął straszliwe ryzyko powrotu. Nic z tego, co ona robiła, nie mogło się z tym równać.

– Tu będzie bardzo dobrze.

Podeszła i wychyliła się przez okno. Wychodziło na ciemne podwórko, wysoki dom z lat pięćdziesiątych zasłaniał słońce. Miała nadzieję, że zobaczy tamto drzewo jacarandy, może z takiego balkoniku z floresowatą żelazną balustradą, jakie widziała od ulicy. Odwróciła się. Ramón wyglądał tak inaczej. Teraz się golił i nosił koszulę zapiętą pod szyją. W Jakobsbergu mógł sobie pozwolić na chodzenie z parodniowym zarostem, ale tutaj nie mógł wyglądać jak *guerillero*, zaraz by go aresztowali.

– Wystarczy nam – powiedziała i wyciągnęła rękę. – Będzie świetnie.

– Tylko że ja nie będę tutaj mieszkać. – Przeczesał dłonią włosy, tak jak zwykle, gdy miał wyjaśnić coś skomplikowanego.

Natychmiast zniknął cały urok, który pomimo wszystko próbowała dostrzec w tym brzydkim pokoju, uznając go za ich tajemne gniazdko i kryjówkę.

– Chyba rozumiesz sama? – dodał. – Nie możemy pokazywać się razem, nie tutaj, w żadnych kawiarniach ani restauracjach, nigdzie tam, gdzie ktoś mógłby mnie rozpoznać.

– To gdzie będziesz mieszkać?

– Bezpieczniej, żebyś nie wiedziała.

Objął ją od tyłu, dmuchnął lekko w ucho.

– Wybacz mi – powiedziała Ing-Marie – to wszystko jest dla mnie jeszcze takie nowe. – Gapiła się na tapetę, brunatne pasy. Wilgotna plama rosnąca przed jej oczami. Wcześniej wyobrażała sobie intensywne kolektywne życie, spotkania

i dyskusje w zakopconych papierosowym dymem tajnych lokalach, gdzie mężczyźni wyglądali mniej więcej jak Che i gdzie wysłuchiowano jej opinii.

– Łazienka jest w korytarzu – wyjaśnił Ramón – a kuchnia na dole. Unikaj wszelkich kontaktów z sąsiadami, ale jak ktoś zapyta, to pamiętaj, kim jesteś.

– Jestem Claudia – powiedziała. – Claudia Viehhauser z Niemiec, szukam tu swoich argentyńskich krewnych i chcę przy okazji nauczyć się języka.

Nie miała pojęcia, czy kobieta, za którą się podawała, istnieje naprawdę, czy też została wymyślona w tej samej chwili, kiedy ktoś wyprodukował jej fałszywy paszport i inne dokumenty tożsamości. Takich pytań się nie zadawało. Brało się paszport i przy kontroli paszportowej pokazywało się swój uśmiech i swoją szwedzką blond niewinność. Szli w odległości co najmniej dziesięciu metrów od siebie. Nikt ich nie zatrzymał.

Ramón gładził jej włosy na karku, bawił się nimi. W jego pocałunku była niecierpliwość, jakby nie mógł zostać z nią zbyt długo. Dobrze to rozumiała.

Rzykował życie, żeby pomóc swoim przyjaciółom, w imię tego, co ważne. Kochała go za to tak bardzo.

– Żałujesz? – spytał.

Ing-Marie pokręciła głową. Czego miała żałować?

Dni były do siebie podobne, kiedy została sama.

Zdarzały się poranki, gdy chciała tylko leżeć w tym obrzydliwym łóżku, naciągnąć na głowę te dwa cienkie koce, zatracić się we własnym żalu. Żałować oznaczało zdradzić. Strach znaczył milczące przyzwolenie.

Nie wiedziała, na jak długo wyjeżdża. Nie spodziewała się, że tęsknota może sprawiać ból fizyczny. Musiała powtarzać sobie, że są inni, którzy zajmą się dziećmi. Dziecko jest przecież także dzieckiem wszystkich, a nie prywatną własnością. Matka to nie jedyne, czym jest człowiek.

Jeżeli mogła dokonać czegoś większego, co uratuje ludzkie życie, to czy umiałyby żyć ze świadomością, że z tego zrezygnowała?

Czy jej dzieci któregoś dnia nie pogardziłyby nią za to, tak jak ona gardziłaby sama sobą?

Poza tym nie ma żadnej samotności, gdy zjednoczeni ludzie stanowią jedno ciało, wspólną moc rozciągającą się ponad granicami.

Chodziła do supersamu dwa kwartały dalej, na Avenida San Juan, kupowała chleb, ser i kawę, i to, co umiała przyrządzić. Za każdym razem wracając do

pensjonatu, spodziewała się, że zobaczy przed wejściem zielonego forda falcona. To tymi samochodami tajne wojskowe patrole zabierały ludzi. Widywała je na rogach innych ulic i wydawało jej się, że umiera. Raz widziała blokadę drogową, ustawioną na sąsiedniej ulicy.

To nie przypadkiem Ramón wybrał dla niej właśnie tę dzielnicę. Za ledwie parę ulic dalej znajdował się jeden z uniwersytetów Buenos Aires, *Filosofía y Letras*, gdzie kiedyś guerilla praktycznie spotykała się na salach wykładowych, do czasu gdy kilka lat temu wojsko zrobiło tam czystkę. Niebezpieczne przedmioty, takie jak socjologia i filozofia, rozproszono po mieście, jednak dzielnica San Cristóbal wciąż jeszcze pełna była studenckich kafejek oraz księgarzy, którzy kiedyś specjalizowali się w Marksie i Freudzie i może ciągle jeszcze sprzedawali ich spod lady.

Bywały dni, gdy z nikim nie rozmawiała.

Unikała sąsiadów, jak jej kazał. W korytarzu przed kuchnią był telefon, ale miała z niego nie korzystać. W *pensión* wszyscy słyszeli wszystko. Żyli tam ludzie za biedni na własne mieszkanie; w każdym pokoju jedna rodzina. Ona była tam obca i miała cały pokój dla siebie, to luksus, który, rzecz jasna, kłuł w oczy. Ing-Marie czuła, że patrzą na nią z niechęcią, i chciała móc im powiedzieć, że właśnie o to walczy z narażeniem życia, o zniesienie nierówności społecznych i ucisku. Nikomu jednak nie mogła zaufać i dlatego, gdy spotykała w kuchni jakąś sąsiadkę, udawała, że jest lękliwa. Nawet wychodząc tylko do łazienki, zamykała swoje drzwi na klucz, dwukrotnie go przekręcając. Uśmiechała się do dzieci i wyczuwała ich nieufność.

Kupiła sobie podręczniki do hiszpańskiego, zgodnie z jego instrukcją. Walczyła potem sama z sobą, żeby odważyć się pójść do którejś z tych wszystkich kafejek. Siedziała tam i udawała, że się uczy, mieszały jej się w głowie formy czasowników.

Co kilka dni znajdowała w swojej skrzynce na listy karteczkę. Tak jak teraz; czas i miejsce, gdzie mogli się spotkać, niepodpisana przez nikogo, ale ona oczywiście wiedziała, w zmiętym papierku umiała wyczuć zapach jego palców.

Schowała go w dłoni i wbiegła na górę, przeskakując po dwa schodki. Przekręciła klucz w zamku od środka i opadła na łóżko.

Jego równy charakter pisma. Jedynie parę słów i nic, co by zdradzało, co czuje.

Podana nazwa hotelu. Ulica San Lorenzo przebiegała przez dzielnicę o nazwie San Telmo.

Ing-Marie porwała karteczkę na strzępy, które spuściła w toalecie pensjonatu.

Na mapie nie wyglądało to na dużą odległość: przejdzie na drugą stronę szerokiej alei 9 Lipca, a potem jeszcze siedem przecznic, lecz nie zdawała sobie jeszcze sprawy z rozległości miasta. Poobcierała pięty i pot spływał jej pod pachami, kiedy szła, było co najmniej dwadzieścia osiem stopni. Chodniki zrobiły się węższe, zaleciało biedą. Starzy ludzie siedzący pod ścianami domów wyglądali, jakby skurczyli się w swoich ubraniach, które rosły, pracujący na ulicach mężczyźni z nagimi torsami wołali coś za nią, ciemne arkady prowadziły do sklepików, skąd niósł się smród ryb i podrobów, bohomy i hasła na fasadach. Pomyślała, że to typowe dla Ramona, że chciał zamieszkać właśnie tutaj, wśród ludu, wśród wszystkich tych dźwięków i zapachów, palonego drewna i sadzy, i ścieków, i doznań obcości. Czuła się bledsza i bardziej jasnowłosa niż kiedykolwiek przedtem i szła tak szybko, jak tylko mogła tymi wąskimi chodnikami.

Był to bardzo skromny hotelik. Kobieta, która jej otworzyła, powłóczyła nogą; skinęła głową ku pięterku i z drwiącym uśmiechem powiedziała, że mąż na nią czeka.

Pokój numer trzy.

Ing-Marie zapukała i usłyszała ze środka jego głos. Drzwi nie były zamknięte. Weszła, a on tam leżał wyciągnięty na łóżku z gazetą, którą cisnął na podłogę.

– Cześć, moja piękna – powiedział.

Zrzuciła buty po drodze do łóżka, siedem kroków do niego, a on wyciągnął ręce i wziął ją w ramiona; jego woń, jego oddech w jej ustach, mocno wtuliła twarz w jego włosy, chciała precyzyjnie się przez jego skórę.

– Stęskniłam się za tobą.

– Ale teraz tu jesteś.

– Niepokoiłam się o ciebie.

– Poradzę sobie, znasz mnie, *ey linda*, uśmiechnij się teraz, uśmiechnij się do mnie, moja piękna.

Zanurzył dłonie w jej włosach i odchylił się, żeby jej się przyjrzeć; uwielbiała, kiedy tak robił, czuła się wtedy taka piękna.

Ściągnęła z siebie bluzkę, tę kretyńską paniusiowatą bluzkę, którą kupiła sobie, żeby wyglądać na ulicy jak schludna niemiecka mieszcza. Zmusiła się, żeby go puścić na kilka sekund, tak aby mogła się pieścić sama, wiedziała bowiem, że on lubi patrzeć, jak ona to robi, już wiedzieli o sobie tak dużo. Zaplątali się rękami, kiedy rozpinał jej džinsy, podczas gdy ona musiała ściągnąć z niego koszulkę, a on

się śmiał, tym swoim śmiechem, za który była gotowa oddać wszystko. – Ing-Marie, Ing-Marie, Ing-Marie, gdzieś ty się podziewała przez te wszystkie dni... – Sprawiał, że miała ochotę się rozplakać, bo aż ją to bolało, ten jego śmiech był taki miękki i łagodny, a zarazem krył w sobie pewną szorstkość, coś mrocznego, co już na zawsze będzie jej się kojarzyć z męskością. Wargi też miał miękkie. Była w jego ustach i połykała go, wbijając w niego paznokcie, żeby już nigdy więcej od niej nie odchodził, a on stał się ostrożny i gwałtowny, kiedy przewracał ją na brzuch i zdierał resztkę tych cholernych szmat, które im przeszkadzały, i w tym samym momencie był już w niej. Krzyknęła głośno.

Później.

Otworzył okno. Dołączył do nich gorący wiatr.

Leżeli nadzy na samym materacu, bez przykrycia, pościel była stłamszoną rzeką ciepła i potu, brudnobrązowy koc też wylądował w stercie na podłodze.

Odgłosy miasta, które już nie były groźne ani irytujące, jakaś syrena bucząca z portu w oddali, jakieś wołania i twardy metaliczny stuk dobiegający z czegoś, co mogło być kuźnią. Jakieś skrzypienie z pokoju po sąsiedzku. Usłyszeli je oboje jednocześnie i popatrzyli na siebie. Ramón zaczął się śmiać. Ten rytm, to kołysanie. Stuk łóżka regularnie bijącego w ścianę.

Ing-Marie też się śmiała, czując, jak się czerwieni.

Jeżeli ona ich słyszała, to oni także ją słyszeli. On zawsze doprowadzał ją do krzyku, to, co z nią robił, nie miało żadnych granic, musiało się z niej wyrwać, żeby nie umarła. Nieważne, czy byli w jego kawalerce w Jakobsbergu, czy w budynku uniwersytetu ludowego, w klitce sprzątaczkii, gdzie wtoczyli się podczas imprezy, jeszcze na początku znajomości.

– Teraz wiesz, co to jest *hotel alojamiento* – powiedział Ramón.

– No co, burdel? – Nie wiedzieć czemu, bardzo ją to rozbawiło. Lizęła go po szyi i niżej, po piersi. Pachniał intensywnie.

– Myślisz, że wtedy bym cię tu sprowadził?

Podniósł się na łokciu i patrzył na nią, bawił się pasemkiem jej włosów.

– Musisz pamiętać, że jesteśmy w kraju katolickim. Gdzie ludzie mają się podziąć? Takie miejsca są w całym mieście, można wynająć pokój na godziny bez dokumentów, bez nazwiska.

Ing-Marie usiadła i okryła się prześcieradłem. Rytm skrzypienia w pokoju po sąsiedzku wciąż przyśpieszał, ściana drgała za jej plecami wraz z każdym stuknięciem łóżka. Ramón sięgnął do swoich dzinsów i wyjął z kieszeni paczkę

papierosów, zapalił dwa naraz i podał jej jednego.

– No, to opowiedz, jak spędzasz czas, co robisz.

Mężczyzna za ścianą zaczął głośno jęczeć.

– Niewiele – powiedziała Ing-Marie. – Poznają trochę miasto. Próbuję się nauczyć trybu warunkowego i czasu przyszłego, ale szłoby mi łatwiej, gdybyś ty mnie uczył. – Przeciągała palcem po jego łopatkach. – Chcę być użyteczna – dodała.

Długi, przeciągły ryk za ścianą i było po wszystkim. Przynajmniej jeśli chodzi o mężczyznę. Kobiety nie słyszała, jeśli to w ogóle była kobieta.

– Zdaje się, że nam tutaj poszło lepiej – stwierdziła Ing-Marie i pocałowała go w ramię. Ramón uśmiechnął się i zmierzwił jej włosy.

– Musisz rozmawiać z ludźmi – powiedział. – Zagadywać w kawiarniach, nie wstydź się. Szukaj takich, co myślą podobnie jak ty.

Ing-Marie strząsnęła popiół w miseczkę jego dłoni.

– No a ty? Znalazłeś już kontakt?

– To nie takie łatwe. Długo mnie nie było. Moich dawnych kontaktów już nie ma. Przenoszą się, zmieniają nazwiska, ci, którzy wiedzą, że są poszukiwani, nie śpią dłużej jak dwie noce w jednym miejscu. Nie wystarczy tylko podnieść słuchawkę telefonu.

Westchnął i przecesał dłonią włosy, a ona zrozumiała, jak musi mu być ciężko. Wstał, zdusił niedopałek o parapet i został tam, w oknie, jego sylwetka na tle wieczornego nieba, które zaczęło już różowieć.

To nie nostalgia kazała mu wrócić do Argentyny. W Szwecji Ramón stawał się coraz bardziej niecierpliwy, mówił, że już nie może dłużej siedzieć na wygnaniu po drugiej stronie kuli ziemskiej i uczyć się szwedzkiego na kursach dla imigrantów, podczas gdy jego towarzysze giną w walce.

Ruch oporu był prawie doszczętnie zlikwidowany, przywódcy partyzantki miejskiej Montoneros zbiegli do Madrytu i Hawany, i Meksyku, wciąż jednak byli tacy, którzy ukrywali się w Buenos Aires. Chodziły słuchy o kontrofensywie, o zamachach w związku z pucharem świata w piłce nożnej w czerwcu przyszłego roku, gdy oczy świata będą zwrócone na Argentynę. Ci, którzy pozostali w kraju, potrzebowali broni, pieniędzy, fałszywych dokumentów.

– Chyba jesteś ostrożny – rzuciła Ing-Marie i zaraz zawstydziała się, że odezwała się tak głupio. Rewolucji nie wywołują tchórze i egoiści. Każdy coś musi

poświęcić. Każda jednostka musi bez przerwy nad sobą pracować, aby usunąć ze swojej świadomości to, co przeszłe.

Ramón pochylił się i podniósł z podłogi swoją paczkę papierosów, wydobył z niej schowany tam złożony kawałek papieru. Serce zabiło jej mocniej, gdy usiadł z powrotem na łóżku i podał go jej. Rozłożyła kartkę. Lista nazwisk. Ing-Marie wiedziała, że ten świstek także będzie musiała spuścić w toalecie, nic nie mogło wiązać jej z nim ani też jego z nią. Za każdym razem musieli się rozłączać.

– Kto to jest?

– Ludzie, o których możesz pytać.

Ujął jej dłoń, pieścił ją między swoimi. Wytłumaczył, że to nazwisko krewnego kogoś, kto zniknął, jakiejś byłej dziewczyny innego kogoś, kto kiedyś studiował z kimś innym na uniwersytecie; był to sposób, by znaleźć kontakt z resztkami guerilli ukrywającej się gdzieś w mieście.

– Ja nie mogę chodzić i rozpytywać się o takich ludzi. To byłoby dla nich niebezpieczne, ale ty jesteś czysta, obca, nikt cię nie zna.

Opuszki jego palców pieściły jej twarz, lekko i ostrożnie.

– Nie mam prawa prosić cię o to.

– Nie musisz mnie prosić.

Ing-Marie pozwoliła papierosowi żarzyć się, aż zgaśnie w popielniczce na nocnym stoliku. Leżała na piersi Ramona, czuła jego zapach, intensywne i gorejące teraz. Potrzebował jej, była potrzebna, nie mogła w to wątpić.

Ramón wciągnął dzinsy. W pokoiku nie było prysznicza. Pocałował ją jeszcze raz. Próbowwała nie myśleć, że to mógł być ostatni raz.

– Kiedy się znów zobaczymy?

– Niedługo, mam nadzieję. – Znów ją pocałował, zawarczał jak pies i lekko ugryzł ją w kark, zanim się odsunął. – Ale na pewno już w jakimś innym miejscu.

Drzewo jacarandy zaczęło przekwitać, pozostawiając w rynsztoku małe kupki niebiesko-fioletowych płatków. Był to dzień, gdy nawet wiatry znad Rio de la Plata nie były w stanie wymieść z ulic żaru. Ing-Marie balansowała między dziurami w chodniku, gdzie kamienie zwietrzały lub zostały wyrwane, przecięła Avenida Independencia i próbowała wyglądać tak, jakby o niczym specjalnym nie myślała. Studencka kafejka znajdowała się na następnym rogu, przytulna i skromna, z siedmioma drewnianymi stolikami i starszym właścicielem, który zaczął

pozdrawiać ją jak stałego gościa już drugiego dnia.

Kupiła filiżankę kawy i *medialuna*, najtańsze ciastko z menu. Usiadła przy stoliku pod oknem i otworzyła swoje książki, dyskretnie przyglądając się dziewczynie przy stoliku obok. Jej wzrok zdążył się już wyostrzyć. Zauważała rzeczy, na które nie zwróciłaby uwagi jeszcze kilka dni temu. Drobne sygnały: dziewczyna była młoda, najwyżej dwadzieścia pięć lat, miała przed sobą książkę z psychologii i notatnik. Świadczyło to o jej odwadze. Zdarzało się, że łapano ludzi na ulicy tylko dlatego, że nieśli pod pachą dramaty Ibsena. Ing-Marie nie znała szczegółów tego rankingu, ale przeczuwała, że psychologia stoi wyżej na czarnej liście wojskowych. Pleciona wielobarwna bransoletka świadczyła o sympatii dla ostatnich resztek indiańskich ludów w kraju. Mały krzyżyk na łańcuszku na szyi. Włosy długie, ściągnięte do tyłu niedbale, jakby chciała być mniej atrakcyjna. Zupełnie bez makijażu. W jej życiu były ważniejsze rzeczy niż chęć podobania się.

Ing-Marie zaczerpnęła oddechu i poszukała w swoim podręczniku hiszpańskiego czegoś w miarę skomplikowanego. Wyrwanie się spod klosza j samotności kosztowało ją sporo wysiłku.

– Przepraszam, mogłabym cię o coś spytać?

Pomyślała, że jej głos zabrzmiał obco, tak mało go używała. Hiszpański w jej ustach zdawał się kaleki.

Dziewczyna podniosła wzrok.

– Jasne, pytaj.

– No więc nie bardzo łapię, kiedy trzeba używać tego, jak to się nazywa... opisowy *condicionalis*?

– Nie ty jedna masz z tym problem. – Kobieta, mówiąc, rysowała odruchowo jakieś gryzmoły. – Opisowy *condicionalis* to coś, co miałaś kiedyś zrobić, ale czego jednak w końcu nie zrobiłaś.

– I do tego potrzebna jest specjalna forma czasownika? My nie mamy nawet połowy... – Już miała popełnić błąd i porównać to ze szwedczyzną, ale zdążyła się w porę powstrzymać. – Znaczy, niemiecki jest pod tym względem prymitywny i logiczny. – Miała szczerą nadzieję, że dziewczyna nie studiowała właśnie niemieckiego.

– Aha, jesteś z Niemiec?

– Tak... przepraszam, Claudia mam na imię.

Sekunda wahania.

– Ana. – Szybki uśmiech, który był tylko drgnięciem kącików ust. Wyciągnęła rękę po książkę. – Mogę zobaczyć...?

Ing-Marie pozwoliła jej wziąć książkę, szukając odpowiednich słów do tego, co chciała powiedzieć w swoim nazbyt kulawym *castellano*. Dzisiejszej nocy zdarzyło jej się po raz pierwszy śnić po hiszpańsku – we śnie biegła tymi ulicami i błędziła po tych podwórkach w poszukiwaniu swoich dzieci.

– Właściwie to nie takie ważne – rzuciła. – To znaczy ten *condicionalis*. Są przecież ważniejsze rzeczy.

Ana spojrzała na nią z nowym błyskiem w oku.

– Na przykład co?

Ing-Marie zniżyła głos.

– Jestem tutaj, bo szukam paru osób – powiedziała. – Tylko nie wiem, jak mam je znaleźć.

– Co to za osoby?

Ana patrzyła jej w oczy surowo i z powagą, co ją ośmieliło. Ing-Marie rozejrzała się. Przy drzwiach siedziało kilku młodych chłopców. Ciasno, udo przy udzie, dłonie błędzące pod stolikiem. Raczej żadni z nich kapusie. Salka zakołysała się i Ing-Marie poczuła w żyłach strumień adrenaliny. Wyszeptała nazwiska z listy, którą dostała od Ramona. Z tamtego *hotel alojamiento*, gdzie się z nim pożegnała, wyniosła ją schowaną w majtkach, nauczyła się nazwisk na pamięć już potem, u siebie w pokoju, gdy ciągle jeszcze pulsowały w niej jego dotknięcia, później podarła kartkę na kawałki i spuściła je w toalecie.

Ana słuchała jej bez słowa. Odchyliła się potem na krześle i spojrzała za okno. Omiotła wzrokiem chodnik, drugą stronę ulicy, narożniki. Nie stał tam żaden zielony ford falcon. Nie zbliżała się grupa wojskowych ani żadna grupa cywilów, co mogłoby być jeszcze gorsze, nikt bowiem nie wiedział na pewno, kim są ci w cywilnych ubraniach.

– Tam kiedyś wisiał obraz – powiedziała Ana, wskazując ruchem głowy ścianę pomalowaną na ciemnopomarańczowo. Był na niej jaśniejszy prostokąt, ślad po czymś, co zdjęto. – Właściciel zdjął go dwa lata temu – ciągnęła dalej Ana. – To był portret Che. Chodzą plotki, że którejs nocy zakopał go razem ze wszystkimi swoimi książkami pod jakimś drzewem w parku *Martína Fierro*.

– Rozumiem.

– Rozumiesz?

Ing-Marie kiwnęła głową.

– Jak myślisz, czemu nie spalił tych książek?

– Bo książek się przecież nie pali...?

– Bo pewnie wierzy, że wkrótce przyjdzie taki dzień, że będzie mógł je odkopać. Bo to nie może trwać tak długo, aż te książki w ziemi zbutwieją. Zgadzasz się?

Ing-Marie znowu potaknęła. Nie była pewna, co znaczy „zbutwieją”, ale kontekst był dla niej jasny.

Ana wstała i zamknęła swoją książkę, wrzuciła ją szybko do torebki. Torebka była błyszcząca, z metalowymi okuciami, dziewczyna wyglądała z nią nieco formalnie, jak kancelistka, coś w tym stylu. Obciągnęła rękawy bluzki, chowając pod nią bransoletkę.

– *Chau* – powiedziała tylko i odeszła.

Ing-Marie usłyszała, jak zamykają się drzwi kafejki. Spojrzała szybko przez okno i zobaczyła, jak Ana przechodzi przez Avenida Independencia, nie oglądając się. Ręce jej drżały, gdy wzięła swój podręcznik hiszpańskiego, żeby go włożyć do torebki. Znów zawaliła sprawę, kompletnie się nie nadawała do tych rzeczy, ale czego się właściwie spodziewała? Że nagle zamieni się w *guerillera montonera* tylko dlatego, że ktoś jej załatwił fałszywy paszport i kupił bilet lotniczy? Była i pozostanie przecież Ing-Marie Sahlin z prowincjonalnej dziury w Värmlandzie, dziewczyną, której wydawało się, że jest odważna, kiedy uciekła stamtąd do Sztokholmu, studentką uniwersytetu ludowego dorabiającą sobie w fabryce prezerwatyw, no więc co? Wstyd zalał ją gorącą falą, jest tylko obciążeniem dla Ramona. Co ona tu w ogóle robi?

Zajrzała do książki, nie potrafiła nawet wbić sobie do głowy hiszpańskich form czasowych, daleko jej było do tego, żeby móc w tym kraju choćby podyskutować o rewolucji.

Wtedy spostrzegła, że Ana napisała coś na marginesie.

Jutro, o tej samej porze.

BUENOS AIRES 2014

Ogrodnicy zamiatali płatki kwiatów i zdmuchiwali liście z trotuarów, opiekunki z Peru i Paragwaju wyprowadzały dzieci na poranny spacer. Może widziały starego człowieka idącego chodnikiem, może nie. Ich opinie nikogo nie obchodziły, to dlatego wolał wychodzić na dwór o tej porze, kiedy sąsiedzi pojechali już do swoich dobrze płatnych miejsc pracy w centrum Buenos Aires, a ich żony do swoich salonów piękności, czy gdzie tam podziewały się całymi dniami. Najważniejsze, że nie spotykały go i nie zmuszały do bezsensownych pogaduszek o pogodzie czy inflacji, albo o tej kobyle, która obecnie zajmowała fotel prezydencki, a której nazwiska wolał nie wymieniać.

Powoli, ze względu na swój kręgosłup i wiek, szedł w cieniu drzew, których korony sklepiały się nad ulicą, zieloną salą, gdzie bogaci ludzie mogli uniknąć prażącego słońca. Na skrzyżowaniu Juramento i Avenida Malien wszedł do baru z lodami. Rożek z dwiema kulkami *dulce de leche*, do tego cappuccino.

- Dla pana jak zwykle?
- Jak zwykle.
- Chłodno dzisiaj.

Nie odpowiedział ekspedientce, bo pogoda go nie obchodziła. Zbliżała się zima i za parę miesięcy, w sierpniu, opadną z drzew liście, otwierając widok na niebo, tylko po to, by znów zakiełkować kilka tygodni później. To samo rok w rok, więc o czym tu gadać?

Jadł swoje lody przy stoliku pod oknem, gdzie rozłożył dzisiejszy numer „La Nación”. Na pierwszej stronie wspomnienie pośmiertne o jednym z dawnych przywódców narodu, szanowanym powszechnie człowieku. Niedługo wszyscy oni wymrą. List do redakcji opisywał straszne warunki życia wojskowych, którzy niegdyś służyli krajowi, a teraz siedzą w więzieniu. Starcy, którzy spełniali tylko swój obowiązek wobec kraju. Zostawił gazetę na stoliku, razem z połówką waflowego rożka, którego właściwie nie lubił. Same lody wylizał. Wytarł kąciki ust serwetką i wyszedł. Nie minęła nawet minuta, gdy zauważył pierwszą wolną taksówkę. Wolał je łapać na ulicy, niż dzwonić i zamawiać. Dzięki temu nie miano jego adresu.

Usiadł wygodnie na tylnym siedzeniu i spojrzął przez okno, by dać do zrozumienia szoferowi, że nie ma ochoty rozmawiać o ruchu ulicznym ani o tym, jak Boliwijczycy pasożytują na bezpłatnej argentyńskiej służbie zdrowia czy o Kolumbijczykach zapisujących się na argentyńskie uniwersytety. W radiu ochrypli piosenkarz z lat siedemdziesiątych śpiewał coś po angielsku, hałaśliwy pop, to był akurat taki kanał. Patrzył, jak bujna zieleń Belgrano R prawie niepostrzeżenie przechodzi w równie nobliwe Colegiales, i taksówkarz zrozumiał wreszcie, że ma milczeć. Wjechali zygzakiem w Palermo i okolice zamienione w coś modnego, młodego i międzynarodowego, co, jak się obawiał, zniszczy duszę miasta. Poczł prawdziwą ulgę, kiedy ulice otworzyły się i za oknem płynęły dumne parki i pomniki przy Plaza Italia, potem znaleźli się na Avenida Santa Fe, gdzie samochód w rwanym tempie manewrował przez gęsty ruch. Jak zwykle poczuł niejasny ból w brzuchu, kiedy zbliżali się do Barrio Norte, gdzie wśród wysokiej trywialnej zabudowy wokół wydziału medycznego tłoczyły się prywatne szpitale.

Przed dwoma laty jego lekarz wykrył u niego guza, więc musiał poddać się operacji w tutejszej szwajcarskiej klinice. Rak został usunięty z jego ciała, jak twierdzili, wyniki badań przy ostatniej kontroli wyglądały dobrze, ale za każdym razem, gdy zbliżał się do kliniki, miał to uczucie, że coś przeoczyli, że guz wciąż rośnie tam, wśród jelit i nerek, zachłanny tumor atakujący i zżerający go od środka.

Na rogu Santa Fe i Avenida Pueyrredón kazał taksówkarzowi zatrzymać się i wysiadł. Teraz musiał zająć się wzrokiem. Prawie nie mógł już czytać gazety, czuł ćmiący ból głowy po wysiłku z „La Nación” tego ranka. Miał do wyboru trzech optyków związanych umową z jego prywatną kliniką i tym samym wchodzących w skład ubezpieczenia.

Później przyszło mu zastanawiać się, co zdecydowało, kogo wybrał. Czysty przypadek czy może coś innego. W ciągu ostatnich lat odsunął się od Kościoła, lecz gdyby Bóg miał jeszcze nad nim władzę, pewnie skierowałby kroki do któregoś z dwóch pozostałych salonów optycznych w okolicy.

Była to skromna firma, tuż przy wejściu do odrapanego centrum handlowego, gdzie kupcy wykładali tanie towary na chodnik. Optyk nazywał się Oscar Varatsky i był na oko jego rówieśnikiem, co oczywiście tylko przemawiało na jego korzyść. Można się było po nim spodziewać raczej solidnej znajomości fachu niż namolnego namawiania do kupna modnych oprawek.

Usadowił się na fotelu i poczuł dotyk aparatury na twarzy, ocierała mu nos, ale się nie poskarżył. Utkwił wzrok w literach i czytał jedną po drugiej. Optyk zmieniał

szkła i tablice. A H F B C.

– Co pan przeczyta w tym dolnym wierszu? A teraz? Widzi pan lepiej czy gorzej? Która linia jest wyraźniejsza, pozioma czy pionowa? A teraz?

Twarz mężczyzny pojawiła się za szkłem, zamazana i groteskowo wielka. Oko zaglądające w jego oko, spoufalenie, które byłoby nieprzyjemne, gdyby nie miało wyraźnego celu.

– W lewym oku wzrok pogorszył się panu o całą dioptrię.

– A jak jest z prawym?

– Jak pan się czuje poza tym, jeżeli można spytać? – Optyk odjechał do tyłu na swoim krześle i zniknął z pola widzenia.

– A co to ma wspólnego z moim wzrokiem?

– Nie wiadomo. Ma pan jakieś problemy, coś panu dokucza?

– Nie, a co by to miało być?

– Takie rzeczy, które przychodzą z wiekiem. To nieuniknione.

– Mówi pan o starości? Wybaczy pan, ale jeszcze mi do niej trochę zostało.

– No, to świetnie. – Było coś w głosie optyka, co mu przeszkadzało, coś niepokojącego, badawczego, co zmusiło go do wyjaśnienia.

– Parę lat temu przeszedłem operację, ale to był żołądek i według lekarzy wszystko wygląda dobrze, chociaż jeszcze nie można powiedzieć nic pewnego.

Siedział z podbródkiem w zagłębieniu z twardego plastiku i oczami utkwionymi w tablicy. Litery wydawały mu się teraz mniej wyraźne. Nie był już pewien udzielonych odpowiedzi, co widzi, a czego nie. To się zmieniało. Chwilami w lewym oku pojawiała mu się mglista plama.

– To już wszystko?

Aparatura nie pozwalała mu podnieść się z fotela.

– Tak – odrzekł optyk, przeciągając słowa – to już wszystko.

Statyw został odsunięty i teraz zobaczył całą twarz mężczyzny. Poważne, świdrujące go spojrzenie. Najpierw pomyślał, że rak rozprzestrzenił się do mózgu i stąd ta ślepa plama w oku. Przez moment zatrzepotała w nim śmierć, a potem optyk cofnął się o krok z grymasem wstrętu na twarzy, tak jakby poczuł obrzydliwy oddech. Rozległ się brzęk odkładanych szkieł i instrumentów.

– Nie sądzę, żebym mógł panu pomóc.

Jego głos zabrzmiał łagodnie i sztucznie.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Myślę, że pan rozumie. – Teraz optyk odwrócił się ku niemu i znowu był w nim ten wstręt, który obudził w nim wspomnienie tak nieuchwytnie jak ryba, która nagle zatrzepocze w rzece, by znowu zniknąć pod powierzchnią.

– Chcę powiedzieć, że panu nie zrobię żadnych okularów... Squatina.

Ruch w centrum Buenos Aires nieczęsto go tak irytował. Jazda taksówką z powrotem do Belgrano R zajęła prawie godzinę. Tym razem wysiadł dwie przecznice od swojego domu. Incydent z przedpołudnia zmusił go, by w swoim własnym mieście zachowywał się jak uciekinier. Pośpiesznie wszedł w żelazną bramę, która zaraz się za nim zatrzasnęła. Nie był typem człowieka, który chowa się po kątach. Optykowi podał swoje prawdziwe nazwisko, co oczywiste, ponieważ kontrola wzroku wchodziła w pakiet jego prywatnego ubezpieczenia.

Nie miał zamiaru ukrywać się i uciekać. Tak zachowują się przestępcy, szczury, które nocami kryją się po norach.

Jego kucharz już się obudził i siedział przy kuchennym stole, ogrodnik leżał na sofie i oglądał jeden z tych wiecznych teleturniejów, których odgłosy potrafiły doprowadzić go do szału, dlatego chwycił pilota i wyłączył telewizor. Abel usiadł powoli na sofie. Był to młody człowiek, tuż po trzydziestce, niemający pojęcia o przycinaniu drzewek, ale też nie po to został tu zatrudniony, a Segundo, kucharz, z przedramionami pokrytymi bez reszty tatuażem, ledwie umiał zrobić wołowinę z grilla.

Ci dwaj nie znali imienia wymówionego właśnie przez optyka z Barrio Norte, byli za młodzi, by pamiętać, ale wiedzieli, co to znaczy rozkaz i czemu pobierają dobrą pensję za robotę, której nie wykonują.

Zjedli lunch. On wypił *mate* w swoim gabinecie na piętrze. Ten gorzki napój był tradycyjnym potwierdzeniem przyjaźni, kubek wędrował zwykle z rąk do rąk i każdy pił z tej samej słomki, ale ich tutaj nie łączyła przyjaźń. On był szefem, a oni podwładnymi, hierarchia to podstawa. Oddzielała porządek od chaosu. Jeden dowodzi, reszta słucha, choć był boleśnie świadom siły mięśni i pewności siebie tych młodych mężczyzn, którzy się panoszyli na parterze domu, gdzie bluszcz już zaczął zarastać okna, ponieważ nikt go nie przycinał.

Po tej robocie porozmawia z Ablem o roślinach. To kwestia bezpieczeństwa. Bo ktoś mógłby zacząć się skarżyć. Mieszkańców tej okolicy może nie obchodziło, co ich sąsiedzi robili w przeszłości, lecz zaniedbany ogród mógł obniżyć rynkową

wartość najbliższych domów.

Powrócił do Barrio Norte tuż przed zmierzchem. Pojechali osobno, podwładni autem Segundo, a on sam taksówką. Wolał nie pokazywać się w ich towarzystwie. Wsiadł przy Plaza Italia i natychmiast złapał inną taksówkę. Nie pozostawił żadnych śladów. Nikt nie pamięta cichego starszego pasażera, zwłaszcza takiego, który milczy na tylnym siedzeniu, nie dając kierowcy okazji wyzalić się na sytuację w Argentynie.

Optyk Oscar Varatsky zamknął swój zakład punktualnie o siódmej. Nie oglądając się za siebie, szedł Avenida Pueyrredón w kierunku Santa Fe. Nie zauważył więc, że ktoś idzie za nim, w odległości trzydziestu metrów. Nie widział też mężczyzny, który towarzyszył mu po drugiej stronie. Przeciął ulicę i ruszył w stronę zejścia do metra, *Subte*, gdzie człowiek mógł zapaść się pod ziemię i zniknąć. Prześladowcy zbliżali się z dwóch stron, coraz szybciej. Jeśli Varatsky postanowi zejść po schodach do metra, okazja będzie stracona. Mężczyzna przystanął. Prześladowca schował się szybko w wejściu do butik. Nic na twarzy optyka nie zdradzało, że coś zauważył. Ruszył w stronę niedużej kwaciarni na rogu, nagły impuls, by kupić kwiat! Może dobiegł go zapach jaśminu i pomyślał o swojej kobiecie lub o matce staruszce, choć to właściwie bez znaczenia, bo te kwiaty i tak nie miały nigdy zostać nikomu wręczone.

Właśnie to ostatecznie rozstrzygnęło. Bukiet kwiatów oznaczał, że mężczyzna zamierza spotkać się z kimś bliskim, przypuszczalnie już tego wieczoru, a wzięwszy pod uwagę, co tego dnia przeżył, zapewne zechce ulżyć sercu: *Nie zgadniesz, kto dziś przyszedł do mnie na badanie! Najpierw go nie poznałem, przecież już tyle lat minęło i miałem oczy zawiązane przez okrągłą dobę, ale gdy usłyszałem jego głos...*

Sprzedawca przeszedł na drugą stronę kiosku, gdzie kwiaty stały w wiadrach, białe jaśminy, czerwone róże, układał bukiet, podczas gdy Oscar Varatsky czekał w wąskim korytarzyku, gdzie składało się zamówienia i płaciło.

On był w ruchu. Kontakt wzrokowy z Segundem, który stał nonszalancko oparty o ścianę przy schodach do *Subte*. Abel znajdował się w tym czasie kilkaset metrów dalej, aby wykonać swoją część zadania w salonie optycznym.

Do kiosku z kwiatami było dokładnie trzynaście kroków. Optyk stał odwrócony plecami do wejścia i liczył wymięte banknoty peso wyjęte z portfela, nie odnotował jego obecności jako zagrożenia. Broń ukryta pod płaszczem, ostatnia kalkulacja ryzyka, a było olbrzymie, bo na Santa Fe jak zwykle roiło się od ludzi, ale może właśnie dlatego nikt nie zwróci uwagi na detale tego, co działo się dokoła, a uliczny

ruch zagłuszy odgłos strzału oddanego przez tłumik, z boku, w dolną część pleców. Jeszcze jeden strzał, nieco wyżej.

Oscar Varatsky nie zdążył zrozumieć, co się dzieje. Pchnięty do przodu upadł między orchidee, ukryte za wysokimi liliami i zielonymi powojami, i nim sprzedawca kwiatów zdążył wrócić, ubrany w płaszcz starszy pan, który dopiero co tam stał, szedł już schodami do metra, by zmieszać się z tysiącami innych *porteños* w godzinach szczytu. Ludzie przystawali, ktoś coś krzyknął, ktoś inny pokazywał i rozglądał się, nikt jednak nie skojarzył mężczyzny, który wolno schodził schodami do metra, z ciałem leżącym pośród przewróconych kwiatów i pompującym krew na asfalt Avenida Santa Fe.

SZTOKHOLM 2014

To teraz miała iść dalej. Każdego wieczoru myślała sobie: jutro. Jutro nadejdzie to, jak mówią, wewnętrzne wyciszenie. Jutro pokaże się to „dalej”, dokąd podobno mam iść.

– Halo, już jestem!

Helene ominęła w przedpokoju buty żeglarskie Jockego i uprzątnęła tenisówki w różnych rozmiarach. Mieszkanie wypełniały dygitalne dźwięki, które zagłuszały wszystko. Jeśli wsłuchała się uważnie, mogła ustalić, kto jest w którym miejscu ich czteropokojowego mieszkania. Strzelanina z którejś z gier Maltego i szwedzki dubbing z amerykańskiego programu dla dzieci w pokoiku Ariel, poza tym wiecznie ta sama muzyka Jockego grająca w kuchni, gdy tylko wychodziła z domu, jakiś ponury brytyjski pop, i wreszcie dziennik telewizyjny donoszący o slumsach, które zaczęły wyrastać w lasach na południe od miasta.

Był też zapach lasagne stojących w piecu.

Helene weszła do kuchni i otworzyła na oścież drzwi na balkon. W mieszkaniu zawsze było duszno. Chmury pociemniały i wisiały nisko nad dachami. Stała na chwilę, żeby zaczerpnąć powietrza, próbując poczuć zapach wielkiej czeremchy w dole na podwórzu. Nawet nie zauważyła, jak zakwitła. Teraz było tam mnóstwo białych kwiatów, nie mogła jednak wyczuć ich zapachu.

Jocke podszedł od tyłu, jego dłonie na jej ramionach.

– Wszystko okej? – zapytał.

– Chciałam tylko wpuścić trochę powietrza.

Lekki całus w usta. Znów to poczucie, że jakby za mało tego.

Wziął łapki do garnków i schylił się, żeby wyjąć lasagne. Widziała, jak rozjaśnia mu się twarz od lampki w piecu, kiedy go otworzył. Byli małżeństwem od czternastu lat, a jednak coraz mniej wiedziała o tym, co mu w duszy gra. Joakim Bergman. Specjalista do spraw finansów i organizacji. Był zatrudniony przez biuro architektoniczne, kiedy ona zaczynała dopiero pracować, i czuła się taka bezpieczna, gdy gwarantował jej ład i porządek.

Ale co z namiętnością? Właściwie kiedy ostatnio żeście się kochali? Pamiętasz

choć, kiedy mieliście małe fiku-miku z twojej inicjatywy?

Głos był taki wyraźny, jakby stała tuż obok. Jakby ją prześladowała. Pogrzeb się odbył, ale Charlie lekceważyła sobie to wieczne odpoczywanie zalecane przez księdza.

– Powiem dzieciom, że obiad gotowy – rzuciła Helene.

Sięgała po piloty, na jakie natrafiała po drodze, i ściszała wszystkie dźwięki. Kiedy kupili to mieszkanie, zburzyli ścianę między kuchnią a salonem, żeby mieć przestrzeń. I teraz wszędzie słyszało się wszystko, nie było przed tym ucieczki.

Malte rozpromienił się, kiedy weszła, ale zrobił się sztywny jak kij, gdy tylko go przytuliła. Ariel sama wsunęła się w jej objęcia.

– Ja nie lubię lasagne – powiedziała.

– Przecież zawsze lubiłaś, kochanie.

– Można zmienić zdanie. Zawsze to mówisz. Nie wiesz, co ja lubię.

Ucisk nad czołem, początek bólu głowy. Że też nic nigdy nie może być proste i oczywiste, nawet obiad.

A więc ty to nazywasz szczęściem? No tak, każdy je widzi po swojemu.

– Chodźcie jeść – rzuciła.

Pięć minut później krzyknęła:

– OBIAD CZEKA!

A Jocke spojrzał na nią tym swoim spojrzeniem, jakby to był *problem*. Nie gap się na mnie, chciała krzyknąć, zostaw mnie tylko w spokoju, nic jednak nie powiedziała, bo wkradło się pomiędzy nich milczenie. Całe hałdy niewypowiedzianego.

– Jak było dzisiaj w szkole? – Pomogła Ariel wydłubać z lasagne cebulę, nie rozumiała, czemu Jocke zawsze upiera się przy niej, chociaż dzieciaki jej nie lubią. „Bo właśnie tak się robi lasagne”.

Później tego wieczoru: stała w kuchni. Może wkładała naczynia do zmywarki, może wyjmowała? Tak czy inaczej, miała w ręce szklanę, kiedy Ariel, krzycząc wniebogłosy, wypadła z pokoju Maltego.

– On we mnie rzucił pilotem!

I wrzask Maltego z pokoju:

– Przecież mówiłem, że nie wolno jej tutaj siedzieć!

– On mówi, że jestem głupia.

- Bo jesteś głupia.
- Ty sam jesteś głupi.
- A ty jesteś wstrętna siksa!

Helene nie spostrzegła, że upuściła szklankę, prosto na podłogę.

- Przestańcie! – krzyknęła. – Zamknijcie się wreszcie!

Szklanka wtoczyła się pod szafkę, nawet się nie stłukła. Oczy małej zrobiły się wielkie jak spodki. Helene słyszała własny wybuch i czuła gniew jak mróz w środku, lecz nie wiedziała już dokładnie, co Ariel ma przestać robić. Przyklękła i próbowała przytulić ośmiolatkę.

- Przepraszam, kochanie, że tak na ciebie krzyknęłam.

– Puść mnie, no puść mnie, mówię! – Ariel wyrwała się i pobiegła do swojego pokoju. Helene wstała, żeby pójść za nią, ale Jocke był szybszy.

- Zajmę się nią – powiedział. – Lepiej ja.

Helene zawiązała torbę ze śmieciami i skorzystała z tego pretekstu, żeby wyjść. Chwyła zimowy płaszcz, w którym wciąż jeszcze chodziła, zamknęła drzwi za sobą i nareszcie – nareszcie zapadła cisza.

Zeszła na dół po schodach i wyrzuciła śmieci. Wyszła na ulicę i znalazła się na deszczu, nagle lunęło jak z cebra. Zbryzgała ją woda lejąca się z dachu, buty przemokły w błyskawicznie tworzących się kałużach. Ruszyła mimo to przed siebie, dokoła osiedla, w bezplanowej wędrówce donikąd. Wtedy spadł grad, białe kule odbijały się od płyt chodnika pod nogami, chłostały ją w kark.

Zobaczyła samochód, który stał tam, gdzie zawsze, skuliła się i podbiegła, na szczęście miała kluczyki w kieszeni.

Siedziała, dygocząc, na przednim siedzeniu. Słyszała stuk gradu o dach, strugi deszczu spływające po szybach.

Przecież macie się kochać, pomyślała, cholerne smarkacze, opiekować się sobą nawzajem.

Potem się rozplakała.

Naprawdę myślała, że sobie z tym poradzi. Wystarczyło tylko radykalnie zerwać ze wszystkim, co złe i kalekie, z matkami, które znikają, i ojcami, na których nie można polegać, i z rodzeństwem, które nie umie ułożyć sobie normalnego życia. Widziała przed sobą szeroko rozwarte oczy Ariel. Zesztywniałe ciało Maltego, kiedy zbyt blisko się do niego zbliżyła. Czy to już w nich jest? To pęknięcie, przez które chcą się rozszarpać na strzępy, przez które kiedyś zerwą ze sobą

kontakt?

W końcu uruchomiła silnik. Ruszyła, byle przed siebie.

Światła przepływające obok w deszczu, autostrada prawie pusta. Minęła stację benzynową Q8 w Rinkeby, wieżę ciśnień w Tensta.

Myśl, żeby zadzwonić do domu, ale komórkę zostawiła na kuchennym blacie.

Skręciła w stronę Jakobsberga i zobaczyła wygięte wieżowce na wzgórzu, ciepły blask lamp w oknach. Ludzi żyjących tam w środku.

Wycieraczki pracowały rytmicznie. Siedziała na parkingu i patrzyła na jedenaste piętro. Doliczyła się okna, które było tym od sypialni. Migotliwa poświata od telewizora, małe pomarańczowe lampki okienne.

Charlie była spalona na popiół i ktoś inny już się tam wprowadził.

Kiedy deszcz ustał, wysiadła z samochodu i przeszła naokoło bloku, na dziedziniec. Przy Miejscu wciąż leżało kilka kwiatów, fioletowe gałązki bzu, które przewróciły się koło płotka.

Helene przykucnęła i postawiła je z powrotem. Poczwała woń wiosny wzmocnioną przez deszcz, zawsze kochała bzy. Gdyby tylko zaczekała z pogrzebem, aż porządnie zakwitną, może byłby ładniejszy i jaśniejszy.

– Znała ją pani?

Helene mało nie straciła równowagi, podparła się ręką w kałuży. Odwróciła się. Stała za nią kobieta w średnim wieku, w płaszczu przeciwdeszczowym, trzymała w objęciach małego szczeniaka. To był jeden z tych naprawdę małych psów, z olbrzymimi oczami i spiczastą mordką.

– My się chyba nie znamy. – Kobieta odjęła dłoń od psiego tyłka i wyciągnęła ją w jej stronę. – Lena Morberg. Mieszka pani tutaj?

Helene pokręciła głową i przedstawiła się. Spojrzała w górę, przebiegając wzrokiem wszystkie piętra, i poczuła, że nie ma już siły wykręcać się i kłamać w sprawie Charlie.

– To była moja siostra.

– Ojej. To musi być pani ciężko.

Helene skinęła głową i głośno przełknęła ślinę.

– Ja mieszkam tutaj, na górze – powiedziała Lena Morberg. – Na ósmym. Widziałam ją tamtej nocy.

– Jak tu leżała?

– Tak, to też. Codziennie o tym myślę, nocami czasem też. To się zrobiło jak więzienie. To dlatego kupiłam sobie Happy. – Potarła nosem o łeb szczeniaka. – Człowiek potrzebuje czegoś trochę innego. I teraz przynajmniej wychodzę.

Helene odgarnęła włosy. Wciąż z nich kapało, woda spływała za kołnierz.

– Przepraszam, że tak pytam – ciągnęła kobieta – ale wie pani, dlaczego ona to zrobiła?

Helene spojrzała na bzy. Ciemna plama zamazała się, może za sprawą wilgoci. Kusilo ją, by opowiedzieć o tym, jak było z Charlie, o tych pigułkach, które wciąż łykała, i o zwolnieniach chorobowych, że żyła na pograniczu choroby i szaleństwa, lecz że Helene mimo to żywiła dla niej pewien respekt, należny starszej siostrze, tak bardzo chciałyby to komuś opowiedzieć. Że tak okropnie za nią tęskni. Że tak jej przykro, że właściwie się nie znały, chociaż były siostrami i powinny mieć wspólne wspomnienia i doświadczenia, i zbliżyć się do siebie z biegiem lat, przez które człowiek zmądrzał, a czas spiłował kanty. Teraz już na to za późno. Została sama ze swoim dzieciństwem. Śmierć Charlie zburzyła w niej ścianę, otwierając otchłań, i ona teraz cały czas ma poczucie, że spada.

– Nie – powiedziała – właściwie to nie wiem.

Lena Morberg głaskała powoli psi łebek.

– Mnie też jest trudno przestać o tym myśleć. Stałam tam w nocy i martwiłam się o syna, bo nic nie robi, tylko ciągle gra na komputerze. I nagle widzę przed sobą jej twarz, tuż za oknem, na wysokości ósmego piętra.

– Jak wyglądała?

– Znaczy co?

– Jej twarz... spojrzenie... zdążyła pani zauważyć?

Kobieta popatrzyła w górę.

– Dla mnie to przecież był tylko ułamek sekundy. Jak człowiek przeżywa to w środku, to przecież nie wie, czy to się dzieje szybko, czy powoli... Cały czas myślę, że wyglądała, jakby była zdziwiona. Spotkałyśmy się wzrokiem, ale nie wiem, czy mnie widziała. Jakby nie bardzo rozumiała, co się dzieje. – Lena uniosła dłoń w powietrze i spróbowała oddać coś, co nie do końca umiała sformułować: – Jakby miała pytanie na twarzy i chciała, żebym jej odpowiedziała, ale przecież nie mogłam. To się stało tak szybko. Teraz myślę, że trzeba było wyciągnąć rękę, spróbować ją złapać, ale ja tego nie zrobiłam. Stałam tylko. Nie żeby to ją miało... no, uratować, ale może wtedy czułabym się lepiej. Gdybym choć spróbowała.

Piesek zaskomlał.

– To byłoby niebezpieczne – powiedziała Helene. – Pociągnęłaby panią za sobą.

– Ja wiem. – Lena umilkła i zrobiła gest w stronę kwiatów. – Mam nadzieję, że nie ma mi pani za złe. Przecież jej wcale nie znałam.

– To pani je tu składa?

Helene poczuła się trochę rozczarowana, myślała, że robi to ktoś, kto naprawdę znał Charlie i ją lubił.

– Zaczęłam kłaść coś tutaj już następnego dnia – powiedziała Lena Morberg. – A teraz nie mogę przestać. Czuję, że to jest jakby moja sprawa, że powinnam.

Kościelny dzwon wybił wpół do dwunastej w nocy, kiedy Helene wysiadła z samochodu z powrotem w mieście. Woda zalała uliczną studzienkę i utworzyła w rynsztoku nieduże oleiste jezioro. Odbicie w jego powierzchni, wśród śmieci i niedopałków, samotna postać przechodzącej kobiety.

Pojechała windą wyżej, mijając piętro, na którym mieszkali. Dzieci już przecież spały, a jeśli Jocke nie spał, za dużo byłoby do wyjaśniania.

Na strychu stała resztką rzeczy Charlie, które zatrzymała. Za drucianą siatką, pod kłódką, na końcu szeregu komórek.

Tekturowe pudło i dwa duże plastikowe worki z ubraniami, to wszystko. Ubrań nie zamierzała oczywiście zatrzymywać, trafiły na strych tylko dlatego, że nie wiedziała, co ma z nimi zrobić. Myślała o Misji Miejskiej albo o Armii Zbawienia, ale potem, wyobraziła sobie, jak spotyka w mieście różne warianty Charlie. Kobiety w markowych ciuchach z lat sześćdziesiątych, w czarnych, o wiele za krótkich sukienkach, w tamtej skórzanej kurtce. Przecież istniały też organizacje wysyłające zebraną odzież prosto do Afryki, lecz jeśli nawet kostium Chanel miały być noszone przez jakąś inwalidkę wojenną w Mogadiszu, to chyba jednak trzeba go przedtem wyprać?

Przełożyła worki na bok. Słyszeć było tylko monotony szum urządzeń wentylacyjnych. Szuranie, kiedy wyciągała pudło, bladozielone światło z nagiej żarówki u sufitu.

Siedziała bezpośrednio na betonowej posadzce i czuła ziąb przenikający przez ubranie. Wyjmowała różne pliki papierów i zdjęcia Charlie, które rozkładała na posadzce i próbowała posortować je w jakimś porządku: najpierw Charlie nastolatka z czarną punkową strzechą, a potem dorosła kobieta, która już umiała tak wyzerować twarz, żeby osiągnąć odpowiednią zagadkowość.

Na samym dniu leżały rzeczy powrzucone tam przez samą Charlie. Pomieszczone bez ładu i składu. Jakiś klucz do mieszkania, nie wiadomo jakiego. Stare kasety magnetofonowe, kolczyki nie do pary, które bynajmniej nie udzielą żadnej odpowiedzi, całkiem wyblakła bransoletka z jakiegoś festiwalu. Helene przypomniała sobie, że widywała ją na ręce Charlie na pewno z pół roku. Miała wtedy czternaście, piętnaście lat? Może festiwal w Roskilde 1985? Kiedy Charlie zdała do dziewiątej klasy, a Helene do siódmej, to było lato przed zabójstwem Olofa Palmego, niesamowicie dawno temu. Grali na nim Ramonesi i Charlie wróciła do domu strasznie nakręcona i zachwycona tym, że oni wszyscy przybrali jedno nazwisko. To wtedy stała się Charlie, Charlie Ramone, choć nazwisko szybko porzuciła.

Zapomnij o Camilli. Jej już nie ma. Od tej pory masz do mnie mówić Charlie, a potem też sobie wybierzesz jakieś imię, bo musisz sama zdecydować, kim chcesz być, inaczej cię zdeptają wszyscy ci, co chcą cię wcisnąć do szeregu.

Światło zgasło. Helene poszła po omacku wzdłuż rzędu komórek do kontaktu na ścianie. Potem wróciła i grzebała dalej w pudle, właściwie nie wiedząc, czego szuka, ale przekonana, że to musi tam być.

Może chciała tylko przez chwilę mieć w rękach jej rzeczy.

Gładziła palcem portfel Charlie. Wytarte krawędzie, ślady po wszystkich razach, gdy był otwierany i zamykany. Było coś intymnego w otworzeniu go, jak naruszenie świętej prywatności. W przegródce na banknoty leżały trzy dwudziestki. Karty kredytowe, karty sklepowe, wszystkie straciły swoją wartość i potęgowały poczucie bezsensu. Kawałki plastiku. Kilka paragonów, karteczek, na których Charlie nabazgrała sobie coś do zapamiętania, kombinacja cyfr, jakaś data, jakaś godzina. Cała ona. Charlie nigdy nie potrafiła zapamiętać żadnych cyfr, była w tym beznadziejna. Kiedyś Helene widziała, jak wyjmuje karteczkę z kodem z tej samej przegródki co kartę do bankomatu.

Uśmiechnęła się do siebie. Tak właśnie powinna robić. Zbierać wspomnienia i trzymać się ich. Poczucie, że w ten sposób, już po wszystkim, o wiele za późno, zrekompensuje swoją winę.

Przejrzała wizytówki w mniejszych przegródkach. Obce nazwiska, jakiś agent bankowy, jakaś lekarka.

Lekarka?

Susana Jacobsson, specjalista gastroenterolog.

Helene przeczytała ponownie to słowo. Gastroenterolog. Coś z brzuchem,

żołądkiem, jelitami? Nie wiedziała, że Charlie była chora, nie w ten sposób, ale cóż ona w ogóle wiedziała o Charlie?

Myśl, że życie człowieka kryje się nie w tym, co ktoś po sobie zostawia, tylko w tym, co pragnął ukryć.

Nogi jej ścierpły. Zastanawiała się, czy Jocke już zasnął na dole, tak jak zwykle, leżąc na plecach. Czy może się zaniepokoił, wydzwaniał po szpitalach i policji, pomyślał, że zrobiła coś naprawdę głupiego?

To wyglądało całkiem idiotycznie. W środku nocy wybierać się na strych, jakby tam były tajemne drzwi, przez które mogła przemknąć i wyjść w jakiejś krainie po drugiej stronie lustra, gdzie wszystko jest jasne i świetliste.

Włożyła rzeczy z powrotem do pudła. Piekły ją drobne ranki na dłoniach od tego grzebania w papierach. Kłódka była oporna, zacisnęła ją, używając całej siły. Potem spostrzegła, że część zawartości kartonu wciąż leży na podłodze, kilka starych paragonów i paszport Charlie. Podniosła go i zawahała się, czy warto znów otwierać drzwi. Akurat znowu zgasła lampa. Idąc po ciemku w stronę wyjścia, przypomniała sobie, że paszport, który trzyma w ręce, leżał na stole w mieszkaniu Charlie, dlaczego? Przecież paszportu nie trzyma się na wierzchu, tylko na przykład gdzieś w szufladzie, choć to dotyczy oczywiście zwykłych ludzi. Znalazła kontakt i otworzyła drzwi na klatkę schodową. Uderzyło ją, że paszport był nowego typu. Taki, w którym są także odciski palców, sama musiała w zeszłym roku wyrobić sobie identyczny, gdy wybierali się na Koh Samui.

Helene zamknęła drzwi na strych najciszej jak mogła i zapaliła lampę na klatce. Przekartkowała paszport. Tkwiła w nim mała fotografia. Już po rozmiarze było widać, że jest stara, chociaż kolory nie wyblakły od tamtej chwili, bardzo dawno temu.

Dwie dziewczynki, trzymają się za ręce. Poważne i jednocześnie uśmiechnięte, ich buzie takie szczerze. W pierwszej chwili Helene nie zobaczyła w tej twarzyczce siebie, tylko dziecko wpatrzone z oczekiwaniem w obiektyw. Potem coś jej ścisnęło się w piersi, koło serca. Obie miały na nogach białe sandałki, ale do tego grube pikowane kurtki. Święto Walpurgii, pomyślała. Dzień, kiedy można było założyć nowe wiosenne buty, mimo że zawsze było za zimno. Charlie wypadły dwa przednie zęby, miała włosy zebrane w kucyki. Helene krótko obcięta, z prostą grzywką. Może to sobie uroiła albo zdjęcie naprawdę wywołało wspomnienie, bo wydało jej się, że widzi kogoś z aparatem, tylko nie mogła dojrzeć kogo. Jedynie cień i Kodak Instamatic z kostką lampy błyskowej na górze, wystarczającą na cztery błyski. Rajstopy, które kłuły w nogi, i to niebezpieczne ognisko, które

wkrótce miało zapłonąć, czy może już się paliło. A tak się wtedy bała ognia, śniła koszmary, że położyła coś na grzejniku, którego nie wolno przykrywać, i całe mieszkanie płonęło.

Ale ta ręka. Siostra trzymająca jej dłoń w swojej i niejasne poczucie wspólnoty. Że też ona przechowywała to zdjęcie w paszporcie. Że coś dla niej znaczyło.

Przekartkowała dalej, do zdjęcia dorosłej Charlie. Patrzącej bez wyrazu w obiektyw, tak jak zwykle się robi, siedząc w kabinie fotograficznej w wydziale paszportowym.

Został wydany dwa miesiące przed śmiercią Charlie. Może to była czynność rutynowa, kończy się ważność paszportu, trzeba wyrobić sobie nowy, czy też naprawdę dokądś się wybierała?

Bezwiednie przewracała kartki dalej. Stempel. Właściwie natychmiast zrozumiała, co tam jest napisane, ale jednocześnie tekst się zlewał i musiała przybliżyć stronę do oczu, odwrócić ją ku lampie pod sufitem.

Stempel wjazdowy. Data z końca marca, ponad miesiąc przed śmiercią. A potem te dwa słowa, które nie pozostawiały żadnych wątpliwości:

Entrada Argentina.

BUENOS AIRES

1977

Wężlaste drzewo *ombú* wyglądało jakby rosło raczej wszerz niż wwyż, wyciągając swoje rozległe gałęzie nad wszystkimi, którzy szukali cienia w parku *Martína Fierro*.

Ana kazała jej usiąść na betonowej ławce pod nim właśnie w to popołudnie, o tej porze.

– Nie mogę sama podejmować żadnych decyzji – powiedziała.

Ing-Marie zapaliła papierosa i spróbowała przybrać zrelaksowaną pozę. Czowała ciepło betonu przez dżinsy. Za nią skręcały się potężne korzenie drzewa, pomyślała, że przypominają kłęb tłustych węży zapadający się pod ziemię. Pomyślała o książkach, które być może leżały zakopane właśnie tam.

Zbliżał się jakiś mężczyzna z psem na smyczy, obrzucił ją długim spojrzeniem. Ing-Marie zadrżała. Zaciągnęła się dymem raz i drugi. Mężczyzna schylił się po patyk, rzucił go w przeciwną stronę, odpiął smycz i powoli ruszył za psem, który pobiegł za patykiem.

To nie on.

– Ktoś chce cię spotkać – powiedziała Ana.

Już wiedziała, że Ana to nie jest jej prawdziwe imię. Zrozumiała także, że popełniła błąd, przedstawiając się jako Claudia. Mimo że imię było nieprawdziwe, to podawała się za nią oficjalnie. Jeżeli miała zejść w podziemne kręgi, powinna wybrać sobie jakieś imię, o którym wszyscy będą wiedzieć, że jest fałszywe i nie figuruje w żadnych dokumentach. Nie da się go powiązać z żadną prawdziwą osobą ani adresem.

Zastanawiała się, jak bardzo miałyby oddalić się od siebie samej.

Mijały minuty.

Nad parkiem rozbrzmiewała muzyka z karuzeli. Mały lunapark leżał ukryty za murem, widziała tylko kolorowe dachy, a przez wejście dostrzegła, jak powoli przesuwa się koń na małej karuzeli, patrzyła za nim, aż zniknie, potem pojawił się następny, i następny, aż zakręciło jej się w głowie. Istnieli ludzie, którzy zabijają, i tacy, co giną, i w końcu tacy, którzy zabierają swoje dzieci do parku, by

pojeździły sobie na karuzeli.

Wrażenie, że coś zmieniło się w powietrzu, ktoś przysłonił słońce. Widziany pod światło zdawał się olbrzymi. Poczwała strach. Spróbowała wyminąć go spojrzeniem, mimo że zajmował całe jej pole widzenia.

– *Hola, cómo estás.*

Nachylił się i pocałował ją w policzek. Pachniał dymem i trochę niedomyciem. Usiadł tuż przy niej, jakby byli parą zakochanych, albo przynajmniej bliskimi przyjaciółmi. Miał półdługie włosy i szeroką szczękę. Był w marynarce z trochę za krótkimi rękawami.

Cały czas się uśmiechał, patrząc prosto przed siebie.

– Gdyby ktoś pytał, to znasz mojego dawnego nauczyciela i potrzebujesz kogoś, kto ci powie, jakie zabytki musisz koniecznie zwiedzić podczas pobytu w Buenos Aires.

Ing-Marie kiwnęła głową. Kark jej zeszywniał. Nie odkryła jak dotąd sposobu, aby szybko rozluźnić sobie mięśnie karku.

– Nic ci nie mogę powiedzieć o osobach, o które pytasz – powiedział.

Serce biło jej mocno.

– Znasz którąś z nich?

Popatrzył na coś nad jej głową. Potem nachylił się i wymamrotał jej do ucha:

– *Alicia presente.*

– Słucham?

Presente znaczyło obecna, ale gdzie? Ing-Marie podniosła wzrok na przechodzących ludzi, zobaczyła gromadkę chłopców ścigających się na rowerach i parę staruszków drepczącą powoli alejką, rodzinę z dziećmi idącą w stronę karuzeli. O kobiecie o imieniu Alicia wiedziała tylko tyle, że jest na liście Ramona jako możliwy kontakt z trzonem organizacji.

– Jest tutaj, ale jej nie ma, rozumiesz? Zginęła trzy tygodnie temu. Zastrzelona przy próbie ucieczki na Avenida 9 de Julio. Dlaczego o nią pytasz?

Mówił cicho i energicznie. Nikt inny nie był dostatecznie blisko, żeby móc go usłyszeć. Ing-Marie nie chciała myśleć o kobiecie, której strzelono w plecy, kiedy uciekała. Szukała w głowie właściwych wzorców odmiany, to musi być tryb łączący, wyrażający niepewność lub życzenie, aby... i *condicionalis*, chciałabym...

– Bo chciałam, żebyście się dowiedzieli, że chciałabym potrzebować was spotkać – powiedziała i zaraz zdała sobie sprawę, że zaplątała się kompletnie

i wyszła na idiotkę.

– Kto ci dał jej nazwisko?

– Przyjaciel.

– To przekaż przyjacielowi wyrazy współczucia.

Potem poczuła jego dłoń na swojej głowie. Lekkie muśnięcie, nawet nie pieszczotę; zadrżała, gdy ujął między palce pasemko jej jasnych włosów.

– Ana mówi, że jesteś po naszej stronie. Że jesteś *foquista*.

– Tak, uważam, że mała grupa rewolucjonistów może stworzyć rewolucyjną sytuację i pociągnąć za sobą masy ludowe, nie tylko na Kubie, ale i tutaj, wszędzie.

Dyskutowały o tym, gdy po raz drugi spotkały się w kafejce. Ana wzięła ją wtedy na długi spacer wzdłuż hałaśliwej Avenida Independencia, aż do miejsca, gdzie ulica zmienia nazwę i przechodzi w bardziej nobliwą dzielnicę Flores. Ing-Marie udało się wówczas od biedy dać wyraz oburzeniu, jakie budzą w niej różnice klasowe i nędza na świecie. Zdeklarowała także, że nie wierzy w żadnego Boga.

Powiedz coś o sobie.

Jako jednostka jestem całkiem bez znaczenia.

Rodzina?

Uciekałam z domu tyle razy, że moja matka w końcu nie zawracała sobie głowy sprowadzaniem mnie z powrotem.

W tym miejscu Ana jej przerwała. Nie chcemy wiedzieć o sobie nawzajem nic osobistego, powiedziała.

To wszystko było trzy dni temu. Nerwy zżerały Ing-Marie. Czy rewolucji bardziej się nie śpieszy?

– I w Buenos Aires nie znasz nikogo poza Aną?

– Nikogo, oprócz tego, z kim tu przyjechałam.

– A kto to jest?

– On też popiera zbrojną rewolucję.

Nie dała się sprowokować, nie podała jego nazwiska. Byłaby wtedy niegodna zaufania. Jeżeli dzisiaj zdradza czyjeś imię, to jutro może zdradzić inne. Ramón nauczył ją, jak musi myśleć. Kolejne zdania wymówiła płynnie, miała je przygotowane. Chodziło o to, że on chce im pomóc na miarę swoich możliwości – i tu wykorzystwała właściwy *condicionalis* – oraz że ona też pragnie im pomóc, mimo że jest z obcego kraju, bo obowiązkiem każdego człowieka jest walczyć

w imię słusznej sprawy, gdziekolwiek by się urodził.

Przyglądał jej się jakby nieobecny wzrokiem. Nie była pewna, czy jej słucha, czy może to, co ona mówi, brzmi niezręcznie, na pewno naiwnie. Może on nawet uważa, że to myślenie kolonialne, że przyjechała tutaj z Europy Zachodniej... Ing-Marie krzyknęła nagle, kiedy coś spadło jej na głowę i musnęło twarz, zaczęła trzepać rękami po włosach i ubraniu, żeby strącić owada, którego nie mogła zobaczyć.

Mężczyzna podniósł z jej kolan podłużny liść.

Uśmiechnął się.

– To dobrze – powiedział – że nikt nie wie, kim jesteś, i że wyglądasz tak, jak wyglądasz... Bardzo dobrze.

Ing-Marie zastanawiała się, czy on w ogóle słyszał, co mu powiedziała. Mężczyzna wyjął papierosa, ją także poczęstował. W sposobie, w jaki stulił dłoń wokół zapalki, podając jej ogień, był jakiś rodzaj troskliwości. Nie musiał przecież tego robić, bo nie wiało.

– Możesz mi mówić Dante. Ana jest twoim kontaktem.

Przed nimi opadł jeszcze jeden liść. Mężczyzna zadarł głowę i popatrzył w górę. Jakiś malec wspiął się na drzewo, leżał w rozwidleniu konarów i zrywał liść za liściem, a potem upuszczał na ziemię. Zobaczyła, jak twarz Dantego tężeje. Chłopiec mógł słyszeć, co mówili. Dzieci są najgorszym rodzajem donosicieli, potrafią zdradzić własnego brata, matkę, babkę, jeśli ktoś tylko zada im właściwe pytania.

– Ej, ty – powiedział Dante, wstając. – Ostrożnie z tym drzewem. – Był tak wysoki, że bez trudu chwycił za gałąź. – Wiesz, czemu drzewa *ombú* mają takie grube pnie? Żeby magazynować wodę, tak jak wielbłądy w swoich garbach, to dlatego mogą wytrzymać i suszę, i pożary trawy na Pampie. Gdybyś był gauczem, mógłbyś wetknąć w ten pień rurkę i się napić. – Wykonał jakiś chłopięcy gest z udziałem dłoni, kłykci i z kiwnięciem kciukiem.

Ing-Marie też wstała. Odeszli stamtąd nieśpiesznie, jak para przyjaciół na przechadzce w parku.

– Miejmy nadzieję, że wszystko, co ten mały zapamięta – rzucił Dante – to coś o wielbłądach i kowbojach na Pampie.

Przystanęli koło jakiejś wiaty. Kilku starszych mężczyzn grało tam w bule. Dante spojrział na toczącą się dużą kulę, która zatrzymała się tuż przy małej. Ciało mężczyzn wydzielają cierpką woń, dym z ciemnego tytoniu zbierał się pod

dachem.

– Na mnie już czas – powiedział cicho – ale ty możesz tu zostać i popatrzeć.

Podniosła na niego wzrok. Co to ma znaczyć, to już wszystko?

– A jeśli chodzi o zwiedzanie – ciągnął dalej z uśmiechem – myślę, że powinnaś jutro wybrać się do Muzeum Historycznego. To jest w Parku Lezamy. Wiesz, gdzie to? Między San Telmo a La Boca. Według podań to miejsce, w którym założono Buenos Aires.

– Jakoś trafię.

– Najlepszy czas to jedenasta przed południem.

Upuścił papierosa na żwir i przydeptał go. Pochylił się, pocałował ją w prawy policzek i zaraz zniknął.

Ing-Marie obserwowała, jak kula toczy się i trąca inną kulę, nie widziała więc, w którą poszedł stronę.

Później, już wieczorem, w samotności, w swoim gorącym pokoiku w pensjonacie, zastanawiała się nad jego pocałunkiem. Że uznał za stosowny taki gest, pokazujący niepotrzebnie, że są ze sobą blisko.

Mógł przecież po prostu odejść.

Dopiero następnego dnia, gdy przez obskurne kwaterki San Telmo dotarła na miejsce i weszła do Muzeum Historycznego i zobaczyła Anę czekającą na nią z broszurą muzealną w ręce, uświadomiła sobie nagle:

Ona tam była.

Widziała ich.

Ten pocałunek miał oznaczać: ona jest z nami. Wprawilo ją to w euforię, niemal w fizyczne podniecenie, jakby ten jego pocałunek miał sens erotyczny, a nie rewolucyjny. A jednocześnie trochę przestraszyło, bo jeśli Ana rzeczywiście była w parku, a Ing-Marie jej nie widziała, to ile ona jeszcze musi się nauczyć o ostrożności i czujności?

I o niczym nie mogła opowiedzieć Ramonowi ani tego wieczoru, ani następnego.

Te wieczory, kiedy leżała zamknięta w ćmiącym bólu samotności, na łóżku tak bardzo zapadniętym, że jakkolwiek by się przewracała, ciągle, chcąc nie chcąc, przyjmowała tę samą pozycję i wsłuchiwała się w stuk piłek odbijających się od ścian podwórek tam, na dole. Leżała i formułowała w myśli to wszystko, co się wydarzyło, w przeznaczone dla niego opowieści.

Że udało jej się złapać kontakt. Że jest ogniwem pewnego łańcucha, o którym jeszcze nie wiedziała, gdzie się zaczyna i gdzie kończy. Organizacja składała się z kręgów, lecz te zewnętrzne nie wiedziały nic o wewnętrznych. Chciała mu opowiedzieć o gazetkach, które nosiła teraz zrolowane w majtkach, chodząc po mieście nowymi szlakami. Cienkie stronice, wciąż wilgotne, z jakiejś drukarni w prywatnym mieszkaniu, gdzie oczywiście nie miała wstępu, nie była dopuszczona do tajnych informacji. Ale jednak. *Guerillera, montonera*. Lubiła powtarzać sobie w myślach te słowa po hiszpańsku, bo to ją przenosiło trochę poza nią samą, były jak muzyka, jak te piosenki, których nauczyła się na pamięć, od których aż dzwoniły szyby, kiedy śpiewali je w Sztokholmie, na uniwersytecie ludowym. *Venceremos... zwyciężymy! El pueblo unido jamás será vencido...* Lud zjednoczony nigdy się nie podda...

A teraz pozostały dwa dni do Bożego Narodzenia...

Słyszała w czyimś radiu, które stało włączone, że w porze obiadowej temperatura dojdzie do trzydziestu dwóch stopni. Mimo to zarzuciła kurtkę na T-shirt. Musiała stanąć na moment przed lustrem. Twarz miała teraz opaloną, włosy bardziej wyblakłe, a w swoim spojrzeniu dostrzegła coś, czego nie rozpoznała, ale co jej się podobało, coś obcego w sobie samej. Zerwaną więź między tym, co pokazują oczy, a uczuciami w środku. Jej powierzchowność różniła się od jej wnętrza. Wyobraziła sobie, że to krok ku temu nowemu człowiekowi, którego zapowiadał Che. Jeżeli to nie była ona, to nie mogli także zrobić jej nic złego. Jej osoba była nieważna, a mimo to decydująca.

Na schodach spotkała jedną z tych niskich kobiet z północnych prowincji, taszczącą jakiś ciężki toból. Zlana potem i postępująca sąsiadka przywarła plecami do ściany, żeby ją przepuścić, *buenas tardes senõra, qué calor, eh!?*

Skrzynka na listy była pusta. Jeśli Ramón się nie odezwie przed Bożym Narodzeniem, to nie wiedziała, co robi.

Przed bramą nie stał żaden ford falcon.

W witrynach sklepów wisały łańcuchy świetlne i gwiazdy. Pomyślała o prezentach gwiazdkowych dla dzieci.

Słońce, kolejny dzień.

– Byłaś już kiedyś na prowincji? – spytała Ana, kiedy spotkały się w nowej kafejce w pobliżu. Nigdy dwa razy z rzędu w tym samym miejscu, wciąż nowe drogi przez miasto. Także jej nauka języka hiszpańskiego zmieniła ukierunkowanie. Uczyła się słów takich jak *antiseguimiento*, czynności, jakie należy podjąć, żeby wymknąć się śledzącym. Zmieniały się znaczenia słów.

Pastilla nie oznaczała już tabletki na gardło, tylko małą kapsułkę z cyjankiem, którą Ana obiecała jej załatwić i którą miała nosić w torebce na wypadek aresztowania. A *provincia* to nie tylko okolice otaczające na mapie Buenos Aires, ale także rozległe terytorium nędzy i slumsów oraz willowych osiedli klasy średniej na przedmieściach, gdzie zbrojne grupy ciągle jeszcze miały swoje bazy.

Ana weszła pierwsza do damskiej toalety. Ing-Marie odczekała kilka minut. Potem dopiła swoją kawę i poszła za nią.

Nie powiedziały do siebie ani słowa. Ana zapisała adres na karteczce. Ing-Marie dostrzegła tylko nazwę Wilde, potem ścisnęła papier w garści. To jedno z przedmieść na południu. Miała wrażenie, że ten świstek pulsuje jej w dłoni, jakby żył własnym życiem.

Cienki plik gazetek. Gruba koperta.

W Buenos Aires nie było chyba żadnej publicznej toalety, w której można by się zamknąć, wetknęła więc dwa palce w otwór, gdzie kiedyś tkwił cylinder zamka, przytrzymała drzwi, rozpięła dżinsy drugą ręką i wetknęła kopertę za majtki. Musiała puścić drzwi, gdy rolowała gazetki, to była „Evita Montonera”, jedno z najważniejszych podziemnych pisemek, nazwane na cześć zmarłej Evity Perón. Rozpoznała logo ich organizacji, karabin skrzyżowany z włócznią. Kiedy wetknęła rulon za pasek z tyłu, okazało się, że nie jest w stanie dopiąć suwaka. Musiałaby położyć się na podłodze, jak nastolatka w przymierzalni, lecz nie było na to miejsca. Brzuch jej wystawał, nie powinna była wkładać tych ciasnych spodni, co za idiotka z niej, ale nic z rzeczy, które przemyślała wcześniej, nie było takie sztywne i grube. Co jest w tej kopercie? W końcu udało jej się cudem dopiąć dżinsy, koszulkę wyciągnęła na wierzch.

Kartkę z adresem przeczytała trzy razy. Potem podarła ją i wrzuciła do sedesu. Mechanizm spłuczki był niesprawny, wypuszczał tylko odrobinę wody, choćby nie wiedzieć jak ciągnęła. Parę strzępów papieru wciąż pływało w muszli. Zawahała się. Potem rozpięła znowu spodnie, wyjęła kopertę i gazetki i się wysikała. Wytarła się serwetką, którą miała ze sobą, potem rzuciła ją na resztki adresu w Wilde. Papieru też nigdy nie było w toaletach Buenos Aires.

Ana czekała na nią w umywalni.

– To adres pewnego baru – powiedziała. – Zapytasz tam o Julia.

Ing-Marie dokładnie umyła sobie ręce, mydła nie było, długo więc trzymała je pod bieżącą wodą, by nie zdradziły jej ślady farby drukarskiej. Nie było nic widać.

– Tylko wpadnę do pensjonatu – powiedziała. – Przykro mi, ale muszę zmienić

spodnie. – Wskazała na swój brzuch, sterczący teraz jakby jeszcze bardziej.

– Powinnaś jechać od razu do Wilde.

– Pensjonat jest pięć minut stąd, na Avenida San Juan, autobusy stają tuż przed nim.

– Chcesz się wycofać?

– Nie.

– Zachowuj się tylko normalnie i spróbuj myśleć o czymś innym.

Ing-Marie widziała w lustrze ich twarze, jedną przy drugiej, miały prawie tę samą karnację, były równie szczupłe.

– Zastanawiam się, czy nie ściąć sobie włosów – powiedziała Ing-Marie – albo ufarbować na czarno.

– Nie ty jedna jesteś blondynką w Buenos Aires.

– Zawsze mam wrażenie, że się wyróżniam. Wydaje mi się, że ludzie przeglądają mnie na wylot, że mogą czytać moje myśli.

– To nie z powodu włosów, *gringuita* – powiedziała Ana i uśmiechnęła się jednym z tych swoich rzadkich uśmiechów, sprawiających, że Ing-Marie czuła łączącą je intymną więź, chociaż miały niczego o sobie nie wiedzieć.

– No to na razie – rzuciła i wyszła.

Zwyczajnie i naturalnie, dwie znajome, które spotkały się przelotnie w kafejce i rozstały się w przekonaniu, że wkrótce zobaczą się znowu.

Autobus trząsł niemiłosiernie. Tłoczyła się wśród mężczyzn o zniszczonej cerze, wśród woni nafty i spracowanych ciał, kobiet o zmęczonych spojrzeniach. Gdy dojeżdżali do stacji kolejowej, za oknem mignęły slumsy ciągnące się wzdłuż torów. Walące się szopy z blachy i tektury, *villa miseria*. Kiedy wysiadła, fawela runęła na nią. Dzieci w łachmanach i wyciągnięte ku niej ręce, zbyt wielkie oczy w małych twarzach. Chciała odwrócić wzrok, ale nie mogła. Przez sekundę ujrzała twarzyczki swoich własnych córek. Nie wyraźnie, raczej jako fantomy, takie, co kryją się w obrazie, a potem objawiają się jako jego prawdziwa treść temu, kto je potrafi dostrzec, lecz ona w tym momencie czuła ich obecność tak wyraźnie, jakby tam by-ły, ich dziwną miękkość i drobne, szukające usteczka. Czasem ich nie odróżniała, jakby obie były tym samym dzieckiem.

Ruszyła dalej, do dworcowego budynku, i słyszała, jak idą za nią krok w krok. *Señora, señora, por favor.*

Brzegi koperty ocierały jej pachwiny.

Znalazła tablicę, z której wynikało, że pociąg do Wilde odjedzie z peronu numer dwa za jedenaście minut. W drodze do kasy biletowej musiała minąć policjanta i dwóch innych mężczyzn w mundurach, których nie potrafiła rozpoznać. Ręce trzęsły jej się tak bardzo, że nie mogła wyciągnąć banknotów, ale w końcu kupiła bilet i wyszła na peron. W uszach rozbrzmiał gwizd sygnału, pisk szyn, kiedy pociąg zahamował.

Pół godziny później wysiadła na peronie w Wilde. Stacja wyglądała tak, jakby leżała w jakiejś sennej dziurze zabitej dechami, ale dokoła widać było wieżowce i niskie budynki pomieszczone bez ładu i składu, hałaśliwe ulice handlowe z gęszczeniem szyldów.

Znalazła bar, który zdawał się stać tam dłużej niż większość okolicznych domów. Błat baru z ciemnego drewna, a na ścianach bezładna masa reklam różnych alkoholi, wiszących krzywo zdjęć piłkarzy i proporczyków jakiejś białoczerwonej drużyny. Paru starszych klientów schylonych nad kuflami piwa, jakiś młodszy mężczyzna z gazetą sportową, odchylony do tyłu. Gdy podchodziła do baru, miała wrażenie, że ją obserwują.

Zamówiła kawę i szklankę wody mineralnej.

– Szukam Julia – rzuciła. Cisza w odpowiedzi.

Barman wytarł powoli szklankę i postawił ją przed nią, otworzył butelkę gazowanej wody.

Odwrócił się do niej plecami i zaczął przyrządzać kawę.

Dopiero gdy postawił przed nią filiżankę i dolał mleka, nie pytając nawet, czy chce, bąknął:

– Tam jest. – Uniósł brodę, wskazując mężczyznę, który siedział za nią z gazetą. Ing-Marie zauważyła zmianę w powietrzu, kiedy wstał – powiew wody po goleniu. Poczula też zapach psa, gdy pochylił się i oparł ręce o blat baru. Barman usunął się i zaczął opróżniać do wiadra popielniczki ze stolików.

– Dopij kawę – powiedział Julio – a potem pójdziemy.

Drżały jej nogi, kiedy stamtąd wychodziła.

Nikt nie wie, gdzie jestem, myślała, jeśli teraz zniknę, nikt tego nie zauważy.

Lekko jej się oddychało, w tym szaleństwie była jakaś wolność, taniec z niebezpieczeństwem, sprawiający, że krew krążyła szybciej.

Ana, pomyślała później. Ana wie.

Skęcili za róg, w ślepią uliczkę między domami bez okien i budynkami

magazynów. Mężczyzna podszedł do niedużej furgonetki. Z boku naklejka: *Fruta y Verdura*, owoce i warzywa. Obejrzał się w stronę ulicy, otwierając pomieszczenie ładunkowe, i kazał jej wskoczyć. Ing-Marie stała jak wryta.

– *Ponete las pilas* – wysyczał, lecz ona nie pojęła jego słów, to nawet nie był prawdziwy hiszpański, tylko jakiś miejscowy żargon, zrozumiała jednak jego ruchy głową i niecierpliwe spojrzenia rzucane na ulicę za nimi, zrobiła więc, jak kazał, i szybko weszła do środka. Drzwi zatrzasnęły się za nią, zapadł mrok, prawie kompletna ciemność. Usłyszała, jak silnik startuje, i poczuła, że auto się cofa.

To rzeczywiście była furgonetka do przewozu owoców, wokół niej trzęsły się drewniane skrzynki, a u jej stóp turlało się parę pomidorów. U samej góry tylnych drzwi było małe okienko, lecz kiedy spróbowała stanąć i przez nie wyrzeć, samochód zrobił ostry zakręt i nagle się przewróciła, uderzając biodrem o skrzynkę z pomarańczami.

Po paru kolejnych zakrętach straciła poczucie, ile już przejechali. Potem zaczęło ją mdlić od kołysania.

Gwałtowne hamowanie rzuciło ją w tył. Usłyszała, jak otwierają się drzwi kierowcy, i parę sekund później otworzyły się także te tylne. Na zewnątrz było jakieś pole i pusta droga. Przy paru szopach i stercie złomu paść się koń, prawdopodobnie znajdowali się na skraju jeszcze jednego *villa miseria*. Z drugiej strony widziała osiedle willowe, nieduże parterowe domki z cegły ogrodzone siatką.

Teraz zostanę zgwałcona, pomyślała i rozejrzała się między skrzynkami za czymś, czym mogłaby się bronić, jakimś żelastwem czy kawałkiem deski lub czymkolwiek.

– Wybacz – powiedział mężczyzna nazywany Juliem – ale muszę ci to założyć.

Trzymał w ręku chustę. Ing-Marie nie rozumiała po co. Przywołał ją niecierpliwym ruchem ręki. Zbliżyła się, a on przyłożył jej chustę do oczu i zawiązał.

– Dokąd mnie zabierasz? – zapytała.

Roześmiał się.

– Myślisz, że bym ci to zakładał, gdybym chciał, żebyś wiedziała?

Potem poprosił grzecznie, aby cofnęła się w głąb furgonetki, tak żeby mógł zatrzasnąć drzwi.

Było coś osobliwego w jego sposobie zwracania się do niej, wydawał się bardzo uprzejmy. Przypominał stewarda mówiącego pasażerom, żeby zapięli pasy, bo będą

turbulencje. Ten sam ton, właściwie.

W całkowitym mroku mdliło ją jeszcze bardziej.

Teraz naprawdę próbowała zarejestrować drogę. Nie pojechali daleko, zakręt w lewo, potem trochę wolniej, w prawo i zaraz znowu w prawo. Samochód stanął. Usłyszała, jak mężczyzna wysiada. Otwieranie bramy, furgonetka wjechała przez nią tyłem. Ścianka zatrzęsała się, kiedy otworzyły się tylne drzwi. Poprosił ją, żeby wysiadła. Chusta tak ciasno zasłaniała jej oczy, że nie widziała dziennego światła, poczuła tylko ciepło słońca i że jest na świeżym powietrzu. Wziął ją ostrożnie pod ramię i poprowadził kilka metrów, potem jakieś drzwi i głosy dobiegające gdzieś ze środka. Słyszała szczekanie psa i daleki szum samochodów, być może jakąś autostradę. Później drzwi wejściowe zatrasnęły się.

Musiła wyostrzyć zmysły. Odgłos ich kroków. Nie było echa, to nieduży dom. Willa? Słyszała, jak Julio rozmawia z kimś cicho, potem znów znalazł się koło niej. Chciała, żeby tam był. Nie zgwałcił jej, chociaż miał szansę, i dlatego ufała mu bardziej niż innym, których głosy słyszała gdzieś z dołu.

– Chodź – powiedział i wziął ją za ramię. – Teraz będzie parę schodków.

Przesuwając ostrożnie stopy, zeszła z nim na dół, do jakiejś piwnicy, poczuła gęsty dym papierosowy i obecność ludzi, i w tym momencie nie miała już wątpliwości, gdzie się znajduje.

Zdjęto jej z oczu opaskę, ale ona już wiedziała.

Siedzieli dokoła niej, jakiś mężczyzna leżał wyciągnięty na kanapie. Były też dwie kobiety i jeszcze trzech mężczyzn. Nie wyglądali tak bojowo, jak sobie wyobrażała, w luźnych koszulach i dżinsach, jeden z mężczyzn miał kamizelkę robioną na drutach z jakimś wzorem na piersi, do tego spodnie z gabardyny. Wstał. Niezbyt wysoki, ze starannie przyciętą brodą. Nawet trochę podobny do Che.

– Witaj – powiedział – zdaje się, że masz coś dla nas.

Ing-Marie prawie zapomniała o materiałach w majtkach. Wetknęła rękę za pasek i udało jej się wyciągnąć gazetki oraz kopertę bez konieczności rozpinania spodni. Podała mu obie przesyłki.

Mężczyzna wyjął z koperty kilka kaset magnetofonowych. Na stole stał odtwarzacz. Włożył do niego jedną i nacisnął start. Dźwięk był z mocnym pogłosem, jakby został nagrany w jakimś pustym kamiennym domu. Czyjś głos wypełnił pomieszczenie, był sugestywny i kusząco melodyjny, jakiś mężczyzna mówił o mundialu w czerwcu i o tym, jak wojskowa junta chce go wykorzystać w celach propagandowych, mówił też o wezwaniu do bojkotu i że istnieje tylko

jedna droga: rewolucja. Jedynie naprzód, ku zwycięstwu! Perón albo śmierć! Niech żyje ojczyzna! Ktoś wyłączył magnetofon. Julio gdzieś wyszedł, a może wcale tam nie wchodził.

Ten w kamizelce pogładził odtwarzacz.

– Radio Liberación – powiedział. – Dzięki tobie możemy nadać to przemówienie, mamy zasięg na osiem, dziesięć kwartałów, potem je wysyłamy dalej, ile kwartałów daje to na miesiąc? – Kiwnął głową w stronę niewielkiej skrzynki w kącie, która, jak Ing-Marie zrozumiała, była nadajnikiem.

– Trzysta – odrzekła.

Ile to było, jedna dziesiąta promila ludności Buenos Aires?

Uśmiechnął się.

– Nasz gość może jest głodny – powiedział i ruchem głowy dał znać jednej z kobiet. Ta odłożyła „Evitę Montonerę” i wstała.

Mężczyzna zaprosił gestem Ing-Marie, żeby usiadła.

Prawie opadła na krzesło, tak trzęsły jej się nogi.

Przez prześwit na końcu pokoju widziała broń leżącą na stole. Słyszała o podziemnych fabrykach, w których Montoneros mogli kopiować karabiny używane przez armię. Słyszała także, że przetrzymywali w swoich domach, „ludowych więzieniach”, porywanych ludzi, których następnie wymieniano na pieniądze idące na walkę. Mimowolnie zerknęła raz po raz na ciężkie drzwi wyglądające, jakby prowadziły do schronu. Mówiono o tym *ajusticiamiento*, kiedy guerilla skazywała kogoś na śmierć, dosłownie oznaczało to wymierzenie sprawiedliwości. Poczwała, że strasznie chce się jej sikać.

Na stole przed nią ktoś postawił talerz spaghetti i szklanę piwa. W tej samej chwili posypały się na nią pytania.

Kto jest twoim kontaktem? Ten „przyjaciel”, który chce nam pomagać, kim on jest, kim są jego kontakty? Mówisz, że chce przemycać broń, jaką broń? Może załatwić dokumenty, jakie dokumenty, kradzione czy sfałszowane? Kim są jego kontakty za granicą, w jakim kraju? Z jaką częścią organizacji miał kontakt wcześniej, czy to było w prowincji południowej, czy w Capital Federal, czy to była Columna norte? Kiedy wyjechał z Argentyny, kiedy wrócił?

Jakieś nazwisko, potrzebujemy nazwiska, kogoś, kto za niego poręczy.

Ing-Marie upiła trochę piwa.

Próbowała nawinąć spaghetti na widelec, ale wciąż jej spadało.

Wypiła jeszcze łyk.

Po każdym pytaniu mówiła: „tego nie mogę zdradzić” albo: „tego nie wiem”. Za każdym razem, kiedy to powtarzała, dręczyły ją wątpliwości. Czy powinna im dać, czego chcą, czy wciąż chronić Ramona, jaki to wszystko miało sens?

W końcu zapadła cisza.

Mężczyzna, który zadawał pytania i, jak się domyślała, był dowódcą grupy, *jefe* czy jak powinno się do niego zwracać, przysiadł na stole przed nią. Splótł dłonie między udami, kiwał się trochę w przód i w tył.

– A może nie ma żadnej broni – rzucił – może to tylko są fantazje.

Ing-Marie przełknęła ślinę. Ciągłe ją mdliło po podróży furgonetką, piwo nie polepszyło sytuacji. Była tylko posłańcem, oni muszą to zrozumieć, łączniczką, nieważną osobą, która przenosi wiadomości, niczym więcej.

– O tym musicie porozmawiać z nim – powiedziała. – Ja jestem tylko *mensajera*.

Usiłowała nie patrzeć na broń leżącą w sąsiednim pokoju, znowu poczuła, jak bardzo chce jej się sikać. Czy Che przypadkiem nie pisał o roli kobiet w wojnie partyzanckiej, że kobiety – *guerilleras* – wprawdzie mogą nosić broń tak samo jak mężczyźni, ale nadają się szczególnie dobrze do roli łączniczek? Nie mówiąc już o pocieszaniu i opiece nad rannymi *guerilleros*, i oczywiście gotowaniu, tak żeby przyszli rewolucjoniści nie byli skazani na obrzydliwą kaszę, którą pichcili sobie sami, gdy ukrywali się w górach Sierra Maestra. Che Guevara wymienił to jako najgorszą rzecz w całej kubańskiej rewolucji: że musieli jeść tę rozgotowaną breję uwarzoną przez Fidela i innych.

– On niedługo się ze mną skontaktuje – powiedziała z żarliwą nadzieją, że to prawda. – Mogę przekazać mu jakąś wiadomość.

A potem spytała, czy może iść do toalety. Ostatnia rzecz, jaką słyszała z pokoju w piwnicy, to przemówienie z taśmy, które teraz szło przez lokalną sieć telewizyjną, nadawane jako zakłócenie, o ile dobrze to wszystko rozumiała.

Gdy prowadzono ją z powrotem do furgonetki, znów zawiązano jej chustką oczy. I tak nigdy by tu z powrotem nie trafiła, choć teraz zobaczyła kilka metrów tego miejsca. Otynkowany na biało dom z bramą z żelaznych prętów, wysoki mur od strony sąsiedniej willi i fragment jej fasady z cegieł to wszystko, co zdążyła dostrzec, zanim ją poprosili, by z powrotem weszła między skrzynki z owocami.

Została wysadzona za jakimś fabrycznym budynkiem w pobliżu torów kolejowych. Przebiegła stamtąd sto pięćdziesiąt metrów do dworca, nie dbając o to,

czy ktoś ją zobaczy. Tam była toaleta. Zamknęła drzwi za sobą, co za szczęście, że dały się zamknąć!

Potem upadła na kolana przed sedesem i zwymiotowała.

JAKOBSBERG 2014

– Mogę wejść?

Uffe Rainer miał na sobie chyba to samo ubranie co poprzednim razem, obwisłe wojskowe spodnie i sprany podkoszulek z podwiniętymi rękawami.

– Mhm, okej – powiedział i nieco szerzej uchylił drzwi.

Szybko je zamknął, kiedy weszła.

W środku panował zaduch, stęchły zapach, jakby odchodów. Bała się tego: jest coś bardzo nieprzyjemnego w ludziach, którzy nie utrzymują czystości, zapuszczają swoje mieszkania. Helene zdjęła buty i rozważała, czy nie lepiej zostać w płaszczu. Napotkała spojrzenie małego zielonego ptaka na półce nad wieszakiem.

– O co chodzi? – zapytał Uffe Rainer. – Złapali tego, co to zrobił?

Blokował swoją wysoką postacią przejście w głąb mieszkania, zasłaniał światło padające z okien.

– Jeżeli chodzi ci o śmierć Charlie, to ona sama to zrobiła, to jest ustalone.

– Coś o tym widziałem w gazecie, no, tak niby twierdzą.

Uffe odwrócił się i ruszył do kuchni.

W lokalnej gazecie pojawiła się notatka, bez nazwiska, sama informacja, że śmiertelny wypadek na Aspnäsvägen nie był skutkiem żadnego przestępstwa.

Helene poszła wolno za nim, z płaszczem na ramieniu. Mieszkanie było dokładnie takie samo jak to Charlie, tylko rozplanowane odwrotnie, jak w lustrze. W kącie pokoju dziennego zobaczyła zrąbane bezlistne drzewo.

– Wspomniałeś ostatnio, że Charlie gdzieś wyjeżdżała – powiedziała. – Że cię prosiła, żebyś zajął się jej pocztą i mieszkaniem. Właściwie kiedy to było?

Wzruszył ramionami.

– No, już jakiś czas temu, bo co?

– Pod koniec marca, na początku kwietnia? Co powiedziała po powrocie?

– Niby o czym?

Helene wyjęła paszport Charlie.

– Była w Argentynie. Musiała ci coś opowiadać. Charlie nie należała do tych, co duszą w sobie, jak się w coś zaangażują.

– Czego właściwie chcesz? – zapytał tylko i odwrócił się, żeby zaciągnąć kotarę zasłaniającą wejście do pokoju. – Czemu mnie o to wszystko pytasz?

– Bo jej już nie mogę zapytać.

Uffe Rainer przejechał palcami po tkaninie. Była w czerwone kwiaty i zdawało się, że wisi tam od lat siedemdziesiątych.

– Nie wiem – powiedział. – Ona nie chciała o tym mówić. Czasem ją tak nachodziło i wtedy mnie nie wpuszczala. Nic na to człowiek nie poradził.

– Byliście parą?

– Na wszystko trzeba przyklejać jakieś etykiety? – Kiwał się niespokojnie, nie ruszając się z miejsca, tylko przenosił ciężar ciała z nogi na nogę. – To nie była kobieta, od której można czegoś wymagać albo nią kierować. Charlie miała wszystko, inteligentna, piękna, ona chciała czegoś lepszego niż to tu... – Kiedy zacisnął pięści, napięły się mięśnie jego nagich ramion. – Ten, co to zrobił... Ten, który ją zabił, zamordował wszystko, co było istotne. Ja bym na nią zaczekał, w końcu by zrozumiała, że na mnie może polegać, że nie jestem taki jak ci wszyscy inni...

Uderzył pięścią we framugę drzwi, aż zahuczało, a Helene aż się cofnęła. Nie wiedzieć czemu, nigdy nie bała się, że ktoś ją uderzy, jednak mężczyzna, który atakuje martwe przedmioty, to było co innego. Jakieś echo w niej, jakichś wybuchów i krzyku. Poczucie, że to ona mogłaby być tą ścianą.

– Policja zbadała wszystko – powiedziała. – Sprawdzili całe mieszkanie, jej billingi. Nic tam nie było.

– I ty sama w to wierzysz? Naprawdę?

Helene zmilczała, bo nie wiedziała już, co sądzić. To zabrzmiało zupełnie jak coś, co mogłaby powiedzieć Charlie. *Ale ty pomyśl czasem sama, Helenko, zdarzyło ci się kiedyś samej coś pomyśleć?*

Patrzyła na wystrój kuchni, szafki, chyba oryginalne, z lat siedemdziesiątych. Małe lampki w oknie, kaktusy. Stół sosnowy, z toczonymi nogami. Miały podobny w mieszkaniu, w którym dorastała.

– Popatrz na to – powiedział Uffe Rainer i wziął iPada z mniejszego stolika, włączył go i usiadł na krześle koło niej. Poczula jego zapach. Był ciepły i wcale nie

odpychający.

– To nie jest tak, że sobie coś wymyślam, są także inni, którzy wiedzą. Tylko ty błędzisz jak dziecko we mgle i wierzysz we wszystko, co powie ci policja.

Helene zobaczyła na wyświetlaczu tytuł, pochyliła się.

O ŻYCIU I TYM WSZYSTKIM, CO PO DRODZE

Było tam zdjęcie dość pulchnej kobiety, na pierwszy rzut oka trochę po czterdziestce, o długich blond włosach, i zdjęcia obsypanych kwiatami gałęzi wiśni. BLOG MONI, głosił napis. Palec Uffego przewijał tekst w dół, aż pojawiło się imię Charlie. Tytuł brzmiał: KIEDY UMIERA BLISKA DUSZA. Helene osunęła się na krzesło obok i przyciągnęła iPada bliżej siebie. Stare zdjęcie Charlie, z jej najbardziej punkowego okresu, z czarnymi, sterczącymi dziko włosami, zrobione w starej fotokabinie. Wepchnęły się tam we trzy, ich twarze całkiem wypełniały kadr. Helene mgliście rozpoznawała trochę starszą, puciołową blondynkę pokazującą język. Monię. Tekst opisywał jej szok, kiedy się dowiedziała, wysławiał Charlie jako „najlepszą i najbardziej zwariowaną przyjaciółkę, jaką w życiu miałam”.

Uffe przewinął tekst z powrotem w górę i zatrzymał się przy jakimś późniejszym wpisie.

Nagłówek brzmiał: CO ROBI POLICJA?

Monia była zbulwersowana tym, że tragiczną śmierć Charlie zbywa się jako samobójstwo, jeszcze nim minął tydzień. Policja nie raczyła nawet sprawdzić wszystkich informacji, jakie otrzymała, nie chciało im się nawet porządnie przesłuchać świadków, którzy wiedzieli coś na temat wydarzeń tamtej nocy.

Monia opłakiwała stratę i tęskniła za swoją starą przyjaciółką, lecz przede wszystkim była wściekła.

„Co to za policję mamy w tym kraju, która nie próbuje nawet wyjaśnić najcięższych przestępstw? Mówią, że odebrała sobie życie, ale oni nie znali jej tak, jak ja ją znałam”.

Helene odtrąciła dłoń Uffego i sama zaczęła przewijać dalej, przez całkiem inne posty o dietetycznych daniach i kryminałach przeczytanych przez Monię. Jakim cudem to przegapiła? Kilkakrotnie wygooglowała Charlie, szukając w sieci rzeczy, które należałoby pozamykać. Żadnego konta na Facebooku raczej nie miała, przynajmniej nie pod własnym nazwiskiem. Była natomiast grupa pod nazwą „My, którzy wyrosliśmy w Jakan”, gdzie jej śmierć dyskutowano parę dni później. „Czy ktoś z was wie, kto to wyskoczył z wieżowca na Aspnäsvägen w sobotę w nocy?”

Odpowiedź przyszła, jak wynikało z logowania, już po dwóch minutach. Jakaś kobieta napisała, że to Charlie, Camilla Eriksson. Ktoś inny opowiedział, że chodził równolegle z nią do podstawówki Kvarnskolan, a jeszcze inny zapamiętał ją jako „dziewczyne, szczerze mówiąc, dosyć bezczelną”. Obcy lub zapomniani ludzie, którzy pisali „spoczywaj w spokoju” i „nie znałam jej zbyt dobrze, ale to straszne, że coś takiego się wydarza, co to za społeczeństwo, w którym żyjemy?”. Ktoś inny wpisał: „Shit, chodziłam z nią do szóstej klasy”. W sumie sześćdziesiąt trzy posty, zanim ten wątek został zapomniany. Blog Moni przegapiła, pewnie dlatego, że pełne nazwisko Charlie pojawia się tam dopiero kilka tygodni po jej śmierci. Helene wtedy już przestała sprawdzać sieć.

Uffe podszedł do zlewu i napił się wody prosto z kranu. Na jeden z balkonów naprzeciwko jakaś starsza pani wystawiała kwitnące czerwienią wiosenne doniczki.

– Ja ci to mówię dlatego, że jesteś jej siostrą – zaczął powoli. – Więcej już tego nie powtórzę.

Helene odwróciła się. Stał, opierając się o zlew.

– Tej nocy przyszła do domu około drugiej. Powiedziałem policji, że już spałem, ale to nieprawda. Miała ze sobą faceta. Usłyszałem ich. Najpierw windę, a potem, jak ona śmiała się na klatce, wyjrzałem przez judasza i wtedy zobaczyłem jego plecy. A potem przecież człowiek leży i rozmyśla. Jak znowu usłyszałem coś na klatce, to wstałem wyjrzeć, ale nie zdążyłem nic zobaczyć. Popatrzyłem na podwórze przez lornetkę. Masa ludzi wybiegła z paru bram i wszyscy zbierali się akurat tu na dole. Najpierw jej nie widziałem, dopiero później, jak zszedłem. Leżała tam. Normalnie tam leżała.

Położył sobie dłoń na ustach, oczy szeroko rozwarte.

– Czemu skłamałeś im, że spałeś?

– Spietrałem się, nie wiem. Myślałem, że mnie przymkną, żebym...

– Żeby co?

– Już mniejsza o to.

– Ale jeżeli to jest prawda, to...

Kącikiem oka spostrzegła nagły ruch kotary i poderwała się na równe nogi. W powietrzu wrzask: „Zamknij się, Major Tom!”. Uffe wstał i wsunął rękę za draperię. Gdy ją wyjął, na dłoni siedziała mu papuga.

– Nic ci nie zrobi, tylko nie ruszaj się gwałtownie.

Pogłaskał palcem łeb papugi. Helene pomyślała, że ptakowi źle z oczu patrzy.

– Charlie je lubiła – powiedział. – Mówiła, że są piękne, bo symbolizują wolność. Zawsze gadała o czymś takim jak wolność i marzenia, zawsze o wielkich sprawach. Że poza życiem, którym tu żyjemy, są jeszcze różne inne, tylko że nie po śmierci, ale teraz, że my wszyscy nosimy w sobie coś wspanialszego, niż jesteśmy w stanie pojąć.

Poruszył dłonią tak, że ptak poderwał się i wylądował na żyrandolu.

– Rozpoznałeś tego mężczyznę? – spytała Helene. – Spotkałeś go już kiedyś?

– Widziałem go tylko od tyłu.

Popatrzyła na plecy Uffego Rainera, gdy podszedł do okna, i pomyślała, że to równie dobrze mógł być on. To jego opętanie osobą Charlie, ten jego dziwny ptasi świat. Dlaczego nie spał o drugiej w nocy, siedział i wyczekiwał? Dotarło do niej, że nikt nie wie, gdzie ona teraz jest, i że być może powinna się bać, ale czuła się raczej sprzymierzona z nim, jakby coś ich ze sobą łączyło.

– Był jeden taki gość – odezwał się. – Widziałem go parę razy. Nie razem z nią, więc nie wiem, czy się znali, ale któregoś dnia stał i gapił się na nią, kiedy wyszła. Tam dalej, za huśtawkami.

Ze swego miejsca Helene nie widziała dziedzińca ani nie chciała widzieć. Wie, jak wygląda. Asfalt przy płotku, gdzie przedtem była ciemniejsza plama i leżał kwiatek.

– Innym razem, parę dni później – ciągnął Uffe Rainer – znowu go widziałem, pod bramą. Wtedy nie zwróciłem na to specjalnej uwagi, tylko teraz, po wszystkim.

– Myślisz, że to on był tutaj tamtej nocy?

– Nie wiem. Może.

– Musisz powiedzieć to policji – rzuciła Helene. – Mogą wznowić śledztwo, mogą znaleźć tego człowieka, musisz go im opisać.

– Ja mam słabą pamięć do twarzy.

– Zadzwoń do nich.

– Oni mnie przymkną, nie kapujesz? – Zrobił dwa kroki w jej kierunku i poczuła, jaki jest wysoki, a ona sama tak fatalnie słaba. – Są jeszcze inne rzeczy, i oni to znajdą. Rozumiesz, co to jest siedzieć w zamknięciu, nie móc uciec? My uciekamy cały czas, i ty, i ja, i wszyscy, to jest ludzka rzecz. A jak cię zamkną, to przestajesz być człowiekiem. – Chwycił nagle jej dłonie. Uścisnął je i popatrzył na nie. Jego rozpacza tuż przy jej twarzy. – Przyrzekłem Charlie nie mówić o pewnych sprawach. To mnie obowiązuje do grobowej deski, nie mam nic innego. Znaczy,

teraz.

Impuls, by paść mu w ramiona, poczucie, że mogliby się objąć.

– Zaufaj mi! – wrzasnął jeden z ptaków.

– Muszę już iść – powiedziała Helene.

Z kosza na śmieci na Magnusvägen wystawała jakaś gazeta. „Aftonbladet” z przedwczoraj. Rycerz przywłaszczył ją sobie i ruszył w stronę parkowych ławek. Że wiadomości były już nieaktualne, to tylko lepiej, tak było spokojniej. Gdyby zapowiadano koniec świata, mógł już po wszystkim skonstatować, że świat jakoś przeżył swoje jutro.

Gitarę gdzieś zawieruszył albo ktoś mu ją ukradł, lecz obudziła muzykę w jego głowie i teraz jego dawni idole śpiewali mu w niej, kiedy chodził.

Yesterday's paper telling yesterday's news...

Stał przy ławce w parku Rycerskim, najpierw wytarł z niej wilgoć, złożył różowy dodatek sportowy i wsunął go sobie pod siedzenie, zanim usiadł.

Rycerz zawsze czytał gazetę od tyłu, zaczynał od ostatniej strony i od pogody minionych dni. Czy rzeczywiście świeciło słońce, jak zapowiadali? Jak było wczoraj, nie miał pewności, ale w tej chwili w każdym razie nie padało.

Przestudiował dokładnie program telewizyjny, jakby miał jakiś telewizor, następnie historyjki obrazkowe i ploteczki. Madeleine i Chris nie przyjadą tego lata z córeczką na Olandię, ku wielkiemu rozczarowaniu Silvii^[15]. Pisali też, że król bardzo się wykosztował na zeszłoroczne wesele. Wybulił na to z własnej kasy dwa miliony, można powiedzieć, że impreza jak się patrzy.

Czytał wszystko. To była uroczysta celebracja. Mężczyzna i jego gazeta, na ławce, w wiosenne przedpołudnie. Wiosna już przyszła na dobre i jego kumple wychodzili ze swoich kryjówek, niedługo piwo będzie smakować tak lekko i złościście, jak smakuje tylko latem na wolnym powietrzu.

Krótkie informacje z kraju i z zagranicy, na końcu już przemieszane. Pewna posłanka z partii chłopskiej pobierała podwójną dietę. W Mołdawii zaważyła się piłkarska trybuna. Dwadzieścia siedem ofiar śmiertelnych i kilkuset rannych. Przez moment zastanawiał się, gdzie właściwie leży ta Mołdawia. W Kolumbii strony konfliktu zmierzały do zawarcia pokoju. Pertraktowano o reformie rolnej, o tym i owym. Coś w nim drgnęło, kiedy przeczytał określenie „reforma rolna”, przepowiedział je sobie na głos. Teraz nieczęsto już się spotykało takie słowa. Biedni chłopci zostaną wreszcie uwłaszczeni, to o to partyzantka FARC podjęła walkę pięćdziesiąt lat temu. Przypomniał sobie początek tej wojny, to był czas, kiedy wszystkie takie ruchy społeczne miały zwyciężyć, nawet słowa zaczęły wypęłzać z przeszłości jak dżdżownice po deszczu, które nagle leżały na asfalcie

i przecież musiały się skądś wziąć, czy może znikąd, czy gdzie one tam przezimowały, pod śniegiem, w zamrożonej ziemi, niewidzialne, *venceremos...* zwyciężymy... *el pueblo unido jamás será vencido...* Spróbował nawet zaśpiewać kawałek, ale zgubił następne zdanie, to było dawno, a hiszpański nigdy nie był jego mocną stroną.

Słońce skryło się za blokiem, więc przeniósł się na inną ławkę. Jak zegar, to był wieczny ruch okrężny. Dzień miał mijać powoli, a słońce wędrować po nieboskłonie. Nie śpieszył się i nie przejmował się zawczasu nocą.

Luksusowe życie „kokainowych rodzin”. Wielki news, na całą rozkładówkę i jeszcze dwie następne strony. Tłuste nagłówki i małe czarno-białe zdjęcia tych cwaniaków, wszyscy mieli dosyć ponury wygląd, kiedy gapili się w obiektyw. Strzałki i rozgałęzienia pokazywały powiązania „familii”. To było ciekawe, prawie jak drzewa rodowe. Główną postacią była pewna kobieta, potem jej były mąż, który przemycił do kraju 1,4 tony kokainy, i jego nowa żona, odpowiedzialna za składy towaru, i jej przyrodni brat, on także uczestniczył w wyprawie przemytniczej, na której ostatecznie wpadli, do tego jeszcze kuzyn i jego była dziewczyna, kierujący spółkami, w których pieniądze za kokainę były prane, by mogły finansować owo luksusowe życie, toczące się podobno w pewnym dworku w Närke i w luksusowej willi w Saltsjöbaden, w mieszkaniach w Londynie i Marbelli oraz na jachcie w Czarnogórze i w różnych europejskich kasynach.

Aż się skończyło w sztokholmskim sądzie rejonowym, gdzie właśnie wniesiono oskarżenie.

Ten kuzyn.

To na jego zdjęcie Rycerz gapił się, czując, jak ścina go mróz, jakby wróciła zima z całym swym okrucieństwem i rozchodziła się po palcach rąk i nóg, poczuł wręcz, jak go boli czubek przemrożonego nosa, i musiał wstać, poruszać się, cisnąć na ławkę tę cholerną gazetę i chodzić w tę i we w tę po alejce, wrócić do ławki, żeby podnieść gazetę i spojrzeć na zdjęcie jeszcze raz.

Dygotały mu ręce, gdy ją trzymał.

Mężczyznę nazywano po prostu Kuzynem. Na niezbyt ostrej fotografii prowadzono go do sali sądowej na rozprawę, głowę miał zasłoniętą jakąś czarną płachtą. Nie to jednak było ważne.

Inny mężczyzna, tuż za Kuzynem. Wyglądał tak, jakby przystanął i wbił wzrok w fotografa, gapił się prosto z gazety.

Ta jego twarz. Te oczy. Ogolona czaszka i twarde spojrzenie, gość był niższy od

innych dokoła, ale szerszy niż Rycerz. Jego głos zmroził go w centrum Jakobsberga tamtej nocy, oznaczał problem i że może boleć. *Czego chcesz? Znasz go?*

Zdjęcie w gazecie nie mogło nic mówić, to wariactwo, to jakaś jego paranoja, wiedział, że ten głos jest tylko w jego głowie, choć miał wrażenie, że tamten porusza ustami.

Charlie odeszła z tym facetem, tego był pewien. To nie była paranoja. Widział, jak szli w stronę Aspånäs. A potem ona już nie żyła.

Gazeta trzęsła mu się tak, że musiał trzymać ją przy samej twarzy, kiedy czytał. Kuzyn miał czterdzieści dwa lata, mieszkał w Vällingby^[16], wcześniej działał w branży jachtowej. Wspomniano coś o spółkach w Szwajcarii i funduszach takich i siakich. Nic o facecie, który na zdjęciu szedł tuż za jego plecami, ni to krewny, ni kto, bez nazwiska, ale za blisko, żeby być byle kim.

Gdy wyrwał stronę, złożył ją i wetknął sobie do kieszeni spodni, Rycerz poczuł, że drżą mu nogi. Wychodząc z parku szybkim, wydłużonym krokiem, cały czas oglądał się za siebie.

Helene podjechała pod żywoplot przy Hemmansvägen 10 i zatrzymała auto. W prospektach nazywano tę dzielnicę Miastem Marzeń, gdy zaczynano ją budować pod koniec lat sześćdziesiątych. Rozległe osiedla willowe na prastarych poletkach i wzgórzach, z nazwami ulic wziętymi z zamierzchłej chłopskiej tradycji, takimi jak Rågängen i Ensittarvägen, o których sama nie wiedziała, co właściwie znaczą.

Wysiadła i powoli podeszła do domu. Nazwisko Wallner na skrzynce pocztowej. Willa była w kolorze rudożółtym, ale poza tym identyczna jak ta obok, jak wszystkie domy po tej stronie drogi. Prostokątne pudła stojące na zboczu, suterenowe budynki, które pod koniec lat sześćdziesiątych były szczytem nowoczesności. Przypominała sobie mgliście, że ktoś z jej klasy mieszkał na drugim końcu tej ulicy, dziecko z willi; był jakiś kinderbal i podziwiała wielki dom, już samo to, że mieli wewnątrz schody, poczucie czegoś innego i nieosiągalnego.

– No super, że się odezwałaś.

Monia była niska i nieco bardziej pulchna niż na zdjęciach z bloga, ubrana w krzykliwy róż, który opinał ciasno ciało i uwydatniał całkiem prawdziwy wielki biust. Na e-mail wysłany przez Helene odpowiedziała błyskawicznie. Teraz się jej przyglądała, badawczo, z lekkim uśmieszkiem.

– Nigdy bym cię nie poznała, ale ja przecież cię pamiętam jako małą smarkulę.

Całkiem jesteście niepodobne.

Helene zdjęła wierzchnie okrycie na podeście między kondygnacjami. Drzwi do sypialni na parterze były zamknięte. Monia weszła po schodach na górę, a potem do kuchni, nie przestając wciąż mówić; podniosła tylko trochę głos.

– Sama bym się do ciebie odezwała, ale nie wiedziałam, jak się teraz nazywasz, a z tą waszą przybraną matką to według Charlie było coś nie bardzo, więc czytałam codziennie gazety, żeby nie przegapić nekrologu.

Wyszła z kartonem różowego wina pod pachą i z dwoma kieliszkami.

– Ustaliliście już termin?

Helene zeszywniała.

– Rozumiem, że to musi potrwać, w tych okolicznościach – ciągnęła dalej Monia, stawiając karton na stole w salonie. – Jasne, że jak policja jest w to zamieszana, to zawsze więcej formalności i w ogóle, ale dla ciebie to też chyba trudne, że nie możesz pochować siostry. Myślę, że ceremonie są dla nas ważne, żebyśmy mogli dojść do siebie, ale ja bardzo chciałam z tobą przedtem pogadać.

Helene wzięła od niej kieliszek, chociaż nie zamierzała pić. Przysiadła na skraju narożnej kanapy. W tych domach były kiedyś specjalne gumowe sufity, nie wiedzieć czemu o tym pomyślała i popatrzyła w górę, żeby uniknąć wzroku Moni. Sufit wisiał jakby luzem, przypuszczalnie był plastikowy, ale miękki jak guma i śmiertelnie niebezpieczny w przypadku pożaru. Na tamtym kinderbalu szturchali go kijem od szczotki. Cały sufit się huśtał. Teraz był zastąpiony twardymi białymi płytkami.

– Pogrzeb już się odbył – powiedziała.

Monia gapiła się na nią, rozdziawiwszy usta.

– Co ty, kurde, mówisz?

– Dwa tygodnie temu. Uznaliśmy... uznałam, że trzeba to mieć za sobą. Żeby iść dalej.

– Pochowałaś Charlie, a ja nic o tym nie wiedziałam?

– Kremacja – dorzuciła cicho Helene.

– O kurde. – Słyszała, jak Monia chodzi tam i z powrotem, robi pauzę na łyk wina w środku zdania. – I nie przyszło ci do głowy, że mam prawo się z nią pożegnać?

Zdawało się, że to jedyne, co można było wtedy zrobić.

Tylko ona i Barbro tam były, i oczywiście ksiądz. Rycerz dostał karteczkę

z zapisanym terminem i miejscem, poprosiła nawet księdza, żeby zaczekał parę minut po wyznaczonym czasie, mimo że zaraz potem miał być inny pogrzeb i tamci goście już zaczęli się schodzić, o lasce i z balkonikami, ale Rycerz się nie pojawił. Sama musiała złożyć obie róże. Pustka roztaczająca się dokoła nich, echo ich kroków, gdy obchodziły trumnę, najpierw Helene, zaraz za nią Barbro. Nie wiedziała, co ma powiedzieć, wymamrotać tam, u wezglowia trumny. Żegnaj? Przepraszam? Jest ci teraz lepiej?

Chyba to ma się na myśli, kiedy mówi się, że ktoś miał cichy pogrzeb. To nic niezwykłego, to utarte powiedzenie.

Cichość.

To słowo przestraszyło ją, kiedy je zobaczyła w próbnej wersji nekrologu, zmieniło sens na jej oczach. Cisza i kość. Nekrologu ostatecznie nie wysłała.

Ciało zostało skremowane, zamienione w popiół, który później zostanie wysypany z urny w ziemię, zawiadomienie miało nadejść pocztą.

– Że jej kumpelki zepsują tylko elegancką ceremonię, czy o co ci chodziło?

Monia pociągnęła nosem i wlała więcej wina do swego kieliszka.

– Myśmy się znały prawie trzydzieści lat. Rozumiesz, jaki to szmat czasu? Charlie miała jakieś trzynaście lat chyba, ja szesnaście, jak przyłączyła się do naszej paczki, ale ona była najdziksza z nas wszystkich, i najodważniejsza. Ona była tym wszystkim, czym się chciało być, choć młodsza, nikogo nie pytała o żadne pozwolenie, nikomu nie dawała sobą pomiatać. I była szybka... – Monia roześmiała się – zawsze zdążyła zwać. Strażnikom czy gliniarzom, myk, i jej nie było, za to mnie często łapali.

Helene upiła łyczek wina. Spróbować poczęstunku to zaakceptować tego, kto częstuje, odmowa byłaby uznana za arogancję. To nie był moment, kiedy mogłaby powiedzieć: „nie, dziękuję, prowadzę”.

– Przykro mi – bąknęła.

Monia opadła na kanapę.

– Więc teraz już nic nie ma, tylko kupka popiołu. I temu skurwielowi się upiecze. Nie pomyślałaś nawet o tym? – Jej głos z biegiem lat stał się ciemniejszy i trochę chrapliwy, taki, któremu trudno się sprzeciwić. – To nie była tylko twoja siostra, ty zresztą nigdy nie byłaś z nią szczególnie blisko, bo ty wyniosłaś się do miasta, zrobiłaś karierę, gardziłaś nami, które tu zostały. To był także materiał dowodowy.

– Zrobili obdukcję. Nic nie wykazała.

Helene poczuła się nieswojo. Co ta kobieta może o niej wiedzieć? Nic, oprócz tego, co Charlie jej przekazywała, *gardziłaś nami, które tu zostały...*

– Może dlatego, że szukali nie tego, co trzeba – ciągnęła Monia. – Są setki takich przypadków, że wykopują ciało i robią nową obdukcję, bo wiedzą dokładnie, czego mają szukać, jakiejś substancji czy fragmentu DNA czy czegoś tam.

– Być blisko z Charlie to nie było takie łatwe – powiedziała cicho Helene.

Monia przyjrzała się jej. Potem zarżała śmiechem.

– Oj, Bóg mi świadkiem, że niełatwe – przyznała. – Na dłuższą metę chyba nikt z nią nie wytrzymał, czasem nie spotykałyśmy się przez parę lat, bo ja normalnie z nią nie wyrabiałam.

– To już się nie przyjaźniłyście?

Monia pokręciła głową.

– Przyjaźń to może za dużo powiedziane. Charlie przestała się do mnie odzywać, jak z powrotem zesłam się ze Stefanem, a to już przecież parę lat. –

Spojrzała zezem na Helene. – A może to i ja przestałam. Nie chcę jej obgadywać, ale Charlie zawsze musiała krytykować czyjeś życie: „Robisz to z pasji czy tylko po to, żeby mieć poczucie bezpieczeństwa?”. Rozłożyła z rozmachem ręce, o mało nie przewracając kieliszka. – A co jest złego w poczuciu bezpieczeństwa?

Helene wyjrzała przez okno; działka schodziła ku polu. Dalej widziała światła osiedli HSB^[17] – Wibbla Äng i Västerby, gdzie kiedyś sama mieszkała, szkoły leżące po drugiej stronie rozłogu. Mgliste wspomnienie, że Monia wcześniej miała dziecko, jeszcze w liceum. Zdziwiła się, że pamięta takie rzeczy, że wszystko wciąż tam jest, gdzieś w głowie.

– To musi być jakiś szalenciec – ciągnęła dalej Monia. – Wiesz, czemu tak myślę? Motyw! Mówiąc całkiem szczerze, mogło być tysiąc powodów, żeby chcieć zaciukać Charlie. Że oszukała kogoś finansowo, pożyczyła kasę i jej nie oddała, na przykład mnie jest winna pięć tysięcy od kilku lat, ale nie przejmuj się, nie mam zamiaru upominać się o zwrot. Jakiś facet, co go puściła kantem, no, rozumiesz. Ale to się i tak nie trzyma kupy. Wszyscy kochali Charlie. Człowiek był gotów dla niej zrobić wszystko.

Monia umilkła, gdy na dole trzasnęły jakieś drzwi.

– Chociaż właściwie to powinnaś pogadać z Tessą – rzuciła cicho. – To ona ją widziała, a policji nic to nie obchodzi, tak mnie to, kurde...

– Tessa?

– Terese, moja córka. Tego wieczoru była w klubie. – Monia wstała, lecz zatrzymała się w drodze do przedpokoju. – Właściwie nie chcę z nią rozmawiać o rzeczach związanych ze śmiercią... Zachowuj się tylko zwyczajnie, jak gdyby nigdy nic, proszę cię.

– To znaczy co, dlaczego?

– Nie słyszałaś, co jej się przytrafiło parę lat temu?

Helene myślała gorączkowo, czy powinna była słyszeć?

Monia przysiadła na skraju stołu i ściszyła głos. Mówiła tak, jakby opowiadała o pogodzie, ale na twarzy miała smutek i jakby ciężar na ramionach.

– Tessa była wesołą dziewczyną, zanim to się stało. A teraz trudno nawet ją namówić, żeby gdzieś wyszła, zabawiła się, taka zrobiła się ponura, zamyślona, całkiem inna niż kiedyś. Rozmyśla o świecie, o tym, jak żyjemy, boi się, że Stefan albo ja umrzemy.

– A co się stało?

– Była w Hiszpanii ze swoim ojcem, byliśmy wtedy w separacji, i weszła do wody, prosto na jakiegoś trupa. Człowiek by wolał, żeby jego dziecko nie musiało przeżywać czegoś takiego, nie? No, ale w każdym razie żyje, w odróżnieniu od tamtego, więc niby nie ma co narzekać.

Westchnęła i zeszła po schodach. Otwarcie drzwi na dole, potem szmer rozmowy. Helene wstała i podeszła do okna. Zaczęło zmierzchać, czarne cienie jabłonek pod domem.

– Mama mówi, że pani chce usłyszeć, co pani siostra robiła w Rycerzu Jakobie.

Tessa była o głowę wyższa od matki, sportowa sylwetka, dorosła kobieta w każdej innej sytuacji. Włosy tlenione, prawie białe.

– Chętnie, prosiłabym – powiedziała Helene.

Terese usiadła w obitym na biało fotelu i podwinęła nogi pod siebie.

– Za bardzo to nie wiem, ale wyglądało, że jest tam z takim jednym starszym gościem, ale potem wyszła na parkiet całkiem sama. To było dosyć obciachowe, no wie pani, koleżanka mojej matki... Nie była, że się tak wyrażę, specjalnie dyskretna.

Helene usiadła z powrotem na kanapie.

– A potem przyszedł tamten drugi facet i stał jakby przed nią, a ona tylko dalej tańczyła jak jakaś...

– Ej, stop. – Monia podniosła rękę. – Nie ma nic złego w tym, że ktoś da czadu

na parkiecie, dorosłe kobiety też mają do tego prawo, okej?

– Przecież mówiłaś, że mam opowiedzieć.

Terese przewróciła oczami, grymas pokazujący, jaką idiotką jest jej matka. Jak nastolatka, pomyślała Helene, dziecko czy dorosła, czy gdzieś na ziemi niczyjej, pośrodku, dwudziestopięciolatka, która wciąż mieszka u mamy, wieczna małolata.

– Opowiedz, co było potem – poprosiła Monia.

– No właśnie miałam zamiar. – Terese zwróciła się demonstracyjnie ku Helene.

– No więc wyszła stamtąd z tym drugim. Przyfilowałam tego gościa, co siedział w barze, oni przecież siedzieli przedtem o tak, blisko... – Terese uniosła dłoń, trzymając ją parę centymetrów od swojej twarzy. – Tak jakby byli ze sobą, albo przynajmniej na randce, no i najpierw on tylko siedział i gapił się za nią, jak wyszła, a potem wstał i poszedł za nimi, pomyślałam, że teraz będzie miała problem. Tak się nie robi, że przychodzisz z jednym gościem, a potem wyhaczasz innego.

– Jak on wyglądał?

– Który z nich?

– Ten, z którym wyszła.

– Nie wiem, chyba nieźle. Trochę jak Sean Penn, tylko że starszy. Chociaż Sean Penn też już jest stary. Nie za wysoki, ogolona czaszka.

Helene wciągnęła głęboko powietrze, zamknęła oczy. Co on powiedział, Rycerz? *Tamten kolo to nie był miły facet...* Myślała, że pomylił dni, albo że zmyślał, albo mu się zwidziało. Czy to by coś zmieniło, gdyby tę jego historię przekazała dalej? Oczyma duszy zobaczyła centrum Jakobsberga, kamienne płyty na szerokim placu Rycerskim, który zwężał się między butikami, a potem bloki czynszowe, chodniki dalej, w stronę Aspñäs. Cienie, postacie, idące razem, tuż przy sobie.

– A jak wyglądał tamten drugi mężczyzna, znaczy ten pierwszy?

Sama słyszała, jak głupio brzmią te jej pytania, co to ma być, śledztwo policyjne bez policji, szukanie po omacku czegoś, czego się można chwycić? Jakiegoś rysopisu, wyjaśnienia, czegokolwiek.

Terese wzruszyła ramionami.

– No, ja tam byłam z koleżankami.

– Ale zastanów się – jej matka nie dawała za wygraną – to jest ważne.

– Myślisz, że sama nie wiem? – Terese poderwała się z fotela. – Myślisz, że nie

obchodzi mnie, że ktoś umiera, czy co ty se właściwie myślisz? Mogę już iść, czy jak?

Monia machnęła ręką, jasne, spadaj.

– Dziękuję – zawołała za nią Helene. – Dzięki, że mi opowiedziałaś.

Siedziały obie, milcząc, aż ucichły kroki na schodach i na parterze zamknęły się drzwi. Monia westchnęła, przeciągnęła dłonią po twarzy, pomasaowała sobie szyję.

– Tak to wygląda cały czas, ale co zrobić? Przez pierwsze lata tyle mówiła o śmierci, że człowiek bał się, żeby... no wiesz. Przenieśliśmy się tu, na górę, do pracowni, a Stefan na dole przebudował, żeby miała tam jakby mieszkancko, z własnym wejściem, łazienką, kuchenką... Co mieliśmy zrobić? Wyrzucić ją z domu? I rozwieść się nie możemy, bo obiecaliśmy jej, że tym razem już ze sobą zostaniemy, chcieliśmy dać jej tę stabilność. I jeszcze przysięgaliśmy, że to nie ze względu na nią, żeby jej tym nie obarczać.

Podniosła się ciężko i potrząsnęła trochę kartonem, wycisnęła z niego jeszcze jeden kieliszek.

– Poczęstować cię czymś jeszcze?

– Nie, dziękuję, muszę zaraz już jechać.

Myśl o powrocie do domu była nieodparta. Spotkać się z mężem i dziećmi, to był piątkowy wieczór, czas na rodzinny relaks i chipsy, i *Taniec z gwiazdami* albo inny program w telewizji.

– Może da się znaleźć tych mężczyzn – powiedziała – jeśli policja...

– Zapomnij o policji – przerwała jej Monia. – Oni nic nie robią, chcą tylko poumarzać jak najwięcej, bo tak będzie taniej i lepiej wygląda w statystykach. Kobieta nie żyje, samobójstwo, koniec, kropka. Zadzwoiłam i powiedziałam, co Terese widziała, ale oni olali to po prostu. W gminie nie ma już nawet prawdziwej komendy, na siedemdziesiąt tysięcy mieszkańców, to się, kurde, w pale nie mieści.

Helene zamknęła oczy. Spróbowała wywołać obraz Charlie w knajpie, tańczącej tak jak zawsze tańczyła, bezgranicznie, świadoma tego, jak porusza każdą częścią ciała, tak żeby ściągnąć na siebie wszystkie spojrzenia. Charlie opuszcza knajpę, idzie przez centrum. Jakiś mężczyzna obok niej. Ludzie kręcą się wokół nich, nieświadomi, co się dzieje.

– To na pewno była randka – powiedziała Monia.

Helene podniosła wzrok.

– Czemu tak sądzisz?

– Bo kogo mogła spotkać w Rycerzu Jakobie? Teraz tam chodzi sama młodzież.
– Zaczęła się śmiać. – Przepraszam, ale czy to nie byłoby typowe dla Charlie? Upiec dwa ciacha na jednym ogniu, jak mawiała?

– O czym ty mówisz?

– No, nie rozumiesz? Może się umówiła z nimi obydwoma?

– Jak to?

– No przez internet oczywiście, no bo jak?

– Ja kompletnie nie mam pojęcia, jak to działa.

W kąciку ust Moni pojawiło się coś szelmowskiego.

– Wierna aż do grobowej deski, co? – Przysiadła w rogu kanapy. Telewizor na parterze grał głośno, córka nie miała szansy jej usłyszeć, mimo to Monia i tak ściszyła głos. – Charlie mi poradziła, żebym wypróbowała Romans.se. Ona sama wcześniej przetestowała Match.com, ale to było zbyt serio jak na nią, tak mi powiedziała, i to prawda. Romantyczne wieczory i miłe długie spacerzy, bratnia dusza na całe życie, takie rzeczy. Trochę żeśmy o tym gadały, wymienialiśmy doświadczenia, że tak powiem.

– Myślałam, żeście się nie spotykały.

– Czasem gdzieś na nią wpadłam, ostatnio tutaj, w centrum, i poszłyśmy na kawę do Sans Rival, jakoś zimą, chyba w lutym, bo leżało sporo śniegu, chodziło się w puchowych kurtkach. Charlie chwaliła się, ile to miała odwiedzin na swojej stronie, wiesz, jaka ona jest... Przepraszam, znaczy była. Jakiś dwudziestosiedmiolatek, co się w niej durzył, i takie tam historie.

Helene spojrzała w okno, w którym nic nie było widać poza odbiciem saloniku – na dworze panował już mrok. Obraz Charlie przy komputerze, w pogoni za miłością gdzieś w wirtualu, czy jak? Przypomniało jej się parę zdań... *jak strumień lawy płynącej przez jej ciało, a potem chłód, gdy on się odwracał, a między jednym a drugim nie było już życia...* Przeczytała to na kartkach znalezionych u niej na stole. Ale nagle dotarło do niej, że w mieszkaniu Charlie nie było przecież żadnego komputera, musiała więc wisieć na komórce i w ten sposób wyszukiwać sobie mężczyzn, a komórki też nie znaleźli.

– Powinnaś kiedyś spróbować – powiedziała Monia i westchnęła. – Choćby po to, żeby poczuć, że ktoś inny o tobie fantazjuje, kiedy ty idziesz do łóżka z własnym starym. Do tego wcale nie trzeba się z nimi spotykać. – Opadła na oparcie kanapy i pieszczotliwie przeczesła sobie dłonią włosy. – Choć trzeba przyznać, że czasami cholernie trudno się powstrzymać.

Światła latarni z ulicy sięgały wysoko i kładły cienie na parkiecie. Ostrożnie, niemal bezdźwięcznie pozamykała drzwi, zostawiając za sobą nieregularne oddechy rodziny: te dziecięce, trochę szybsze i lekkie, i Jockego, nieco zachrypłe, na granicy chrapania.

Zawiązała szlafrok i usiadła przy stole w kuchni. Otworzyła swojego laptopa i wpisała „Romans.se” w pole adresowe.

W sekundę potem ekran zapełnił się parami, które śmiały się do siebie i zapewniały, że znalazły szczęście właśnie tutaj.

U góry okienko: „Utwórz własny profil i szukaj wśród tysięcy singli”. Helene wciągnęła głęboko powietrze. Ten świat zaludniały nicki i pseudonimy, nikt nie może się nigdy dowiedzieć, kim ona jest naprawdę.

Nazwała siebie „Kobieta123” i wpisała swój rok urodzenia. Podała, że szuka mężczyzny w tym samym wieku, plus minus pięć lat.

Jeszcze kilka kliknięć i zobaczyła przed sobą szereg mężczyzn wszelkiego autoramentu. Jeden opierał się o swój motocykl, inny pokazany z wiatrem we włosach i wielu więcej zupełnie bez włosów, artystyczne czarno-białe portrety obok marnych domowych fotek przed komputerem i prawie tyle samo pustych ramek, tych, którzy nie mieli odwagi albo nie chcieli pokazywać swojej twarzy. „TwójtylkoTwój” i „Lew”, „Tomp666” i „Włóczyki”. Według licznika 3237 mężczyzn singli było w tej chwili online, o drugiej dwadzieścia dwie w nocy. Zastanawiała się, czy wszyscy cierpią na bezsenność, czy mają pracę i co robią, żeby móc z rana wstać.

Ekran błysnął i wyskoczyło na nim „cześć, ty też nie śpisz?”. Helene wzdrygnęła się, impuls, żeby się schować. Nie napisała o sobie jeszcze ani jednego zdania, żadnego info na wabię, kim jest i czego oczekuje, a tu już ktoś szuka z nią kontaktu. Wystarczyło tam być. Zalogować się, być „Kobietą123”. Dało jej to wyobrażenie o desperacji, o tęsknocie. I choć wcale nie chciała, a nawet na samą myśl czuła lekkie mdłości, kliknęła jednak w link do profilu mężczyzny.

„Wysportowany, energiczny, lat czterdzieści parę, pragnie od życia czegoś więcej”.

I w następny.

„Szczerze mówiąc, nie jestem raczej typem, który musi szukać kobiet w takich miejscach jak to, ale byłbym przecież idiotą, gdybym nie spróbował”.

Helene czytała dalej, następną stronę i następną, zastanawiając się, co zrobić, żeby znaleźć mężczyzn wybranych przez Charlie, czy to w ogóle jest możliwe bez

policyjnych uprawnień albo technicznej wiedzy i zdolności na poziomie hakera. Wkrótce zgubiła się w rachubie, ilu odwiedziła i ile straciła kolacji, które chciano przyrządzić specjalnie dla niej, lub chociaż wyjść razem z nią na piwo, побыć na świeżym powietrzu, cieszyć się sobą nawzajem i trochę się poprzytulać. Ile widziała zdjęć mężczyzn obok ich motorów, na moście Golden Gate lub w jakimś barze na południu Hiszpanii, na jachcie wypływającym w morze.

Zauważyła, że zdjęcia tych, których odwiedziła, pokazują się w długim szeregu na jej własnym profilu. Sekundę potem jeden z nich znów się pokazał. I jeszcze jeden. Cofnęła się odruchowo. Nie spali, byli tam. Zobaczyli, że ich odwiedziła, a teraz sami chcieli sprawdzić, kim ona jest.

Miała pewne pojęcie o tym, jak to działa. Nie była komputerową kretynką, przez całe swoje dorosłe życie używała tego sprzętu w pracy i wiedziała, że nie ma tam nic magicznego, tylko jedynki i zera, i informacje łączące się wedle uprzednio zaprogramowanych wzorów, które ktoś wymyślił. Maszyna pokazuje to, co program wyliczył, że chcesz zobaczyć. Sprawa była prostsza, kiedy myślała o niej czysto matematycznie. Nie było nic przypadkowego w tym, których mężczyzn zobaczyła, ani w tym, którzy zobaczyli ją.

Aby móc trafić na facetów Charlie, musiała tylko znaleźć ją w wirtualu. Właściwe linki już tam będą, i wzory, ich autoprezentacje, aż po najmniejsze hobby i zwyczaje treningowe.

Wróciła do strony startowej, „Utwórz własny profil”.

„Mężczyzna123” był już zajęty, a więc nazwała się „FacetABC”, najprostsze imię użytkownika i równie prymitywne hasło.

Zakreśliła, że szuka kobiety od lat trzydziestu pięciu do czterdziestu pięciu. Uderzyła ją myśl, że Charlie mogła kłamać, podając swój wiek, dlatego obniżyła dolną granicę do trzydziestu dwóch.

Była teraz mężczyzną, lat 41, który szuka kobiety, najchętniej w tym samym mieście.

I oto stały tam w szeregu. Przejrzała pośpiesznie zdjęcia, kliknęła w przycisk „dalej” i otrzymała kolejne dwadzieścia anonsów, i kolejne. W tym słabym świetle bolały ją oczy, kobiety migąły jedna za drugą, blondynki, brunetki, chude jak szczapy i przy kości, uśmiechnięte i melancholijne.

Wstrzymała oddech, kiedy na ekranie zobaczyła Charlie.

Mały prostokąt pośród innych. Jedna spośród tysięcy.

Czarno-białe zdjęcie. Nie to samo, które leżało na komendzie, ale zrobione przy

tej samej okazji. Tu spoglądała patrzącemu prosto w oczy, zachęcając, aby się zbliżył. Usta leciutko rozchylone.

Nazwała się „Billie Jean”. Ostatnia aktywność: ponad miesiąc temu.

Dłoń Helene lekko zadrżała, gdy otwierała stronę.

Dwie minuty później wiedziała o swojej siostrze coś więcej. O jej tęsknotach i marzeniach, i jej talencie do manipulacji.

Na Romans.se Charlie była trzy lata młodsza niż w rzeczywistości – pisarka, eksmodelka, która wiodła awanturnicze życie, a teraz zatęskniła za prawdziwą namiętnością. Najważniejsze w życiu są „miłość i ty”. Seks jest „bardzo ważny”, podobnie jak uczciwość; chciała pojechać do Nowego Jorku i Nowej Zelandii, wspinać się w górach i żyć pełnią życia, może właśnie z tobą.

Dalej Helene nie zaszła. Żeby móc zobaczyć, z kim Charlie się kontaktowała, musiałyby się zalogować jako ona, a raczej jako Billie Jean. Zaczęła od najprostszyc haseł: ABC i 123, i ostatnich cyfr w numerze osobowym Charlie. Potem wpisała jej rok urodzenia, kod do domofonu... Na szczęście wyglądało na to, że logując się na Romans, można było próbować bez końca.

Nagle jęknięcie z pokoju Maltego oderwało ją od komputera. Spał głęboko, tylko mamrotał coś przez sen. Helene posiedziała chwilę na skraju jego łóżka. Miała wrażenie, jakby się w ostatnim czasie oddaliła od dzieci i od Jockego. Czasami, z pewnego dystansu, zdawali jej się podobni do postaci, które umieszczała w prospektach nowych osiedli mieszkaniowych: rodzina, *świadoma i nowoczesna*, ale nie całkiem rzeczywista.

Pogłaskała śpiącego syna po włosach i wyszła do przedpokoju; włożyła buty i powędrowała na strych, mimo że miała na sobie tylko szlafrok. Znowu zanurkowała w tamte pudła i znalazła portfel Charlie, wszystkie wymięte świstki z zanotowanymi przeróżnymi kodami i liczbami, których Charlie nie chciała zapomnieć.

Był tam. Helene natychmiast zrozumiała, kiedy znalazła karteczkę, teraz to wydawało się proste i oczywiste. Na odwrocie jakiegoś paragonu Charlie zapisała „Billie Jean”, a potem kombinację cyfr 250609. Nazwa użytkownika i hasło na tej samej kartce – co za kretyński pomysł. Cyfry wirowały jej w głowie, kiedy szła po schodach ze strychu, wyglądało to na jakąś datę. W połowie schodów ją olśniło – to data śmierci Michaela Jacksona, całkiem logiczne, przecież *Billie Jean* to był tytuł jego piosenki. Charlie, Charlie. Helene poczuła dawną irytację, tym razem jako westchnienie. Hasło wybrane na cześć ulubionego piosenkarza – to raczej *statement* niż działanie zabezpieczające.

W mieszkaniu ciągle było cicho jak makiem zasiał.

Wstukała kombinację cyfr. Nie wyskoczyła żadna informacja o błędzie. Pojawiło się za to powiększone zdjęcie Charlie. Witaj, Billie Jean!

A potem twarze, szereg za szeregiem, mężczyźni, którzy przyjrzeni się jej bliżej, ostatni przed niespełną godziną. Było też trzynaście nowych wiadomości. Helene otworzyła kilka z nich.

„Podoba mi się to, co piszesz, cześć!”

Kilka podobnych krótkich listów, prób kontaktu. Istniała także funkcja „flirt”, gdzie można było wysłać mrugnięcie okiem albo różę.

„Piękne oczy, ty tak na serio?”

„Cześć, ja chcę tylko trochę pogadać”.

„Halo, gdzie się podziałaś?”

Helene przewinęła listę w dół, do wcześniejszych wiadomości, wysłanych do Charlie przed jej śmiercią.

Od facetów, którym odpowiedziała.

Był tam jeden o nicku Kerouac. Czterdzieści trzy lata, lubiący sztukę i muzykę, chętnie będą przyrządzał ci smaczne kolacje. Śmiał się na zdjęciu zrobionym trochę pod światło, Helene musiała przyznać, że nieźle wyglądał, przeczuwała, że mógł być w typie Charlie. Ich konwersacja zakończyła się tydzień przed jej śmiercią. Jego ostatni wpis: *Może lepiej pogadajmy przez telefon, a potem numer.* Odpowiedź Charlie: *Odezwę się!*

Helene spostrzegła znaczek u góry profilu Kerouaca: *online*. Wyklikła się szybko z jego domen i ledwie parę sekund później zobaczyła, jak on pojawia się w jej logu.

Wyłumaczyła sobie, że to nic, jest przecież ukryta podwójnie, jako Kobieta123 i Billie Jean, nie mógł jej zidentyfikować, musiałby w tym celu wytropić jej adres IP. Jakaś jej część chciała się wylogować, zamknąć laptopa i iść położyć się w podwójnym łóżku, przy swoim mężu, przytulić się do niego i poczuć coś w rodzaju ciepła.

Przewijała jednak dalej listę korespondencji. Ostatni wpis w każdej konwersacji był widoczny na liście, dlatego łatwo było odsiać tych, co spróbowali tylko raz, jakieś niezręczne „cześć, wyglądasz sympatycznie (i ładna jesteś!)”, od tych, z którymi sprawa zaszła trochę dalej.

Końcowy wpis faceta, który nazywał się Czego Zapragniesz:

Niesporo idzie tutaj ta rozmowa, nie moglibyśmy przejść na czat?

Helene poszukała tego czatu, ale to, co na nim ewentualnie napisano, najwyraźniej nie zostało zachowane, i trzeba by ekspertów i uprawnień policyjnych, żeby wygrzebać to z zakamarków jakiegoś serwera.

A wcześniej?

Ze zdjęć to nie wynika, jesteś szczupła czy raczej przy kości? Zechcesz napisać mi, co lubisz?

Wyszła szybko z tej rozmowy, paliło ją zażenowanie, nie chciała wiedzieć, co Charlie mu odpowiedziała. Zdążyła tylko przeczytać początek:

Być może jestem właśnie taka, jaką sobie wymarzyłeś.

Helene wstała, czuła się oblepiona czymś oślizgłym, wyszła do kuchni napić się wody, bosy i bezszelestnie. Poczucie, że jest naga, chociaż ma na sobie szlafrok. On cię nie widzi, pomyślała, zobaczy tylko, że Billie Jean była na jego stronie. Poczucie, że rzeczywistość jej umyka.

Co mogła z tym wszystkim zrobić?

Przekazać sprawę policji, bo kto inny mógłby wyśledzić tych facetów? A potem? Czy ten Krawczyk nie powiedział jej wyraźnie, że to wyłącznie osobista sprawa Charlie, z kim uprawiała seks i jak?

Helene wróciła do laptopa, do długiej listy mężczyzn. Naprawdę było ich niemało, Charlie najwyraźniej nie przesadzała w przechwałkach, około stu próbowało nawiązać z nią kontakt zaledwie od Nowego Roku, kiedy to się zaczęło.

Helene przejrzała jeszcze paru i zainteresował ją mężczyzna o nicku „Tancerz Tanga”. Miał trochę nadwagi i dobrotliwe spojrzenie. Ich korespondencja trwała kilka tygodni, ostatni wpis w połowie lutego: *Może spotkajmy się na czacie? Albo na Facebooku?*

I na tym się skończyło. Prześledziła cały ten wątek, złożony z krótkich listów, które wymieniali, i poczuła, jak ją przejmuje mróz.

Marzę o tym, żeby pojechać z tobą do Buenos Aires...

To była Charlie.

Ale myśmy się nawet nie spotkali...

To ten facet. Teraz zaczął używać swojego prawdziwego imienia, na samym dole pod wpisami. Na imię miał Mats. Zawirowało jej w głowie. Zdawało jej się, że słyszy głos siostry.

Mozemy chyba poznać się po drodze ;-) Bo jeśli tańczyć tango, to tylko

w *Buenos Aires!*

To ona pierwsza podjęła z nim kontakt.

Halo, Tancerzu Tanga, chcesz zatańczyć?

A Mats najwyraźniej poddawał się jej sugestii, któż mógłby oprzeć się Charlie, kiedy jej na czymś rzeczywiście zależało...? *to byłoby spełnienie moich marzeń, ale ja przecież nawet nie wiem, czy mogę dostać wolne z pracy...*

Charlie:

Latem będzie za późno, bo w Buenos Aires będzie wtedy zima...

Helene wstała. Musiała przejść się po pokoju, wyrzucić przez okno; jaśniejąca noc wczesnego lata, widać zieleń w koronach drzew na dole.

W Sztokholmie, kiedy to pisali, była zima, w Argentynie – lato.

Pojechali tam? Razem?

Czy Charlie pojechała do Argentyny po to, żeby tańczyć tango? Wątpliwe.

Helene weszła na profil Tancerza Tanga, jego hobby, praca. Żaglówka, taniec, magister inżynier, było nawet pytanie o dochody. „Nie chcę podawać”, zakreślił, ale ze zdjęć przed żaglówką i domem wynikało, że jest dość zamożny.

Odchyliła się do tyłu, wróciła do zdjęcia Charlie i przyjrzała się siostrze. Jej życie było chaosem nieopłaconych rachunków. Jak mogłaby się wybrać do Argentyny, gdyby ktoś inny za nią nie zapłacił?

To poczucie, które umiała wzbudzać w ludziach, że są wybrani. Że ich spotyka łaska, skoro mogą udzielić pożyczki albo zapłacić za coś, za cokolwiek, że to jest niemal obowiązek, skoro oni mają pieniądze – a ona nie. Nawet kiedy Helene już nauczyła się mówić jej nie, i tak gryzły ją wyrzuty sumienia, poczucie, że jest skąpa, bo nie dzieli się wszystkim, co ma.

Jeśli tak było, jeśli ten mężczyzna był jej biletem, to istniał także ktoś, kto wiedział, co Charlie robiła w Buenos Aires.

Helene zaczerpnęła głęboko powietrza i wyprostowała palce, które jej zeszywniały i zmarzły. Potem weszła na „Wyślij wiadomość” i zaadresowała ją do Tancerza Tanga.

Puste pole.

Co wiedział? Jak powinna go zapytać?

Nie miała pojęcia.

„Cześć, co słychać?”, wpisała w końcu i wysłała to natychmiast, zanim zdążyła

pożalować.

Jeszcze trzykrotnie powtórzyła procedurę. Kiedy klikała, wysyłając wiadomości, od podbrzusza przebiegała ją gorąca fala.

Czego Zapragniesz też otrzymał e-mail, podobnie jak dwaj inni z ostatnich kontaktów Charlie. Nim wyłączyła komputer, wyczyściła pamięć podręczną przeglądarki. To nie usuwało śladów, ale nie były już przynajmniej tak ostentacyjne.

Weszła na palcach do sypialni i położyła się na samym skraju łóżka, żeby nie przeszkadzać. Stopy miała zimne jak lód. Nie mogła zasnąć. Tylko zamknęła oczy, leżała w bezruchu i czuła własne podniecenie. Budząca zawrót głowy myśl, że ktoś właśnie zmartwychwstał.

– Przepraszam, to pani jest Susana Jacobsson?

Kobieta przy kawiarnianym stoliku podniosła wzrok znad książki i gapiła się na Helene. Zdjęła okulary i otworzyła ze zdumienia usta, potem przytknęła do nich dłoń i coś wymamrotała. Brzmiało to jak: „o Jezu, niech mnie diabli”.

– Przepraszam – powiedziała Susana Jacobsson i potrząsnęła głową – proszę mi wybaczyć.

– Ale co?

Helene nie wiedziała, czy ma usiąść, oszołomiona całą sytuacją. Nie rozumiała, czemu lekarka gastroenterolog chciała się spotkać w cukierence w centrum, a nie w swoim gabinecie.

– Zamówić pani coś? – spytała w końcu.

Na stoliku stała niedopita kawa, lekarka zamknęła leżącą przed nią książkę medyczną.

– Nie, dziękuję. Ja tylko wciąż nie mogę się otrząsnąć, pani jest do niej tak niesamowicie podobna.

– Do mojej siostry? Nikt mi tego wcześniej nie powiedział.

– Nie, nie, do Ingis, oczywiście.

– Do kogo?

Kobieta palnęła się dłonią w czoło i uśmiechnęła się. Była po sześćdziesiątce, miała włosy obcięte na pazia, na ustach wiśniową szminkę. Cała promieniowała życzliwością i współczuciem.

– Kiedy pani tam stała, to było tak, jakby ona wyszła prosto z mojego wspomnienia, rozumie pani? Niech mnie dunder świśnie.

– Myśli pani o Ing-Marie? – Helene opadła na krzesło. – Znała ją pani?

– Co za pytanie. Pewnie, że ją znałam. – Susana przycisnęła dłoń do piersi, potem tą dłonią zamachała, jej ręce poruszały się bez przerwy. – Tyle razy myślałam przez te lata, że moglibyśmy więcej dla was zrobić. A z drugiej strony, nie chcieliśmy przeszkadzać. Pani była taka malutka...

Pokazała wysokość blatu stolika. Właśnie taka mniej więcej malutka Helene się czuła, i taka zagubiona.

– Bardzo mi przykro z powodu pani siostry.

Helene odchrząknęła.

– Co jej właściwie dolegało?

– Dolegało?

– No, Charlie, znaczy Camilla, na co była chora?

– Nie bardzo rozumiem.

Susana Jacobsson mówiła świetną szwedczyzną, czasami tylko jakieś słowo czy błędny szyk zdania zdradzały jej obce pochodzenie i kazały Helene mówić wolniej i trochę zbyt wyraźnie.

– Jak napisałam pani w mejlu, znalazłam pani wizytówkę w portfelu Charlie – wyjaśniła. – Nie wiedziałam, że ona była chora. Może to teraz nieistotne, ale ja muszę wiedzieć takie rzeczy, żeby pogodzić się z tym, co się stało, i iść dalej. Czy może powiedziała pani coś, co mogłoby wytłumaczyć... Czasami się rozmawia ze swoim lekarzem także o innych sprawach. Będę wdzięczna za wszystko, co mi pani powie, chociaż rozumiem, że obowiązuje panią tajemnica lekarska.

Susana przyglądała się Helene, płynęły sekundy; grupka młodych wstała od stolika za nimi i szurając, wszyscy ruszyli do wyjścia.

– Może powinna pani zamówić sobie kawę – powiedziała. – Chce pani, to przyniosę.

Helene pokręciła głową i wstała, podeszła do baru. Nie umiała ocenić, czy wystrój się zmienił, ale kolory raczej nie, cukiernia Sans Rival była taka, jak ją pamiętała z tamtych paru sobót, kiedy tata je tutaj przyprowadził – ciemnobrunatna, z lustrami, złotymi klamkami i wielkimi żyrandolami, które oparły się wszelkiej odnowie.

Filizanka dzwoniła o spodek, gdy nalewała sobie kawę. Wzięła do tego dwa kruche ciasteczka, czekoladowo-waniliową szachownicę i waniliowe marzenie. Gdy była mała, stawała przed gablotką z ciastkami bananowymi i francuskimi goframi, ciastkami z lukrem i torcikami z marcepanem, i wiedziała, że cokolwiek wybierze, to i tak zawsze będzie coś innego, co jest jeszcze lepsze.

Kiedy wróciła do stolika, lekarka już schowała swoją książkę do torebki.

– Spotkałam pani siostrę w szpitalu, tej zimy – powiedziała. – Nie poznałabym jej oczywiście, gdybym nie usłyszała, jak wywołują jej nazwisko.

Susana włożyła okulary do etui. Helene zauważyła, że jej dłonie zaczęły się starzeć, ich skóra była wiotka i pokryta drobnymi zmarszczkami. Na twarzy wcale nie było widać wieku tak wyraźnie.

– Miałam sprawę... na innym oddziale – ciągnęła. – Camilla siedziała tam w poczekalni. A więc nie była moją pacjentką, w przeciwnym razie nie mogłabym zrobić tego, co zrobiłam.

– A co to był za oddział?

– To sobie może darujemy.

– Psychiatria?

– Jak mówię, nie była moją pacjentką, a gdyby była, to i tak nie mogłabym się wypowiadać o stanie jej zdrowia...

Helene odchyliła się do tyłu. Zapach kawy sprawił, że lekko zaczęło ją mdlić, a może był to słaby zapach z czasów, gdy w środku wolno jeszcze było palić.

– Więc o co chodziło?

Lekarka ściszyła głos.

Podeszła wtedy w poczekalni do Camilli i zapytała ją, czy jest córką Ing-Marie Sahlin.

– ...a ona oczywiście potwierdziła, więc poprosiłam ją, żeby przyszła trochę później do szpitalnej kafeterii, bo chciałam jej coś powiedzieć...

Pauza, spojrzenie, w którym Helene wyczuwała profesjonalny namysł, ile prawdy pacjent jest w stanie przyjąć.

– Camilla powiedziała, że pani nie jest zainteresowana, w przeciwnym razie z panią też bym chciała się spotkać.

– Teraz jestem zainteresowana.

Susana uśmiechnęła się.

– Człowiek nie musi interesować się swoją przeszłością. Moim zdaniem to całe gadanie o pochodzeniu i korzeniach jest mocno przesadzone, mnie samej nigdy specjalnie nie kusilo, żeby oglądać się za siebie. Był powód, dla którego w tamtych czasach znalazłam się wśród tych, co się buntowali, nie podobało mi się środowisko, w którym dorastałam. To był bogaty mieszczański dom, mieliśmy zawsze służące z Boliwii, a mama mówiła o nich, kiedy nie słyszały, *cabecitas negras*, że smoluchy. Chciałam z tym zerwać, z tym zmurszałym widzeniem świata.

Do Helene powoli docierało znaczenie jej słów, pojęła nagle, skąd ten język.

– Pani pochodzi z Argentyny?

– Z Buenos Aires. Nie wiedziała pani?

Helene pokręciła głową. Intensywnie szukała w pamięci, ale nie było tam żadnej Susany. W tamtych latach przybyło do Jakobsberga wielu uchodźców z Ameryki Łacińskiej, kilku z nich należało do kręgu znajomych mamy, ale to wszystko, co wiedziała.

– Przyjechaliśmy tu w siedemdziesiątym szóstym, Fabbe i ja... to był mój ówczesny mąż, Fabricio. Od razu powiedziałam mu, że nie mam zamysłu spędzić całego życia na walizkach. Mieliśmy znajomych, którzy uciekli spod dyktatury w Hiszpanii, a potem przez dziesiątki lat siedzieli w Buenos Aires i czekali, aż Franco umrze. To nie było przecież życie. Ja nie chciałam tak żyć, jak w dworcowej poczekalni. Nie wiedzieliśmy przecież, jak długo to potrwa. Ale Fabbe...

Westchnęła. Na zewnątrz ludzie spieszyli między tunelem kolejki podmiejskiej a sklepami, mówili do swoich komórek, ze wzrokiem utkwionym przed siebie. Jakaś kobieta siedziała skulona pod słupem latarni, opatulona w chusty, z napisaną ręcznie tabliczką i kubkiem przed sobą. Ludzie mijali ją obojętnie.

– Zadzwoiłam do stowarzyszeń oświatowych, na uniwersytet ludowy, że mogę uczyć hiszpańskiego, zaczęłam chodzić na kursy szwedzkiego do ABF^[18], potem na uniwersytet... Zmusiłam swoich szwedzkich przyjaciół, żeby mnie nauczyli przeklinać na sto sposobów. Bo po tym się poznaje, czy znasz język. Nieregularne formy czasowników i przekleństwa, te sięgające korzeniami w głąb historii, wysrane z mlekiem matki, rozumie pani.

– Niech mnie dunder świśnie – rzuciła Helene.

Znowu uśmiech. Spojrzenie Susany wędrowało po twarzy Helene, jakby pieściła wspomnienie tej, którą Helene jej przypominała.

– To tam poznałam pani mamę, na uniwersytecie ludowym w Jakobsbergu.

Jej korzenie stały się wyraźniejsze, słysząc je było w jej akcentowanym „sz” i w sposobie potykania się o pewne słowa, może dlatego, że przeniosła się z powrotem do tamtego czasu. Helene uświadomiła sobie, że nigdy nie słyszała kogoś mówiącego o Ing-Marie w ten sposób, jako tak... obecnej.

Urządzali imprezy i przyjaciele, którzy byli ze Szwecji i Argentyny, i Urugwaju i Chile, mieli w zwyczaju spotykać się właśnie tu, w Sans Rival, na sobotnich śniadaniach. To był ten pierwszy okres w Szwecji, zaraz po przybyciu, kiedy miała wrażenie, że ten kraj pachnie szamponem. Czasami jeszcze przypomina jej się ten zapach. Wybrali Szwecję oczywiście jako ostoję praw człowieka, ale także – i to zabawne, jeśli wziąć pod uwagę, że Helene nazywa się Bergman – dlatego, że

Fabbe chciał poznać język, którym mówiło się w filmach Ingmara Bergmana.

- Pani mąż nie jest przypadkiem krewnym tego Bergmana?
- O ile wiem, to nie.
- No tak, to dosyć często spotykane nazwisko.

Na początku ich znajomości Fabbe wyciągał ją często na filmy Bergmana, na Avenida Corrientes, gdzie mieściła się większość kin w Buenos Aires, mówiąc szczerze, trochę się na nich nudziła, z wyjątkiem tego tam, jak on się nazywał... *Cuando huye el día*... Tam, gdzie rosną poziomki! A potem się siedziało i dyskutowało w Café La Paz do trzeciej, czwartej nad ranem, a księgarnie przy tej ulicy były jeszcze otwarte.

Jakobsberg w połowie lat siedemdziesiątych... No cóż, to oczywiście nie było Buenos Aires. Spacerowali sobie czasem po tych willowych osiedlach i myśleli, że chyba wszyscy wymarli, na ulicach nie było widać żywej duszy, a pociąg odjeżdżał do miasta tylko co pół godziny, wiedzieli jednak, że od Jakobsberga trudno wymagać, żeby był Buenos Aires.

- Znała ją pani dobrze? Moją mamę.
- Nie aż tak dobrze, nie mogę powiedzieć, ale znałam ją.

Jeszcze jedna kolejka przybyła na stację Jakobsberg i znowu potok ludzi płynął za oknami.

Ing-Marie była uczennicą Susany na kursie hiszpańskiego; zaprzyjaźniły się ze sobą, może i trochę powierzchownie, ale jednak. Pewnie, że sporo było w Szwedach naiwności – to przecież była pierwsza wielka fala uchodźców w tym kraju – lecz przede wszystkim wiele dobrej woli, chcieli pomagać i zrozumieć, i administracja robiła, co mogła. Kurator z opieki społecznej zaprosił ich nawet do siebie na pierwsze Boże Narodzenie, dziś coś takiego już nie byłoby możliwe. Uniwersytet ludowy był punktem zbornym i wszyscy, od studentów aż po dyrektora, angażowali się po stronie ludów Ameryki Łacińskiej.

– Potem ona poznała tego Ramona, zdaje się, że na jakiejś dużej imprezie, wie pani, z pierogami i muzyką, zawsze musiały grać te folklorystyczne zespoły z Ameryki Południowej, nie cierpiałam tego. W Buenos Aires słuchałam sobie Rolling Stonesów.

- Kim on był?

– Nie wiem... nie pamiętam jego nazwiska. – Zmarszczyła czoło i potarła sobie skronie, żeby ożywić pamięć. – Ale był diabelnie przystojny, z wyższej klasy średniej, gdzieś z północnych rejonów Buenos Aires, Nuñez, zdaje się. Jego siostra

została porwana i uznana za zaginioną, a on był, rzecz jasna, następny w kolejce.

Helene tak długo wpatrywała się w jeden z kinkietów, że aż jej zaczęło migać przed oczami, obraz matki tańczącej do fletni Pana, czy na czym oni tam grali. A gdzie myśmy byli, myślała, brała nas ze sobą, żebyśmy spały gdzieś pod stołem? Czy może od nas już uciekła, zostawiła nas u taty, który co wieczór kładł się spać pijany?

Głos Susany, która mówiła dalej.

– Któregoś dnia zniknęła, i on też. Niektórzy z naszych przyjaciół byli przekonani, że oboje przedostali się do Argentyny, żeby pomagać tym, którzy się ciągle ukrywali.

Słowa padały wolniej.

– Robiliśmy wszystko, żeby dowiedzieć się, co się z nimi stało, ale to nie było takie proste. Żadnych śladów. Nie mieliśmy odwagi mówić otwarcie tego, cośmy wiedzieli, bo nawet kilka lat później, już po upadku junty, człowiek nie wiedział, komu można ufać.

Susana wstała i poszła dolać sobie kawy. Pierwsza dolewka gratis, głosił napis na kartce. Gest wykonany dzbankiem z kawą w stronę Helene, która pokręciła głową.

Usiadła z powrotem. W kawiarni zrobiło się ciszej, młodzież wyniosła się gdzie indziej.

– Aż trudno mi na panią patrzeć. Naprawdę ma pani jej oczy.

Susana zmiotła ze stolika parę okruchów.

– No tak, jak już mówiłam... może nie mówiłam? Że mój były mąż, kilka lat temu, po naszym rozwodzie, przeniósł się tam z powrotem? Z biegiem lat narastało w nim poczucie winy, że uciekł i przeżył, podczas gdy tak wielu z naszych przyjaciół zginęło. Fabbe wymyślił sobie, że wróci do domu, ale tam przecież wszystko się pozmieniało. To nie jest już to samo Buenos Aires, z którego wyjechaliśmy, a nasze dzieci mieszkają tutaj. Więc teraz siedzi tam i znowu tęskni za domem. Albo za czymś innym, czego już nie ma.

Susana rozłożyła ręce w bezradnym geście.

– Rzadko o sobie daje znać. Nie ufa Skype'owi, nie dzwoni nawet do dzieci, wyrejestrował się z Facebooka, uważa, że CIA wszystko nadzoruje.

– Bo to i prawda.

– Tak czy owak...

Susana wypięła parę głębokich łyków wody, zanim zaczęła mówić dalej.

– Spotkał gdzieś w parku swoją dawną koleżankę ze studiów, kobietę, z którą jakoś wcześniej był związany, która za czasów junty siedziała w więzieniu. Większość innych złożyła zeznania i zostawiła to za sobą, poszli dalej, ale ona nie chciała o tym mówić.

Przy stoliku za nimi usiadło kilka nastolatków i śmiały się głośno z jakiegoś filmu, który puszczały sobie w komórce. Pomimo to Helene wydawało się, że słyszy bicie swego serca.

– Fabbe jest jakby trochę opętany tym, co się działo w tamtych latach. Więc zaczął wracać do parku Lezamy, tam, gdzie siaduje ta kobieta, brał ze sobą kawę, jakieś ciastka, *mate*, w końcu zaczęła opowiadać.

– I co mu powiedziała?

Helene chciała przełknąć ślinę, lecz nie mogła. Wiedziała, że musi przełknąć, jeśli chce dalej oddychać.

– Sporo rzeczy, o których powinna opowiedzieć w sądzie, o torturach, nie da się tego tak normalnie słuchać, zresztą nie wiem. To, co mój mąż mi opowiedział, zanim przestał rozmawiać o tych sprawach, a co ja czułam się zmuszona przekazać pani siostrze tamtego dnia, gdy ją spotkałam w poczekalni, to była informacja, że ta koleżanka męża słyszała pewien głos, który rozpoznawała. Nie mogła widzieć tej osoby, bo więźniowie musieli być w kapturach przez okrągłą dobę. Potem myślała, że się pomyliła, bo słyszała przecież o Dagmar Hagelin, wie pani, o tej szwedzkiej nastolatce^[19], którą wojsko porwało i zamordowało, były też dwie francuskie zakonnice, takie przypadki stały się słynne na świecie, bo ich rodziny i kraje robiły raban nie z tej ziemi, swój własny naród można sobie mordować, ale jak ruszysz innych... Jej samej wydawało się, że może majaczy w bólu i gorączce, bo ta dziewczyna, którą znała, była Niemką, a tamta mówiła po szwedzku, poza tym gdyby rzeczywiście była jeszcze jedna cudzoziemka, skuta i zamknięta w ESMA^[20], to sprawa powinna być znana.

– Ing-Marie?

Helene wciąż nie mogła przełknąć śliny.

– Tam nigdy nie używano imion. Miała numer sześćset siedemdziesiąt sześć. O dziwo, ta kobieta to zapamiętała. Że któreś środy wywołano numer sześćset siedemdziesiąt sześć i tamta zniknęła.

Cisza.

– A skąd wiedziała, że to była środa?

– To było zawsze w środy. To oznaczało transport... że ich zabierają, do tych samolotów... i zabijają.

Helene gapiała się na nią. Wygooglowała wcześniej nazwisko lekarki, żeby się o niej dowiedzieć czegoś więcej, i znalazła jakąś dysertację o *neuro-immune regulation of macromolecular permeability in the normal human colon and in ulcerative colitis*, co jej kompletnie nic nie mówiło. Miała to gdzieś, w jakim zakamarku ciała Susana Jacobsson grzebie i po co.

– Czy pani... czy ten Fabbe... jest naprawdę pewien, że to była ona?

– Nie – powiedziała Susana Jacobsson – ale bliżej rozwiązania tej zagadki nigdy nie dotarliśmy.

– Czy ona jeszcze coś mówiła, ta kobieta z parku?

– O to powinna pani raczej zapytać Fabricia, to wszystko jest takie powikłane. Jego koleżanka nie знаła nawet prawdziwego nazwiska tamtej, ale...

Lekarka umilkła i spojrzała z powagą na Helene.

– Co?

– Powiedziała, że używała pseudonimu Vera.

Uniwersytet ludowy leżał na szczycie wzgórza, mieścił się w posiadłości, która przed setkami lat była majątkiem Jakobsberg. Podobny do dworu budynek z dwiema oficynami, park z prastarymi wielkimi drzewami.

– Pozwoliłam sobie zadzwonić do naszego ówczesnego dyrektora – powiedziała kobieta, która przyjęła ją w sekretariacie. Miała około pięćdziesiątki, włosy przycięte po jednej stronie głowy, a dłuższe po drugiej. Na ścianach wisiały afisze o wiosennej uczniowskiej wystawie i jakimś projekcie pomocowym w Afryce Zachodniej.

– Sama w tym czasie przecież tu nie pracowałam, ale on pamięta pani mamę bardzo dobrze.

– Dziękuję, to uprzejme z pani strony.

Helene zmieniła pozycję na krześle i poczuła się zażenowana. Irracjonalna zazdrość o to, że dyrektor, a teraz także ta kobieta, wiedzą więcej od niej samej, wstyd, że nigdy nie zapytała. Zadzwoniła wcześniej i przedstawiła swoją sprawę. Łatwiej było zrobić to przez telefon, człowiek nie był skazany na ciekawskie i pełne współczucia spojrzenia.

– Podobno nikt nie miał pojęcia, gdzie ona zniknęła – powiedziała kobieta.

To było późną jesienią 1977 roku, gdy Ing-Marie Sahlin z dnia na dzień porzuciła szkołę. W najbardziej ponurym okresie, przypominał sobie dyrektor, w listopadzie. Bez wyjaśnienia, nagle przestała się pojawiać. Chodziło przecież o dorosłych uczniów, a więc szkoła zwlekała jakiś czas z reakcją, lecz gdy inni zaczęli wydzwaniać i pytać, wtedy dotarło do nich, że coś jest nie tak.

– Jacy inni?

Kobieta spojrzała na nią z ukosa.

– No, ojciec jej dzieci, znaczy pani tata, i jakaś kobieta, która się wami zajmowała, o ile dyrektor pamięta. To przecież jeszcze bardziej zastanawiające, skoro miała dzieci. Szkoła skontaktowała się też z matką Ing-Marie, w Värmlandzie. Ale ona podobno nie wiedziała nawet, że córka się uczy, nie miały ze sobą kontaktu.

Więc była kiedyś jakaś babcia w Värmlandzie. Aha. Kobieta ciągnęła dalej, opowiedziała, na jakie kursy uczęszczała Ing-Marie, najpierw na kurs ogólny, żeby uzupełnić wiedzę z zakresu szkoły średniej, potem, po świętach Bożego Narodzenia, miał to być kurs plastyczny.

– Nie odebrała nigdy swoich świadectw – powiedziała i wyciągnęła jakąś kopertę.

Helene wzięła ją. Po świętach? A zatem Ing-Marie musiała myśleć o powrocie, nie zamierzała wyjechać na zawsze.

– A czy dyrektor wspomniał coś może o mężczyźnie, z którym wyjechała?

– Owszem, krążyły o tym plotki. Mieliśmy tu Argentyńczyka, który uczęszczał na kurs szwedzkiego, a potem przestał się pojawiać, nie podawszy żadnego powodu. Ingemar, który był wtedy dyrektorem, mówi, że nigdy nie przestał się zastanawiać, co się z nimi stało. Tu przecież wszyscy byli ze sobą bardzo blisko, uczniowie i nauczyciele, Szwedzi i wszyscy nasi goście, wielu się zaprzyjaźniło na całe życie.

Kobieta wyjęła dokument, wypełniony formularz podania o przyjęcie na kurs. Widniało tam nazwisko. Helene przez sekundę pociemniało w oczach. Ramón Maguid, urodzony w 1946.

Po raz pierwszy ujrzała to imię na papierze, z nazwiskiem i rokiem urodzenia. Dopiero jakby w tym momencie stał się dla niej rzeczywisty. Miał trzydzieści jeden lat, kiedy uczył się szwedzkiego dla imigrantów w Jakobsbergu, pięć lat starszy od Ing-Marie.

– Przykro mi, ale to już wszystko, w czym mogę pani pomóc.

Wychodząc z parku, Helene skręciła w bok i przeszła kawałek po trawie. Znajdował się tam staw, ukryty za olbrzymimi drzewami i zielenią wczesnego lata.

Zdziwiło ją, że go pamięta.

Był prawie cały zarośnięty rzęsą, zielona zupa i resztki jakichś śmieci, ledwie się dało dostrzec wodę. Poczowała jakby echo lęku, ostrzeżenia, aby zbyt blisko nie podchodzić. Ktoś powiedział, że jest bezdenny. Jak się tam wpadnie, to wciąga i nie ma ratunku.

Na skraju błyszczało parę plastikowych butelek. Dokoła oczka postawiono mały płótek.

A jak mama tam wpadła i utonęła? Jak się zemdleje albo dostanie skurczu, to się tonie.

Głos Charlie, dawno temu. Kiedyś tutaj stały. Trzymała siostrę za rękę i pamiętała swój strach, gdy Charlie ją puściła, zbliżyła się do stawu, nachyliła i przeciągnęła ręką po tej wstrętnej wodzie, robiąc fale, które rozeszły się i zamarły.

To mama mi opowiedziała, że staw jest bezdenny. To ona zabroniła mi tutaj przychodzić.

Helene przykucnęła. Poczowała stęchłą woń stojącej wody, tę samą co wtedy.

Charlie miała wspomnienia. To była wielka różnica. Wspomnienia, do których Helene nie miała dostępu, bo była za mała. Im stawała się starsza, tym bardziej się od nich oddalała. Drobiazgi, jak na przykład to, że kiedyś zjeżdżały z mamą na sankach z tej górkę, od uniwersytetu ludowego aż na sam dół, do szosy, która prowadziła do ulic willowych. To tam była ta fabryka prezerwatyw, w której spotkali się mama i tata. Ing-Marie pracowała przy taśmie, pakując kondomy, a on przy maszynie testującej gumki. *Najwrażliwszy penis Szwecji mamy u nas, w Jakobsbergu*^[21].

Jak rozmawiała z nimi o życiu, całkiem serio, choć były takie małe. Rozpoczynała z nimi wojny na poduszki, śmiały się przy tym do rozpuku, aż je bolały brzuchy, i miała taki patent na łaskotki, że nie dało się tego wytrzymać. Z czasem Helene zaczęła podejrzewać, że Charlie wszystko to zmyśla. Zauważyła, że historyjki się zmieniają i przybywają nowe.

Mówią, że utonięcie to przyjemna śmierć. Człowiek nic nie czuje.

Chodźmy już. Nie chcę tu być.

Powiedz cześć mamie.

Woda prysnęła jej na twarz, może krzyczała. Charlie chwyciła ją i potrząsała.

Zamknij się, głupia, przecież jasne, że mama nie utonęła. Poczuję, gdyby nie żyła, rozumiesz? Słyszałabym jej głos, gdyby tu była, przyleciałaby jak ptak, żeby nad nami czuwać. A słyszysz coś?

I Helene próbowała nasłuchiwać, ale nic nie słyszała. Tylko auta na szosie w dole i słaby szelest liści drżących na wietrze.

BUENOS AIRES

1978

– *Identifiquese, señora.*

Stał przed nią – mężczyzna w mundurze. To było w wąskim przejściu z peronów na dworzec, nie mogła się wywinąć. Głośniki obwieszczały jakiś odjazd i brzmiało to jak echo: *Identifiquese, identifiquese.*

Dłoń Ing-Marie chciała odruchowo dotknąć brzucha, by chronić to, co tam chowała. Tym razem była nieuważna, to jedyne, co zdążyła pomyśleć, zbyt pewna siebie, niemal szczęśliwa, gdy wysiadała z pociągu z Wilde dokładnie przed... zerknęła na zegar pod dachem wysokiej hali dworcowej... przed czterema minutami.

To była jej trzecia podróż tam i z powrotem do Wilde, i pierwsza po Nowym Roku, wreszcie miała coś konkretnego! Ostatnio Ramón zdawał się taki nieobecny i przybity, ale teraz czekał na nią w pokoju w pewnym hotelu w La Boca, a ona chciała dojechać tam jak najszybciej, kazać mu zamknąć oczy, a potem wziąć jego dłoń i położyć ją tam, gdzie chowała ten list. To do ciebie, miała powiedzieć.

– *Señora, documento.*

– *Si, claro.*

Grzebała niezręcznie w torebce, gdzie miała paszport i inne dokumenty. Wyjęła drżącą ręką szminkę i tampony i próbowała uśmiechnąć się do niego, wyglądać tylko jak kobieta, która ma bałagan w torebce, podczas gdy w głowie zbierała rozpaczliwie wszystko, co wie o mundurach, kim on jest, czy to policja miejska czy federalna, policja to lepiej niż wojsko, ale mogło być gorzej, a jeśli ma do czynienia z wojskowym, to z jakiej formacji, najgorsza jest podobno marynarka. *Documento, documento*, rozbrzmiewały echem jego słowa.

Ing-Marie wręczyła mu paszport. Może należał do kogoś, kto naprawdę nazywał się Claudia Viehhauser, a może nikogo takiego nie było.

– Jestem obywatelką Niemiec – powiedziała.

Mężczyzna nieśpiesznie przerzucał kartki. Popatrzył na nią i na paszport, potem znowu na nią. Był nieco po czterdziestce, miał trochę nadwagi.

– Co pani robi w Argentynie?

– Studiuję.

Ing-Marie pochyliła głowę, żeby sprawiać pokorne wrażenie.

– Hiszpański – dodała. – Uczę się hiszpańskiego.

– Pani pozwoli ze mną – rzucił.

– Czy coś jest nie tak?

– Muszę panią zrewidować. To nie jest odpowiednie miejsce.

– Ale dlaczego?

Rozejrzała się, pośpiesznie przechodzący ludzie. Małe kolejki do kas biletowych. Sprzedawcy i kioski z gazetami. Zwykły dworzec, w mieście jak każde inne, dla kogoś, kto nie chciał widzieć, co się naprawdę dzieje.

Chwycił ją za ramię.

– Sama pani na pewno rozumie.

Jego uchwyt stwardniał, gdy przeprowadził ją przez hol dworcowy i wyprowadził bocznymi drzwiami. Pomyślała o cyjanku, *la pastilla* leżała od trzech tygodni w jej torebce, w neseserze, obok tabletek antykoncepcyjnych. Ana zdążyła ją dla niej załatwić jeszcze przed świętami. Żartowały, że to prezent na gwiazdkę.

Policjant, czy może wojskowy, przystanął przy przejściu dla pieszych i czekał, aż będą mogli przejść przez ulicę. Ani na sekundę nie zwolnił uchwytu. Ing-Marie zauważyła, jak ludzie wokół odwracają od nich wzrok. Ostatni raz spojrzała za siebie, na okazały gmach dworca, zobaczyła kilkoro dzieciaków z faweli, jak stoją i gapią się na nią. Uciekajcie stąd, chciała wykrzyknąć, uciekajcie, póki możecie, i chciała, żeby przestały się gapić, nikt nie powinien patrzeć, jak bezwolnie pozwala się uprowadzać.

– Dokąd idziemy? Gdzie mnie pan prowadzi? Coś jest nie tak?

Nie odpowiedział. Przeszli na drugą stronę i zatrzymali się przed jakąś bramą. Nie wyglądało to na posterunek policji, dom był stary. Obdrapana tabliczka mówiła, że to hotel, a może tylko kiedyś nim był. To nie musiało nic znaczyć. Po zamachu stanu wojsko zajęło w mieście przeróżne lokale, stało się wszechobecne.

Bure tapety i siwy mężczyzna w recepcji. Zmęczonym wzrokiem obrzucił odznakę, którą człowiek w mundurze mu pokazał, sięgnął za siebie po klucz wiszący na ścianie.

Ing-Marie zobaczyła telefon na ladzie. Przeszło jej przez myśl, że powinna powiedzieć, jak się nazywa, i że recepcjonista musi zadzwonić do jej ambasady,

lecz nie zdążyła zdecydować, czy to ma być niemiecka, czy szwedzka ambasada, bo już sekundę potem popychana poszła wąskimi schodami na górę i dalej, korytarzem, do jakiegoś pokoju.

– No dobrze, teraz zobaczymy. – Wyrwał jej torebkę i rzucił ją na podłogę.

Zaczął ją obmacywać, sunąc dłońmi wzdłuż ramion. Zauważyła, że coś żuje, a może tylko poruszał szczękami. Pokój był obskurny, łóżko z brązową kapą zasłane niedbale. Mężczyzna nie patrzył jej w oczy. Pomacał piersi, a potem przejechał po bokach. Ing-Marie odwróciła się i pozwoliła mu przejechać dłońmi wzdłuż pleców. To była powolna, skrupulatna procedura. Wsadził rękę pod bluzkę. Jeszcze parę sekund, a zjedzie do paska. Czy zadowolony się obmacaniem z wierzchu? List był z cienkiego papieru, jak poczta lotnicza, może jest szansa, że go nie odkryje.

Jeśli ten człowiek przeczyta list, będzie stracona.

Wyjątkowo złamała zasady i otworzyła go w wagonowej toalecie. Koperta nie była zaklejona. Miejsce i data, godzina, kiedy chcieli spotkać Ramona. Domyślała się, że *el jefe*, o którym już wiedziała, że nosi pseudonim Martín na cześć wyzwoliciela Argentyny, sam zjawi się na to spotkanie.

– Odwróć się – rzucił policjant i znów stanęła twarzą ku niemu.

Oddychał ciężko.

– Rozepnij bluzkę, *por favor*.

Podniosła dłonie do górnego guzika i zobaczyła jego oczy utkwione w jej piersiach, i coś się stało w jej głowie. Jasność. Był sam. To się nie zgadzało. Oni zawsze chodzą po kilku, kiedy wdzierają się do domów w cywilnych ubraniach, wszyscy i tak wiedzą, że są z armii albo przynajmniej działają na jej zlecenie.

Zaczęła biedzić się z pierwszym guzikiem. Musiała grać na zwłokę. Zastanawiała się, ile kobiet już zaciągnął do tego łóżka, czy to jego zwyczajna procedura.

– Nie będę czekał cały dzień – powiedział. – No, dalej, rusz się.

Wyciągnął rękę i szarpnął za bluzkę, obrywając resztę guzików.

– A w życiu! – rzuciła po szwedzku i zakręciła się dokoła, wymotując się z bluzki i z jego uchwytu.

Chwyciła leżącą na podłodze torebkę, skoczyła do drzwi, wypadła na korytarz i puściła się pędem, złapała za poręcz schodów i niemal sfrunęła na dół, minęła recepcję i wybiegła na ulicę, teraz musi wiedzieć, w którą ruszyć stronę, decyzję

podjęła w sekundę. Popędziła z powrotem na dworzec, walcząc z falą mdłości; zgubiła kurtkę, a bluzka została w jego garści, biegła w samej koszulce i była pewna, że wszyscy się na nią gapią, że widać po niej, jaka jest plugawa. Jego dłonie nie dotarły dalej niż do piersi, a mimo to czuła je na sobie wszędzie, jakaś jej część wciąż była w tamtym pokoju, dawała się tłamsić na łóżku, i Ing-Marie wiedziała, że zostawiła tam coś, czego już nigdy nie odzyska. Była tchórzliwa, niegodna, niegodna, te słowa kołatały jej w głowie, gdy biegła. Tam, na stacji, nie była żadną *subversiva*, która przemyca zakazane dokumenty, żadną *guerillera*, *montonera*, nie, ten mężczyzna w mundurze zobaczył w niej tylko wystraszoną małą idiotkę, którą mógł wykołować i zaciągnąć do jakiegoś brudnego, wstrętnego pokoju, i spróbować przelecieć ją tylko dlatego, że ma władzę i może to zrobić; i wiedziała, że powinna się cieszyć, że chodziło mu tylko o to.

Rząd autobusów przed dworcem. Minęła biegiem pierwszy i wskoczyła do drugiego, rozejrzała się czujnie przez okna, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu drobnych.

Nie gonił za nią żaden patrol, na oko nie działo się nic, co by odbiegało od normy, zwykły potok przechodniów śpieszących w jedną albo drugą stronę.

Autobus ruszył, w złym kierunku, ale dalej od dworca, tylko to się liczyło. Opadła ciężko na siedzenie. Dopiero po trzech przystankach odważyła się wysiąść i złapać autobus jadący tam, dokąd chciała.

Adres... adres?

Szła ulicą, której nazwy była pewna, tylko że numer się nie zgadzał. Przysiadła na schodkach jakiejś rampy. La Boca to nie były slumsy, lecz najbiedniejsza dzielnica robotnicza, nie rozumiała, dlaczego Ramón zawsze wybiera takie adresy.

Czy burżuazja z Recolety nie ma paru hoteli wynajmujących pokoje na godziny, z prysznicem i klimatyzacją, czuła, że dałaby życie za godzinę w takim miejscu, by móc stanąć pod strumieniem ciepłej wody, z małym hotelowym mydełkiem.

Ruszyła dalej, wstydząc się swoich małych mieszczańskich myśli. Przecież to wszystko jej wina. Jej roztrzępania, tego, że nie mogła teraz przypomnieć sobie właściwego adresu. Może poprzestawiała cyfry. Poszła z powrotem drugą stroną ulicy i tam to znalazła.

Telo, jak się mówiło, znała już więcej nazw na różne rzeczy.

Hotel alojamiento.

Może wyglądał gorzej niż wszystkie wcześniejsze dziury albo spojrzenie jej się wyostrzyło, był brudniejszy i brzydszy, i całkowicie pozbawiony tej romantycznej

aury, którą czasami wyczuwała w odrapanych ruderach.

Coś jej szeptało: nie wchodź tam. Poczucie zagrożenia, coś w powietrzu. Rozejrzała się, tak jak zwykle, szukając wiadomych samochodów i innych znaków, ale wszystko wydawało się w porządku.

Nad kontuarem wisały niebiesko-żółte proporczyki, barwy Boca Juniors, które zawsze przypominały jej o Szwecji. Anegdota głosiła, że piłkarze postanowili przybrać barwy pierwszej bandery, jaka zawinie do portu w La Boca, i traf chciał, że był to statek szwedzki. Miała ochotę powiedzieć coś o tym chłopakowi, który siedział za ladą.

Taka zmęczona byciem Claudią, byciem Verą.

Idiotyczny pseudonim. Roilo jej się najpierw coś fajnego z historii rewolucji, Rosa albo Ninoczka, ale to przecież głupio brzmiało. W końcu stanęło na imieniu Vera, po starej ciotce z Värmlandu, która, gdyby wiedziała, to przewróciłaby się w grobie, bo głosowała na chłopską Partię Centrum.

Ramón leżał jak zwykle na łóżku z gazetą, zobaczyła, że to „Evita Montonera”, jakim cudem miał do niej dostęp?

– Spóźniłaś się – powiedział.

– Wsiadłam do złego autobusu – wytłumaczyła Ing-Marie, zrzucając buty. – A potem miałam trochę kłopotu z trafieniem tutaj, nigdy nie byłam w tej części La Boca.

Podeszła do okna i spróbowała znaleźć pretekst, żeby nie rzucić się na niego tak jak zwykle.

– Słyszałam, że na tych ulicach jest dość niebezpiecznie – powiedziała.

– Nie bój się – rzucił Ramón – będzie jeszcze zupełnie jasno, jak stąd wyjdiesz.

– Skąd wytrzasnąłeś tę gazetkę?

– Lepiej, żebyś nie wiedziała.

Oczywiście. Irytowało ją, że najwyraźniej ma kogoś, kto mu dostarcza gazetki. Że to nie ona. Wolą nie zastanawiać się, co on robi między ich spotkaniami. Czasami trwało to ponad tydzień.

– Myślę czasami o twojej rodzinie – powiedziała. – Dlaczego nie mogę ich spotkać?

– Przecież wiesz.

– Mimo wszystko. Twoja mama przecież by na nas nie doniosła. Czy doniosłaby?

– Dlaczego wciągasz w to moją rodzinę?

– Co w tym dziwnego? Tak się robi. Wciąga się rodzinę, spotyka rodziców...

Spojrzała na dół, na podwórze ciągnące się dalej i przechodzące w następne. Nieregularne fasady z blachy falistej, wałaca się szopa, sterczące anteny telewizyjne. Sama słyszała, jaka jest męcząca z tymi swoimi pytaniami. Czemu nie powie mu po prostu, co się stało? Przecież udało jej się, uciekła stamtąd, czy tym samym nie wykazała się odwagą? Wiedziała jednak, że nigdy nie będzie mogła o tym opowiedzieć.

Krzyki dzieciaków, samochody i wycie jakiejś syreny, że też tu nigdy nie jest cicho. Pomimo to dosłyszała za sobą ciche westchnienie, wyczuła jego irytację. Jęk sprężyn łóżka, kiedy się podnosił.

– To są szczególne okoliczności – powiedział. – Wiesz, że nie mogę wystawiać matki na niebezpieczeństwo.

Poczuła w gardle grudę goryczy. Swoją matkę chronił, ale jej to nie. I zaraz druga myśl: to ona jest tym niebezpieczeństwem. To przed nią musi chronić matkę.

– Co ty właściwie robisz, jak się nie widzimy?

– Tęsknię za tobą – powiedział, stając za nią, poczuła jego ręce wokół talii i znowu zamarzyła o prysznicu. Pysznice mieściły się w korytarzach, nigdy z żadnego z nich nie skorzystała, nie chciała bowiem spotkać kogoś z tych innych wynajmujących pokój na godziny.

Zawsze lubiła jego zapachy pozostające na jej ciele.

– Nie masz pojęcia, jak nudno jest się ukrywać – ciągnął dalej, szepcząc jej do ucha i burząc jej włosy. – Ja też bym chciał, żebyśmy mogli w niedzielę jeść obiady i chodzić razem do kościoła.

Ing-Marie oswobodziła się i odwróciła ku niemu, i raptem nie wiedziała już, kim on jest. Nie zobaczyła w jego oczach zwykłego ciepła. Nie miała ochoty zapaść się w niego, przeciwnie, chciała wycofać się i wybiec stamtąd, tak jak niedawno wybiegła z innego pokoju, dojmujące przecucie, że coś jest nie tak. Że nie powinna oddawać mu tego listu, który wciąż miała w majtkach. Poczucie, że coś dokoła niej się wali, jak teatralne kulisy. Że jest oszukana. To była gra, a ona była jego marionetką. Pociągał za sznurki. To, że ją ukrył w innej części miasta, że nigdy nie wracali do tego samego hotelu, że on mógł się z nią skontaktować, ale ona z nim nie. To wszystko, co nie dawało jej spokoju, kiedy za długo zostawała sama.

– Ty chodzisz do kościoła? – zapytała. – Nigdy mi nie mówiłeś.

– Tak tylko powiedziałem, obrazowo. – Ramón rozpostarł ramiona, a potem ujął jej twarz w dłonie. – Nie wiem, co się dziś z tobą dzieje. Co ja zrobiłem?

Pogłaskał ją po włosach, jak czasami robił, akurat w tej pieszczocie była tkliwość sprawiająca, że czuła się kochana w inny sposób, łagodniej i bardziej prawdziwie, niż gdy kochali się gwałtownie, więc odbierała to prawie jak zagrożenie, bo ją to osłabiało. Tak bardzo go kocha. Jak mogła wziąć jego niepokój za coś innego, przecież to właśnie ją chroni całą tą swoją konspiracją. To oczywiste, że tak jest. Robi to wszystko dla jej dobra; kochają się, ale są także częścią czegoś większego, ona i Ramón, i wszyscy ci, którzy uciekli, i towarzysze, których tu spotkała, z którymi dzieliła nadzieję na lepszy świat i sprawiedliwość, i samourzeczywistnienie dla wszystkich. Nie wolno jej stracić tej wiary. Jak mogłaby w przeciwnym razie wytłumaczyć, że zostawiła swoje dzieci?

– Obejmij mnie – powiedziała, przywierając do niego, wtuliła twarz w jego szyję. Jego zapach, zawsze ta sama woda po goleniu, jego ramiona dokoła. Zrobiło się ciepło.

– Stało się coś?

Zawahała się przez sekundę, nie dłużej. Słyszała piłkę odbijającą się na podwórzu, jeden, dwa, trzy razy.

– Nie, jestem tylko trochę nerwowa – powiedziała i wyjęła list. Był cały wilgotny, tak bardzo się pociła. – To do ciebie.

Popatrzył na kopertę, obrócił ją, a potem wetknął do tylnej kieszeni. Ing-Marie osunęła się na łóżko.

– Nie przeczytasz?

– Później. Masz pieniądze, tyle, że ci wystarczy?

– Mam. – Zawsze czuła ukłucie w piersi, kiedy ją pytał o pieniądze. Jej zasiłek studencki już się kończył, chociaż żyła najoszczędniej, jak mogła, żeby nie musieć o nic prosić.

Ramón usiadł obok niej.

– No, to z kim się dzisiaj spotkałaś?

Bawił się trochę jej włosami i pieścił lekko jej brzuch, a ona przytulała się do niego i opowiadała o rozmowach w tamtym domu w Wilde i o osobach, których pseudonimy teraz знаła. O mężczyźnie noszącym imię Martín, który wydawał się centralną postacią południowej „kolumny”, do której ta grupa należała, opowiedziała mu o broni i o zamachu, który grupa najwyraźniej wzięła na siebie,

na jakieś kino na terenie bazy wojskowej, i o Juliu, który, o dziwo, zaczął mówić trochę o sobie, miał dwójkę dzieci, ale jego żona nie była zaangażowana, a więc nie mógł spotykać ich zbyt często. I tak dobrze było jej leżeć tam po prostu i móc mówić o wszystkim, co się wydarzyło. Wyrzucić z siebie tym mówieniem strach i słabość i zniweczyć dystans, który powstawał czasem między nimi, kiedy się długo nie widzieli. Jeśli pominie to, co wydarzyło się na dworcu, to ten incydent rozwieje się i zniknie jak poranna mgła nad jeziorem Fryken, i już tego nie będzie.

– A co z tą Aną? I z tamtym Dantem, spotkałaś go jeszcze? Zastanawiam się zresztą, czy to osoby, które nadają się do naszych celów, czy mają dostateczne doświadczenie.

– Niedługo sam ich będziesz mógł zapytać.

– Myślisz? Wiesz już kiedy?

Czy nagle trochę nie zeszywniał? W każdym razie przestał zakreślać palcem arabeski wokół jej pępka. Cholera, Ramón miał nie wiedzieć, że po kryjomu przeczytała list.

– Martín, to znaczy ten komendant w Wilde... Z tego, co mówił, zrozumiałam, że w liście jest coś na ten temat, że chcą się z tobą spotkać.

– Aha.

– Nie cieszysz się? Nie chcesz przeczytać?

– Dlaczego nie chcesz rozmawiać o tym Dantem?

– O co ci chodzi?

– Raczej o co tobie... – Podniósł się nagle i powiało między nimi chłodem, mimo gorąca w pokoju.

– Nie sądzisz chyba, że ja...

– A niby skąd mam wiedzieć? Co jest takiego specjalnego w tym Dantem?

– Ależ nic. Więcej go nie spotkałam. Dlaczego tak mówisz?

– Słyszę przecież, jak o nim mówisz, z tym twoim uśmiechem...

– Nie możesz chyba mieć do mnie pretensji, że się uśmiecham.

Ale on tylko pokręcił głową i wstał.

– Muszę iść.

– Już?

– To przecież ty się spóźniłaś.

Wczepiła się w jego biodra i pieściła go, chciała zatrzymać czas. Nawet nie

zdjęli ubrań, ich spotkanie nie mogło być takim fiaskiem. Zrozumiała, że Ramón chce w ten sposób ukarać ją za to, że była tak oziębła, kiedy przyszła. Jasne, że go to zabolalo.

– Przepraszam – wyszeptała. – Jeżeli powiesz mi, żebym już nigdy więcej nie spotykała się z kimkolwiek z nich, to się nie spotkam, oni są nieważni.

I gdzieś w głębi duszy miała nadzieję, że tak właśnie powie.

– Głuptas – rzucił po szwedzku, na co musiała się roześmiać. To było jedno z jego ulubionych słów w języku, którego nie zdążył porządnie się nauczyć. Położył ją z powrotem na łóżku i nagle już nie było mu tak śpieszno. – Jasne, że będziemy dalej ich spotykać. – Pocałował ją w czoło, rysował linie dokoła jej ust. – Są ważniejsze rzeczy niż ty i ja, nie wolno nam o tym zapomnieć.

JAKOBSBERG 2014

W dawnych latach Rycerz dokładnie wiedział, gdzie ma iść, kiedy chciał kupić sobie prochy.

Na przykład do parku wokół dzwonnicy, ale park potem zabudowano galeriami handlowymi, więc teraz pełno tam ciekawskich oczu. Była też meta na Sångvägen, o dziwo, pamiętał, że mieściła się na czwartym piętrze po prawej, i parę innych na Snapphanevägen, ale ci, co tam mieszkali, byli już pewnie wyeksmitowani nogami do przodu.

Ludzie, co opylali to i owo, powynosili się gdzie indziej.

Więc musiał się trochę rozpytać wśród ludzi, których znał z imienia i czasami pamiętał z dawnych lat, którzy za dnia kręcili się po centrum, a kiedy się ściemniało, znikali, diabli wiedzą gdzie. Przestali opowiadać sobie, gdzie znaleźli miejsce do spania, jakąś klatkę schodową, gdzie można się wślizgnąć, jakiś stary magazyn albo u brata, który wyjątkowo mógł im zapewnić dach nad głową. Wyro było twardą walutą. Jeśli za wiele osób przyszło w jedno miejsce, to były skargi, wyrzucano ich i zgłaszano na policję, robił się generalny syf i w drzwiach zakładano nowe zamki.

Przed butikiem, gdzie kiedyś mieścił się sklep płytowy Hellströma, spostrzegł Eckego Modiga. Kiedy zasuwiał w tamtą stronę, słyszał w głowie *Young Americans* Bowiego. Ta płyta, gdy ją tam kupował, kosztowała trzydzieści dziewięć koron i była warta bez dwóch zdań każdego wydanego öre, bo chociaż Rycerz nie miał dzisiaj żadnej ze swoich starych płyt, to przecież miał je w głowie, nagrane w labiryntach i zakamarkach mózgu, właśnie dlatego muzyka jest tak niesamowita, z talerza gramofonu może wkręcić się prosto w wieczność.

Ecke siedział rozparty na ławce. Był to facet, który brał wszystko, co tylko można w siebie wpuścić, przez trzydzieści lat. To było widać po jego drżących rękach i bezustannym ruchu żuchwy. Sam Rycerz dawno już z tym skończył, od gandzi chciało mu się tylko spać, a cięższych dragów się obawiał. Tych parę razy, kiedy ich próbował, skończyło się ostrym odlotem, raz zaczął w Chacie łowić śledzie, w zejściu do piwnicy, i przeraźliwie bał się rekinów pływających pod podłogą.

– Na twoim miejscu bym spróbował pod Halą Dacke – powiedział Ecke, który nigdy właściwie nie był jego kumplem, fałszywy sukinsyn. – Nie wiedziałem, że zaczęłaś jechać na koksie. Myślałem, że to nie twój styl.

– Nigdy nie jest za późno, żeby się zmienić – powiedział Rycerz i podziękował mu za radę.

– Niewarta twoim zdaniem stówki?

Pokręcił tylko głową i ruszył w stronę Söderhöjden.

To były jego dawne tereny łowieckie. Rewiry, które znał jak własną kieszeń, ale drzewa od tamtych czasów urosły i przyszli inni, i rządzili teraz parkami i bramami, Irakijczycy, Somalijczycy i Jugosłowianie, choć tak się chyba teraz już nie mówi, kiedy Jugosławia nie jest jednym krajem. Granice zostały przesunięte. Tu kiedyś bawił się w wojnę, w leśnych wykrotach, kiedy jeszcze rósł tu las, i kiedy skończył szkołę, zostawił matkę, niech robi, co chce, tułał się trochę, mieszkał tu i tam, aż dostał własne mieszkanie na Frihetsvägen, dostał pracę w magazynach Kodaka, a potem w fabryce kondomów. Swoje pierwsze mieszkanie mógł widzieć z daleka, tam, na najwyższym piętrze, gdzie przez jakiś czas mieszkała z nim Ing-Marie i dzieciaki, aż trudno uwierzyć. Dziwny okres w życiu mężczyzny, różny od wszystkich innych. A potem poszła sobie w siną dal, a on chyba żył dalej jak przedtem. Byli za młodzi na rodzinę, związek i te rzeczy, tak sobie o tym myślał. Skąd miał wiedzieć, jak ma zatrzymać kobietę taką jak ona? Była jak wiatr albo jak woda w wielkich, rwących wiosennych rzekach, której nikt nie mógł się oprzeć. Wiedział, jak to jest. Jego stary tam utonął, na północy, przy spławie dłużycy, kiedy woda kręciła balami, tak że poślizgnął się i go zmiażdżyły.

Pod sklepem ICA w Hali Dacke zobaczył grupkę na pozór beczynnych młodych ludzi. Rycerz nie dał się zwieść, rozpoznał ich po rozbieganych spojrzeniach i pięściach zaciśniętych na trefnym towarze w kieszeniach.

– Siema, dziadku – rzucił jeden z nich.

Rycerz wyciągnął niezdarnie z kieszeni artykuł z gazety, wygładził go.

– Potrzeba czegoś czy jak? – zapytał inny.

Pokręcił głową. Wskazał na tytuł, zdjęcia kokainowych „famili” i sieć ich powiązań.

– Wiecie, kto to jest?

Spostrzegł, że paru z nich zachodzi go od tyłu, okrążony poczuł się nieswojo.

– A czemu pytasz?

– Co cię to interesuje?

– Glina jesteś czy jak?

Wybuchnęli śmiechem. Śmiał się razem z nimi. Wyglądał może na gliniarza? W swoich dwóch płaszczach i z włosami w strąkach, którymi targał wiatr? Któryś go pacnął w ramię.

– Ty, ja cię znam, ty zawsze siedzisz w centrum. Menel, znaczy.

Rycerz pomachał wycinkiem z gazety.

– Ten koleś – powiedział – zabił moją córkę. Wyrzucił ją przez okno.

Wskazał jeden z wieżowców, żeby im dać jakieś pojęcie o wysokości. Usłyszał ciszę mężczyzn dokoła i głośny wdech tuż przy uchu, gdy jeden z nich sztachnął się mocno papierosem.

– A po kiego przyłazisz z tym do nas? Nie znamy takich typasów, co ty se, stary, o nas myślisz?

Serce mu łomotało w piersi.

– A może znacie kogoś, kto zna kogoś? Może możecie spytać?

– *Shit, man*, to grube ryby. – Gość nosił lśniąca czerwoną kurtkę z białymi paskami wzdłuż rękawów. Wyrwał Rycerzowi wycinek z ręki. – Jeden przecinek cztery dziesiąte tony, macie pojęcie, ile to jest?

Teraz wszyscy stłoczyli się nad artykułem, bardziej zaciekawieni jego treścią, morską drogą przemytu niż Rycerzem. On zerknął za nich, zajrzał do sklepu, który został przebudowany i odremontowany, krótki błysk, wrażenie w ciele, że tam, w środku, woził kiedyś wózkiem sklepowym małą dziewczynkę, urządzał rajd między regałami – wózek był pełen konserw i butelek z piwem, a dziewczynka piszcziała z zachwytu.

Ktoś rzucił niedopałek, który wylądował u jego stóp.

– To może być SÄPO – powiedział Rycerz, patrząc na niedopałek. – To nie o nią właściwie im chodziło, to było ostrzeżenie.

Gdzieś w tylnej części czaszki zastanawiał się, czy oni będą w stanie to zrozumieć. Wywodzą się z innej kultury czy raczej z paru innych kultur, czy oni w ogóle mają pojęcie, co to SÄPO? Wiedzą, kto to był Olof Palme?

Ta teoria przyszła do niego w nocy, gdy i tak nie mógł zasnąć. Ukorzył się wtedy przed krzyżem, dosłownie, udało mu się dostać nocleg w schronisku RIA^[22], z Jezusem i wszystkim w pakiecie, i kiedy już leżał w pościeli i słyszał kogoś chrapiącego nieco dalej, wtedy nagle go jakby olśniło.

Anonimowy gość, jeden z tych szarych, którzy śledzą i nadzorują. Dlaczego szedł za kuzynem z kokainowej rodziny, akurat gdy fotograf cyknął zdjęcie, tego Rycerz nie wiedział, ale umiał rozpoznać agenta SÄPO, kiedy go zobaczył. Gapił mu się prosto w oczy tamtym razem przed Rycerzem Jakobem. Czy nie powinien był już wtedy wyczuć, co się święci?

Przez całą noc patrzył w sufit i czuł, jak budzi się w nim lęk, pazury, które rozrywały go od środka, i gdyby nie to, że łóżko było tak cudownie ciepłe, od razu ruszyłby na swoje ścieżki, żeby poszukać czegoś do wypicia.

To nie o jego córkę chodziło tym ludziom, tylko o niego. Musiało tak być. On był jej ojcem. To miało sens. Dotarło do nich w jakiś sposób, że on zna prawdę o całym oszustwie z pozorowanym zabójstwem premiera. Przecież rozpowiadał o tym każdemu, kto chciał słuchać, nawet miejscowej policji. Jak mógł być taki głupi? Skoro tyle wysiłku włożyli w ukrycie faktu, że śmierć Olofa Palmego została upozorowana, żeby wykiwać CIA i KGB, i diabli wiedzą kogo jeszcze, to nie cofną się przecież przed niczym, żeby uciszyć kogoś, kto chodzi i na okrągło miele jęzorem. Ale nie załatwili jego, tylko jego córkę. Jako ostrzeżenie. Takie mieli metody, tchórzliwe skurwiele.

Rano wcześniej zerwał się z łóżka, szybko opłukał się pod prysznicem, który też wchodził w pakiet, i pośpiesznie wrzucił w siebie musli i kanapki, którymi częstowały miłe panie z RIA. Ruszył przed siebie, żeby znowu deptać asfalt, i zaczął się rozpytywać.

Nie mógł iść na policję, to ostatnie, co przyszłoby mu do głowy. W jednej chwili SÄPO byłoby poinformowane i przyjechałoby go zwinąć. Zastanawiał się, czy nie powinien spróbować złapać swojej drugiej córki, Helene, która była taka podobna do matki, ale po pierwsze, nie miał telefonu, po drugie, ona nie zostawiła mu żadnego numeru, a po trzecie, nie mógł jej w to wciągać, żeby się nie skończyło jak z jej siostrą. Zbierało mu się na płacz, kiedy pomyślał, co ta dziewczyna musiała za niego wycierpieć. Czy tam, na górze, w mieszkaniu na Aspñäs, doszło do szarpaniny? Broniła się?

– A potem ją wyrzucili – powiedział i spojrzał do góry, zobaczył grupę obcych słuchających go mężczyzn. – Nie wiem, czy to był tylko ten facet, czy było ich w mieszkaniu więcej, mogli ją długo mieć pod obserwacją.

Zmarszczone czoła, sceptyczne spojrzenia.

– Kurwa, no coś takiego zrobić kobiecie – odezwał się któryś. – Tak się normalnie nie robi.

– Myślisz, że SÄPO się przejmuje takimi jak ty? Oni dość, kurwa, mają

zapieprzu z terrorystami.

– Olof Palme to był *fucking great man* – powiedział trzeci, po czym podrzucił papierosa i chwycił go ustami. – Powinien wrócić i zrobić porządek z tym syfem, co jest teraz.

Rycerz spojrział w dół, na krąg nowiutkich adidasów otaczających jego własne buty, i znów poczuł, jak go ogarnia dawny lęk. Nie chodziło wyłącznie o SÄPO, tylko o wszystko tutaj wokół niego, miejsca, które się pozmiały, gdzie jego własne prawa już nie obowiązują i gdzie nie wie, jak najlepiej wyjaśnić skomplikowaną rzecz.

Cofnął się i odwrócił, żeby odejść.

– Dziękuję i tak – wymamrotał.

Mężczyzna w czerwonej kurtce pomachał stroną z artykułem.

– Ej, dziadek, ja se to zatrzymam, dobra?

To ona, a mimo to nie ona, wysiadła wieczorem z taksówki na Mariatorget^[23], żeby spotkać mężczyznę, którego prawdziwego nazwiska nie znała.

Jego nick to „Kerouac”.

Helene miała na sobie granatową sukienkę ze skośnym dekoltem, należąca kiedyś do Charlie.

Słaby zapach perfum innej osoby.

Kerouac postawił sprawę jasno: albo spotkanie, albo do widzenia. Miał już dość tego e-mailowania w tę i we w tę. I to on zaproponował jej miejsce, bar z wystrojem z glazury i stali, z kuchnią z trzęsawisk Luizjany.

Kupiła sobie lampkę wina i usiadła przy stoliku z widokiem na wejście. Zastanawiała się, jak Charlie czuła się, czekając na jednego z tych wszystkich obcych mężczyzn, czy w niej serce też łomotało tak głucho, nerwy miała zupełnie na wierzchu, tak że aż czuła fizyczny dotyk ubrania.

W głębi lokalu siedzieli mężczyzna z kobietą, zwróceniu ku sobie, jedli krewetki z parującej misy, inna para siedziała przy barze. Helene popatrzyła na nich teraz innym wzrokiem – czy nie wydają się trochę zbyt ożywieni, skrępowani, obcy sobie ludzie, którzy jeszcze nigdy się nie dotykali?

Szukała tamtych rysów twarzy w każdym mężczyźnie, który wchodził, gęstych, przyciętych krótko włosów, spojrzenia, w którym kryły się i śmiech, i tęsknota.

Wymienili ponad trzydzieści e-maili, ten facet i Charlie, coraz bardziej dociekliwych i prywatnych. W ostatnich ośmiu zaczęli planować spotkanie i w końcu on podał jej swój numer telefonu.

Tuż przed wyjazdem Charlie do Buenos Aires ich kontakt na stronie ustał.

Numer telefonu nie był zarejestrowany. Helene zastanawiała się, czy nie zadzwonić, nie wiedziała jednak, jak miałyby przedstawić swoją sprawę. Łatwo jest rzucić słuchawkę, ale trudniej zignorować kobietę w barze, gdzie przybyło się z własnej woli, choćby pod fałszywym pretekstem.

Obciągnęła sukienkę na udach, bo podjeżdżała jej do góry, gdy siedziała. Trochę za ciasna w biodrach, ale oprócz tego obie miały mniej więcej ten sam rozmiar. We własnej garderobie nie znalazła niczego, co chciałyby dzisiaj włożyć.

– Billie Jean?

Wzdrygnęła się i poczuła jego oddech tuż obok. Włosy mężczyzny były trochę rzadsze niż na zdjęciu i chyba przybrał parę kilo. Lekki uśmiech, jakby mu się podobało to, co widzi. Wyciągnął dłoń.

– Peter – powiedział.

W tej samej chwili zrozumiała, że to wielka pomyłka. Ten facet nigdy nie spotkał Charlie, naprawdę myślał, że to ona jest Billie Jean, mimo że zmarszczył brwi i przyjrzał jej się aż nazbyt wnikliwie.

– Nie jesteś zbyt podobna do zdjęcia.

Przywołał barmana i zamówił sobie brooklyn lager.

– To stare zdjęcie – powiedziała i zerknęła na swoje kolana, na sukienkę, która była za krótka i nazbyt wymyślna. – A raczej... To nie ja na nim jestem.

– Mówisz serio?

Cofnął się o krok i zmierzył ją z góry na dół. Wydało jej się, że na jego twarzy pojawił się niesmak. Powoli pokręcił głową i sięgnął po butelkę z piwem.

– Zamieścić cudze zdjęcie jako własne, czegoś takiego jeszcze nie widziałem. Kobiety, które kłamią w sprawie swojego wieku albo szpachlują się do fotografii jak modelki, a potem trudno je rozpoznać, bo w lokalu wyglądają normalnie, to jeszcze mogę zrozumieć, ale coś takiego...

Wypił parę łyków z butelki, nie odrywając od niej wzroku.

– Co z wami jest? Wydaje wam się, że nikt tego nie zauważy przy spotkaniu? Czy tylko chcecie się podroczyć?

– Nie, nie o to chodzi – powiedziała cicho Helene. – To moja siostra. To z nią

miałeś kontakt.

– W takim razie co ty tutaj robisz? – Rozejrzał się. – To ma być jakiś żart czy jak?

– Ona nie żyje – wymamrotała Helene. – Zmarła miesiąc temu.

– Nie żyje? – Mężczyzna się roześmiał. – Różne przygody w życiu miałem, ale to chyba pierwszy raz, jak jestem na randce z trupem.

Helene patrzyła mu w oczy tak długo, aż spoważniał.

– Serio? – zapytał. – Jak umarła?

Helene odsunęła kieliszek z winem, przełknęła ślinę.

– Ktoś ją zabił.

Tak powiedziała, prosto z mostu. W tej samej chwili jakby jej ulżyło. To oznaczało, że winę ponosi ktoś inny.

Sięgnęła po kieliszek.

– O cholera – powiedział mężczyzna, który miał na imię Peter. – A ty myślałaś, że to ja – czy co?

– Nie, ja tylko... – Helene upiła mały łyk i nie wiedziała tak naprawdę, co myślała, ani co nią właściwie powodowało. Skłamała w domu, że idzie na służbową kolację, i przyjechała tutaj. To był skutek logicznego ciągu zdarzeń, zaczęła coś, z czego nie mogła się potem wycofać.

Zakręcił piwem w butelce, spojrzął na nie.

– Billie Jean... – powiedział z nutą rozmarzenia w głosie. – Była z tych, co to lubią się bawić. Obiecywała, grała ostro, ale później, jak się zaczęło robić na poważnie, to odpuściła sobie nagle i zniknęła.

– Zniknęła?

– Tak to jest. – Głos mu stwardniał. – Człowiek pisze, otwiera duszę, a wy potem gdzieś sobie znajdujecie kogoś innego, kto wydaje się wam lepszy.

– Dzwoniła kiedyś do ciebie?

– Jasne. Dzwoniła. Gadaliśmy. Czasem godzinę, dwie, to było tak, jakby się znalazło bliźniaczą duszę, swoją drugą połówkę, czy jak tam się mówi.

Drgnęła, słysząc te słowa. Bliźniaczą duszę? Czy Uffe Rainer też nie mówił czegoś takiego? Byłoby tylu mężczyzn podobnych do jej siostry? Helene wątpiła. To raczej talent Charlie, umiejętność wniknięcia w innego człowieka i sprawienia, żeby się poczuł dostrzeżony i zrozumiany, szczególny rodzaj obecności.

– Wspominała może kiedyś o wyjeździe do Buenos Aires? – spytała Helene.

– Jasne, przy każdej rozmowie, chciała nawrócić mnie na tango i w ogóle, ale bez cudów, kto mi da teraz wolne, w środku semestru?

– Mówiła coś poza tym?

– Że szuka namiętności. – Popatrzył na rząd butelek wzdłuż ściany za barem, gatunki piwa z różnych stron świata. – Że ciepława nuda to nie dla niej, chciała zobaczyć, jak daleko potrafi zaprowadzić pasja, czy może sprawić, że człowiek rzuci dla niej wszystko. A potem przestała odbierać moje telefony.

Mężczyzna dopił jednym haustem swoje piwo i jeszcze raz dokładnie zlustrował Helene.

– A ty, czego ty szukasz?

– Jestem mężatką.

Spojrzał z ukosa na jej lewą rękę. Obrączka leżała w torebce. Westchnął.

– I tak miałem zamiar z tym skończyć.

Potem odstawił butelkę i poszedł.

Helene została sama, siedziała nieco zmieszana, z poczuciem, jakby ten facet poddał ją lustracji i odrzucił. Zapłaciła także za niego, wzięła płaszcz i wyszła nieco lżejszym krokiem. Nikt jej nie rozpoznał, nikt nie wiedział, kim jest ani dlaczego idzie tą ulicą, akurat tego wieczoru, na tym wietrze. Poza tym wyraźnie podobała się mężczyźnie o nicku Kerouac, dopóki jeszcze sądził, że chodzi o miłość.

Billie Jean miała trzynaście nowych wiadomości.

– Gadaj zdrowa, ale jeśli znów mamy się spotkać, to na moich warunkach.

To był mężczyzna używający nicka Czego Zapragniesz. Odpowiadał teraz tej, którą brał za Billie Jean.

– Nie lubię, jak się mnie robi w konia, ale *fine*, jak chcesz się tak bawić, to proszę bardzo.

Tak się chyba nie pisało do kobiety, którą się zrzuciło z balkonu? A może?

Helene przeczytała ponownie cały list.

Nie lubię, jak się mnie robi w konia mogło oznaczać, że to Charlie kiedyś go oszukała albo że nadawca zdaje sobie sprawę, że jest oszukiwany teraz. Chciał ją tym samym uspokoić, żeby stawiała się na to spotkanie *na moich warunkach*?

Helene odpisała coś, co, jak sądziła, chciał usłyszeć.

– W porządku, ty decydujesz...

I tak się nigdy nie spotkają. Chciała spróbować dociec prawdziwych nazwisk tych mężczyzn, ale nie zamierzała więcej spotykać żadnego z nich *in real life*.

Tancerz Tanga jeszcze nie odpowiedział.

Oderwała wzrok od ekranu i rozejrzała się po sali. Jedyne z jej kolegów, który nie poszedł na lunch, to ten lizus Sverker, siedzący po drugiej stronie. Ponieważ został zatrudniony jako ostatni, miał miejsce na samym końcu, w rogu, gdzie dochodziło trochę mniej światła i skąd nie miał szansy zobaczyć, że jej ekran pokazuje coś całkiem innego niż usytuowanie toalet w jakiejś czynszowej kamienicy w Skövde.

To zadanie zastała na swoim biurku, kiedy rano zjawiła się w pracy. Przesłanie było jednoznaczne.

Pora bardziej zaangażować się w projekty biura i nie zwalać już niczego na kłopoty w życiu osobistym.

Zarumieniła się, gdy otworzyła następną wiadomość.

Kerouac: „Miło cię było poznać. Daj znać, jak zechcesz znów się spotkać ;-)”.

Szybko zamknęła to okienko. Można odpowiedzieć i można nie odpowiadać. Zaczęła się uczyć. W tym świecie nie obowiązują żadne zasady *savoir vivre*’u czy grzeczności, nie trzeba żadnych wyjaśnień, żadnych pożegnań, kiedy się odchodzi.

Miała wrażenie, że wyczuwa fałszywe intencje za każdym uśmiechem, coś nieprzyjemnego w ich spojrzeniach. A jednak logowała się tam, kiedy tylko miała wolną chwilę. Czytała dalej. To było jak trucizna. Większość to nowe próby nawiązania kontaktu, niezdarne, aluzyjne. *Zdaje się, że oboje chcemy tego samego, ty i ja...*

Na liście wyskoczyła nowa wiadomość, odpowiedź od jednego z tych, do których napisała.

Mężczyzna używał nicka Dwudziestosiedmiolatek. Nie miał swojego zdjęcia, tylko pusty profil w okienku, w którym powinna być twarz.

List składał się z jednego wersu.

„Billie Jean nie może już rozmawiać, bo nie żyje. Więc kto ty jesteś?”

Jakiś odgłos za jej plecami. Gorąca fala oblała jej ciało. Szybko zmieniała obraz na monitorze, tak że pozostał na nim tylko plan czynszówki w Skövde. Kiedy się odwróciła i ujrzała za sobą stojącego szefa, nie była pewna, czy zdążyła. Może w wyrazie jego twarzy kryło się lekkie rozbawienie?

– Jak leci? – spytał Peo Ahlsén.

– Dobrze, to ciekawe – odpowiedziała, wskazując głową linie na ekranie.

Rozmieszczenie toalet to było coś, co rysowało się przez pierwsze pół roku po studiach architektonicznych, takie rzeczy mogli szkicować praktykanci.

– To fajnie – rzucił – bo to robota na wczoraj.

Tego wieczoru Helene wciąż siedziała w biurze, gdy inni już poszli. Wszystkie sedesy w siedmiopiętrowym bloku stały już na swoim miejscu, a kompletne rysunki leżały na biurku Peo.

Jarzeniówki były zgaszone, a światło dzienne stygło, błękitniejąc. Zalogowała się na Romans.se i znowu otworzyła list od Dwudziestosiedmiolatka. Poczła suchość w ustach, pisząc:

– Skąd wiesz, że Billie Jean nie żyje?

Potem, nim była w stanie kontynuować, musiała pójść zaparzyć sobie filiżankę herbaty. Słyszała ludzi przechodzących ulicą za oknem, gwar i brzęk naczyń z pobliskich lokali, cały ten zgiełk towarzyszący zawsze latu, gdy w końcu nadeszło. Tu, w czterech ścianach, rozbrzmiewał tylko wieczny szum niewyłączanej nigdy elektroniki i czasami, kiedy siedziała samotnie wieczorem, tak jak teraz, słyszała stuki w suficie pozostałe tu po odległej epoce industrialnej.

Weszła na stronę Tancerza Tanga. Przyjrzała się mężczyźnie o życzliwych

oczach, który zdradził, że ma na imię Mats.

Napisała do niego trzy listy. Z logu wynikało, że nawet ich nie otworzył. Mats najwyraźniej nie chciał mieć z Charlie do czynienia.

Przejrzała jeszcze raz jego autoprezentację. „Właściwie jestem chyba człowiekiem nieśmiałym”.

Strona udostępniała funkcję blokowania niepożądanych kontaktów. Jeżeli Mats zablokował Billie Jean, to nawet nie wiedział, że do niego napisała, a wtedy nie pomogłoby nawet błaganie na kolanach i zapewnianie o miłości, zebranie, żeby się odezwał.

Istniała oczywiście i inna możliwość, z czego Helene zdawała sobie sprawę, mimo to nie przestawała wchodzić coraz głębiej w funkcje i systemy strony, żeby dotrzeć do tego człowieka. Bo jeśli to z nim Charlie wybrała się do Argentyny, to on wie rzeczy, o których nie wie nikt poza nim. Niewykluczone także, że rozdmuchał swoje marzenia i pasje do rozmiarów takiego szaleństwa, iż był gotów zabić, była tego świadoma, dlatego też w następnej kolejności ściągnęła sobie jego zdjęcie. Kliknęła w „Nowy list”, dołączyła fotkę i zaadresowała do Moni.

– Możesz poprosić córkę, żeby na to spojrzała i powiedziała, czy to jego widziała w Rycerzu Jakobie?

Potem zaczęła tworzyć własny profil na Romans.se.

Nowe imię użytkownika i hasło dostatecznie wymyślne, by nikt nigdy nie mógł go odgadnąć.

Blisko prawdy, pomyślała, uczciwość.

Mats szukał uczciwej kobiety, to wiedziała. Znała już jego życzenia na pamięć. Marzył o takiej, której mógłby zaufać po tym, jak raz się sparzył.

W ogóle jeszcze miał ochotę tańczyć tango?

Imię przyszło jej do głowy nie wiadomo skąd, z wypracowania, które kiedyś napisała w szkole o dziewczynce biegającej boso po skałach.

Katja.

Znalazła słowa opisujące jej tęsknotę, czy może tęsknotę Katii za intymnością, czułością i mężczyzną, z którym mogłaby dzielić radość życia. Napisała, że kocha muzykę, i dorzuciła jeszcze coś o namiętności.

Kiedy wahała się, czy nie wymazać akurat tego słowa, bo wydawało jej się nazbyt pompatyczne, spostrzegła nagle, że to się powtarza raz po raz. Kilku spośród mężczyzn, którymi Charlie była zainteresowana, mówiło o namiętności.

O pasji sprawiającej, że rzuca się wszystko, że byłaś gotowa zapomnieć o wszystkim i skoczyć w przepaść, sprawiającej, że umierałaś i pragnęłaś umrzeć znowu. To było w tekstach Charlie, które czytała w jej mieszkaniu, w tym, co powiedziała Kerouacowi, i w miarę jak Helene uzupełniała swój profil, jawiło jej się to coraz wyraźniej, jak zdjęcie o zbyt dużej rozdzielczości, które stopniowo pojawia się na ekranie. Być może Charlie nie szukała jedynie miłości w jej najbardziej egzaltowanej postaci, bo czyż miłosnej pasji nie porównywano kiedyś do szaleństwa czy wręcz opętania? Szukała odpowiedzi na pytanie „dlaczego”. Chciała raz poczuć żar namiętności, *jak strumień lawy płynący przez ciało*, tak palącej, że człowiek gotów jest rzucić dla niej wszystko. Nawet własne dzieci.

By ostatecznie, być może, zrozumieć.

Pytanie, co robiła w Buenos Aires. Susana Jacobsson obiecała, że spróbuje skontaktować się ze swoim byłym mężem, ale więcej się już nie odezwała.

Helene wyjęła własnego laptopa i wyszukała zdjęcie z ubiegłego lata, z kąpieliska na Vaddö. Takie, na którym była uśmiechnięta i wyglądała zupełnie bez troski. Obcięła wszystko poza samą twarzą, przeniosła zdjęcie i ukryła w strefie dostępnej tylko dla wybranych.

Pierwszym i jedynym adresatem jej oferty miał być Tancerz Tanga.

„Podoba mi się to, co widzę” – napisała anonimowa kobieta używająca nicka Katja i poczuła rausz wywołany czymś zakazanym i niepokojącym, rozlewający się po ciele i budzący zawstydzienie, więc odruchowo, w sekundę po tym, jak wysłała list, wylogowała się i wyłączyła laptopa.

„Możemy spotkać się, jeżeli chcesz” – miała napisać następnym razem. Nie wszystko naraz, bo wtedy mógłby pomyśleć, że ma do czynienia z jakąś desperatką, co by go odstraszyło, mimo to już teraz sformułowała pytanie do następnego listu: „Nie lepiej zajrzeć sobie w oczy, usiąść twarzą w twarz?”.

– Tu Aurek Krawczyk, Komenda Rejonowa Północ.

Helene zatrzymała się w pół kroku, już miała wsiąść do autobusu w drodze z pracy.

– Tak, słucham?

Zeszła ze stopnia z powrotem na chodnik, lepiej zaczeka na następny. Zaraz pewnie usłyszy, że się pomylili, zdążyła pomyśleć, i że zatrzymali tego, kto to zrobił.

– Mam tylko jedno pytanie. Czy mówi pani coś nazwisko Anette Häger?

Helene ogarnęło niedobre przeczucie. Ta lekkość w jego głosie. Nie poprosił, żeby usiadła, ani nic w tym rodzaju. Nazwisko kobiety przebiegło przez jej mózg, lecz nie znalazło tam żadnego zaczepienia.

– Nie... A dlaczego? Czy śledztwo nie zostało umorzone?

– To w związku z innym dochodzeniem, w którym chodzi o napad. Chyba wspomniałem pani o tym, jak rozmawialiśmy ostatnio.

Napad, pomyślała, coś z lekarstwami znalezionymi u Charlie. Helene odeszła na bok, żeby wyjść z kolejki do autobusu.

– Mówi pan o tamtym napadzie na aptekę?

– Wczoraj wieczorem policja z Jakobsberga zwinęła trzech chłopaków przy próbie włamania do kiosku. Mam przed sobą raport. Przy przeszukaniu w domu znaleziono trochę za dużo maszynek do golenia i tabletek od bólu głowy z tej samej apteki.

– A ta Anette...?

– Häger. Nie wie pani, czy pani siostra ją znała?

– Wydaje mi się, że słyszałam to nazwisko. Ona jest z Jakobsberga?

– Jest współwłaścicielką tej apteki i była tam podczas napadu. Miała właśnie zamykać, kiedy ją zmusili, żeby ich wpuściła.

– Chyba chodziła równolegle z nami do podstawówki, Kvarnskolan, ale nie rozumiem, co...

Helene weszła głębiej pod wiatę przystanku. Do następnego autobusu miała siedem minut. Usiłowała gorączkowo wymyślić, co powinna powiedzieć o kontaktach Charlie z tymi mężczyznami, teraz, gdy akurat ma policjanta po

drugiej stronie słuchawki, że kilka osób widziało ją z kimś tamtej nocy, że może da się go odnaleźć pod którymś z nicków w sieci.

– Dziś rano byłem osobiście przy ich przesłuchaniach – ciągnął dalej Krawczyk. Ściszył głos, ale chyba trzymał telefon bliżej ust, bo Helene mimo to wciąż dobrze słyszała, co mówi. Jakby odszedł na bok, żeby powiedzieć coś przeznaczonego tylko dla jej uszu. – Te chłopaki, jak się ich przycisnie, opowiadają całkiem różne wersje, jeden chce tylko do domu, do mamy, i powtarza, że nigdy na nikogo nie napadał. Według niego zostali wpuszczeni do środka, a w takim razie to się nie kwalifikuje jako rozbój, skoro nie było tam przemocy ani groźby użycia przemocy, te chłopaki dobrze znają prawo. Ale kiedy teraz czytam raport, widzę, że jest tam parę innych dziwnych rzeczy. Apteka była na skraju bankructwa i miała towar, którego nie byli w stanie sprzedać. A potem te tabletki Rohypnolu trafiają do pani siostry, jakim cudem, pytam. Te dzieciaki nie mają takich kontaktów. Camilla nie była znana w tych kręgach. Wiem, bo się o to rozpytałem, bo wie pani co, pani Bergman? Bo ja nie lubię, jak kobieta, która ma na koncie usiłowanie samobójstwa, dostaje do rąk takie rzeczy. Po prostu nie lubię.

– Okej – rzuciła Helene, gdyż nie wiedziała, co ma odpowiedzieć na to wszystko. Odnotowała, że użył imienia Camilla, uznała, że to miłe z jego strony.

Nabrała powietrza.

– Jest inna sprawa, o której chcę z panem pomówić – powiedziała. – Wiem już, że tamtego wieczoru siostra była w mieście z mężczyzną. A właściwie to z dwoma...

– Jak już mówiłem, ta sprawa jest zamknięta, ale jeżeli panią to pocieszy, to zdaje mi się, że tę tutaj uda nam się wyjaśnić do końca. To znaczy, że nic pani nie wie?

– Niestety, przykro mi – powiedziała Helene. Szukała jakiegoś sposobu, żeby wyjaśnić mu, o co jej chodzi, ale wszystko, co wydawało się tak jasne i oczywiste, nagle sprawiało wrażenie mętnej spekulacji. Ktoś, kto widział kogoś, rysopis pasujący do tysięcy mężczyzn, poczucie, że coś się nie zgadza. Orientowała się w prawie na tyle, by wiedzieć, że to nie wystarczy, aby na nowo podjąć umorzone śledztwo.

Autobus nadjechał i cicho przystanął, syczący dźwięk, kiedy przechylił się, żeby ludzie mogli wsiadać.

Przyczerniła sobie powieki, włożyła płaszcz i wyszła z hotelowego pokoju wynajętego na jedną noc.

Oficjalnie była na kursie, gdzieś za miastem, i miała tam przenocować.

Nieoficjalnie Katja, jak się nazywała, wyszła z hotelu głównym wyjściem, żeby zawrócić na ulicy i bocznymi drzwiami wejść do hotelowego baru.

Zobaczyła Uffego Rainera przy barze nad szklanką piwa. Nie pasował do otoczenia, facet w dżinsach, z przetłuszczonymi włosami, w tłumie maklerów, finansistów i ludzi z branży IT, niemal poczuła zapach ptasiego łajna, i to dodało jej otuchy.

Zawsze to jakieś zabezpieczenie.

Przypomniała jej się jego wysoka postać, niespokojne ruchy i rodzaj ciepła, którym emanował, jakaś szczerłość. Nie wiedzieć czemu, nie wątpiła, że stanie w jej obronie, jeśli będzie trzeba.

Przecież Jockego nie mogła o to poprosić. Był ostatnim człowiekiem, któremu mogłaby się zwierzyć. Zawsze umiała ściśle oddzielać swoją przeszłość od swojego małżeństwa. Nic wstydliwego czy brudnego nie mogło przenieść się na jej dzieci, były świeżymi sadzonkami, z wiosennego siewu, ich to nie dotyczyło, ale na koniec Charlie wciągnęła w to wszystko Helene, która właśnie dlatego musiała kontynuować.

Nie tylko dlatego, pomyślała i omiotła wzrokiem lokal. Musi się dowiedzieć.

Tancerz Tanga siedział przy stoliku dla dwóch osób.

Zobaczył ją, gdy ruszyła w jego stronę. Niezręcznie schował komórkę i przygładził włosy. Zauważyła, że wytarł rękę o spodnie, zanim wstał, żeby się przywitać.

– Mats – przedstawił się.

– Katja – powiedziała.

Zaśmiał się nerwowo, ale uścisk dłoni miał mocny, a spojrzenie promiennie niebieskie.

– Zjesz coś?

– Nie, dziękuję, tylko kieliszek białego wina.

Helene rzuciła za siebie ostatnie spojrzenie, żeby upewnić się, czy Uffe Rainer

widział, gdzie usiadła.

Stolik był za mały, niełatwo było tak postawić nogi, żeby się nie zderzały z nogami mężczyzny. Natychmiast pojawił się kelner i wyrecytował listę win.

– Wezmę wasze stołowe – powiedziała Helene.

Mats zamówił kieliszek czerwonego o długiej francuskiej nazwie, jej już kompletnie nie robiło to różnicy.

Teraz czy później, zastanowiła się, i zdecydowała, że zaczeka przynajmniej, aż wypiją parę łyków.

– Mogę zapytać, jak naprawdę się nazywasz? – rzucił.

– Katja – odpowiedziała i wzruszyła ramionami. – To nie wystarczy?

– Ależ wystarczy, oczywiście. – Uśmiechnął się, a Helene spojrzała na jego dłoń na stole, która zdawała się podpełzać ku jej dłoni. – Cieszę się, że zechciałaś spotkać się tak szybko. W końcu to o to przecież chodzi, co się dzieje, jak ludzie spojrzą sobie w oczy.

Kieliszki z winem wylądowały między nimi. Upiła dwa duże łyki. Terese nie potrafiła zidentyfikować mężczyzny ze zdjęcia, nie miała stuprocentowej pewności. To mógł być on, ale nie musiał. No dobra, była nawalona, i co z tego?

Mats mówił o tutejszej kuchni, że podobno dobra, potem coś o pogodzie. Helene starała się osiągnąć stadium obojętności poza lękiem i zażenowaniem. Chłodny uśmiech, to wszystko.

– To zresztą bez znaczenia, jak naprawdę się nazywam – powiedziała – bo więcej się nie spotkamy.

Już się nie uśmiechała.

– Szybko oceniasz ludzi – skonstatował.

– Nie chodzi o ciebie. Na pewno jesteś fajnym człowiekiem, dobrze wyglądasz, jestem pewna, że miły z ciebie facet. Tylko że nie w tym rzecz.

Jeszcze dwa łyki, kieliszek prawie opróżniony.

– Jakiś czas temu randkowałeś z kobietą o imieniu Camilla, prawdopodobnie używała imienia Charlie, ale w sieci nazywała się Billie Jean.

Mats odchylił się na krześle.

– O co chodzi? Czego właściwie chcesz?

– Wiesz, co się z nią stało?

Rozejrzał się na boki, zaskoczony, zdenerwowany, twarz mu poczerwieniała,

przez co wyglądał nieco młodziej, zdziwienie z wolna zamieniało się w agresję.

– Nie mam pojęcia, niby skąd mam wiedzieć? I nic mnie to nie obchodzi. To ona puściła mnie kantem, więc jeśli chcesz wyjeżdżać z jakimiś pretensjami... Co ona ci właściwie o mnie powiedziała?

– Nic. Nic mi nie powiedziała.

Helene starała się mówić spokojnie, tak beznamiętnie jak w przetargach z podwykonawcą w sprawie cen i materiałów.

– Nikt nie ma żadnych pretensji. Dobrze ją znałam, może lepiej niż ktokolwiek inny, więc ja wiem, jaka potrafiła być. Używała ludzi do swoich własnych celów. Jestem pewna, że postarała się, żebyś się czuł tak, jakbyś był dla niej wszystkim, a następnego dnia mogła cię rzucić, nie byłeś już nic wart, bo cokolwiek byś dla niej zrobił, w końcu i tak sprawiałeś jej zawód, bo wszyscy sprawiali jej zawód, nikt nie był w stanie uratować jej przed nią samą. Jest na to specjalne określenie, narcystyczny typ osobowości, w jej przypadku można też mówić o innych diagnozach... Może była tylko człowiekiem, który nie umiał dorosnąć. Gdyby się urodziła chłopcem, można by ją nazwać Piotrusiem Panem, ale nie wiem, czy można tak powiedzieć o kobiecie.

Helene zaczerpnęła oddechu, chciała, żeby poczuł, że ona jest po jego stronie.

– I co to wszystko ma wspólnego ze mną? – Mats zmarszczył czoło, zabębnił palcami o stopkę kieliszka. – Jak mnie znalazłaś? Dlaczego udawałaś, że to randka? Dogadywałem się z pewną dziewczyną, mejlowaliśmy przez dwa tygodnie, ale zerwałem z nią, żeby spotkać się z tobą. Zdawało się, że tak strasznie ci zależy. Nieźle się dałem wyrolować.

Podniósł się z krzesła. Helene zerknęła do tyłu i zobaczyła, że Uffe Rainer podszedł bliżej, był jednak za daleko, żeby móc słyszeć, co mówią.

– Usiądź, proszę – powiedziała. – Postawię ci następną lampkę.

Mats rozejrzał się za kelnerem i poprawił sobie marynarkę.

– Nie rozumiem, dlaczego miałbym wysłuchiwać opowieści o tym, jaka była, jakby mnie to w ogóle obchodziło. – Wyciągnął rękę po płaszcz wiszący na sąsiednim krześle i znieruchomiał w tym geście, zmarszczył czoło. – Poza tym mówisz o niej, jakby nie żyła.

– Bo nie żyje.

– Chyba żartujesz.

– Siadaj.

Osunął się powoli na skraj krzesła.

Albo miał wybitny talent aktorski, albo naprawdę był zaszokowany. Siedział ciężko, słuchając, jak Helene pokrótce opowiada o śmierci Charlie. Nie wspomniała o podejrzeniu morderstwa, to by tylko skomplikowało sprawę. Mats gapił się w sufit, a potem w dół, na swoje ręce. Palce miał dosyć pulchne. Zastanawiała się, jak mogły dotykać Charlie. Gdzie przebiegała granica jej strategii?

Zamówiła jeszcze dwa wina, te same gatunki.

– Nie masz na imię Katja, prawda? – zapytał w końcu.

– Jestem jej siostrą.

– I czego ode mnie chcesz? – Głos miał teraz bardziej ochryply.

– Pojechaliście do Buenos Aires razem?

Mats przyjrzał się jej. Powiódł powoli wzrokiem po liniach jej twarzy, jakby na jego oczach Katja zanikała, aby ustąpić miejsca prawdziwej osobie.

Westchnął.

– Mieliśmy tańczyć tango. To jest coś, o czym marzyłem od wielu lat, żeby zatańczyć tango w Argentynie. To nie jest ta walka między kobietą a mężczyzną jak tutaj... – wykonał gest, wskazując lokal – ona musi iść za mną tam, gdzie ją prowadzę, i zapomnieć, kim jest. Chodziłem na mnóstwo kursów, rozumiesz.

– Nie wiedziałam, że Charlie umiała tańczyć tango.

– Ona tak twierdziła. – Otarł sobie usta wierzchem dłoni, grymas niesmaku, jakby się brzydził winem albo sobą samym. – Ale diabli ją wiedzą. Nie zbliżyliśmy się nawet do milongi.

Ta jego gorycz towarzyszyła przez następne dni jak głuchy ton wszystkiemu, co Helene robiła.

Już dawno nie spędzała z dziećmi tyle czasu. Chodziła z Ariel na rytmikę. Zostawała na treningu Maltego i głośno mu kibicowała, gdy tylko dostał piłkę, tak jak wtedy, kiedy był mały i jeszcze mogła go potem przytulić, gdy jego ciało było takie drobne, że tonęło w jej objęciach, a nie takie wyrosnięte i mocne jak teraz, oddalające się od niej z każdą chwilą coraz bardziej. Wieczorami kładła się z nimi do łóżka i czytała im na głos, lecz nawet wtedy, między wierszami, była w mieście, którego nie umiała sobie zbyt wyobrazić, próbując śledzić poplątane ścieżki Charlie, która raz po raz zanikała jej z oczu.

Mats wyrzucił w końcu z siebie całe swoje rozczarowanie. To wszystko, co dusił w sobie, chociaż to nie on powinien był się wstydzić.

Czy może zrobił coś nie tak? Jedyne, co zrobił, to zdecydował się raz w życiu uwierzyć w miłość i pozwolić sobie na szaleństwo. Pojechać na drugi koniec świata z kobietą, którą spotkał zaledwie dwa razy i nawet jej nie pocałował, ale przecież tyle do siebie przedtem pisywali, o uczuciach i w ogóle o wszystkim. Poznali się więc w inny sposób, poza powierzchownością i fasadą.

Przytulił Helene, kiedy się żegnali tego wieczoru na ulicy przed hotelową restauracją. Obejmował ją trochę zbyt długo, a jego ciało zaciążyło jej na ramieniu. Powiedział, że jest wdzięczny, że mógł ulżyć swemu sercu. Pożałowała, że dała mu swój numer telefonu. Czowała się oblepiona jego fizycznością.

Była pełnia lata, kiedy wylądowali w Buenos Aires tamtego marcowego dnia, temperatura sięgała niemal czterdziestu stopni i gdy siedzieli w taksówce z lotniska Ezeiza, był w stanie myśleć tylko o tym, że pod pachami robią mu się plamy od potu i że Charlie jest najpiękniejszą z kobiet, do których w ogóle się zbliżył. A zarazem już wtedy gryzła go wątpliwość. Przez całą podróż chciała tylko oglądać filmy, a kiedy zasnęła, to nie skłoniła się ku niemu, tylko w przeciwną stronę, ku jakiemuś obcemu mężczyźnie. Mats miał ze sobą kilka przewodników i list wydrukowanych z internetu z polecanymi pokazami tanga i milongami, w których można tańczyć do muzyki na żywo.

– Możemy chyba pójść na żywioł, zobaczymy – powiedziała, a on pomyślał wtedy chyba, że oto nadarza się okazja, żeby spróbować żyć bardziej na luzie, spontanicznie.

Już pierwszego dnia zaczęła znikać.

Istnieją słowa na takie jak ona. We wszystkich językach świata. Epitety, których nie chciał używać teraz, kiedy już nie żyła. Nie wobec jej siostry.

Zameldowali się w hotelu i jasne, że podobał jej się luksus, jaki jej zafundował. Drogi designerski hotel w Retiro, która jest jedną z bardziej wytwornych dzielnic, a jednocześnie leży blisko centrum. Czarne obicia, chowane krany. Niskie kanapy w lobby. Powiedziała, że wyjdzie na chwilę, załatwić jakąś drobną sprawę.

A godziny mijają.

Była prawie dziesiąta owego pierwszego wieczoru, gdy Charlie w końcu wróciła. Mats szalał już z niepokoju. Buenos Aires to niebezpieczne miasto. Rozmawiał z recepcją, że należałoby zadzwonić na policję, lecz postanowił

zaczekać jeszcze trochę; ambasada była już zamknięta.

A tutaj okazało się, że nie ma w ogóle o czym mówić.

Tego wieczoru chciała jeszcze wyjść gdzieś na kolację, o dwudziestej drugiej. „W tym mieście ludzie jedzą o tej porze, nie bądź taki szwedzki i nudny”.

Zjedli fantastyczny befsztyk, a potem ona wpadła na pomysł, że warto byłoby się przejść po barach. Oczywiście musiał jej to wyperswadować, bo przecież mieli w ciałach różnicę czasową, byli zmęczeni po podróży, a zamierzali tam zostać jeszcze ponad tydzień.

W pokoju od razu zasnęła. Wciąż nawet jej nie pocałował.

Jest coś nieszczęśliwego w tej kobiecie, pomyślał, patrząc na nią, kiedy spała, skulona jak małe dziecko. Czuł, że pragnie być dla niej ukojeniem. Że jego miłość ją uleczy.

A jednak nie czuł się całkiem szczęśliwy tej pierwszej nocy przed zaśnięciem, kiedy się kładł, ostrożnie, nie za blisko, żeby jej nie zbudzić, tak pełen był wtedy czułości.

Nazajutrz rano miał już zaplanowany cały dzień, listę obiektów do zwiedzenia. Wzięli taksówkę na cmentarz Recoleta, z jego słynnymi monumentami i kamiennymi pałacami mauzoleów, gdzie grób kosztuje więcej za metr kwadratowy niż mieszkanie na Manhattanie, i w końcu odnaleźli grób Evity Perón. Charlie chowała się w tych labiryntach, droczyła się z nim, i zafascynowała ją niesamowita historia z ciałem Evity, które zostało wykradzione i zniknęło na szesnaście lat, do czasu, aż je znów odnaleziono. Zdawało się, że zaczynają poznawać się nawzajem. Zjedli piekielnie drogi lunch w jednej z ulicznych kawiarni w pobliżu i chociaż Charlie zajmowała się głównie swoją komórką – w kawiarni było darmowe połączenie z internetem – to jednak wyglądali jak para na urlopie i on był dumny, musi szczerze przyznać, bo ona była cholernie ładna i seksowna, w szortach i samym topie. Potem wzięli taryfę do Casa Rosada i zobaczyli balkon, na którym Evita stała i śpiewała *Don't cry for me Argentina...* znaczy na filmie, kiedy grała ją Madonna. W rzeczywistości wygłosiła raczej jakieś przemówienie.

Helene spostrzegła błysk czegoś, co mogło być łąką w jego oku, zanim zdjął okulary i to wytarł.

Było tam mnóstwo ludzi demonstrujących przed pałacem prezydenckim, nie wiedział przeciwko czemu i nie obchodziło go to. Charlie położyła mu dłoń na ramieniu i powiedziała, że musi przejść się chwilę sama, czy nie ma nic przeciwko

temu? Taka już jest, wytłumaczyła, potrzebuje dokoła siebie powietrza, poczucia swobody. Nie muszą przecież być jak papużki nierozłączki tylko dlatego, że przyjechali razem.

Mats nie chciał być typem faceta, który kontroluje swoją kobietę.

Jasne, że nie zaprotestował.

Charlie wróciła do hotelu dopiero koło północy. Wyłączyła komórkę, żeby ludzie nie dzwonili do niej ze Szwecji, bo strasznie drogo by to kosztowało.

To samo następnego dnia. Po prostu znikła, ale nie dość na tym. Podejrzał, że podbierała mu z portfela pieniądze. Raz i drugi prosiła go o dolary na wymianę, a potem mu zwracała pesos po oficjalnym kursie, siedem z kawałkiem za dolara. Jakby nie wiedział, że kiedy wymieniano się w hotelu na czarno, to za dolara dostawało się co najmniej jednaście pesos. Bawiła się za tę jego różnicę w kursie.

W końcu zaczął wszystko rozumieć, kawałki puzzli wskoczyły na swoje miejsce. Charlie wykorzystwała go, żeby zdobyć bilet, lecz spotykała się z innym. Pewnie z jakimś Argentyńczykiem, może poznanym w sieci, który jednak nie miał pieniędzy, by samemu ją tam ściągnąć.

A może było kilku mężczyzn. Z biegiem dni zaczął myśleć tym tropem, że ona taka właśnie jest, że to kobieta pozbawiona wewnętrznych hamulców, zupełnie amoralna, może nawet psychicznie chora. Nimfomanka. No dobrze, powiedział to, wypowiedział w końcu to słowo, i jeśli Bóg istnieje, niech go ukarze za obmawianie zmarłej, ale tobie chodzi przecież o prawdę, czy nie?

Helene kiwnęła głową.

– Kurwa. – Mocno zacisnął pięść wokół nóżki kieliszka i powtórzył to jeszcze raz, jakby się rozkoszował, mogąc wreszcie wymówić te słowa. – Tak właśnie się zachowywała, jak jakaś mała dziwka. Wybrałem się na drugi koniec świata ze zdziwą, która pieprzy się z *porteños*, jak oni sami tam o sobie mówią, i jeszcze mało tego.

– Wiesz, z kim się spotykała? Powiedziała ci?

Roześmiał się, czy raczej prychnął tak, że aż spryskał śliną obrus.

– Powiedziała? Nie powiedziała ani słowa. O nie, twoja siostrzyczka łągała jak najęta, w życiu nie słyszałem takich bezczelnych bredni.

Trzeciego czy czwartego dnia powiedział basta.

Charlie naprawdę musiała go uważać za idiotę. Zakochanego durnia, którego można obłaskawić łzami, kiedy wreszcie ją przyparł do muru. To było chyba

najgorsze.

Zatarasował sobą drzwi, żeby nie mogła wyjść z pokoju, i powiedział wyraźnie, co myśli o takich jak ona. Może i na nią krzyczał. Zasłużyła na to. Zażądał, żeby wyjaśniła, co robi całymi dniami. Czy nie ma prawa wiedzieć jako ten, kto jej opłacił podróż? Dokąd chodzi z tym drugim? Co robią? Kim jest ten cholerny latino, z którym się pieprzy?

Nie miał zamiaru jej stamtąd wypuścić, póki nie pozna prawdy.

Mats spojrział w tym momencie na Helene, wyglądał niemal na zaskoczonego. Być może musiał usłyszeć własne słowa, żeby dotarło do niego, co powiedział.

– Miałem prawo wiedzieć – wymamrotał. – Nie jestem taki. Nie uderzyłem jej. Nigdy w życiu nie tknąłem kobiety, musisz mi wierzyć. W żaden sposób jej nie skrzywdziłem.

– Wierzę ci – uspokoiła go Helene. Zaczęła ją męczyć ta neutralność i wyrozumiałość. – Ja wiem, jaka ona potrafiła być.

– Nie rozumiem, jak mogłem być taki głupi. Czyta się przecież o oszustwach w internecie, ale człowiek zawsze myśli, że sam nie da się nabrać.

– I co powiedziała? Jak ją wtedy przyparłeś do muru?

Mats zaśmiał się.

– To było całkiem od czapy. – Chyba zaczynał się upijać. Trochę zwiotczały mu rysy twarzy, mówił wolniej.

Charlie się rozplakała. Osunęła się na łóżko i polały się łzy czyste, rześiste. Wyjątkowo nie znosił, jak kobiety płaczą, to ich narzędzie dominacji.

I wyjechała z jakąś bajdą o swojej matce.

Swojej matce.

Mats zaśmiał się i pokręcił głową.

To teraz jeszcze dawaj to o Czerwonym Kapturku, tak jej wtedy powiedział. To było naprawdę chore. Historia całkiem nie z tej ziemi. Że niby jej mamuśka zniknęła w Buenos Aires trzydzieści pięć lat temu i że ona przez całe życie czuła się porzucona, ale że teraz dowiedziała się, co się naprawdę z nią stało. To dlatego musi codziennie zasuwać po mieście.

– Masz pojęcie? Ona szukała swojej matki! W konkurencji z takim tupetem odpada nawet moja eks!

– Opowiedziała, co się stało z matką? Powiedziała ci to?

– Nie, i nie chciałem nawet słuchać. Chyba kazałem jej się tylko zamknąć.

Helene nachyliła się ku niemu. W lokalu ktoś podkręcił głośnik, więc wszystko, co mówiła, tonęło w muzyce.

– Nic więcej nie powiedziała?

– Nie chciało mi się, kurwa, stać tam i wysłuchiwać tych fantazji. Wyszedłem stamtąd.

– Wyszedłeś.

– Tak, zostawiłem ją.

Przez ostatnie dni w Buenos Aires Charlie prawie się nie pokazywała. Wpadała tylko czasem do hotelu po jakiś ciuch, i to najczęściej, kiedy Matsa tam nie było. Poznawał to po jej porzucanych rzeczach albo po zaparowanym lustrze w łazience.

Przez te dni włóczył się samotnie ulicami, których nazw nie zapamiętywał, bo nie miał powodu. Nauczył się zamawiać w kawiarniach *chopp*, piwo beczkowe podawane już do lunchu, zwiedzał atrakcje turystyczne, żeby je sfotografować i zamieścić na Facebooku, wysłuchiwał ciągnących się w nieskończoność objaśnień dla turystów po hiszpańsku, których do końca nie rozumiał, ale czas mu jakoś schodził, a gdy zapadał wieczór i jej wciąż nie było, brał taksówkę do jakiejś restauracji, o której coś wyczytał w przewodniku. Po zapadnięciu zmroku bał się chodzić pieszo. W biurze podróży nikt mu nie powiedział, że ten szykowny hotel leży zaledwie parę przecznic od slumsów wokół stacji kolejowej. I każdego wieczoru, kiedy befsztyk zalegał mu w żołądku, te olbrzymie befsztyki z Pampy, zastanawiał się, czy mimo przyrodzonej nieśmiałości nie wybrać się na własną rękę do jakiejś milongi.

Może były tam inne kobiety, które chciały tańczyć.

W końcu któregoś popołudnia wślizgnął się do pewnej tancbudy, którą miał na swojej liście.

Siedzieli w niej bardzo starzy ludzie, może dlatego, że to było popołudnie, pora wdów i wdowców. Widział tylko jedną parę, pozostali byli przy stolikach sami i wtedy uświadomił sobie, co go czeka, starzenie się w samotności bez nadziei i odwrotu, dożywanie więzienia we własnym zniedołężnieniu. Kiedy zaczęła grać muzyka, spojrzenia spotykały się z daleka, wystarczyło skiniecie głową, aby jakaś starszka wstała i powoli powędrowała czy nawet pokuśtykała w stronę swojego kawalera na parkiecie. Widział ich, jak wychodzą na parkiet zgarbieni i posiwiali i w jednej chwili ich plecy prostowały się jak niegdyś, przeistaczali się na jego

oczach, ich stopy stawały się lekkie, a biodra kobiet sprężyste, stawali się beczasowi.

Mats odszedł stamtąd. Miał ledwie czterdzieści sześć lat i wiedział, że nigdy nie nauczy się tańczyć tak jak oni.

Gdy wrócił do hotelu, zobaczył Charlie wsiadającą do taksówki. To była błyskawiczna decyzja. Ruchem ręki przywołał następną, żółto-czarne taryfy na każdej ulicy jechały jedna za drugą, nigdzie nie widział takiej masy taksówek jak w Buenos Aires. Nigdy nie sądził, że przyjdzie mu w życiu powiedzieć to, co powiedział:

– *Can you please follow that car!*

Kierowca podszedł do zadania z najwyższą powagą. Okazał się wielkim miłośnikiem szwedzkich kryminałów, a zwłaszcza Wallandera, którego niedawno pokazywano w telewizji i o którym rozprawiał podczas jazdy swoją zbyt szybką hiszpańszczyzną.

W gąszczu stolików z książkami i stoisk z gazetami na Avenida Corrientes taksówka stanęła i Charlie wysiadła. Mats był wtedy zaledwie dziesięć metrów od niej, ale ryzyko, że go dojrzy na tylnym siedzeniu, wydawało się minimalne, panował duży ruch, a na chodniku było mnóstwo ludzi. Od razu pojął, gdy zobaczył zbliżającego się do niej mężczyznę. To z nim się miała spotkać – sposób, w jaki tamten położył dłoń na jej ramieniu, jak ona zakręciła się na pięcie. Mats oczekiwał, że zobaczy pocałunek, lecz to był tylko taki przelotny, w policzek. Potem mężczyzna objął ją ramieniem i poprowadził za róg. Taryfiarz, nie czekając na rozkaz, ruszył wolno za nimi. Zobaczyli, jak Charlie wsiada tylnymi drzwiami do jakiegoś auta. Pojechali za nim na północ, gdzie było coraz więcej zieleni, a domy coraz okazalsze. Taksometr wystukał już ponad sto pesos. Mats śledził trasę na trzymanej w rękach turystycznej mapie, żeby znać swoje położenie w tym olbrzymim mieście.

Kierowca nagle zahamował. Aleja potężnych drzew tworzyła nad nimi chroniące przed słońcem zielone sklepienie. Samochód stanął przed wielką kamienną willą otoczoną wysokim murem. Rozwarła się brama i auto powoli wjechało do środka. Brama zamknęła się za nimi.

Taksówkarz podrapał się po głowie.

– *Y ahora, Wallander? Co teraz robimy?*

Mats nie wiedział, dlaczego podjął tę decyzję. Może nie chciał, żeby ktoś gapił się na niego, albo nie miał ochoty wszystkiego tłumaczyć łamanym językiem.

Zapłacił z hojnym napiwkem i podziękował.

– *Bye, bye*, Wallander – powiedział kierowca.

Kiedy taryfa odjechała, zbliżył się do bramy. Była z litego żelaza i nie mógł przez nią nic zobaczyć. Na jej zwieńczeniu tkwiły ostre kolce, sterczące w górę jak skręcone gwoździe z masywnej stali. Mały domofon bez nazwiska. Na styku bramy i muru była wąska szczelina. Mats zajrzał przez nią. Zobaczył kamienną fasadę, kilka ogrodowych mebli. Ścianę porastał bluszcz, tworząc nastrój magii i zapomnienia. Przeszedł na drugą stronę ulicy. Mógł stamtąd dojrzeć najwyższe okna. Na dworze było jeszcze jasno. Nie widział, czy w środku świeci się światło, żadnych sylwetek za szybami. Stał tam przez chwilę i katował się, wyobrażając sobie, co Charlie tam robi. Zawrócił jeszcze raz do bramy i zastanowił się, czy jednak nie zadzwonić. Ale co wtedy?

Nie miał nic do powiedzenia.

Poszedł prosto ulicą, pamiętał wyraźnie, że dotarł do skrzyżowania, gdzie był bar z lodami. Potem usłyszał za sobą szybkie kroki. Cios w głowę, ból wzdłuż kręgosłupa. Jakaś twarz nachyliła się nad nim, mężczyzna, z całą pewnością, i coś, co zabrzmiało jak groźba albo jeszcze gorzej. Już nie rozumiał hiszpańskiego, który jeszcze przed chwilą trochę znał. Tamten uderzył jego głową o asfalt i wtedy wszystko się urwało.

Obudził się w szpitalnym łóżku, w jakiejś okropnie zapuszczonej salce.

Jeden z lekarzy mówił po angielsku. Musiał pożyczyć od niego telefon, bo jego własny zniknął, żeby zadzwonić do szwedzkiej ambasady. Przysłali młodą kobietę, która tłumaczyła i pomagała mu zrozumieć.

Opowiedziano mu, że został znaleziony, nieprzytomny i obrabowany, w jakiejś bocznej uliczce w Barrio Norte, w północnej części centrum Buenos Aires. Przebywał teraz w publicznym szpitalu, a ponieważ opieka zdrowotna jest bezpłatna dla wszystkich, niezależnie od narodowości, akurat to nie stanowiło żadnego problemu. Ambasada wydała mu tymczasowy paszport, ponieważ jego właściwy ukradziono, i ułatwiła mu dostęp do jego pieniędzy. Nie miał pojęcia, co się działo od momentu, gdy został ogłuszony na ulicy w Belgrano, do chwili gdy go znaleziono dzielnicę dalej na południe.

Ostatniej nocy do ich pokoju w hotelu weszła Charlie.

Niewiele pozostało z jej szykownego wizażu. Oczy miała podkrążone, przylizane włosy w nieładzie. Ciuchy te same co dwa dni temu. Zdawała się nie zauważać jego siniaków ani opuchniętej twarzy.

Siedziała tylko na łóżku.

Mats nie miał siły opowiadać jej, co mu się przytrafiło. Żałosny pomysł, jechać za nią taksówką. Tej satysfakcji jej nie zafunduje. W głębi duszy ucieszyłby się, gdyby ci psychole, kimkolwiek są, jej także dali wycisk. Zastanawiał się, czy ona jednak nie wie.

Poszukała ręką jego dłoni, nie patrząc na niego, i poprosiła o pożyczkę. Te pieniądze są jej niezbędne. Przysięgała, że mu je zwróci. Potrzebowała koniecznie dziesięciu tysięcy, najchętniej w dolarach.

– Spierdalaj – powiedział Mats.

Charlie nie pokazała się już tamtej nocy, dopiero z rana następnego dnia, gdy przyszedł czas, by jechać na lotnisko. Musiała wziąć własną taksówkę. Zapłacił za nią, ale nie miał ochoty przy niej siedzieć.

Na lotnisku odprawili się w różnych miejscach, z daleka od siebie. Nigdy więcej już z nią nie rozmawiał.

– Nigdy? Po powrocie do kraju też nie?

– Nigdy – powiedział.

BUENOS AIRES

2014

Przywiędła piękność – to pierwsze określenie, jakie przyszło jej na myśl, gdy taksówka przyhamowała. Rzadko tak dobrze do czegoś pasowało jak do tego domu w dzielnicy San Telmo.

Po obu stronach bramy przeżyły się pilastry z reliefami, figurami kobiet, pasujące raczej do starożytnego Rzymu niż do podupadłej dzielnicy Buenos Aires. Nie brakowało też posplatanych ornamentów i fryzów, poranionych i popękanych, tu i ówdzie poodpadały duże płyty tynku. Na pierwszym piętrze rośliny doniczkowe już dawno temu oszalały i teraz pięły się, drążąc szczeliny w fasadzie, aż ponad balustradę tarasu na dachu.

Helene przyjrzała się oknom dawnego „paradnego mieszkania” na piętrze. Nic nie wskazywało na to, że ktoś tam mieszka. Sprawdziła w komórce adres. Numer się zgadzał, ulica o nazwie Bolivar.

Podeszła do bramy. Na parterze, gdzie kiedyś mieścił się sklep, blaszane żaluzje były opuszczone i pokryte graffiti. Powyżej było niskie okno, oznaczające prawdopodobnie *mezzanino*, półpiętro, gdzie pewnie niegdyś mieszkali właściciele sklepu. Żaden z dwóch domofonów w bramie nie miał tabliczki z nazwiskiem. Z jednego zwisał luźny kabel, a samego guzika nie było. Nacisnęła na drugi i gdzieś w środku odezwał się dzwonek.

Ulicą za jej plecami przetelepał się jakiś autobus. Pachniało tłuszczem z patelni i deszczem.

Helene zadzwoniła jeszcze raz i w domu coś zachrobotać. Drzwi uchyliły się i stanął w nich mężczyzna, na oko lat sześćdziesiąt pięć, nieco zgarbiony, co go trochę postarzało, i z aurą pewnej nerwowości, jakby miał zaraz dostać palpacji. Może go właśnie obudziła.

Fabricio Varela rozpromienił się.

– No proszę, patrzcie państwo – powiedział po szwedzku ze śmiechem. – Moja kochana eksmałżonka tym razem nie przesadziła. – Miał ciemnosiwie starannie przycięte, lekko nastroszone włosy, koszula wychodziła mu ze spodni. – Faktycznie, jakby przeszłość składała mi wizytę. Jakbym na co dzień nie miał tego dosyć.

W jego śmiechu dała się słyszeć nuta melancholii.

– No cóż, wypada mi chyba powiedzieć: witaj w Buenos Aires.

Pochylił się i pocałował ją w prawy policzek. Helene już odwróciła twarz w drugą stronę, aby dopełnić rytuału, nadstawiając także lewy, ale Fabricio ją powstrzymał.

– W Argentynie całujemy tylko raz. Jak minęła podróż?

– Bez problemów. – Nad jego głową zobaczyła kilka wiszących luźno przewodów elektrycznych i pomyślała, że pewnie lada moment posypią się na nią kamienie ze zrujnowanych balkonów.

– Więc tu pan mieszka – powiedziała, ruszając za nim. – To fantastyczny dom.

– Prawda? – Fabbe poszedł przed nią marmurowymi schodami wydeptanymi pośrodku przez stulecia wędrówek w górę i w dół. – Szedłem raz tędy, zaraz po powrocie, i zobaczyłem tabliczkę *se vende*, na sprzedaż. To była dzielnica mojego dzieciństwa, chodziłem tutaj niedaleko do katolickiej szkoły.

Potężne drzwi zamknęły się za nimi i zapadł mrok choć oko wykol.

– Wybacz, ta elektryczność. Zrobiłbym z tym porządek, ale nie rozumiem, jak oni przeciągnęli te przewody, wszystko to jeden wielki... jak to się mówi... groch z kapustą?

Helene wyjęła swoją komórkę i w bladej poświacie z wyświetlacza powoli wchodzili stopień po stopniu. W mroku majaczyły bazgroły na ścianach, niski korytarz prowadził chyba na tamto półpiętro.

– Często nie wiadomo nawet, kto jest właścicielem tych starych domów w San Telmo. Z początku mieszkał tu jakiś arystokrata, który uciekł przed epidemią żółtej febry w połowie XIX wieku, i zostawił wszystko na łasce wiatru i deszczu. Cała dzielnica stała porzucona i wprowadziła się tutaj biedota, bez dokumentów i kontraktów, to się zrobiło takie zapomniane miejsce w środku miasta, gdzie nikt wolał nie chodzić po zapadnięciu zmroku.

Fabricio przystanął. Miał ciężki oddech.

– Czekałem, aż ona znowu się do mnie odezwie – powiedział.

– Moja siostra?

– Ale nie dała znaku życia... Pomyślałem, że pewnie się rozmyśliła.

Żadnego echa po tych słowach, tylko cisza. Helene słyszała własny oddech i cichy chrobot w jakiejś ścianie.

– Rozmyśliła się? W jakim sensie?

- Jak rozumiem, twoja siostra popełniła samobójstwo.
- To nie jest pewne – zaproponowała. – Nie wiadomo.
- Przykro mi – powiedział.

Pokonał ostatnie stopnie i otworzył drzwi dawnego „mieszkania paradnego”. Było zalane dziennym światłem. W sieni przestąpili kilka zwojów folii malarskiej.

- Kawy się pewnie napijesz? Skoro jesteś ze Szwecji.
- Przelotny wyraz bólu na twarzy, kiedy wyprostował kark.
- Dziękuję, chętnie – powiedziała.

Zdjęła płaszcz, powiesiła na klamce i weszła za Fabriciem do środka, zadarła głowę do góry, zdumiona wysokością stropu.

– Wow – rzuciła. – Kiedy ten dom właściwie zbudowano, w końcu XVIII wieku?

– Albo i jeszcze wcześniej. – Zabrał ze stołu w pokoju dziennym talerz z resztkami jedzenia oraz kilka szklanek. Helene próbowała nie patrzeć na spore połacie ścian pozbawione tynku. Ktoś próbował naprawiać ubytki szpachlówką, ale szczeliny sięgały po sam sufit, a zaprawa murarska pod spodem zwietrzała, pozostawiając mnóstwo dziur i tuneli, gdzie insekty i myszy mogły harcować do woli.

– Niezły, co? I coś takiego możesz sobie sprawić, jak sprzedasz małe M-2 w Jakobsbergu, masz pojęcie? Wymaga trochę remontu oczywiście, ale...

Poszedł w stronę kuchni. Helene zdjęła z fotela kilka grubych książek i usiadła. Studia filozoficzne, tyle pojęła z hiszpańskiego na okładce. Nogi bolały ją od niewyspania i niewygodnych póz w fotelu w samolocie przez całą noc, w sumie siedemnaście godzin podróży, z przesiadką w Londynie. Mężowi powiedziała, że musi lecieć na międzynarodową konferencję architektoniczną. Ktoś nagle zachorował, a to były ważne kontakty dla jej biura. Kłamstwo przeszło łatwiej, niż się spodziewała. Jocke był pełen zrozumienia, takie szanse należy przecież wykorzystywać.

Z lotniska wzięła taksówkę do hotelu, z daleka widziała drapacze chmur i trochę slumsów w cieniu autostrady. Zostawiła bagaże w pokoju, umyła się, zmieniła ubranie i taksówką przyjechała tutaj.

– Jak miło znowu rozmawiać po szwedzku – zawołał Fabbe z kuchni, skąd słychać było bulgotanie czajnika elektrycznego. Potem stanął w drzwiach z tacą w rękach i wydało jej się, jakby trochę poszarzał na twarzy.

– Ona też usiadła akurat w tym fotelu – powiedział.

Helene zdusiła impuls, aby wstać i zmienić miejsce.

– Często spotykał się pan z moją siostrą, jak tu była? – zapytała, żeby jakoś zacząć. Rozmawiali wcześniej przez telefon, krótkie wymiany zdań, głównie dogadywanie konkretów. Ceny biletów na samolot zaczęła sprawdzać, jeszcze zanim w końcu dostała jego namiary.

– Kilka razy, może ze trzy. Rozmawialiśmy, spacerowaliśmy, zabrałem ją do paru znanych barów w okolicy, spotkała kilka osób, które wiedzą więcej ode mnie.

Postawił tacę na stole. Zaczął ściągać staniol z małych okrągłych czekoladowych ciasteczek i poczęstował ją jednym. Smakowało jak beza i mazisty cukier, *alfajores*, powiedział z lubością, za czymś takim tęskniło się na emigracji.

– Twojej siostrze zdawało się może, że dokonam cudu, ale ci, którzy znikali, naprawdę znikali. To był system zła. Łapano ich, wsadzano do tajnych obozów i w wszystkich torturowano. Cuda się nie zdarzają. Ci, co zniknęli, nie żyją.

Helene popatrzyła na okna, których szyby były nierówne, na kopułę nieba za oknem. Chyba się przejaśniało.

– Jak mówiłam przez telefon, nie miałyśmy ze sobą za często kontaktu – powiedziała. – Ostatni raz odezwała się w marcu, ponad miesiąc przed śmiercią. – Tamta rozmowa, odtwarzała ją sobie w duchu raz po raz, usiłowała wyłapać jeszcze jakieś słowo, jakiś nastrój, jakiś ton w głosie Charlie, który wcześniej uszedł jej uwagi. – Nie rozumiem, dlaczego znów nie zadzwoniła, jeżeli rzeczywiście dowiedziała się czegoś o mamie.

– Niełatwo przyjść z taką nowiną.

– Może innym, ale nie Charlie. Ona była drastyczna, brutalna. Zawsze waliła prawdę w oczy, czy ktoś chciał usłyszeć, czy nie.

Popatrzył na nią, długo. Helene miała wrażenie, jakby dopiero teraz dostrzegł ją, a nie tylko obraz jej matki czy siostrę kogoś, kto był tutaj wcześniej. Rozpoznawała w tym coś dobrze znajomego, to przebywanie w cieniu Charlie, która zawsze, czy była obecna, czy nie, zajmowała tyle miejsca, że dla drugiego człowieka ledwie wystarczało powietrza do oddychania.

Fabricio zdawał się głęboko pogrążony we własnych myślach.

– Czasami w nocy słyszę tutaj dźwięki – powiedział i szurnął nogą o ciemny parkiet. – Dochodzą z tego mieszkania pod nami, chociaż stoi puste. To są głosy, rozmowy. Czasami słyszę krzyki, ale też zwykłe gadanie, jakby toczył się tam powszedni dzień. Rozróżniam słowa i zdania, na przykład „kocham cię” i „jeżeli

teraz odejdziesz, to już możesz nie wracać”, i „*che boludo!*” – ty idioto! – i sam już nie wiem, czy to ludzie, którzy naprawdę umarli w tym domu, czy tacy, którzy zniknęli, czy to dzieje się tylko w mojej głowie.

Strzepnął z nogawek okruchy i czekoladowe wiórki.

– Czasami myślę, że może lepiej nie wiedzieć.

Helene rozpoznała tę gorycz i determinację. Wiedziała już sporo o poczuciu winy, jak wżera się w duszę i wszystko przygasza.

– Charlie była, jaka była – powiedziała. – To, że umarła... to nie ma z panem nic wspólnego.

Fabbe rozłożył ręce w geście, który zdawał się znaczyć, że nie wiadomo, albo że nikt tego nie może wiedzieć, że wszystko jest i pozostanie niewyjaśnione. Coś w tym sensie.

– Ja mam dwójkę dzieci – dodała Helene. – Nie zamierzam popełniać samobójstwa.

Uśmiechnął się, nareszcie.

– Naprawdę miło mi to słyszeć.

Ona też się uśmiechnęła. Spytała, gdzie jest toaleta, i wstała, powstrzymywała się już trochę za długo. Zawsze tak było z długimi lotami, powodowały zatwardzenie, a potem trzeba było wydalić wszystko naraz, produkty odpadowe z całej doby. Kiedy siedziała na sedesie, zastanawiała się, czy ma mu wspomnieć coś o wątpliwościach i podejrzeniach dotyczących śmierci Charlie. Właściwie po co?

Musiała spuścić wodę dwa razy.

Kiedy wróciła do salonu, Fabricia już w nim nie było, zawołał ją z gabinetu znajdującego się w głębi mieszkania. Był tam nieduży marmurowy kominek. Na stole leżały papiery i stosy książek, więcej filozofii. Zauważył jej spojrzenie.

– Zapisalem się na uniwersytet – powiedział. – Wiem, że późno, ale nie dam im sobie tego zabrać. – Przełożył książki, odsłaniając leżące pod nimi papiery. Jakies szkice, notatki. – Wojsko wtargnęło na nasz wydział, kiedy byłem na drugim roku, w srodkiem seminarium o Heideggerze i potrzebie zawieszenia pojecia czlowieka. Potem nas podzielili, na tych, ktorzych nalezy zabrać, i tych, co moga isc do domu. Mnie puscili do domu. To byla oczywiscie ulga. Przezyłem. Do dzis nie wiem dlaczego.

Helene sluchala, podczas gdy on uprzatal dalej balagan ze stołu. Dotarlo do niej,

że ten duży arkusz papieru pod spodem to nie żadna późna studencka praca z filozofii. Musiała pochylić się trochę, aby móc rozróżnić twarze na małych czarno-białych zdjęciach, które przykleił skoczem pośród zapisków i wyrysowanych kresek. Zostały odbite na zwykłej kserokopiarce, dlatego były szare i dość niewyraźne.

– I jak właściwie to rozumieć, że taki wielki myśliciel jak Heidegger popadł w nazizm? Czy samo myślenie czyni nas ludźmi, jak powiedziała Kartezjusz „myślę, więc jestem”, czy jest jeszcze coś innego, co należy dodać? Chcielibyśmy bardzo wierzyć, że to dobroć jest tą ludzką cechą, nasza zdolność empatii i gotowość do kierowania się współczuciem, tylko jak w takim razie zdefiniować zło?

– Słucham?

Niemal pośrodku kolażu na stole Helene odkryła to nazwisko. W tej chwili nie widziała nic innego, napisane czarnym tuszem, wszystko dokoła zdawało się rozmazane.

Ing-Marie Sahlin.

Nie było żadnej brudnoszarej fotografii, tylko ramka z czarną sylwetką potęgująca poczucie jej nieobecności. Helene zrozumiała, że pozostałe zdjęcia to twarze garstki spośród tych dziesiątków tysięcy ludzi, którzy też zaginęli, ale po Ing-Marie nie pozostało nawet zdjęcie.

Zaginiona wśród zaginionych.

Luty 1978.

Pseudonim: Vera?

Numer 676.

Helene rozpoznała numer, o którym wspomniała jego była żona Susana, numer więźniarki, która podobno mówiła po szwedzku.

Pogładziła lekko palcem czarny profil.

– To co pan właściwie wie?

– Wszystko i nic. – Fabbe zrobił gest dłonią nad szkicem na stole. – To wszystko działo się w kompletnej konspiracji, tak samo w całym kraju. To było systematyczne i dobrze zorganizowane, metody zapożyczone między innymi od Francuzów, wypróbowane na wojnie algierskiej. Mieliśmy tu komisję prawdy i procesy, ale wojskowi dalej milczą, zawarli pakt milczenia, *code of silence*, który trwa już ponad trzydzieści lat.

Usiadł powoli i z namaszczaniem na krześle.

– Więc jeśli pytasz, co wiemy, to większość z tego opiera się na świadectwach więźniów, którzy nic nie widzieli, bo mieli oczy zawiązane dzień i noc, nie wiedzieli nawet, gdzie są. To układanka z kawałków informacji. Co komuś wydawało się, że słyszy albo widzi spod kaptura, liczba stopni, jak schodzili po schodach, numery więźniów, z którymi byli związani. Jeśli istniały numery 675 i 677, to musiał też być jakiś numer 676, rozumiesz?

Helene oparła się o skraj stołu, szukała czegoś na szkicu.

– Charlie pojechała do jakiegoś domu, czy to też miało jakiś związek z tym tutaj?

– Do jakiego domu?

– Nie wiem, w północnej części miasta, w jeden z ostatnich dni pobytu.

– Nie... tego nie wiem. Nie widzieliśmy się wtedy. Miała się do mnie odezwać, ale już nie zadzwoniła.

Podniósł się, stęknął trochę, zrobił kilka kroków w stronę ściany.

– Kręgosłup – powiedział. – Ale lepiej mi, gdy stoję. To cena za te wszystkie lata, kiedy pracowałem jako nauczyciel prac ręcznych w Jakobsbergu, choć to nie liczy się jako choroba zawodowa. Nikt mnie przecież nie zmuszał, żebym się schylał, pomagając uczniom.

Oparł się o kominek, który wyglądał, jakby dawno nie był używany.

– A ten Ramón, z którym wyjechała – spytała Helene. – Ramón Maguid, wie pan coś o nim?

– Nie, ale jeżeli tu wrócił, to musiał to zrobić pod fałszywym nazwiskiem, przecież już raz stąd uciekł.

Fabbe spojrzał na sufit. Podtrzymywały go olbrzymie drewniane belki wyglądające, jakby bez problemu mogły wytrzymać jeszcze dwieście lat.

– Już po wyjeździe twojej siostry zacząłem się zastanawiać, czy to faktycznie była wasza mama, ta, o której opowiadała Marisol, może dałem się ponieść fantazji...

– Marisol?

– Ta moja przyjaciółka z dawnych lat. To ona twierdzi, że spotkała tę Szwedkę w ESMA. Najpierw nie chciała wcale o tym mówić, milczała przez wszystkie lata.

Skrzywił się i przeciągnął dłonią po twarzy.

– Aż zamieniłem się w jednego z jej dręczycieli. Pytałem ją o sprawy tak intymne, że nikt nie chce o nich mówić. Bo uważałem, że to jest konieczne. Prawda musi wyjść na jaw, jej świadectwo jest ważne, chciałem dopomóc sprawiedliwości, rozumiesz? Poza tym ona jest jedną z niewielu osób, które mogą powiązać człowieka nazywanego w ESMA Squatina z określoną datą, tylko że nie chce wystąpić jako świadek. Mówi, że nie jest w stanie zejść do piwnicy, a właśnie tam się odbywają posiedzenia sądu federalnego, odzywa się w niej lęk przed zamkniętymi pomieszczeniami...

– Squatina?

Helene szukała czegoś, co jej umykało, imię zdawało się znajome.

– Słyszałaś o nim?

– Nie... tylko mi się wydawało.

Fabricio Varela jakby stracił koncept. Stał, milcząc, i przyglądał jej się dokładnie dłuższą chwilę, aż poczuła się tym skrępowana.

– O co chodzi? – spytała.

– Myślę, że... gdyby ona cię zobaczyła. Te twoje jasne włosy i tę twarz!

Zaczął wciskać koszulę do spodni i przyglądał sobie włosy. Spojrzał na zegarek.

– Zabrałem do niej twoją siostrę, ale tego dnia Marisol się nie pojawiła. Poszliśmy wtedy na piwo. A następnego dnia miała taki nastrój, że nie chciała rozmawiać ani ze mną, ani z kimś obcym. Powiedziałem jej, czyją córką jest Charlie, ale mi nie uwierzyła. Mówi, że Vera nie miała żadnych dzieci. Nigdy się nie wie, na jaki dzień się trafi, ona raczej wsłuchuje się w ptaki, czasami nie wiem nawet, czy w ogóle coś je.

W oczach Fabricia zapaliła się iskierka, jakby na przekór jego ponurym opowieściom. Helene zobaczyła, że jego twarz nabiera kolorów, cały jakby się wyprostował.

– Marisol – powiedziała. – Jakie piękne imię.

Uśmiechnął się.

– Chociaż wtedy nazywała się Ana.

BUENOS AIRES

1978

Nie było jeszcze powodu do obaw. Dziesięć minut w takim olbrzymim mieście to niewiele, autobusy mogły być przepełnione, gdzieś jakaś blokada drogowa, która kazała jej wybrać inną trasę, mogło być sto powodów, dla których Ana trochę się spóźniała.

Ing-Marie stała na schodach katolickiego kościoła w San Telmo i czekała. Słyszała dziecięcy śpiew ze szkoły po drugiej stronie ulicy, widziała dzieci na szkolnym podwórku, rzucały piłkę w jakiejś zabawie z piosenką.

Spojrzała na zegarek, stała tu już prawie kwadrans. W tym miejscu, pod kościołem, czuła się trochę nieswojo. Tkwiła tam, jakby czekała na zbawienie. Woląла spotykać się w kafejkach, ale ostatnio za dużo było obław, tylko idioci i turyści chodzili dalej na przykład do La Paz, gdzie wojsko teraz rutynowo robiło codzienną obławę.

Ana nigdy się wcześniej nie spóźniała.

Ing-Marie podeszła do tabliczki umieszczonej przy drzwiach do kościoła i przeczytała po raz siódmy krótki tekst upamiętniający ofiary żółtej febry z 1871 roku. Epidemia zabiła prawie całą tutejszą populację czarnych, byli to uwolnieni niewolnicy, wciąż jednak na służbie, pozostawieni w mieście do pilnowania domów, kiedy burzuje uciekali od zarazy. To dlatego w Buenos Aires prawie nigdy nie widywało się Murzynów. Taka mała plakietka wystarczyła, aby obudzić jej gniew, jak można nie dostrzegać, jak świat jest skonstruowany?

Ana spóźniała się już o dwadzieścia minut.

Nie sposób stać bez końca w publicznym miejscu samotnie, nie zwracając na siebie uwagi. Jakiś ksiądz przeszedł obok niej już dwukrotnie, nabożnie skłaniając głowę w jej stronę, jakaś kobieta zapytała ją, czy kogoś szuka.

Ing-Marie weszła powoli do kościoła. Wykonała niejasny gest ręką na piersi, mogący oznaczać znak krzyża lub że odpędza komara. Światło wpadało przez okna w kopule dachu, rozjarzając zbytkowne złoto wokół ołtarza, bogactwo, jakie kościół nagromadził na całym świecie. *Honor Soli Deo Gloria* – głośiły złote litery pod sufitem, głoś tylko Bożą chwałę albo coś w tym stylu. Ing-Marie nie rozumiała katolicyzmu w tym kraju. Byli tacy ludzie jak Ana, którzy wystartowali w jakimś

katolickim ruchu młodzieżowym i odnaleźli swoją rewolucyjną motywację w Bogu, były nawet zakonnice, które wtrącano do więzienia, a jednocześnie junta cieszyła się poparciem kleru, księża błogosławili morderców, wysłuchiwali ich spowiedzi.

Usiadła z brzegu, w ostatnim rzędzie, żeby Ana jej nie przeoczyła, jeśli przyjdzie. Splotła dłonie, jakby się modliła. Wtedy opadł ją strach. Spadł na nią ze światłem z góry i z drobinkami kurzu tańczącymi w tym świetle, popatrzyła na Jezusa przybitego do krzyża tam, za prezbiterium, i zobaczyła torturę, nic, co by miało coś wspólnego z Bogiem, jedynie śmierć i krew, a potem jego zwisającą głowę.

Mogła przecież pomylić godzinę.

Ing-Marie zamknęła oczy i usłyszała cicho mamrotany pacierz.

Na to spotkanie umówiły się pięć dni temu. Ana miała wyjechać z miasta na parę dni, żeby odwiedzić swoją babkę, która leżała chora w Mar del Plata. „Ona była dla mnie jak matka” – powiedziała. Kiedy spotkały się już dostatecznie wiele razy, nie dało się tego uniknąć. Prywatnych drobiazgów, jak jakiś żart, tekst piosenki, wspomnienie z dzieciństwa. Ana na przykład żyła teraz w przekonaniu, że ta część Niemiec, z której „Vera” oficjalnie pochodzi, leży zagubiona gdzieś w głębokich lasach. Ing-Marie przyznała jej się, że ma kłopoty z orientacją w wielkim mieście, podczas gdy w lesie nigdy nie błędziła, z Aną natomiast było na odwrót, to, czego człowiek nauczył się jako dziecko, pozostawało gdzieś zakodowane. To były drobne, nieistotne rzeczy, ale przecież musiały ze sobą o czymś rozmawiać, gdy spotykały się w parku czy w kafejce i miały przy tym wyglądać, jakby gadały o niczym.

Po czterdziestu minutach oczekiwania dała za wygraną.

W drodze powrotnej, na ciasnych, hałaśliwych ulicach San Telmo, uświadomiła sobie, że babka Any mogła umrzeć. Lecz czy to powód, żeby nie stawić się na spotkanie? Nie chciało jej się w to wierzyć. Że akurat Ana miałyby ulec pokusie indywidualizmu.

Takie rzeczy nie uchodziły bezkarnie. Ana opowiadała jej o pewnym *jefe*, którego wojsko aresztowało na plaży w San Isidro, gdzie kąpał się ze swoją żoną i dziećmi. Za to, że dał się schwytać, został przez swoich oskarżony o skrajny indywidualizm. Podziemny trybunał skazał go zaocznie na karę śmierci.

Rodzinę trzyma się na dystans, to była jedna z podstawowych zasad.

Ing-Marie przecięła olbrzymią aleję 9 Lipca, jednym przejściem dla pieszych za

drugim. Czuła, jak coś ją gna, każąc jej prawie biec, gdy zapalało się zielone światło, chociaż nie było tam nikogo.

Styczeń zdążył przejść w luty. To już nie był najgorętszy miesiąc, ale wciąż jeszcze tak ciepły, że tej samej nocy leżała w mokrej od potu pościeli i przewracała się z boku na bok w koszmarach. Śnił jej się jakiś pożar, jacyś biegnący ludzie. Dzieci zostały, zapomniała je tam, w pożarze, lecz nie mogła trafić z powrotem do domu. Nie miała także paszportu. Szarpali ją jacyś policjanci. Biegła po schodach pensjonatu w górę i w dół, szukając wszędzie Ramona, i to tam właśnie się paliło.

Nie miała już odwagi zasnąć. Siedziała okutana w prześcieradło, patrząc, jak się przejaśnia, słyszała pierwszy zgiełk obudzonego dnia, włączone gdzieś radio. Między domami rozbrzmiewała jakaś transmisja sportowa, spiker radiowy wyszczekiwał reżimową propagandę o trwającej w Europie antyargentyńskiej kampanii przed mistrzostwami świata w piłce nożnej. *Somos derechos y humanos* – brzmiał rządowy slogan, jesteśmy sprawiedliwi i humanitarni, i jeśli tam, w Europie, bredzą o bojkocie i prawach człowieka, to tylko dlatego, że ci tchórze boją się spotkać argentyńskich graczy na argentyńskim stadionie.

Ing-Marie wstała, obmyła się i ubrała. Potem przyniosła z kuchni jogurt, który zjadła w pokoju.

Był pewien sposób nawiązania kontaktu z Aną. W razie nagłej potrzeby, powiedziała, gdy coś się zdarzy i jedna z nas nie będzie mogła przyjść na spotkanie.

Czy to jest ta nagła potrzeba?

Czy może jedna z nich pomyliła dni?

Może Ana powiedziała *miércoles*, a nie *martes*, środa, a nie wtorek, mylić się to rzecz ludzka, ten jedyny raz, skoro nie wolno takich rzeczy zapisywać na papierze? Dlatego Ing-Marie wróciła do kościoła w San Telmo. Czekwała na schodach i czytała tabliczkę o ofiarach żółtej febry, aż nauczyła się tekstu na pamięć, nie weszła jednak znów do środka, żeby zobaczyć Jezusa na krzyżu.

Po dwudziestu minutach była pewna, że chodzi o nagłą potrzebę.

Złapała taksówkę. Po raz pierwszy wydała pieniądze na coś tak niepotrzebnego. Poprosiła, żeby taksówkarz zatrzymał się dwie przecznice za wydziałem *Filosofía y Letras*, i przeszła ten krótki kawałek z powrotem na róg, gdzie mieściła się studencka kafejka. Czas stał w miejscu, spostrzegła, wchodząc w drzwi. Drewniane stoliki, jasny prostokąt tam, gdzie kiedyś wisiał portret Che.

W kawiarni, w której spotkałyśmy się pierwszy raz. Tam możesz o mnie zapytać.

Starszy mężczyzna, właściciel lokalu, obdarzył ją ciepłym uśmiechem. Poczua się prawie wyczekiwana.

– Szukam Any, kiedyś się tutaj z nią spotkałam.

Kiwnął głową i schylił się, wkładając sztućce do szuflady.

– *Nie dostaniesz odpowiedzi* – mówiła jej Ana – *ale dowiem się wtedy, że mnie szukasz.*

Ing-Marie wypła kawę, nie siadając. Ani na moment nie spuściła wzroku z ulicy.

– *Hasta luego* – powiedziała, wychodząc, do zobaczenia. Mężczyzna znowu kiwnął głową, a z powagi, jaką miał w oczach, wywnioskowała, że zrozumiał.

Reszta dnia mętna, jak przez mgłę.

Raz po raz macanie w skrzynce na listy. Dokładnie znała kształt pustki w jej wnętrzu, każdą nierówność blachy.

Plamy wilgoci na suficie nad łóżkiem. Jedna z nich rozpościerała się w rogu i znikaa pod tapetą, a kiedy patrzyła na nią dostatecznie długo, przybierała kształt świnki. Spory kawał tapety przy jej łóżku był zdarty. Któregoś wieczoru zaczęła skubać odstającą krawędź i dalej już poszło. Nie była w stanie się powstrzymać. Dziura rosła, miała teraz około metra wzdłuż i wszerz, przy wyprowadzce będzie musiała to uregulować.

Czy powinna się teraz wyprowadzić, co mówiło *antiseguimiento* o takiej sytuacji?

Chodziła tam i z powrotem po pokoju, trzy kroki, dwa kroki, trzy kroki, dwa kroki. A potem idiotyczne skojarzenie, przypomniał jej się niedźwiedź polarny w Skansenie, który oszalał od takiego chodzenia w tę i we w tę, w tę i we w tę.

Nie miała pieniędzy na płatny z góry czynsz za nowy pokój. Jeśli się wyprowadzi, wtedy Ramón nie będzie mógł jej znaleźć. Wkrótce znów wysza na ulicę. Zbliżał się wieczór. Posiedziała chwilę w parku, w cieniu drzewa *ombú*, próbując dociec, co powinna teraz zrobić. Dantego więcej nie widziała od dnia, w którym spotkali się w tym miejscu, kiedy została zaakceptowana. Często zastanawiała się nad jego pseudonimem, Dante, jakby chciał rzucić wyzwanie kręgom piekła. Czy to tam w końcu trafił? Przypominała sobie mgliście z kursu literatury, że w pierwszym kręgu piekieł tkwili obojętni, karani rojami os, ale Dante nie należał do obojętnych, on stawiał opór. Ing-Marie przyłapała się na tym, że myśli o nim w czasie przeszłym, jakby go już nie było, i uderzyło ją też, że pomyślała teraz po hiszpańsku i że użyta forma czasownikowa była prawidłowa,

choć nieuzasadniona.

Może tylko zszedł do podziemia.

Szła ulicami bez znaczenia. Były tylko nazwami, nigdzie nie prowadziły. Szła jednak dalej, przecznica za przecznicą. Może jest ktoś inny, kogo może znaleźć, kogo powinna ostrzec? Przyjaciół, towarzyszy? Ana czasami rozmawiała z koleżankami i znajomymi w różnych kawiarniach, siedziały sobie i paplały jak normalni ludzie. Któregoś razu Ing-Marie poszła z nimi do mieszkania, gdzie ktoś się ukrywał, kiedy indziej – do jakiejś piwnicy, gdzie drukowano ulotki, ale to było w innych częściach miasta, nie potrafiłaby tam znowu trafić.

Chodziła od kafejki do kafejki, zamawiała sobie kawę na stojąco lub tylko szklankę wody mineralnej, szukała twarzy, które coś by jej mówiły, i równie szybko znowu wychodziła.

W trzeciej kawiarni, która była raczej barem, ciemnym i zadymionym, tego rodzaju lokalem, jaki istniał chyba we wszystkich czasach, gdzie na blatach stolików można znaleźć wyryte imiona gości, akurat w chwili gdy już zbierała się do wyjścia, usłyszała głos za plecami:

– *Hola, Vera!*

Najpierw nie zareagowała, jakby to imię należało do kogoś innego. Przez kilka sekund, nim się odwróciła, zdążyła wyobrazić sobie mundury wszystkich typów, jakie teraz znała, i dlatego spieszyła się, gdy zobaczyła szczupłego chłopca, ledwie po dwudziestce, z ciemną grzywką spadającą na czoło.

– Nie poznajesz mnie? Spotkaliśmy się tutaj jakiś miesiąc temu, w święta!

Faktycznie, to ten bar. I tamte dni, koło Bożego Narodzenia.

Siedziała wtedy sama nad kawałkiem mięsa i szklanką piwa, któregoś wieczoru, kiedy dusiła się w czterech ścianach pensjonatu i musiała zjeść coś innego niż owoce, jogurt i kanapki w pokoju, musiała poczuć, że jest widziana, móc być człowiekiem wśród ludzi.

Czy on nie miał na imię Hugo, ten chłopak, który właśnie stał przed nią z uśmiechem?

– A, cześć, no jasne, pewnie że pamiętam – powiedziała.

– Mogę...? – Wykonał gest pokazujący, że chciałby się przysiąc. – To co u ciebie nowego, co porabiasz?

Ing-Marie mało nie zakrztusiła się wodą mineralną, co to w ogóle za pytanie?

– Nic specjalnego – powiedziała. – Głównie studiuję.

- Mogę postawić ci piwo? Jadłaś coś?
- Nie, dziękuję, ja już wychodzę.
- Ale nie, zostań, proszę, jeszcze chwilę. Pozwól, że ci zamówię *milanesa*.

Może jej pochlebiło lśnienie jego oczu, kiedy na nią patrzył, tak intensywnie i z takim zachwytem, jakby była boginią, która dopiero co zstąpiła z nieba, a może dlatego, że przeraźliwie bała się koszmarnych snów tej nocy, czy może tylko dlatego, że była strasznie głodna – w końcu kiwnęła głową.

- No dobrze, dzięki. Może być *milanesa*.
- Do tego piwo? Wypijesz piwo, Vera? *Quilmes*?

Hugo pomachał energicznie do kelnera.

Dlaczego powiedziała mu, że ma na imię Vera, a nie Claudia? Zgubiła się, gdy ją zapytał. Zapomniała, kim powinna być. Siedziała wtedy przy stoliku w rogu, a on pochwycił jej wzrok, potem odważył się podejść i spytał, czy może się dosiąść, pamiętała, że miło było porozmawiać z kimś, kto się przedstawił swoim prawdziwym imieniem. Hugo był Żydem, rozmawiali o tym. O nazistach, którzy po wojnie uciekli do Argentyny, ale faktem jest także, że wcześniej uciekło tam więcej Żydów, tłumaczył Hugo. Nie była w Once i tamtejszych żydowskich dzielnicach? To niedaleko stąd, ale on wolał wychodzić na miasto w okolice, gdzie nikt go nie zna, mieszkał ciągle u mamy.

- Ile właściwie masz lat? – spytała teraz.

– Dwadzieścia.

– Ja dwadzieścia siedem.

– Wiek nie ma dla mnie znaczenia – stwierdził. – Lubię dorosłe kobiety, dziewczyny w moim wieku są strasznie dziecinne. Czasami siadywałem tu z nadzieją, że znów się pokażesz. Tak to jest, czasami czuje się, że coś się zrodziło.

- A co twoja mama mówi na to, że jesz wieprzowinę?

– Nie mówiąc już o tym, jak by zareagowała, gdyby wiedziała, że się spotykam z Niemką.

– My się nie spotykamy.

– No nie, oczywiście. Przecież się nie spotykamy.

Musiała się uśmiechnąć, widząc jego uśmiech.

Że taki młody, a może właśnie dlatego. Tyle w nim niewinności. Czowała się przez nią chroniona, jakby ich otaczała cienką warstwą – bariera niewinności, której nie

sforsuje żadne zło.

Że przez moment może być zwyczajnie.

– Tylko nie wyobrażaj sobie, że będziemy rozmawiać po niemiecku – powiedziała na wszelki wypadek. – Mój nauczyciel kazał mi mówić tylko po hiszpańsku, zwłaszcza wieczorami.

– Nie ma obawy, mój niemiecki jest równie marny jak mój hebrajski.

– Weźmiemy jeszcze jedno?

Roześmiał się, uniósł szklankę i stuknął w jej szkło, pokazał gestem barmanowi, że ma przynieść następne duże, litrowe piwo dla nich dwojga. Ing-Marie odwróciła głowę, miała ochotę się rozplakać, bo już tak dawno się nie śmiała. Na dworze było ciemno, nie mogła więc z daleka rozróżniać samochodów, jedynie ich światła, które zbliżały się i przemykały obok. W końcu przestała zerkać w okno. Pomyślała, że Ana może po prostu złamała nogę. Takie rzeczy tu też muszą się zdarzać. Jutro się dowie, jutro będzie jutro, *mañana, mañana*. Poczula się lekko wstawiona, paplanina Hugo przepływała przez nią, to nie było coś, czego musiała słuchać, nie musiała się tym przejmować, ani uczyć się tego dokładnie na pamięć, bo nie chodziło w tym o śmierć lub życie, to były tylko odwieczne marzenia młodego chłopca, by odkryć świat i zaimponować dziewczynie, którą być może pragnął zaciągnąć do łóżka.

– Któregoś dnia wsiądę do pociągu, pojedę do Tigre, wynajmę łódź i fru, zostawię wszystko, te tradycje, rodziców... popłynę w deltę, byłaś tam? Powinnaś wybrać się ze mną. To jest na północ od miasta, nie ma tam ulic, tylko rzeki. Jeździliśmy tam zawsze latem, kiedy byłem mały, na wyspach są domki, a z każdego drabina prosto do wody, nie ma tam prądu i nocami w całej delcie Parany jest czarno, wtedy starzy rybacy wypływają łodziami, nikt by nie miał pojęcia, gdzie jestem. Potem bym pojechał stopem przez Urugwaj, na północ przez Brazylię, albo kupiłbym sobie motocykl, no wiesz, *on the road*.

– I upijałbyś się i tęsknił do mamy.

Miała ochotę na złośliwość. To były takie naiwne marzenia. Chodziło w nich tylko o niego i jego własną swobodę, jazdę na motorze, Che też tak kiedyś zrobił, prawda, ale on miał większe plany. Hugo wyglądał, jakby go to trochę ubodło.

– Ale rozumiem, *on the road* – powiedziała Ing-Marie i lekko się zachwiała, wstając.

Pozwoliła mu odprowadzić się do pensjonatu. Nie jest z guerilli, pomyślała, to tylko zwykły chłopak, który odprowadza zwykłą dziewczynę do domu.

Bała się iść po ciemku sama. Za każdym razem, gdy zbliżały się jakieś reflektory, przyciskała się trochę bardziej do Hugona. Pod bramą chciał ją pocałować.

Wymamrotała mu do ucha:

– Słodki jesteś.

Poklepała go potem po policzku i powiedziała, żeby sobie poszedł.

Ponownie opadła ją pustka. Skrzynka pocztowa. Pokój. Powietrze, które stało tam nieporuszone od chwili, gdy wyszła. Prawie przez cały wieczór nie pomyślała o Ramonie. Lęk, że siedziała sobie w knajpie, tak jakby nic się nie zdarzyło.

Biegła przez noc.

Pędziła w snach, obudziła się od krzyku. Czy to ona krzyczała, czy ktoś z zewnątrz?

Następnego dnia rano wróciła do studenckiej kafejki, w której spytała o Anę.

Starszy mężczyzna pokręcił głową na jej widok i nalał filiżankę kawy. Schylił się i wyszeptał, mimo że byli w środku sami.

– Wzięli ją na ulicy, tam, gdzie mieszka.

– Kiedy?

– Sześć dni temu. W piątek. – Rzucił prędkie spojrzenie za okno. Zwykle tego nie robił. Ing-Marie nigdy go nie widziała spoglądającego na coś innego niż na gości albo to, co akurat miał w rękach. Zawsze roztaczał wokół siebie pewien spokój, jakby zagrożenie tutaj nie sięgało albo jakby się z nim pogodził. Zakopał swoje niebezpieczne książki i obraz, sprzątał po każdym policyjnym najściu i następnego dnia znowu otwierał. Teraz w niej także pulsował jego niepokój, rozejrzała się, popatrzyła na ulicę za oknem i wiedziała, że musi się pośpieszyć. Nie mogła przełknąć kawy. Powinna była domyślić się od razu, kiedy Ana nie przysłała do kościoła, to było przedwczoraj, niepotrzebnie czekała tak długo. Przede wszystkim nie powinna była wczoraj pić.

Wymamrotała jakieś usprawiedliwienie i poszła do toalety. Puściła strumień lodowatej wody na przeguby rąk, żeby pozbyć się kaca.

Nie pomogło.

Złapali Anę na ulicy. Tam, gdzie mieszka, powiedział, gdzie to jest?

Wróciła rozdygotana.

– Wie pan, jak ona naprawdę się nazywa?

- Marisol.
- A gdzie mieszka?
- Znam jej ojca. Nie mówmy już o tym więcej.

W piątek, pomyślała Ing-Marie, wychodząc, a teraz jest czwartek. Mijały dni, a ona nie wiedziała, że doszło do katastrofy. Ramón też nie dał znaku życia przez cały ten czas, nie zdał relacji ze spotkania, które miał odbyć z *el jefe* w Wilde. Nie było sposobu, żeby nawiązać z nim kontakt, żadnego „w nagłej potrzebie”. Jedyne, co mogła zrobić, to jeszcze raz pojechać autobusem na dworzec, skąd odchodziły pociągi na południowe przedmieścia.

Zdobyła już luźniejsze spodnie i grubszą koszulę, wyblakłe od słońca włosy miała upięte, więc nie rzucała się tak bardzo w oczy. Nie śpieszyć się, tylko iść w tempie, które można by uznać za normalne, nie rozglądać się i poskromić tak zwane wywrotowe myśli, co było najtrudniejsze, bo wystraszone myśli nie pytały jej o zgodę. Wypracowała więc metodę przepowiadania sobie w głowie dziecięcych rymowanek, gdy mijała niebezpieczne miejsca: *Entliczek-pentliczek, czerwony stoliczek...*

Kupiła bilet i nawet uśmiechnęła się do kasjerki, potem przeszła spacerem na peron i wsiadła do pociągu do Wilde. *Misia A, Misia B, Misia Kasia Kon-fa-ce...* Stolica rozplynęła się za oknem, a kiedy pociąg z hukiem przetoczył się nad śmierdzącą rzeką Riachuelo i wyjechał na przedmieścia, pojawiły się tereny przemysłowe i portowe dźwigi. Za każdym razem spotykali się w tym samym barze. Myślała o tym, że na przedmieściach zasady konspiracji wydawały się mniej rygorystyczne. Julio siedział zawsze spokojnie przy stole, czytając wyniki sportowe.

Natychmiast spostrzegła, że jego miejsce jest puste. Tylko ci sami dziadkowie co zwykle z kuflami piwa i papierosami, dym wzbijający się pod sufit.

Barman zobaczył ją i już po jego reakcji poznała, że coś jest nie tak. Nie spotkał jej spojrzenia, nie przywitał jej, nagle zajął się pedantycznym wycieraniem czystego bufetu.

- Julio *presente* – syknął, gdy podeszła.

Jakby ktoś nagle odciął prąd, wszystkie dźwięki zniknęły. Radiowe sprawozdanie z meczu piłki nożnej i szum aut z ulicy, pokastywania jednego z dziadków w rogu, przestała to słyszeć.

- Kiedy?
- W piątek. – Barman udawał, że wyciera jakąś plamę przy jej ręce, nachylił się

bliżej i wyszeptał: – Wpadli tu i go wzięli. Miał granat, jebnął na ulicy, buum!

Ing-Marie rozejrzała się, wychodząc, może widać ślady? To było w ten sam dzień, kiedy zgarnęli Anę, czyli nie ona go wydała, tak szybko to nie szło, Ana nie zdradziła, a Julio zachował się jak prawdziwy *montonero*, wyciągnął z granatu zawleczkę.

Szła dalej przed siebie, coraz bardziej oddalając się od stacji. Mijała ludzi, wydawało jej się, że gapią się na nią, ale się tym nie przejmowała, zostawiła za sobą miejskie ulice z butikami, zamiast kwartałów z kamienia i betonu pojawiły się drzewa i wille, szła w tym kierunku, gdzie na mapie widziała autostradę, dźwięki powróciły, słyszała z dala jednostajny szum samochodów, zamknęła oczy, by ustalić, skąd dobiega.

Przez ostatni odcinek miała zawsze zawiązane oczy, ale przedtem przez okienko z tyłu furgonetki widziała wolno stojące domy i słupy, liczyła zakręty, których przy każdej kolejnej podróży robiło się trochę mniej, ponieważ Julio już nie starał się tak bardzo, żeby ją skołować. W przedmieściu było coś swojskiego, co pozwalało łatwiej orientować się niż gdzieś w city, to była otwarta przestrzeń, gdzie łatwiej wyznaczyć strony świata, gdzie cała zieleń zwraca się ku słońcu, jest centrum i są willowe uliczki. W pewien odległy sposób przypominało jej to Jakobsberg.

Krajobraz otworzył się, przechodząc w pole i boisko piłki nożnej, w oddali majaczyły slumsy, które widziała tu za pierwszym razem.

Zacęła biec w przeciwną stronę, przez to pole, aż znalazła się na osiedlu murowanych willi, czy może raczej szeregowców stojących ciasno obok siebie, choć każdy był inny; słyszała szczekające psy. W prawo, w prawo i w lewo czy może odwrotnie? Mijała ulicę za ulicą, widziała domy, przy których wszędzie suszyło się pranie, wśród drutów elektrycznych i złomu, a obok inne, szcycące się starannie przystrzyżonymi ogródkami.

A potem rozpoznała tamten dom. Widziała go tylko przelotnie, przez kilka sekund, kiedy prowadzono ją do furgonetki. Biała fasada i budynek z cegieł obok. Nie miała żadnych wątpliwości, choć teraz wyglądał inaczej. Na ziemi zalegało potłuczone szkło i przewrócone donice, jedno z okien na parterze było wybite. Na podjeździe leżało parę rozrzuconych toreb, połamane krzesło.

Wydało jej się, że drzwi są uchylone, jakby tam w środku już nie było nic godnego uwagi. Puściła się pędem.

Biegła tak długo, że prawie zabrakło jej tchu i przez ostatni kilometr do stacji musiała iść.

W pociągu schowała głowę pod powieszoną obok kurtką i udawała, że śpi, skryta we własnym mroku. Pociąg dudnił o szyny, głos śpiewał w jej głowie.

Trumf, trumf, Misia Bela, Misia Kasia Konfacela...

Nie pamiętała, jak dotarła z powrotem do pensjonatu. Tylko moment, kiedy wetknęła dłoń do skrzynki i wyczuła palcami karteczkę.

Rozłożyła ją od razu, na ulicy, jak nigdy przedtem.

Był na niej adres, który rozpoznała, ich pierwszy *hotel alojamiento* w San Telmo, Ramón chciał, żeby spotkali się tam jutro!

Jutro! Jak miała przeżyć do jutra, gdzie się podziać?

Jego prosty charakter pisma. Był dla niej wewnętrzną podporą. Na samym dole napisał coś więcej niż zwykle. *Abrazos, cariños...* uściski i czułości. Powie jej, co powinna zrobić, przytuli ją i wszystko będzie dobrze, teraz uciekną razem i będą dla siebie ostoją, bo przecież to już koniec.

Ing-Marie schowała kartkę w dłoni, poczuła jej ciepło. On żył. Może nigdy nie pojechał na tamto spotkanie, w jakiś sposób ocalał, a w jaki – to już jej było obojętne.

Zmagała się z zacinającym się zamkiem w drzwiach wejściowych, należało pchnąć drzwi ramieniem, przekręcając klucz. Musiała coś postanowić. Schować się w pokoju na górze i przeczekać do jutra czy zabrać tylko co najpotrzebniejsze i od razu wprowadzić się do tego *hotel alojamiento* w San Telmo? Czuła, że to musi być to drugie, wołała leżeć w tamtym obskurnym pokoju i czekać na niego, niż...

Jakiś szczególnie dźwięk silnika za nią. Głośniejszy od innych. To, że samochód tak gwałtownie zahamował. W brudnej szybie drzwi zobaczyła odbicie długiej maski wozu, nieco pochyły dach i ciemny kolor, który mógł być czarny, lecz przypuszczalnie, prawie bez wątplenia, był ciemnozielony. Rozpaczliwie szarpała się z kluczem. Usłyszała trzask drzwi samochodu, słyszała teraz ich głosy. Świadomość, że w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby być świadkiem, w jednej sekundzie ludzie rozproszyli się i poznikali. Tabletki, *la pastilla!* Leżała w torebce, wsunęła do niej prawą dłoń i ostrożnie macała, szukając kosmetyczki. Nigdy na serio nie udało jej się wyobrazić sobie momentu, kiedy ją połyka. Potem znów poczuła kartkę w drugiej ręce. Adres miejsca, w którym Ramón miał być jutro o wyznaczonej godzinie. *Abrazos, cariños...* Zdecydowała się w ciągu paru sekund, zanim mężczyźni przeszli przez jezdnię. Podniosła rękę i wepchnęła kartkę do ust, zaczęła żuć ją, nawilżając śliną, poczuła, jak papier, szybciej, niż sądziła, zmienia się w grudkę nie większą od podwójnej gumy do żucia, a potem grudka

zaczyna się rozpadać i kiedy ją chwycili za ramiona i powiedzieli, że pojedzie z nimi, skoncentrowana była tylko na resztkach kartki w ustach. Na tylnym siedzeniu, z głową przygiętą ku podłodze, połączyła je, jeden po drugim.

BUENOS AIRES

2014

Korony drzew wciąż zieleniały, choć szła zima, a na słońcu zdawało się ciepłej, niż pokazywał termometr, na którym było zaledwie czternaście stopni.

– *Y también es morirse de amor, un otoño en el Parque Lezama.*

Fabricio zacytował jakiś wiersz, kiedy mijali bramę. Rozpoznawała tylko pojedyncze słowa, jak *amor*, jej hiszpański z liceum spoczywał gdzieś głęboko, na samym dnie pamięci.

Przystanął i przetłumaczył, wybiegając spojrzeniem między drzewa, w stronę szeregu ławek przy leżącej opodal alei.

– To także jest umrzeć z miłości, jesień w parku Lezamy.

Para studentów póležała tam nad książkami i sobą nawzajem, a za nimi siedziała staruszka z szalem na głowie. Ławka nie miała oparcia i kobieta tkwiła prosta jak struna, z dłońmi na kolanach. Patrzyła prosto przed siebie, nie wystawiając twarzy do słońca jak większość ludzi w parku.

Fabbe wyprężył się i poprawił sobie jedwabny szalik zawiązany na szyi, buty miał wyglansowane na błysk.

– Lepiej zaczekaj tutaj – powiedział.

Helene została na miejscu, udając, że zaciekawiała ją jakaś rzeźba. Widziała, jak Fabbe przysiada się do kobiety. Wyjął termos i czarny kubek ze srebrnym uchwytem, mówiąc coś, nalał do niego wody. Nad nimi darły się ptaki, kakofonia gwizdów i świergotów.

Po chwili dyskretnym gestem przywołał Helene. Z bliska kobieta nie wyglądała tak staro. Było coś w jej sylwetce i szalu na włosach, w jej o wiele za dużym płaszczu i brązowych spodniach, może też w samotności na parkowej ławce, co sprawiało, że można było się pomylić, biorąc ją za staruszkę.

Kobieta zadrżała i wlepiła wzrok w Helene. Zaczęła mamrotać i wykręcać dłonie tak mocno, że wyglądało to, jakby za moment miała połamać sobie drobne kostki widoczne pod skórą, *señor mi dios y la virgen Maria...* Panie mój Boże i dziewico Maryjo.

Fabbe mówił coś do niej po hiszpańsku, brzmiało to uspokajająco i rzeczowo,

położył dłoń na jej ramieniu. Ana wzdrygnęła się, jakby ją uderzył, i dalej klepała mechanicznie *Padre nuestro que estás en los cielos, santificado sea tu nombre...*

Podał jej kubek, nie przestając przemawiać do niej jak do dziecka, które trzeba ukoić, żeby nie krzyczało. Helene usłyszała swoje imię i imię Vera. W końcu Ana umilkła. Ujęła kubek w obie dłonie i upiła z niego trochę przez metalową rurkę. Potem Fabbe przekazał kubek Helene.

– To jest *mate*, pijemy to za przyjaźń. Wypij. – Wypiła z tej samej rurki, innej nie było. Napój przypominał herbatę i był niemiłosiernie gorzki; poczuła na języku drobne płatki, próbowała je wytrzeć.

Ana coś powiedziała. Mówiła cicho, prędko i żarliwie.

– Mówi, że nie wiedziała, że Vera ma córkę – przetłumaczył Fabbe. – Nie rozmawiały o tym.

Kiwnął ostrożnie głową w stronę wolnego miejsca na ławce.

– Dwie córki – powiedziała Helene i usiadła.

– Chodziło o to, żeby nie wiedzieć o sobie takich rzeczy – ciągnęła Ana. – To było *antisequimiento*, aby nie mogli nas wysledzić. Im mniej się wiedziało, tym mniej człowiek zdradził, jeżeli nie udało mu się umrzeć albo wytrzymać przesłuchań.

Fabbe przetłumaczył. Z liczby słów Helene wywnioskowała, że sporo dodawał od siebie, objaśnienia i może rzeczy, o których Ana opowiadała wcześniej. Obowiązkiem każdego *montonero* było nie dać się złapać, powiedział. Była pigułka, którą należało wziąć, zawołać „nie weźmiecie mnie żywcem”, a potem połknąć i umrzeć. Alternatywą było dać się zastrzelić przy ucieczce albo wytrzymać tortury i milczeć do śmierci.

– Ja nie miałam pigułki przy sobie, co za idiotka była ze mnie, *que boluda*, że dzień wcześniej zmieniłam torebkę. W przeciwnym razie otruję się już tam, na ulicy, w tamto popołudnie.

Ana patrzyła wprost przed siebie pustym wzrokiem, zdawała się nie widzieć przechodzących i spacerujących po trawnikach ludzi. Helene myślała teraz o niej jako o Anie, chociaż Fabbe czasami nazywał ją Marisol.

– Zabrali ją sprzed jej domu – powiedział i splótł dłonie na kolanie. – Wrzucili na tylne siedzenie forda falcona. Potem zawieźli do ESMA. Nie wiem, ile ty właściwie wiesz o tym miejscu?

– Sporo – odparła Helene, nie chciała się teraz w to zagłębiać, ponagliła go gestem ręki, żeby mówił dalej.

– Nie wiedziała wtedy, gdzie ją wiozą – ciągnął. – Człowiek traci orientację, kiedy leży przyciśnięty do podłogi samochodu, z twarzą w gumowym dywaniku, z zawiązanymi oczami, a na plecach ma dwie pary wojskowych butów. Nikt nie wiedział. Myśleli, że wylądują w areszcie, może będą torturowani dla wydobycia informacji, a potem wyjdą lub zostaną postawieni przed sądem. Nikt nie przypuszczał, że istnieje poza prawem czarna dziura, gdzie wrzuceni ludzie znikają. Przez siedem miesięcy nie widziała nic.

– A mimo to jest pewna, że widziała tamtą Verę?

– Nie widziała – usłyszała.

– Ale skąd może mieć pewność?

Ana wzdrygnęła się, gdy przebiegł przed nią puszczone luzem pies. Powiodła za nim wzrokiem, obserwując, jak węszy wśród korzeni prastarego drzewa. Nieco dalej, z prowizorycznego legowiska złożonego z paru szmat i kawałków tektury wspartych o płot, wypełzła ciemnoskóra kobieta o indiańskich rysach. W ręce trzymała garnek.

Ana znowu zaczęła mówić, teraz bardziej impulsywnie. Helene czekała na tłumaczenie. Wpatrywała się w gruzłowaty pień drzewa i wydawało jej się, że widzi w korze ludzkie twarze. Minęło kilka minut.

– Co ona mówi?

– To nie takie proste...

– Słyszę przecież imię, rozumiem, że mówi o Verze.

– I mnóstwie innych rzeczy – powiedział Fabbe. – Musisz zrozumieć, że to, co ona opowiada, jest trochę nieskładne, przepraszam, że z moim szwedzkim nie nadążam...

Ana ścisnęła go za ramię.

– Dlaczego tego nie tłumaczysz? Powiedz jej!

To były takie proste słowa, że nawet Helene mogła zrozumieć.

Fabbe westchnął. Popatrzył w dół, na swoją *mate*, i siorbnął trochę, chociaż w kubku prawie nic już nie było poza wilgotnymi fusami.

– Człowiek nie może wiedzieć, jak się zachowa w takich okolicznościach – powiedział w końcu. – Nie będę opowiadał o tym wszystkim, co z nią robili, bo to nie ma sensu. I tak nie możesz sobie wyobrazić tego bólu. Nie mówię o torturach w ogóle, tylko o szczegółach. Może wydaje ci się, że rozumiesz, co to jest, jak ci wsadzają w pochwę kable elektryczne, jak kroją skórę na podszewkach stóp tak, jak

się struga plasterki sera, ale zawsze dochodzi się do punktu, gdzie wyobraźnia nie wystarcza. Nie mówię tego, żeby ci dokuczyć, tylko po to, żebyś nie wydawała łatwych sądów.

Dokoła nich zapadła cisza, Helene już nie słyszała ptaków.

– Mówi, że jej nienawidziła, nienawidziła tej kobiety o pseudonimie Vera.

To była siódma doba. Ana liczyła każdy ranek i każdą noc, żeby nie stracić całkiem poczucia czasu, przepowiadała sobie w głowie: środa dwunastego lutego, czwartek trzynastego. Czas był jedyną stałą rzeczą w absolutnym mroku. Bo nikt nie wiedział, gdzie ona jest. Bo sama nic nie widziała. W tym jej kapturze było czarno i niemożliwie śmierdziało, pewnie nigdy kapturów nie prali. Były tam wrzaski, ból i przerażenie. Nic nie widziała i z nikim nie rozmawiała, samotność w takim kapturze jest bezdenna.

Ale tej nocy usłyszała znajomy głos. Leżały na strychu, przykute łańcuchami, w żarze pod dachem. Jakaś kobieta całkiem niedaleko mówiła do siebie. Musiała być nowo przybyła, bo po drugiej czy trzeciej nocy większość milkła. Ana słyszała słowa wśród jęków i płaczu.

Ten głos był taki jasny i lekki, wywiódł ją stamtąd, znów siedziała w kawiarniach w San Cristóbal. Odrobina gardłowej chrypki, co do tego głosu nie mogła się mylić. Przez długą chwilę leżała i słuchała, podczas gdy inne syczały do tej nowej, żeby się zamknęła, bo chcą spać. Ana uświadomiła sobie, że ona mówi po szwedzku. Pomyślała wprawdzie, że to się nie zgadza, nie miała jednak wątpliwości. Być może istniały powody, dla których Vera podawała się za Niemkę. Takie sprawy były już bez znaczenia.

– Obcięłaś sobie w końcu te blond włosy? – wyszeptała wreszcie. – Przebarbowałaś się na czarno?

Pytanie brzmiało niewinnie, gdyby usłyszał je strażnik, a mimo to było kodem, który Vera by zrozumiała. Rozmawiały o tym. Vera zawsze się bała, że przez swoje blond włosy nazbyt rzuca się w oczy, za bardzo przejmowała się swoim wyglądem.

Ana nie otrzymała odpowiedzi. Tylko skomlenie i jęk. Spróbowała jeszcze ze dwa, trzy razy, ale zrobiło się cicho. Vera przestała już mamrotać. Mijały godziny. Samotność jeszcze się spotęgowała. Ana szepnęła coś, że muszą wybaczyć sobie nawzajem. Był tutaj ktoś, kto wiedział, kim ona jest. To czyniło z nich ludzkie istoty, nie numery. Nienawidziła Very za to, że milczała. Mogły przecież przechodzić przez to razem.

Jeszcze trzy razy usłyszała jej głos, ale już nie zwracała na niego uwagi. I kiedy

Anę wypuszczono, o wiele później, pewnego wieczoru, kiedy zabrali ją i wepchnęli do jakiegoś auta, a ona już sądziła, że to koniec, aż do chwili, gdy wyrzucili ją na jakiejś ciemnej ulicy w Buenos Aires i zrozumiała, że jest dwie przecznice od domu, wtedy już była przekonana, że musiała się przesłyszeć. W ESMA nigdy nie było żadnej Szwedki o imieniu Vera. Jej ojciec otworzył drzwi i wpuścił ją do środka. Następnego dnia powiedział, że teraz muszą zapomnieć o tym wszystkim, co się stało.

Zrobiło się chłodniej, słońce schowało się za dachy domów na południowym zachodzie. Na ławce naprzeciwko wyciągnął się jakiś bezdomny i nakrył sobie głowę kurtką.

– Mogę o coś zapytać? – szepnęła Helene.

Fabbe skinął głową.

– Skąd ona ma pewność, że ten język, który słyszała, to był szwedzki?

Kiedy to przetłumaczył, Ana powoli obróciła głowę. Jej cienka skóra mocno opinała kości policzkowe.

– *Muerte* – powiedziała, patrząc prosto na Helene, a potem mówiła dalej i to samo słowo powtarzało się raz za razem. Jej oczy były granatowe.

– Śmierć – przetłumaczył Fabbe. – Ona mówiła o śmierci, a to jest słowo, które Ana zna pewnie najlepiej ze wszystkich szwedzkich słów.

Uśmiechnął się. To było dziwne, bo akurat teraz zdawało się nie na miejscu.

– „Jestem Śmiercią!” – ciągnął. – To z *Siódmej pieczęci* Ingmara Bergmana! Max von Sydow gra w szachy ze śmiercią, *El séptimo sello*, oglądaliśmy go razem na Corrientes, tyle razy, że pierwsze kwestie znaleźmy na pamięć po szwedzku. – Zrobił wdech i wyrecytował: – „Jesteś gotów? Moje ciało jest gotowe, lecz ja sam – nie”.

Ana też się uśmiechnęła, po raz pierwszy. Brakowało jej paru zębów. Przemknął duch młodej kobiety, równie ulotny jak powiew perfum kogoś, kto prędko przechodzi.

– On właśnie tak wyobrażał sobie romantyczny wieczór – powiedziała.

– W kinie Lorraine! – ciągnął Fabbe z entuzjazmem. – Właściciel miał normalnie fioła na punkcie europejskiego kina, filmów arty, puszczał je raz po raz i uwielbiał Bergmana, pamiętasz go, prawda? Jak on się, kurczę, nazywał? – Fabbe był tak podekscytowany, że mieszał szwedzki z hiszpańskim. – A ty przecież uwielbiałaś *Tam, gdzie rosną poziomki*, pamiętasz?

Ale moment już minął i jej uśmiech zgasł.

– To była śmierć – powtórzyła Ana.

Zacząła się trząść.

– Nie wiedzieliśmy wtedy, co to znaczy, gdy wywołują czyjś numer w środę, dlaczego ci ludzie znikają. Ja pilnowałam wtedy dat, wiedziałam, która to środa.

Popłynęły z niej słowa, jednostajne jak cichy potok, strumyki słów, które nie docierały do Helene, ponieważ Fabbe znowu zaczął mówić prawie wyłącznie po hiszpańsku. Może chciał uspokoić Anę, sprawić, żeby przestała dygotać i tak dziko rozwierać oczy, ale Helene miała wrażenie, jakby próbował ją także uciszyć. Tylko czasami rzucał jakieś zdanie.

– Od tamtej pory już nigdy nie słyszała głosu Very.

– Wymagali od swoich ludzi, żeby wytrzymywali tortury, lecz prawie nikt nie jest w stanie przetrwać czegoś takiego, to było nieludzkie żądanie.

– Byli tacy młodzi, ledwie studenci.

Pogrzebał w swojej torbie i wyjął kanapkę, którą podał Anie. Ona odtrąciła gwałtownie jego rękę i kanapka mu wypadła. Wylądowała w małej kałuży pełnej śmieci. Ana znowu klepała religijne frazy, ... wybacz mi, Boże... panie Jezu Chryste...

– Czasami z nią tak jest – powiedział Fabbe. – Sama rozumiesz.

– O czym ona mówi?

– Nie mogę...

Ana wstała. Fabbe rozmawiał z nią cicho, uniósł ręce, jakby chciał ją przytulić, lecz tego nie zrobił, a kiedy odeszła, długo patrzył w ślad za jej nieforemnymi plecami, które malały coraz bardziej, aż znikły w jednej z alejek prowadzących na południe, gdzie zaczynała się bardziej obskurna zabudowa. Ręce znów mu opadły.

– Ona tam mieszka, w La Boca – powiedział. – Nie chce mi zdradzić gdzie, ale raz za nią poszedłem. Weszła do jednego *conventillo*, to coś jak *pensión*, tylko dla jeszcze biedniejszych.

Pozbierał swoje rzeczy. Wytrząsnął z kubka fusy.

– To ja z nią zerwałem – powiedział. – Czterdzieści lat temu. Nie mogę teraz żałować, bo mam dziś dzieci i w ogóle, ale pomimo to wciąż o tym myślę.

Gdy stamtąd odchodzili, zaszczekał jakiś pies i Helene się obejrzała. Tylko dlatego zobaczyła, jak Indianka podbiega do ławki, na której siedzieli. Podniosła z ziemi kanapkę i pośpieszyła z powrotem na swoje miejsce, znów wpełzła między

szmaty i kawałki tektury.

Helene obudziła się w środku nocy z kołataniem serca, spocona, coś jej się śniło, czego najpierw nie mogła sobie przypomnieć. Minęła sekunda, nim dotarło do niej, gdzie jest. Pokój był mały, biurko, telewizor pod sufitem. Jakaś para tańcząca tango na oprawionym w ramy afiszu. Nie miała nawet siły zaciągnąć zasłon, zanim padła na łóżko, patrzyła teraz w mrok i jakąś ścianę budynku. Stare radio z budzikiem pokazywało czwartą trzydzieści siedem. Wstała i poszła się wysikać, potem już była przytomna.

Tamten sen. Powoli jej się przypominał, wracały scena za sceną. Śnił się jej Uffe Rainer. Jego obecność wciąż jeszcze kołysała się w jej ciele jak miękka fala przyboju. Nie chciała myśleć o tym jako czymś erotycznym, to tylko chaotyczny sen, z luźnych fragmentów poskładanych do kupy przez jej mózg. Umówiła się z nim gdzieś w Buenos Aires, ale błądziła po nieznanach ulicach i nie mogła tam trafić. Potem jednak byli ze sobą razem, w parku. Pocałował ją? Kiedy z powrotem położyła się do łóżka, żeby spróbować znowu zasnąć, przez krótką, nieistotną chwilę chciała myśleć wyłącznie o tamtym wieczorze, kiedy był dla niej jakby obstawą w barze, gdzie umówiła się z Tancerzem Tanga, Matsem.

Pożegnała się z Matsem na zewnątrz. Potem wróciła do Uffego do środka. Wypili razem piwo, podczas gdy Helene opowiadała mu część tego, czego się dowiedziała, uznała to za coś w rodzaju zapłaty za jego pomoc, ale poza tym dobrze było móc z kimś porozmawiać. Gdy powiedzieli sobie do widzenia i on miał ruszyć do swojej podmiejskiej kolejki, a ona spacerem do domu, przytulił ją. Helene nie wiedziała, jak do tego doszło, ale nagle przywarła ustami do jego ust, były miękkie, przestraszyła się i cofnęła, czy może to on się odsunął. Była na lekkim rauszu oczywiście. Pewnie dlatego tak się stało. Wyglądał na zdziwionego. „No, to cześć” – rzucił, wahając się jeszcze przez sekundę, zanim odwrócił się i odszedł.

Helene pomyślała, że już pewnie nie zaśnie, i sięgnęła po swoją komórkę. Dźwięk miała wyłączony, żeby nikt jej nie obudził w środku nocy. W Sztokholmie ludzie byli już w pracy, a dzieciaki w szkole, o tej porze jej ciało było nastawione na sprint i maksymalną wydajność.

Miała jedno nieodebrane połączenie. Od Matsa. Widok jego imienia wywołał niemiłe uczucie w żołądku, którego już nie mogła się pozbyć.

Zaczekała na śniadanie. Zjadła sałatkę owocową, jajecznicę, croissanta, który

tutaj nazywał się *medialuna*, półksiężyc, i wypić dwie czarne kawy. Potem do niego oddzwoniła.

– Przepraszam, że zadzwoniłem – zaczął – ale trochę się niepokoję, jak się czujesz, jak sprawa z siostrą i w ogóle. Chciałem tylko powiedzieć, że tu jestem. Jakbyś chciała pogadać.

Helene jęknęła w duchu. Nie powinna mu była dawać swojego numeru. Odzywał się już trzeci raz. Za każdym razem myślała, że chodzi o coś ważnego, w związku z Charlie, ale chodziło wyłącznie o niego.

Jestem, jakbyś chciała pogadać. Otóż nie sędzę.

– Ja jestem w Buenos Aires – powiedziała jak gdyby nigdy nic. – I pomyślałam sobie, że może sprawdzę ten dom, o którym mówiłeś. Pamiętasz coś bliższego, gdzie to było?

– Nie, nie wiem... – Wyraźnie był rozczarowany. – Aha, to ty tam teraz jesteś.

– Zastanów się.

– Noo... sprawdzałem na mapie, jak jechaliśmy... To się nazywało Belgrano i jeszcze kawałek dalej na północ.

– A pamiętasz nazwę ulicy?

– To taksówkarz wiedział, gdzie jesteśmy, ja nie bardzo. Czytałem nazwy na tabliczkach, ale takie rzeczy się od razu zapomina, taka szeroka ulica z wielkimi drzewami... Tamten bar z lodami leżał kawałek na południe, Fragole czy Frambuesa, w każdym razie na F. To tam zostałem napadnięty... Co ty robisz właściwie w Buenos Aires, jeśli można spytać?

– Dziękuję, cześć – rzuciła Helene i szybko się rozłączyła.

Usiadła przy stacjonarnym komputerze przed stołówką, gdzie było lepsze połączenie z internetem. Za trzy godziny miała znowu spotkać się z Fabriciem. Gdy wychodzili z parku wieczorem poprzedniego dnia, przeprosił ją, mówiąc, że jest już zmęczony, gryzie go chandra i boli kręgosłup, ale chciał, żeby spotkała jeszcze parę osób.

Helene wpisała szukane wyrazy, lody to po hiszpańsku *helado*. Obcy język zaczął ożywać w jej głowie, słowa i frazy wyskakiwały na powierzchnię. Okazało się, że w Buenos Aires roi się od barów z lodami, ale z tych wszystkich, które miały nazwę na F, tylko jeden leżał w dzielnicy Belgrano R, trochę na północ od samego Belgrano.

Nie było jeszcze ósmej rano, kiedy wsiadała do taksówki.

Dalej na północ aleje były coraz bardziej okazałe i miasto zaczynało przypominać Paryż. Gdyby naprawdę była tu na konferencji architektów, zatrzymałaby się przy kamienicach art déco, które migają wzdłuż paradnej Avenida de Mayo, spacerowałaby tam, obserwując z bliska, jak ten jazzowy luksus z początków XX wieku ewoluuje w porównaniu z Nowym Jorkiem i Paryżem, ale teraz przemknęli tylko obok.

Taksówka przejechała szesnastopasmowym bulwarem przecinającym centrum miasta, potem kluczyła dalej między mrocznymi przecznicami i gwarnymi centrami handlowymi. Helene usiłowała sobie wyobrazić, jak tu mogło wyglądać trzydzieści pięć lat temu, co widziała Ing-Marie ze Szwecji? Chaos i brud, wrażenie czegoś niebezpiecznego? Czy było to dobrze znajome, jak europejskie miasto, chociaż po drugiej stronie równika?

Sądząc po tonie głosu i dłoni bębniącej z irytacją w kierownicę, szofer kłął, kiedy utykali w korkach, *qué quilombo!*

Pomyślała: miasto nie zauważa, gdy ktoś znika. Puste miejsce zajmuje ktoś inny.

Tak łatwo zapomnieć obcego.

Ruch się zmniejszył.

Kiedy po pięćdziesięciu minutach podróży wysiadła z auta przed barem z lodami Frapole, wielkie miasto zdawało się leżeć daleko. Wciąż znajdowała się w samym Buenos Aires, w tym, co nazywa się Capital Federal, ale tutaj puls był spokojniejszy.

Weszła do środka i kupiła sobie kawę na wynos. Potem stała przez chwilę na skrzyżowaniu przed barem, popijała kawę i próbowała odtworzyć sobie to, co Mats opisywał. Duże kamienne wille, mury i ogrodzenia. Światło ledwie przebijało się przez korony drzew, przefiltrowane przez zielen nabierało cech magii i ekskluzywności. Helene skinęła głową kobiecie wychodzącej z bramy z dwójką dzieci w szkolnych mundurkach. Przy następnym domu rozlegało się jakieś tykanie. Mur był zwieńczony rzędem ostrych kolców. Mats o nich wspominał, ale wyobrażała sobie raczej sterczące w górę ostrza dzid, a te tutaj były poskręcane, tworząc jakby berła. Efekt był jednak taki sam, groźny i odstraszący, sygnał, by trzymać się z daleka.

Ponad murem mogła zobaczyć gęsty bluszcz porastający kamienną fasadę. Widziała dach i kilka okien górnego piętra, ale poza tym wszystko było zarośnięte. Mats opowiadał też o bluszczu.

Helene poszła jednak dalej, do końca ulicy. Nie było więcej domów z takim murem. Dla pewności wróciła na skrzyżowanie przy barze z lodami i poszła ulicą na południe. Jeszcze dwa domy miały na murach wściekłe kolce, ale żaden z nich nie był porośnięty bluszczem.

Zawróciła. Ulica była cicha, ale nie wymarła; jakiś mężczyzna kosił trawę na wąskich pasach trawnika wzdłuż szerokich trotuarów, jakaś kobieta w żakiecie wskoczyła do małego srebrnego auta. Nie ma powodu, by się bać, powiedziała sobie, jednak serce zaczęło jej łomotać, kiedy spojrzała w stronę tamtego domu. Wyglądał, jakby pozostawał poza czasem. Może to wcale nie bluszcz, wydawał się bardziej błyszczący i intensywniej zielony, jakby rósł na jej oczach.

Zobaczyła domofon, ale bez nazwiska. Kiedy podniosła wzrok, zauważyła przy słupie bramy małą kamerę. Zapisała sobie numer posesji. Zawsze przecież mogła sprawdzić adres w Google i zobaczyć, czy to jej coś da. Może chodziło o coś tak trywialnego jak jakiś kochanek, którego Charlie sobie poderwała. To, że Mats został kawałek dalej na ulicy ogłuszony, mogło być zwykłym przypadkiem. Czyż nie był klasyczną ofiarą rabunków w miastach takich jak to, blady facet stojący na rogu, na oko dziany i zdezorientowany?

– Szuka pani kogoś? – zapytał ktoś za nią. Helene odwróciła się na pięcie. Wysoki ogrodnik w zielonej kamizelce ścisnął w ręce grabie.

– Nie, ja tylko... to ciekawy dom – powiedziała Helene i zmusiła usta do uśmiechu. Nic inteligentniejszego nie udało jej się sklecić po hiszpańsku, więc dorzuciła tylko *buenos dias* i ruszyła w kierunku skrzyżowania, gdzie od czasu do czasu przejeżdżały żółto-czarne taksówki.

– To pakt milczenia, którego prawie nikt nie złamał – powiedział prawnik – i trzeba się pośpieszyć, bo oni wymierają.

Miał na imię Guillermo i zgodził się na spotkanie pod salą rozpraw w gmachu sądu federalnego. Kiedy drzwi się otwarły, Helene ujrzała przelotnie trzech sędziów na samym przodzie i siwego mężczyznę w miejscu dla świadków. Sam Guillermo miał lat trzydzieści parę i przypuszczalnie nie było go jeszcze na świecie, kiedy popełniono te zbrodnie.

– Cztery lata robót – powiedział i pogładził kodeks. – Ale akurat nie jestem tam w środku potrzebny, wezwą mnie, jak będą potrzebować więcej faktów.

Usiadł na niskiej sofie z imitacji skóry w korytarzu przed salą rozpraw. Akurat ten proces dotyczył morderstw związanych z Operación Cóndor. To była tajna

siatka za czasów junty, opowiadał, gdzie służby bezpieczeństwa sześciu krajów Ameryki Łacińskiej zjednoczyły się, aby wytropić i wymordować swoich przeciwników, gdziekolwiek na świecie przebywali. Żaden Chilijczyk nie mógł czuć się bezpieczny w Argentynie i odwrotnie. Za pomocą Operación Cóndor dyktatury skoordynowały także swój wywiad wśród uchodźców w Madrycie i Paryżu, zlecały zabójstwa na chilijskich politykach dokonywane na ulicach Rzymu i Waszyngtonu...

Guillermo uniósł dłoń, jakby chciał powstrzymać sam siebie.

– Przepraszam, nie po to pani tu jest. – Wyprodukował czarujący uśmiech i wyjął z teczki cienki skoroszyt.

Fabbe przysiadł po drugiej stronie Helene. Była zadowolona, że nie potrzebuje jego pomocy, żeby zrozumieć prawnika, Guillermo mówił perfekcyjną akademicką angielszczyzną.

– Chodzi zatem o kobietę, która używała pseudonimu „Vera”. Numer sześćset siedemdziesiąt sześć, jak ją nazywamy dla uproszczenia.

– Co tu jest napisane? – spytała Helene, patrząc na dokument, który trzymał w ręce, rodzaj raportu w PowerPoincie, z tegoroczną datą. Rozpoznawała tamte cyfry i imię Vera. Obok ręczny dopisek: „Ing-Marie Sahlin – Sueca?”.

Jej bezpośrednią reakcją była euforia. Ten prawnik sprokurował jakiś papier, jakiś dokument na temat jej matki, a tym samym ona istniała. W świecie Helene oznaczało to wyższą prawdę, w odróżnieniu od nieskładnych wypowiedzi na jakiejś parkowej ławce. Jeżeli ten inteligentny prawnik sądził, że Vera to była jej matka, nawet pomimo tego znaku zapytania umieszczonego przy jej nazwisku i narodowości, w takim razie być może ona sama też mogła przestać w to wątpić.

Poza tym był przystojny, co ewentualnie ułatwiło wyciągnięcie tej konkluzji.

– To zawsze jest skomplikowane – powiedział. – Codziennie pracujemy nad ustalaniem tożsamości sprawców, ale ich wciąż przerzucano między różnymi obozami, dopilnowali, żeby nie zostawiać żadnych dowodów na papierze, a sami, jak mówiłem, milczą. Przez te wszystkie lata jeden jedyny z nich dobrowolnie złamał pakt, ostatecznie został skazany za trzydzieści morderstw na sześćset czterdzieści lat więzienia.

Potok wymowy Guillerma był szybki i rzeczowy. Po upadku junty, w latach osiemdziesiątych, spora część prawdy została ujawniona, ale wojskowym udało się wymusić na politykach przyjęcie prawa o amnestii. Dlatego wielu z nich przez długi czas nie pociągano do odpowiedzialności za zbrodnie z czasów *la guerra*

sucia, brudnej wojny. To jest określenie, podkreślił Guillermo, używane przez wojskowych. Te słowa robiły ludziom wodę z mózgu. On sam używał terminu „terrorizm państwowy”, kiedy państwo morduje własnych obywateli. To kłamstwo, jakoby toczyła się wtedy wojna. Prawo o amnestii zniesiono dopiero w roku 2003. Od tego czasu wielu wojskowych skazano, dalece jednak nie wszystkich. Poza tym było wielu innych zamieszanych, na przykład szefowie międzynarodowych korporacji przekazujący wojsku listy z nazwiskami związkowców, których chcieli się pozbyć. Ford miał nawet obóz na własnym zapleczu.

Ostatecznie wszystko sprowadzało się do dowodów na tyle mocnych, aby wystarczyły na sali sądowej.

– A w tym przypadku... – Guillermo rozłożył strony raportu o więźniu numer 676 – ...nie mogliśmy nawet zidentyfikować ofiary. Nikt, jak się zdaje, nie wie, kim właściwie była, a kiedy nie ma żadnych szczątków...

– To była Ing-Marie – powiedziała Helene. – To musiała być ona. Ta kobieta, Ana... Marisol, zaczęła się trząść, jak mnie zobaczyła.

Fabbe poklepał ją dobrodusznie po ramieniu.

– Helene to wykapana mama.

– Okej, przyjmijmy, że to ona. Ten świadek, będziemy ją nazywać Ana, spotyka zatem swoją przyjaciółkę w ESMA akurat w tym czasie.

Guillermo wskazał na swój szkic i zaczął uzupełniać go długopisem. Czworokąt przedstawiający tajne więzienie. Numer 676 w kółku, które potem zaczęło się przemieszczać, krok za krokiem, za pomocą strzałek. Jasno i pedagogicznie. Helene znów poczuła, jak mgliste intuicje zmieniają się w prawdę, gdy jego długopis sunął po papierze, rysował kreski i kwadraty tworzące zrozumiały i przejrzysty schemat.

To było w lutym 1978. Czas zgadzał się z tym, co wiedzieli o numeracji w ESMA – jak wykazano, inni więźniowie, mający sąsiednie numery, przebywali tam w tym samym okresie. Z systemu numeracji wynikało także, że Vera została uwięziona dwa tygodnie wcześniej.

W środę o piątej po południu Ana usłyszała, jak wywołują tamten numer.

To było zawsze o tej porze, zwykła procedura.

Tego dnia wzięto do „transportu” dwanaście osób. Na ręce założono im kajdanki i sprowadzono po schodach do piwnicy. Tam dostali zastrzyki z tiopentalu, anestetyku, który nie całkiem ich uśpił, ale sprawił, że dali się bezwolnie

zaprowadzić do czekających z tyłu samochodów.

– Zatrzymajmy się tylko na moment. – Helene sama nie wiedziała, czy przerwała mu, bo musiała się dowiedzieć, czy tylko bała się tego, co miało nastąpić.

– Wiem, że pan pewnie nie umie na to odpowiedzieć, ale czysto hipotetycznie: czy ona mogła zostać aresztowana, choć była niewinna, czy co takiego mogła według pana zrobić?

– My nie mówimy tu o winnych czy niewinnych – rzekł Guillermo. – To byli przeróżni ludzie: studenci, którzy pyskowali przeciwko nauczycielowi, przywódcy związkowi walczący o podwyżki, społecznicy zaangażowani w jakieś projekty w slumsach i zbrojni *guerilleros*, którzy wysadzili w powietrze jakiś obiekt wojskowy czy coś tam. Niezależnie od tego, kim byli, nikt nie zasłużył sobie na tortury i wyrzucenie żywcem z samolotu.

Helene przełknęła ślinę.

Guillermo wskazał na datę, tamtą środę w lutym.

Tego samego wieczoru, pięć godzin później, z najbliższego wojskowego lotniska wystartował samolot. To było udokumentowane. Na podstawie książek pokładowych mogli ustalić czas przelotu i przybliżoną trasę. Zadanie oznaczono jako „ćwiczenia powietrzne”. Bardzo prawdopodobne, nawet wysoce prawdopodobne, że samolot wyleciał nad Atlantyk, zrzucił swój ładunek i wrócił do bazy. Jeśli się potem dołożyły inne informacje, przede wszystkim odnalezienie dwóch ciał, które później fale wyrzuciły na brzeg, to właśnie ten morderczy przelot był udowodniony tak dalece, jak to tylko możliwe. Pilot został nawet postawiony przed sądem jako współwinny zbrodni, ale twierdził, że nie miał pojęcia o celu przelotu. Wykonywał jedynie swoją pracę.

– Odtworzyliśmy tę sytuację tak drobiazgowo, jak się tylko dało, z tym samym typem samolotu, i jest nieprawdopodobne, żeby pilot nie widział czy nie zauważył, że wprowadzono na pokład i zrzuciono do morza jednaście osób.

Wszystko to było zgodne z procedurą. Obozy śmierci były zorganizowane systematycznie i hierarchicznie, tu nie chodziło o jakiś wybryk pojedynczych męczczyzn. Oni wykonywali rozkazy. Szeroki zakres tych działań powodował, że zamieszanych w to było bardzo wielu wojskowych, na wszystkich szczeblach, włącznie z poborowymi.

– Przeprowadziliśmy ostatnio kampanie nakłaniające poborowych do ujawniania się i składania zeznań. Apelujące do ich sumień, przecież byli tacy młodzi. Wielu

z nich potem wróciło do cywila, mają dziś zwykłe zawody, żyją zwykłym życiem. Ich rodziny nie wiedzą, co robili.

Helene miała kłopoty ze skupieniem się na tym, co mówił, widziała tylko ten samolot, dwanaście osób wprowadzanych do maszyny. Czy on powiedział „jedenaście”?

W końcu ujawniło się kilku poborowych, ostatni z nich zaledwie parę miesięcy temu. Guillermo zaznaczył go na szkicu jako „Mr X”. Fabbe nachylił się bliżej, poczuła jego ciepły oddech w uchu. To było najwyraźniej nowe także dla niego.

Dziś ten ówczesny poborowy ma pięćdziesiąt sześć lat i jest magistrem inżynierem w pewnej fabryce samochodów w Buenos Aires. Żona niedawno zmarła mu na raka. Uznał, że nie ma nic więcej do stracenia.

Ciekawe było to, że na początku 1978 roku służył w marynarce jako mechanik samochodowy stacjonujący w ESMA.

– Mam tu wypis z jego zeznań – powiedział Guillermo i wyjął jakiś nowy papier, czytał na głos, pośpiesznie, przeskakując pewne fragmenty, tłumacząc po kawałku tu i tam.

To była środa, wiem na pewno, bo to wtedy oba samochody miały podjechać po transport. To był mój trzeci tydzień tam, więc ta data, o której pan mówi, się zgadza... Miałem wieczorną zmianę i to nie była moja sprawa, ładowanie... Znaczący, jak wprowadzali ich do samochodów. Ale ten oficer rozkazał mi, żebym pomógł, bo tam był ktoś, kto nie mógł iść. Normalnie oni sami szli, choć całkiem nie kontaktowali... jak jakieś zombi... Nie, ja wtedy nie wiedziałem, gdzie ich wiozq, nie byłem szoferem... jeździłem tylko po naszym terenie i pilnowałem, żeby wozy były sprawne i zatankowane... Ich było dwanaście osób, jak ich wyprowadzili... Tak, jestem pewien, że dwanaście. Mam dobrą pamięć do liczb, potem zrobiłem studia inżynierskie, miałem najlepsze oceny z matematyki, widzę przed sobą cyfry i potem już ich nie zapomnę... Chociaż nie powiem panu, jakie były te inne numery, bo nie słyszałem, jak wszystkie wywoływali... zapamiętałem tylko ten 676, bo tego kazali mi nieść... to znaczy ją... Musiałem wnieść ją do samochodu. Była nieprzytomna, to znaczy spała albo coś takiego. Właśnie to mnie... no, to taka rzecz, której się nie zapomina... że ciało było takie ciężkie. Nie... nie mogę nic powiedzieć o wyglądzie. Nie wolno było nam włączać reflektorów. Może jasne włosy, zdaje się, ale na dworze było przecież ciemno, więc nie mogę powiedzieć na pewno. Była też chyba poraniona... tu i tu...

(Świadek pokazuje na szyję i twarz, stopy i przedramiona).

Guillermo podniósł wzrok znad dokumentu.

– I teraz pewna dziwna rzecz. Mówiłem już, że wszystko przebiegało rutynowo, zgodnie ze stałą procedurą, i tak jest w dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto. Stąd właśnie wiemy na pewno, że wszystko było zaplanowane i sterowane odgórnie. A tu nagle coś się wydarza.

Miałem załadować ten... numer 676... do samochodu, i ona nagle była taka ciężka. Pamiętam, że usłyszałem, jak ktoś za mną wrzeszczy, strasznie się wydziera. To nie takie proste podnieść człowieka w ten sposób, a ja nie wiedziałem, czy mam ją położyć na podłodze z tyłu samochodu, to były dżipy furgony, i ci inni siedzieli przy burtach, ale ona przecież nie była w stanie siedzieć, a na podłodze nie było miejsca... wtedy ktoś wrzasnął do mnie, że numer 676 tym autem nie pojedzie. Nie zrozumiałem, że niby jak, ma pojechać drugim samochodem? Tamten już przecież był załadowany, strażnik wskoczył i stał tam z tyłu... Ktoś się zjawił, jakiś dowódca, ale nie wiem jaka szarża, i powiedział, że to pomyłka przy sortowaniu. 676 nie pojedzie. Kazał mi ją ponieść... to wyglądało, jakby sam nie wiedział gdzie... No to ją położy na razie byle gdzie, powiedział mi, no to ją położyłem w trawie koło wjazdu, a potem mi kazali wracać na kwaterę. Słyszałem, jak samochody wyjeżdżają poza teren i brama się zatrzaskuje, i to wszystko, więcej nic nie wiedziałem. Proszę mi wierzyć, kiedy mówię, że nie wiedziałem, dokąd ich wywożą...

– I co potem? – spytała Helene.

– Potem?

– Co z nią zrobili?

Guillermo odłożył dokument do pedantycznie prowadzonej teczki.

– Nie wiem, co stało się potem – powiedział. – Nie było więcej świadków. Ci, których wywieziono tymi samochodami, nie żyją. Nie było przy tym żadnych innych więźniów, a wojskowi, jak pani wie, milczą. Przykro mi.

Drzwi do sali sądowej otworzyły się i wyszła z nich kobieta w prostym kostiumie. Guillermo przeprosił i wstał, żeby z nią porozmawiać. Najwyraźniej skończyło się składanie zeznań, miejsce dla świadka było puste. Helene skorzystała

z okazji, żeby pójść do toalety. Minęła strażnika, który uśmiechnął się do niej. Ściany i podłoga były podniszczone, a umeblowanie swoją skalą brunatnych odcieni przypominało dawną Europę Wschodnią. W toalecie nie można było się zamknąć. Brakowało też papieru toaletowego. Helene trzymała za klamkę, szukając jednocześnie w torebce chusteczek, ale wciąż miała przed oczami ten obraz: nieprzytomna naga kobieta pozostawiona na trawniku. A potem? Ing-Marie nie została wyrzucona z samolotu. To dobra wiadomość. Czy rzeczywiście była naga? Guillermo nic o tym nie wspomniał. Helene czytała gdzieś, że oni byli nadzy, ci, których ocean wyrzucił na brzeg, ale kiedy właściwie ich rozbierano? W samolocie, w samochodach, może wcześniej?

Myśli krążyły bezładnie.

Kiedy wróciła, obaj mężczyźni prowadzili ostrą wymianę zdań po hiszpańsku. Guillermo zwrócił się w jej stronę.

– Tak to wygląda, cały czas pracujemy, nikogo nie zostawiamy w spokoju – rzekł z uśmiechem. – Próbuję nakłonić Fabricia, żeby namówił swoją przyjaciółkę do złożenia zeznań.

– Co mam powiedzieć, próbowałem... – westchnął Fabbe i przestąpił z nogi na nogę. Wyraźnie go to męczyło.

– On żyje – powiedział Guillermo i zniżył głos. – To dlatego do ciebie wydzwania i suszę ci głowę, nie dla mojego widzimisię. Wiemy, że Squatina żyje i że jest tutaj, w Buenos Aires.

– Możemy wyjść stąd na chwilę? – spytał Fabbe. – Czuję, że powinienem się przewietrzyć.

Guillermo skinął głową, po czym wszedł na salę, pochylił się nad swoimi współpracownikami, powiedział im coś szeptem, następnie wziął marynarkę i ruszył pierwszymi schodami na górę, przez wielki hol, gdzie ludzie wydawali się jak mrówki, śpieszące w różne strony labiryntu systemu sądowego.

– Rozpoznał go dawny więzień – powiedział Guillermo po drodze – pewien optyk z Barrio Norte.

Wyszli na schody prowadzące do budynku sądu. Chociaż tuż obok przebiegała ruchliwa trasa przelotowa, powietrze było tu nad podziw świeże, jak wszędzie w tym wielomilionowym mieście. To dzięki wiatrom, które wciąż nadciągały od Atlantyku i Rio de la Plata i przewiewały swobodnie płaski kraj, gdzie Buenos Aires przechodzi w równiny Pampy.

Upłynęły nie więcej jak dwa tygodnie, odkąd optyk Oscar Varatsky został

zamordowany na ulicy w centrum Buenos Aires. Policja uznała to za mord rabunkowy, ale wdowa już następnego dnia skontaktowała się z organizacją Guillerma. Jej mąż zadzwonił do niej krytycznego dnia w porze obiadowej. „Widziałem go – powtarzał Varatsky raz po raz – wyobrażasz sobie? On przyszedł do mnie na badanie wzroku”. Żona od razu zrozumiała, o kogo mu chodzi, bo w jego nocnych koszmarach pewien człowiek pojawiał się częściej niż inni. Nieraz zdarzało jej się budzić w nocy od krzyku męża. Śniły mu się rekiny, rekiny, które miały porazić go prądem i zjeść go żywcem.

– *Angel Shark!* – powiedziała Helene. – To właśnie znaczy Squatina, prawda?

To dlatego rozpoznałam to imię, widziałam je wśród notatek Charlie.

Fabbe popatrzył na nią.

– Po szwedzku nazywa się go „anioł morski” – powiedział. – To brzmi trochę przyjemniej, ale to jednak nieprzyjemne zwierzę. Chowa się w szlamie na dnie i czyha na swoje ofiary.

Helene przypomniała sobie, że być może widziała je, gdy była z dziećmi w akwarium w Skansenie. Coś płaskiego, leżącego w piasku, z płetwami rozłożonymi jak skrzydła.

– Policja przesłuchiwała ponad pięćdziesięcioro świadków na ulicy, ale chociaż to się zdarzyło w godzinach szczytu, nikt niczego nie widział. A właściwie każdy widział coś innego, różnych ludzi, którzy z różnych powodów zdawali im się podejrzani. Ktoś mówił coś o bandzie Peruwiańczyków z nożami, ich się zawsze o wszystko oskarża, tylko że Varatsky został zastrzelony, a nie zadżgany nożem.

– Ale jeżeli zrobił sobie badanie wzroku – powiedział Fabbe i poprawił na nosie okulary – to musi być jakaś recepta, jakaś rezerwacja terminu... W ten sposób można by znaleźć jego nazwisko i adres.

– Jasne – powiedział Guillermo – gdyby nie to, że tego samego wieczoru dokonano włamania do pracowni optyka. Zauważono to dopiero następnego dnia, policja była pewnie zajęta ściganiem Peruwiańczyków. Skradziono komputer. To mogło być zwykłe włamanie, powiedzieli wdowie, ale jacy normalni złodzieje zostawiliby dwadzieścia par okularów marki Ray-Ban wiszących na ścianie?

Fabbe przysiadł na schodach i masował sobie okolice krzyża. Helene spoglądała na kolosalny budynek z betonu po drugiej stronie przelotówki. Gdzieś tam dalej, poza nim, była potężna rzeka ze swoimi rześkimi wiatrami. Po drodze tutaj po raz pierwszy mignęła jej Rio de la Plata, zawsze dotychczas zasłaniana przez wysokie budynki, niedostępne tereny przemysłowe i dzikie łąki samosiejki, porastające

szlam i hałdy odpadów budowlanych.

– Co pani wie o tym Squatinie? – zapytał Guillermo.

– Nic, przez przypadek natrafiłam na to przezwisko.

– Był w tamtym czasie w ESMA, ale są też świadectwa, które go wiążą z innymi więzieniami, jak Club Atlético w San Telmo. Podejrzewamy, że mógł należeć do służby bezpieczeństwa. Bywał obecny przy torturach i prowadził przesłuchania. Kilku świadków zeznało, że rozkazywał zintensyfikować tortury, był przy wysyłaniu transportów, być może także w samolotach. Nikt nie zna jego stopnia ani jego prawdziwego nazwiska, ale im więcej sytuacji, z którymi można go powiązać w określonym czasie, tym większe mamy szanse przy porównywaniu grafików służby, które udało nam się zdobyć, list odwiedzin...

– To znaczy, że on mógł tam być w tym samym czasie co Vera?

– Niewykluczone. Dlatego nam potrzebne to zeznanie. – Guillermo rzucił jej spojrzenie, dające do zrozumienia, że poświęca swój cenny czas nie tylko ze względu na nią. Coś za coś. Prawnik chciał, żeby pomogła mu przekonać Fabricia.

– Kazałem zresztą jednemu z naszych wolontariuszy przejrzeć starszy materiał, żeby sprawdzić, czy nie natrafi gdzieś na imię Vera. – Przytrzymał swoją teczkę kolanami i wyciągnął z niej kilka kartek. – To powinno panią zainteresować. To jest kopia, może to pani zatrzymać.

Helene wzięła dokument. Nosił datę z 1987 roku.

– Była jedną z matek z Plaza de Mayo – ciągnął Guillermo. – Jej syn zniknął, ale kilka tygodni wcześniej opowiadał o jakiejś Niemce, która miała na imię Vera.

Helene przeczytała nazwisko: Edith Alsmann.

– Niestety, ma demencję i od kilku lat przebywa w domu opieki w Once. Już nie pamięta, że straciła syna. Może nawet, że w ogóle go miała. Czasami trudno powiedzieć, co jest gorsze, pamięć czy zapomnienie.

Guillermo pocałował ją szybko w policzek, musiał już wracać do środka.

– Była naga? – spytała Helene. – To znaczy Ing-Marie, czyli Vera... kiedy ją położyli na tym trawniku?

Przystanął i spojrzał na nią.

– Rozumiem, o co pani chodzi... – powiedział. – Nie, nie była naga. Tylko Scilingo w swoich zeznaniach zaświadczył o czymś takim, ten, którego skazano na sześćset czterdzieści lat. Według niego rozbierano ich w samolotach, zanim wystartowały.

– Dziękuję – rzuciła Helene.

Wysokie drzwi z mosiądzu i szkła zatrzasnęły się za nim. Fabricio Varela podniósł się wolno ze stopnia i razem z Helene zszedł na dół. Zatrzymał się na trotuarze przed schodami.

– Mówisz, że twoja siostra zapisała sobie przydomek Squatina?

– Tak, znalazłam je u niej, kiedy sprzątałam po jej...

Fabbe przerwał jej.

– Ale ja nigdy jej nie wspominałem o Squatinie. Nie wiedziałem wtedy, że to ważne.

Helene wsunęła do torebki złożoną kopię świadectwa.

– Może Charlie gdzieś o tym przeczytała? – zasugerowała. – Były też inne podobne przydomki, Wąż, Tygrys... różne zwierzęta.

Fabricio Varela pokręcił głową.

– O Squatinie nic nie pisano. Nigdy nie był przedmiotem żadnego procesu, nie wymieniano go w żadnych mediach.

Fabbe wykonał gest omiatający schody do sądów. Kilka metrów od nich stał jakiś mężczyzna w czarnej bluzie z kapturem i kiwał głową w takt muzyki. Helene słyszała rytm jako irytujący dyszkant.

– Czasami tu przychodzą starzy wojskowi i przeszkadzają jak mogą, skandują hasła, protestują przeciw wyrokom skazującym ich kolegów na więzienie. Tego dnia, kiedy zabrałem tutaj twoją siostrę, było tu paru takich z transparentami i plakatami. Koniecznie chciała podejść i wszcząć z nimi dyskusję, powiedziała, że chce im zajrzeć w oczy, żeby zobaczyć, jak wygląda zło.

Autobus zatrzymał się na przystanku. Fabbe wygrzebał z kieszeni parę pesos i zapłacił także za Helene.

– To chyba najbardziej mnie przerażało, kiedy zacząłem mieć z tym styczność. Spodziewałem się, że zobaczę jakieś wcielenie zła, a tu na salę sądową wchodzi zgarbiony starzec i widzę, że to mógłby być mój ojciec. Czy nawet ja sam.

Olbrzymi budynek sądu za nimi zaczął się kurczyć. W jego głosie zabrzmiał ton podziwu:

– Harda była ta twoja siostrzyczka, trzeba jej to przyznać.

Szły obok siebie, trzymając transparent, powoli, dokoła Plaza de Mayo.

Helene stała przy jakimś parkanie i oglądała ich powolną procesję. Białe chustki związane na siwych włosach.

Chodziły tak w każde czwartkowe popołudnie, od trzydziestu siedmiu lat.

Edith Alsmann była jedną z nich. Niemiecka Żydówka, która uciekła z Berlina w 1939 roku, tuż przed najazdem Hitlera na Polskę. Jej los przejął Helene głuchym, dojmującym smutkiem. Uniknęła obozów zagłady w Europie, by potem stracić tutaj syna. Nie wiedziała nawet, co się z nim stało. To dlatego dołączyła do kobiet nazywanych szalonymi matkami z Plaza de Mayo.

Fabbe przetłumaczył jej protokół zeznania, zanim się rozstali.

Syn tej kobiety, Hugo Alsmann, zniknął w lutym 1978. Dwa dni wcześniej wspomniał o kobiecie o imieniu Vera. Wrócił wtedy do domu i zaczął demolować swój pokój, był tak zrozpaczony, że matka poczuła się zmuszona zażądać od niego, żeby choć raz jej coś powiedział.

To była Niemka, tyle się od niego dowiedziałam. Muszą państwo zrozumieć, że to mnie wzburzyło. Że szlajał się gdzieś z jakąś Niemką...

Potem chciał, żeby mu pomogła chodzić po ludziach i pytać o tę całą Verę, chodzić po komisariatach w tych okolicach w San Cristóbal, gdzie mieszkała, dał nawet Edith adres do jakiegoś pensión przy Avenida San Juan. To stamtąd została porwana któregoś dnia, kiedy Hugo poszedł tam w nadziei, że może jeszcze raz ją spotka.

Mówił, że podjechał ford falcon, a ta Vera stała przy bramie. Wyglądało na to, że sprawdza pocztę, kiedy pojawił się samochód. Hugo powiedział, że nigdy nie zapomni wyrazu jej twarzy... A on nie mógł nic zrobić, mój syn płakał... Trzej mężczyźni wysiedli z tego auta. Było bez tablic rejestracyjnych. A oni byli po cywilnemu. Hugo powiedział, że się cofnął, skrył się w jakiejś kawiarni i płakał, że tak stchórzył... On nie miał zajęczego serca, ale co mógł zrobić? Widział przez okno, jak wciągają ją do samochodu i przyginają jej głowę do dołu, a potem więcej już jej nie zobaczył. Przestraszył się. Tym mężczyznom nie można było się przeciwstawiać... Mój syn nie był złym człowiekiem.

Później, gdy Hugo także zniknął, Edith wybrała się któregoś dnia na Avenida San Juan. Myślała, że Vera może już wróciła, ale kobieta w pensjonacie, która jej otworzyła, nie знаła nikogo o takim imieniu.

Ja mu zabroniłam mówić o tej Verze, ale zdaje się, że mimo to biegał po ludziach i o nią rozpytywał. On wcale nie był żadnym subversivo, jak ich nazywali, to był zwyczajny chłopiec.

Przy tym zdaniu Fabbe podniósł głowę.

– Jakby zwyczajni chłopcy kiedykolwiek opowiadali rodzicom, czym tak naprawdę się zajmują.

Edith Alsmann chodziła po wszystkich komisariatach, pukała do władz, ale nikt nie wiedział, gdzie jest Hugo, nie słyszeli nawet takiego nazwiska. *Może wyjechał za granicę, powiedzieli... może poznał gdzieś jakąś dziewczynę...*

A potem przyłączyła się do innych matek na Plaza de Mayo. To się zaczęło od spotkania protestacyjnego w kwietniu 1977, ale ponieważ panował zakaz organizowania zgromadzeń, policja nakazała im się ruszać, więc zaczęły krążyć po placu, bo spacerowanie nie było przecież zakazane. Chodziły parami, trzymając się pod rękę, ponieważ więcej osób to już było zgromadzenie. Dokoła placu, raz za razem, w każdy czwartek o trzeciej. Kilka lat temu zamierzały przestać, bo rząd był teraz po ich stronie i nie istniały już powody do protestów, one jednak podjęły marsze znowu. W ciągu tych lat doszło wśród nich do rozłamów, dlatego teraz są dwie grupy starych kobiet. Jedne chodzą dalej w milczeniu, z imionami swoich dzieci na chustach, a drugie pozwalają sobie śpiewać. Helene nie do końca rozumiała, o co chodziło w tym rozłamie, chociaż Fabbe próbował jej to wytłumaczyć: że jedne matki szukały prawdy tylko o losie własnych dzieci, inne natomiast – o losach wszystkich „zaginionych”, bo wszystkie dzieci są czyimiś dziećmi, czy jakoś tak. Istniały też organizacje babć szukających swoich wnuków, setek dzieci, które ukradziono uwięzionym i rozdano rodzinom wiernym wojskowemu reżimowi.

Marsz dobiegał końca i zamieniał się w luźne zgromadzenie. Na płycie placu też były namalowane białe chusty. Helene pomyślała, że w tym wszystkim chodzi o to, ile okrążeń matka jest gotowa zrobić, by odnaleźć swoje dzieci. Edith Alsmann już pogrzyła się we mgle, nie otrzymawszy nigdy odpowiedzi. W jej opowieści nie było nic, co wskazywałoby, że Vera sama była matką. Pewnie nic nie wspomniała o tym Hugonowi.

Ktoś mówił coś przez mikrofon, potem część znów śpiewała. Był też namiot, w którym organizacja sprzedawała pamiątki. Nagle Helene zauważyła jakiegoś mężczyznę. Stał na obrzeżu tłumu wokół matek i patrzył intensywnie w jej stronę. Ich spojrzenia spotkały się na sekundę. Było w nim jakby coś znajomego, tylko nie potrafiła dokładnie określić co, wyglądał raczej przeciętnie, dosyć wysoki, ciemnowłosy, o jasnej cerze. Odniosła wrażenie, jakby się uśmiechnął. Był co najmniej o dziesięć lat młodszy, ubrany w bluzę z kapturem i dżinsy. Helene poczuła skrępowanie i odwróciła twarz, zdawało mu się, że pochlebia jej jego zainteresowanie.

Odeszła stamtąd. Litanijny śpiew matek ucichł za nią stopniowo.

Kobieta siedziała na tej samej ławce, jakby nigdy się stamtąd nie ruszyła. Połowa ławki była w słońcu, a połowa w cieniu drzew.

Helene poprosiła swojego tłumacza, żeby zaczekał chwilę, chciała najpierw podejść sama. Na imię miał Javier i był bratem hotelowej recepcjonistki – magister anglistyki, sprzedający swoje usługi za pół ceny, jeśli płacono się gotówką w dolarach.

Ana nie wyglądała na zdziwioną.

– *Buenas tardes* – odezwała się. – Tak myślałam, że pewnie jeszcze tu wrócisz.

Tak w każdym razie Helene zrozumiała to, co Ana powiedziała. Nie było w jej postawie żadnej niechęci czy wrogości, raczej pewien spokój, który wydawał się prawie pogodny.

Helene zapytała swoją kulawą hiszpańszczyzną, czy jej tłumacz też mógłby się do nich przysiąść. Ana przyjrzała się Javierowi, gdy się zbliżał.

– Więc Fabricio dziś z tobą nie przyszedł – powiedziała, kiedy tłumacz już się przedstawił i przywitał, nie całując w policzek. Helene poradziła mu, żeby jej nie dotykał.

– Nie, miał coś do załatwienia.

Ana zdobyła się na słaby uśmiech.

– Nie wie, że tutaj jesteś, prawda? Inaczej przyszedłby z tobą. Chce mnie chronić.

Helene usiadła obok niej, z Javierem po swojej drugiej stronie.

– To dlatego nie tłumaczy wszystkiego, co pani mówi?

– Więc co chcesz wiedzieć? – Ana spojrzała krótko na Helene. – Musiałaś wtedy być jeszcze bardzo mała.

– Miałam trzy lata. Moja siostra pięć.

– A teraz zastanawiasz się, dlaczego was zostawiła, żeby pojechać w najgorsze z możliwych miejsc na ziemi?

Helene skinęła głową.

– To był szczególny czas na przyjaźń – powiedziała Ana i zakręciła w palcach skórzaną bransoletkę. – Nie mogę powiedzieć, że byłyśmy przyjaciółkami, bo to było zakazane. Nie byłyśmy do siebie zbyt podobne, ja wywodziłam się

z katolickiego peronizmu, a ona była niemiecką marksistką i *foquista*... To znaczy wtedy, gdy jeszcze sądziłam, że jest Niemką.

Helene rozumiała tylko połowę z tych określeń, a jeszcze mniej z ich treści.

– To pewnie niewiele ci mówi – stwierdziła Ana – ale nie przejmuj się. Za dużo czasu by zajęło wytłumaczenie Europejce, że pojęcia miały tu zawsze inny sens, nasz marksizm różni się od waszego, widzicie nasze reprezentacyjne ulice i wydaje wam się, że chcemy być Europejczykami, ale we wszystkich naszych rewoltach praktycznie chodziło o to, żeby się was pozbyć.

Znowu się uśmiechnęła i Helene znów zdało się, że widzi przez mgnienie oka młodą kobietę, wspomnienie tej, którą kiedyś była.

– Vera była pewnie taka sama jak wszyscy europejscy lewicowcy, gdy tu przyjeżdżają, zobaczyła nędzę i chciała odkupić kolonialną winę. No i był też ten chłopak, oczywiście.

– Ma pani na myśli Ramona? Spotkała go pani?

– Nawet nie wiedziałam, że miał na imię Ramón.

Ana znów dotknęła swojej bransoletki i umilkła.

– Miałam dwadzieścia pięć lat – powiedziała w końcu. – Wychowałam się w katolickim domu, byłam katoliczką, i to w ten sposób z początku trafiłam do Montoneros, bo byliśmy pewni, że niesprawiedliwości to nie dzieła Boże, tylko ludzkie.

Ptaki wypełniały ciszę świergotem i krzykiem, jakby też chciały powiedzieć coś o Bogu. Kobieta wydawała się o wiele spokojniejsza niż poprzednim razem.

– Jak miała naprawdę na imię? – spytała Ana.

– Ing-Marie.

– Sądzisz, że to wola Boża, że ja tu siedzę, a jej nie ma?

– Nie, nie sądzę – odpowiedziała Helene.

– I masz rację – przytaknęła Ana. – Bóg nie miał z tym nic wspólnego. To ja byłam Śmiercią.

Zastępczy tłumacz po raz pierwszy się zawahał, tak jakby nie był pewien, jaka gramatyka obowiązuje w stosunku do Śmierci.

– Co to znaczy? – spytała Helene.

– Nie mówię teraz o tym starym filmie – powiedziała Ana. – Mówię o koszmarach i rzeczywistości, i jak zlewają się ze sobą w jeden i ten sam ból, tak

że się nie wie, co się mówi, krzyczy się to, co chcą usłyszeć, zdradza się adres i nazwisko.

Tutaj powinna zapaść cisza. Helene zapragnęła, żeby ptaki nie darły się tak wniebogłose i żeby pracownicy parku mogli wyłączyć te swoje maszyny, i żeby psy przestały szczekać. Było coś szczególnego w jej słowach, albo w ich tonie.

Domyśliła się, że to właśnie tego Fabbe nie przetłumaczył.

– Fabricio myśli, że to chodzi o tortury – ciągnęła Ana – ale fizyczny ból dość szybko się zapomina. Ciało nie ma takiej pamięci. To znika. Gdybym zeznawała w sądzie, mogłabym może jakoś odtworzyć to sobie w głowie, ale ja tego nie pamiętam.

Adres i nazwisko. To było to, co ciągle wisiało w powietrzu. Powoli docierało do Helene, co kobieta próbowała jej wyznać.

– To pani ją wydała?

– I jeszcze troje innych ludzi. Ich też już nie ma.

Helene nie wiedziała, co ma powiedzieć ani co ma czuć. Patrzyła prosto przed siebie, nie widząc nic, tylko coś zielonego i szarego.

– Może się zastanawiasz, dlaczego dziś jestem spokojna – ciągnęła Ana. – To lekarstwo. Biorę je od paru dni. Usuwa lęk, ale i takie rzeczy jak wrażliwość na jesień i na to miejsce, w którym się znajduję. Siedzę teraz w parku Lezamy, wiem o tym, ale nie jestem w stanie poczuć nieskończoności nieba albo że te drzewa były tutaj przede mną i zostaną po mnie. Myślę jednak, że mimo wszystko można poczuć radość. Dlatego czasem przestaję brać leki.

Młoda matka z wózkiem usiadła na ławeczce naprzeciwko. Kołysała stopą wózek z dzieckiem, wyjmując w tym czasie termos, kubek na swoją *mate* i książkę, jakby miała zamiar posiedzieć tu dłużej. Helene poczuła, że ciężko jej patrzeć w tamtą stronę.

Ana ciągnęła bezgłośnie.

– Obwozili mnie samochodem. Miałam wskazywać im adresy. Znałam pensjonat, gdzie mieszkała Vera. Nie wiedziałabym, ale kiedyś przypadkiem o tym wspomniała, to się czasem zdarza. Zobaczyli to po mnie, jak przejeżdżaliśmy tamtędy. Ja tylko patrzyłam. Nic więcej. Nie podniosłam ręki, nie pokazałam. I tak to ze mnie wydobyli.

– Był chłopak o imieniu Hugo.

– O nim nic nie wiem.

Helene spojrzała z ukosa na tłumacza, ale on nie okazywał żadnych wzruszeń. Słowa przepływały przez niego i przybierały nowe kształty. Był bardzo skoncentrowany.

– Może Vera wiedziała, kto ją wydał – ciągnęła Ana. – Mówili ludziom takie rzeczy. Może dlatego nie chciała ze mną rozmawiać.

– Czy to jest powód, dla którego pani nie chce zeznawać?

Ana powoli pokręciła głową.

– To bez znaczenia. Oni wiedzą, że prawie wszyscy tam w środku się łamią, w takim miejscu nie ma żadnych bogów ani bohaterów.

– Więc dlaczego nie chce pani zeznawać? Dlaczego nie pomoże pani ich posadzić?

Helene zaczynała wpadać w złość, aż ją zatykało, ale nie potrafiła zbesztać tej kobiety. Nie miała prawa być zła? Chciała wstać, zrobić rundę wokół ławki, dać upust frustracji, ale zmusiła się do pozostania w miejscu. Skrzypiał wózek kołysany przez matkę z naprzeciwka.

– Wiesz, że on tu przychodzi prawie co dzień? – spytała Ana.

– Fabricio?

– Byliśmy wtedy tacy młodzi, chyba nawet nie miałam jeszcze dwudziestu lat. To było przed dyktaturą. Perón wrócił do władzy, spacerowaliśmy i snuliśmy marzenia. Raz spaliśmy ze sobą. – Odgarnęła z czoła trochę włosów, skręciła w palcach jeden kosmyk. – Czasami widzę w jego oczach, że on widzi tamtą dziewczynę, którą kiedyś byłam. Jej już nie ma. Umarła, a on wciąż ją widzi. Czy to nie dziwne?

– Nie muszę mówić mu, że tu byłam – rzuciła Helene.

Krótkie milczenie. Ana wsunęła dłonie pod kurtkę i objęła swoje ciało. Wyglądało na to, że ma na sobie to samo ubranie, co ostatnim razem.

– On wie, że byłam tam gwałcona. Bo oczywiście byłam, tak jak wszystkie, ale nie chodzi tylko o to.

Jej mowa teraz spowolniała, jakby miała usta pełne czegoś, czego nienawidzi.

– Był tam jeden oficer, nie powiem nazwiska. On sobie mnie wybrał. Kazał mnie sprowadzać. Na początku to była tylko część stałej procedury, kładziesz się, a on robi swoje. Potem to samo się powtarza, dzień po dniu. Wtedy już musisz zacząć okazywać dobrą wolę. Wiesz, że nie znaczysz nic, że jesteś tylko ciałem, nawet mniej, jesteś prawie zwierzęciem, marksistowską kurwą, ale nawet

mężczyzna, który ma wolny dostęp do wszystkich tych kobiecych ciał leżących tam w łańcuchach, nawet on może potrzebować poczuć, że jest czymś więcej niż tylko dziką bestią. Może właśnie on. Może właśnie to jest jakaś szansa na ocalenie. Więc zaczynasz dawać mu z siebie więcej, żeby cię nie wymienił na jakąś inną. Zaczynasz odgadywać jego życzenia, robisz wszystko to, co widziałaś w zakazanych pisemkach twego brata...

Przycisnęła rękę do ust, lecz mimo to mówiła dalej, tak cicho, że aby ją słyszeć, tłumacz nachylił się ku niej ostrożnie za plecami Helene.

– Fabricia mogą okłamywać. On słyszy to, co chce słyszeć. Ale tamci prawnicy, oni wiedzą. Podnieśli i opukali każdy kamień w piekle. Oni by ze mnie wszystko wyciągnęli.

Ostatni promień słońca zniknął i ławka stała teraz całkiem w cieniu. Ręce Helene były zimne jak lód.

– Oni by zrozumieli – powiedziała.

– Tak – przytaknęła Ana. – A Fabricio już nigdy więcej by nie spojrzał na mnie tym spojrzeniem.

Wyciągnęła dłoń i dotknęła dłoni Helene, która zdrygnęła się, dotknięcie było tak nieoczekiwane.

– Tak sądziłam, że może znowu się pojawisz – powiedziała Ana. – Dlatego wzięłam to ze sobą.

Odwróciła jej dłoń. Położyła na niej skórzaną bransoletkę, którą przez cały czas trzymała, i zacisnęła jej rękę. Dłonie Any były cieplejsze, ale szczupłe, jakby składały się z samej skóry i kości.

– Ona dostała ode mnie podobną, indiańską, z Tucumán.

Helene wyprostowała z wolna dłoń i przyjrzała się bransoletce. Była zrobiona z ciemnej skóry, prawie całkiem czarna i sztywna. Po jednej stronie miała wzór warkocza wyszyty srebrną nitką. Poznała go. To było lapońskie rękodzieło. Ana cofnęła swoją dłoń.

– Nie miałam jej na sobie tego dnia, gdy mnie zabrali.

O zmierzchu zaczynał się ruch w strefach cienia, na obrzeżach ulic i trotuarów. Zwinne postacie wdrapywały się do śmietnikowych kontenerów i wyrzucały ich zawartość, *conteneros* napływający tutaj z przedmieść, żeby sortować śródmiejskie odpadki, kartony, plastik i metal, by potem sprzedać je fabrykom po parę pesos za

kilogram.

Helene przyśpieszyła kroku, miała wrażenie, że jest obserwowana ze wszystkich stron.

Umówiła się na spotkanie z Fabriciem w pobliżu portu. Portowa dzielnica została odnowiona i rozbudowana, obecnie była zaludniona przez nowobogackich, ku wieczornemu niebu wznosiły się drapacze chmur.

– Czasami myślę, że tym wojskowym należałoby złagodzić kary – powiedział Fabbe, kiedy już siedzieli i czekali na jedzenie. – Może wtedy niektórzy z nich zaczęliby mówić. W końcu prawda wyszłaby na jaw, zanim wszyscy powymierają.

Uparł się, żeby ją zaprosić na prawdziwe argentyńskie *asado*, posiłek z grillowanego mięsa i kiełbasek. Podejrzewała, że chciał jej też pokazać Buenos Aires zwrócone, dla odmiany, ku przyszłości, z przeszkloną architekturą i modnymi restauracjami, które mogłyby się znajdować gdziekolwiek na świecie.

– Ale czy kraj może pójść dalej, jeśli nie wymierzimy kar – ciągnął Fabbe – i czy możemy przehandlować sprawiedliwość za prawdę, czy taki wybór w ogóle jest możliwy?

Helene kroїła mięso na drobne kawałki, żeby spróbować wepchnąć w siebie chociaż połowę z tego, co jej podano. On był na diecie i jadł tylko sałatkę.

Za otwartym oknem restauracji jakaś kobieta przystanęła, by zaśpiewać, nad nabrzeżem popłynęły tony tanga.

– Tacy właśnie jesteśmy – powiedział, kiwając głową w stronę śpiewającej. – Pojedź do Rio, a usłyszysz salsę, a tutaj to odwieczne tango. Lubimy zagrzebywać się w depresji i melancholii.

Uśmiechnął się trochę i otarł kąciki ust serwetką.

– Wiesz, co robiłem po rozwodzie, gdy moja żona znowu wyszła za mąż? Zaczęłem sprawdzać w internecie zakłady pogrzebowe. Pomyślałem, że muszę wiedzieć, ile to będzie kosztowało, jedyna przyszłość, jaką widziałem, to była śmierć. Myślałem cały czas o pewnym Argentyńczyku, którego znaleziono jako mumię w jednym mieszkaniu w Sollentunie, leżał tam wtedy od dwóch lat. A jednocześnie moi szwedzcy kumple, którzy się też porozwodzili, zaczęli spotykać swoje dawne sympatie z liceum. To się działo wszędzie dokoła mnie. Spotykali się w mieście i zakochiwali się w sobie na nowo, w swoich starych twarzach odnajdywali tamtych młodych ludzi i pamiętali tamtą dawną miłość.

Wyjrzał przez okno, migotanie lamp w wodach kanału.

– Ale we mnie widzieli tylko starego człowieka.

Helene pomacała ostrożnie bransoletkę na swoim przegubie, skórzaną, ze srebrną nitką. Wahała się, czy ją założyć, bała się, by jej nie zgubić, ale nie odważyła się też zostawić jej w hotelowym pokoju.

Fabbe spojrział na resztki jej befsztyka.

– Może ja w takim razie...? Szkoda przecież zostawiać.

Przysunął do siebie jej talerz.

– Tęsknię za dziećmi i wnukami, oczywiście, ale co ze mnie był za dziadek, który tylko wyglądał śmierci? Chociaż nie tylko o to szło – ciągnął dalej między kęsami – patrzę na mego syna, urodzonego w Jakobsbergu, z wykształcenia pracownik socjalny. Napisał coś na Facebooku, w tej grupie „My, którzy wyrosliśmy w Jakan”.

– Widziałam ją.

– Wdał się w dyskusję wtedy, parę lat temu, kiedy na przedmieściach płonęły podpalane samochody, próbował to tłumaczyć ze społecznej perspektywy, ale stawiali mu tylko jedno pytanie: „Jesteś Szwedem w głębi duszy czy tylko na papierze?”. Co można na coś takiego odpowiedzieć? Co to znaczy być Szwedem w głębi duszy? „Myślę, że już odpowiedziałeś na pytanie”, napisali mu, „bo gdybyś był Szwedem, tobyś wiedział”. – Fabbe potrząsnął głową. – Myśmy z czymś takim się nie spotykali, kiedy tam przyjechaliśmy, *nada, nunca, nigdy, nie!*

– Myślałam, że pan wyrejestrował się z Facebooka, żeby nie być pod nadzorem CIA – powiedziała Helene.

– I Coca-Coli, i Viagry, i Match.com i wszystkich innych, którzy chcą mieszać się w moje życie. CIA także. Oni wiedzieli, co tutaj się działo w latach siedemdziesiątych, otrzymywali nawet bezpośrednie raporty z przesłuchań w obozach, gdy uznawali je za szczególnie interesujące.

Kobieta na zewnątrz zakończyła swoją pieśń i przeszła po nabrzeżu z kubkiem na datki. Helene drgnęła, kiedy zobaczyła mężczyznę w czarnej bluzie z kapturem, jak wrzuca jej monetę, lecz zaraz o tym zapomniała.

– Możesz mi mówić, że jestem staroświecki – powiedział Fabbe, wstając – ale ja nie chcę po prostu, żeby ktoś nadzorował moje poglądy czy co jem na śniadanie.

Helene wygrzebała z portmonetki dwadzieścia pesos i dała je śpiewaczce tanga, kiedy wyszli.

– *Dollar, please?* – usłyszała za plecami, gdy odchodzili stamtąd spacerowym krokiem.

Pozegnali się w San Telmo, przed jego sypiącym się domem.

Nie bała się już tego miasta i mroku. Bary i kafejki były pełne ludzi, demokratyczny klimat i otwartość, na ulicach wielu przechodniów. Postanowiła nadłożyć drogi i przejść przez stary rynek, ponieważ był to jej ostatni wieczór. Na Plaza Dorrego mała orkiestra grała tango. Przy kilku stolikach stały grzejniki na podczerwień, ludzie siedzieli owinięci w koce i słuchali, jakaś para tańczyła na rozłożonym między stolikami dywanie, młodzi mężczyźni zebrali się w grupkach pod drzewami, popijali piwo.

Helene usiadła, też zamówiła sobie piwo, nie przejmując się, że jest sama. Myślała o tym, co ma jutro kupić dzieciakom w prezencie, i że powinna znaleźć jakiś butik z winem i kupić parę butelek starego malbeca z Mendoza dla Jockego.

Usiłowała zatrzymać się myślą przy nim, rozważyć, co właściwie do niego czuje i czego naprawdę chce, lecz ta część jej osoby została jakby wyłączona. To należało do innego życia. Orkiestra zaczęła nowy kawałek. Zastanawiała się, czy Charlie też tu siedziała, czy wtedy też tutaj grali. Czy ten młody bandeonista z tatuażami na ramionach i papierosem w kąciku ust nie był przypadkiem w jej typie? Wtedy było tu cieplej, mieli lato i na rynku musiało być mnóstwo ludzi. Myślała też o Ing-Marie, dotykała bransoletki na przegubie, wrażenie kręgow, które zachodzą na siebie i domykają się.

– Mogę się dosiąść?

Mężczyzna zwrócił się do niej po angielsku. Helene podniosła wzrok, ale ponieważ oślepił ją reflektor skierowany na tancerzy, widziała tylko jego sylwetkę. Dlatego upłynęło kilka sekund, zanim dotarło do niej, że jest ubrany w czarną bluzę z kapturem.

– Ja już idę – powiedziała i wstała. Teraz zobaczyła go dokładnie. Przebiegł ją dreszcz. Widziała go już przedtem. To ten sam facet, który wczoraj stał na Plaza de Mayo. Przyglądał się jej, była całkiem pewna, że to on. Może to nawet ten sam człowiek, którego niedawno widziała w dzielnicy portowej, czy to możliwe? To miejsca publiczne, pełne ludzi, turystów, sprzedawców, to mógł być przypadek.

Mężczyzna uśmiechał się, lecz w jego uśmiechu nie było nic z flirtu.

– Tutaj za rogiem jest miły bar, może ma pani ochotę – powiedział po angielsku. Skąd mógł mieć pewność, że ona jest turystką?

– Nie, dziękuję, na mnie już czas.

Pogmerała w torebce, wyjęła jakiś argentyński banknot, nieważne, setkę czy pięćdziesiątkę, i tak nikt nie wiedział, ile będą warte jutro. Wetknęła go pod swoją

szklanę i odeszła, nie oglądając się za siebie.

Okolica straciła trochę ze swego powabu. Helene przyśpieszyła kroku i przywołała gestem taksówkę, ale wóz miał zgaszoną tabliczkę i przejechał obok niej. W mroku nie była do końca pewna drogi, dlatego dyskretnie wyjęła komórkę, chociaż zdawała sobie sprawę, że to niebezpieczne. Surowe zasady importu sprawiły, że iPhone'y były tu cholernie drogie i narażone na kradzieże, w tej sekundzie jednak czuła, że gorzej byłoby zabłądzić w tych zaułkach. Włączyła funkcję GPS. Do jej ulicy zostały tylko dwie przecznice, a potem w prawo. Spotkała jakąś wczepioną w siebie parę i poczuła zapach marihuany, kiedy mijała kilku backpackersów siedzących w niszy wystawy jakiegoś butiku.

To była tylko niewinna próba podrywu, pomyślała. Rozpoznał mnie i chciał być miły. Jestem przewrażliwiona.

Helene skręciła w ulicę, przy której mieszkała. Ostatni odcinek był najciemniejszy. Po drodze stało kilka kontenerów na śmieci, ale nic się w nich teraz nie ruszało, *cartoneros* już skończyli pracę.

Z ulicy zajrzała przez oszklone drzwi do recepcji, lecz nikt w niej nie siedział. Nacisnęła guzik domofonu. Było dopiero trochę po dwunastej, portier nie powinien jeszcze spać, w tym kraju uważano to za wczesny wieczór.

Jakiś samochód zjechał na chodnik po drugiej stronie wąskiej ulicy i zatrzymał się, wyłączył światła.

Helene zadzwoniła jeszcze raz i usłyszała, jak drzwi auta za jej plecami otwierają się i zatrząskują. Po tamtej stronie ulicy było prawie ciemno, ale gdy rzuciła tam okiem, zobaczyła, że z wozu wysiadł mężczyzna. W naciągniętym na głowę kapturze. Ktoś siedział na miejscu kierowcy, widać było tylko czarną postać i jaśniejszą plamę twarzy.

Powtórnie przycisnęła guzik. Za szklanymi drzwiami, na samym końcu holu, dostrzegła jakiś ruch, portier wychodził z toalety. Podniosła rękę, żeby zabębnić w szklane drzwi, zwrócić na siebie jego uwagę, ale było już za późno. Czyjaś dłoń chwyciła ją za rękę, odciągnęła od drzwi, a inna dłoń zatkała jej usta, gdy krzyknęła; dał się słyszeć tylko zduszony bulgot. Spozrzegła ostre światło, kiedy włączyły się reflektory samochodu, i usłyszała odgłos silnika, gdy samochód podjechał obok niej, potem otwarcie drzwi. Mężczyzna przygiął jej głowę, wpychając ją na tylne siedzenie, i sam wskoczył za nią. Słyszała jeszcze szczęk zamka w wejściu do hotelu, ale sekundę potem drzwi auta się zatrzasnęły, a jej twarz została przyciśnięta do siedzenia obitego skórą i samochód ruszył.

Mógł przecież wyjechać z Buenos Aires.

Nie jeden raz w ciągu tych lat, które minęły, myślał, by osiąść w Paragwaju albo w Santiago de Chile lub czemu nie w Valparaíso, które było klejnotem Oceanu Spokojnego, i gdzie mógłby wyczekiwać starości, wyglądając przez okno jakiejś restauracji rybnej.

Nie musiał nawet opuszczać Argentyny. To wielki kraj, pełen odległych miejsc, gdzie nikt nigdy nie pytałby o to, kim jest, jak choćby Bariloche, mała dziura u stóp Andów, gdzie po wojnie znaleźli azyl generałowie i kapitanowie SS i Luftwaffe. Chodziły nawet słuchy, że sam Hitler i Eva Braun dostali się do Bariloche i żyli potem cichym życiem emerytów aż do śmierci, tam, u podnóża zaśnieżonych Andów.

Problem polegał na tym, że on nie życzył sobie wcale cichego życia. Ciche życie to było jak położyć się na plecach i oczekiwać, aż powoli zeżre go rak.

Tylko tchórze uciekali, i wątpiacy.

To jego kraj, to jego miasto, i uważał, że to niehonorowo uciekać stąd jak szczur.

Szczur to zresztą nieodpowiednie porównanie. Szczury nie uciekają, szczury najeżdżają, mnożą się i rozsiewają swoje zarazy, dostają się wszędzie swoimi podziemnymi kanałami. Sporo wiedział o szczurach, kiedyś ocalił przed nimi Argentynę.

A teraz chcieli postawić go w stan oskarżenia. Zawlec go skutego przed jakiegoś sędziego bufona, tak jakby był jakimś przestępcą.

Wiedział, że gdyby do tego doszło, zareagowałby wściekłością. Wręcz tęsknił za tym gniewem, którego wybuch zmiotłby tę nędzną wegetację, na którą go skazali.

Emeryckie spacerunki po dzielnicy wśród szkolnej dziatwy i panien służących, dziadek przesiadujący w barze z lodami z gazetą, któremu widocznie nic więcej do szczęścia nie trzeba. Wieczne oczekiwanie na nic, ta rozwlekła rozmowa ze śmiercią, podczas gdy dni powoli odliczane są do zera.

Noc chłodziła mu skórę, kiedy tak stał przy oknie swego gabinetu, przygotowując się do tego, co miał zrobić. Zimowa noc w Buenos Aires, temperatura spadła może do dziesięciu stopni, księżyc był prawie w pełni.

To się zaczęło z początkiem jesieni, w tamto popołudnie pod koniec marca, gdy z zapomnienia, po tych wszystkich latach, wyłoniły się nazwiska.

Jakby zachłysnął się rzeńskim powietrzem, odliczanie dni stanęło.

Umówił się na spotkanie ze swoim dawnym dowódcą, w parku rozfalowanym jak spódnica w tańcu na wzgórzach Belgrano w tym płaskim oprócz tego mieście. Nie byli przyjaciółmi, bo w piechocie morskiej nie istniało nic takiego, byli tylko mężczyźni wyżsi albo niżsi rangą. *El Coronel* należał do tych, którzy nie dali się złapać i upokorzyć. On także nie opuścił kraju z podkulonym ogonem, lecz mieszkał dalej w tym samym mieszkaniu w Belgrano. Wciąż jeszcze miał kontakty z wewnętrznymi kręgami, z tymi, co w dalszym ciągu piastowali państwowe stanowiska, z osobami, które mogły donosić o trwających procesach i bieżących prześladowaniach.

– Słyszałem, że pytają o ciebie – powiedział *El Coronel*. – Ktoś zaczął rozpytywać o człowieka, którego nazwiska nikt znać nie powinien.

Głos pułkownika stał się pod wpływem lat i zdarzeń bardziej zdarty i słabszy niż kiedyś, ale spojrzenie miało ciągle tę samą twardą ostrość co wtedy, kiedy spotkali się w Wyższej Szkole Technicznej Marynarki czterdzieści lat temu.

Tamtego popołudnia zasiedli jak zwykle po obu stronach kamiennego stołu z wpuszczoną w blat szachownicą, w wiecznym cieniu pod największym w tym parku drzewem *ombú*.

Kiedyś brali ze sobą figury do gry, żeby rozegrać partię, wymieniając w tym czasie informacje, ale w ostatnich latach zaczęto pisać w przewodnikach turystycznych, że „pod wielkim drzewem *ombú* w Las Barrancas de Belgrano można zobaczyć starszych panów pochylonych nad szachownicami”. Dokoła nich zaczęli tłoczyć się turyści zaglądający im przez ramię i próbujący odgadnąć kolejny ruch, zdarzało się nawet, że jakiś brodaty backpacker udzielał im drobnych rad, by na przykład przenieść skoczka albo uważać na laufra.

A więc przestali grać. Teraz siedzieli tylko przy kamiennym stole, gdzie białe i czarne pola zaczynały się już kruszyć i zacierać od erozji, i wszystko, co mogli zobaczyć turyści, to ponure postacie dwóch mężczyzn, którym już nigdzie się nie śpieszy.

Znów mogli spokojnie rozmawiać.

– Co o mnie wiedzą?

– Niezbyt wiele, z tego, co mi wiadomo, ale jest ktoś, kto gada i rozpytuje się po sądach. Znaczy, że układają swoje puzzle. Ci ludzie w ten sposób pracują. Jak już zaczęli zadawać pytania, to i pojawią się jacyś świadkowie, jakieś dowody, których być nie powinno.

El Coronel położył na stole notes. Tamte nazwiska. Tyle czasu już upłynęło.

Mówi się, że od szoku krew zastyga w żyłach, ale zdarzyło się coś przeciwnego, pękł jakiś zator, uwolnił się rwący strumień.

– Jak przymkną już najwyższe szarże i siły specjalne, *patotas*, od brudnej roboty, to wezmą się za średni szczebel. Takich jak ty i ja.

Pułkownik pochylił się do przodu nad zniszczonym stołem szachowym. Na pozycji laufra ktoś nabazgrał dwa imiona i serce.

– Gdybyś chciał spytać mnie o radę, to powiedziałbym, że przyszła pora, żeby zniknąć, ulotnić się.

Przyglądał się bujnej parkowej zieleni, cegłom wyrwanym z nawierzchni chodnika, otaczającym ich domom. W oddali, koło fontanny, jakiś ciemnoskóry robotnik budowlany ściągnął koszulę i ochlapał się wodą. W mieście naprawdę było dosyć miejsca na wszelkie ludzkie typy.

– Ale ty i ja – powiedział pułkownik – nigdy nie należeliśmy do tych, którzy poddają się albo biernie czekają, prawda, Squatina?

Potem zdarzyła się ta sprawa z optykiem. To, że wymienia się jego imię, to jedno, ale gdy komuś wydaje się, że może je powiązać dzisiaj z jego twarzą, to już co innego. Podjął właściwe kroki. W jednej chwili jego życie ponownie nabrało wyraźnych konturów, zniknęła nędza jego egzystencji.

Przez następne miesiące był gotów na gniew, który w nim szalał. Spodziewał się być może także strachu, tego jednak nie przewidział.

Że znów poczuje się taki żywy.

Łomot serca i pulsujące podbrzusze. Upajające uczucie, kiedy krew wali żyłami, jakby nabrała pędu po latach stagnacji w jakimś zastałym stawie.

Zamknął okno przed zimowym chłodem i dokładnie zasunął żaluzje.

Potem powoli zszedł po schodach. Panowała cisza, była noc. Jego personel do rana miał wolne, co oznaczało, że Segundo śpi na sofie w salonie, a Abel wyszedł na nocną przepustkę.

Żadnych dźwięków, poza jego własnymi krokami i oddechem, który był trochę za ciężki.

Przeszedł przez kuchnię, w kierunku leżącego za nią pokoju. Klucz tkwił w zamku, przekręcił go i ostrożnie uchylił drzwi. Wyczuł jakiś ruch w środku. Nie przypuszczał, by spała. Oni rzadko zasypiali pierwszej nocy. Pamiętał takie noce bardzo dawno temu, gdy nowo przybyli więźniowie jęczeli i marudzili, zadając wciąż pytania typu: gdzie jesteśmy, czego oni chcą, co ze mną będzie? Tak

wyglądało to przez dwie, góra trzy noce, a potem milkli i akceptowali sytuację, choćby dlatego, że inni więźniowie kazali im się w końcu zamknąć. Nawet w więzieniu większość ludzi uznawała wreszcie, że chce spać.

Pokój wychodził na podwórko, a okiennic nie dało się otworzyć. Tylko słabe światło lampy nocnej z kuchni sprawiało, że mógł dostrzec zarysy jej ciała.

Oczy miała zawiązane. Drobne drgnięcia głowy, dłonie szukające czegoś, co potrafiłyby rozpoznać. Te same ruchy, jakie widział kiedyś u tych, których zamknięto w mroku i musieli wyostrzyć swoje inne zmysły, widział, jak wężą jak zwierzęta, aby poczuć woń kurzu i zapachy innych ludzi, którzy wcześniej byli w pomieszczeniu, proszku do szorowania i resztek jedzenia, dymu tytoniowego czy co tam jeszcze mogła wyczuć.

Może słyszała głuchy pomruk lodówki, jakąś gałąź ocierającą się o okno piętro wyżej. Tykanie starego zegara w salonie.

Abel i Segundo zawiązali jej oczy w samochodzie i wnieśli ją do jego domu po północy. Starał się wtedy nie patrzeć, kazał im tylko zamknąć ją w tym pokoju.

Noc miała zrobić swoje: zmiękczyć ją. Chciał być sam, kiedy będzie na nią patrzył.

Oczy przywykły mu do mroku. Widział teraz niuanse. Jasne włosy. Skórę, która zdawała się nienaturalnie blada. Księżyc w pełni zajrzał przez kuchenne okno za nim i posrebrzył wnętrze niemal upiorną poświatą.

Pierwszy raz widział ją na monitoringu, jak stoi i przygląda się jego domowi. W programie komputerowym podłączonym do kamery była funkcja powtórzenia, przewijał sobie obraz jej twarzy raz po raz.

A teraz siedziała przed nim. Jej widok, skulonej na łóżku jak kot, bo rzeczywiście przypominała kota, który jednocześnie rozpręga się i zwija, silnie na niego podziałał. Czysto fizyczne poczucie, że ciało rozdyma mu się pod skórą, to było coś, co rozpoznawał i czego nazbyt długo był pozbawiony, jak alkoholik, który staje się sobą dopiero wtedy, gdy porządnie się napije, ale w jego przypadku to było upojenie władzą i kiedy raz już go doświadczył, wiedział, że musi do niego powrócić, było satysfakcjonujące samo w sobie, lecz zarazem leżało niebezpiecznie blisko cielesnej żądzy, jakby te instynkty były połączone w tej samej fali przelewającej się przez ciało.

Stał tam i nasłuchiwał, czy Segundo porusza się w salonie, i pragnął, aby w tym momencie pozostawiono go w spokoju, był teraz młody, tak jak wtedy, a zarazem był starcem, czującym i zachwyty, i niesmak wobec tego, co się w nim obudziło.

To już szmat czasu temu.

Dawno temu miał tutaj w domu żonę, ale po ustąpieniu reżimu wojskowych zdecydowała się dać wiarę kłamstwu i lewicowej propagandzie. To wtedy wyprowadziła się z ich sypialni i urządziła się w tym dodatkowym pokoju za kuchnią.

Co ty robiłeś w tamtych latach? Czy przyłożyłeś rękę do tych strasznych rzeczy, które podobno robiliście z ludźmi?

To byli terroryści, Graciela. Nie mogę ci powiedzieć, co robiłem, przecież wiesz. To tajemnice wojskowe.

Możesz mi spojrzeć prosto w oczy i powiedzieć, że nie robiłeś takich rzeczy?

To była wojna, Graciela.

Jezus Maryja, Matko Boża, zmiłuj się nad nami. Czemu nie chodzisz ze mną więcej do kościoła?

I tak w koło Macieju, aż w końcu wzięła dzieci i wyniosła się do swojej matki w Misiones.

Dziwek też miał już dosyć.

Burdele w Buenos Aires prowadziły dziś swoje strony internetowe, można było wybrać dziewczynę i zarezerwować termin, a potem wzięć taksówkę do jakiegoś mieszkania w Palermo albo Barrio Norte. Takie to proste, a jednak wydawało mu się w jakiś sposób męczące. Kiedyś lubił też chodzić do eleganckiego klubu ze striptizem, leżącego koło cmentarza Recoleta, ale po drodze stamtąd z biegiem lat zaczął coraz częściej rozmyślać o śmierci. Wszystkie te krzyże i anioły sterczące nad setkami okazałych mauzoleów odcinające się na tle nieba.

Zrobił krok i wszedł do pokoju.

Kobieta podskoczyła jak pisklę wyrzucone z gniazda.

– Halo? Jest tam kto?

Usiadła prosto. Wiedział, że ma dzieci. Przy technicznej pomocy Abła dowiedział się o niej wszystkiego, czego można było się dowiedzieć. Na pewno jeszcze przed sekundą myślała o nich, pogrążona w mroku i ciszy, ale teraz istniał jedynie jej własny strach i wola, aby przeżyć, tego był pewien.

– Co wiesz o Squatinie? – zapytał powoli.

Wzdrygnęła się, przycisnęła do ściany.

– Kim pan jest?

Napięła mu się skóra, jakby władza, jaką czuł w tym momencie, była zbyt wielka, by jego postarzałe ciało mogło ją pomieścić. Wściekła go ta degrengolada.

– Odpowiedz na pytanie.

– Nie wiem nic – ciągnęła płaczliwym tonem. – Słyszałam tylko to przezwisko. Proszę, niech mnie pan wypuści.

Znów zrobił krok i wyszedł z pokoju.

Noc miała dalej robić robotę za niego, upokorzenie, ciemność i niepewność. Nie był już młody, potrzebował swoich godzin snu, choć coraz częściej budził się co jakiś czas i nie mógł zasnąć, zwłaszcza przy pełni księżyca jak dzisiaj.

– Mogę pójść do toalety? – poprosiła kobieta żałośnie, gdy bezszelestnie zamknął za sobą drzwi. Stał przez moment, nasłuchując.

– Proszę, mogłabym tylko wyjść do toalety?

A potem cisza. Cienie w domu. Tykanie zegara. Zegar. Wisiał w tym domu, gdy go przejął, anachroniczne, ale miarowe tykanie, które zawsze tu było, na znak, że czas upływa w tym samym tempie co kiedyś.

Zdawało mu się jednak, że kiedy patrzył na nią, zegar przystanął.

BUENOS AIRES

1978

Wędrowała przez mgły, w mlecznych kłębach oparów snujących się nad brzegami jeziora Fryken. Ciężko się oddychało. Bolała ją głowa. Poranna mgła opadła i zniknęła, spostrzegła, że się przejaśnia. Podniosła dłoń do twarzy i poczuła, że coś jest nie tak. Nie było opaski na oczach i kaptura, i otworzenie powiek wymagało pewnego wysiłku, tak długo miała je zamknięte.

Leżała w łóżku. W pokoju. Była tam lampka na komodzie. Zapalona. Abażur z barwionego szkła, czerwień, błękit i zieleń oprawionych szklanych płytek. Dawała dostatecznie dużo światła, aby móc rozróżnić ściany i ocenić wielkość pokoju, ale nie tak jak pod gołym niebem, gdzie dopiero co była w półśnie, bujając między żywymi a martwymi jak w jakimś tępych zamroczeniu, w jakimś *bad tripie*, gdzie człowiek próbuje się czegoś chwycić, ale nie ma ani ścian, ani podłóg. Nie wiedziała, jak długo to trwało. Uczucie, jakby wspinała się, wydobywając się z jakiejś głębokiej dziury, przez kręgi ciemności i wody.

Zobaczyła na ścianie obrazek Maryi Dziewicy i przypomniała sobie z całą dokładnością, że umarła. Ukłucie igły, a potem wszystko w niej zdrętwiało, nie była w stanie się poruszyć.

Zapach uryny? Teraz go nie było.

Pościel pachniała proszkiem do prania, leżała w prawdziwym łóżku. Ostrożnie poruszyła drugą ręką. Wydawała się obrzmiała i bez czucia, ale mogła unieść palce. Jeden za drugim. Mogła chwycić kant łóżka i powoli się podźwignąć. Zerwało się tornado bólu w głowie, przetaczające się i łomoczące wewnątrz czaszki. Potem siedziała na krawędzi łóżka. Pokój był nieduży. Przez chwilę się kołysał. Czuła się przeraźliwie źle. Drzwi były zamknięte, a pokój nieduży. Miała tak sucho w ustach, że przy wdechu powietrze sprawiało jej ból. W co właściwie jest ubrana? Musiała unieść kołdrę. T-shirt i spodnie, to mogły być te same ciuchy, które miała na sobie tam, w środku, albo i inne, nie miała pewności, jak była przedtem ubrana.

Wywołali jej numer i sprowadzili ją do piwnicy, to było ostatnie. Poczuła jeszcze jakieś ukłucie igłą?

Skoncentrowała się na drzwiach. To tylko kwestia paru metrów, trzech, może czterech. Nogi miała miękkie i drżące i po raz pierwszy od wielu tygodni szła

sama, bez ciągnących się za nią, brzęczących łańcuchów, pięć, sześć, siedem kroków i nacisnęła na klamkę. Zamknięte na klucz. Osunęła się na podłogę. Gdzie ona jest? Słuchaj, słuchaj. W więzieniu, w którym przedtem była, słyszała nocami przejeżdżające nieliczne samochody, a wczesnym rankiem dobiegał z oddali odgłos pociągów, byli strażnicy robiący obchód i ludzie, którzy oddychali i jęczeli, i czasami odmawiali pacierze, ale tu było cicho.

Czy to noc?

Nakierowała się na okno w drugim końcu pokoju, ale nie dała rady znowu wstać, tylko popęzła. Podciągnęła się na nogi i przekręciła uchwyt, okno otwierało się do środka, i na tym koniec. Okiennice były zaryglowane. Przez szczeliny mogła zobaczyć koronę jakiegoś drzewa i kawałek pobielonego wapnem muru. Nic nie czuła, ciało było jak martwe. Raz już umarła i znów się obudziła. Już zrobili wszystko to, czego się bała. Dlatego znowu podpełzła do drzwi, zaczęła walić w nie pięściami i wołać.

Wkrótce usłyszała kroki, klucz przekręcany w zamku. Poczołgała się szybko pod ścianę i skuliła.

Do środka wpadła struga światła, od jakiejś lampy, podniosła wzrok i zobaczyła kawałek kuchennego blatu i może jakąś lodówkę. Z mężczyzny stojącego w drzwiach widziała jedynie ciemną sylwetkę. Nie powiedziała nic. Nauczyła się nie zadawać pytań, tylko oczekiwać w milczeniu na to, co miało przyjść. Była gotowa na kopniaki i razy, gotowa na to, że ją gdzieś wywłoką, wcisną głowę pod wodę albo znowu podłączą jej ciało do prądu.

Dlatego najpierw nie pojęła tego, co usłyszała. Nie zrozumiała jego głosu ani jego języka.

– To już się obudziłaś?

Jego głos. Był taki łagodny. Słyszała go także w swoim półśnie, ale wtedy brzmiał twardo. Nie pojmowała, kim on jest. Chciała coś powiedzieć, lecz nie dała rady. Usta uwięzły w suchości. Wyszło z nich tylko skomlenie, a potem Ramón był już przy niej, przykucnął i głaskał ją po włosach w ten swój sposób.

– Ing-Marie, Ing-Marie, nie bój się. Już po wszystkim. Jesteś wolna.

Wyniósł ją do salonu? Nie miała pewności. Było tak, jakby ją wycięto z tej, którą była tam w środku, w pokoju, i wklejono w kobietę, która siedzi teraz w rogu sofy z twardym obiciem, z filiżanką herbaty i całą masą zimnej wody do picia, mając przed sobą herbatniki, pieczywo i kiełbasę, ubrana w szorstki szlafrok należący zapewne do niego.

Gdzieś między tamtą pierwszą a tą drugą wzięła prysznic, gorąca woda opłukała ją do czysta.

– Musisz mi wybaczyć, że cię tak zamknąłem – powiedział Ramón. – Musiałem wyjść. A bałem się, że się obudzisz i nie będziesz wiedziała, gdzie jesteś.

Siedział dwa metry od niej, w fotelu. Odnotowała ten dystans, że nie usiadł przy niej, na sofie.

– Myślałam, że nie żyjesz – powiedziała. – Jakbym słyszała twój głos.

– Jak tylko dowiedziałem się, gdzie jesteś, zacząłem robić wszystko, żeby cię stamtąd wyciągnąć.

Ing-Marie patrzyła przed siebie, nie była w stanie patrzeć na niego dłużej niż tylko przelotnie.

– Jak ja się tutaj dostałam?

– Przywiozłem cię swoim samochodem – odrzekł. – Wybacz mi, że to trwało tak długo.

– Nie wiedziałam, że masz samochód.

Na ścianie zegar pokazywał kwadrans po dwunastej. Zastanawiała się, która to noc, jak długo trwało to jej odrętwienie, lecz nie zdecydowała się zapytać, w końcu to bez znaczenia. Wahadełko, kołyszące się tam i z powrotem, uparte tykanie.

– Mieszkasz tu?

– Nie, właściwie nie. To tylko dom.

– Ale jak mogłeś mnie wydostać? Skąd wiedziałeś, gdzie jestem?

– Łapówki – powiedział. – Może lepiej więcej o to nie pytaj.

Ing-Marie poczuła lekką zmianę w powietrzu, kiedy pochylił się i sięgnął po herbatnik, dotarł do niej też jego zapach, ta sama woda po goleniu.

– Ale dlaczego cię nie aresztowali? Nie mogłeś chyba tam wejść tak po prostu i... Co to za miejsce zresztą? Słyszałam pociągi, samochody, dzieci idące do szkoły...

Zamknęła oczy i przycisnęła dłonie do twarzy, i znowu ten mrok, ale teraz tańczyły w nim iskierki i świetliste plamy.

– To były koszary – powiedział. – Teraz to nieważne. Teraz jesteś tutaj.

Ramón położył dłoń na jej kolanie. Ing-Marie cofnęła się w głąb sofy, która była twarda, jakaś sprężyna uwierała ją w pośladek. Wciąż to uczucie, że jest brudna.

– Są rzeczy, o których nie wiesz – ciągnął dalej. – Moja rodzina... Mam pewne

kontakty. Lepiej, żebyś o to więcej nie pytała. Ja to wszystko załatwię.

Pogładził ją po kolanie i wstał, podszedł do komody przy drzwiach, wysunął jakąś szufladę.

– Teraz rzecz najważniejsza to wydostać cię z kraju.

Wyjął kilka paczek papieru, spostrzegła, że to banknoty, masa pesos, one zawsze były bardziej wymięte niż inne pieniądze. Jakaś mała książeczka, którą trzymał, paszport. Z łatwością go rozpoznała, to był ten niemiecki.

– To mój, to znaczy Claudii? – Każdego ranka, zanim wyszła, sprawdzała, czy na pewno leży w jej torebce, miała kłopot z nauczeniem się tego nazwiska, z tymi wszystkimi „h”. – Jak go zdobyłeś?

– Jak powiedziałem, przez łapówki. Nie mieli po co go zatrzymywać. Wy tłumaczyłem im, że korzystniej dla nich będzie cię wypuścić.

Dotknął pliku banknotów.

– Tu są pieniądze, powinno ci wystarczyć. Załatwię bilet lotniczy do Sztokholmu przez Londyn albo Paryż. To zajmie parę dni, ale przez ten czas jesteś tu bezpieczna. Tego adresu nikt nie zna.

Ing-Marie zobaczyła, jak jej ręce zaczęły drżeć, jeszcze zanim to poczuła, jakby nie bardzo miała kontakt z własnym ciałem. Herbatnik, który trzymała w dłoni, upadł na podłogę.

– Co się stało z innymi? Zdaje się, że ich wyłapali, wszystkich. Anę i Julia, i tych z Wilde... Byłam tam. Poszłam do tego domu. Wszyscy zniknęli.

– Nie myśl o tym teraz. – Ramón odłożył pieniądze i paszport na komodę, po czym podszedł do niej, przysiadł na brzegu stołu i ujął ją za ręce, próbował chyba zajrzeć jej w oczy, ale ona wpatrywała się w swoje dłonie, zastanawiając się, jak je cofnąć, by nie spostrzegł, że coś jest nie tak.

– Musisz spróbować ich także wyciągnąć – powiedziała. – Jeżeli byłeś w stanie wydostać mnie, to...

– To co innego.

Przywykła patrzeć w dół, jakby kark miała już na zawsze zgięty. Ing-Marie patrzyła na jego buty, wypastowane i błyszczące, słuchając tego, co mówi; informacje docierały do niej jak gdyby falami.

Że to dlatego, że nie jest Argentyнкą. Zbliża się mundial. Wszelka krytyka z zagranicy o łamaniu praw człowieka. Jakaś międzynarodowa komisja, która chce przeprowadzić inspekcję argentyńskich więzień. To nie wygląda dobrze, jeśli

przetrzymują obywatelkę obcego kraju bez formalnego oskarżenia, nieważne, czy jest Niemką, czy Szwedką. Rok wcześniej uwięzili przecież tę małą Szwedkę, Dagmar Hagelin, i zrobił się koło tego wielki raban, nie mogą sobie pozwolić na takie skandale teraz, przed mistrzostwami świata.

Ciągle trzymał jej ręce, o wiele za mocno. Nie chciała, żeby trzymał ją w ten sposób.

– Musisz myśleć teraz o sobie, słyszysz? Pojedziesz do domu, do swoich dzieci, a potem nigdy więcej nie będziesz z nikim o tym mówić. Nigdy. Nikt by nie zrozumiał. Jeśli wrócisz do domu i zaczniesz mówić, że pomagałaś guerilli i byłaś więziona, a potem się stamtąd wydostałaś... Dowiedzą się, że zdradziłaś towarzyszy, i osądzą cię surowo, nie byłabyś potem bezpieczna.

– Ale ja ich nie zdradziłam. Oni już byli aresztowani. Słyszałam jej głos...

Krótką drogą od jednej myśli do drugiej. Nie potrzebowała nawet zamykać oczu. Czują, jak mrok zamyka się dokoła niej tak, jakby jej cząstka tam została.

Podniosła się.

– Przepraszam, ale muszę do łazienki.

– Oczywiście, tam, w przedpokoju, koło kuchni w lewo.

Po drodze odnotowała, że drzwi frontowe są masywne i mają dwie dziurki na klucze. Wieszak na ubrania, gdzie wisiał czarny płaszcz i marynarka z metalowymi guzikami, które jakby tu nie pasowały. Ramón zawsze chodził w dżinsach i koszuli, a gdy zbliżała się zima w Jakobsbergu, miał znoszoną kurtkę z kapturem z jakiejś zbiórki odzieży.

Drzwi do łazienki dały się zaryglować i po raz pierwszy, odkąd się zbudziła, poczuła wolność już choćby w tym, że można zamknąć się w łazience. Żaden strażnik nie obserwował jej, kiedy usiadła. Raz dziennie było jej wolno iść do toalety, nauczyła się wytrzymywać nienormalnie długo i zawsze wszystko wyciskać do ostatka. To dawało dokładne pojęcie o pojemności pęcherza. Sądząc po strumyku, który ledwie ciurkał, musiała się zsikać, kiedy była nieprzytomna. To Ramón ją potem umył? Nie chciała myśleć o tym, że był tam, w dole, i wycierał jej łono. Raczej nie dlatego, że to rzecz wstydliva, tylko dlatego, że nagle nieznośna stała się świadomość, że jej tam dotykał. A ona mu ufała, oddała mu wszystko, co miała, i utraciła to dla niego.

Wysoko nad wanną było małe okienko. Bez okiennicy. Ing-Marie wspięła się na kant wanny i otworzyła je. Dało się otworzyć! Mogła zaczerpnąć powietrza i widziała niebo, mogła rozróżnić chmury, czarną przestrzeń.

Przedtem wmawiała sobie, że to musiały być halucynacje, może miała tego dnia gorączkę. Tak czy inaczej była mocno skatowana, straciła rozeznanie w czasie i przestrzeni, nadzieję, że się stamtąd kiedykolwiek wydostanie.

To było wtedy, gdy ją prowadzili po schodach na górę w tamtym budynku, obok pomieszczeń rozbrzmiewających echem, które musiały znajdować się na parterze. Trwała tam jakaś praca. Słyszała stukot maszyn do pisania i fragment wymiany zdań: *...proszę powiedzieć El Coronelowi, że zamelduje się u niego w biurze we wtorek o czwartej trzydzięci... Oni naprawdę tę breję nazywają gotowanymi warzywami? Muszę powiedzieć kucharzowi parę słów...*

Dziwne, powszednie komentarze w środku koszmaru, tego nieświata, a potem, w środku tego wszystkiego: głos Ramona. Zawsze i wszędzie by go rozpoznała, nie mogła się mylić. Trafił wprost do jej ciała, i zawsze tak było, sprawiał, że serce biło mocniej, burzyła się cała jej istota. Stała na schodach jak wryta. Ktoś szarpnął za łańcuchy, mało nie upadła.

Pierwsze, co przyszło jej do głowy: złapali go. Chciała zawołać, wyrwać się strażnikom, ale coś ją powstrzymało. Kajdanki oczywiście, łańcuchy na kostkach i to, że już umiała milczeć. Lecz było jeszcze coś poza tym.

Jego sposób mówienia, tak jakby uczestniczył w tej rozmowie, o tych warzywach czy o oficerze, czy o co tam szło, spokojny i niejako władczy, prawie jakby wydawał rozkazy, to brzmiało tak do niego niepodobnie, lecz mimo wszystko to był on.

Potem popchnięto ją dalej, w górę po schodach.

Później zdarzyło się to jeszcze raz. Któregoś dnia, kiedy zdawało się akurat, że to koniec tortur, i wreszcie wyłączono muzykę, choć jeszcze odbijała się echem od ścian cel tam, na dole, w piwnicy. *You're in the mood for dance...* Czasem puszczała muzykę ruchu oporu, radykalnych bardów z Urugwaju i Argentyny, jakby na złość, a czasami była to Abba, dziwnym trafem, którego nie rozumiała, ale ją to rozmiękczało i może przez to mówiła więcej, bo jednocześnie mogła słyszeć te kawałki lecące z radia w Jakobsbergu, a tam były jej dzieci, jej dwie dziewczynki siedzące na podłodze, takie małe, zupełnie nie podrosły, a ona nie mogła ich dosięgnąć.

To właśnie wtedy, kiedy ją wyprowadzali z piwnicy, na pierwszych krótkich schodach, tylko jedenaście stopni, drugi raz usłyszała jego głos. Znowu poczuła to samo, to z sercem i z krwią, w jej ciele rozlało się ciepło, chociaż była tak

zmaltrretowana.

Potem dotarło do niej: on nie krzyczał, nie wzywał Boga i nie robił nic z tych rzeczy, jakie słyszała u innych więźniów. On zadawał pytania, zupełnie spokojnie, a ona bardzo dobrze znała ten typ pytań: Kto był twoim kontaktem? Kogo spotykałaś z uniwersytetu? Pod jakie chodziłaś adresy? Gdzie chowaliście broń?

Później słyszała tylko szcęk łańcuchów na korytarzu i rutynowe obelgi strażników, następne schody, znała dokładną liczbę stopni, i wreszcie znów skuliła się na swoim miejscu na poddaszu i pomyślała, że chyba zwariowała. Zdarzało się wcześniej, że słyszała głosy, głos Any w jedną z pierwszych nocy. Nie zdobyła się wtedy na to, żeby odpowiedzieć, bo tak jej było wstyd, a teraz pomyślała, że to może też był jakiś koszmar, część tego samego szaleństwa, bo w takim razie nic nie było prawdą, to jedynie ostateczny dowód na to, co ciemność i tortury mogą zrobić z człowiekiem.

Puściła na dłonie ciepłą wodę. Wzięła mydło i obmyła sobie całe ręce, wysoko, pod pachami, i podbrzusze, i twarz, myła się wszędzie, gdzie mogła sięgnąć, nie rozbierając się całkiem do naga. Nawet to mydło miało jego zapach.

Gdy wyszła z łazienki, Ramón siedział na sofie.

Ing-Marie przystanęła w drzwiach.

– Spotkałeś się z kimś z nich?

– Z kim?

– Z tymi z Wilde.

– Nie – powiedział. – Nie spotkałem ich.

– Ale mieliście umówione spotkanie...

– Nie wiem, co się stało – odparł i zaczął sprzątać resztę chleba i kiełbasek. – Musieli ich złapać, zanim zdążyliśmy nawiązać kontakt, a potem przecież zniknęłaś, więc kto miałby przekazać wiadomość. To już zamknięta sprawa. Zapomnij o tym. Nawet nie wiem, kto to był.

Wstał i wyniósł jedzenie do kuchni.

Ing-Marie usiadła w fotelu, w którym przedtem on siedział. Tak było lepiej, teraz już nie mógł usiąść przy niej.

Świetnie pamiętała, co było napisane w tamtym liście. Spotkanie w piątek, tego samego dnia, kiedy złapali Anę, Julia i całą grupę w Wilde. A ona tak bardzo pragnęła, żeby Ramón tam nie zdążył lub żeby coś mu przeszkodziło...

Zegar wybił godzinę. Pierwsza w nocy. Ramón był z powrotem w salonie, stał

ze stołu okruchy i ostrożnie zgarnął je w stuloną dłoń. Czasami zadziwiało ją, jaki jest porządny. W swojej kawalerce w Jakobsbergu zawsze miał pozmywane, o jakiegokolwiek porze by się go odwiedziło. Nabijała się z niego, że pewnie składa swoje skarpetki.

– Teraz musisz to wszystko odespać – powiedział. – Bardzo dużo przeszłaś.

Ing-Marie podniosła odrobinę głowę i zatrzymała wzrok na dolnej części jego tułowia. Odnotowała materiał jego spodni, jakiś ciemny, syntetyczny, potem jasnoniebieską koszulę.

– Tak – powiedziała – jestem bardzo zmęczona.

– Ja śpię na górze, na piętrze. Gdybyś chciała...

Spojrzała z ukosa na schody w przedpokoju. W domu nie było wiele mebli, wszystko wydawało się trochę bezosobowe.

– Czuję, że muszę być sama – powiedziała. – Może mogłabym przespać się w salonie. Tutaj nie czuję się taka zamknięta.

W jego wahaniu słyszała tykanie zegara.

– Rozumiem – odrzekł. – Oczywiście. Jak wolisz.

Ramón przyniósł z pokoju za kuchnią jej kołdrę, czyste prześcieradło i poduszkę. Słyszała, jak odkręca kran, a potem przyszedł ze szklanką wody i wyciągnął dłoń, w której leżały dwie tabletki. Ing-Marie pomyślała o cyjanku. Rozpościerała właśnie prześcieradło i kołdrę na sofie.

– Weź je – powiedział Ramón – będziesz mogła spać. Przedtem krzyczałaś przez sen. To nic dziwnego, jeżeli dręczą cię koszmary.

Znów miała suchość w ustach.

– Dziękuję. – Ujęła jego dłoń i przesyłała tabletki do swojej, oparła się o jego ramię i wtuliła twarz w szyję w geście wyrażającym niewątpliwie ufność i oddanie. Objął ją ramieniem i lekko uściśnął. Ostrożnie wsunęła tabletki do kieszeni szlafroka, próbując jednocześnie nieporadnie pocałować Ramona w policzek.

Odsunął ją od siebie.

– Jutro załatwię bilet na samolot – powiedział.

Ing-Marie odwróciła się nieco i podniosła rękę do ust, jakby wrzucała na język tabletki, a następnie przyssała się do szklanki z wodą i wypijała ją do dna.

– Dobranoc – wymamrotała, siadając na sofie. Spróbowała wreszcie uśmiechnąć się do niego; stał w przejściu, w którym nie było drzwi, więc nie dawało się zamknąć. – Widzimy się jutro.

– Mam zostawić lampę zapaloną? – spytał.

– Tak, proszę.

– Zapomniałem powiedzieć, że w pokoju na krześle leży ubranie dla ciebie.

– Dziękuję.

Ing-Marie położyła się i przykryła kołdrą. Ramón poszedł powoli schodami na górę i jeszcze przez pewien czas słyszała jego kroki na piętrze.

Potem tylko ten zegar i jakieś monotonne ciche brzęczenie z kuchni.

Godzina. Dwie godziny.

Leżała całkiem nieruchomo z otwartymi oczami. Przedtem nie potrafiła spędzać czasu w ten sposób, ale teraz to się zmieniło.

Zegar wybił i trzecią, i wpół do czwartej, nim odważyła się wstać. Nie słyszała żadnych odgłosów z piętra już od prawie dwóch godzin, odkąd on ostatni raz przewrócił się na łóżku, powodując zgrzyt sprężyn i słabe skrzypnięcie drewnianej podłogi.

Tak bezszelestnie jak tylko to możliwe dla człowieka przeszła do pokoju za kuchnią.

I rzeczywiście znalazła na krześle kupkę pedantycznie poskładanych ubrań.

Zdążyła wcześniej przemyśleć każdy krok i każde wyjaśnienie na wypadek, gdyby Ramón znowu zszedł na dół.

Było mi zimno, powiedziałyby, by wytłumaczyć, dlaczego ma na sobie spodnie, bluzkę i gruby sweter, a na to jeszcze narzuconą kurtkę. Były to schludne, nobliwe rzeczy, jakie kobieta z klasy średniej w Buenos Aires mogłaby nosić do pracy; zastanowiło ją, skąd się wzięły. Nie zabrakło nawet cienkiej apaszki, którą mogła obwiązać sobie włosy.

Wetknęła do kieszeni dodatkowe majtki i skarpety.

Wymknęła się do przedpokoju i sprawdziła drzwi frontowe. Nie dało się ich otworzyć od środka. Nie mogła teraz szukać kluczy, bo narobiłaby hałasu. Zresztą pewnie by ich nie znalazła.

Pójście do toalety było czymś naturalnym w środku nocy. Nie chciałam cię obudzić, powiedziałyby, gdyby zszedł teraz i zapytał, dlaczego nie spuściła wody.

A gdyby spytał, dlaczego wspięła się na krawędź wanny, żeby otworzyć okno: Potrzebowałam powietrza. Tak długo byłam zamknięta.

Gdy stanęła na palcach, dojrzała górną część muru. Znajdowała się w jakiejś

dzielnicy willowej. Widziała dach sąsiedniego domu i unoszące się nad nim korony drzew, tam musiała przebiegać ulica. Ostrożnie zeszła na posadzkę. W kuchni wepchnęła do kieszeni kurtki resztę chleba, butelkę wody, parę kielbasek.

Poczułam się taka głodna, powiedziałaaby, gdyby zbudził się teraz, nie wiem, co mnie napadło, w areszcie musiałam głodować, a wtedy człowiek uczy się kraść cokolwiek, co znajdzie do jedzenia.

Było wciąż cicho, kiedy zabierała rzeczy z komody. Zrobiła to na samym końcu, bo na to już nie miała wyjaśnienia. Włożyła paszport za pasek spodni, pieniądze. Znalazła też plik banknotów dolarowych, wzięła wszystko i poupychała po kieszeniach i w skarpetkach.

Z powrotem do łazienki, zaryglowała za sobą drzwi.

Znowu stanęła na krawędzi wanny i podciągnęła się do okienka, pomogła sobie, opierając się jedną stopą o kran od prysznicza.

Przecisnęła się głową do przodu i przytrzymała się framugi, wyjmując z okienka nogi. Jej stopy dzieliły od ziemi najwyżej dwa metry; puściła się i spadła.

Poczuła trawę pod dłońmi. Zapach ziemi. Musiało wcześniej padać. Przypomniała sobie teraz ten deszcz, bębnienie kropel o blaszany dach, tam gdzie leżała uwięziona.

W domu nie zapaliły się światła, żadnych dźwięków z sąsiednich posesji. Lato już najwyraźniej się skończyło, było chłodniej. Podniosła się i ostrożnie otrzepała ziemię ze swoich eleganckich spodni, przemknęła wzdłuż ściany domu pod mur wychodzący na ulicę. Była w nim ponaddwumetrowa brama z masywnego czarnego metalu, zwieńczona ostrymi kolcami, zaryglowana grubą sztabą, niemożliwa do sforsowania, lecz obok znajdowała się furtka, przez którą się wchodziło. Z obrotowym zamkiem. Ostatni raz się obejrzała, nacisnęła klamkę i pchnęła furtkę. Rozległ się cichy zgrzyt, a potem ulica i świat w milczeniu stanęły przed nią otworem.

Zaparkowane samochody. Pojedyncze latarnie rozsiewały w mroku nocy jasne plamy. To była istotnie zamożna dzielnica, duże wille za murami i ogrodzeniami, i drzewa chroniące ją, gdy coraz szybciej szła w kierunku, który wydał jej się właściwy. Nie biegła, była teraz kobietą z klasy średniej, która zazwyczaj wcześniej wstaje, nikim innym.

Pierwszą przecznicą w prawo, potem w lewo, znowu w prawo, system, który gwarantował, że nie kręci się w kółko. Jeżeli dalej będzie szła tym kursem, wcześniej czy później trafi na jedną z wielkich alej, których nazwy rozpoznawała.

Potem znajdzie jakiś autobus lub pociąg, coś, co zabierze ją jak najdalej stąd.

Willowe kwartały ustąpiły miejsca wyższej zabudowie i dzięki paru tabliczkom zorientowała się, że jest w dzielnicy Belgrano. Potem zobaczyła tory kolejowe. Po raz pierwszy od chwili, kiedy opuściła dom, przystanęła. Ranek był ciągle jeszcze tylko słabszym odcieniem mroku.

Zaczęła iść wzdłuż torów, nie wiedząc, jak daleko jest do stacji, ale natrafiła na nią wcześniej, niż sądziła. Po drugiej stronie ulicy rozciągał się pagórkowaty park i nieco dalej spostrzegła nieduży dworzec. Zegar pokazywał kwadrans po piątej. W Belgrano przystawały tylko lokalne pociągi na północ; żeby jechać gdzieś dalej, trzeba by dostać się na któryś z wielkich dworców, a tego za nic nie chciała. Co to mógł być za dzień? Jeśli powszedni, to pociągi powinny wkrótce się pojawić. Nie jeździła nigdy na północ, ale orientowała się trochę w rozkładach jazdy.

Zmęczony zawiadowca stacji za okienkiem.

O piątej czterdzieści jeden odjeżdżał pierwszy pociąg ze stacji Retiro, aby dwadzieścia minut później przystanąć w Belgrano. Patrzyła na linię z zaznaczonymi punktami, stacjami, jakie miała do wyboru. Jedna z nazw coś w niej obudziła. Tigre.

Co było z tym Tigre?

Ktoś jej o tym coś mówił. Stał jej przed oczami obraz rzek i mroku, miejsca, gdzie można było zniknąć.

Dopiero kiedy nadjechał wczesny poranny pociąg, a ona usiadła przy oknie, zwrócona plecami do miasta, które opuszczała, i kiedy poczuła to szarpnięcie wagonów, gdy pociąg zaczyna się toczyć, przypomniała sobie, że słyszała o delcie od chłopca o imieniu Hugo, tamtego wieczoru w barze, gdy opowiadał jej o swoim marzeniu, by uciec od wszystkiego.

Paru zaspanych porannych podróżnych, mijane stacje. W więzieniu słyszała z oddali pociągi, może siedziała teraz w jednym z nich, podczas gdy inni słyszeli, jak przejeżdża. Myślała, że to takie dziwne, że to się działo cały czas. Ludzie jadą do pracy. Zrobiło się jasno, był już dzień. Kiedy pociąg dotarł do małego miasteczka Tigre, słońce całkiem wzeszło. W budynku dworca zobaczyła mapę delty. Początku rzeki nie musiała szukać, leżał tuż przed nią, gdy wyszła na zewnątrz, tutaj kończyły się tory i ulice, a pozostała tylko woda.

Nie ma tam ulic ani elektryczności, powiedział wtedy Hugo, więc przypuszczalnie nie ma też zbyt wielu policjantów. Wzdłuż nabrzeża cumowało mnóstwo różnych łodzi, taksówki wodne z rozpiętym dachem i płaskie łodzie

pasażerskie zastępujące tutaj autobusy, małe łódki rekreacyjne i szereg wąskich drewnianych czółen, wyglądających jak wyposażenie staroświeckiego klubu wioślarskiego, dalej wznosiła się wysoka stalowa burta z napisem: „Prefectura”, a u samego ujścia rzeki cumował szary statek wojskowy, ruszyła więc nabrzeżem w przeciwną stronę i zobaczyła wkrótce małe białe łodzie, z których rybacy wyładowywali nocny połów.

Zeszła po schodkach do pomostu, gdzie wiązano cumy. Woda była brunatna jak żelazo i miękka jak jedwab. Rzeka nie miała zapachu.

Ing-Marie ścisnęła w garści plik banknotów.

– Ile by kosztowało wyjechanie w deltę?

Rybak wyprostował się z wiadrem w rękach, właśnie splukiwał pokład.

– Łodzie pasażerskie są tam dalej – powiedział i skinął w stronę długich wodnych autobusów, gdzie grupka ludzi schodziła akurat z bagażami w rękach.

– Mogę zapłacić – powiedziała i pokazała mu banknoty. – Mam także dolary.

Mężczyzna potarł kark i rozejrzał się. Był niemłody, z pewnością po sześćdziesiątce, i dość niski. Jeden z jego kolegów oddalał się nabrzeżem, niosąc skrzynię ryb, potem poszedł schodami na górę. Słońce stało jeszcze nisko na wschodzie.

– A dokąd chcesz? – spytał. – Delta jest duża.

Ing-Marie przyjrzała się rybakowi, usiłowała przeniknąć, co to za typ: z tych, co donoszą, czy z tych, którzy milczą, z tych, którzy nie chcą nic widzieć ani słyszeć, czy z tych, co widzą świat taki, jaki jest. Wiedziała, że takich rzeczy po ludziach nie widać, ale najwyraźniej nie był zamożny, ubrany biednie, brodę miał nierówną, dłonie zgrubiałe od blizn i odcisków, a łódź też wydawała się nędzna.

– Przez granicę – powiedziała cicho. – Chcę, żeby wywiózł mnie pan z Argentyny. – Wyjęła z kieszeni jeszcze kilka banknotów dolarowych, trzymała je tak, żeby zobaczyć.

Rybak otarł ręce o spodnie.

– Nie mam za dużo miejsca...

– Nie szkodzi.

– Nie mogę wypłynąć przed zmrokiem.

– To zaczekam.

Mężczyzna spojrzął na pieniądze, a potem znów na nabrzeże. Nic się tam nie działo, był jeszcze wczesny ranek, dobiegał tylko odgłos pociągu powracającego na

południe. Odbijała jakaś łódź pasażerska.

– Zejdź tu na dół – powiedział – i schowaj się w kajucie.

Przytrzymał ją mocno za ramię, kiedy zeszła. Zakołysało łodzią. Na podłodze w ciasnej kajucie przykryła się ciężkim, śmierdzącym rybami brezentem i zasnęła.

BUENOS AIRES 2014

Helene oszacowała pomieszczenie, w którym była, na osiem razy dziesięć metrów, sufit na wysokości trochę mniej niż cztery. Dźwięk to wszystko, czym mogła się kierować, to, jak rozbrzmiewał głos nieznanego, który zadawał jej pytania. Powtarzał je raz po raz, tak że w końcu nie musiała martwić się o to, czy rozumie, a mogła skupić się na konstrukcji i rozmiarach domu. Chyba znajdowali się w jakimś pokoju dziennym, otwartym na hol. Na jednym końcu holu były drzwi zewnętrzne, wczesnym rankiem słyszała, jak wszedł nimi jeszcze jeden mężczyzna. W holu były też schody na piętro, nie miała co do tego wątpliwości. Może to dźwięk, który zamiast się odbijać, niknął u góry, może jedynie instynkt. Doświadczenie, to, co nazywano praktyczną wiedzą zawodową, dzięki której umiała natychmiast ocenić budynek, znała jego materiał.

Kamienny dom. Wygłuszający panel na suficie. Podłoga z ciemnego drewna ułożonego w parkiet. Tego oczywiście nie mogła usłyszeć, lecz zobaczyła przez szczelinę, gdy ją tu wprowadzano.

Potem szal na jej oczach zawiązali mocniej i więcej nic już nie widziała.

– Powiedz, co słyszałaś o Squatinie, to może będziemy mogli to zakończyć.

– Już powiedziałam, podejrzewają, że on żyje.

– Jak brzmi jego prawdziwe nazwisko?

– Mówią, że mógł należeć do służby wywiadowczej. Nic więcej nie wiem.

Dlaczego mi nie wierzycie?

Helene zaciskała dłonie.

To ten starszy mężczyzna zadawał pytania. Poznawała to po głosie, który był jakby bardziej napięty, i po tym, że czasami robił pauzę w środku pytania, jakby tylko po to, by zaczerpnąć oddechu. To także on wszedł w nocy do jej pokoju. Helene słyszała jego oddech jeszcze długo po tym, jak zniknął.

Mężczyzna mówił trochę sztywną, ale poprawną angielszczyzną.

– Parę dni temu kręciłaś się koło pewnego domu, czego tam wtedy szukałaś? Kto ci o nim powiedział?

– Pewien człowiek w Sztokholmie – wyjaśniła Helene. – Nie znam go. Mówił

mi, że moja siostra tam była.

W samochodzie, kiedy zawiązywali jej oczy, szarpała się, żeby się uwolnić, ale teraz siedziała całkiem nieruchomo. Nie czuła zmęczenia, tylko pieczenie wokół oczu mówiło jej, że w nocy nie spała więcej jak chwilami po kilkanaście minut. Noc w zupełnie ciemnym pokoju, kamienne ściany i tynk pod palcami, kiedy po omacku badała otoczenie. Okna wysokie na dwa metry, musiała wspiąć się na jakiś stół, żeby wyczuć, gdzie się kończą. Były zamknięte. Błądziła na krawędzi zdrowych zmysłów. Myśl, że jej dzieci mogą stracić matkę, była najgorsza, wyobrażenie, jak ta strata podkopałaby wszystko, czym są, Helene stałaby się w nich nieokreśloną dziurą. Sama mogła umrzeć. Aż się zdziwiła, że tak mało ją to rusza przez wzgląd na nią samą.

– A co ci powiedziała siostra o tym domu? – ciągnął dalej.

– Nic. Nic nie powiedziała. Ona nie żyje.

– Nie żyje?

– Tak, nie żyje. Spadła z balkonu.

– To pechowo.

Zegar znów wybił pojedyncze uderzenie. Oznaczało pół godziny. Poprzednio wybił dziesięć razy, a więc musiało być wpół do jedenastej przed południem.

Helene usłyszała szuranie krzesła o podłogę i oddech, który się przybliżył, skrzypnięcie, gdy mężczyzna usiadł tuż przed nią.

– A co ci powiedziała przed śmiercią?

– Nie może mnie pan po prostu wypuścić?

– Nie, Helene Bergman, obawiam się, że nie mogę.

Wymówił jej nazwisko zaskakująco poprawnie. W nocy doszła do wniosku, że mężczyzna w czarnej bluzie z kapturem śledził ją może od samych sądów albo od tamtego domu. Najprawdopodobniej tego samego, w którym teraz była. Materiał, wymiary, nic w każdym razie nie przeczyło przypuszczeniu, że to jest właśnie tamten dom ukryty w bluszczu, za bramą z ostrymi kolcami w dzielnicy Belgrano R.

– Dlaczego pyta pan o moją siostrę? – zapytała. – Spotkał pan ją?

– Dlaczego ludzie w ogóle nas obchodzą? Zdradzają nas. Umierają i znikają. Ludziom wydaje się, że są nieśmiertelni, ale tak łatwo przecież pokazać im, że to nie tak, sprawić, że zaczną pełzać na kolanach i błagać o życie.

Coś w niej zachybotало, ściany się usunęły, już nie wiedziała, gdzie je ma.

– Proszę, nie może pan mnie po prostu puścić, ja mam dzieci...

Starszy mężczyzna odchylił się do tyłu, tak w każdym razie jej się wydawało, pewnie siedzi teraz wygodnie i gapi się na nią, i zastanawia, co ma z nią zrobić, wywnioskowała to z cichego skrzyknięcia krzesła lub jakiejś zmiany w dusznym nieco powietrzu, śmierdzącym dymem tytoniowym.

– Dzieci, tak – powiedział powoli. – Synek Malte i mała Ariel. Ile ma dziewczynka, osiem lat?

To było niemożliwe. Tkanina wrzynała się w oczy. Helene chciała zerwać ją i zobaczyć, jak on wygląda, ścisnęła dłonie jeszcze mocniej. Nie mieli prawa znać imion jej dzieci.

– Mój asystent jest dobry w tych sprawach – ciągnął dalej – wystarczy wziąć zdjęcie z monitoringu jakiejś kobiety, która stoi i zagląda do prywatnego ogrodu, a potem wrzucić je do sieci i przepuścić przez jakiś program porównujący, i hop, już mamy inne zdjęcie, i nazwisko, a potem całą resztę, adres, imiona rodziców i męża, i dzieci. Pani architekt, prawda? Prestiżowa nominacja do nagrody za jakąś halę sportową w... jak ta miejscowość się nazywa... Borlänge?

– Mój samolot odlatuje za cztery godziny – powiedziała Helene i dotknęła opaski na oczach, strasznie ją swędziała. – Obiecuję, że nie powiem nikomu o tym tutaj ani słowa, niech mnie tylko pan wypuści.

Usłyszała jego wydech czy może prychnięcie.

– W przypadku twojej siostry popełniłem błąd. Pozwoliłem jej jechać do domu. A nie powinna była tego robić.

W jego głosie kryło się coś złowrogiego, jakaś skryta aluzja.

– Co pan ma na myśli? – spytała Helene. – Czego nie powinna była robić?

Nagle dotarło do niej, że Charlie siedziała tutaj, tak jak ona teraz. Opaska rozluźniła się nieco i widać było bladą smugę dziennego światła na podłodze. Mężczyzna miał błyszczące buty. Może tak musiało być, to przecież całkiem logiczne. Zajął miejsce siostry i odpokutuję winę, więc róbcie ze mną, co chcecie, pomyślała, pieprzę to.

– Grasz w szachy? – spytał.

– Nie, nie gram w szachy.

– Ja kiedyś grywałem – powiedział. – Kiedy wygląda na to, że partia jest już rozstrzygnięta, to właśnie wtedy trzeba wejść do mózgu przeciwnika, zobaczyć, jak myśli, żeby móc go zaskoczyć czymś, czego by nigdy nie przewidział.

– Chyba nie bardzo rozumiem.

– Muszę powiedzieć, że to był dla mnie szok, kiedy odezwał się mój dawny *coronel* i opowiedział, co się wydarzyło przed sądami tutaj w Buenos Aires, jakaś kobieta pytała o ludzi, którzy powinni być dawno zapomniani.

– Mówi pan o Charlie?

– Charlie, no tak, co to zresztą za imię dla kobiety? Jeden z moich ludzi zaprosił ją na lampkę wina. To było proste. Nie musieli sięgać po takie metody jak z tobą. Czasami lepiej jest współpracować, Helene Bergman.

– Ja wiem. Ja współpracuję.

Nagły ruch tuż przy jej twarzy. Helene wzdrygnęła się gwałtownie, może wydała z siebie także jakiś dźwięk. Wziął w palce pasemko jej włosów. Zaczyna się, pomyślała, teraz będą mnie katować.

Mężczyzna zaśmiał się, to był pusty śmiech, całkiem wyprany z radości.

– Naprawdę jesteś podobna do matki – powiedział.

– Co to ma niby znaczyć? Co pan wie o mojej matce?

Helene uniosła odruchowo rękę do włosów, musiała się upewnić, że on cofnął swoją dłoń.

Mężczyzna podniósł się. Znowu skrzyknięcie krzesła. Sądząc po głosie, stał teraz gdzieś w pobliżu okien. Zasłony muszą być zaciągnięte, bo mało światła przesączało się do środka. Była ukryta przed światem.

– Sądzi pani, pani Bergman, że jest coś takiego jak los?

– Nie, nie sądzę.

– A co by panią tutaj sprowadziło, jeśli nie los, co by ściągnęło tutaj pani siostrę? Tylko mi nie mów, że to Bóg, bo Bóg jest słaby, może ma władzę nad duszą człowieka, ale nie nad tym, co się dzieje. Gdybym miał ufać Bogu, to niedługo siedziałbym zamknięty w celi.

– Dlaczego? Czemu pan tak mówi?

Zdawała sobie oczywiście sprawę, że mógł być tym, którego nazywano Squatina, rekinem chowającym się w szlamie na dnie, człowiekiem poszukiwanym za zbrodnie, o jakich bała się pomyśleć. Dopytywał się przecież, co o nim wiedziała, co by w przeciwnym razie tu robiła? Logika, pomyślała, myśl logicznie. Nie ma powodu, żeby się nade mną znęcał, on chce tylko ustalić, co wiem, ale co, do cholery, ma z nim wspólnego moja matka i w co wplątała się naprawdę Charlie, ta idiotka?

Helene usłyszała trzask zapalniczki i poczuła dym cygara.

– Rozpytujesz też o człowieka o nazwisku Ramón Maguid. Znalazłaś go?

– Nie. Wygląda na to, że nikt go nie zna ani nie wie, co się z nim stało.

– Może go nigdy nie było? – Znowu śmiech, równie bezgłośny jak poprzednio.

– Zdaje się, że macie w Szwecji takie przysłowie... Wybacz, jeżeli nie pamiętam zbyt dobrze języka, ale to chyba brzmi mniej więcej tak: „Kochanek niejedno ma imię”.

W ciszy, jaka zapadła, myśli stłoczyły się bezładnie, jak plamy przed oczami, gdy otworzyła je i znów zamknęła. On wiedział coś o Szwecji i wiedział coś o Ramonie. O Ramonie Maguidzie, którego nikt nie znał i którego być może nigdy nie było, który pojawił się na uniwersytecie ludowym w Jakobsbergu, a potem zniknął bez śladu w tym samym czasie co Ing-Marie.

Tylko że on się myli, pomyślała, to nie kochanek ma niejedno imię, a dziecko, kochane dziecko niejedno ma imię.

I usłyszała, jak mężczyzna znów pyknął cygarem.

– To było naprawdę zdumiewające – powiedział, obchodząc ją wkoło, jakby przyglądał jej się z różnych stron – zobaczyć cię przez kamerę, jak stoisz przed domem, ta twarz, te włosy... Każda kobieta ma coś, czego się nigdy nie zapomni, jakiś detal, fragment jej ciała, który odróżnia ją od wszystkich innych kobiet. U niej to była szyja, o, ta linia... i oczywiście włosy.

Helene poczuła na karku jego palec i zadrżała.

– To pan – powiedziała – pan jest Ramón. A ja myślałam, że...

– Co myślałaś? Że jestem tym potworem, o którym mówią „Squatina”?

Cichy chrzęst, kiedy zdusił cygaro w popielniczce, gdzieś tuż przed nią.

– Chcę, żebyś coś zobaczyła – powiedział.

Brzęknięcie o stół, odchodząc, najwyraźniej zabrał ze sobą popielniczkę. Słyszała, jak mężczyźni rozmawiają cicho po hiszpańsku gdzieś dalej, w kuchni lub innym pokoju, chyba jednak w kuchni, bo słyszała nalewanie wody, syknięcie otwieranej lodówki. Sekundy w samotności, kiedy musi myśleć, logicznie, co słyszała, co tamten prawnik Guillermo powiedział? Squatina służył w wojskowym wywiadzie, czasami był w ESMA, a czasami nie, i byli też agenci za granicą, infiltrujących zbiegów politycznych, jak to się nazywało, Operación Cóndor? Mówił coś o morderstwach w Waszyngtonie i szpiegach wśród uchodźców z Ameryki Łacińskiej w Paryżu, Rzymie i Madrycie. Zawirowało jej w głowie.

Wielu znalazło azyl w Szwecji, dlaczego by i nie tam? Wyobrażała sobie te imprezy, te gorące dyskusje. Mężczyzna, którego nikt nie zna, który zjawia się i przedstawia jako Ramón. Czy to choć jego prawdziwe imię? Kochanek niejedno ma imię, powiedział, prawie jakby żartem, a Ing-Marie, łatwowierna, nieświadoma tego wszystkiego, zakochała się i pojechała razem z nim... Namiętność, pomyślała, pasja tak wielka, że można dla niej porzucić własne dzieci.

Ramón, Squatina.

Był już z powrotem w pokoju.

– Zdejmę ci teraz z oczu opaskę, ale radzę ci się nie odwracać.

Helene usłyszała go, jak zbliża się od tyłu, stuknięcie na stole przed nią. Potem poczuła jego dłonie wokół swej głowy i zadrżała. Nie pomyślała w pierwszym rzędzie o konkretnym momencie tortur, lecz o tych samych dłoniach na ciele jej matki.

– Pewnie znasz trochę Biblię, chociaż jesteś Szwedką – powiedział, grzebiąc przy jej potylicy i rozwiązując szal. – Więc wiesz, jak skończyła ta, co się obejrzała, chociaż jej tego zakazano.

Opaska została zdjęta. Helene mogła widzieć. Wreszcie mogła widzieć.

Ograniczoną część pokoju. Okno z zaciągniętymi zasłonami z jakiejś nieokreślonej brązowej tkaniny, która mogła wisieć tam od stu lat.

A przed nią stół, nie dalej niż w odległości metra, nieduży laptop.

Ramón wyciągnął z za niej rękę i włączył jakiś film. Najpierw patrzyła tylko na rękę. Była lekko pomarszczona, dość szczupła, z widocznymi pod skórą żyłami i paroma siwymi włoskami sterczącymi spod rękawa koszuli.

Potem ruchomy obraz. Między palcami mężczyzny Helene zauważyła datę 2008 i informację, że wideo odtworzono na YouTube 38273 razy.

Jeszcze jedno kliknięcie i obraz wypełnił cały ekran.

Jakiś las i zadaszenie z rozpiętego brezentu. Ruszali się tam jacyś ludzie, powoli, obraz trochę skakał. Ubrani w czarne podkoszulki i mundury moro, z tyłu stał bardzo młody chłopak z uniesioną bronią, karabinem maszynowym. Kilku z nich miało miękkie kapelusze moro, któryś czapkę z daszkiem, inny beret, byli tam i mężczyźni, i kobiety, a pośrodku leżał jakiś mężczyzna na noszach, nie, to trumna, a jego ciało było owinięte w żółć, błękit i czerwień, w jakąś flagę.

Mówiący po hiszpańsku spiker powiedział coś o śmierci i o Kolumbii.

– Ty może nie słyszałaś nic o Tirofijo, strzelcu wyborowym – odezwał się

Ramón tuż przy jej uchu. – Mówi się, że gdy umierał, był najstarszym *guerillero* na świecie, miał siedemdziesiąt osiem lat. Tak długo nie dawaliśmy im nigdy żyć.

Helene obserwowała ruchy na ekranie i czekała na jakiś ciąg dalszy, coś, co by wyjaśniło, dlaczego musi na to patrzeć. Partyzanci w mundurach przechodzili powoli szeregiem, jeden po drugim przystawał przy trumnie, pochylał się i całował zmarłego w policzek, taki pogrzeb bez kościoła i bez księdza.

– Sama partyzantka FARC to sfilmowała i umieściła w sieci, ale to nagranie pokazywali też w telewizji, i wtedy pierwszy raz je zobaczyłem. To była wielka nowina, on był ich założycielem i przywódcą przez ponad czterdzieści lat, ostatni legendarny *guerillero* Ameryki Łacińskiej zmarł na zawał serca...

W jego głosie była ironia, może ton pogardy. Kolumbia, pomyślała. Wojna, porwania, przemyt kokainy i tak dalej, było też coś o rokowaniach pokojowych, o co mu z tym wszystkim chodzi, czy zmierza do jakiejś puenty?

Ramón pochylił się do przodu i nacisnął jeden z klawiszy, obraz przed nią znieruchomiał.

– Nie wiem, dlaczego coś mnie tutaj tknęło – powiedział. Widziała jego palec kątem oka, wskazywał nim ekran. – Ty może widzisz tylko zamazaną sylwetkę jakiejś *guerillery*, tam, na lewo od tego wysokiego, może widzisz, że ma trochę jaśniejszą karnację od innych, ale co mnie wpadło w oko, to jej postawa. Coś było z tym jej karkiem. Więc znalazłem ten filmik w internecie i puszczałem go sobie raz po raz. Jak ona się poruszała... Można sobie przefarbować włosy na czarno, można zasłonić sobie twarz daszkiem czapki, można się postarzeć, ale człowiek nieczęsto zmienia sposób, w jaki się porusza, linie ciała. Więc poprosiłem paru ludzi z moich dawnych kontaktów, żeby zbadali, kim ona jest.

Helene gapiała się na zastygły obraz. Rozmazywał się coraz bardziej, w końcu widziała tylko chaos zielonych plam.

– Claudia Viehhauser – powiedział głos za nią. – To była ona. Zachowała to cholerne nazwisko.

Zaczął się śmiać, potem zacharczał, dostał ataku kaszlu.

– Claudia... jak?

– Ja sam jej załatwiłem ten paszport, to ja ją stworzyłem. Claudia Viehhauser. Ing-Marie Sahlin. Masz tam swoją matkę.

Tego popołudnia z lotniska Ezeiza w Buenos Aires wystartował samolot do

Londynu z jednym zarezerwowanym miejscem pustym.

Piętnaście godzin później, w przedpołudnie następnego dnia, licząc według czasu europejskiego, z Heathrow miał wystartować inny samolot, lecący na Arlandę, Sztokholm, i także tam miało zabraknąć tej samej pasażerki.

Popołudnie nadeszło nad Buenos Aires wraz z deszczem. Helene słyszała, jak bębni i leje się strumieniami wokół domu, nieomal tropikalna ulewa, waląca z nieba jak z cebra. W końcu na moment zostawili ją w spokoju. Znow mogła pójść do toalety, z opaską na oczach. Jeden z dwóch młodszych mężczyzn zaprowadził ją tam i zamknął drzwi od zewnątrz.

Na krótki moment odważyła się podnieść szal z oczu.

Rzeczywiście nad wanną było okienko. Deszcz spływał po szybie. Noc przed trzydziestu sześciu laty. Jeżeli to, co mówił Ramón, było prawdą, to Ing-Marie wymknęła się przez to okno i zniknęła.

Skąd mogła wiedzieć, co jest prawdą?

Że to on uratował ją z ESMA. Postarał się, by dostała podwójną dawkę narkozy, tak żeby była nieprzytomna i można było ją przemycić jego własnym autem.

Widziała przed sobą ten splachetek trawy, gdzie Ing-Marie leżała, kiedy ją przyniesiono z tamtych samochodów, jak ten mężczyzna znow ją podniósł, gdy samochody odjechały, albo rozkazał komuś, by to zrobił, i jak odjeżdża stamtąd inne auto.

To nie z miłości, wcale tak nie twierdził. I wcale nie krył się z tym, że użył jej do zlokalizowania pewnej grupy *guerilleros*, którzy ciągle ukrywali się w Buenos Aires, to była wojna, powiedział. I to był jego obowiązek wobec kraju.

Oni mówią, że nie było żadnej wojny.

Wcale jej nie zmuszałem, żeby jechała do Argentyny. Pojechała ze mną z własnej woli, to był jej pomysł.

Bo myślała, że jesteś kimś innym.

– Ale aresztowanie jej to był błąd – przyznał. – Gdyby państwo szwedzkie albo jej rodzina dowiedzieli się, gdzie ona jest, toby się z tego zrobił problem dla rady wojskowej, zwłaszcza przed mistrzostwami świata, a wtedy to skrupiłoby się na mnie, ja byłem za nią odpowiedzialny i poleciałaby moja głowa. Więc gdy odkryłem, że ona jest w ESMA – któregoś dnia jej paszport wylądował po prostu na moim biurku, bo zajmowałem się wywiadem zagranicznym – przekonałem ich, że będzie najlepiej dla wszystkich, jak ją stamtąd wydostanę. Miała zmartwychwstać w Szwecji i nigdy nie pisnąć ani słowa, gwarantowałem to swoim

honorem.

A potem Ing-Marie czmychnęła przez okno.

Dlatego, że w końcu mogła uciec? Czy dlatego, że zrozumiała, kim on jest?

Helene widziała w lustrze własną twarz. Tusz do rzęs miała rozmazany pod oczami, umyła się i zostawiła czarne plamy na ręczniku.

I co teraz?

Zegar wybił trzecią i czwartą, i piątą, tykał coraz bliżej wieczoru. Dostała tosty i kawę, on nawet spytał ją, czy woli ser, czy szynkę. Oczy znów miała zawiązane. To była dla niej niemal ulga, że nie musi widzieć.

– Ci tak zwani prawnicy znajdą mnie wcześniej czy później – powiedział Ramón obojętnym głosem, jakby się tego w ogóle nie bał. – Gdybym chciał uciec, już dawno bym to zrobił, ale z biegiem lat przyzwyczaiałem się do myśli, że w końcu stanę z nimi oko w oko.

Helene słyszała go jak przez śluzę powietrzną, słowa jej umykały, jakby odsysane. Może to wskutek braku snu i wysiłku, jaki włożyła we wsłuchiwanie się w konstrukcję domu i w zamiary szaleńca. Domyślała się, że to wielkie zmęczenie brało się także stąd, iż coś powoli w niej tajało. Ona żyje. Ona być może jeszcze żyje.

Ramón chodził po pokoju w tę i we w tę, lekkie szuranie butami. Znowu mówił o szachach.

O tym ostatnim ruchu, który miał wszystkich zaskoczyć, którego nikt nie mógł przewidzieć.

Coś w wielkim stylu i żeby było melodramatycznie, żeby podbić serca publiczności, Argentyńscy w końcu są sentymentalni.

A więc wyobraź sobie, mówił, kobietę, która zmartwychwstaje, a jak nie „z martwych”, to w każdym razie z tych na wieki zaginionych, *los desaparecidos*.

Kobieta, którą on ocalił! On, lojalny oficer wywiadu i jeden z tych, których lewacka prasa przedstawiała jako wrogów ludzkości tylko dlatego, że wykonywali rozkazy.

Ale jeżeli złamał rozkaz.

Jeżeli będzie jedynym w historii, który stanie tam, w sądzie, i opowie, że ostatecznie posłuchał głosu swego serca. Wbrew rozkazowi ocalił kobietę, wierząc, że jest niewinna – i ryzykując przy tym swoją karierę.

I jeśli potem wszyscy zobaczą tę kobietę, jak wchodzi na salę, żywa. Do tego

jeszcze cudzoziemka, czy świat by wtedy nie dołączył się do owacji?

Czy wtedy by go skazali?

Znowu zaczął się śmiać, tym razem odniosła wrażenie, że słyszy w jego śmiechu radość, niemal coś chłopięcego.

Nikt nie może z pewnością przewidzieć ostatecznego wyroku, przyznał, ale dałby im w każdym razie niezłe przedstawienie.

Gdyby Helene w tym momencie mogła się gapić, toby się na niego gapiła.

– To Ing-Marie miałyby być pańskim świadkiem?

Może nawet mogłaby się roześmiać, gdyby nie była tak sparaliżowana strachem i oszołomiona.

– Jeśli rzeczywiście jest tak, jak pan mówi – powiedziała, próbując odnaleźć swój normalny głos – jeżeli ona naprawdę żyje i ukrywała się przez ponad trzydzieści lat, to dlaczego, do jasnej cholery, miałyby teraz wrócić, żeby panu pomóc, po tym, co pan zrobił?

– Bo ją o to poprosisz – rzekł Ramón.

Na to dom jakby ucichł. Jakby do tej pory oddychał, lecz teraz nagle wstrzymał oddech. Helene pomyślała, że zegar także powinien był stanąć, ale czas tykał dalej. Deszcz bębnił bez przerwy.

– Masz rezerwację na nocny lot do Bogoty na swoje nazwisko. Samolot odlatuje za trzy godziny. Powiniennem był zrobić to samo z twoją siostrą. Najwyraźniej nie udało jej się dostać tam na własną rękę.

– Bogota?

– Stolica Kolumbii.

– Wiem, że to stolica Kolumbii. Charlie miała tam jechać?

– Co za fałszywa mendowszka z niej była, *basura*. Siedziała tu i zarzekała się, że poleci prosto do Bogoty i że niczego bardziej nie pragnie, niż spotkać swoją matkę, czekała na to całe życie. Dałem jej nawet adres e-mailowy, zdobyty przez moje kontakty, a ona mnie wykantowała i zamiast tego poleciała do Sztokholmu.

A Ing-Marie, Ing-Marie...

Helene zamknęła oczy pod opaską, to był przynajmniej mrok, który wybrała sama. Pomyślała o ostatnich nocach Charlie w Buenos Aires według tamtego Matsa, kiedy zjawiała się, jakby załamana, i prosiła go o pieniądze, ile to było, dziesięć tysięcy koron? Wystarczyłoby na samolot do Bogoty, ale Mats ją spławił, a Charlie dała za wygraną i wróciła do domu. Coś jej tu nie pasowało, Charlie,

która bywała jak opętana, kiedy czegoś chciała, rzeczywiście po prostu się poddała? Wzięła jakąś pigułkę i zasnęła albo upiła się?

Ramón uderzył dłonią w stół.

– I nie zwracaj sobie głowy podawaniem tego adresu twoim przyjaciom prawnikom. Już się przeprowadziłem. Znajdą tu pusty dom, który należał kiedyś do pewnego lekarza, który zniknął i wszelki ślad po nim zaginął. Jego majątek został skonfiskowany, ponieważ był wrogiem państwa, a mojego nazwiska nie ma w tych papierach.

– Aha – powiedziała Helene. – Ale założmy, że polecę teraz do Bogoty i znajdę ją gdzieś, w kolumbijskiej dżungli... – To było takie absurdalne, nawet mówienie o tym w trybie warunkowym, jakby istniała szansa, że to jest prawdziwa, żywa osoba.

Więc dlaczego nie wróciła do domu?

Przełknęła ślinę.

– Dlaczego ona miałaby mnie posłuchać?

– Może dlatego, że nie chce, by coś przydarzyło się jej córce, bo dasz jej do zrozumienia, że to jedyne, co może zrobić.

– Przepraszam, ale jeśli ona żyje, dlaczego miałaby przejmować się tym teraz, skoro nie obchodziłyśmy jej wtedy?

– Dałem twojej siostrze jedno zdjęcie – powiedział Ramón. – Dwie małe dziewczynki w ładnych białych bucikach, nosiła je przy sobie, zawsze, a zatem sądzę, że się mylisz. Było w jej portfelu, kiedy ją złapali, ale nie znalazła go tej nocy, gdy uciekła, i pozostało tutaj.

Helene uniosła odrobinę głowę, żeby zobaczyć, jak on wygląda. Zobaczyła jego spodnie, jakąś tkaninę podobną do gabardyny, pasek, dolną część koszuli, która była jasnoniebieska. Uderzyła ją myśl, że on musiał ją wtedy widzieć, jako trzylatkę, taką, jak wyglądała na tym zdjęciu. Teraz sama miała je w swoim portfelu.

– A co do dżungli, to nie powinnaś się w nią zapuszczać za daleko – powiedział Ramón. – Ponoć w Kolumbii jest więcej min na metr kwadratowy niż gdziekolwiek indziej na świecie.

– A jeśli ja nie chcę...?

– ...spotkać swojej matki? – Jego głos brzmiał łagodnie, nie pomyślała o tym wcześniej, że była w nim miękkość nawet wtedy, kiedy zadawał te swoje pytania

albo groził. – Nie sądzę, żeby tak było, ale jeśli tak, to przecież nic wtedy nie stoi na przeszkodzie, żebym kazał ją zabić.

Helene ścisnęła przegub ręki, na której przedtem miała bransoletkę; tej nocy zdjęła ją i włożyła do kieszeni, żeby jej nie zgubić.

– Nie wierzę, że ona żyje – powiedziała. – Może pan mówić, co chce, i pokazywać mi przeróżne zamazane filmy, ale ona i tak nie żyje. Nigdy nie miałam matki.

– Rozumiem, że tak to odczuwasz – rzekł powoli. – Kto jak kto, ale ty przecież wiesz, co to znaczy być matką. Kochasz swoje dzieci i jesteś gotowa zrobić wszystko, żeby nic złego im się nie stało.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Świat, w którym żyjemy, jest mały, pani Bergman. Nie chciałabyś chyba oglądać się za siebie za każdym razem, kiedy będziesz wychodzić w Sztokholmie z domu, zastanawiać się, czy dzieciaki wrócą ze szkoły, przez resztę życia zadawać sobie pytanie, co się właściwie z nimi stało.

Zamilkła.

Zmiana w powietrzu, nieznaczna. To wystarczyło, żeby gwałtownie się wzdrygnęła. On może tylko skinął ręką. Usłyszała kroki, do pokoju wszedł jeden z tamtych mężczyzn, bardziej sprężysty krok. Ktoś ujął jej dłoń i poczuła w niej coś twardego, telefon komórkowy, jej własny?

Potem musiała podać swój kod PIN. Słyszała, jak tamten wyszukuje właściwe nazwisko, wiedzieli już przecież, jak nazywa się jej mąż, więc nie musieli nawet pytać. Sygnały połączenia. Każdy z nich wrzynał się w nią bezlitośnie, bo telefon dzwonił tam, w domu, albo w biurze, czy gdzie też Jocke teraz mógł przebywać, może w drodze z pracy. Siedem sygnałów, no odbierz, odbierz wreszcie, żebym wiedziała, że jesteś.

A potem jego głos w jej uchu, brzmiał tak codziennie, pośpieszne „halo”, jakby Jocke właściwie nie miał czasu na rozmowę.

– Cześć, to ja – rzuciła.

Ramón stał przy niej, tak blisko, że czuła jego oddech, równomierne wydechy ciemnego tytoniu, dlatego powiedziała dokładnie to, co kazał jej powiedzieć.

– Spóźniłaś się na samolot? – wykrzykiwał Jocke. – Żarty sobie robisz? Jak można spóźnić się na samolot?

A potem znowu zabrali jej komórkę.

JAKOBSBERG

2014

Rycerz nieczęsto oglądał się za przechodzącymi ludźmi. Większości nie znał, a inni wydawali mu się czasem jakby znajomi z dawnych lat, jakiś kolega z klasy albo ktoś z roboty, jakiś przelotny flirt z zamierzchłych czasów, czasem za Chiny nie wiedział, skąd pamięta jakąś twarz.

Wiele osób z daleka omijało ławki, na których ferajna rozsiadała się z paroma porannymi browarami i z paczką parówek. Ogólnie rzecz biorąc, doceniał to, że ludzie nie pakowali mu się z butami do salonu, przechodząc i wyprowadzając swoje psy, nie przeszkadzali. Z biegiem lat tak się ułożyło, że człowiek znalazł swoje miejsce, gdzie był u siebie, na swój własny sposób.

Chmury ustąpiły. Tylko białe maźnięcia pędzlem na niebie, wiosenne wiatry pieszczące policzki. Pod tyłkiem miał wczorajszy numer „Dagens Nyheter”, do którego zamierzał się zabrać, jak tylko ławka obeschnie po porannym lekkim deszczu. W sumie, zupełnie przyzwoity dzień, niedający żadnego powodu, żeby się rozglądać.

Dlatego zauważył tych chłopaków, dopiero gdy znaleźli się tuż przed nim. Wzrok miał zatopiony w kałuży, studiował w niej odbicie nieba, jak obłoki tworzą różne figury, które przepływają, a po nich nadciągają inne, ale wtedy pojawił się jakiś koleś i jakaś twarz zasłoniła niebo na powierzchni wody, a właściwie to było tylko pół twarzy, bo reszta to breja z rozmokniętych niedopałków i pozgniatanych papierków po cukierkach. Potem zobaczył także adidas, drogie i szpanerskie na tym żwirze, tuż przed jego własnymi buciorami, które zaczęły być już za ciepłe, lecz z którymi nie chciał się jeszcze rozstać.

– To tu se siedzisz, dziadek. Trochę żeśmy się za tobą rozglądali tu i tam.

Rycerz podniósł głowę. Rozpoznał lśniąca czerwoną kurtkę z białymi paskami, prawie iskrzyła się w słońcu. Za tym w kurtce stało ich chyba jeszcze paru. Rycerz nie widział ich wyraźnie, bo patrzył pod słońce, ale był prawie pewien, że to ci sami kolesie, których tamtym razem spotkał pod Halą Dacke.

– Ano, tu siedzę, inaczej nie mogę^[24] – odpowiedział i wyszczerzył do nich zęby, żeby niejako rozładować atmosferę.

Zauważył, że jego kumple, Kenta, Anja i Buła, przenieśli się trochę dalej,

a Ryszard Trzeci wstał po prostu i odszedł, może dlatego, że był trochę rasistą albo zwyczajnie chciał mieć spokój. Nikt zresztą nie palił się do żadnej zadymy z rana, tylko wolał posiedzieć trochę na luzie i pogadać, ot i wszystko.

– *Shit*, aleś nas wpuścił w kanał, dziadek, z tą historią – odezwał się koleś w czerwonej kurtce, wyciągając coś z wewnętrznej kieszeni. – To przez ciebie zaczęliśmy się rozpytywać.

Rycerz rozpoznał tamtą stronę z gazety, złożoną i już mocno podniszczoną, ale gdy koleś ją rozłożył, to było wciąż to samo zdjęcie. Niepokój zakłuł go w żołądku, o co, cholera, tutaj biega? Tamtą historię zostawił już jakby za sobą. Niełatwo znaleźć znowu stary numer „Aftonbladet”. To, co zgubione, to stracone, a co upadło, to przepadło – tyle go życie nauczyło.

Koleś usiadł. Rycerz przesunął się troszeczkę.

– Tak mówisz – mruknął, bo nie miał pojęcia, co na to ma odpowiedzieć. Pomyślał, że się sobie nie przedstawili, ale może i tak nie umiałyby wymówić ich imion jak należy, a wtedy czułby się jeszcze na dodatek jak idiota.

Koleś postukał kłykciami w fotografię.

– Ochroniarz czy macher, jak go zwał, tak zwał, ale zatrzymaj to, kurwa, dla siebie. Facet jest od bezpieczeństwa, taki, co się do niego dzwoni ze specjalnymi zleceniami, ogarniasz, co do ciebie mówię.

– Cholera, SÄPO? – Rycerz poczuł na karku zimny dreszcz, jednak miał rację. Podniósł głowę, rozejrzał się we wszystkie strony, spodziewając się zobaczyć agentów tajnych, jawnych i dwupłciowych za każdym krzakiem. Siedzieli przecież na widoku, duży płaski teren z kilkoma ławkami i drzewami, pagórek, gdzie dzieciaki zimą zjeżdżały na sankach, a dalej przedszkole, skąd dobiegały wołania i piski, lubił te wesołe dziecięce pokrzykiwania, zawsze się lubił wygłupiać i bawić z dziećmi, ale teraz już nie mógł sobie przecież na to pozwolić, bo zaraz przyjechałaby policja i jeszcze diabli wiedzą kto. Popatrzył w stronę Tornérplatsen i w drugą, gdzie alejka wchodziła między domy na Magnusvägen, i uświadomił sobie, że tacy ludzie mogli być przebrani za kogokolwiek, za przedszkolankę albo pracownika służby komunalnej...

– Nie wyjeżdżaj mi znowu z tą gadką o SÄPO, ty nie kapujesz, kurwa, co ci mówię? – Chłopak potrząsał kolanem jak stary menel w delirium. – Ten kolo jest na własnym rozrachunku. Nazywają go J.R., bo jest z Dallas, czy jakoś tak. Nasz kontakt biznesowy zapytał swojego znajomego od biznesu, a na drugi dzień pojawił się tu w Jakan facet i chciał wiedzieć, z jakiej paki o niego pytamy.

Rycerzowi nie podobało się, że chłopcy są tacy nerwowi, coś mu mówiło, że jest źle. Kolesia przy nim aż nosiło, nie umiał usiedzieć na miejscu.

– Musiałem, kurwa, poprosić o adres, powiedziałem, że znamy gościa, który mówi, że ma dla niego robotę. To się nazywa Swede Security AB, na Fabriksvägen w Solnie.

Chłopak wstał i dołączył do kolegów, jakby płynnie złączył się z powrotem w całość.

– Teraz to twoja brocha, dziadek, teraz już, kurwa, musisz sam posprzątać własny syf.

– Dallas – wymamrotał Rycerz. – Im chyba chodzi o J.R. z Dallas, był taki serial w telewizji...

Ale chłopaki oddalali się już w stronę Söderhöjden, widział tylko ich plecy, coraz mniejsze i mniejsze.

Kawałek gazety z artykułem leżał obok niego na ławce.

Fabriksvägen w Solnie. To powinno być w Hagalund, na dawnych terenach fabrycznych? Kiedyś załatwiał tam parę razy jakieś sprawy.

Coś do pisania, pomyślał, trzeba mu szybko czegoś do pisania. Wiedział, że łatwo wszystko zapomina, za Chiny nie mógł nad tym zapanować, ostatnio myśli przychodziły mu i znikwały, tak jak chciały.

Buła siedział na sąsiedniej ławce i się gapił, ale jego nie było co pytać, wyglądał jak pół piździelca.

Rycerz wetknął gazetę do kieszeni i wszedł między sklepy w centrum.

– Szanowanie, szanowanie – zagadnęła do niego kobieta w spódnicach i szalach siedząca pod sklepem Coop i wyciągnęła tekturowy kubek w jego stronę – szanowanie, dziękuję bardzo.

– Niestety, Niestety, ja dziś trochę cienko przędę – powiedział Rycerz, zaglądając przez okno do środka. Zawsze mu było miło, że w jej oczach wygląda na takiego, który mógłby mieć coś do ofiarowania.

No i proszę, zza kas wyszedł facet, którego poznawał. Wszyscy go nazywali Chrille, były kurator z socjalu, z siwą brodą, parę lat temu przeszedł na emeryturę i ciągle pytał go, jak mu się wiedzie, choć nikt mu za to już nie płacił.

– Siema – powiedział Rycerz i od razu przeszedł do rzeczy. Chrille wyciągnął długopis i patrzył, jak Rycerz rozpościera wycinek z gazety na kolanie, żeby móc coś zapisać, ale mu to nie idzie, dziurawi tylko papier i ręka mu się strasznie

trzęsie.

– Jak ci się wiedzie? – spytał Chrille i podał mu swoją świeżo kupioną gazetę, która świetnie nadała się na podkładkę. Rycerz pamiętał bez problemu nazwę, adres, czy było coś jeszcze?

– Dobrze – odpowiedział, kiedy wszystko już zapisał – całkiem dobrze.

– Na pewno?

– Tak, tak, spokojna głowa, dzięki za pożyczkę. – Rycerz zwrócił długopis i powiedział mu „cześć” i „miłego dnia”, tak jak należy. Wiedział, że Chrille patrzy za nim, gdy odchodził, czuł, jak spojrzenia starego kuratora z socjalu łaskoczą go w plecy.

Tak, tylko, kurde, dokąd teraz?

Co ma z tym fantem teraz zrobić?

Na policję, pomyślał. Prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu uznał za stosowne połączyć trochę po centrum, parę razy przejść się po galerii handlowej, żeby namierzyć jednego z tych lokalnych glin, których głównym zadaniem było pokazywanie, że tu są.

Znalazł jednego z nich koło tunelu podmiejskiej kolejki.

– Jest jeden typ, któremu powinniście bliżej się przyjrzeć – powiedział Rycerz. – Ten tu, naprawdę ciężkiego kalibru bandzior. – Zamachał artykułem pod nosem władzy porządkowej i wskazał wejście do Rycerza Jakoba. – Mówią na niego J.R., no wiesz, jak J.R. Ewing, i ja go tu widziałem, dokładnie tu, gdzie my teraz stoimy, autentycznie, przysięgam, jak tu stoję, a zaraz potem zdarzyło się to z moją córką. Czaisz?

– On też był zamieszany w zabójstwo Olofa Palmego? – Gliniarz uśmiechnął się. – A raczej, sorry, nie, to przecież nie było zabójstwo.

Rycerz przystąpił o krok bliżej i zniżył głos, to nie są sprawy, o których wykrzykuje się na środku placu.

– Ja nie mówię, że to on ją zamordował, ale to mógł być on, musicie zgarnąć tego skurwysyna i go zapuszkować.

– Pan będzie łaskaw się odsunąć.

– Ty co, nie słyszysz, co ci mówię?

Rycerz chwycił gliniarza za ramię, a ten odwrócił się natychmiast.

– Proszę się lepiej uspokoić, dobrze radzę.

Czy ten skurwysyn pies go pchnął, czy on sam się potknął? Rycerz wiedział tylko, że padł na plecy i wyrznął czaszką w beton. Zawył:

– Co, kurwa...!

Gliniarz stanął pochyłony nad nim i złapał go za rękę. Rycerz wierzgnął, zaczął się szarpać i kopać, żeby się uwolnić, odruchowo, miał to zakodowane w ciele, nigdy nie dać się złapać. A potem głos gdzieś z góry.

– Spokojnie, ja się nim zajmę.

Brodate ryło i znów pojawił się Chrille, wszedł między nich, jakby ciągle był z socjalu. Kiedy Rycerz trochę się pozbierał, gliniarz już zniknął, a w każdym razie dzielił ich przyjemny dystans.

– On mnie nie słucha, im to wisi – poskarżył się płaczliwie, gdy Chrille wziął go pod ramiona, podniósł i postawił pod kafelkową ścianą; Rycerz dygotał, zanosząc się płaczem. – Zabrali ją, kapujesz? Zabrali moje złotko, dziewczyneczkę, czemu musieli właśnie ją, przecież nic nie zrobiła...

– Uspokój się już, Rycerz, no, tylko spokojnie. Musisz się zgłosić teraz do przychodni, słyszysz, bo znowu ci się pogorszyło. Ja to widzę po tobie, jak się trzęsiesz, to nie wygląda dobrze, bracie.

Rycerz płakał. Człowiek ma chyba, kurde, prawo się wypłakać, czy to w tym kraju też już zabronione? Chrille zaprowadził go na ławkę do parku Wazy, gdzie mogli spokojnie posiedzieć.

– I jeszcze mnie nie było przy tym, kiedy ją chowali. Nie było ojca na pogrzebie. – Wysmarkał się w chusteczkę higieniczną, którą mu Chrille wetknął w rękę. – Pojechałem autobusem do Görvåln^[25], szedłem już do kaplicy i wtedy je zobaczyłem, no wiesz, moją młodszą córkę i Barbro, co kiedyś z nią byłem, tę, co się zaopiekowała dziećmi... Wyglądały tak elegancko. W żałobie, na czarno, jak trzeba, a ja przecież mam tylko tę starą kurtkę i... – Popatrzył na swoje spodnie, przejechał dłonią po brudnym materiale. – I weszły tam, no i... Zdaje się, że wsiadłem do autobusu tu, z powrotem. Przez godzinę można jeździć na ten sam bilet. To dobrze. Znaczy, że nie trzeba kupować nowego.

– To jest straszne, jak tak umierają – powiedział Chrille.

Rycerz zaczął niezdarnie rozwijać kanapkę, warzywa wypadły mu na ziemię. To miło ze strony Chrillego, że mu kupił kanapkę. Nie musiał. Ci z socjalu też pewnie nie mieli za tłustej emerytury.

– Wiesz chyba, że nikt nie będzie za tobą chodził i namawiał, jak za moich czasów – powiedział Chrille. – Sam musisz pójść i powiedzieć, że potrzebujesz

pomocy, rozumiesz? Musisz o to poprosić.

– Ja tam nikogo prosić nie będę – powiedział Rycerz. – Nigdy nie prosiłem.

I chyba jakieś parę godzin później, kiedy ktoś pomógł mu kupić małą butelkę Explorera^[26] i kiedy Rycerz wlał w siebie połowę jej zawartości – pod czaszką znów mu pojaśniało.

Wiedział już, co ma robić. Nikt inny palcem nie kiwnie. Temu chujowi nie może się upiec, choćby Rycerz sam musiał wybrać się do Hagalund i stanąć z gościem oko w oko.

Przetrzęsął swoje kieszenie. Miał trochę kart komunikacji miejskiej, które ludzie gubili tu i ówdzie. Małe niebieskie plastikowe kartoniki, które czasami były puste albo zablokowane, ale zdarzało się, że bywało na nich jeszcze siedemdziesiąt albo trzydzieści sześć koron, za które można było pojechać. Rycerz próbował kilka razy zmusić strażników w metrze, żeby dali mu tę kasę w gotówce, ale nie chcieli o tym nawet słyszeć, dlatego zbierał karty po kieszeniach, na wypadek jakichś niezbędnych podróży.

Ludzie schodzili mu z drogi. I może słusznie. Kiedyś, przed laty, zdobył trzecie miejsce w bokserkich mistrzostwach dzielnicy Järfälla, w wadze półciężkiej. To nie w kij dmuchał. Powiedział to zresztą do paru z tych bab, które z minami urażonych dziewczyc przeniosły się natychmiast na sam koniec wagonu.

Przesiadł się na Karlbergu. W końcu już parę razy w życiu przejeżdżał tą trasą, głównie po to, żeby zobaczyć, jak AIK^[27] gra u siebie, na starym stadionie Råsunda.

Poczuł ssanie w żołądku, przechodząc obok starego grilla koło stacji Solna, gdzie zawsze kupowało się kiełbaskę z tłuczonymi ziemniakami, potem wyrosły przed nim jasnoniebieskie prostopadłościany na wzgórzu tworzące osiedle Blåkulla. Zdarzyło się raz czy dwa, że mało co nie spadł, wspinając się po nagiej skale między wieżowcami, widocznie nie mógł znaleźć schodów. Po drugiej stronie wzniesienia, właśnie tam, gdzie pociągi wyjeżdżają z tunelu, leżały tereny przemysłowe Hagalund.

Były tam firmy, o jakich większość śmiertelników nigdy nie słyszała, wyginające rury lub kujące blachę i importujące części do silników jachtowych. Rycerz dowoził tam kiedyś, dawno temu, chleb do jakiejś stołówki, a potem jeden z jego kumpli mieszkał jakiś czas na zapleczu firmy lakierniczej, w szopie, gdzie było zimno jak diabli. Przypominał sobie, że szczali za jakimiś kontenerami, przez siatkę, i próbowali trafić w tory kolejowe. Skorzystał z okazji, by zrobić to także

teraz, a jednocześnie wlał w siebie wszystko, co jeszcze zostało w butelce.

Fabriksvägen. Tabliczka z nazwą ulicy tkwiła na mocno przekrzywionym słupie. Z hukiem przejechał jakiś pociąg. Koleś w czerwonej kurtce nie podał żadnego numeru, przynajmniej o ile pamiętał, Rycerz ruszył więc przed siebie, czytając kolejne szyldy.

I znalazł, już w drugim budynku.

Swede Security AB.

Piętrowy dom z żółtej blachy. Żaluzje były opuszczone, więc nie dało się zajrzeć do środka. Na podwórzu zobaczył kilka stosów palet i dwa ogrodowe krzesła z białego plastiku.

No i co teraz?

Jak już człowiek przejechał taki kawał drogi.

– Czego chcesz?

Jakiś głos za nim, gdzieś z podwórza. Rycerz odwrócił się. Zobaczył barczystego faceta z teczką w ręce.

– Szukam kogoś – powiedział Rycerz. – Swede... – Musiał przeczytać z szyldu, trochę jakby zbity z tropu. – ...Security.

– Kogo szukasz?

– Mówią na niego J.R., zdaje się... No wiesz, jak ten w Dallas.

Rycerz kompletnie stracił rezon i zaczął mamrotać pod nosem. Z biegiem lat wykształcił w sobie instynkt, dzięki któremu umiał odczytać sposób, w jaki ktoś podchodzi. To się słyszy po krokach, czy są neutralne, spokojne, takie przechadzkowe, czy prężne i agresywne. – Ja chciałem tylko z nim pogadać...

Mężczyzna podszedł bardzo blisko. To nie były przyjazne kroki.

– Chociaż to nic ważnego... – dorzucił Rycerz i odwrócił się, lecz facet jakby zastąpił mu drogę.

– Skąd znasz J.R.?

– Ja go nie znam, to nie tak, że jesteśmy jacyś kumple...

– Może mu sam to wytłumaczysz.

Rycerz usłyszał za plecami odgłos otwieranych drzwi i inny głos.

– O co chodzi?

Poczuł się jak hot dog między kawałkami bułki. Zrobił w tył zwrot i stanął oko w oko po raz drugi z tym samym facetem, dwa momenty, które spotkały się

w eksplozji, kiedy alkohol dotarł mu do mózgu.

– No, kurwa – powiedział – to ty. Poznają cię. Co masz do mojej Charlie, mojej małej córeczki, Camilli, coś jej, chuju, zrobił? – I pięść sama podskoczyła do góry, teraz skurwiel zobaczy, ale poczuł, że ręka mu więźnie w pół drogi, potem ktoś ją wykręca i nagle Rycerz stał zgięty z kolanem przy twarzy.

– Kto ty jesteś? – wysyczał tamten głos tuż nad nim. – I co ty wiesz o jakiejś Charlie?

– Ja nic nie wiem.

– To po co tu przylazłeś?

Wykręcona ręka pojechała wyżej. Rycerz krzyknął.

– Ktoś wie, że tutaj jesteś?

– Nie, nie, kurwa, chłopaki, nic nie powiedziałem...

A potem w ręce coś trzasnęło i pomyślał, po co mi było jechać do tej Solny, ktoś podciął mu nogi i ostatnie, co zarejestrował, to jak pada twarzą na żwir.

CARACAS 1978

Węże kłębiły się pod łóżkiem, tam były wszystkie jamy i przesmyki, i wpełzały na górę, po kołdrze, a potem miała je na całym ciele, coraz bliżej i bliżej twarzy, a ona wiedziała, że to jadowite węże, które spłynęły z deszczem z gór i przedostały się do środka przez mysie dziury i kanalizację, zaczęła bić wkoło rękami i obudziła się, a deszcz na dworze dalej lał jak z cebra.

Przelotny nocny tropikalny deszcz. Nad ranem wszystko wysychało, ale nocą ulicami pod hotelem płynęły rwące potoki, niosące blachę i tekturę, i wszelkie możliwe rupiecie ze slumsów wspinających się po zboczach gór dokoła stolicy Wenezueli, mówiło się, że widywano przepływające tymi strumieniami noworodki, nie wspominając już o węzach. Słyszała takie rzeczy w gorączce, przez cienkie jak papier ściany hotelu, gdzie w pokojach tłoczyli się uchodźcy, niewiedzący, co dalej mają ze sobą począć.

Sięgnęła po butelkę z wodą na nocnym stoliku i zobaczyła, że jest pusta. Z powrotem osunęła się na łóżko i w gorączkę, znowu w krainy pogranicza. Woda, w rzeczywistości lejąca się po szybach, zamieniła się w rzeki delty i ona znowu kołysała się w rybackiej łodzi płynącej przez noc. Tam znowu była Ing-Marie, ciągle tą, którą nazywano Vera. Wymiotowała na pokładzie, całkiem przestała istnieć, ta, którą była, opadała na samo dno. W ostatnim kręgu piekła stali zdrajcy na zawsze zamarznięci w rzece, po kolana albo po szyję, w zależności od tego, kogo zdradzili.

Fale pluskały o burtę. Gdy było słyhać jakiś motor albo rozbłysła jakaś latarnia, rybak skręcał w pierwszą lepszą wąską rzeczną odnogę, gdzie gęsta roślinność kompletnie ich ukrywała. Czasami dostrzegała słabe światła domów leżących w ciemności na brzegach, huśtającą się lampę naftową albo żar z papierosa, na chwilę wyłonił się księżyc, oświetlając chybotliwe pomosty z drabinami schodzącymi do wody. W delcie nie było żadnego systemu orientacji, odnogi rzeki wciąż się krzyżowały, godzina za godziną, aż rybak wyłączył silnik i przez ostatni kawałek wiosłował ku brzegowi Urugwaju.

Mężczyzna pobłogosławił ją znakiem krzyża i dał jej resztę swojego prowiantu, napełnił butelkę wodą pitną z kanistra. Potem patrzyła, jak łódź odpychana wiosłem z powrotem pogrąża się w mroku, a wraz z nią miało zniknąć jej imię,

pragnęła, żeby utonęło i umarło.

Były tam samochody, które mogły ją podwieźć, i autobusy, w których nikt nie pytał o nic innego jak gotówka. W jakimś miasteczku wymieniła swoje argentyńskie pesos, wiedziała, że musi jak najszybciej przedostać się do Brazylii. Wojskowy rząd Urugwaju współpracował z argentyńską juntą, a Tupamaros, jak nazywano tamtejszą guerillę, byli od kilku lat rozbrojeni, a w każdym razie siedzieli po więzieniach, za to Brazylia była niewyobrażalnie wielka, kraj dżungli, rzek i gór, i jeśli przemierzy ją z południa na północ, to już nikt jej nie znajdzie, żadne wojsko, ani nawet Ramón. Kolejne autobusy i obskurne hotele, w których raz po raz wymyślała samą siebie od nowa, podczas gdy pył i glina przenikały pod jej ubranie, tak że w końcu już nie było sensu próbować się domyć, a komary wciąż cięły; któregoś wieczoru siedziała z dwudziestoma czterema na ramieniu i pozwoliła im ssać, aż opite same odleciały.

Być może kiedy dotrze do kresów Brazylii, będzie знаła już dla siebie jakieś wyjście, o ile tylko nie zostanie aresztowana lub zamordowana gdzieś po drodze. W czasie długich podróży rozklekotanymi autobusami i w szoferkach samochodów ciężarowych zastanawiała się, kogo wtedy uznano by za zmarłą. Claudię Viehhauser czy Ing-Marie Sahlin? Poczucie, że Ing-Marie już nie istnieje, może nie było jej nawet tamtej nocy na rzece. Utknęła w hotelowym pokoiku w La Boca, skazana na wieczne powroty do tej samej chwili, do momentu, gdy uświadomiła sobie, że ten, którego kocha, nie istnieje, on nie jest tym, za kogo go uważa. Kłamstwo, poczucie, że jest jego marionetką; do momentu, który nazwała zwątpieniem, lecz który był pewnością, tak wyraźnym uczuciem w karku i wzdłuż kręgosłupa: uciekaj stąd, ratuj, kogo możesz, sama siebie ratuj. Ale ona odtrąciła tę myśl, zamknęła oczy i wtuliła się w jego objęcia, po to, żeby jego ramiona wokół niej powiedziały jej coś innego.

Na wysokości stolicy, Brasílii, którą mijają, przecinając jej przedmieścia, musiała bić się, żeby uwolnić się z rąk mężczyzny wiozącego pick-upem trzcinę cukrową, i aż zdziwiła się, że jest w niej jeszcze jakaś wola życia.

A potem Wenezuela. Dżungla zdawała się nie mieć końca, gęstniała w mrok, który wydawał jej się znajomy z dzieciństwa, z lasów, gdzie światło nigdy nie przebijało się do końca.

Kiedy dotarła wreszcie autobusem do Caracas, w jakieś trawione gorączką popołudnie, znalazła hotel przy pomocy spotkanej pod dworcem prostytutki, którą wynagrodziła paroma ze swoich ostatnich dolarów. Zameldowała się jako Claudia Viehhauser i padła na łóżko, gdzie już została, leżąc pośród głosów wędrujących

przez ściany i deszczów huczących nocami. Usiłowała przywołać obraz dzieci, tego zdjęcia, które zgubiła gdzieś po drodze. Już nie wiedziała gdzie, w więzieniu, na rzece? Tamto zdjęcie, przykuwające ją do pewnej szczególnej chwili, gdy kupiła im białe sandały, chociaż nie było jej na to stać. Jak bardzo się ucieszyły. Takie buciki dostała kiedyś sa-ma, jako dziecko, na Walpurgię. Ich twarzyczki były tą samą twarzą. Zdarzało się, gdy majaczyła w gorączce, że ich głosy mówiły przez ściany i wpełzały przez dziury pod łóżkiem, nazywały ją mamą i rozbiegały się po pokojach i korytarzach, gdzie ona sama błądziła przez parę nocy, szukając jakiejś całej toalety.

Trzeciego dnia gorączka opadła.

Wyszła na miasto, żeby w najbliższym sklepie kupić coś do jedzenia, parę butelek wody. Ulice wyschły na słońcu i nie było śladu po nocnych powodziach, jakby ten deszcz także istniał jedynie w jej głowie. Uciekła z powrotem do hotelu.

Znajdowało się w nim wspólne pomieszczenie, gdzie można było coś sobie podgrzać i zjeść, wokół stolika siedziało czterech mężczyzn grających w karty, samotna kobieta w kącie i starszy człowiek trzęsący się strasznie, gdy usiłował przeczytać gazetę. Nikt jakby jej nie zauważał.

Usiadła przy jednym ze stolików, twarzą do ściany. Jak potępiona dusza podsłuchiwała żywych, nieświadomych jej obecności.

Mężczyźni, którzy wiedzieli, co mówią, akcenty z wszystkich stron tego nieszczęśliwego kontynentu.

– ...a trochę dalej na południe możesz przejść bez ryzyka do Kolumbii i dołączyć do partyzantki, FARC rządzi tam na terenach po obu stronach, pogranicznicy boją się wystawiać nosa...

– Ja tam postanowiłem dostać się do Stanów, przez Kostarykę...

– CIA jest też w Caracas, mają tu lepsze układy, niż ludziom się zdaje, a prezydent korzysta z pomocy, żeby usadzić lewicową opozycję, Pérez to niezły lawirant...

Pojawiło się więcej głosów, czy to przez ściany, czy może były w tym pokoju. Claudia jadła małymi kęsami, powoli, żeby znowu przyzwycząić ciało do jedzenia.

– ...ludzie w miastach nigdy się nie zjednoczą wokół idei rewolucji, są na to zbyt rozproszeni i wychowani w egoizmie, to widać także w Argentynie...

– ...łodzią na Karaiby, na przykład na rok, i tylko leżeć brzuchem do góry na plaży.

– ...ale gdyby klasa średnia nie przymykała oczu...

Nikt nie spostrzegł, kiedy kobieta nazywająca siebie Claudią opuściła pokój, jak biała cień. Głosy towarzyszyły jej jeszcze na korytarzu.

– ...w Kolumbii guerilla stoi po stronie biedoty, to nie jest tylko pusta marksistowska retoryka i kult Che...

Nazajutrz miała dosyć siły, by stanąć w kolejce pod prysznic. Zobaczyła swe sterczące żebra, co jej nieomal sprawiło satysfakcję, jako część ponoszonej kary. Miała blizny na klatce piersiowej, po tym, co z nią robili. Podeszwy stóp już się zagoiły, lecz pokrywały je pamiątki. Jak abstrakcyjne linie w dziele sztuki, nieregularne znamiona i wyźłobienia. Bólu już nie pamiętała, choć tego pragnęła.

Znajdowało się tam także lustro.

Zobaczyła swoją powierzchowność, lecz nie to, co kryło się pod nią. Tego nie było widać. Gdzieś w północnym Urugwaju pofarbowała sobie włosy na czarno i powtórzyła procedurę po kilku tygodniach w Brazylii, ale teraz znów miała odrosty.

Wyszła na ulicę z myślą o śniadaniu i farbie do włosów, lecz poszła tylko przed siebie. Wiatr przynosił zapachy znad Morza Karaibskiego, które leżało za górami. Błądziła bez celu po Caracas, aż doszła do zielonej, ekskluzywnej dzielnicy o nazwie Country Club.

Wtedy zobaczyła ją na tle nieba, szwedzką flagę kołyszącą się nad jakimś domem.

Po sąsiedzku leżało pole golfowe. Musiała stanąć i popatrzeć, widziała ludzi w białych strojach, którzy powoli przemierzali to bajecznie zielone pole, mały wózek golfowy, który przemknął obok. To było absurdalne, widzieć pole golfowe w mieście, gdzie slumsy wspinały się po zboczach gór coraz wyżej. Ale nie dziwiło. Miała dokoła siebie błyskawiczne fortuny zbite na ropie naftowej, nowe sportowe auta tłoczące się z gruchotami z lat pięćdziesiątych, wszędzie wysokie dźwigi budujące nowe Caracas z nafty i piąćdziesiątego rauszu.

– Przepraszam, szuka pani kogoś? – Wyłonił się jakiś strażnik. Nie spostrzegła, jak blisko podeszła do wielkiej willi ze szwedzką flagą. Budynek nie był ogrodzony, ale strażnik nosił broń, cofnęła się odruchowo. Na widok munduru zaczęła się trząść. Musiała sobie przepowiedzieć w duchu, że Wenezuela to demokracja, a nie dyktatura, nikt jej nie aresztuje na ulicy.

– Czy to jest szwedzka ambasada? – wydusiła z siebie.

– Nie, to jest rezydencja pana ambasadora, jego prywatne mieszkanie. Biuro leży w centrum.

– Wie pan gdzie?

Wzruszył ramionami.

Odwróciła się, żeby odejść, gdy nadjechało jakieś auto i zatrzymało się zaledwie ze dwadzieścia metrów dalej. Volvo, jej serce gwałtownie przyśpieszyło, kiedy odkryła, że to volvo!

Szofer wysiadł i otworzył tylne drzwi, zobaczyła, jak wysoki mężczyzna w środku pochyła się, aby też wysiąść. Był w garniturze i miał krawat, osoba bez wątplenia oficjalna, a ze sposobu, w jaki strażnik się wyprężył, Claudia wywnioskowała, że to być może szwedzki ambasador; samochód też zdobiła flaga, to musiał być on.

Mogę podejść – pomyślała – mogę zagadać do niego po szwedzku, mogę powiedzieć, że jestem Ing-Marie Sahlin, która potrzebuje pomocy, żeby wrócić do Szwecji i połączyć się z dziećmi, że byłam uwięziona w Argentynie i uciekłam przez Brazylię, a wtedy on zapyta mnie, jak udało mi się uciec...

Zaschło jej w ustach. Musiała pochylić głowę i dotknąć swoich włosów, przestąpić kilka razy z nogi na nogę, żeby znaleźć jakieś oparcie w sobie samej.

Ambasador wysiadł już z auta. Rozmawiał teraz z szoferem i nie widział jej. Niewyraźnie, jakby stał o wiele dalej, dobiegła ją jakby śpiewna melodia szwedzyczny.

Mogę powiedzieć, że jestem turystką, która miała pecha trafić na mężczyznę, który mnie oszukał, że mieliśmy zrobić dla świata coś dobrego, ale wyszło inaczej i że jestem z tego powodu zrozpaczona, i że mam nadzieję, że ci, których zabiłam, będą mogli mi kiedyś wybaczyć... Ale to przecież niemożliwe, prawda?

A potem ujrzała, jak szwedzki ambasador idzie w stronę drzwi, i nie była w stanie nic zrobić, ani zawołać, ani się poruszyć. Ulice znów obeschły po nocnym deszczu, lecz miała wrażenie, że stoi po szyję w płynącej rzece, skamieniała.

I widziała, jak w wejściu wita go pies, a potem ambasador zniknął w środku.

– Chciała pani coś jeszcze? – spytał strażnik.

Pokręciła głową i odeszła.

Trzy razy myliła ulice, zanim trafiła z powrotem do hotelu. Po drodze kupiła sobie arepę z serem i ruszyła prosto do wspólnej sali. Przy środkowym stoliku siedzieli rozparci, paląc papierosy, ci sami mężczyźni co wczoraj.

– Słyszałam, jak ktoś opowiadał, jak się przedostać do Kolumbii – powiedziała, a oni powoli obrócili głowy w jej stronę.

Spojrzenia mierzące z dołu do góry jej wychudzone ciało. Widzieli ją, a więc jednak ją widzieli, i któryś wysunął krzesło. Ktoś poczęstował piwem.

– Jestem Claudia – powiedziała.

Wokół stolika każdy burknął swoje imię. Posmakowała piwa, gorzkiego w smaku, i znowu była częścią czegoś.

BOGOTA

2014

Odkąd pamiętała, zawsze zerkała na tablice z nazwiskami trzymane wysoko w górze przez oczekujących w hali przylotów. Było w tym coś ekskluzywnego, jakaś tęsknota za tym, aby być wśród osób odbieranych specjalnie zamówionym samochodem. Po tej zazdrości nie było teraz ani śladu. Helene patrzyła na szereg szoferów czekających w hali przylotów w Bogocie i pomyślała, że przypominają więziennych klawiszy, nazwiska na tablicach to skazańcy, których mieli zabrać.

Gdy zobaczyła swoje nazwisko na samym końcu szeregu, tym samym dobiegła końca krótka noc jej wolności.

Jeden z ludzi Ramona eskortował ją do samej bramki. Musiał wykupić jakiś bilet albo kogoś przekupić, żeby upewnić się, że weszła na pokład samolotu. Polecieli wysoko nad Amazonią, oddalając się od wschodu słońca, który dzięki temu trwał niezwykle długo, a jedyne, co była w stanie powiedzieć stewardesie, to „czy mogłabym poprosić o szklankę wody”.

Teraz stał tam kierowca, podnosząc wypisaną ręcznie tabliczkę, a ona zdawała sobie sprawę, że on także jest opłacany przez Ramona. Czuła niemal obecność jego oddechu, kiedy podchodziła.

Mężczyzna był niższy, niż jej się z początku zdawało, i starszy, tuż po pięćdziesiątce. Posiwiiałe skronie, a pod nosem szczecina, najwyraźniej zaczątek wąsów.

Nogi miała z ołowiu, kiedy przystanęła.

– To ja – powiedziała po angielsku, wskazując na tabliczkę.

Uśmiechnął się, obnażając przy tym kilka zepsutych zębów.

– Witamy w Kolumbii.

Ruszył w stronę wyjścia, ignorując kompletnie jej bagaż, co potwierdziło to, co już wiedziała. Że nie jest żadnym szoferem.

Helene położyła walizkę obok siebie na tylnym siedzeniu. Ludzie Ramona pozwolili jej zabrać ją z hotelu, stali przy drzwiach, kiedy się pakowała. Swojej komórki już więcej nie zobaczyła. To o niej myślała, kiedy jechali o wiele za szybko autostradami w stronę Bogoty, gwałtowne zmiany pasów ruchu, drapacze

chmur i miejskie tsunami, które ją zalało. Nad ścianą gór na wschodzie wisiały chmury, zlewając się ze spalinami wielomilionowego miasta w szarą mgłę.

Nikt nie wiedział, gdzie Helene teraz jest. Nie miała szansy powiadomić rodziny. Ile czasu zajęłoby wydobycie list pasażerów od linii lotniczych, aby znaleźć jej ślad w przypadku, gdyby zaginęła? Kolumbijskie rekordy: najwięcej morderstw i porwań w Ameryce Południowej, najdłuższa wojna domowa na świecie, najgęściej zaminowane obszary, miejsce w pierwszej dziesiątce najniebezpieczniejszych krajów świata. Czy jeszcze coś powinna wiedzieć?

– Warto odwiedzić także Cartagenę, to najpiękniejsze miejsce na ziemi, to jest raj, musi pani zobaczyć trochę więcej Kolumbii, skoro pani tu jest!

Nazywał się Lucho Velosa. Cały czas zerkał na nią we wstecznym lusterku obwieszonym błyskotkami, z medalikiem jakiegoś świętego i krzyżykami dyndającymi na łańcuszkach.

Nie chcesz w nim mieć wroga. Lucho Velosa to jeden z tych, którzy bronili kraju przed guerillą, nie lubi ani partyzantki, ani armii narodowej, ani tych śmiechu wartych prezydenckich prób negocjacji pokoju. On jest niezależny.

Samochód skręcił z trasy głównej i domy stały się mniejsze, nabrały kolorów, żółci, błękitu i zieleni, dachy były bardziej spadziste i ceglastoczerwone, ulice węższe.

– La Candelaria – powiedział Lucho Velosa i znowu spojrział na nią w lusterku. – Stare miasto. To serce Bogoty, ale lepiej niech pani nie wychodzi i nie spaceruje tu wieczorami.

Helene patrzyła, jak mijają kolejne, wspinające się po zboczach góry wieloletnie kwartały, ślady hiszpańskiego panowania. Zastanawiała się, co kierowca właściwie miał na myśli, ostrzegając ją przed wychodzeniem, czy zagrożenie tam, na zewnątrz, mogło być większe. Lucho Velosa był kiedyś członkiem prawicowych sił paramilitarnych, swego rodzaju prywatnego wojska, które swego czasu zostało wyposażone przez państwo w celu zwalczania guerilli i ochrony posiadłości ziemskich. Używali pił łańcuchowych w krwawych masakrach na cywilach, o czym Ramón nie omieszkał jej poinformować.

Samochód skręcił na podjazd przed okazałym domem kolonialnym z nazwą hotelu i pięcioma złotymi gwiazdkami na fasadzie. Były najemnik odwrócił się do niej z uśmiechem.

– Teraz chce pani pewnie wykąpać się po podróży?

Z okna swojego pokoju Helene widziała jak okiem sięgnąć ciągnące się we

wszystkie strony miasto. Osiem milionów ludzi na andyjskim płaskowyżu otoczonym przez góry i rzeki. Na nocnym stoliku stał telefon. Helene położyła rękę na słuchawce, lecz nie zdobyła się na to, by ją podnieść. Żeby powiedzieć co? „Cześć, po drodze zahaczyłam o Kolumbię...?”

Czy mogli podsłuchiwać jej rozmowy? Czy ludzie Ramona przekupili portiera w recepcji? Niewykluczone. Nie wiedziała. Wciąż czuła tę obecność, czuła, że ciągle jest we władzy Ramona, z opaską na oczach, bezsilność, która wżerała się w jej ciało i paraliżowała wolę.

Godzinę później wzięła już prysznic i udało jej się znaleźć parę czystych ciuchów. W walizce miała kłęb ubrań wrzuconych pośpiesznie, czystych i używanych. Patrzyła na nie i nie poznawała sama siebie.

Ni stąd, ni zowąd myśl, że powinna ubrać się wyjściowo, tylko po co?

Lucho Velosa siedział w holu na dole i czekał. Na pewno było jakieś tylne wyjście. Tej myśli nawet nie domyślała do końca.

Boy hotelowy uprzejmie otworzył przed nimi drzwi i życzył miłego dnia.

– Dokąd teraz? – Helene wzięła ze sobą i kurtkę, i dodatkowy sweter, chociaż musiało być około dwudziestu stopni. Spodziewała się, że znowu zostanie wsadzona do wozu i wywieziona gdzieś na kolumbijską prowincję, przez lasy i góry, i plantacje koki, już widziała przed sobą pola minowe i podróźnych porywanych na odludnych drogach, wysadzone w powietrze mosty.

– Nie tam, tu idziemy – powiedział Lucho Velosa i ruszył w górę ulicy.

– Nie pojedziemy samochodem?

– Nie trzeba nam samochodu, żeby dojść na róg Czwartej i Siódmej ulicy.

Droga robiła się coraz bardziej stroma, prowadziła w stronę gór wysokości ponad trzech tysięcy metrów, jak wyczytała w przewodniku, który jej wczoraj pozwolili kupić na lotnisku. Minionej nocy Helene uczyła się mapy, próbowała ogarnąć strukturę miasta. Rozciągnięte wzdłuż pasma gór, z najbiedniejszymi przedmieściami na południu i bogatymi na północy. Myślenie o mapie i ustalanie, dokąd zmierza, to jedyne, co teraz dawało jej trochę spokoju. W Bogocie wszystkie ulice są ponumerowane. Cyfry to coś dokładnie zdefiniowanego, zawsze łatwo zapadały jej w pamięć.

Hotel leżał przy ulicy Dziesiątej. To była prosta matematyka. Róg Czwartej i Siódmej, powiedział. A więc tam miała mieszkać kobieta nazywająca się Claudia Viehhauser. Helene poczuła, że brakuje jej tchu, zaczęło jej kręcić się w głowie. A zatem trzy ulice stąd, a potem parę przecznic w drugą stronę, straciła rachubę.

– Myślałam, że guerilla FARC siedzi w górach i na prowincji – powiedziała.

– Jasne, oczywiście – przytaknął – ale w mieście też się ukrywają, prowadzą nabór na południowych przedmieściach.

Lucho Velosa szedł przodem, lekko rozkołysanym krokiem, dlatego kosztowało ją trochę wysiłku, żeby usłyszeć, co mówi.

– A odkąd zaczęli zarabiać wielkie pieniądze na kokainie, ktoś musi przecież zająć się także finansami. Kupować broń, inwestować, pracować pieniądze... nie tak łatwo załatwić to wszystko spod jakiegoś krzaka w Putumayo. A *commandantes* najwyraźniej lubią te stare domy w La Candelaria, w papierach figurują jakieś narzeczone, a oni jeżdżą sobie do miasta, mogą tu dobrze zjeść, zabawić się w Zona Rosa...

Lucho przystanął na rogu. Przewody elektryczne tworzyły gęstą sieć nad ich głowami, Helene niemal słyszała, jak się iskrzą i śpiewają.

– Ja sporo wiem o tym, jak oni żyją w lesie – powiedział. – Nie żenią się, tam, na frontach, nie ma nic kościelnego, ale słyszałem, że młodzi rekruci modlą się wieczorami do Che, kochany dobry Che, któryś jest w niebie... – Zaśmiał się i wydłubał coś spomiędzy zębów. – Kobiety mają być zawsze do dyspozycji, mają rozpisane grafiki, to sprytnie wymyślone, określone pory, żeby młodzi *guerilleros* dostali, czego potrzebują. To wzmacnia też w wojsku morale, bo nie biją się między sobą. A jak chcą związać się na serio, to muszą składać podanie, ale ja myślę, że taki *commandante* to bierze sobie, którą chce...

Obnażył zęby w szerokim uśmiechu. Helene odwróciła głowę i zobaczyła szyld, już się zbliżali.

– Więc Claudia... sądzi pan, że...?

– *Señor commandante* zginął w ataku gdzieś pod granicą wenezuelską siedem lat temu, znaczy jej mąż, czy jak tam oni się nazywają. Dowodził jednym z frontów w zonie wschodniej.

Jakaś starsza kobieta w czerni idąca z naprzeciwka była zmuszona zejść między samochody, by ich minąć. Chodnik był wąski, a Lucho Velosa nie należał do takich, którzy ustępują miejsca.

– Ale, jak mówię, to Claudia Viehhauser figurowała w umowie – powiedział. – O tam, na rogu Siódmej.

Biały dom. Niebieskie drzwi chronione żelazną kratą. Okna z ciemnego drewna, łamany dach kryty dachówką. Poczula zawrót głowy, zabrakło jej tlenu. Miasto leżało na wysokości co najmniej dwóch tysięcy metrów nad poziomem morza

i powietrze było tak rozrzedzone, jakby go wcale nie było. Helene musiała się schylić, żeby przestało jej wirować w głowie. Nie da rady dojść do tego domu, nie miała co do tego wątpliwości, a w każdym razie nie dziś.

Potem poczuła lekkie pchnięcie w plecy i mimowolnie zrobiła krok z chodnika na jezdnię. Zawrzeszczał klakson, odskoczyła przed nadjeżdżającą furgonetką.

– Dobrze jest się rozejrzeć, nim pani przejdzie przez ulicę – powiedział Lucho Velosa, który sam stał na chodniku.

– Nie pójdzie pan ze mną?

– Żeby zapukać do drzwi FARC–EP^[28]? – Lucho Velosa wyrzucił wykałaczkę, którą dłużył w zębach. – Nie sądzę.

Podał jej jakąś wizytówkę. Helene spojrzała na nią, Luis Velosa, *Investigador privado*.

– Żeby pani wiedziała, gdzie mnie znaleźć – powiedział i uśmiechnął się, pokazując brunatne zęby w głębi. – Gdybyśmy przypadkiem się zgubili.

Potem się ulotnił.

Helene stała z wizytówką w ręce i nagłą wolnością przed sobą. Naprawdę odszedł? Po raz pierwszy, odkąd wciągnięto ją do samochodu przed hotelem w Buenos Aires, była sama, bez nadzoru. Mogłabym pobiec, pomyślała.

Nie, nie pobiec, bo wtedy zużyję tę resztkę tlenu, jaka jest, ale pójść, zniknąć stąd, idąc po prostu przed siebie.

Powoli zbliżyła się do tamtego domu. Nie odważyła się przystanąć pod nim. Okiennice były zamknięte, nie dało się zajrzeć do środka. Minęła drzwi, rzuciła tylko okiem. Chyba nie było żadnej tabliczki z nazwiskiem.

Szła dalej, prosto ulicą Siódmą i dalej, byle dalej stamtąd.

– Stop, ej, ty! Stój, halo!

Z góry dobiegały ją wołania, gwizdy. Zobaczyła grupę mężczyzn z nagimi torsami, robotników naprawiających dach, paru z nich siedziało na rusztowaniu, majtając nogami. Najwyraźniej krzyczeli i gwizdali za nią. Helene uznała to za chamskie zaczepki, tego jej teraz tylko brakowało, latynoskich *machos*, nie zatrzymała się.

– Nie, nie idź tam, *señora!* Złodzieje, *muy peligroso*, tam jest niebezpiecznie!

Nie tylko krzyczeli, pokazywali także jej torebkę i wskazywali głowę, boksujące w powietrzu pięści. Helene zrozumiała, że ją ostrzegają, nie powinna iść dalej, po drugiej stronie Siódmej najwyraźniej czyhają różne zagrożenia. Przypomniała

sobie, co przeczytała w przewodniku o dzielnicach, których lepiej unikać. Wymamrotała „dzięki” i zrobiła w tył zwrot, lecz nie była pewna, czy naprawdę jest wdzięczna. Teraz musiała znowu przejść koło tamtego domu, miała poczucie, że ci robotnicy uczestniczą w spisku, który ma na celu za wszelką cenę ją tam doprowadzić.

Stała przed wejściem.

Podniosła rękę i opuściła ją z powrotem. Zrobiła głęboki wdech. Wreszcie zastukała. Drzwi otworzyły się szybko, jakby ktoś za nimi czekał, może stał i patrzył na nią, jak się waha.

Młody chłopiec, nie mógł mieć więcej jak szesnaście, siedemnaście lat, choć wyraz jego twarzy wskazywał na więcej.

Na dnie jego oczu było coś martwego.

– Czego pani chce? O co chodzi?

– Szukam Claudii Viehhauser – powiedziała Helene.

Hiszpański zadomowił się w niej przez ostatni tydzień. Zrozumiała, o co zapytał, umiała mu odpowiedzieć. Tutejszy akcent był poza tym miększy, łatwiejszy do zrozumienia niż ten w Argentynie.

– Tu nie ma nikogo – powiedział i wysunąwszy trochę głowę, spojrzał w dół, potem w górę ulicy, mrużył oczy od światła. – Czego pani od niej chce, od kogo dostała pani ten adres?

Helene otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, wciąż jeszcze trawiąc to, co usłyszała. Nie znalazła żadnych hiszpańskich słów, żadnych słów w ogóle. Odpowiedział jej w czasie teraźniejszym. Claudii tam nie ma, ale wcześniej była, albo jest, a on kłamie, lecz tak czy owak, wszystkie te alternatywy znaczyły jedno.

Ona żyje. I to jest jej adres.

Znów zakręciło jej się w głowie, zachwiała się. Chwyciła za kratę przy drzwiach, trochę za blisko jego twarzy. Chłopak drgnął gwałtownie.

– Cofnij się! – wrzasnął, a jego prawa ręka zniknęła za jego plecami, w zastygłej chwili jak w stop-klatce zrozumiała, że chowa tam broń, za paskiem zielonych workowatych spodni, za dużych jak na jego szczupłe ciało. Jego głos był głosem mężczyzny, oczy mu się rozszerzyły.

– Odejdź od drzwi. Kim pani jest? Czego pani tu chce?

Helene cofnęła się o dwa kroki i potknęła się na krawędzi chodnika, młody chłopak czekał coś dalej, ale ona nie rozumiała, szła już w innym kierunku,

jakimkolwiek, byle odejść. *Widzisz przecież, że idę, już nic nie chcę, niczego tu nie chcę, niczego.*

Parę przecnic dalej na północ przysiadła w jakiejś restauracji, która zdawała się bezpieczna. Może widziała jej nazwę w przewodniku albo lokal wydał się jej w jakiś sposób znajomy. Może menu, dania meksykańskie, przypominały piątkowe domowe kolacje. Siedzieli w niej backpackersi w szerokich spodniach i rozmawiali po norwesku i angielsku, nogi wyciągnięte na kanapach, iPady na stolikach i indiańskie malowidła na ścianach.

Dyskusje toczące się wokół niej.

– Naprawdę nie zaplanowałaś sobie Medellín? – Jakaś młoda kobieta, Brytyjka. – Ale koniecznie musisz tam pojechać, nocne życie w Bogocie to jest nic w porównaniu z Medellínem, to było szaleństwo.

– Mówią, że tam jest niebezpieczniej niż w Bogocie. – Typowa norweska intonacja.

– No wiem, wiem. Jeden chłopak, którego tam poznałam, nie masz pojęcia, co on zrobił. Przyszedł do domu nad ranem, jeszcze ostro nafazowany: „Wiecie, co zrobiłem?” – mówi. „Pieprzyłem się z dziewczyną swojego dilera, on mnie zajebie, jestem trup!” Musisz się zmywać stąd, mówimy. Kapujesz, to jest Medellín, miasto Pabla Escobara. I jak myślicie, co on zrobił jeszcze tamtego wieczoru?

– No, co?

– Jeszcze raz to samo!

Helene połknęła dwa paracetamole na ból głowy i odgrodziła się wewnątrz od ich śmiechów, od ich leniwej i nieco chełpliwej wspólnoty. Zjadła talerz nachos i wypila szklankę soku z mango i gujawy. Cały czas miała przed oczami tamten biały dom, pomalowane na niebiesko drzwi. Usiłowała wywołać obraz osoby, która znajduje się, czy znajdowała, za nimi, lecz nie zdołała zobaczyć jej twarzy. To jakby myśleć o sobie samej w późnym wieku, sześćdziesiąt trzy lata, tak się nie da.

Weszła do toalety i opłukała sobie czoło zimną wodą. Nikt jej nie widział. Nie było żadnych opasek na oczy i żadnych strażników, mogłaby teraz uciec. Poprosić restaurację o zamówienie taksówki, pojechać prosto na lotnisko, uciec stąd, do domu, do Jockego i dzieci, i nigdy więcej już ich nie opuszczać. Ale mimo wszystko. Tu nie chodziło tylko o groźbę Ramona, o to poczucie, że nigdy przed nim nie ucieknie, bo on potrafi znaleźć ludzi gdziekolwiek są, choćby się ukrywali przez trzydzieści pięć lat, i ją też by znalazł.

Nie tylko o to.

Chodziło też o tę twarz w lustrze, kości policzkowe, usta, o to, że zawsze zdarzały się chwile, gdy odnosiła wrażenie, że widzi kogoś obcego. Bicie serca w środku, głos będący jej głosem. Jesteś teraz tak blisko.

Dlatego po wyjściu z łazienki podeszła do backpackersów, wybrała na chybił trafił Norweżkę, która podobno nie była jeszcze w Medellinie, i zapytała, czy nie mogłaby pożyczyć od niej komórki, za godziwą cenę.

– To będzie tylko rozmowa lokalna, jak chcesz, sama możesz wybrać numer.

Podawała wizytówkę dziewczynie, która jedynie machnęła ręką, że nie trzeba.

Lucho Velosa odpowiedział po pierwszym sygnale połączenia.

– Claudii nie ma w domu – powiedziała Helene. – Co mam teraz zrobić?

Błysnęło złotem, kiedy słońce wzeszło za górami i przebiło się przez warstwę smogu nad Bogotą. Helene obudziła się wcześniej, gdy jeszcze było ciemno, a teraz stała w oknie i patrzyła na blaszane dachy błyszczące w porannym słońcu, całe dziesiątki kilometrów, aż po horyzont. Gdzieś tam, pomyślała, jeden jedyny człowiek ukryty wśród ośmiu milionów, albo dziesięciu, licząc z wszystkimi niepoliczonymi, tu człowiek nie jest igłą w stogu siana, tylko pyłkiem kurzu.

Przeczytała już teraz dokładniej rozdziałik o bezpieczeństwie. Po śniadaniu, przygotowanym przez kucharza, który stał i komponował omlety i siedem rodzajów świeżych soków owocowych, poprosiła w recepcji o zamówienie taksówki.

Uprzejmy boy przy drzwiach frontowych był zdania, że powinna zostać w Kolumbii dłużej, tak by mogła zobaczyć także Cartagenę. Nie pozwolił jej wsiąść do taksówki, dopóki szofer nie potwierdził otrzymanego kodu. Trzeba mieć pewność, że podjechał właściwy samochód, nie jakiś inny, który mógłby zawieźć ją... Bóg wie gdzie.

Biuro Lucho Velosa mieściło się trzynastą przecznic dalej, tam gdzie kończyły się stare kwartały, a zaczynało brutalniejsze i bardziej szare miasto.

Helene znalazła go na pierwszym piętrze. Zdziwiło ją, że biuro jest tak dobrze zorganizowane, z szyldem na drzwiach, segregatorami i szafą kartotekową. Na ścianie wisiał kalendarz z Miss Colombia, obok mapa kraju i obraz z jakimś świętym.

– Pokój się pani podobał? Mówią, że dają tam najlepsze śniadanie w Bogocie.

Lucho Velosa siedział za biurkiem, huśtając się na krześle i ściskając w ręce ołówek, którym dziobał swoją otwartą dłoń, za każdym razem krzywiąc twarz w grymasie.

– Dobrze, że przysłała pani do mnie – powiedział. – To nie jest miasto dla samotnych kobiet, łatwo można zabłądzić i trafić w niewłaściwe okolice.

– Poza tym przecież nie wiem nawet, gdzie mam szukać.

Helene usiadła po chwili wahania. Miała poczucie, że ją obserwował cały czas, dokładnie wiedział, gdzie chodziła.

– No cóż, to nie jest tak, że wystarczy podnieść słuchawkę i zadzwonić – rzucił.

– Nierejestrowane karty pre-paidowe, oni zmieniają telefony... Zdobyłem

przedtem adres e-mailowy, ale też jest nieaktualny.

Velosa przeważył krzesło, aby opadło w przód, wyjął z szuflady plik papierów i rozłożył je zręcznie na biurku, mniej więcej tak, jak się rozrzuca talię kart.

– Więc gdzie ona jest, nasza kochana Claudia Viehhauser?

Były to wydruki z kolorowej drukarki. Helene pochyliła się nad nimi. Zdjęcia ulic, samochodów i drzwi, ale zawsze z jedną postacią w centrum. Kobieta w jasnym płaszczu, pod chustką włosy wyglądające na siwe. Helene próbowała zobaczyć coś, co by rozpoznała, ale drukarka nie była najlepsza. Na jedynym zdjęciu zrobionym z przodu połowę twarzy zasłaniały okulary przeciwsłoneczne.

Życie Claudii Viehhauser wydawało się ściśle uregulowane. Banalne życie wdowy z klasy średniej, bez żadnych większych niespodzianek, przynajmniej takich, które mógłby dostrzec ktoś, kto poświęcił całe tygodnie na obserwację przed jej domem i wykorzystał wszystkie swoje kontakty, aby to życie przeświecić.

– Nawet żadnego kochanka – burknął Lucho Velosa i napomknął coś o tych młodych ochroniarzach, którymi się otaczała, być może baba była z tych, co to... Wyszczrzył zęby do Helene, która uparcie wpatrywała się w fotografie.

W każdą środę wizyta w banku. W czwartki spotkanie z adwokatem. Co drugi tydzień fryzjer. O zakupy spożywcze Claudia nie musiała się troszczyć, zajmowała się nimi zatrudniona przez nią Wenezuelka. Co pewien czas służące się zmieniały i odsyłano je z powrotem do Caracas. Jedną z nich udało mu się przekupić tylko po to, żeby dowiedzieć się, że wieczorami Claudia Viehhauser siedzi w swoim pokoju i czyta, oraz że befszyk lubi dobrze wysmażony. Nigdy nie wyjeżdżała, dlatego wiadomość, że prawdopodobnie nie nocowała w domu, była sensacyjna, o ile to, czego dowiedziała się Helene, jest prawdą. Obserwacja domu zdawała się to potwierdzać. Lucho Velosa obiecał osobiście przestrzelić stopę idiotcie, który nie zauważył, że Claudia Viehhauser opuściła bazę.

Ale señora Bergman ma się nie przejmować.

Velosa robił już nie takie rzeczy, tropił guerillę w najbardziej niedostępnych górach i dżunglach Kolumbii, w okolicach, gdzie nie docierały nawet sponsorowane przez Stany Zjednoczone samoloty opylające w ich wojnie z plantacjami koki, więc wytropi też babę w Bogocie.

– Nie mam za wiele czasu – rzuciła Helene. – Jutro wracam do domu.

Spojrzała przez okno za jego plecami na góry wznoszące się na wschodzie jak mur. Ostatnia rzecz, jaką Ramón powiedział.

Przeżaj jej, że nigdy jej nie zapomniałem.

Zastanawiała się, jak brzmiały jego rozkazy w przypadku niepowodzenia, czy taka myśl w ogóle powstała w jego głowie. Czy wystarczyłoby poprosić Lucho Velosę, żeby zadzwonił i oznajmił „sorry, ale nie było jej w domu”?

Helene odsunęła zdjęcia leżące na wierzchu, pod spodem było ich więcej. Poznawała niebieskie drzwi, widziała Claudię na innych ulicach, z wieżowcami i błyszczącymi fasadami, zdawało jej się, że dostrzega nos, dziwnie podobny do jej własnego, no i ten kark...

– Podobno urodziła się w Argentynie – powiedział Lucho Velosa – w niemieckiej rodzinie. Możliwe, że ma też niemieckie obywatelstwo. Do FARC wstąpiła ponad trzydzieści lat temu, widać ją w każdym razie na siódmym zjeździe guerilli w osiemdziesiątym drugim, według moich kontaktów, a oni mają kontakt z szuchami z dawnej kadry.

Helene nie dopuszczała do siebie jego słów, zawisły jakby w przestrzeni między nimi. Trzydzieści lat. Dzieciństwo, dojrzewanie, dorosłe życie, wszystko mieściło się w tym okresie, prawie całe jej życie.

– Ktoś przecież musi wiedzieć, gdzie ona jest – stwierdziła. – To raczej nie wygląda, jakby się szczególnie ukrywała. Może pan spyta kogoś ze swoich kontaktów.

Helene zrobiła gest ręką nad zdjęciami i niechcący strąciła parę z nich na podłogę.

– Może tak, a może nie – powiedział Lucho Velosa i znowu dziobnął się ołówkiem w dłoń.

Helene schyliła się, żeby podnieść papiery i nie musieć patrzeć na te zęby, gdy je pokazywał. Słyszała jego głos, widziała jego buty na grubych podszewkach.

– Jasne, że są kontakty, ale nie ma pewności, czy ten front, do którego ona należy, w ogóle jeszcze podlega rozkazom dowództwa, czy może się wyłamuje. Wielu się teraz waha, będzie pokój, nie będzie pokoju? Te grupy mają własną administrację, kontrolują własne finanse, a to są duże pieniądze, niech mi pani wierzy, to są dochody z kokainy, FARC nie zbudował najsilniejszej partyzanckiej armii w Ameryce Południowej na samym gadaniu o rewolucji... Czy jest w ogóle na tym świecie jakaś grupa czy nawet jakiś człowiek, co z własnej woli odda taką kasę tylko dlatego, że przywódcy mówią: teraz już koniec z handlowaniem kokainą, oddajcie całą waszą broń i bądźcie spokojnymi obywatelami? Otóż nie sądzę.

Helene pozbierała ostatnie papiery i usiadła z powrotem na krześle; Lucho

Velosa gapił się w sufit, mówiąc jakby bardziej do siebie.

– Ja w każdym razie im nie ufam. Mój ojciec zginął za Kolumbię, był policjantem, to był atak guerilli, FARC czy ELN^[29], wszystko jedno, trzeba ich wszystkich wystrzelać, to jedyny sposób. A nasz prezydent daje dupy marksistom.

Helene spojrzała na zdjęcie, na którym Claudia wsiadała do samochodu. Drzwi otwierał przed nią młody mężczyzna w garniturze.

– Kto to jest? – zapytała.

Velosa zerknął na zdjęcie bez większego zainteresowania.

– To ten jej adwokat, ma swoje biuro w Zona Rosa. – Przeciągnął dźwięk, jak cmoknięcie, kiedy wyssał coś pomiędzy zębów. – Była pani w Zona Rosa? Powinna pani wybrać się dziś w nocy, mają tam najlepsze dyskoteki w Ameryce Południowej, kluby salsy, jazz... co pani chce.

– A więc to nie jest ktoś, kogo pan przekupił?

– Adwokatów FARC-u? Nie, nie próbowałem, zależy mi, żeby utrzymać się w tej branży, mam wnuki, na północy, w Usaquén.

– Ale jeżeli spotykają się co tydzień, to on może coś wiedzieć – powiedziała. – Mogłabym spróbować z nim pogadać.

Lucho Velosa zaśmiał się. Potem spoważniał. Zebrał swoje rozrzucone na biurku papiery i złożył je w równy plik.

– Jasne – rzekł – to jest wolny kraj. – Obrócił parę razy ołówek między palcami, potem pochylił się i zanotował coś na żółtej karteczce.

– Tylko proszę nie wymieniać mojego nazwiska, nie chcę ściągać na siebie ich uwagi.

Helene zignorowała wszelkie rady i zatrzymała taksówkę na ulicy. W przeciwnym razie musiałaby prosić Lucho Velosę, żeby ją zamówił, a na to zwyczajnie nie miała ochoty.

Kierowca kazał jej zapiąć pas, ruch uliczny w Bogocie jest niebezpieczny. Mało się nie roześmiała. Wciąż było tu coś bardzo niebezpiecznego, zmieniało się tylko to coś. Nucąc pod nosem, szofer pojechał na północ, lawirował przez wąskie wilgotne uliczki, a potem śmignął trasą przelotową u podnóża gór, aż dojechali do Zona Rosa, enklawy klubów nocnych, które leżały spiętrzone jeden za drugim w ciągnącej się kilometrami dzielnicy rozrywki, obok iskrzących się w słońcu wieżowców, świadczących o szybko rosnącej gospodarce.

Zakręcił za centrum handlowym i przystanął pod dwudziestopiętrowym budynkiem z cegły.

W recepcji siedziała kobieta, która mogła wyskoczyć z kalendarza na ścianie biura Lucho Velosy, uśmiechnęła miss Colombia z wydętymi ustami i wzburzoną falą włosów.

– Ma pani umówione spotkanie?

Helene uciekła się do paru desperackich kłamstw i długiej przemowy wyjaśniającej, że już jutro opuszcza Bogotę, i w końcu udało jej się dziewczynę przekonać.

Kwadrans później rozsunęły się drzwi windy i Helene rozpoznała młodego człowieka ze zdjęcia.

David Quintero miał około trzydziestki, krawat i koszulę z podwiniętymi rękawami. Helene zauważyła bliznę przecinającą jego dłoń, gdy się z nią witał.

– A jaką to sprawę załatwia szwedzki rząd w Bogocie?

Coś przecież musiała powiedzieć, żeby miss Colombii zechciało się podnieść słuchawkę.

– Czy możemy porozmawiać gdzie indziej? – spytała.

– Oczywiście, możemy pojechać do mojego pokoju.

W windzie mówił przez chwilę o sprawach ogólnych, jak to, że jego biuro specjalizuje się w procesach dotyczących praw człowieka i przyjmuje także klientów bez wynagrodzenia, pro bono, jest to ujęte w oficjalnej polityce firmy.

– Więc co to za sprawa niecierpiąca zwłoki? – zapytał, gdy weszli do jego pokoju na dziewiętnastym piętrze.

Po drodze wziął dla siebie kawę, jej też zaproponował.

– To może zabrzmie trochę dziwnie – powiedziała Helene – ale chodzi o jednego z waszych klientów.

– Aha. – Adwokat zdawał się lekko rozczarowany, spodziewał się zapewne czegoś więcej po reprezentantce szwedzkiego rządu. – Pani wie chyba, że nie mogę rozmawiać o swoich klientach?

– Tak, nie, oczywiście – zapewniła Helene. – Z całym szacunkiem dla ochrony danych, ale szukaliśmy jej wczoraj i nie ma jej w domu. A sytuacja jest taka, że wyjeżdżamy z Bogoty już jutro, a naprawdę zależy nam na tym, żeby móc z nią porozmawiać.

Dobrze się czuła, używając formy „my”. Poza tym, że dodawała jej powagi,

sprawiła, że nie czuła się taka osamotniona.

– Nie mogę oczywiście udostępnić numerów telefonicznych do swoich klientów – zaczął – ale proszę powiedzieć, o kogo chodzi, a zobaczę, co będę mógł zrobić.

– Claudia Viehhauser – wyjaśniła.

Adwokat zmarszczył brwi, potem się roześmiał.

– Claudia? – powtórzył. – Ale ona nie jest moją klientką.

Helene poczuła, jak spływa z niej rola reprezentantki rządu.

– Wybacz pan, sądziłam...

David Quintero poprawił parę teczek na biurku, tak by leżały równolegle do krawędzi.

– Claudia Viehhauser to moja mama.

Nie wolno jej się gapić. Sekundy, a może to były minuty, upłynęły, nim wydobyła z siebie jakieś słowo, w jakimkolwiek języku. Najpierw tylko mamrotanie, w końcu nieskładne przeprosiny, że najwyraźniej musiała się pomylić.

Potem odchrząknęła, trzeba było wziąć się w garść.

– Nie wiedziałam, że Claudia Viehhauser ma dzieci. Macie przecież różne nazwiska.

– No tak – powiedział i lekko się uśmiechnął, uśmiechem, który zmiękczył jego twarz. – To przecież jest Kolumbia.

Helene próbowała oddychać spokojnie. Czy to możliwe, że niczego po niej nie poznał?

– To znaczy co? – zapytała z trudem.

– Wychowałem się w domu dziecka. To tam nazwali mnie Quintero, wzięło się to stąd, że byłem piątym dzieckiem pozostawionym w tamtym tygodniu.

Te jego oczy, Boże mój, te kolorowe niebieskozielone oczy.

To były oczy Charlie. Helene usiłowała nie gapić się zbyt natarczywie. Ta sama przepastna głębia, ta zagadkowość sprawiająca, że ludzie w nich tonęli, gotowi zrobić wszystko, o co by tylko poprosiła. I te usta... nie, usta nie, ale jasna cera, włosy, wprawdzie nie blond, lecz przynajmniej wpadające w ciemny blond, no i nos, że też od razu tego nie spostrzegła, dlaczego jednak miałyby, na miłość boską, natychmiast sobie pomyśleć, że jakiś kolumbijski adwokat ma jej nos?

– Więc czego od niej chcecie, że tak bardzo wam zależy na tym spotkaniu? –

zapytał.

Helene zakaszłała, by mieć pretekst i się odwrócić. Brat, myślała, przyrodni brat. Jak wytłumaczę, że wcale nie jestem reprezentantką rządu? Znowu przygniotło ją poczucie zagrożenia, nie wiedziała, co ma robić dalej. Chyba nie może mu wywalić prosto w oczy, kim jest, bo jak by zareagował? To było zbyt wielkie, zbyt niepojęte i z pewnością także niebezpieczne.

– Chodzi o... proces pokojowy – powiedziała.

– Tak?

– Tak, przyglądamy mu się oczywiście.

Zmarszczył brwi.

– A dlaczego chcecie rozmawiać z Claudią o procesie pokojowym?

– Rozmawiamy z wieloma ludźmi. Chętnie usłyszelibyśmy także więcej od pana, o pańskiej własnej historii.

Wciąż marszcząc brwi:

– Dlaczego?

– Po to, żeby... zrozumieć, jak ucierpiały dzieci i jakie można podjąć działania. Jeżeli dojdzie do zawarcia pokoju.

David Quintero przesunął małe pudełko ze skoczem i ołówkami, tak że znalazło się na środku podkładki na biurko, dokładnie na samym środku. Helene dopiero teraz zauważyła, jaki pedantyczny porządek panuje w pokoju, segregatory i książki w równych rzędach na półce, zaskakująca myśl, *jesteśmy do siebie podobni, on i ja*.

Wciągnęła głęboko powietrze.

– Mogę zapytać, dlaczego pana zostawiła?

David Quintero popatrzył na nią z wahaniem.

– Pytanie jest źle postawione – powiedział. – Tak jakby pani sama mogła decydować o swoim losie. Nie mieliśmy pokoju od prawie pięćdziesięciu lat, każda rodzina jest jakoś dotknięta, wszyscy są wciągnięci. Mamy w tym kraju pięć milionów uchodźców wewnętrznych, nie wiem, co szwedzki rząd robi, aby...

– Oczywiście dajemy finansowe wsparcie – rzuciła Helene i wyczuła niewielką zmianę w jego nastawieniu. Pochylił się do przodu, zdawał się mniej zdystansowany. Może nadarzała się szansa, żeby coś uzyskać, ugadać trochę pieniędzy.

– Ja zawsze sobie mówię, że to ich reprezentuję – ciągnął dalej skwapliwie – że

każdy proces to jest mały krok w drodze do kraju, w którym dzieci mogą wrócić do domu, do swoich wiosek.

David, pomyślała, to mogło być imię szwedzkie, hiszpańskie, jakie bądź. Patrzyła na jego rękę, którą gestykulował, mówiąc dalej, na bliźnę ciągnącą się przez całą dłoń, tak brzydko zagojoną.

– Ja nie wierzę w nienawiść, wieczny resentyment – mówił. – Zawsze jest nadzieja. I jeżeli moja historia w ogóle może o czymś świadczyć, to zapewne o tym. Zdobyłem w końcu wykształcenie. To matka mi je opłaciła, odnalazła mnie wiele lat później. Więc może jestem żywym dowodem na to, że pojednanie jest możliwe.

– Ona ma więcej dzieci?

– Nie.

Takie krótkie słowo, jak smagnięcie batem.

– Nie. Ma tylko mnie.

Helene spuściła wzrok. Przyjrzała się jego butom z błyszczącej skóry, mogły mieć rozmiar 44. Wyglądały na duże przy jego chudych nogach, był dość szczupły i wątej budowy, po mamie? A ojciec? To pewnie musiał być ten *commandante*, który zginął. Szukała jakiegoś sposobu, aby to odwrócić, jakiejś szaleńczej odwagi, która kazałaby jej wypowiedzieć słowa, które teraz byłyby na miejscu. *Nieprawda, bo ma więcej dzieci, miała wcześniej dwoje...*

– Niestety, nie wiem, gdzie Claudia jest w tej chwili – ciągnął. – Nie mamy tego typu kontaktu.

David musnął niechcący swojego laptopa, zapalając ekran, było na nim zdjęcie młodej kobiety z rozwianymi włosami. Ma dziewczynę, pomyślała Helene.

– Ale skoro Claudia nie jest pańską klientką – powiedziała – to chyba nic nie stoi na przeszkodzie, żeby dał mi pan jej numer?

– Nie mogę tego zrobić, mimo to. Przykro mi.

– Czy dlatego, że jest w partyzantce?

To pewnie było śmiertelnie niebezpieczne, powiedzieć coś takiego wprost, lecz w porównaniu z całą resztą nagle wydało jej się banalnym, niewinnym tematem.

– Więc pani wie?

– Tak – potwierdziła i przełknęła ślinę. – To dlatego chcemy z nią porozmawiać.

David Quintero obserwował ją, przeglądał mnie na wylot, pomyślała, i nie widzi, że mamy takie same nosy?

– Nie wiedziałem, że Claudia ma kontakt ze Szwecją – zauważył.

– Więc nigdy o tym nie wspomniała, nie mówiła nic o Szwecji...?

Pokręcił głową. Helene czekała, ale najwyraźniej nie miał nic do dodania, zupełnie nic nie usłyszał od swojej matki o tym kraju.

– Musi pani zrozumieć tę wojnę – powiedział powoli. – To nie jest wojna z poszczególnymi bitwami, ona się toczy wszędzie, przez cały czas. Nie można mieć na froncie małych dzieci, w marszach przez dżunglę. Dlatego kiedy kobiety zachodzą w ciążę, robi się im aborcję, przymusową, najczęściej nawet bez lekarza. Ja żyję wskutek błędu systemu, może dlatego, że Claudia ukryła swój brzuch. Możliwe, że pomógł jej mój ojciec, który miał duże wpływy. On zginął, bohaterską śmiercią za sprawiedliwą Kolumbię, jak powiedzieliby niektórzy. Albo był terrorystą, który zasłużył na śmierć? Nigdy go nie spotkałem i nie jestem sędzią. Po urodzeniu zabrali mnie z dżungli do jakiejś rodziny w jakiejś wiosce, i mnie oddali.

– Kiedy się pan urodził?

– W osiemdziesiątym drugim.

Trzydzieści dwa lata, pomyślała, jeżeli jest z początku roku.

– Jak pana potem znalazła?

– Długo mnie szukała.

Helene poczuła, jakby ktoś obrócił w niej nóż. Więc Ing-Marie szukała swego syna – jego to szukała.

David Quintero mówił dalej, może istotnie sądził, że jego własna historia przekona szwedzki rząd o konieczności zwiększenia dotacji na rzecz potrzebujących kolumbijskich dzieci. Widziała, jak ściąga drobne mięśnie wokół ust, jak to uwydatnia jego kości policzkowe, *czy to nie są jej kości policzkowe?*

Po paru latach rodzina zastępcza oddała Davida do ochronki. Gdy miał trzynaście lat, spadło jak z nieba stypendium do pewnej katolickiej szkoły, na jego nazwisko. Niedługo potem w domu dziecka pojawiła się kobieta o obco brzmiącym nazwisku, która chciała się z nim spotkać. Początkowo sądził, że jest z jakiejś instytucji charytatywnej. Przecież roiło się od takich, które wpadały do slumsów z całą masą pieniędzy, a następnego dnia już ich nie było, bo już znalazły jakieś przyjemniejsze miejsce na dobroczynność.

– Proszę mi wierzyć, nie trafiłbym tutaj, gdzie jestem, gdyby nie ona. Nie chciałem w ogóle chodzić do szkoły, nawet nie powstała mi w głowie myśl o studiach w Bogocie. Tam, gdzie dorastałem, przyszłość to był ciężki pistolet

maszynowy, który dawał władzę na ulicy, w sąsiedniej ławce mogła siedzieć jakaś ładna dziewczyna, a następnego dnia już nie żyła.

Helene czekała na jakąś szansę, pauzę, możliwość wtrącenia trzech groszy, lecz taka pauza nie nastąpiła. Zaraz, myślała sobie, zaraz otworzę usta i powiem, jak jest, ale targano nią zbyt wiele uczuć, wściekłość na nieudolnego tak zwanego *investigador privado*, który zobaczył adwokata i sądził, że to tylko jest... adwokat. Głos Davida Quintera rozbrzmiewał nadal, gładki i uprzejmy, ale pod spodem wyczuwała w nim jakiś niepokój, albo może podejrzliwość. Co by powiedział o siostrze, która nagle pojawia się znikąd? Bo Ramonowi chyba to nie zrobi żadnej różnicy? Rozważając różne możliwości, wszędzie widziała czyhające zagrożenia, jak pola minowe.

– ...a te ugrupowania zbrojne prowadzą rekrutację w slumsach, oferują pieniądze i całkiem inne życie, spróbowałyby pani dać nastolatкови broń do ręki, a potem mu ją odebrać...

Helene uśmiechała się, usiłując sprawiać wrażenie, że wszystko notuje, ale już zgubiła wątek. Najważniejsze teraz to... No właśnie, co teraz jest najważniejsze?

– ...i zwykłe bandy, powstałe z paramilitarnych grup, wciąż minują tereny wzdłuż przemysłowych korytarzy i plantacji koki. Zdarza się, że chowają miny w piłkach futbolowych, niech pani sobie wyobrazi, co się dzieje w takiej wiosce, gdy jakiś mały chłopiec wybiegnie i zechce sobie pokopać...

– Więc teraz utrzymujecie kontakty?

– Słucham?

– To znaczy, pan i... Claudia Viehhauser.

– To nie jest taki zwykły, prosty związek...

– Ale czasem się spotykacie?

– Tak, spotykamy się, ale nie mogę zrobić tego, o co mnie pani prosi.

Światło zalewało pokój, był środek dnia, na samym równiku, bezlitosne słońce. *To nie jest taki zwykły, prosty związek...* A co to jest, chciała zapytać, co to jest zwykły związek między matką a dzieckiem, czy ktoś mi może opowiedzieć? Pękała jej głowa, te dzieci, ta blizna, wszystko to połączyło się w jedną myśl, jego oczy, będące też oczami Charlie, brat i siostra, siostra i brat, Ariel i Malte, i tamten mały chłopiec, który wybiegł do piłki, i bum!

– A sam ma pan dzieci? – Helene starała się, żeby zabrzmiało to w miarę obojętnie, jednak niepokój był słyszalny, ten ślepy strach, zawsze otaczający jej własne dzieci, że są takie bezbronne, tak łatwo mogłyby przestać oddychać.

David zerknął na zdjęcie pięknej kobiety na monitorze.

– Nie, jeszcze nie – powiedział. – To wielka odpowiedzialność mieć dzieci.

– Człowiek zawsze się o nie boi.

– To zrozumiałe.

Oddychać, oddychać, to tylko powietrze jest zbyt rozrzedzone na tych wysokościach.

– Wie pan, kiedy Claudia ma wrócić?

– Nie.

To samo krótkie „nie” co przedtem, nie pozostawiało miejsca na dyskusję.

– I nie wie pan, gdzie ona jest?

– Nie wiedziałem nawet, że gdzieś wyjechała.

Helene wzięła z jego biurka czystą kartkę, znalazła w torebce długopis. Ramón, pomyślała, muszę mieć jakąś wiadomość dla Ramona, to jest najważniejsze. Czowała, że David obserwuje jej ruchy.

– Ale, wybaczy pani – rzucił – ja wciąż nie rozumiem, dlaczego rządowi szwedzkiemu tak bardzo zależy na tym, żeby spotkać się właśnie z nią. Czy nie ma innych, z którymi moglibyście porozmawiać?

– Chyba najlepiej będzie, jak to wyjaśnię samej Claudii – powiedziała Helene.

Zapisała swoje nazwisko i numer komórki. Dwa nazwiska: Eriksson Bergman, tak żeby Ing-Marie nie miała wątpliwości, kto to jest, jeśli w ogóle jeszcze pamiętała, że miała kiedyś córkę albo dwie.

– Byłabym wdzięczna, gdyby pan zechciał poprosić, żeby zadzwoniła.

– Niczego nie mogę obiecać.

Helene zatrzymała się przy drzwiach i bacznie mu się przyjrzała już ostatni raz, zobaczyła, jak odwraca kartkę i wsuwa ją pod podkładkę na biurku.

– Jestem panu wdzięczna za wszystko, co pan opowiedział – zapewniła. – Ta wiedza bez wątplenia przyda się szwedzkiemu rządowi przy układaniu przyszłych relacji z Kolumbią.

Dopiero kiedy winda szybko zjechała na parter, tak że Helene poczuła ból w uszach od zmiany ciśnienia, dotarło do niej, że komórka z tym numerem została w pewnym domu w Buenos Aires.

SOLNA 2014

Björn Fredman opowiadał zwykle jakąś historię o Prerii, kiedy skręcali w stronę nowo zbudowanego osiedla Arenastaden przy stacji przetokowej w Hagalund. Ten teren był przedtem składowiskiem wszystkiego, czego miasto chciało się pozbyć, trującego szlamu i ciężkich metali, i diabli wiedzą, co jeszcze zakopano w tej ziemi, a co potem przeciekło do jeziora Råstasjön^[30] i dalej, aż do zatoki Brunnsviken.

Krażyły historie o ludziach, których tam zakopano, o trupach, które wstawały z tej brei i wędrowały nocami skrajem torowiska, a takie rzeczy przecież zawsze fajnie opowiadać nowym, ale Järvinen, z którym jechał tej nocy, nie był już taki początkujący. Coraz częściej zdarzało się, że odpowiadał: „A tak, to już słyszałem”.

Tak czy inaczej, teraz nad wszystkimi tajemnicami Prerii leżał już asfalt, a nad nim wznosiły się Friends Arena^[31], biurowce, mosty i wiadukty prowadzące we wszystkie strony.

– Zdaje się, że zamknęli przejazd – powiedział Järvinen i wskazał palcem.

– A niech to jasny gwint... – Björn Fredman skręcił ostro o sto osiemdziesiąt stopni i dzięki temu zjechał prawidłowo, koło torowiska, w przeciwnym razie zabląkaliby się między kontenery budowlane.

Właśnie tam ciągnął się kiedyś gąszcz warsztatów, małych blacharni i podejrzanych szop słończonych w cieniu stacji przetokowej, w wiecznym stukocie i przeciągłym zgrzytaniu pociągów, które przez sto lat wekslowano tu z Hagalund.

Tego ranka, kiedy wysiedli z wozu, było cicho. Tak cicho, że słyszał śpiew kosa z małego liściastego zagajnika na wzgórku nad nimi. Dalej, już na terenie stacji, widział stojące pociągi.

W milczeniu wciągnęli na siebie żółte ubrania ostrzegawcze. Ich nocna zmiana już właściwie się skończyła. Na koniec wymienili parę żarówek sygnalizacyjnych koło Ulriksdal, a potem była już czwarta czterdzieści i pora zejść z torów, by przepuścić pierwsze pociągi.

Ale nie.

Nie zdążyli zapuścić silnika, gdy zadzwonił telefon. Zwarcie w Karlbergu. Koparka uszkodziła przewody trakcyjne. Znowu zawiniły te roboty prowadzone przy tunelu średnicowym, w nocy było jakieś drenowanie. Przypomniał sobie, że ktoś kłął na to w kantine, gdy ruszali na swoją zmianę, chłopaki były wkurzone. Roboty było na pięć godzin, ale musieli uwinąć się w cztery, zawsze ta sama śpiewka, a potem człowiek stał tam na torach, zegar tykał i przez ten stres robiło się za szybko, i właśnie wtedy takie rzeczy się zdarzały, ktoś się rozpędził przy obrocie wysięgnikiem, walnął w druty i spięcie gotowe.

Björn Fredman czuł zmęczenie w dłoniach, kiedy otwierał bramę przy nastawni kolejowej w Solnie. Jeśli dwadzieścia tysięcy wolt strzeli w złą stronę, to prąd może rozwalić izolację w złączach, właśnie to mieli sprawdzić, zanim wznowią ruch.

– Ciekawe, gdzie przeniosą odsysanie gówna, jak już to ukończą – powiedział, wskazując ruchem głowy torowisko. Wysokie dźwigi na tle nieba, nowy hotel, który powstawał obok miejsca, gdzie opróżniano pociągowe zbiorniki z fekaliami.

– Jeszcze trzy tygodnie do urlopu – westchnął Järvinen.

– A mnie się zaczyna na początku lipca.

Szli obok siebie, każdy swoim torem, ze wzrokiem utkwionym w szyny.

Zgrali ze sobą tempo, nigdy za duży odstęp, na tym polega ta robota. Nocna praca spędzała mu sen z powiek nawet wtedy, kiedy miał wolne, a jednak było w niej coś, co lubił, ten spokój świata, gdy poranne słońce połyskiwało w szynach i nie było żadnego hałasu, jedynie czasami jakieś auto przejeżdżało Råsundavägen, nad torami.

– Jak zaczynałem, to kolejka jeździła tylko co pół godziny, i wtedy można było robić większość konserwacji za dnia. A teraz jak? Co dziesięć minut?

– Mhm, coś około tego.

Björn Fredman rzucił spojrzenie za siebie, choć żaden pociąg nie miał nadjechać, ale to już mu weszło w krew. Kurczący się margines bezpieczeństwa. Jeden z kolegów zginął parę lat temu na magistrali, gdzie oczyszczali szyny z lodu. Miał za zadanie patrzeć, czy nie nadjeżdża pociąg, podczas kiedy ten drugi pracował, ale zobaczył kawał lodu ledwie dwa metry od siebie. Nikt potem nie mógł wyjaśnić, dlaczego wziął się do roboty, Björn jednak go rozumiał. Jedno dziabnięcie łomem albo dwa, przecież trzeba rozbić ten lód. Nie zdążył usłyszeć nadjeżdżającego X2000^[32].

Doszli do tunelu Solna. Pięćset metrów prosto przez skałę.

– Czytałem, że ten chłopak, co śpiewa *Wake me up*, nie dostał od Aviciiiego^[33] ani grosza – powiedział Järvinen. – To moim zdaniem kutwa, jak się pomyśli, jaką kasę zrobił.

– Kto?

– Avicii. A nie, ten czarny chłopak znaczy, ten, co śpiewa.

– Aha.

Björn Fredman oderwał wzrok od szyn i spojrzał na plecy młodego kolegi parę kroków przed nim, świeciły żółto w wylocie tunelu. Ostatnimi czasy łapał się na tym, że brzmi jak echo starych robotników kolejowych albo jak jego własny ojciec, rzędzi, że kiedyś było lepiej. Nie czuje się przecież taki stary, bez przesady, dzieciaki wciąż mieszkają w domu, a on sam zrzucił jedenaście kilogramów, odkąd małżonka wprowadziła dietę GL, zamierzał popracować jeszcze co najmniej z dziesięć lat. A jednak zaczął uważać, że to prawda. Kiedyś było lepiej.

– Choć w tamtych czasach nie było tak wydajnie i ekonomicznie – dodawał. – I to dobrze, że kolejka jeździ częściej.

Światło dzienne sięgało ledwie ze dwadzieścia metrów w głąb tunelu, potem weszli w mrok.

Wyciągnął z kieszeni latarkę, widział, jak snop światła Järvinena tańczy na sąsiednim torze. Tutaj, we wnętrzu skały, panował szczególny nastrój, głęboki chłód zalegał od niepamiętnych czasów. Tutaj się nie gadało, idąc, jakby ta skała wymagała ciszy. Pewnego rodzaju respektu, nie tylko dla elektryczności i pociągów, które mogły wpaść na człowieka z tyłu, ale także dla samej skały.

Pierwsze złącze leżało siedemdziesiąt metrów w głąb tunelu. Pochylił się, oświetlił plastik tkwiący tam w charakterze izolacji i zobaczył, że jest cały. Wyjął z kieszeni szczotkę i zmiotł trochę żelaznych ostrużyn, skoro już tam był. Nie wysyłano raczej ludzi do tunelu Solna jedynie w tym celu.

Gdy wyprostował kark, mrok był gęstszy, oczom zajęło chwilę, żeby się dostosować. Napięcie w lampach sygnałowych zostało tak bardzo zredukowane, że wystarczały teraz na dziesięć lat zamiast na rok, były widoczne, ale nie rzucały żadnego światła. Nie przeszkadzało mu to zbytnio, bo w swoim życiu przeszedł po torach setki kilometrów i wiedział, gdzie ma stawiać stopy.

Björn Fredman nie potrafił wytłumaczyć, co mu kazało się zatrzymać. Może dostrzegł w mroku przed sobą jakiś cień, jakąś zmianę w jego gęstości, a może to doświadczenie, dwadzieścia siedem lat w zawodzie robotnika torowego, szepnęło mu, że coś dalej na torach jest nie tak. Odwrócił latarkę od szyny, zaświecił przed

siebie. Snop światła sięgnął pięć, sześć metrów dalej w głąb tunelu. Leżał tam w poprzek torów jakiś przedmiot, coś, co było o wiele, o wiele za duże.

Wyglądało jak worek albo jakiś tłumok. Fredman przywykł znajdować różne rzeczy, które wypadły lub zostały wyrzucone z pociągu, kurtki i torebki, pluszaki i śmieci wszelkiego rodzaju, ale to tutaj to nie było coś, co przypadkiem wypadło przez okno pociągu.

– Co to, kurwa, jest? – zapytał Järvinen i zeskoczył ze swojego toru.

Björn Fredman zbliżał się powoli. Teraz poczuł też zapach, zajeżdżało moczem, zwierzęcym alkoholem i brudem.

– Ktoś tam leży.

– Nie żyje? – Järvinen był teraz tuż za nim. Oba snopy światła omiotły tłumok i znalazły twarz, która leżała zwrócona do toru.

Fredman pochylił się i oparł jedną ręką o szynę, a latarkę o kolano, żeby krąg światła spoczął nieruchomo na mężczyźnie, którego głowę miał teraz w odległości metra. Starszy człowiek, mocno zniszczony, należał pewnie do gwardii spragnionych. Włosy wisiały w strąkach, ręka leżała w dziwacznej pozycji, ale ciało wydawało się całe, mężczyzna nie był przejechany przez pociąg. Wtedy by to inaczej wyglądało, wiedział o tym, bo znalazł się kiedyś w miejscu, gdzie na tory rzucił się młody chłopak, i to było bodaj najgorsze w tej robocie.

– Raczej nie leży tu zbyt długo.

– Mógł sam się tu dostać?

– Może przez jakąś dziurę w siatce.

Mówili cicho, prawie szeptem. Järvinen zszedł z toru i zbliżył się z boku, oświetlił starego z góry. Jakieś poruszenie? Jakiś dźwięk sprawił, że Fredman wzdrygnął się gwałtownie, mało nie tracąc równowagi, aż snop światła zatańczył na skalnej ścianie. Cichy jęk, słabe kasznięcie. Chwycił się szyny i spojrzał do góry, na Järvinena, którego biała twarz świeciła nad nim.

– Żyje. Ten stary chyba żyje.

– Dzwonię.

Järvinen wyjął komórkę. Björn Fredman wyciągnął rękę i przyłożył ją do szyi mężczyzny. Coś lepkiego na palcach, ale nie dbał o to. Chropawa skóra była chłodna, jednak nie lodowata. I był puls, słaby młoteczek życia.

Oświetlił latarką swój zegarek, sprawdził dokładny czas. Ogarnął ich skalny ziąb.

Jak niewiele brakowało.

Na ten tor wekslowano ze stacji pociągi, żeby zabrały pasażerów z Centralnego i znów zawróciły na północ.

Stary zostałyby rozjechany trzydzieści siedem minut temu, gdyby pociąg do Gävle wyjechał tego ranka z Hagalund.

Helene nie mogła wypuścić ich z objęć. Ścisnęła oboje za długo i za mocno, aż poczuła, że sami usiłują się uwolnić. Ciepłe ciała, szukające kontaktu twarzyczki, to właśnie jest rzeczywistość. Jedyna. Schowała nos i łzy we włosach małej, wdychała jej kochany zapach, ścisnęła rękę synka.

– Tak strasznie za wami tęskniłam.

– Myśmy też za tobą tęsknili – wymamrotał Malte.

– Otworzymy teraz prezenty? – Ariel wybiegła do przedpokoju i zaczęła wtaszczać walizkę, podczas gdy Malte wtulił się w Helene na kanapie, jakby nie miał odwagi znów jej puścić.

– Ty tylko myślisz o prezentach – powiedział.

Dzieciaki nie zauważyły, że robione na drutach sweterki były z Kolumbii, a nie z Argentyny, błyskotki i zdjęcia piłkarskich idoli mogły być wyprodukowane gdziekolwiek na świecie. Upewniła się w każdym razie, że jest wśród nich Messi.

– No, to mów, jak było w tym Buenos Aires? – zapytał Jocke, oglądając butelkę czerwonego wina z Mendozy. Helene miała nadzieję, że z etykiety nie wynika, gdzie została kupiona, w bezcłowym sklepie na Heathrow, na którym miała międzylądowanie. Jakby to było ważne. A może było? Czy to nie dowód na to, że nie myślała o nim za wiele w trakcie tej podróży?

– Dobrze – odpowiedziała i umknęła mu spojrzeniem, czochrając za to czuprynę Maltego, chociaż nie znosił, kiedy tak robiła. – W porządku. Miasto jest fascynujące, ale opowiem może później, jestem dosyć zmęczona.

Naprawdę myślała, że musi mu opowiedzieć, ale nie teraz, od razu po wejściu do domu, lepiej poczekać, aż dzieci pójną spać.

Jocke poszedł do kuchni i odstawił wino.

– Słuchajcie, dzieciaki – zawołał stamtąd – teraz marsz do łazienki myć zęby, a potem mama przyjdzie i powie wam dobranoc!

Helene zauważyła to wymuszone opanowanie w jego głosie, wyczuła je w sposobie, w jaki się od niej odwrócił. To oczywiste, że był zły. Wiedziała jak to jest, mówi się: „jasne, jedź, rób, co masz do zrobienia, pewnie, że powinnaś jechać”, a potem człowiek zostaje sam jak palec z dziećmi na głowie i z robotą, która też musi być zrobiona, i wtedy to nie wgląda już tak różowo.

– Przykro mi, że tak wyszło – westchnęła – nie miałam pojęcia, że nie będzie

mnie tak długo.

– Zapomniałaś zostawić mi nazwę hotelu, gdzie się zatrzymałaś – powiedział powoli. – Nie odbierałaś komórki, więc zadzwoniłem do twojej pracy, żeby mi dali numer telefonu, ale oni nic nie słyszeli o żadnej konferencji w Buenos Aires. Dowiedziałem się od nich, że jesteś chora.

Stał pomiędzy pokojami, z jakąś gazetą w ręce. Helene otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, szukała czegoś sensownego albo zgodnego z prawdą.

– Poza tym dzwonili z policji – dorzucił.

Zakołysało nią.

– Z policji? Dlaczego?

– Prowadzą śledztwo w sprawie próby zabójstwa człowieka, którego znaleźli w tunelu kolejowym koło stacji Solna. Pisali o tym też w gazecie.

Rzucił gazetę w jej stronę, tak że wylądowała na stoliku przy kanapie. Była w tym geście jakaś nonszalancja, niepasująca do niego, nieomal agresja.

– Ale dlaczego dzwonią do mnie? – zapytała.

– Bo chcą cię poinformować, zadać parę pytań. Dzwonili też ze Szpitala Karolińskiego. On tam leży.

Helene podniosła gazetę i przebiegła wzrokiem notatki.

Ruch pociągów wstrzymany, dwaj robotnicy kolejowi, którzy znaleźli wczesnym rankiem ciężko pobitego mężczyznę...

– Nic z tego nie rozumiem. Znam tego człowieka?

– Mówią, że to twój ojciec.

Ta cisza. Zupełnie nic nie było słychać, gdy zaważyło się to wszystko, co zbudowała i podtrzymywała, nic, zupełnie cicho. Powinien temu towarzyszyć jakiś huk, kiedy się wali. Helene zebrała całą siłę, by móc spojrzeć mu w oczy.

– Jest ranny? – zapytała przyciszonym głosem.

Jocke roześmiał się, śmiechem, który bardziej przypominał wydech lub prychnięcie.

– Twój tata zmarł ponad dwadzieścia lat temu. Tak przecież zawsze mówiłaś. Więc trochę dziwne, jak on, kurwa, znalazł się w tym tunelu.

Helene musiała podnieść się, uciec od jego wzroku. Jocke nigdy nie przeklinał, przynigdy. Poczowała zawrót głowy, czarno przed oczami, mijając go, musiała chwycić za oparcie kanapy.

– Przepraszam... ale obiecałam, że poczytam Ariel przed snem.

Sune w Grecji. Miała wrażenie, że już czytały tę książkę, ale gdyby ktoś spytał, o czym ona jest, nie umiałyby odpowiedzieć. Coś o Grecji i jakimś chłopcu o imieniu Sune? Ariel chichrała się co rusz i, umoszczona pod jej pachą, wymusiła jeszcze jeden rozdział. Helene czytała dalej, jeden rozdział to było pięć czy siedem minut, dawał jej w każdym razie trochę więcej czasu, nim będzie zmuszona stanąć przed Jockem i wyjaśnić mu, dlaczego go okłamywała przez te wszystkie lata. Czytała puste linijki o Sunem i próbowała znaleźć w sobie samej ten moment, dokładnie tę chwilę, gdy postanowiła, że całkiem wymaże ojca ze swojego życia. Poczucie wyzwolenia, kiedy to się stało. To nie było wcale takie trudne, zdumiewająco łatwo powiedzieć: moi rodzice oboje nie żyją.

Helene pocałowała małą w czoło i przykryła kołdrą, potem gładziła ją chwilę po plecach, tak jak Ariel lubiła. Następnie przymknęła za sobą drzwi.

Jocke już zasnął przed telewizorem, w którym leciały wiadomości, lecz ona była nienaturalnie pobudzona, przecież teraz w Ameryce było dopiero popołudnie. Szybka myśl o wiadomości, którą Ramón już pewnie dostał, że Claudia ma się odezwać. Może da jej to kilka dni zwłoki.

Helene usiadła w rogu kanapy, tuż obok śpiącego męża. Dotknęła jego włosów, ostrożnie, jakby już właściwie nie miała do tego prawa. Były wciąż gęste, jak wtedy, gdy pierwszy raz się spotkali, siwych miał więcej, niż dotąd sądziła.

– Jocke – szepnęła.

Wzdrygnął się i iPad spadł mu na podłogę.

– Aha, oj, przepraszam, chyba się zdrzemnąłem.

– Przepraszam cię – powiedziała.

Jocke usiadł i pomasaował sobie twarz, odłożył okulary, których używał tylko do czytania.

– Przepraszasz za co? Że mnie obudziłaś czy że mnie okłamałaś? I nasze dzieci. Co im miałem powiedzieć, jak zadzwonili? Sorry, dzieci, pomyłka, a jednak macie dziadka?

Helene zamknęła oczy i znów otworzyła, wbiła wzrok w ścianę nad jego głową. Nakleili tam fototapetę z ptakami.

– Wiesz, że ja... nie mam ani jednego wspomnienia z dzieciństwa, kiedy on byłby trzeźwy. Nie pamiętam ani jednego razu, żeby naprawdę przyszedł, jak powiedział, że przyjdzie. Wycierałam jego wymioty, Jocke, wycierałam i inne rzeczy, nie chciałam tego przywlec tutaj, do ciebie, do nas i dzieci, musisz to chyba

zrozumieć?

– Byliśmy razem przez trzy lata, zanim pojawiły się dzieci.

– A kiedy miałam to powiedzieć? Za pierwszym razem, jak mnie zaprosiłeś na kolację, przy pierwszej butelce wina, jak pierwszy raz żeśmy ze sobą spali?

– Mogłaś też poczekać do drugiego razu.

– Cały czas o tym myślałam.

– Jak żeśmy ze sobą spali?

– Nie.

Westchnął, chwycił poduszkę i wyrznął nią o kanapę.

– I co zamierzasz teraz powiedzieć dzieciom? Mówiliśmy im, że nie będziemy się na nie złościć, kiedy coś przeskrobia, byle tylko mówiły nam prawdę. Będziemy źli wyłącznie wtedy, kiedy będą kłamać.

Helene musiała myśleć o oddychaniu, żeby móc dalej oddychać. Oczywiście miał rację. On zawsze ma rację.

– A gdybym o tym powiedziała. Za tym pierwszym albo drugim razem. Że ojciec przesiaduje na parkowej ławce w Jakan, że jest z tych, co to piją piwo na śniadanie, których ty zawsze omijasz szerokim łukiem, do tego jeszcze matka, która mnie nie chciała, zostawiła mnie i poszła w siną dal. Co byś wtedy o mnie pomyślał?

– To przecież z tobą chciałem być, twoja rodzina nie ma z tym nic wspólnego.

– To tylko puste gadanie, Jocke. Nie wiesz tego. Byłoby ci mnie żal, może to byłaby nawet jakaś przygoda w twoim pięknym świecie, z taką pokaleczoną duszą, i czułbyś się trochę szlachetny, ale potem to by się w ciebie wżarło. I nie mów, że tak nie jest, bo ja wiem. Widziałam te wszystkie spojrzenia. Aha, to dlatego ta dziewczynka jest taka smutna? Bo mama ją porzuciła? To dlatego wypila lampkę za dużo, bo jej ojciec pił, może ma to we krwi?

– Naprawdę aż tak źle o mnie myślisz?

– Przeciwnie – powiedziała. – Myślę aż tak dobrze. Nie pasowałam do twojego świata.

– Helene...

Wyciągnął do niej rękę. Cofnęła się.

– Nie powiedziałaś, jak z nim jest – przypomniała.

– Wyliże się – powiedział Jocke. – Trzeba przyznać, że to całkiem nieźle, jak na

kogoś, kto dopiero co nie żył.

Spróbował się roześmiać. Helene nie była w stanie mu zawtórować, ale przez sekundę w powietrzu było coś, czego nie czuła całe wieki, jakieś napięcie, jakiś impuls.

– Chyba muszę napić się trochę wina – stwierdził.

– Ja dziękuję.

Poszedł do kuchni i przyniósł tę butelkę z Mendozy oraz kieliszek tylko dla siebie.

– On umarł – ciągnęła Helene. – Umarł dla mnie, gdy wyniosłam się z Jakobsberga. Uważałam, że nie jestem mu nic winna.

– Jednego tylko nie rozumiem – rzucił Jocke i otworzył butelkę, nie zauważyła, że kupiła mu wino z zakrętką. – Nie pojmuję, jak można kłamać o tym, kim się jest, przez czternaście lat.

– Piętnaście – poprawiła go Helene. – Poznaliśmy się piętnaście lat temu.

– A twoja przybrana matka, Barbro, tak zwyczajnie zaakceptowała twoje kłamstwa?

– Była zmuszona. Powiedziałam jej, że nie będzie widywać moich dzieci, jeśli mi nie przyrzeknie, że nigdy o nim nie wspomni.

Jocke spróbował wina, ale powstrzymał się od komentarza. Poczowała ukłucie, że wybrała jakieś marne.

– Więc to dlatego nigdy nie zaprosiłaś do nas swojej siostry?

– Nie – powiedziała. – Tylko dlatego, że wiedziałam, że Charlie próbowałaby cię poderwać.

Jocke nawet uśmiechnął się lekko, ale uśmiech zaraz mu zgasł.

– Za drugim razem, kiedy spaliśmy ze sobą – ciągnęła Helene – wtedy już było za późno. Wtedy już się bałam.

– Czego?

– Że mnie nie zechcesz.

Zakręcił kieliszkiem z winem, szkło mieniło się bordowymi odcieniami w rytm zmian obrazu w telewizorze, który wciąż był włączony.

– A co robiłaś w Argentynie? W ogóle tam byłaś?

Helene otworzyła usta, ale nie wiedziała, od czego ma zacząć. O czym kłamała, co on wie, wszystko teraz było jedną wielką gmatwaniną. Niewinne kłamstwa,

winne kłamstwa, prawdy i półprawdy, już nie umiała ich rozróżnić. Właśnie to było niebezpieczne, gdy się zapominało, co jest kłamstwem, a co jest prawdą, jak szkiery i podwodne skały, kiedy żeglowali pierwszego lata i on chciał, żeby czytała mu mapę, i zakochany bredził o rozmigotanym morzu i wietrze w jej włosach, a ona nie mogła myśleć o niczym innym jak tylko o podwodnej rafie, która lada moment miała rozbić kadłub, bo nie rozumiała znaków nawigacyjnych.

Nie wiedziała nawet, co to jest ławica, a co szkier.

– Moja siostra nie żyje – wydusiła w końcu.

Jocke zamknął oczy.

– Poczekaj, moment, kto nie żyje, a kto żyje, myślałem, że to twoja matka zmarła w Argentynie, czy nie tak zawsze mówiłaś?

– Proszę cię, nie mów nic, pozwól mi tylko spróbować...

– Proszę bardzo...

– To było w Walpurgię. Zadzwonili z policji, że Charlie nie żyje, odebrałam rozmowę, jak zbieraliśmy drewno na ognisko.

– O ile pamiętam, to wróciliśmy potem do domku na grilla i wszystko było jak zwykle.

– Nie chciałam wam zepsuć wieczoru.

Popatrzył na nią i pokręcił głową.

– Ty chyba jesteś nienormalna.

– Wszyscy mówili, że popełniła samobójstwo – ciągnęła Helene – ale ona wiedziała pewne rzeczy o mamie, o tym, co się zdarzyło w Argentynie.

Spostrzegła teraz pewną zmianę w mowie jego ciała, jakby część napięcia i rozgoryczenia spłynęła z jego ramion. Odchylił się trochę do tyłu, popijał wino, w każdym razie teraz jej słuchał. A gdy opowiadała o więzieniu w Buenos Aires, przez chwilę trzymał ją za rękę.

Dużo później tego wieczoru, kiedy już się położyli i Jocke wreszcie zasnął, trochę podcięty, bo wysączył całą butelkę, Helene znów po cichu wstała. I tak nie mogła zasnąć.

Wślizgnęła się do łóżka Ariel i przyłgnęła do jej pleców. Tam łatwiej jej było leżeć bezsennie i porządkować myśli. Wszystko, co powiedziała, i wszystko, co pominęła.

Teraz Jocke wiedział prawie wszystko o śmierci Charlie i podróży do Argentyny, i w końcu ją przytulił, głaskał po włosach. Dał się jej wypłakać i mówił

takie rzeczy, jak: „Jestem tutaj, dla ciebie, ale to na nic, jeśli mnie nie wpuścisz” i „Człowiek jest, kim jest, trzeba przecież nauczyć się to akceptować”.

A ona zmilczała, co miała na końcu języka, na przykład: łatwo ci powiedzieć, bo ty nie wstydzisz się tego, kim jesteś.

Zapadła noc, jasna czerwcową noc, która zdawała się niczego nie ukrywać.

Jocke przyznał, że czuje się lepiej po tym, jak wszystko mu opowiedziała. Ale teraz musi to wszystko przetrwać w spokoju, dlatego kiedy wreszcie postanowili iść spać, odsunął się po swojej stronie na brzeg łóżka.

Jutro jest przecież normalny dzień pracy.

Leżała więc, dając mu trawić w spokoju i milcząc o ostatniej prawdzie, że to jeszcze dalece nie wszystko.

Myślała jaśniej, gdy zmieniła łóżko. To oczywiste, że prawda musi mieć swoje granice.

Były sprawy, których nigdy by nie wybaczył.

Na przykład wiedział teraz, że znalazła w Buenos Aires kochanka swojej matki, ale nic o tym, jak wciągnięto ją do wozu i zawiązano oczy. Narażać się na takie sytuacje, gdy się jest matką dzieci, to przecież takie lekkomyślne. Spotkanie z Ramonem przekształciła w cichą rozmowę ze starym człowiekiem. O Kolumbii też nic nie wspomniała, co oznaczało, że opowieść kończyła się na tym, iż w lutym 1978 Ing-Marie zniknęła. Do spraw przemilczanych należała też oczywiście jej korespondencja na Romans.se. i spotkania z nieznanymi mężczyznami w różnych knajpach. Nigdy by tego nie zaakceptował. Zażądałby co najmniej, żeby usunęła stamtąd swój profil i nigdy więcej się nie logowała.

Bolały ją mięśnie i stawy po dobie spędzonej w różnych samolotach, ale jeszcze bardziej z powodu napięcia, przymusu balansowania między prawdą a przemilczeniem.

Ostrożnie objęła ramieniem plecki Ariel, przykryła się kołdrą razem z nią. Ciepło tam, w środku, kruche życie.

– Nikomu nie dam was skrzywdzić – wyszeptała w kark małej. – Nikomu i nigdy.

Rycerz wyglądał tak przedziwnie lekko, leżąc w białej pościeli, wśród stalowych rur. Jakby unosił się na łożku, jak kurz, tak samo jasnoszary i prawie przejrzysty.

Helene podeszła ostrożnie, mając nadzieję, że go nie obudzi. Wyglądał tak spokojnie, kiedy spał, mimo że twarz była wielkim pobojuwiskiem. Siny wylew pokrywał jedno oko i sporą część policzka, duży przyklejony plastrem kompres na ciemieniu, część włosów musieli mu zgolić. Koc zsunął się, więc widziała białą szpitalną koszulę, chude, sterczące spod niej ramię, prawie sinofioletowe, igłę w jego zgięciu.

Kupiła mu owoce i trochę słodczy, zawsze lubił lukrecję Fazera, i obie popołudniówki, „Expressen” i „Aftonbladet”, które położyła na stoliku.

Osunęła się na krzesło dla odwiedzających i przymknęła oczy, wpadła w zmęczenie po nocy, podczas której latała swobodnie między kontynentami, była z powrotem w Kolumbii i budziła się czasem spocona, tuląc się do pleców Ariel, obejmowała ją znowu, szeptała to samo.

– Niezły staf – odezwał się Rycerz.

Helene otworzyła oczy.

– Przepraszam, prawie usnęłam. – Miała w głowie zamęt wywołany zmianą stref czasowych, przez chwilę nie wiedziała, czy to ranek, czy popołudnie.

– No popatrz, przysłaś mnie odwiedzić – powiedział. – Kurde mol.

Rycerz wziął „Aftonbladet” i spróbował przerzucać strony jedną ręką, drugą miał owiniętą bandażem.

– Obie wieczorne, nieźle. Jak panisko.

Helene wyprostowała się na krześle, spała zgięta niemal we dwoje, przyciskając sobie niechcący jedną rękę, która teraz zdrętwiała.

– Jak się czujesz? – spytała.

– A jako tako, nie narzekam. Łóżko mi tu dali.

Helene wręczyła mu torebkę ze słodczymi.

– Przywiozłam ci trochę...

– A dziękuję...

Wyjrzała przez okno, rozmasowując sobie rękę. Głos uwiązał jej w gardle. Zmieniała się w jego obecności. Małomówna, bo i nie miała nic do powiedzenia,

ostrożna, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

– Oj, daliby już spokój na tej Ukrainie.

Szeleścił torebką i przewracał strony gazety, chrząkając czasami.

– Najmniejszy dzieciak teraz chyba ma komórkę. Popatrz tutaj, znaleźli dwóch malców, co zabłądzili w lesie, bo namierzyli ich dzięki czemuś, co jest w telefonie. Ledwie sześciolatki, to się mogło źle skończyć.

Przytrzymał gazetę tak, żeby Helene też mogła przeczytać. Policja chciała, aby chłopcy opisali okolicę, w której się znajdują, to, co widzą. „Drzewa”, odpowiedzieli, i „jeden drugiego”. W końcu udało im się wytłumaczyć dzieciakom, jak mają włączyć GPS.

Zafurkotało coś białego, jakaś salowa, która zapytała, czy chcą kawy, bo jeśli tak, to można sobie przynieść z korytarza. Pogłaskała Rycerza po stopie i powiedziała coś w rodzaju, że chyba miło mieć gościa.

– A tak, to córka przyszła w odwiedziny – powiedział.

Kiedy salowa poszła dalej, Helene podniosła dłoń z kolana. To był impuls, nie jakiś przemyślany gest, tak się po prostu stało, że położyła dłoń na jego dłoni i siedzieli tak chwilę w milczeniu, aż znowu odchrząknął.

– No, nie wiadomo teraz, co to będzie z Ukrainą.

– Co ci się właściwie przytrafiło? – zapytała.

– E, to nie było nic takiego. – Rycerz zabrał rękę i chciał chyba podrapać się w głowę, albo coś w tym stylu. – Aj, kurde. – Twarz wykrzywiła mu się, a ręka opadła z powrotem na pościel.

– Rozmawiałam z policją z Solny – powiedziała. – Mówią, że miałeś nogi okręcone taśmą, ktoś cię próbował zamordować, a ty nie mówisz, kto to był.

– E, lepiej nie gadaj z policją.

– To oni ze mną gadają.

Helene wstała z krzesła. Nieważne, czy minęło dwadzieścia czy trzydzieści lat, doprowadzał ją do wściekłości, jak tylko musieli zamienić z sobą więcej niż dwa zdania, to jeszcze jeden powód, dla którego uciekła.

– Dlaczego nie przyszedłeś na pogrzeb? – rzuciła.

– Oj... znaczy przegapiłem? – Rycerz rozejrzał się trochę na lewo i prawo. – Zdaje się, miałem umówione spotkanie w ten dzień... z kuratorem z socjału. No tak. A te spotkania, wiesz, to mus.

Helene dociągnęła zasłonę, odgradzając ich całkiem od reszty sali. Było w niej jeszcze trzech pacjentów, pod zasłonami widziała ich buty.

– Ciiii... oni tu mogą podsłuchiwać – wyszeptał Rycerz. Dał jej znać dłonią, żeby się zbliżyła.

– Nie ma tu nikogo – powiedziała.

Parokrotnie wskazał na zasłonę. Na buty pod nią.

– Mówię, że nie ma tutaj takich – wyjaśniła – którzy cię podsłuchują, w ogóle nie ciekawi ich, kim jesteś.

Rycerz podciągnął się do pozycji półsiedzącej.

– Ja chciałem z nimi tylko trochę pogadać – wyszeptał. – Chciałem mu tylko powiedzieć, że tak się nie robi z moją Charlie.

– O czym ty mówisz? – Helene przysiadła na samej krawędzi łożka. – O tych, którzy cię pobili?

Rycerz kiwnął głową, a ona, widząc jak się krzywi, zrozumiała, że to też sprawia mu ból. Udało mu się unieść rękę, wychudzoną i niebieską, chwycił Helene za przegub.

– Mam jego nazwisko i cały ten gips, tylko nie mów nic glinom.

– Ależ musimy powiedzieć policji, przecież tu chodzi o usiłowanie zabójstwa.

Rycerz pokręcił głową i spróbował przyciągnąć ją bliżej do siebie. Ciało Helene stawiało opór. Wysyczał jej do ucha nazwisko i adres.

– Miałem też jego zdjęcie, ale mi zabrali. Nie wiem, czy teraz da się je zdobyć.

– Co za zdjęcie?

– Kokainowa familia – powiedział.

– Co to niby znaczy?

Powoli zaczęło do niej docierać, że Rycerz ciągle draży ten sam temat, wszystko kręci się dokoła śmierci Charlie. Tamtej nocy, gdy wyszła podpita z Rycerza Jakoba. Że jest w tym pewna logika. Drobne fragmenty chaotycznej informacji, które mogła scalić w obraz tego, co Rycerz robił w Solnie i dlaczego.

– Ale jak gliny się dowiedzą, to przyjdą też po ciebie, kruszynko, ciebie też zabiorą. – Ciągle trzymał jej rękę, ściskając ją mocno. – To nie delirka – dodał. – Nie myśl, że to zwidy.

I zobaczyła w jego oczach coś statecznego, czego już nie pamiętała. Może raz kiedyś, dawno, dawno temu, widziała go tak trzeźwego, jak był właśnie teraz.

Przebiegł ją dreszcz, choć miała na sobie sweter.

Kokaina, pomyślała, czy to może być przypadek, czy jest coś, co to wszystko łączy do kupy, czy to możliwe, że to wszystko ze sobą się wiąże?

– O czym dokładnie był ten artykuł, o którym mówisz?

– Dokładnie to trudno powiedzieć... tak szczegółowo to przecież nie pamiętam...

Helene oswobodziła swój przegub z jego dłoni.

– Przyniosę kawy.

Wstukała adres do GPS-u w samochodzie: Fabriksvägen, Solna, i pojawiła się mapa. To było śmiesznie blisko od Szpitala Karolińskiego, gdzie akurat się znajdowała, tylko kawałek dalej, prosto, mijając po drodze cmentarz Północny.

Przebiegła Aftonstjärnans väg, ulicę prowadzącą między groby, a potem miała skręcić w pierwszą w prawo. Były to takie okolice, o których prawie się zapomniało, że istnieją. Kilka starych budynków otynkowanych na żółto, wyglądających na zabytki, sąsiadowało z biurami z cegły i z blaszanymi fasadami, minęła nawet pusty plac, gdzie wznosiły się nagie kamienne ściany, jakby to było po wojnie. Skręciła w Fabriksvägen. Numer siedemnaście, powiedział, czy może jedenaście, a może w ogóle nie miał numeru. Zapisał wszystko na kartce, ale kartkę diabli wzięli. Firma w każdym razie miała w nazwie „Security” i coś dalej na S. Helene jechała wolno, żeby nadążyć z odczytywaniem wszystkich szyldów, jakieś części zamienne do motocykli, spółka kredytowa, firma ochroniarska zaczynająca się na E, stołówka oferująca lunch w cenie poniżej pięćdziesięciu koron, firma oponiarska, opieka domowa, firma przeprowadzkowa, a dalej już nie widziała, bo zasłonił jej widok szereg ciężarówek.

Koniec Fabriksvägen. Miała przed sobą puste pole z torami kolejowymi i zaśmieconą ziemią. Wyjęła swój służbowy telefon i wpisała w Google hasła „Security”, „Solna”, „Hagalund”. Otrzymała adresy siedmiu różnych przedsiębiorstw, które miały coś wspólnego z ochroną, tylko w tej okolicy. Dwa z nich mieściły się na Fabriksvägen, Swede Security pod numerem siedem. Czyli na początku ulicy, jeden z budynków zasłoniętych ciężarówkami. Firma nie miała własnej strony.

Helene wysiadła z samochodu i spojrzała na rzędy równoległych torów, które wpadały nieco dalej do skalnych tuneli. A więc to tam go znaleźli. Woląta raczej nie wyobrazić sobie mroku, jaki w nich panuje, ani ciężaru pociągu. Odnotowała,

że ogrodzenie jest niskie, a jakaś bramka wisi krzywo, stały też rzędy kontenerów, słupki drogowe, raz skrzywione i nigdy niewyprostowane.

Przypomniała sobie, że kiedyś widziała plany dla tej okolicy. Ponieważ wkrótce miano doprowadzić metro do nowego osiedla Hagastaden, które wyrosło dokoła Szpitala Karolińskiego, by połączyć Solnę ze śródmieściem Sztokholmu, gigantyczny projekt, przy którym jej biuro startowało w konkursach, chciano też wybudować stację widmo pod terenami fabrycznymi Hagalund, gdzie właśnie stała.

Chodziło o to, by kiedyś w przyszłości, za dwadzieścia albo trzydzieści lat, gdy zapadnie decyzja, by na tych terenach budować mieszkania, można było tę stację otworzyć.

Jej teczka leżała w samochodzie. To był głupi pomysł, zdawała sobie z tego sprawę, lecz nie na tyle głupi, by z niego zrezygnować. Teczkę wzięła ze sobą z myślą o tym, by po drodze wstąpić do biura i zameldować, że już czuje się lepiej. Miała w niej rysunki z projektu w Beckomberdze i trochę innych papierów. Wyjęła ją, zamknęła samochód i poszła nieśpiesznym, spacerowym krokiem ulicą Fabriksvägen.

Numer siedem to był budynek z żółtej blachy, ze spuszczoneymi żaluzjami, zobaczyła napis Swede Security, naklejki na szybach, że mają założony alarm. Rzuciła tylko okiem na dziedziniec, minęła go i zatrzymała się przy następnej posesji.

Na rampie towarowej siedziało kilku chłopaków w kombinezonach i piło kawę.

– Szuka pani czegoś? – spytał jeden z nich.

Helene wiedziała, że w ich oczach wyróżnia się swoim ubraniem, tą obcisłą granatową spódniczką, którą nie wiecie czemu wybrała tego ranka.

– Tak tylko chodzę i oglądam.

– Niewiele tu do oglądania.

– Chcę się rozejrzeć po terenie, nim przystąpimy do projektu.

– A co, mają tu coś budować?

– Nic o tym nam nie powiedzieli. – Jeden z mężczyzn, najstarszy z nich, może w jej wieku, zsunął się z rampy. – Pani z urzędu gminy czy skąd?

– Nie, nie, ja jestem architektem. – Helene niezgrabnie przełożyła teczkę do drugiej ręki i wyciągnęła dłoń, uznając, że wypada jej tak zrobić. – Helene Bergman, mamy sporządzić tylko wstępny plan. – Wskazała na logo biura

architektonicznego na teczce, stylizowaną sylwetkę sztokholmskich wież.

– A panowie z jakiej branży? – spytała.

– Firma przeprowadzkowa. – Wskazał na napis biegnący przez pół fasady.

– A te inne firmy w sąsiedztwie? – Helene wskazała biurowy budynek pokryty żółtą blachą.

– Ochrona – powiedział jeden z chłopaków.

– Aha, zamki i tego typu rzeczy, tak...?

– Nie wiem, zdaje się, mają też bramkarzy, niektórzy z tych, co tu przychodzą, na to wyglądają. Sama pani może z nimi pogadać.

Wskazał na żółty dom i Helene odwróciła się akurat w chwili, gdy drzwi się otworzyły i wyszedł z nich mężczyzna w dżinsach i marynarce. Spozstrzegła, że wszyscy mu się przypatrują. On też to najwyraźniej zauważył, bo ruszył w ich stronę.

– Jak mówię, to jest tylko wstępny plan – rzuciła Helene na odchodne. – Idę dalej.

Ruszyła w stronę prześwitu między ciężarówkami, żeby przejść na drugą stronę, ale mężczyzna w marynarce już tam był.

Spokojnie, pomyślała Helene, ja sobie jedynie tutaj chodzę, oni nie wiedzą, kim jestem.

– Chciała pani czegoś od nas?

– Nie, nie... ja tylko się rozglądam.

– A pani jest...?

Pomachała swoją teczką.

– Rekonesans – wyjaśniła.

– Co to znów za brednie? To Friends Arena chce jeszcze to przejąć?

Chwycił za teczkę. Trzymała ją mocno i nie zamierzała jej wypuścić, nie chciała, by zobaczył, że nie ma tam nic na temat tych okolic. Zauważyła przesadnie wielki zegarek na jego ręce.

– Nie, nie ma jeszcze żadnych planów – powiedziała i ruszyła dalej. – Jak mówię, na razie tylko się tutaj rozglądamy.

Nie obejrzała się za siebie, dopóki nie usiadła za kierownicą. Cofając auto, żeby zawrócić, zobaczyła mężczyznę, jak stoi pod rampą i rozmawia z chłopakami od przeprowadzek. Odjechała stamtąd szybko inną drogą.

Na rogu Aftonstjärnans väg, z widokiem na nieskończenie wiele krzyży i nagrobków, zatrzymała samochód, żeby złapać oddech, ale także po to, żeby wejść do internetu. Ręce jej się trzęsły i myliła litery, ale miała przynajmniej dobry zasięg w tym królestwie zmarłych. Jeśli istnieje firma, to może istnieje też ten artykuł. Kokainowa familia. Kiedy udało jej się wreszcie wpisać oba słowa prawidłowo, znalazła go w archiwum „Aftonbladet” w niecałą minutę.

Kuzyn, powiedział Rycerz, zdjęcie kuzyna. Jest, robiło się coraz ostrzejsze w jej komórce. Lekka ulga, to w każdym razie nie był ten, którego właśnie spotkała.

Helene opadła na oparcie i zamknęła oczy. Coś z tego, o czym Rycerz opowiadał, znajduje potwierdzenie w faktach, a więc przynajmniej jakaś część nie była wyssana z palca. Być może w jego pomieszany mózgu wciąż jeszcze są obszary, które normalnie funkcjonują: był adres, była firma, był artykuł w „Aftonbladet”. I co jeszcze?

Spojrzała na zegarek. Dopiero wpół do pierwszej. Tego dnia powinna była pojawić się w biurze i powiedzieć, że czuje się już bardzo dobrze.

Tego dnia powinna była zrobić porządne zakupy i przygotować dla Jockego jakąś pyszną kolację, aby zrozumiał, że mimo wszystko są przecież szczęśliwi.

Lecz przede wszystkim tego dnia chciała zaprosić na lunch Terese Wallner.

– To on, bankowo. To jest ten facet, z którym wtedy wyszła.

– Jesteś pewna? Mówiłaś przedtem, że ledwo pamiętasz, jak wyglądał.

– Ale co innego, jak się widzi takie zdjęcie.

Helene kupiła najpierw w tajskiej kuchni jedzenie na wynos, a potem pojechała do willi Wallnerów w Viksjö. Monia i jej mąż poszli do pracy, ale Terese najwyraźniej ciągle była bezrobotna. Tak czy inaczej, tkwiła w domu w środku dnia i leżała, gapiąc się na YouTube. Kiedy Helene zadzwoniła do drzwi, otworzyła jej w domowym dresie, z jakimś filmikiem wciąż leżącym w jej komórce.

– Pani zaczeka chwilę, tylko skończę to oglądać.

Helene pozwoliła sobie w tym czasie otworzyć kuchenne szafki i nakryć do stołu. Kiedy zasiadły do niego, Terese mogła wreszcie odłożyć własną komórkę i spojrzeć na komórkę Helene, na zdjęcie z procesu kokainowego.

– Tutaj już nie jest taki podobny do Seana Penna.

– Pamiętasz coś więcej o nim, czy wyglądało na to, że się znają...?

– Nie... ale nie sądzę. Ona przecież tam była z innym. – Terese ogryzała szaszłyk z kurczaka. – A kim on jest?

Helene odsunęła swój talerz. Nie miała apetytu.

– Pracuje w pewnej firmie ochroniarskiej – powiedziała. – Zdaje się, że jest niebezpieczny, napadł na inną osobę.

– To on ją zabił?

– Nie wiem – odparła. – Ale to możliwe.

Terese wyjrzała przez okno, na dworze wszystko teraz zieleniało i kwitło na potęgę, w doniczkach i na rabatkach.

– Ja nie mam rodzeństwa – rzuciła. – Fajnie jest chyba mieć.

– Tak, myślę, że tak.

– Dopiero, jak się zobaczy śmierć, człowiek rozumie, że sam umrze. Przedtem wiedziałam oczywiście, że ona jest, ale jej nie rozumiałam, nie myślałam o śmierci, już prędeż, że byłoby fajnie pójść na węgry z życia, ale nie o tym, jak potem jest zimno i pusto.

– Mogłabyś o tym opowiedzieć policji, gdyby było trzeba?

– No jasne. Pewnie. Przecież tam byłam, w tym samym miejscu, to mogłam być ja. – Czy Terese rozszerzyły się i przeciągnęła palcami po przegubie. – Już drugi raz mi się to zdarza, że tak ocieram się o śmierć. To musi coś oznaczać. Że przeżyję, czy jak pani myśli?

Helene spojrzała na nią, młodą dziewczynę, która jakby ugrzęzła w domu, w swoich dresach. Przypomniały jej się słowa Moni, żeby uważać z nią i nie rozmawiać za dużo o śmierci.

– Nie sądzę – powiedziała. – To znaczy, nie sądzę, że to mogłaś być ty. Myślę, że jemu chodziło właśnie o nią.

Powiedziała to głównie po to, by uspokoić Terese, ale nagle dotarło do niej, że coś w tym jest. Wydawało się nielogiczne, żeby jakiś ochroniarz z Solny pojawił się w Rycerzu Jakobie przypadkowo, o ile zdążyła się zorientować, raczej nie należał do typowej klienteli tego klubu. Usiłowała przypomnieć sobie wszystkie wątki i powiązać je w jakiś wzór. To, co powiedział Uffe Rainer, że parę dni wcześniej ktoś chodził za Charlie, obserwował ją; musi pokazać to zdjęcie także jemu. Coś zaśpiewało w niej na tę myśl. O tym, że się pojawiał w jej fantazjach, też nie wspomniała Jockemu.

– Chcę ci pokazać jeszcze coś.

Helene weszła na Romans.se i wpisała hasło.

Dawno już tam nie zaglądała, znalazła informację wytłuszczonym drukiem, że Billie Jean ma dwadzieścia osiem nowych wiadomości. Wkliknęła się w listę jej kontaktów i znowu podała Terese komórkę.

– Zobacz, proszę, czy nie rozpoznasz któregoś z tych mężczyzn.

Terese przewijała listę.

– Czy to nie tego przysłała pani mejlem, żebym popatrzyła?

Pokazała zdjęcie mężczyzny, który używał nicka Kerouac. Helene wysłała je Terese, nim się z nim spotkała, przypominała sobie, że dziewczyna nie miała wtedy pojęcia, ledwie jej odpowiedziała.

– Sorry, że się dokładnie nie przyjrzałam – rzuciła. – Nie wiedziałam, że to ważne.

– To jest ważne – podkreśliła Helene.

– Teraz to wiem.

Terese przerzucała listę tam i z powrotem i wydawało się, że zapomniała o jedzeniu, które powoli stygło w formach z folii.

– *Shit pommes frites* – roześmiała się głośno. – Pani popatrzy! – Pokazała jej zdjęcie kogoś, kogo Helene wcześniej nie zauważyła. – To jest kolega matki z pracy.

– Napisał coś do Charlie?

– Nie, nie, tylko go teraz zobaczyłam, chyba właśnie jest zalogowany, mam coś napisać?

– Nie, masz nic nie pisać.

– Okej, okej. – Terese przewijała dalej, ale uśmiech ciągle nie schodził z jej twarzy, pochyliła się nisko nad komórką, tak że opadły jej włosy.

– Co za typy, nie mogę, „jesteś szczupła czy raczej przy kości”, co to w ogóle za pytanie?

– Nie chodzi o to, żebyś czytała – rzuciła Helene. – Patrz tylko na zdjęcia.

– Dwadzieścia siedem lat, on nie jest na nią trochę za młody? Niezła z niej była pedofilka, ta pani siostra.

Helene wyrwała jej telefon.

– No dobrze, już dobrze – uspokoila ją Terese. – Nie będę.

Przeglądała dalej zdjęcia wielbicieli Charlie, spoważniała. Zmiana na twarzy,

wzrok jej zbystrzał, jakby się nagle ocknęła.

– *Shit*. – Terese przeciągnęła palcami po wyświetlaczu, powiększyła i z powrotem zmniejszyła obraz. – *Shit*, to przecież on.

– Kto?

– Ten drugi gość, ten, co z nim była. O, ten.

Podniosła wyświetlacz i Helene zajrzała w oczy mężczyźnie, którego rozpoznawała, widziała jego profil wielokrotnie, wysyłała do niego listy, których teraz się wstydziła. To on używał nicka Czego Zapragniesz.

– Jesteś pewna?

– Bankowo.

Ikonka w rogu oznaczała, że Billie Jean miała od niego nieprzeczytane listy. Helene weszła na stronę z wiadomościami, trzy nowe od Czego Zapragniesz, przeczyta je później, już bez Terese zaglądającej jej przez ramię. Zatrzymała się przy innym liście, Dwudziestosiedmiolatek także się odezwał.

– To jest dosyć upiorne – powiedziała i zaraz ugryzła się w język. Miały przecież nie mówić o takich rzeczach.

– Co takiego?

Helene pokazała jej stronę Dwudziestosiedmiolatek, na której nie było zdjęcia.

– Ten chłopak – powiedziała – wiedział, że Charlie nie żyje.

– Kim on jest?

– Nie mam pojęcia.

– Może przeczytał o tym w internecie.

Helene otworzyła ostatni z jego listów: „Cześć, Billie Jean, jeszcze nigdy nie pisałem do kogoś, kto nie żyje. Jak tam jest?”.

– Paranoja.

– No – zgodziła się Helene – faktycznie, można tak powiedzieć.

Jocke przysłał jej esemesa, że musi zostać dłużej w pracy, „mam, jak rozumiesz, sporo do nadrobienia”, więc przynajmniej na moment odroczył w ten sposób dalszy ciąg dyskusji. Ulepiła pulpety, utłukła ziemniaki, dodała octu do sałatki z ogórków i pomyślała, że histeryzuje.

Nikt tu nie może jej osiągnąć.

Wszystko będzie dobrze.

Przekaze policji nowe informacje na temat śmierci Charlie, a potem da już sobie spokój. Zrobiła, co mogła. Pora iść dalej. Gdyby Claudia zmartwychwstała i rzeczywiście zadzwoniła, trafiłaby przypuszczalnie bezpośrednio do Ramona. Mogli załatwiać swoje porachunki sami. Przestraszył ją, kiedy siedziała z zawiązanymi oczami, ale tutaj jest Szwecja, to jest Vasastan^[34], kamienice z kodami do bramy i zamki na siedem spustów.

Nakryła odświeżnie do stołu, z serwetkami i świecami, i obiecała lody na deser, żeby uczcić swój powrót do domu.

Jak dotąd potrafiła sobie radzić bez biologicznej matki. I to całkiem nieźle.

W środku kolacji zadzwonił telefon.

– Niech sobie dzwoni – powiedziała. – Jak coś ważnego, to zadzwonią jeszcze raz. – Próbowwała na serio przestrzegać zasady nieodbierania telefonu ani esemesów, kiedy jedli. Poza tym o tej porze dobijali się tylko telemarketerzy, ale Ariel, rzecz jasna, miała nadzieję, że to koleżanki, i już pobiegła w podskokach do kuchni.

Malte nałożył sobie trzecią porcję pulpecików. Wziął też trochę warzyw, a przynajmniej ogórków. Tak prosta rzecz przepełniła ją na chwilę czystym i niezmaconym szczęściem. Dzieci są zdrowe, jest im dobrze.

– Mamo, to do ciebie.

– Powiedz, że jemy.

– Mówiłam, ale on nie słucha.

Helene wstała z westchnieniem.

– Wyjmę lody, żeby zdążyły trochę zmięknąć – powiedziała i podniosła słuchawkę, mając już w pogotowiu zwykłą tyradę o tym, że nigdy nie kupuje niczego przez telefon i że zgłosiła się na listę Nix^[35], co miało zaoszczędzić jej podobnych rozmów, i bla, bla, bla. Czasem musiała upominać samą siebie, że to przecież dzwoni czyjaś córka, młoda dziewczyna, która właśnie dostała pierwszą pracę.

– *So have you heard from your mother yet?*

Nie powiedziałyby, że ją zmroziło. To było o wiele zimniejsze, ziąb, który sprawiał ból, powstał gdzieś w głębi i rozprzestrzenił się po ciele, aż objął także słuchawkę, którą trzymała w ręce, kuchnię, w której stała.

– Nie – powiedziała – nie odezwała się.

Jej domowy telefon. On zadzwonił do niej do domu, rozmawiał z jej dziećmi. Równie dobrze mógł wkroczyć do pokoju.

– Chcę się tylko upewnić, że nasza umowa wciąż obowiązuje – rzekł Ramón.

Helene spojrzała w stronę stołu. Na kark Maltego, na Ariel, która usiadła z powrotem. Musiała mówić cicho, żeby nie słyszeli, Malte zbyt dobrze znał już angielski, musi zakończyć ten abonament, załatwić sobie zastrzeżony numer...

– Nie dotarła do pana moja wiadomość? – spytała cicho. – Claudii nie było w domu, wyjechała.

– Dostałem twoją wiadomość.

Gdyby przynajmniej ciągle jeszcze były jakieś trzaski na łączach, żeby nie brzmiało to tak, jakby znajdował się w sąsiednim domu. Wiedziała, że tak nie jest, on przecież nigdy nie opuściłby Buenos Aires. Mimo to zbliżyła się do drzwi na balkon i wyszła na krok, kabel był dostatecznie długi, spojrzała na dół, na dziedziniec, gdzie sąsiedzi urządzili sobie grilla w ten piękny czerwcowy wieczór.

– Nic więcej nie mogłam zrobić – mówiła cicho. – Nie mogłam siedzieć w Bogocie i czekać, powiedziałam to jej adwokatowi. Obiecał mi, że ją poprosi...

– Adwokaci – prychnął Ramón. – Za grosz nie ufam adwokatom.

Helene trzymała się balkonowej poręczy, próbowała przywołać obraz Davida Quinterę i rozstrzygnąć, czy w ogóle zechciało mu się przekazać jej wiadomość. Jak w takim razie Claudia zareagowała, czemu miałyby brać to serio? Najwyraźniej jeszcze nie zadzwoniła. Helene zostawiła także swój drugi numer komórkowy, kiedy odkryła, że się pomyliła, tej miss Colombii w recepcji biura adwokata.

I w tym momencie ją to uderzyło. Ta możliwość.

Adwokat, który był kimś innym. Synem, dlaczego syn nie mógłby nadać się równie dobrze jak córka, lepiej, mógłby namówić Claudię do wszystkiego. Ich matce na nim zależało, szukała go, opłaciła jego wykształcenie, to z nim się spotykała w każdy czwartek, nie z Helene. O Helene nigdy się nie troszczyła, ani o jej dzieci, tę dwójkę, która siedziała tam przy stole i właśnie wszczęła jakąś kłótnię, słyszała ich zaciętrzewione głosy, jakby przez klosz nierealności.

Jej torebka stała na stołku w kuchni, wróciła do środka i wygrzebała swój portfel, podczas gdy Ramón po drugiej stronie słuchawki dawał upust swojej niechęci do prawników.

Portfel, wizytówka.

Tym razem nie skorzysta z pośrednika, jego najemnego kolegi z Bogoty, tego

fuszera, który nie zgał nawet, kim jest David Quintero, da Ramonowi numer bezpośrednio.

Helene szukała nieporadnie jedną ręką i jej kolekcja wizytówek wysypała się z przegródki, portfel był pełen paragonów, pomyśleć tylko, że na początku tej podróży była chwila, kiedy zbierała wszystkie kwity do odpisu podatkowego. Zanurkowała pod stół, macała pod kuchennym blatem w poszukiwaniu rzeczy, które jej wypadły.

– Ja już zjadłem – wykrzyknął Malte. – Możemy teraz dostać lody?

– Zaczekaj chwilkę – zawołała. Udało jej się podnieść wizytówki, siedziała na podłodze, oparta plecami o szafkę i ze słuchawką przyciśniętą ramieniem do ucha, szukała tej, którą dał jej David Quintero, ale karteczki były posklejane.

– Ten adwokat, o którym wspomniał pański człowiek w Bogocie – powiedziała – mam tu gdzieś jego numer...

I dalej przerzucała wizytówki, nie była jednak w stanie wyrzucić tego z siebie, tych najważniejszych słów: on nie jest jej adwokatem, tylko jej synem. Ze swojej zabieg perspektywy widziała, jak Ariel na drugim końcu przechodniego pokoju wstaje i grzmoci piąstką Maltego, a potem jak Malte chwyta ją za rękę, a mała wykrzywia twarz, usłyszała wycie i spojrzała w dół, na wizytówkę w swojej ręce. Pewna myśl, pewien głos, pewna kobieta, która siedziała na ławce w Parku Lezamy. *W takim miejscu nie ma żadnych bogów ani bohaterów.* Każdy każdego wydawał, każdy ratował własną skórę, prawdziwa matka chroni własne dzieci, co taki David Quintero... I zobaczyła przez sekundę swojego przyrodniego brata, chociaż nie jego twarz, tylko rękę, tamtą jego bliźnię.

– Mnie nie interesuje kontakt z jej adwokatem – powiedział Ramón i jego głos po drugiej stronie zabrzmiał teraz ostrzej. – Nie rozmawiam z żadnymi prawnikami, póki ich sam nie potrzebuję, są pyszni i nadęci i wydaje im się, że kluczem do rozwiązania problemów tego społeczeństwa jest prawo.

Helene miała wrażenie, że wokół jego głosu słyszy jakąś pustkę, jakby echo. Zastanawiała się, czy ciągle jest w tym samym domu, ale mówił przecież, że już się stamtąd wyniósł, nikt nie wie, gdzie jest, nazwiska „Ramón Maguid” już na pewno nie używa, numer, z którego dzwoni, jest na pewno tajny.

Rzuciła okiem na wyświetlacz telefonu. Osłupiała, gdy zobaczyła numer. Poznała go natychmiast. To jej własny. On dzwonił z jej komórki, z telefonu, który jej zabrali; gdy sobie to uświadomiła, porwała ją złość.

Co za bezczelność. Miała zamiar go zablokować, ale ostatecznie dała sobie

spokój. Może by go to rozzłościło, gdyby komórka przestała działać. On jest skąpy, pomyślała, to dlatego używa jej telefonu, dzwoniąc do Szwecji. Ta myśl sprawiła, że zaczęła bać się trochę mniej. Być może zatrzymał sobie jej komórkę z tak trywialnej przyczyny, że wpadł mu w ręce iPhone. I pewnie nie tylko z niego dzwonił, ale także surfował po sieci, mogła spodziewać się kosmicznych rachunków, bo tego wieczoru, kiedy wepchnęli ją do samochodu, miała chyba aktywowane wszelkie możliwe funkcje.

Helene wstrzymała oddech.

Ramón zmierzał do końca rozmowy. Słyszała to po jego tonie, po pauzach, jakby się trochę spręzał, żeby napędzić jej strachu paroma słowami na koniec.

Byle zostawił komórkę jak jest, byle jej tylko nie wyłączył.

– Możliwe, że Claudia zadzwoni na komórkę, którą mi zabraliście – powiedziała. – Z przyzwyczajenia podałam także ten numer, przez pomyłkę.

Nie mógł wiedzieć, że właśnie ma go przed oczami.

– Odezwę się – rzucił Ramón.

Wyświetlacz z cyframi zgasł.

Ludzie mogli znikać, mogli zmieniać nazwiska i tożsamości, ale komórka dalej wysyłała swoje sygnały.

Helene popatrzyła na mały plik wizytówek w ręce. Była tam. Adres i numer telefonu innego mężczyzny, który też był prawnikiem i z którym odbyła długą rozmowę przed sądami w Buenos Aires.

– Możecie zacząć jeść lody – zawołała do dzieci.

Potem wybrała numer do Guillerma.

Prawnik był zestresowany, ale pamiętał bardzo dobrze ich spotkanie.

– Wiem, jak możecie namierzyć Squatinę – powiedziała.

BERLIN

2014

Claudia już zapomniała, że samotność ma także wymiar fizyczny. Tłum ludzi przepływał obok, lecz nikt jej nie widział.

Trzeciego dnia pobytu wyszła z hotelu w Prenzlauer Berg, nie informując nikogo o swoich planach.

Dziwne poczucie nieważkości, jakby była powietrzem.

Przystanęła na skrzyżowaniu przy Karl-Marx-Allee. Światło zmieniło się na zielone, potem znów na czerwone, podczas gdy ona studiowała mapę Berlina. Proste ulice, wrażenie powrotu.

Przejechał tramwaj i zaczęło mżyć.

Nie pamiętała nawet, kiedy mogła pójść do toalety niewidziana. Oczywiście nie w dżungli, tam latryny to były rzędy dołów, *chontos*, gdzie nad dziurami roiły się muchy, ale i w domu, w Bogocie, wartownicy zawsze wiedzieli, gdzie jest.

Samotność to było coś, co miało się w środku, ale ciało i słowa, nawet myśli, były własnością innych. Tylko raz przez te wszystkie lata odwołano ochronę. To było przed niespełna tygodniem, w dniu, kiedy miała opuścić Kolumbię.

Międzylądowanie w Miami, a potem do Europy.

Funkcjonariusz Służby Granicznej przejrzał jej kolumbijski paszport i wizę, ale zwrócił się do niej po niemiecku.

– Claudia Viehhauser, pochodzi pani z Niemiec?

– Mam niemieckie korzenie – odpowiedziała po hiszpańsku – ale nigdy nie byłam w Berlinie.

Jej niemczyzna opierała się na trzyletniej nauce w gimnazjum, z czego większość lekcji spędziła na wagarach. To wystarczyło, żeby czytać szyldy i zamówić kawę w tureckiej kawiarni przy hotelu, o ile nikt nie zadawał żadnych pytań.

Zaczął kropić trochę mocniej.

Przystanęła przy Alexanderplatz i kupiła u ulicznego sprzedawcy składaną parasolkę. Za słaba na tropikalną ulewę, ale jako ochrona przed tym europejskim

półdeszczem wystarczyła. Wybrała siwą, jak jej płaszcz, jak niebo, jak to centrum dawnego Berlina Wschodniego, z jego asfaltem i betonem, wybrała niekolor, który ją wymazał. Nawet jej włosy posiwiały. Przez ostatni rok zaczęła je po trochu farbować na siwo, zamiast na czarno, aż całkiem odrosły, dając jej tyle lat, ile naprawdę miała. Sześćdziesiąt parę, ile dokładnie to nieważne. Data w jej paszporcie nie miała nic wspólnego z datą jej urodzenia i Claudia Viehhauser nie miała zamiaru ubiegać się o żadną emeryturę.

Kiedyś sądziła, że jest w stanie wymazać wspomnienia.

To się sprawdzało w dżungli, ponieważ tam nie ma żadnej przeszłości. Tylko następny kilometr i następny, w marszu przez błoto i tropikalny deszcz, wilgoć pod czarnymi płachtami z plastiku. Tam każdy dzień był walką o przetrwanie wśród insektów i rzecznych kajmanów, z włączającym się opodal jaguarem, którego nigdy jednak nie widziała, i samolotami widmami latającymi nisko w poszukiwaniu guerilli do zbombardowania, w wiecznej wrzawie, gdy zachodziło słońce, a budziła się dżungla. Byli tam porwani, których trzeba było pilnować, i kaprysy *commandante*, intrygi o władzę i młodzi rekruci wymachujący bronią, którzy jeszcze nie znają dyscypliny, kobiety, które prześcigały mężczyzn w brutalności, i gorąco rosnące o zmierzchu, malaria i żółta febra, i te wieczne zebrania w kręgu wieczorami, gdzie oceniano rewolucyjną moralność, i namiot *commandante*, którądy wiodła droga w górę hierarchii.

Kiedy dostała zezwolenie na zamieszkanie w Bogocie, zrobiło się wokół niej ciszej. Ludziom się zdaje, że to miasta hałasują, ale ci ludzie nigdy nie mieszkali pod namiotami w dżungli, w świecie, gdzie nie ma żadnej samotności i zawsze ktoś widzi.

Ale wraz z ciszą przyszły też wspomnienia. Zdarzały się chwile, gdy ból i nienawiść sprawiały, że tęskniła do tamtego zapomnienia w dżungli, i musiała myśleć o śmierdzących *chontos*, by uzmysławiać sobie, że lepiej niż teraz nigdy jej nie będzie. Zamkniętej w domu w La Candelaria, prastarym śródmieściu Bogoty, gdzie wartownicy ciągle się zmieniali i byli niebezpiecznie młodzi. Z początku sądziła, że są tam dla ochrony, ale tak naprawdę to jej pilnowali. Jej władza stała się trochę za duża. Obracała takimi pieniędzmi, o jakich nie śniło się pierwotnym przywódcom guerilli. Początkowo FARC zwalczał przemysł kokainowy, lecz w końcu okazało się to niemożliwe w kraju, gdzie żadne plony nie mogły dać biednym chłopom takiego zarobku, a biedni chłopci stanowili oparcie guerilli. Gdy partyzanci postanowili zezwolić na uprawę koki na swoich terytoriach, ich możliwości finansowe przerosły z czasem najśmielsze wyobrażenia, mogli uzbroić ludową armię, podbijającą wsie, miasta i całe regiony, wymieniali kokainę na broń

i kokainę na pieniądze, pieniądze, które trzeba było wyprać, i gdzieś w tym procesie niejasna niemiecka tożsamość Claudii została wymieniona na obywatelstwo kolumbijskie. Nie wiedziała, jak to się stało, pewnie przez łapówki, ale bycie osobą istniejącą miało wiele zalet, gdy sprawy zaszły tak daleko, że musiała zajmować się bankami i zagranicznymi kontami.

W tych nowych czasach przy Potsdamer Platz wznosiły się smukłe i lśniące drapacze chmur.

Adres, który dostała, zaprowadził ją do snack baru z wielkimi oknami od ulicy. Claudia zwolniła kroku na widok sztyldów.

Bar nazywał się FBI Eatery, aluzja do amerykańskiej policji federalnej. Jej berliński kontakt miał najwyraźniej osobliwe poczucie humoru. Jako związana z guerillą, w oczach USA była terrorystką, niejedną raz musiała chować się przed ich samolotami latającymi nad dżunglą w wojnie z FARC, ale wiedziała także, że nie figuruje na żadnej liście, jej rola była zbyt zakulisowa.

W przeciwnym razie nie mogliby jej przecież wysłać do Europy.

Na stoliku miała leżeć gazeta „Berliner Zeitung”, prosty znak. Claudia zaczęła się rozglądać, udając, że czyta menu. Ludzie w kolejce kupowali swoje pudełka z lunchem albo kubki z sałatką warzywną i śpieszyli z powrotem do biura. Ci, co siadali przy stolikach, i tak byli na poły w biegu, bo wpychali w siebie liście sałaty i fasolkę, a drugą ręką obsługiwali komórkę. Tylko jeden samotny mężczyzna w rogu, w sztykretowych okularach i szarej marynarce, wydawał się mieć czas na czytanie gazety. Ta rozłożona przed nim to „Berliner Zeitung”.

Spojrzenie i kiwnięcie głową potwierdziło, że się zobaczyli.

– FBI Eatery? – zapytała Claudia, siadając.

Jej kontakt uśmiechnął się.

– No, nie jest to raczej miejsce, gdzie szukaliby kogoś takiego jak pani.

Kupiła sobie kurczaka z mango i jakiś napój, który podobno wzmacniał mózg. Mężczyzna miał przed sobą szklankę soku o zielonkawej barwie. Claudia odnotowała, że należy do typu, który dominował w tej dzielnicy. Dawno nie była w żadnym europejskim mieście i niemal wszystko się pozmieniało, lecz garnitury i teczki, obcisłe spódniczki z żakietem i pewna sprężystość ruchów, pozwalająca nie mitrężyć czasu, tylko łatwo przemieszczać się w tłumie, oraz specjalny typ ekskluzywnych okularów to były atrybuty uniwersalne, widziało się je także w najnowszych dzielnicach finansowych Bogoty, wokół banków i instytucji, gdzie ona sama zwykle przenosiła pieniądze z jednych kont na inne, nazywając się

inwestorem.

– Naprawdę chce pan rozmawiać tutaj?

– Dlaczego nie? – Mężczyzna rozejrzał się szybko i zniżył głos.

– Nikt nie zostaje tutaj dostatecznie długo, żeby podsłuchiwać, i nikogo tu nie obchodzimy, bo zawsze znajdzie się coś przyjemniejszego, na czym można zawiesić wzrok.

Spojrzenie w bok, miał rację. Przy sąsiednim stoliku goście już się zmienili i wszyscy w lokalu byli młodzi, przypuszczalnie około trzydziestki, mieli gładkie rysy i lśniące włosy. Jej wiek stał się nagle wyraźny, zmarszczki na jej dłoniach. Po raz pierwszy poczuła rodzaj ulgi, że jest stara, życie dobiega końca i nadejdzie taki dzień, że będzie po wszystkim.

– Pozostało tylko trochę technicznych detali – powiedział, otwierając teczkę na kolanie. – Ale nie mogę zagwarantować dochodu na wszystkich funduszach. Wziąłem ze sobą prognozy dotyczące każdego z nich...

– Nie trzeba – ucięła Claudia, machnąwszy odmownie widelcem. – Chcę tylko, żeby pan zakończył to formalnie, zgodnie z planem.

Tacy doradcy zawsze chcieli zgrywać wszechmocnych i cwanych. Nie rozumieli, że istnieją inne motywy niż procent i profit.

Mężczyzna był jednak kimś więcej niż tylko doradcą finansowym, mimo że sam się tak określał. Nie miałby mieszkań w Londynie i w Berlinie oraz willi w Czarnogórze, jak słyszała, gdyby sam nie kierował przepływem pieniędzy.

– Jak pani sobie życzy – powiedział i znów się uśmiechnął. – Myślę, że mogę też potwierdzić naszą ostatnią transakcję. Wszystko jest klepnięte, nawet przez szwedzkie władze. Wasze pieniądze są czyste jak nowo narodzone.

Claudia spojrzała na papiery, które położył na stole.

– Zacznijmy może od funduszy szwajcarskich – zaproponowała, na co doradca przedstawił jej główne zarysy, szczegóły jej nie interesowały, wiedział o tym, nie pierwszy raz załatwiał tego rodzaju interesy. Najważniejsze, aby pieniądze w długim procesie zostały wyprane, tak by nikt nigdy nie wytropił ich źródła. Chodziło o fundusze posiadające spółki, które z kolei posiadały całkiem legalne przedsiębiorstwa rozsiane po Europie, z dala od kontynentu latynoamerykańskiego.

Były to pieniądze nigdzie nieksięgowane. Konta dobrze ukryte, bogactwa, które miały zniknąć.

Stąd jej samotność w Berlinie.

Tylko niewiele osób w organizacji wiedziało, gdzie jest Claudia. Z każdą kolejną osobą rosło ryzyko, że informacja ta dotrze do najwyższego dowództwa, które właśnie negocjowało w Hawanie warunki pokoju.

Nie wszyscy mieli zamiar wejść do nowej Kolumbii z pustymi rękami, o ile istotnie dojdzie do pokoju. Dlatego wysłano Claudię do Berlina, aby zabezpieczyć przynajmniej część aktywów.

Składała podpisy. Stworzyła swoim bezpośrednim przełożonym dostęp do kont. Nie oni jedni podjęli przygotowania. Pokój oznaczał złożenie broni oraz to, że inni obejmą władzę. Pokój to był kiepski interes.

Claudia odsunęła od siebie talerz, ale wypijała sok warzywny. Nie zauważyła żadnej różnicy w mocy mózgu. Może to jet lag, a może mnóstwo cyfr sprawiło, że poczuła się wycieńczona. Wspomnienia, których nigdy nie dało się całkiem wymazać.

– Załatwił pan te inne konta, jak prosiłam? – zapytała.

– Wszystko przelane i gotowe. Mam ze sobą papiery. Chce pani zielonej herbaty?

Mężczyzna wstał.

– Poproszę kawę – powiedziała Claudia.

Ludzie dokoła nich znów się zmienili, nagle gwałtowne poczucie, że ona też powinna się stąd ruszyć.

To był najbardziej ryzykowny moment.

Istniały konta, o których nie wiedzieli nawet jej bezpośredni przełożeni. Sekret związany ze śmiertelnym zagrożeniem, ale nie dbała o własne życie. Było coś ważniejszego, wartego, aby ryzykować chowanie pieniędzy. Zaczęło się to przed wieloma laty. Najpierw drobne sumy, potem coraz większe, w miarę jak nabierała doświadczenia.

Istniało pewne konto i był pewien fundusz.

Miliony dolarów, o które nikt nie będzie pytał, ponieważ nikt nie wiedział, że istnieją.

To było oczywiście ryzykowne, powierzyć je temu samemu „doradcy”, ale Claudia wierzyła święcie, że ten człowiek nigdy nie porozumie się z jej towarzyszami w Kolumbii. Zresztą oni nie znali ani niemieckiego, ani angielskiego, to byli bezrolni chłopcy, którzy całe swoje życie spędzili na froncie.

Mężczyzna usiadł z powrotem. Claudia знаła jego nazwisko, figurowało

przecież na niektórych dokumentach, jednak myślała o nim jako o doradcy. Na początku pierwszej dekady XXI wieku został jej polecony przez kontrahentów z byłej Europy Wschodniej, takich, od których brali broń, i choć potraçał sobie wysoki procent za świadczone usługi, zawsze uważała, że jest wart swojej ceny.

Kawa wylądowała na stoliku, również zielona herbata doradcy, która właściwie była jasnobrązowa.

Wyjął parę dokumentów i spojrział na nią znad krawędzi okularów. Niełatwo było określić jego wiek, może tuż po pięćdziesiątce.

– Jak już wspomniałem, nie mogę powiedzieć nic pewnego o dochodach, to leży trochę poza obszarem moich zwykłych rekomendacji.

Claudia zajrzała do papierów.

QR Medinvest, tak nazywała się ostatnia spółka w tym łańcuchu. Zupełnie neutralnie, nic to nie mówiło poza tym, że inwestowali w służbę zdrowia i przemysł zdrowotny. Spółka wykupywała przedsiębiorstwa na skraju bankructwa, przeprowadzała reorganizację i oddawała je w ręce miejscowych w zamian za udział w nowej spółce, która za parę lat ponownie mogła zostać sprzedana. Niepewny dochód, zdaniem doradcy, ale nie zysk tu decydował.

Czytała szwedzkie nazwiska.

Miała przy tym poczucie nierealności. Znalazła tam adres, który był tak dziwnie znajomy. Stanął jej przed oczami obraz brązowych budynków, alejek i tuneli. Myśl o porządku i prawie, pieniądze mogą tam być dobrze ukryte i bezpieczne. Kraj, który leży dalej niż jakikolwiek inny, nie tylko geograficznie, po drugiej stronie kuli ziemskiej, patrząc od Kolumbii, ale też w innym czasie, w miejscu kojarzącym się jej z bezgrzesznością.

I wreszcie fundusz. To na koniec.

Najważniejsze.

– A tamten fundusz jest zrestrukturyzowany, zgodnie z pani życzeniem. – Mężczyzna westchnął z pewną emfazą. – Projekt dobroczynny, proszę bardzo.

Fundusz.

Claudia poczuła po raz pierwszy prawdziwe wzruszenie na widok jego suchych zestawień, ściskające w piersi życzenie.

Fundusz wsparcia dla kolumbijskich dzieci ofiar wojny. Donacje przekroczyły już milion dolarów, których nie dało się wyśledzić, pieniądze szły przez konta w Szwajcarii, może też na Cyprze, nie do niej należało wiedzieć, jakimi drogami.

Upewniła się tylko, czy w papierach figuruje właściwe nazwisko ich dyspozytora.

David Quintero.

Młody obiecujący prawnik, który sam odebrał wykształcenie i dostał mieszkanie sfinansowane przez fundusz. Jej syn, którego miało nie być. Była wtedy wewnętrznie martwa, nie sądziła, że jeszcze raz może zajść w ciążę.

Człowiek bez korzeni.

Teraz mógł sam zarządzać tymi pieniędzmi, robić z nimi, co zechce, pomagać dzieciom ofiarom wojny lub kupić sobie willę w górach.

Claudia wygładziła dłonią dokument, podpisała.

Jest już przecież dorosły.

JAKOBSBERG

2014

Na asfalcie przy płotku było pusto. Nie leżały już tam żadne kwiaty.

– O, cześć – powiedział Uffe Rainer, gdy otworzył. – Co u ciebie?

Helene pokazała mu w swojej komórce zdjęcie z procesu kokainowego.

– Poznajesz go?

Uffe wziął telefon i wpatrując się w niego, wszedł do mieszkania; weszła za nim, zamknęła za sobą drzwi. Poczła się obserwowana i odkryła ptaka na półce nad wieszakiem.

– To on – powiedział Uffe.

– Widziałeś go tej nocy?

– Nie, tego nie wiem, przecież widziałem tylko jego plecy. – Trzymał komórkę trochę dalej, najwyraźniej potrzebował okularów do czytania. – Ale to ten, co wcześniej wystawał na dziedzińcu i gapił się na nią. To on? To jest ten skurwiol, co ją zabił?

– To może być on. Niewykluczone.

– Charlie miała z nim romans?

– Tego jeszcze nie wiem.

Helene weszła do kuchni nieproszona, wyjrzała przez okno na dziedziniec, koło huśtawek, gdzie tamten stał według Uffego. Czyli nieprzypadkowo był tamtego wieczoru w Rycerzu Jakobie, wiedział, kim jest Charlie, to nie był żaden wykolejony podryw, coś się za tym jeszcze kryło.

– Za godzinę mam spotkanie z policją – oznajmiła – i wtedy powiem im, co mi opowiedziałeś.

– Okej. – Uffe Rainer przeczesał palcami włosy, przestępował z nogi na nogę, tak jak już kiedyś to widziała.

Mieszkanie wyglądało trochę inaczej. Rzeczy walały się powyrzucane z szuflad, stało kilka do połowy napełnionych papierowych toreb. Jakby rozpoczął wiosenne sprzątnięcie, lecz potem uszła z niego para.

Usiadł przy stole i przebierał palcami po jej komórce.

– Teraz mogę im to powiedzieć – rzucił – to już i tak nie ma znaczenia.

– Dzięki.

Helene położyła mu dłoń na ramieniu, trzymała ją tam dostatecznie długo, aby ten dotyk przeszedł z gestu wdzięczności w coś innego, w coś, co parzyło i sprawiło, że cofnęła rękę. Zastanawiała się, czy on poczuł to samo.

– Już wiem, co Charlie robiła w Argentynie – powiedziała.

– Co ty?

Poczucie, że dokoła nich, kiedy opowiadała, tworzy się jakiś szklany klosz, czas i wszystko na zewnątrz zniknęło. Tak dobrze było móc mu opowiedzieć, on znał Charlie, może ją kiedyś kochał i może to się już skończyło. Nie musiała uważać na to, co mówi, on o nic jej nie oskarżał. Przechylał trochę głowę, kiedy słuchał, i marszczył brwi, lubiła patrzeć, jak on słucha. Miał w oczach jakieś lśnienie, pragnęła je zatrzymać. Chyba nie tylko dlatego, że mówiła o Charlie, chyba także dlatego, że to jest ona? Było coś między nimi, czuła to, to wibrowanie. Choć, delikatnie mówiąc, wcale nie był w jej typie, ubranie wisiało na nim i chyba nigdy nie widział fryzjera, jeszcze do tego te papugi... Większa siedziała nad nią, na lampie pod sufitem, Helene musiała zerkać co jakiś czas do góry, napotykała wtedy złe spojrzenie, jakby ptak był zazdrosny o to, że ona kradnie uwagę jego pana, a wszystko, czego ona chciała, to właśnie pozostawać w centrum tej uwagi i żeby Uffe patrzył na nią jeszcze chwilę, i jeszcze jedną chwilę, miał szare oczy z małą domieszką zieleni, ale już zbliżał się koniec historii i już nie będzie miała więcej powodu, aby w nie zaglądać.

Uffe przesunął dłonią po twarzy i pociągnął nosem, jakby chciał się rozpłakać, a ona zmusiła się do odwagi, innej okazji miało już nigdy nie być. Wyciągnęła rękę. Ostrożnie położyła ją na jego dłoni. Pochwycił ją i przyłożył do swego policzka, patrzył na stół i teraz poczuła jego łzy, przysunęła się bliżej, objęła go, a on przytulił ją tak mocno. Czuła, jak on się trzęsie w jej objęciach, o Boże, co oni robią? Helene głaskała go po karku, całowała jego szyję, pocieszamy się nawzajem, pomyślała, to przecież nam wolno, a on płakał na jej piersi. Wiedziała, że posuwa się za daleko, że jeszcze tego pożałuje, wiedziała to, jednak musiała podciągnąć jego bluzę, tak aby dłonie mogły poczuć jego skórę, znaleźć jego usta, uniosła jego twarz, wciśniętą w jej przepoń, musiała teraz dotrzeć do jego ust, bo wtedy będzie mogła poczuć, że właśnie tak ma być, kiedy się tylko pocałują, potem nie wiedziała już, kto steruje, w następnej chwili już pólleżała na stole, a on był wszędzie dokoła niej i płatał się w częściach jej garderoby.

Strumień powietrza przy jej głowie, krzyknęła. Papuga wylądowała na jego

ramieniu, szara, ze wściekle czerwonym ogonem. Gapiła się na nią.

Helene zobaczyła się sama w jej ostrym spojrzeniu. Bluzkę, która wyszła ze spódnicy podciągniętej wysoko na uda, ujrzała, jak sama wstydliwie się czerwieni.

Uffe Rainer wyprostował plecy i zerknął na nią.

– Przepraszam – rzucił. – Nie powinniśmy.

Helene obciągnęła spódnicę i chciała zniknąć, zapaść się pod ziemię, ale musiała najpierw pozbierać rzeczy, które wypadły jej z torebki, kiedy spadła na podłogę, musiała wziąć swój kardigan i znaleźć komórkę.

– Więc dam policji twoje nazwisko – powiedziała, zanim wyszła.

Ostatnie, co usłyszała, to wymamrotane:

– Oni mają już moje nazwisko.

Aurek Krawczyk wysiadł z białego audi przed posterunkiem policji w Jakobsbergu i zamknął samochód pilotem. Helene czekała przed wejściem.

– Dzień dobry pani, witam znowu – powiedział. – Jak już mówiłem przez telefon, to Solna prowadzi tę sprawę z tunelem, więc właściwie to pani powinna porozmawiać z nimi.

– Oni tam nic nie wiedzą o śmierci mojej siostry – odparła Helene.

Spostrzegła, że lekko się skrzywił.

– Która jest już sprawą zamkniętą – dorzucił i uchylił przed nią drzwi. – Ale akurat pasowało mi, żebyśmy się tutaj spotkali, bo miałem z rana pewną sprawę w Källhäll^[36].

Był w dzinsach i nieco zmiętej koszuli, co dodatkowo podkreślało wrażenie, że jest tu tylko przelotnie. Sama musiała zejść do toalety na stacji benzynowej za Aspänsvägen, żeby sprawdzić, czy już wygląda przyzwoicie. Odepchnęła od siebie myśl o tym, co zaszło.

– Troje świadków wskazuje tego samego mężczyznę – powiedziała, gdy weszli do pokoju. – To chyba dostateczny powód, żeby wznowić dochodzenie.

– Przez telefon mówiła pani tylko o dwojgu.

– Tak, ale jest jeszcze ktoś, kto widział tego człowieka, właśnie z nim rozmawiałam. – Helene usiadła, obciągając przy tym spódnicę tak, żeby zakryła jej kolana. Zadrzała lekko, gdy przyszło jej wymienić nazwisko Uffego Rainera. Nie ułatwiała tego okoliczność, że przez okno patrzyła prosto na bloki, gdzie on

mieszkał, posterunek leżał zaraz pod Aspnäsvägen.

Krawczyk wyjął iPada i musnął go, żeby go włączyć.

– Więc twierdzi pani, że ten człowiek, Jan Rune Norlander, krytycznej nocy towarzyszył pani siostrze do domu?

To nazwisko rozbrzmiało w niej czystym akordem. Jan Rune Norlander. Coś przecież musi się zgadzać, skoro zdobyli jego pełne nazwisko. Rycerz naprawdę miał rację, w końcu go przyłapała na tym, że miał rację.

– Wiedziałam tylko, że mówią do niego „J.R.”. Macie go w waszych rejestrach?

Aurek Krawczyk kiwnął głową.

– Oszustwa księgowe i zgłoszenia o groźbach karalnych, nawet skazany kiedyś, dawno temu, za pobicie, ale to przecież chleb powszedni w tej branży. – Założył nogę na nogę i balansował iPadem na kolanie. – To, co teraz powiem, to nie są żadne policyjne tajemnice, to są rzeczy, do których dojdzie każdy kompetentny dziennikarz, jak mu się będzie chciało trochę pogrzebać.

Czytał na głos, przewijając tekst na ekranie.

Firma Swede Security zmieniała parokrotnie nazwę, ale w zasadzie te same osoby kierowały nią od końca lat dziewięćdziesiątych. Jan Rune Norlander był jednym z założycieli. Zaczynał jako pielęgniarz w szpitalu psychiatrycznym Beckomberga, w którym parokrotnie oskarżano go o nieuzasadnione użycie siły wobec pacjentów. Był też podejrzany w aferze dotyczącej skradzionych kart chorobowych, gdzie tożsamości pacjentów odnajdywano w zarządach różnych spółek typu krzak jeszcze długo po tym, jak szpital zamknięto w 1995 roku. Firmę ochroniarską założył razem z kilkoma przyjaciółmi. Zaczęli od wynajmowania się jako ochroniarze, a potem rozszerzyli zakres działalności na alarmy i monitoring, prywatne dochodzenia i różnego rodzaju ochronę, to była branża, która rosła na potęgę, a wraz z nią rosła także przestępczość zorganizowana, która odczuwała taką samą potrzebę ochrony swoich interesów co reszta społeczeństwa, choć same interesy były różne.

– Więc to niewykluczone, że pracował jako ochroniarz dla „familii kokainowej”
– stwierdziła Helene.

Miała zdjęcie przygotowane w komórce, ale wyglądało na to, że już nie musi mu go pokazywać.

– To nie jest nasze sformułowanie, tak ich nazwały popołudniówki. – Krawczyk rozejrzał się. – Ciekawe, czy tu mają jakąś kawę, czy może na niej oszczędzają.

– Ja dziękuję – powiedziała.

– A mnie dobrze zrobi.

Zniknął gdzieś w korytarzu, dość pustawym. O ile dobrze zrozumiała, nie była to zwykła komenda policji, tylko biuro dla policjantów dzielnicowych i lokalnych patroli. Myślała o historii z Beckombergą, dziwnym zrządzeniem losu mężczyzna nazywany J.R. pracował tam w epoce krzyków i szaleństwa, na długo przedtem, zanim ona zaczęła projektować szeregowce na tym samym terenie. Jutro znów miała wziąć się do tych szkiców. Wysłała e-mail do swego szefa, zawiadamiając, że jest zdrowa.

– Porozmawiałem też z jednym ze śledczych prowadzących tę sprawę kokainową – zaczął znowu Krawczyk, kiedy wrócił z kubkiem w ręku. Oparł się o pustą półkę. – Nie wygląda na to, żeby Norlander dla nich pracował.

– Więc co tam robił?

Helene wyjęła komórkę, chyba jednak będzie zmuszona pokazać mu tę fotografię, żeby jej uwierzył.

– Może być akurat odwrotnie – powiedział. – O ile nie wykorzystywał tylko swojego obywatelskiego prawa jako widz na otwartej rozprawie.

– Odwrotnie?

– Żeby się tam pokazać, najzwyczajniej. Jeżeli ci tak zwani członkowie rodziny wiedzą, że są nadzorowani, to jest to dla nich sygnał, że mają milczeć o swoich innych kontaktach.

Helene odchyliła się do tyłu, próbując zrozumieć. Za tym, co jej powiedział, i czego nie powiedział, krył się jakiś cień, którego nie mogła zobaczyć. Zdawało jej się dotąd, że dostrzega pewien wzór, myślała o śladach kokainy we krwi, o przemytnikach kokainy, ludziach stosujących przemoc, ale to, co on sugerował, to było coś większego.

– Dla kogo więc miałyby pracować?

– Jest pewnie paru kandydatów – odparł Krawczyk. – Te siatki często się na siebie nakładają, nawet nie musi tutaj chodzić o narkotyki. Przestępczość zorganizowana podlega takim samym regułom jak zwykła działalność gospodarcza, ci ludzie poszerzają swoje rynki, globalizują się. Nie mogę na to tak od ręki odpowiedzieć.

Helene spojrzała przez okno, do góry, na linie okien i balkonów, powtarzające się piętro za piętro.

Kogo zabrałaś do domu, Charlie, dlaczego nigdy nie umiałaś wracać do domu

po imprezie sama?

– Jeżeli pani ojciec zadarł z tymi ludźmi, to chyba nie ma się co dziwić, że się źle skończyło, nieważne czy...

– Czy co?

– Przekażę oczywiście pani informacje dochodzeniowcom w Solnie – powiedział.

– A co ze śledztwem w sprawie Charlie?

– Wątpię, czy to wystarczy, żeby je wznowić.

Helene wyjęła swój notatnik i wyrwała z niego stronę.

– Tu są nazwiska świadków – powiedziała. – Oprócz Håkana Erikssona, to znaczy mojego ojca, jest jeszcze Terese Wallner, która była w tym samym klubie tamtej nocy, i jeden sąsiad, Ulf Rainer, który widział tego mężczyznę, jak stał i patrzył na Charlie pod ich domem.

– A, ten, tego to znamy.

Aurek Krawczyk znowu spojrział przez okno, miał wrażenie, jakby te bloki naprzeciwko brały udział w rozmowie, asystowały jako trzecia strona.

– Sprawa tamtego napadu jest już wyjaśniona – powiedział.

– Tego na aptekę?

– Tak. Współwłaścicielka była w to sama zamieszana, przyznała się, że otworzyła drzwi i wpuściła chłopaków, a potem próbowała dostać z ubezpieczenia odszkodowanie za skradziony towar. Czeka ją oskarżenie o współudział, do tego może jeszcze o podżeganie do przestępstwa i oszustwo.

– Wspomniał pan kiedyś o niej, Anette Häger, to ona?

Krawczyk zgniótł papierowy kubek i wycelował w kosz na śmieci w kącie. Helene śledziła rzut zakończony idealnym trafieniem.

– Wiemy też, kto udostępniał preparaty pani siostrze – powiedział. – To Ulf Rainer.

Helene wlepiła w niego wzrok, potem się odwróciła, czując, jak oblewa się rumieńcem. Nie miała pojęcia, co zrobić z rękami, splotła je na kolanie i usiłowała nie patrzeć w stronę tamtych bloków, gdzie on był, gdzie dopiero co siedziała w kuchni i...

– Rainer twierdzi, że nie brał za to pieniędzy. – Ton komisarza był teraz twardy jak stal, już ani śladu w nim łagodności i refleksji. – Mówi, że chciał jej pomóc.

Z takimi przyjaciółmi pani siostra nie potrzebowała żadnych wrogów.

Helene wydało się, że słyszy echo tamtej papużki: *zaufaj mi, zaufaj mi*.

Powoli udało jej się podnieść głowę i popatrzeć na Krawczyka. Wrażenie, jakby coś w jego spojrzeniu się zmieniło. Przecież wszystko było już wiadome, wiedział już, czyją jest córką, tego menela, alkoholika, człowieka, który rozpowiadał wkoło, że Olof Palme żyje, a oprócz tego siostrą dziewczyny, która jechała na flunitrazepamie i we krwi miała ślady kokainy. Przynajmniej nie wiedział, że jeszcze kilkanaście minut temu frenetycznie migdałowała się z paserem.

Helene wyprostowała kark.

– To chyba nic nie zmienia. Co widział, to widział – rzuciła i odchrząknęła. – Poza tym zrobiono przecież badanie techniczne, więc jeśli DNA tego Norlandera było w jej... – ...mieszkanu, chciała powiedzieć, czy w kieliszkach albo na sofie czy na niedopałkach papierosów, lecz przed oczami stanął jej obraz ciała Charlie wsuwanego do pieca w krematorium, gdzie zostało spalone na popiół. – Ale chwileczkę – wtrąciła – mówił pan przedtem, że przed śmiercią odbyła stosunek, czyli musicie mieć to DNA, a jeżeli on jest w waszym rejestrze...

– To wciąż nie wiemy nic poza tym, że odbyła ten stosunek. Może to nie był dla niej wymarzony partner, ale to jeszcze niestety nie przestępstwo.

Aurek Krawczyk usiadł z powrotem, pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach, przez co zbliżył się do niej nieprzyjemnie.

– Jest inna rzecz, jaką chciałem pani pokazać – powiedział i znowu zaczął szukać czegoś w swoim iPadzie, ciągnąc dalej. – W związku z tym tutaj przejrzałem powtórnie dochodzenie w sprawie śmierci pani siostry. Przecież to ciekawe jest, jakie ona miała kontakty, czy sama była w coś zamieszana, więc wszedłem na jej serwer mejlowy.

– Nie wiedziałam, że znaleźliście jej mejle.

– Owszem, przez billingi, ale wtedy nie odkryliśmy nic ciekawego.

Puknięcie w ekran i jego twarz odrobinę się rozjaśniła.

– Nie wiem, dlaczego na to nie zareagowali, to nie ja wtedy je przeglądałem. List wrócił nedoręczony, więc wyglądał jak spam. To może nic by nie zmieniło, ale pomyślałem, że pewnie chciałyby pani go zobaczyć.

Podał jej iPada, a ona odwróciła się nieco od niego i zaczęła czytać. Migoczący tekst w krótkim liście.

Już mam dość. Nie mogę tak dłużej, wołam w czarną dziurę i nie dostaję żadnej

odpowiedzi, i ta czerń mnie wsysa. Gdybym mogła otrzymać choćby jeden jedyny znak, że to sprawia jakąś różnicę, czy żyję, czy umieram, ale rozumiem, że nigdy do ciebie nie dotrę tym moim wołaniem, bo dzieli nas ocean i otchłanie, i to wszystko, czego nie da się wybaczyć.

Helene czytała raz po raz. Wyczuwała starania Charlie o słowa, jak bardzo chciała, żeby to brzmiało ładnie, te nazbyt wielkie uczucia, które wydawały się w jakiś sposób dziecinne.

Były tam zdania, które brzmiały znajomo, pamiętała je z bazgrołów Charlie w mieszkaniu, wzięła je wtedy za próby literackie, ale to były najwyraźniej także sformułowania z listów.

– Do kogo ona to wysłała?

– Jak mówiłem, adresat nieznany – powiedział Krawczyk.

Helene przejrzała resztę e-maila, masa cyfr i znaków dodanych, kiedy list powrócił, jakiś adres. Niemówiące nic litery.

– Zostało to napisane nad ranem tego dnia, kiedy zginęła.

– Ale... – odezwała się Helene i nie wiedziała, z której strony zacząć. Słowa Charlie przesłaniały teraz tamto wszystko inne, *już mam dość... czy żyję, czy umieram...*

Mogło tak być naprawdę?

Spojrzała na kartkę z nazwiskami, której on nawet nie podniósł, próbowała dogonić to wszystko, co przed chwilą było tak uporządkowane i oczywiste. Terese Wallner? Która widziała tylko Charlie idącą z knajpy do domu, czy ona w ogóle potrafiła odróżnić jednego gościa w średnim wieku od drugiego? A nawet jeśli to się zgadza, to nikt nie wiedział, kiedy ten mężczyzna wyszedł z mieszkania ani w jakim stanie była wtedy Charlie. Może znowu zapadła się w tę swoją czarną dziurę, raz jeszcze porzucona, odtrącona. Helene wiedziała przecież, co to za uczucie, wciąż jeszcze czuła ten palący wstyd, na własnej skórze... *jeden jedyny znak, że to sprawia jakąś różnicę...*

A Rycerz, pijaczyna, który zobaczył zdjęcie w gazecie i wszczynał awantury z przestępczością zorganizowaną, gdy nie rozwiązywał zagadki zabójstwa Olofa Palmego. Uffe Rainer, o nim nawet wolała nie myśleć. A jeśli tamten J.R. przyglądał się Charlie, to co w tym było właściwie podejrzanego? Może mu tylko wpadła w oko albo to nie był nawet ten sam mężczyzna, może Uffe Rainer chciał spróbować wytargować sobie niższą karę. Wszystko to było tylko jedno popłatane nic. Zobaczyła przed sobą Charlie, jak siedzi i pisze, i pomyślała o tamtym adresie

e-mailowym.

Ramón powiedział, że Charlie dostała jakiś adres.

– Zdaje się, że pisała to do naszej mamy – powiedziała Helene.

Aurek Krawczyk złożył z powrotem etui swojego iPada.

– Niezależnie od tego, kto był adresatem, oznacza to, że samobójstwo mogło być zaplanowane, że napisała to jako list pożegnalny.

Helene wstała.

– Przepraszam – rzuciła.

Musiała po prostu wyjść do toalety, na korytarzu skręciła w złą stronę i była zmuszona znów przemaszerować przed otwartymi drzwiami. Już w toalecie obmyła twarz zimną wodą, zajrzała w oczy własnemu pomieszeniu.

Charlie popełniła samobójstwo.

Czy cała ta gonitwa i poszukiwania nie były tylko sposobem na to, aby zatoczyć koło i wrócić do punktu wyjścia?

Pogodzić się.

Helene uderzyła się w policzek, żeby się jakoś pozbierać.

Aurek Krawczyk czekał na korytarzu. Miał torbę na ramieniu, kluczyk do samochodu w ręce, jej czas najwyraźniej się skończył.

– Wspomniałem, zdaje się, że byłem dzisiaj w Källhäll – powiedział, gdy wyszli. – Mam tam mamę w domu opieki. Niedużo już jej zostało.

– O, to przykre – rzuciła Helene, bo coś przecież musiała na to odpowiedzieć.

Zakręcił kluczykiem w ręce.

– Kiedyś, jak miałem dziewięć, dziesięć lat, w środku nocy wpadli do mojego pokoju jacyś dwaj obcy ludzie i wykrzykiwali jej imię. Przestraszyłem się, bo znałem historie o służbie bezpieczeństwa w komunistycznej Polsce i pomyślałem, że przyjechali tutaj, ale to byli pielęgniarze z karetki pogotowia. Mama miała w zwyczaju połykać pełną garść tabletek, potem dzwoniła do jakiejś przyjaciółki, którą poznała w Stowarzyszeniu Polek czy gdzieś indziej, i co ciekawe, chociaż mogła obudzić mego ojca, zawsze dzwoniła do kogoś innego, kto, jak mówiła, ją rozumiał. I to się powtarzało raz po raz. Dzisiaj ma siedemdziesiąt osiem lat.

Znowu spojrzała na bloki na wzgórzu, wyglądały stąd bielej niż przedtem, pomyślała, ale to może od słońca.

– Dziecku trudno pogodzić się z myślą, że jego mama chce umrzeć. Dopiero jak

dorołem, zrozumiałem, że to nie o to jej chodziło.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Mówiła pani w zeznaniach, że wcześniej siostra łykała tabletki, a potem dzwoniła po pomoc, i że to się zdarzyło parokrotnie. Więc co się zmieniło?

Helene popatrzyła na niego, próbując zrozumieć, o co właściwie mu chodzi. Zmieniło? Wszystko, chciała powiedzieć, i to też miało związek z pewną matką, z matką, która zmartwychwstała, a mimo to nie chciała jej znać. Która nie zadzwoniła, chociaż upłynęło wiele dni, odkąd Helene zostawiła dla niej wiadomość w Bogocie. Poczucie, że jest porzucona, o tym też mogłaby opowiedzieć, ale może nie tu i teraz, na parkingu.

Aurek Krawczyk nacisnął przycisk pilota, samochód piknął.

– Może chciała, żeby tym razem się udało – powiedział. – A może tylko miała w domu nieodpowiednie preparaty, coś, co popchnęło ją krok dalej. Tego nikt nie wie, być może tym razem też nie chciała umrzeć.

Okna były zakryte papierem od środka, ale szyld wisiał dalej. Helene zastukała do drzwi. Szarpnęła za klamkę, otworzyły się.

– Halo! – zawołała w głąb lokalu.

Półki były w większości opróżnione, na podłodze leżał stosik z zamiecionego na kupkę żwiru i kilku uszkodzonych szklanych opakowań. Apteka zbankrutowała kilka miesięcy temu. Wedle ostatnich wieści, jakie znalazła w internecie, miała ją przejąć jakaś zagraniczna spółka.

– Halo – zawołała jeszcze raz.

Jakaś kobieta wyszła z zaplecza, wycierając sobie ręce papierowym ręcznikiem.

– Niestety, mamy zamknięte – powiedziała. – Musi pani iść do starej apteki w centrum.

– To pani jest Anette Häger?

– Tak, to ja. – Wyglądała na lekko zaniepokojoną. – O co chodzi?

Helene przyjrzała się jej i w tej czterdziestoletniej kobiecie zobaczyła nastolatkę o długich ciemnoblonde włosach do połowy pleców zamiast krótkiej fryzury. Nazwisko rozpoznała już za pierwszym razem, kiedy Krawczyk je wymienił, ale trochę potrwało, zanim doszła, kto to. Anette Häger chodziła do tej samej klasy co Charlie. Poza tym przyjaźniły się blisko ze sobą, kiedyś przed laty wcisnęły się razem do fotokabiny. To była trzecia dziewczyna ze zdjęcia, które Monia umieściła

na swoim blogu.

– Czekaj, ja cię znam – powiedziała Anette. – Ty nie chodziłaś do podstawówki Kvarnskolan?

Helene zauważyła, jak zmienia się jej wyraz twarzy, kiedy dotarło do niej, kogo ma przed sobą, jak z zaciekawionej zmienia się w przerażoną.

– Oj, przepraszam, przecież ty jesteś siostrą Charlie. Pamiętam cię, oczywiście. Masz na imię Hannele, prawda? A nie, przepraszam, Helena!

– Helene.

Anette osunęła się na jakiś stołek, taki mały, na kółkach, który przetacza się, żeby móc sięgnąć do wysokich półek.

– Cholernie mi przykro – wymamrotała.

– Flunitrazepam – powiedziała Helene powoli. – To mogło być to, co popchnęło Charlie do tego kroku. Wiedziałaś, że usuwa lęk przed czymś takim, jak skok z jedenastego piętra?

Jej wściekłość była spokojna i oczyszczająca, taką ulgę sprawiała możliwość zrzucenia winy na kogoś innego.

– Nie miałam pojęcia – bąknęła Anette. – Musisz mi wierzyć, słowo daję.

– Szczerze mówiąc, brzmi to dosyć dziwnie, w końcu prowadzisz aptekę.

– Nie wiedziałam, że trafią do Charlie. Pozwoliłam im brać to, co chcą, nie pytałam, komu będą sprzedawać.

Helene rozejrzała się po lokalu. Przedstawiał ponury widok, wszystkie te puste półki, które wyglądały na całkiem nowe. Apteka istniała tylko ponad rok.

– Brak mi jej. – Anette wbiła wzrok w ścianę, pociągnęła nosem. – Charlie była taką osobą, którą się podziwiał. Zawsze ceniłam jej odwagę, ja tylko szłam za nią.

– Słyszałam, że mają cię sądzić – powiedziała Helene. – To chyba nie był najgenialniejszy pomysł, wynająć bandę blokatorów do okradzenia własnej firmy?

Anette westchnęła.

– Myślisz, że nie wiem?

– To czemu to zrobiłaś?

Znowu westchnęła.

– Bo nie widziałam dla siebie innego wyjścia, wzięłam pożyczkę pod zastaw mieszkania, prawie pół miliona koron, i wyglądało na to, że wszystko stracę. Ja wiem, że to żadne tłumaczenie.

Helene spojrzała za nią. Na półkach leżało kilka rozrzuconych opakowań specyfików, którymi pogardzili włamywacze, widziała lek na kurczaki i balsam do stóp, maść na wszy.

– A zresztą, to nie ja ich najmowałam – dodała Anette.

– Tylko Uffe Rainer?

– Znasz go?

– Wiem, kto to jest.

Anette wstała i zaczęła chodzić tam i z powrotem po małym aptecznym lokalu.

– Nie mogę zrzucić winy na niego, na nikogo innego poza sobą – wyznała. –

Byłyśmy naiwne, jak żeśmy z tym wystartowały, zdawało nam się, że ustne umowy obowiązują. Miałam się zająć finansami i marketingiem, ale nie wiedziałam, że tu nic nie działa jak w zwyczajnym przedsiębiorstwie, nie wyznaczasz cen, musisz mieć mnóstwo towaru na składzie. Pozawierałyśmy umowy z ośrodkami zdrowia i domami starców, a tu się nagle okazuje, że są sprzedane komuś innemu i nikt nic nie wie o umowach. No i zostałyśmy z tymi lekami, które nas kosztowały po kilkadziesiąt tysięcy, a zanim zwrócą pieniądze z województwa, to trwa wieki, duże sieci mogą sobie pozwolić na czekanie, ale my nie.

– A skąd w tym wszystkim wziął się Uffe Rainer?

Anette oparła się ciężko o ladę, skubała i zdierała z niej parę starych naklejek.

Spotkała się z nim w centrum Jakobsberga, akurat gdy doszło do plajty. Apteka miała wprawdzie chętnego kupca, spółkę o nazwie QR Medinvest, ale ta była zarejestrowana w Szwajcarii i przed uznaniem transakcji musiała zostać sprawdzona, co wymagało czasu. Rachunki popłynęły do komornika.

– Nie mogłyśmy nawet sprzedać innej aptece tego, co miałyśmy na składzie, bo do tego potrzebne było nowe zezwolenie i pokończyłyby się terminy ważności. Ja wiem, że to żadne tłumaczenie, ale byłam wściekła na urzędasów, na cały ten system, na całą tę wyprzedaż, która miała być taka fajna, opłacalna dla małych aptek w całym kraju^[37], czułam się oszukana.

Rąbek papieru odkleił się od okna, Helene widziała pasemko płyt chodnikowych na zewnątrz. Wtedy, gdy tamci trzej chłopcy w bluzach z kapturem wyłonili się z tunelu, był już późny wieczór. Może Anette stała tu w oknie i widziała ich, jak nadchodzą, otworzyła im, w lokalu musiało być ciemno, nie bała się? A może był tam ktoś jeszcze, ktoś, kogo znała i komu ufała?

– Uffe zapienił się, jak się dowiedział, że nie możemy sprzedać towaru ze składu – ciągnęła dalej. – Uważał, że to niesprawiedliwe. Przecież inaczej trzeba by to było wyrzucić. Powiedział, że ma kontakty, wcześniej kupował od tych chłopaków trochę rzeczy, jak telefony, sprzęt kuchenny, jakiś tablet. Chciał pomóc, on taki już jest. A ja dostałabym przynajmniej trochę kasy z ubezpieczenia.

Anette wyjęła z jakiegoś kosza butelkę wody witaminowej, drugą podała Helene, która wzięła ją, zbyt spragniona, żeby odmówić. Miała smak żurawiny. Wściekłość jej przeszła, w końcu to nie na Anette Häger była zła, tylko... ba, na kogo właściwie? Opadło ją zmęczenie, wciskając się w każdy por ciała. Może to jeszcze jet lag, bo czuła się trochę nieobecna.

– Wiem, że Charlie brała różne dragi – ciągnęła Anette – i jasne, że nigdy nie przyłożyłabym do tego ręki. Gdybym chciała, to przecież mogłabym je sprzedać jej bezpośrednio, kiedy tu była i prosiła, i błagała.

Helene oprzytomniała, dotąd słuchała jednym uchem.

– Co powiedziałaś, Charlie tutaj była? Kiedy?

Anette spojrzała w sufit, zastanowiła się.

– Nie pamiętam dokładnie, ale może jakiś miesiąc przed śmiercią. Każdy normalny człowiek zdaje sobie sprawę, że apteka nie może sprzedawać spod lady leków na receptę – ale nie Charlie.

Zaśmiała się trochę i pokręciła głową.

– Tu nie mogłam przecież być jej kumpelką. To branża w stu procentach uregulowana, nie da się sprzedać pigułki, nie raportując tego tu czy tam, ale ona tego nie chciała zrozumieć. Jakby nie chciała pogodzić się z tym, że jesteśmy dorosłe, żądała, żeby wciąż obowiązywały dawne prawa.

Helene zauważyła, że kobieta ma w oczach łzy. Głos się jej załamywał.

– Wiesz, takie jak w młodości, że przyjaźń stoi ponad wszystkim. Charlie uznała, że ją zdradziłam, powiedziała coś w stylu: „Myślałam, że jesteśmy przyjaciółkami”. Prosiłam ją, żeby już poszła, ale została aż do zamknięcia.

– Mówiła po co jej to? Do czego jej było potrzebne?

Teraz Helene osunęła się na tamten stołek.

– Szykowała się wielka sprawa, dlatego szwankowały jej nerwy. Nie uwierzyłam jej. U Charlie zawsze działało się coś wielkiego.

Anette uśmiechnęła się smutno.

– To dotyczyło także ciebie.

Helene czekała. W ciszy usłyszała nadjeżdżający z północy pociąg, stacja była tuż obok.

– Powiedziała, że odnalazła waszą mamę – ciągnęła Anette. – To jej zniknięcie to przecież była zagadka, pamiętam, że zawsze miałyśmy pomóc w tym Charlie, to było jak przygoda, prawie jak bajka. Wiesz, że raz nawet napisała list do króla z prośbą o pomoc? I dostała odpowiedź, „niestety, Jego Wysokość nie może ci pomóc”, czy jak tam napisali. Nieważne, w każdym razie teraz ją znalazła. To był kompletny odlot. Mówiła, że nie śpi po nocach, a ja widziałam, że jest totalnie opętana, wiesz, taka nakręcona jak Charlie czasami bywała, na pełnym gazie. Wysłała list do swojej matki i teraz czekała na odpowiedź. Wszystko miało być fantastycznie, tylko potrzebowała czegoś, co by jej pomogło zasnąć.

Anette zrobiła przerwę i napiła się wody, zajrzała w butelkę, którą trzymała oburącz.

– Zdawało się, że sama w to wierzy. Mówiła, że najpierw ją to rozwścieczyło, że ona żyje, ale teraz dotarło do niej, że trzeba wybaczać. Jedyne, czego chciała, to żeby wasza mama tutaj przyleciała, a ona by ją odebrała na Arlandzie i stamtąd pojechałyby prosto do ciebie. I zwyczajnie zadzwoniły do drzwi.

Spojrzała na Helene, i znów pojawiły się łzy.

– Ale to pewnie była znowu jedna z tych jej fantazji.

BERLIN 2014

W budynku dworca Alexanderplatz wciąż jeszcze były telefony na monety. Claudia wrzuciła do otworu jedno euro i zdjęła ze ściany różową słuchawkę.

Berlin był znowu miastem pod nadzorem. Wszyscy wiedzieli, że centrala podsłuchowa na dachu ambasady USA przy Brandenburger Tor ma zasięg kilkudziesięciu kilometrów, a telefony komórkowe są już namierzalne nawet wtedy, gdy się używa kart pre-paid.

Jakiś mężczyzna odpowiedział po niemiecku. Rozpoznała jego głos, niedbałą wymowę.

– Szukam mister Johnsona – powiedziała Claudia.

Kilka sekund ciszy.

– Nie ma tutaj takiego. Jaki numer pani wybrała?

Przeszedł na angielski, ale tamta niedbałość pozostała.

Powtórzyła numer z pamięci.

– W takim razie pomyliła pani końcówkę – wyjaśnił mężczyzna powoli – ostatnie cyfry to trzynaście. Rozumie pani?

– Rozumiem.

– Życzę miłego dnia.

Przez następne godziny Claudia pozostała w okolicy Alexanderplatz. Przeszła przez wielki dom towarowy, ale nic nie kupiła. Wypiła kawę w barze hamburgerowym i minęła paru żebraków, którzy za nią wołali pod jakimś mostem kolejowym.

Nie była mimo wszystko niewidzialna. Dlatego znów zaczęła oglądać się przez ramię. Patrząc w odbicia w szybach wystawowych, aby wykryć ewentualny ogon. Jakiś mężczyzna, który przystanął i odebrał komórkę, albo udawał, że odbiera, paru turystów, którzy rozkładali mapę, lub udawali turystów. Ta niepewność kazała jej przyspieszyć kroku.

O wpół do pierwszej zaczęła zmierzać w stronę restauracji pod nazwą Zur letzten Instanz, Pod Ostatnią Instancją. To był prosty kod. „Ostatnie cyfry”

oznaczały, że to jest miejsce spotkania, liczba trzynastie – o której mieli się spotkać.

Parę razy zbłądziła, doszła do samej Szprewy, nim znalazła niepozorną uliczkę, gdzie mieściła się knajpa. Instrukcje leżały ukryte na pewnym forum dyskusyjnym w internecie, gdzie polecano sobie różne miejsca godne odwiedzenia w Berlinie.

Była to otynkowana na biało kamienica z zielonymi okiennicami i szyldem głoszącym, że Zur letzten Instanz zaprasza gości już od prawie czterystu lat. Wewnątrz było ciemnobrązowo i ponuro, drewniane stoły i przymocowane do ścian ławy. Zamówiła sobie na początek piwo i usiadła w środkowej salce.

– Wie pani, skąd się wzięła nazwa tej restauracji?

Ten sam głos co w telefonie. Stał przy jej stoliku, ubrany w dzinsy i jesionkę, dość nieogolony.

– Bo było blisko do sądu – odpowiedziała. – Skazani mogli tu wypić ostatnie piwo, nim ich zabrano do więzienia.

Tę historię też wyczytała na tamtej stronie.

Mężczyzna usiadł.

– Ciągłe czekamy na zapłatę za nasze ostatnie zlecenie – rzekł.

– Dlatego chciałam pana spotkać. Czy problem został rozwiązany?

– Jeśli nie macie od nas żadnych wiadomości, możecie przyjąć, że problem jest rozwiązany. – Przywołał gestem ręki starszawą kelnerkę i zamówił dla siebie piwo.

– Nasz podwykonawca w Sztokholmie się tym zajął. Oni także czekają na gażę.

Claudia upiła trochę piwa, drobnymi łyżkami, nigdy nie pozwalała sobie na więcej niż jedną szklaneczkę. Wiele lat już minęło, odkąd przestała się upijać.

– Mam do was zaufanie – zadeklarowała – ale nie znam waszych podwykonawców w Sztokholmie. Muszę złożyć raport swoim przełożonym.

Większość z tego, co mówiła, było kłamstwem. Nie miała za grosz zaufania do tego człowieka. Nie wiedziała dokładnie, skąd się wziął, ale przypuszczalnie był eksagentem Stasi albo KGB, czy z jakiego tam demoludu się wywodził. Po upadku muru wielu takich jak on przywłaszczyło sobie państwową broń i użyło swoich kontaktów, by stworzyć komercyjne sieci, z grupą podwykonawców w każdym kraju, do handlu bronią i przemytu narkotyków, szantażu lub wojny czy jaki tam biznes właśnie się opłacał.

Kłamstwem było także, że miała złożyć raport przełożonym. Nikt nie wiedział o tym zleceniu.

Mężczyzna wypił duszkiem pół szklanki piwa i otarł pianę z ust płócienną serwetką leżącą na stole.

Widziała w jego oczach błysk nieobliczalności.

– Jeżeli powiem, że inicjalny problem został usunięty, może pani zrozumie mnie trochę lepiej – rzekł i ze sportowej torby, którą miał ze sobą, wyjął brązową teczkę. Przytrzymał ją dłonią na stole, aż paru innych gości minęło ich, idąc do ostatniej salki. – To nie był problem znaleźć nadawcę tamtego mejla – uzupełnił. – Wykonano to parę miesięcy temu.

Przesunął teczkę na jej stronę stołu.

Claudia ją otworzyła, przerzuciła kilka wydruków, nie wyjmując ich. Były to zdjęcia zrobione przed jakimś wieżowcem. Miała wrażenie, że już kiedyś widziała ten dom, ale przecież podobnych bloków są setki. Poza tym oświetlenie w tym lokalu było marne.

– Gdzie się znajdowała ta osoba? – zapytała i spojrzała na zdjęcie, z którego jasno wynikało, że chodzi o kobietę. Ubrana w skórzaną kurtkę, ciemne rozwichrzone włosy.

– Niech mnie pani nie pyta, jak się to miejsce nazywa – powiedział. – To było jakieś przedmieście Sztokholmu.

Claudia poczuła, jak jej sztywnieją dłonie.

– Jakobsberg – rzuciła, bo teraz zobaczyła jeszcze coś innego, zdjęcie zrobione w centrum, a w tle świecił neon, kino Sokół, choć parę liter zgasło. – Mógł to być Jakobsberg?

Wzruszył ramionami.

– Obiekt jest w każdym razie unieszkodliwiony. Znaleźli tę osobę, zebrali o niej informacje i złożyli mi raport. Kazałem im zakończyć tę robotę i zrobili to. Czysta rutyna, zdaje się.

Claudii zdawało się, że słyszy jakiś dzwonek w uszach, może gdzieś z zewnątrz, coś dzwoniło, a może tylko w niej samej.

– Nie wiedziałam, że to była kobieta – powiedziała.

– Mhm – mruknął jej rozmówca i milczał przez chwilę, czekając, aż kelnerka wyniesie parę talerzy z ogryzionymi kostkami jagnięciny.

Dostała ten e-mail na początku kwietnia, pamiętała tamten moment dokładnie. Plumknęło, gdy siedziała z laptopem na kolanie. W łóżku, w sypialni w domu w Bogocie, z filiżanką herbaty, do tego trochę serów i herbatniki; na dworze zapadł

zmrok i ucichł zgiełk ulicy, chciała obejrzeć sobie stary film z Humphreym Bogartem. To był jej azyl, te godziny, kiedy strażnicy już zniknęli w swojej części domu, a ona mogła się pogрузić w coś bezsensownym i iluzorycznym.

Wiem, kim jesteś – przeczytała.

Wcale nie jesteś Claudią Viehhauser, to kłamstwo, ale ja wszystko wiem i powiem ci, kim jesteś.

Było tam coś jeszcze, czego już nie pamiętała i nie bardzo rozumiała. Zaczęła trząść się jak w febrze, nacisnęła na „usuń”, cofnęła jednak wiadomość z powrotem z kosza w komputerze.

Jesteś szmatą. Jesteś fałszywa. Żyjesz, chociaż powinnaś nie żyć.

Pod tym podpis „Charlie”.

Kimkolwiek był ten Charlie, wiedział o niej więcej, niż ktokolwiek miał prawo wiedzieć.

To, że e-mail był napisany po szwedzku, stanowiło dowód. W jej ojczystym języku, który pogrzebała w sobie tak głęboko, nikt nie miał pojęcia, że nim włada. Była Claudią, z argentyńskiej wsi i o niemieckich korzeniach, w ten sposób początkowo tłumaczyła swój szczególny akcent, póki nie nauczyła się czystej hiszpańszczyzny, jaką mówiono w Bogocie.

Tamtej nocy leżała w łóżku i czuła, jak kierują się ku niej lufy karabinów. Gdyby wydało się, że żyła pod fałszywą tożsamością, to równie dobrze mogła być szpiegiem, agentką USA albo rządu, zdrajczynią. Był jeszcze inny aspekt sprawy, przypuszczalnie równie groźny. Władze szwedzkie kontrolowały właśnie teraz jej projekt biznesowy. Jeśli ktoś tyle o niej wiedział, może i oni to wiedzieli. Wszystko by się wydało, chowanie pieniędzy, zdrada i niełojalność, śmierć jej groziła z kilku stron, o ile czegoś z tym nie zrobi.

Tamtej nocy zlikwidowała swój adres e-mailowy. Gdy tylko w Europie wzeszło słońce, skontaktowała się z handlarzem bronią w Berlinie, o którym wiedziała, że wykonuje także inne usługi.

Zlecenie było jednoznaczne: problem ma zniknąć.

Claudia wyjęła swoje okulary do czytania. Twarz na fotografiach nabrała ostrości. Ta kobieta nie wyglądała na zawodowca, za bardzo zależało jej, żeby ją zauważać, za ostry makijaż. Na ostatnim zdjęciu zdawała się patrzeć w obiektyw, może spostrzegła mężczyznę, który kieruje na nią swoją komórkę, czy ona się przypadkiem nie uśmiecha?

– Ma pan jakieś nazwisko tej osoby? – zapytała.

– Eriksson, jak te telefony, wie pani, one pierwotnie były szwedzkie.

– A imię... no, he he, mam taki sposób zapamiętywania różnych rzeczy. – Zaśmiał się, zadowolony z siebie. – Myśli się o kimś innym przez skojarzenia. Ona miała na imię tak samo jak ta kochanka księcia Karola w Anglii, wie pani, ta, co chciała być jego tamponem. – Wyszczrzył zęby. – Czy tam odwrotnie?

To zajęło sekundę. Potem imię zważyło się na nią jak gład.

Camilla.

Wgapiła się w zdjęcie, ale nic już nie widziała, obraz zamazał się, para na szkle, zamrugła parokrotnie i podniosła okulary, spojrzała na te ciemne włosy. Camilla była ciemnowłosa, jak jej ojciec. Oczy, podbródek, niczego nie rozpoznawała. To była dorosła kobieta.

Żyjesz, chociaż powinnaś nie żyć.

Oblała ją fala gorąca, jak pożar.

Camilla, Charlie. Charlie, Camilla.

To niemożliwe. Zapomniała o niej, zapomniała je obie. Nie, nie zapomniała, nie zapomina się urodzonych dzieci, lecz było tak, jakby urodził je ktoś inny. Uwięzły w tamtym zdjęciu, które gdzieś zgubiła, a potem umarła Ing-Marie, tamtej nocy na rzece, umarła od gorączki w Caracas, szeszła w dżungli, gdzie nie było miejsca na słabość i próżność.

– Nie udało im się znaleźć powiązań z żadną organizacją – ciągnął mężczyzna – ani oznak, by komuś podlegała. Zabrali oczywiście jej komórkę i przejrzeni rozmowy, esemesy, ruch w sieci, wszystkie te rzeczy.

– Jak to się stało – zapytała cicho Claudia – jak konkretnie zakończyli robotę?

Chwyciła za siedzenie krzesła, żeby poczuć coś stabilnego. Nikt nie mógł dostrzec, co się działo wewnątrz niej. Wiąż między tym, co w środku, a tym, co na zewnątrz, była dawno odcięta.

Opisał wszystko rzeczowo. Jeden z „podwykonawców” obserwował mieszkanie i któregoś wieczoru śledził Camillę Eriksson. Obiekt spędził parę godzin w restauracji, w towarzystwie jakiegoś mężczyzny, potem udali się do pewnego klubu nocnego.

– Nasz człowiek postarał się zostać tym, który odprowadzi ją do domu, to – trzeba przyznać – kreatywne. W ten sposób pozbył się tamtego, z którym przyszła, i zarobił przy tym ekstra bonus, że tak powiem.

Claudia nie zapytała go, jaki to był bonus. Zrozumiała, że jej rozmówca właśnie

oblizwał się z oskomą.

– A potem wypadła przez okno. Wyglądało to na całkiem profesjonalną robotę. Policja odłożyła rzecz ad acta.

Obracał w palcach nóż, część nakrycia. Pomimo tego, co działo się w jej wnętrzu, dotarło do niej także to, czego jej nie powiedział. Nauczyła się wsłuchiwać raczej w to, co ludzie ukrywają, niż w to, co chcą wyeksponować. Może chodziło o tę wyświechtaną retorykę, gadanie o rewolucji, które już dawno temu przestało mieć sens, słowa tak długo płukane ze znaczeń, że pozostały z nich tylko łupiny.

– Mówi pan, że to wyglądało na profesjonalną robotę – powiedziała. – A więc nie było to takie profesjonalne?

Mężczyzna wciągnął powietrze między zębami i cmoknął. Claudia sprężyła ciało. Podobnym dźwiękiem posługiwali się wartownicy w dżungli, chodząc dokoła, aby budzić ludzi, miała to zakodowane w organizmie jako ostrzeżenie.

– Okazało się, że cała ta Eriksson nie była sama – wyjaśnił. – Najwyraźniej coś przeoczyli.

– Co mianowicie?

– Pewną osobę, która po tym wszystkim zadaje pytania. Nasz kontakt w Sztokholmie zapewnił, że się tym zajmą.

Mężczyzna wyjął z torby kilka złożonych kartek.

– To przyszło faksem wczoraj.

Claudia wzięła papiery i rozłożyła je na kolanie, siedziała plecami do ściany, by nikt nie mógł widzieć tego, co widziała.

Być może zbladła, bo to nieuniknione, gdy cała krew opuszcza twarz. Nie mogła także nic poradzić na gwałtowne drżenie rąk, więc spróbowała ukryć je pod stołem.

To, co widziała, to była jej własna twarz, z młodych lat. Jaką pamiętała z luster bardzo dawno temu. Może trochę starsza. Ubrana w bardziej schludny sposób. Mimo to przez mgnienie oka wydawało jej się, że widzi Ing-Marie.

– A co wiecie o tej osobie? – spytała bezdźwięcznie.

Usłyszała, jak tamten wymienia nazwisko.

Bergman, jak ten od filmów.

Helene, tak jak... Eee, nie przyszedł mu do głowy nikt inny o tym imieniu.

To była ta mała. Claudia pamiętała, że czasem nie mogła ich rozróżnić, jakby

ich ciała były jednym ciałem.

Niedbały głos nie zrobił przerwy, mówił dalej. Same słowa słyszała wyraźnie, ale musiała się wysilić, by pojąć ich sens.

Helene Bergman była siostrą tamtej.

Czyli wyglądało na to, że to czysto rodzinna historia. Osoba ta węszyła w okolicy, szukała adresu podwykonawcy i spotykała się z policją.

Pani architekt. Mężatka, mieszkanie w centrum Sztokholmu, zamek szyfrowy.

Claudia spojrzała na wydruki. Było tam jeszcze kilka innych zdjęć. Ta sama kobieta, przy jakiejś bramie, na ulicy. A przy niej dwójka dzieci. Chłopiec i dziewczynka.

Złożyła szybko papiery, mocno ścisnęła je w rękach.

Dzieci. To znaczy, że... Nie była w stanie pomyśleć, co to to znaczy.

– Powiedziałem jasno, że to jest teraz jego problem – ciągnął mężczyzna. – Nie oczekuje za to żadnej dodatkowej zapłaty. Po robocie sam musi po sobie posprzątać.

Bardzo powoli Claudia podniosła głowę. Udało jej się unieść szklanę i wypić trzy duże łyki. Jej ciało było tak ciężkie, że opadłoby na dno, gdyby się teraz położyła w wodzie, szybkie wspomnienie, jak się topiła, kiedy kończyło się powietrze. Wciskali jej głowę pod wodę w pewnej celi, dawno temu.

Wciągnęła powietrze w płuca. Wiedziała, co to znaczy nie móc oddychać.

– To niekonieczne – powiedziała. – To już nieważne.

– Nie bardzo rozumiem.

– Niech pan im powie, że po prostu mają o tym zapomnieć, dostaną swoje pieniądze. Wszystko jest pod kontrolą.

Schyliła się i podniosła płócienną torbę, która leżała ściśnięta między jej stopami, przytrzymała ją tak, żeby mógł zobaczyć.

– To jest zgodnie z umową – powiedziała. – Zapłacę panu drugie tyle, jeśli pan każe swoim ludziom w Sztokholmie odpuścić sobie tę sprawę.

Mężczyzna patrzył na nią, jakby kompletnie nie rozumiał.

– Nie mogę tego zrobić – rzucił.

– Dlaczego nie?

– Bo tu już nie chodzi o panią. Teraz to ich problem. Żadne z nas zresztą nie chce, żeby jakiś podwykonawca trafił w ręce policji i zaczął puszczać farbę.

– Oczywiście, że nie – zgodziła się Claudia.

Wiedziała, kiedy należy przestać naciskać.

– Jak się nazywa ten podwykonawca?

– Nie powinna pani tego wiedzieć.

Wychylił swoje piwo, to było trzecie czy czwarte, i wstał. Zdecydowała się wyjść razem z nim, zapłaciła gotówką za nich dwoje.

– Jest jeszcze jedna rzecz – rzekła, gdy stali już na zewnątrz. – Coś, co mam nadzieję, macie na składzie.

Iskra zabłysła w jego oku, szeroki szelmowski uśmiech.

– Niestety, ceny tej wiosny podskoczyły – poinformował, oglądając się. Młoda japońska para stała przed lokalem, sylabizując napis na szyldzie, z którego wynikało, że to jest najstarsza berlińska knajpa, przeszedł więc pod żelazny parkan po drugiej stronie ulicy. Dla pewności zmienił słownictwo, na wypadek gdyby Japończycy go słyszeli. – Nasze specjały dostajemy zwykle przez Ukrainę, ale akurat teraz oni sprzedają wszystko, co jest na ich rynku, za podwójną cenę.

– Zapłacę oczywiście, ile trzeba – zapewniła Claudia.

– A o jakich ilościach rozmawiamy?

Widziała, jak mu podskakuje puls, twarz nabiera barwy, nerwowe zaskoczenie w jego twarzy. Teraz już pewnie przeliczał w głowie wartość pocisków rakietowych i paru tysięcy AK 47, takich rzeczy, jakie kupowali wcześniej, w latach, kiedy wyposażali swoją ludową armię.

– Tylko o jednej sztuce – powiedziała. – Najmniejszym modelem, jaki pan ma.

Dzwonek telefonu ledwie dał się słyszeć w zalewie innych dźwięków. Była tam muzyka grająca w hotelowym lobby, odgłosy gry komputerowej małego chłopca na kanapie, recepcjonistka rozmawiająca przez telefon po niemiecku i telewizor włączony w sąsiedniej sali, jakaś komórka dzwoniąca równocześnie w kieszeni kogoś innego.

Claudia stała w recepcji, żeby się wymeldować, chociaż pokój był opłacony za jeszcze jedną noc.

I znowu usłyszała sygnał, dobiegał z jej własnego bagażu.

Tylko jeden człowiek miał ten numer. Zastrzegła, że ma go użyć wyłącznie w nagłym wypadku, dlatego nie nauczyła się sygnału i dlatego ten telefon leżał na

samym dnie jej walizki. Schyliła się i tylko uchylila wieka, następnie wlozyła rękę, grzebiąc na oślepe. To nie był dobry pomysł, żeby pokazywać wszystkim hotelowym gościom, co też ta starsza niepozorna pani zamierza wywieźć z kraju.

Jeszcze dzwonił, wibrował w jej dłoni.

– To ja – powiedział – mówi David.

Claudia zdecydowała się odpowiedzieć po angielsku, odeszła kilka kroków od recepcji. Jego głos był w niej niepokojem i pewną radością, że on potrafi wzbudzać takie bezładne uczucia.

– Wiem, że nie powinienem dzwonić – ciągnął – ale miałem rozmowę z Argentyny. Chcą cię wezwać do sądu jako świadka.

Najpierw nie zrozumiała. Potem dosięgło ją to jak trzęsienie ziemi, siła, która usiłowała ją przewrócić.

– Nic nie wiedziałem, że byłaś w Buenos Aires w latach siedemdziesiątych – mówił dalej. – Nigdy o tym nie wspominałaś.

– Niewiele jest do wspomnienia. To był mroczny czas.

Wymamrotała słowo przeprosin do recepcjonistki i wyszła z hotelu na ulicę.

– W każdym razie ten, co zadzwonił, to adwokat. Broni pewnego byłego wojskowego, który właśnie został ujęty i siedzi w areszcie w oczekiwaniu na oskarżenie o zbrodnie przeciwko ludzkości.

W głosie Davida tyle było niepewności i dobrej woli, jedynie on kojarzył jej się ze światłem, a teraz to właśnie on wymierzył jej ten cios. Claudia oparła się o futrynę okna. Musi mieć oko na walizkę, która została tam w środku. Jak to możliwe, że ktoś ją odnalazł? W jakiś sposób musieli dotrzeć do nazwiska Claudii Viehhauser w ESMA. Wiedziała trochę o tych procesach, że Argentyna chce rozliczyć się z własną przeszłością, śledziła doniesienia mediów, czekając, aż któregoś dnia zobaczy jego nazwisko, jego zdjęcie.

– Przeciwko komu miałabym zeznawać?

– Nie przeciwko – powiedział David – tylko na jego korzyść. Ten wojskowy twierdzi, że wyratował cię z więzienia, ryzykując przy tym własne życie, chce, żebyś poświadczyła, że nie był wierny juncie, że złamał ich rozkazy.

Claudia ścisnęła futrynę okna jeszcze mocniej.

– Jak on się nazywa, ten jego klient?

David rzucił nazwisko, którego nie znała.

– Nie wiem, kto to jest – powiedziała Claudia. – Musieli mnie pomylić z kimś

innym.

– Używał imienia Ramón.

Brzmienie tego imienia. Jak ona go nienawidziła. Za każdym razem, gdy była zmuszona skierować swoją broń na człowieka, czując pod palcem precyzję i chłód spustu, zawsze myślała właśnie o nim. To imię budziło w niej żądzę mordy.

– Nie pamiętam żadnego Ramona – oznajmiła. – Możesz im to powiedzieć.

– Claudia...

– Nie wymieniaj mego imienia.

– Przepraszam.

Zazgrzytał za nią jakiś tramwaj. Claudia przeniosła się na drugą stronę hotelowych drzwi, to było instynktowne, nigdy nie stać w jednym miejscu tak długo, aż ktoś zdąży ustawić celownik.

– Powiedział też, że najbezpieczniej będzie, jak szybko się do nich odezwiesz – ciągnął David. – To zabrzmiało jak jakaś próba zastraszenia, ale chyba nie ma się czym przejmować.

– Groził ci?

Daniel roześmiał się lekko.

– Czym mieliby mi zagrozić? W Argentynie? Zresztą nie wiedzą, kim jestem, myślą, że jestem twoim adwokatem, więc co by im z tego przyszło?

– No tak, słusznie. – Przepeliło ją niejasne poczucie dumy, że się nie dała zastraszyć, chociaż wiedziała, co to znaczy. Przeżył gorsze rzeczy. Nie wiedziała, czy budził w niej macierzyńskie uczucia, nie była bowiem pewna, jak takie uczucia wyglądają. I tak nie miała już pojęcia, czym jest miłość. Czymś innym niż pustka, być może.

– Jest jeszcze jedna sprawa – powiedział David. – Była u mnie jedna Szwedka, szukała cię. Uznałem, że to nie jest powód, żeby do ciebie dzwonić, to nie był żaden nagły wypadek, ale ta rozmowa z Argentyką dała mi do myślenia.

– Mówisz Szwedka? A czego chciała?

Claudia znowu zmieniła pozycję na chodniku.

– Mówiła, że reprezentuje rząd szwedzki – wyjaśnił. – Zadawała wiele pytań, ale nie powiedziała w końcu, o co chodzi. Mam tutaj jej nazwisko, podać je?

– Szwedzki rząd chyba można wymienić z nazwiska.

Potem wymienił je i to trzęsienie powróciło, poczucie, że w ziemi pod nią

rozwiera się szczelina.

Helene Eriksson Bergman.

Helene, ta jasnowłosa, która była tym, co minione i zapomniane. To już był koniec. Jeżeli jej udało się ją znaleźć, chociaż nie było żadnych śladów, i Ramón wypełził z jakichś zapomnianych kloacznych dziur, gdzie jego miejsce, to znaczy, że już nie ma powrotu.

Claudia ścisnęła mocno komórkę. Musi się jej pozbyć.

Nie wiedziała, jak ma sformułować pożegnanie.

– Muszę już iść – powiedziała. – Daj mi znać, jak odezwą się znowu.

Koniec rozmowy.

Weszła znów do hotelu, zapłaciła rachunek i poprosiła o przechowanie walizki pod kluczem jeszcze przez kilka godzin.

Potem musiała się pośpieszyć. Znalazła się z powrotem w jego cieniu. To Ramón był gdzieś za jej plecami, gdzie go nie mogła widzieć, w ciemnych zaułkach i na schodach, gdy szła ulicami, na dół do U-Bahnu i do banków przed zamknięciem. Widziała w mijanych kałużach i ścianach ze szkła, jak zamazuje się obraz Claudii, która była złudzeniem i kuglarską sztuczką, a na jej miejsce powróciła Ing-Marie, całe to marzycielstwo, delikatność, którymi pogardzała przez te wszystkie lata, dziewczyna, którą można było oszukać i wykorzystać.

Późnym wieczorem odebrała walizkę i wzięła taksówkę na Berlin Hauptbahnhof.

Kupiła bilet w kasie, zapłaciła gotówką. Czuła ciężar i wartość swoich bagaży, stojąc w olbrzymiej hali i czytając tablice z godzinami odjazdów. Dworce kolejowe już zawsze będą jej się kojarzyły z zagrożeniem, miała to zakodowane w mięśniach i korze mózgowej. Przeczucie katastrofy, że ktoś ją chwyci za rękę i powlecze, że nigdy nie dotrze tam, dokąd się wybiera.

Zostało dziewiętnaście minut do odjazdu pociągu Berlin Nacht-Express.

Kupiła sobie na drogę parę kanapek i brytyjską gazetę, za którą mogła się schować, ruszyła w stronę peronu. Nad głową miała sklepienie ze szkła i stalowych konstrukcji, zobaczyła gołębia, który wzbił się do góry i uderzył w ten unoszący się dach.

Nocny pociąg stał już na peronie, ktoś wpychał do środka walizkę, ktoś się żegnał. Słysząc było wizg hamulców i stukot żelaza o szyny, echa okrzyków po niemiecku. Komórkę wrzuciła do kosza na śmieci. Karty SIM pozbyła się

wcześniej, w innej części miasta.

Wsiadła i odszukała swoje miejsce siedzące. W wagonach sypialnych nie było już miejsc, ale to bez znaczenia. Nie sądziła, że uda jej się zasnąć.

Zaczekała na szarpnięcie wagonu. Pociąg ruszył. Potem zaciągnęła zasłonkę.

SZTOKHOLM 2014

Jedne ze schodów prowadziły z biura architektów bezpośrednio na podwórko. Helene siedziała tam na ogrodowej ławce, na której pracownicy zwykle przysiadali na papierosa. W swojej komórce słyszała głos Guillerma, który relacjonował jej ze szczegółami przebieg aresztowania.

Policja namierzyła jej telefon w pewnym mieszkaniu w Palermo. Ponieważ GPS był włączony, nie trwało to długo. Jak się okazało, był to adres burdelu.

– Chętnie powiedziałbym, żeśmy go złapali z gołym tyłkiem, ale wyglądało na to, że sprawy nie zaszły tak daleko.

Squatina, albo Ramón, który właściwie nazywał się całkiem inaczej, oczekiwał na wielopunktowy akt oskarżenia. Istotnie był agentem wywiadu w Operacji Cóndor, wysłanym do infiltrowania uchodźców z Ameryki Łacińskiej w Europie. Ten fakt sam w sobie nie był punktem oskarżenia. Zarzuty, jakie miano mu postawić, to bezprawne uprowadzenia, przesłuchiwanie z użyciem tortur i współdziałanie w morderstwach w więzieniach i obozach w Argentynie. Prokurator zażądałby przypuszczalnie dożywocia albo trzydziestu lat, co w jego przypadku wychodzi na jedno.

– A on sam co mówi?

– Wygląda na to, że będziemy mieli inny proces – powiedział Guillermo. – Squatina twierdzi, że złamał rozkazy, o ile wiem, nikt przedtem nie próbował takiej obrony. Posłuszeństwo rozkazom było dla nich święte, jeśli ich przełożeni powiedzieli, że jest wojna, to była wojna, jeśli dostali rozkaz wyrzucania ludzi żywcem z samolotu, to go wykonywali.

– Ma na to jakichś świadków?

Helene odsunęła się trochę od swędu popielniczki, w której coś się tliło. Słyszała w tle echo i głosy, wyobraziła sobie Guillerma w sądzie w Buenos Aires.

– Żadnego jeszcze nie widzieliśmy.

– On mi groził. Mówił, że ma wszędzie kontakty, że są w Europie ludzie, którzy mogą zrobić coś mnie i moim dzieciom.

Wokół Guillerma zrobiło się cicho, pomyślała, że zaszył się w jakimś kącie.

– Ludzie tacy jak on – powiedział – którzy kiedyś byli panami życia i śmierci, wyobrażają sobie często, że wciąż mają władzę, ale są już starzy. Nikt nie chce być z nimi kojarzony. Ich siatki są już niewydolne, a oni nie widzą, że ich czasy już minęły.

Helene zamknęła oczy. W każdej chwili potrafiła przywołać noc w tamtym domu, poczucie, że ktoś inny ma władzę nad jej życiem.

– A jeśli nawet jeszcze ma paru przyjaciół – ciągnął Guillermo – to teraz pewnie znikną. Jak powiedziałem, ci wojskowi zawsze bronili się stwierdzeniem, że musieli słuchać rozkazów. Nie sądzę, żeby im się spodobało, że jeden z ich ludzi staje przed sądem i ogłasza, że można było postępować inaczej.

Krótką pauza po drugiej stronie. Zwróciła twarz ku słońcu. Czy jest już po wszystkim, czy może przestać oglądać się przez ramię?

– Jestem pewien, że nie ma pani czego się obawiać – powiedział.

Helene, wracając po schodach do biura, próbowała odnaleźć w sobie poczucie ulgi, ale niepokój w brzuchu nie dawał jej spokoju, nieokreślony i bolesny.

Nie chodziło jedynie o to jedno, ale także o drugie i trzecie.

Rysunki systemowe, które była zmuszona wykonać w rekordowym tempie, wymagały teraz korekty, do tego sytuacja w domu. Jocke przysłał jej esemesa, że na weekend wyjedzie na działkę. Potrzebował być sam i spokojnie pomyśleć, napisał, komórkę będzie miał wyłączoną. Jeśli coś będzie z dziećmi, Helene ma dzwonić do sąsiada.

Było piątkowe popołudnie i ludzie już zaczęli zbierać się do domów, ale Ariel miała dziś po kinderbalu nocować u koleżanki, a Malte był na rozgrywkach futbolowych. Jedyne, co na nią czekało, to puste mieszkanie i jałowe zmagania z myślami.

Helene pogrzyżyła się z powrotem w rysunkach osiedla Jarzab. Patrzyła, jak wyłaniają się budynki, wchodziła do środka i wychodziła z przyszłych domów. Według urzędników z gminy plac nawrotowy był za ciasny, śmieciarki nie miały gdzie zawracać, musiała więc usunąć jeden z szeregowców, ale plus i minus i tak musiały wyjść na zero. Kilka godzin poświęciła na wymianę cedrowych paneli i metalowych detali w fasadach na jakieś tańsze materiały, uprościła i zastosowała standardowe rozwiązania w kuchniach, często tak się robiło. Wspaniałe wizje sprowadzało się do rzeczywistości.

– Świetnie – skwitował Peo Ahlsén, gdy zdawała mu relację, ale tylko na moment podniósł wzrok znad własnego monitora. – Dobrze, że jesteś już na

chodzie, komu innemu trudno byłoby wejść w twój projekt i tak ciachać, nikt tego przecież nie lubi.

– Mam nadzieję, że nie narobiłam wam problemów tą nieobecnością – powiedziała Helene, próbując wyczytać jakąś reakcję z jego twarzy, ale nie było żadnej. Wyłącznie koncentracja na budzecie, który miał przed sobą, cyfry w równych rzędkach.

– Nie, daliśmy radę – odpowiedział. Helene życzyła mu „miłego weekendu” i wróciła na swoje miejsce, żeby zrobić backup i wyłączyć komputer. Do szefa nie dotarło, że kłamała o swojej chorobie, a w domu twierdziła, że jest na konferencji w Argentynie. Po kilku minutach pozdrowień „cześć, już wróciłaś?” i „cześć, jak się czujesz?” wszystko było jak zwykle. Centralę telefoniczną obsługiwała zewnętrzna firma, więc telefonistki nie mogły polecieć na skargę ani rozpuszczać plotek, była tylko nazwiskiem na ekranie, połączeniem. Miała stracić trochę zarobku, to wszystko.

W krótkiej przerwie, kiedy komputer trawił i kopiował nowe pliki, a Helene nie mogła robić nic innego, jak czekać, ważyła w dłoni komórkę.

Palec na klawiaturze, zaczęła wpisywać nazwisko Billie Jean. Po raz ostatni, pomyślała, potem wymaże stamtąd i Charlie, i siebie. Jeszcze tylko ten jeden raz skłamię Jockemu. A zresztą, czy to jest w ogóle kłamstwo? Nie mogła przecież do niego zadzwonić i tym samym nie mogła mu nic powiedzieć. Gdyby zapytał później, co robiła tego wieczoru, odpowiedziałyby mu, że „nic szczególnego”.

Jeszcze tylko jedno spotkanie, tylko to. Ostatnia rzecz w jej zasięgu, jakiej mogła się dowiedzieć, a potem będzie mogła zostawić to wszystko za sobą.

„Cieszę się na dzisiejszy wieczór”, napisał Czego Zapragniesz, a potem przeszedł do bardziej konkretnego opisu tego, na co się tak cieszył.

Miała tylko potwierdzić, jedno naciśnięcie, okej, jasne, że się zobaczymy! Tak jak zrobiłaby Charlie, bez żadnych rozterek i wahań.

Czego się boisz, czasem się zabawić?

Helene przyjrzała się zdjęciu. Czego Zapragniesz nie wpisał nawet swojego imienia. Mógł być kimkolwiek, przestępcą, psycholem, ale tym razem nie mogła prosić Uffego Rainera, żeby był jej obstawą.

Odłożyła komórkę, gdy ujrzała zbliżającego się Rubena. Kanapka w ręce jak zwykle, duża butelka z lemoniadą, najwyraźniej zamierzał spędzić ten piątkowy wieczór w pracy. Może siedział sobie i grał, kiedy wszyscy już poszli, albo konstruował programy, na których zbije majątek. Któregoś razu zademonstrował

jej, jak odtworzył cyfrowo Koloseum i wieżę Eiffla, z dokładnością do najmniejszego kamienia czy stalowej belki, potem zburzył je i odbudował.

Helene przyglądała mu się dyskretnie, kiedy włączał swoje potężne programy.

– Sądziś, że mógłbyś pomóc mi z jedną rzeczą? – zapytała.

– Mm. – Ruben nie oderwał wzroku od ekranu.

– Wiesz, jak można znaleźć osobę na podstawie zdjęcia?

– To znaczy jak, o co ci chodzi?

– No, żeby znaleźć osobę ze zdjęcia, informacje, kim on czy ona jest?

Wydało jej się, że na jego na w pół odwróconej twarzy widzi uśmiech.

– No, takie rzeczy powinnaś umieć, jak chcesz zacząć randkować.

– Nie chcę randkować. To jest facet, który uczepił się mojej siostry, chcę wiedzieć, kim on jest.

Ruben zerknął na jej obrączkę.

– Jasne – mruknął.

Helene znowu wyjęła komórkę i wysłała zdjęcie do jego komputera.

– Sam jestem singlem – powiedział, żując kanapkę, gdy fotografia Czego Zapragniesz pojawiła się na jego ekranie. – Ale przecież szkoda mojego życia na dziewczyny, które zamieszczają retuszowane zdjęcia. Trzeba sprawdzić panienkę, oszczędza się czas, wszyscy powinni to robić.

Po paru szybkich komendach komputer zaczął pracować.

– I człowiek nie chce przecież trafić na jakąś psycholkę.

Naprawdę nie planowała znowu zakładać sukienki Charlie, jednak jakoś dziwnie stało się to konieczne. Ta sukienka zacierała granice, dodawała jej odwagi. Zmierzyła sobie włosy, nałożyła trochę za ostry makijaż. Perfumy pachniały jak Charlie.

W czasie trzygodzinnej przerwy w locie, jaką miała na Heathrow, sprawdziła cały asortyment perfum w sklepie wolnocłowym. Powiew Charlie, która zostawała, nie uciekała w swoje światy. Do tej pory nie miała odwagi ich użyć, ale teraz postanowiła zawsze nimi pachnieć, kupi je znowu, jak się skończą.

Niedawno odremontowany hotel, lobby z przytłumionym oświetleniem. Czego Zapragniesz zarezerwował na noc pokój, najprawdopodobniej siedział już i czekał, kiedy przyszła, spóźniona o dziesięć minut. Był to czas, który straciła po drodze na

wątpliwości i wahania, gdy żałowała, że w ogóle wdała się w to wszystko.

Nie było granic temu, co ten mężczyzna chciał z nią robić. Helene przeczuwała, że Czego Zapragniesz właśnie o tym myśli, teraz, gdy zobaczyła go, jak siedzi w rogu, w półmroku, w smukłym fotelu, ze wzrokiem wbitym w wyświetlacz komórki, żeby sprawiać wrażenie zajętego.

Ostatni dyskurs samej z sobą, konstatacja, że w lobby jest pełno ludzi, że jest personel, jest ochroniarz.

No dobrze, Charlie, wiem, że jestem tchórzem, więc daj mi trochę swojej odwagi.

Helene wciągnęła brzuch i podeszła do mężczyzny.

– Zdaje się, że to na mnie pan czeka.

Czego Zapragniesz podniósł głowę i posłał jej nieznaczny uśmiech.

– Niestety, nie tym razem.

Usiadła w fotelu obok. On zawisł wzrokiem na jej nogach.

– Pani wybaczy, ale ja naprawdę czekam na kogoś innego.

– Wiem – powiedziała – ale Billie Jean nie mogła przyjść, więc musi pan poprzestać na mnie.

Gapił się na nią. Może włosy trochę mu się przeredziły, ale poza tym był podobny do siebie ze zdjęcia. Nakrapiane oprawki okularów, modne w tym roku, trochę nazbyt obcisła koszula.

– Co to ma być? – Omiótł spojrzeniem lokal, szukając oryginalnej wersji Billie Jean. – Zachorowała czy jak?

– Nie, nie zachorowała. Zginęła tamtej nocy, kiedyście się spotkali.

Nawet bawiło ją obserwowanie jego reakcji. Jak od zmieszania przeszedł do szoku, potem do strachu i czegoś bliskiego paniki, by skończyć wreszcie na sceptycznym wyrazie twarzy.

– Żartuje sobie pani ze mnie? – Wziął swoją niebiesko-białą marynarkę przewieszoną przez poręcz, otrzepał ją i przykładając rękę, sprawdził, czy portfel jest na swoim miejscu – nie wiadomo czemu. – Żyła w każdym razie, kiedy widziałem ją ostatnio, więc jeśli pani przyszła tutaj, żeby... Zaraz, zaraz, to jakaś feministyczna heca?

Rozejrzał się nerwowo, jakby spodziewał się zobaczyć jakąś armię mścicielek, po czym wstał.

– Nie muszę siedzieć tu i tego wysłuchiwać.

– Proszę usiąść.

– Ty sobie zdajesz sprawę, że zapłaciłem tutaj za pokój na tę noc? Nie wiem, czego ty chcesz, ale podszywać się pod kogoś i to wszystko, co wypisywałaś... trzeba mieć nierówno pod sufitem.

Przestępował z nogi na nogę, jakby chciał iść, lecz najwyraźniej nie mógł się zdecydować. Może sądził, że jednak było coś szczerego w tym, co mu pisała, o fantazjach, które pragnie zrealizować, może się zastanawiał, czy nie nadałaby się jako substytut prawdziwej Billie Jean.

Helene założyła nogę na nogę i uśmiechnęła się.

– Patrik Lunde – powiedziała. – Projektant programista. Żonaty z Eriką Lunde, zamieszkały w Enskede, a dokładnie w żółtej drewnianej willi, wygląda na to, że macie koło domu sporo jabłoni.

Uniosła komórkę ze zdjęciem jego domu. Na podjeździe stał trzykołowy rowerek.

– Co się, cholera...

– Nie mam zamiaru dzwonić do pańskiej żony – powiedziała Helene – i nie chcę ugotować zupy z królików pańskich dzieci. Chcę tylko wiedzieć, co Charlie mówiła tamtego wieczoru.

Poklepała poduszkę fotela, na której wcześniej siedział. Patrik Lunde westchnął i opadł z powrotem na fotel, demonstracyjnie odwrócił się od niej.

– Co mam powiedzieć? Żyła, jak wychodziła. Zostawiła mnie z rachunkiem.

Przebierał palcami po klawiaturze własnej komórki i wyglądał, jakby się rzeczywiście zastanawiał. Helene zauważyła, że jest właśnie na stronie Romans.se, może miał jakąś inną kobietę w rezerwie, gdyby wieczór nie wypadł po jego myśli.

– Teraz rozumiem – rzekł. – To dlatego dzwoniли do mnie z policji i pytali, czy nie dzwoniła jakaś Charlie albo Camilla. Powiedziałem, że nie, przecież tych imion nigdy nie słyszałem. Telefon jest na firmę. Nigdy nie mówię, jak się nazywam, i sam też nie chcę znać ich imion. Wtedy jest lepszy seks, i żadnych zobowiązań, człowiek może być tym, kim chciałby być, chyba wie pani, co mam na myśli.

Popatrzył na nią tak, że przypomniała sobie coś, co do niego napisała, i odwróciła wzrok.

– Proszę powiedzieć mi tylko, jak Charlie zachowywała się tamtego wieczoru. Była wesoła, była smutna?

– Kto ją tam wie? Zobacz pani sama.

Patrik Lunde podniósł swoją komórkę i pokazał zdjęcie Charlie, na którym śmiała się do obiektywu, inne zamazane i nieudane, a potem jeszcze jedno, na którym patrzyła uwodzicielsko, odgrywała tę grę przed mężczyzną, którego imienia nie знаła, ale żyła, naprawdę było widać, że żyje. Helene chciała przyjrzeć się bliżej, utrwalić w sobie ten śmiech jako ostatnie wspomnienie, lecz Patrik Lunde włożył komórkę do kieszeni spodni.

Tego wieczoru spotkali się tam, w Jakobsbergu. Restauracja była o parę klas gorsza od tych, do jakich przywykł, ale przynajmniej nie miał obawy, że ktoś go rozpozna. Kolacja, parę godzin, więc w porządku, nie ma o czym mówić.

– A potem okazało się, o co jej naprawdę chodzi, i szczerze mówiąc, to nie po to ustawiłem sobie wolny wieczór w sobotę, żeby za friko udzielać technicznego wsparcia.

– Jakiego wsparcia?

– No, nie takiego, jakie misie lubią najbardziej.

W połowie kolacji Charlie wyciągnęła swoją komórkę i poprosiła, żeby pomógł jej z jedną rzeczą.

Helene drgnęła. Czyli Charlie jednak miała komórkę tego wieczoru, musiała stracić ją później. Próbowwała otrząsnąć się z tej myśli, to nieistotne, jakaś komórka tu czy tam. Jedyne, czego chciała, to uzyskać obraz Charlie w ten ostatni wieczór. Kim była, parę słów zawierających jakąś prawdę, jakieś sedno, coś niewielkiego, co by mogła wyryć sobie w pamięci i zrozumieć.

– Powiedziałem jej, że tak się nie da, w końcu nie byłem tam, żeby pracować – ciągnął Patrik Linde. – Ale ona uparła się i ciągle tylko powtarzała, że jestem programistą, i chyba jednak powinienem umieć takie rzeczy.

Parsknął z irytacją.

– To był sobotni wieczór. Przyjechałem na to zadupie z drugiego końca miasta. Naprawdę nie po to, żeby tam siedzieć i się wczuwać, zwłaszcza kiedy zaczęła gadać o swojej matce. Zafunduj sobie terapię, pomyślałem.

– Mówiła coś o swojej matce?

– Tak, to przecież do niej był ten cały mejl.

– Zaraz, chwileczkę, jaki mejl?

– No ten, co chciała, żebym jej zlokalizował adresata. – Zrobił grymas mówiący z grubsza, co o tym wszystkim sądzi. – Dziewczyna wysłała po pijaku jakiś mejl,

gdzie powypisywała w złości rzeczy, których potem pożałowała. Chciała przeprosić i załagodzić całą sprawę, ale za późno, adres był już zlikwidowany i mejle wracały do niej. – Obiema dłońmi pocierał sobie czoło. – No i wtedy wpadła na genialny pomysł, żeby mnie wykorzystać, żebym spróbował znaleźć jej ten nowy adres.

– Mógł pan coś z tym zrobić?

Kilka kobiet na wysokich obcasach i z kieliszkami szampana w rękach usiadło w pobliżu. Helene spostrzegła, jak Lunde się spręży, poprawił sobie trochę kołnierzyk koszuli.

– Powiedziałem jej, że nigdy nie wolno wysyłać mejli pisanych w afekcie. Ludzie nie mają pojęcia, jak to jest odbierane na drugim końcu. Człowiek na chwilę sobie ulży, a potem ma lęki, ale tamtego już cofnąć się nie da. Trzeba nauczyć się mejlować z głową, pomyśleć, zanim naciśnie się „wyślij”.

– Co mówiła o matce?

Patrik Lunde zdjął okulary i spojrzał na nie pod światło, w stronę przyciemnionego kinkietu. Wytarł jakąś drobną plamkę o koszulę i założył je z powrotem.

– Ach, to była rzewna historia, ledwie wina starczyło. Jej mama zniknęła w jakiś tajemniczy sposób, a teraz ona ją znalazła, tylko że z kolei zniknął tamten adres i że jak gdyby wszystko się powtarza, powiedziała, cała ta trauma z jej dzieciństwa, bla, bla, bla...

Roześmiał się i westchnął jednocześnie. Helene zapragnęła, żeby zamknął się na chwilę, tak aby mogła tylko ujrzeć przed sobą to ostatnie. Może jednak Charlie udało się nawiązać kontakt. Albo też adres od początku był fałszywy. Nie miała siły roztrząsać tego teraz, chciała jedynie stąd iść. Wystarczy tego. Nie ma żadnej drogi dalej, wszystko się tam kończyło.

– Ach, Boże, co to był za wieczór. Później mieliśmy niby iść do niej do domu, ale wtedy jej się zachciało do nocnego klubu, bo musi potańczyć i zapomnieć, mówi. Pomyślałem, że to ją może rozluźni, no więc dobrze, czemu nie. I laska idzie potem do domu z jakimś innym gościem, a mnie zostawia z rachunkiem.

Helene przymknęła oczy i zobaczyła swoją siostrę w migających światłach. Charlie tańczyła sama. Czego Zapragniesz nie mógł sprostać jej marzeniom. A tamten drugi, ten J.R. Norlander, mógł? Czy był tylko poręcznym substytutem?

Wydało jej się, że widzi ją, jak znika, idąc w stronę centrum, rozplywa się w mroku.

– Można tu dostać coś do picia? Przecież ja jestem, do cholery, gościem w tym hotelu.

Patrik Lunde pomachał w stronę kelnera, który zdawał się go nie widzieć.

– Wyszedłem w każdym razie za nimi – ciągnął. – Może to i głupota, ale są pewne granice, a ja musiałem wybulić za jej drinki. Jeżeli są jakieś zasady, to przecież ta, że w pierwszy wieczór dzielimy się rachunkiem.

Chyba złapał trochę kontaktu wzrokowego z paniami przy stoliku obok, mówił ściszym głosem, ale nogi rozstawił w ich kierunku, trochę za często poprawiał sobie teraz włosy.

– Ale potem dotarło do mnie, że to głupi pomysł. Los tak zdarzył, a ja nie chciałem wdawać się w żadne awantury. Jak wyszedłem, zobaczyłem już tylko jakiegoś lumpa, co grzebał w koszu na śmieci, i pomyślałem sobie: pieprzyć to, dziewczynę trzeba by ukarać, bo mnie wyrolowała, ale nie będę przez to ryzykować, że się spóźnię na ostatni pociąg.

– Musiała jednak zrobić na panu wrażenie – powiedziała Helene – skoro chciał pan znów się z nią spotkać.

Patrik Lunde wymienił jeszcze jedno spojrzenie z kobietami obok, doszło już nawet do uśmiechu.

– Pomyślałem, że zrozumiała swój błąd – odparł.

– Wydobył pan tamten adres?

– Nie – odrzekł. – Ja szanuję prawo do prywatności. Jeśli to prawda, co mówiła, że jej matka zmieniła adres, to dla mnie jest to wyraźny znak. Nie chciała żadnego kontaktu.

Był jeszcze wczesny piątkowy wieczór. W drodze do metra Helene musiała przejść przez chaotyczny teren budowy koło Slussen^[38], słyszała jakieś wrzaski. Ludzie siedzieli wzdłuż nabrzeża przy Starym Mieście i kiwali sobie nogami. Woda była miękka i niebieska. Pomyliła się przy zejściu do metra i trafiła do jednego z podziemnych przejść, które niedługo miano wyburzyć, śmierdziało uryną. Nagle poczuła się nieswojo, miała wrażenie czyjejś obecności.

Przez mgnienie oka wydało jej się, że Czego Zapragniesz ją śledzi, by dowiedzieć się, gdzie ona mieszka, aby potem... no właśnie, co? Przypuszczalnie już o niej zapomniał. Mimo to obejrzała się przez ramię.

Wartki potok przechodniów, ale nikogo w niebiesko-białej marynarce. Nie było

czego się bać.

Podjechała metrem do Centralen i przeszła do kolejki miejskiej.

Wieczór był ciągle jasny, kiedy wysiadła na peronie w Jakobsbergu, strumień ludzi powracających z centrum na przedmieście. Poszła dobrze znanymi alejkami, dzwoniąc w marszu do obojga dzieci, żeby powiedzieć im dobranoc.

Siedziała potem na kanapie Barbro i pozwalała podsuwać sobie ser brie i sałatkę z krewetek, no i wtedy wszystko puściło.

Płakała już po śmierci Charlie, ale nie tak jak teraz, tak że całe jej ciało się trzęsło targane spazmami, aż wszystko w niej było wyżęte.

– Nie musiałaś przechodzić przez to wszystko sama – powiedziała Barbro i przyniosła chusteczki higieniczne – przecież ja tu jestem.

Helene czuła się po tym jak ścierka.

– Tak długo walczyłam, żeby ją zrozumieć – wyznała i pewnie miała na myśli zarówno Charlie, jak i mamę – ale może nigdy mi się nie uda.

– Liczy się chyba, że człowiek próbuje – zauważyła Barbro.

Helene czuła wokół siebie jej ramię, to jak się starała nie narzucać, a jednak tam być. Ciepło jej troskliwości.

– Pomyśleć tylko, że Ing-Marie żyła przez te wszystkie lata – odezwała się znowu Barbro, która przyniosła butelkę wina i herbatę, podczas gdy Helene opowiadała, czego się dowiedziała. – Tak trudno pojąć, że przez ten cały czas nie podjęła kontaktu ze swoimi dziećmi. Może nie miała odwagi.

Albo miała to gdzieś, pomyślała Helene. Miała gdzieś informację od syna w Bogocie, miała gdzieś wściekły e-mail od Charlie. Usunęła swój adres i znowu o nas zapomniała.

Barbro wstała i niespokojnie przeszła się po pokoju.

– Ona raz przyszła – powiedziała. – Nic o tym wam nie mówiłam. Ing-Marie zadzwoniła do was do drzwi, nim wyjechała, do waszego taty. Ja tam wtedy byłam, on gdzieś był na mieście, i chciała porozmawiać z Charlie, to znaczy wtedy mówiliśmy na nią Camilla, ale już było po ósmej, już was położyłam. Wiedziałam, że leżycie i paplacie, i chichoczenie tam w środku, Charlie ci zawsze opowiadała bajki. Ing-Marie bardzo zależało, mówiła, że ma ważną rzecz do powiedzenia, ale ja powiedziałam, że już śpicie. Nie wiem, dlaczego tak jej powiedziałam, taka zła byłam na nią, że tak po prostu zrzuca całą odpowiedzialność.

Zakryła sobie dłonią usta.

– Nie musisz – wtrąciła Helene. – Teraz to bez znaczenia.

Ale Barbro wbiła spojrzenie w ścianę i ciągnęła dalej.

– I chciała jeszcze, żebym przekazała wiadomość waszemu tacie, ale odpowiedziałam, że nie zamierzam być na jej posyłki, jak chce, to niech z nim porozmawia sama. A on akurat gdzieś grał, a przecież wtedy nie było telefonów komórkowych. To porozmawiaj z nim jutro, rzuciłam, bałam się też, bo nie mogłam z nią konkurować, Ing-Marie była piękna, to była jego wielka miłość, a ja chyba tylko nadarzyłam mu się po drodze.

Helene wyciągnęła rękę, ale Barbro się odsunęła.

– Następnego dnia wyjechała. Nie dałam wam się pożegnać.

– Przecież nie wiedziałas.

– Ale czułam, że to było ważne.

– To teraz ci się tak wydaje. Nie mogłaś wiedzieć, że ona nigdy więcej nie wróci.

Później siedziały obok siebie na kanapie, na dworze zalegał czerwcowy półmrok. Helene widziała w szybie okna odbicia ich twarzy. Jedna szczupła, a druga z biegiem lat stała się okrągła, nigdy nie było między nimi żadnego zewnętrznego podobieństwa.

– To ja popełniłam błąd – powiedziała Helene. – Powinnam była podpisać tamte papiery. Jesteś jedyną mamą, jaką miałam, powinnam była dać ci to czarno na białym.

– Nie – zaprzeczyła Barbro – to był mój błąd. Nie trzeba było cię prosić. Nie mogłam żądać od ciebie, żebyś się wyparła swojego pochodzenia.

Helene pogładziła palcami swój policzek, twarz, która kiedyś istniała w prawie identycznej wersji.

– Nie chodzi o to, kto mnie urodził – powiedziała. – Ing-Marie nigdy nic dla mnie nie zrobiła. Ot i cała prawda.

Godziny mijały, a ona siedziała na ławce koło małego placu zabaw. Nawet ptaki nie reagowały na jej obecność. Siedziała całkiem nieruchomo. To było coś, czego się nauczyła, podobnie jak i wyłączania funkcji cielesnych, kiedy miała zadanie do wykonania. Nie czuła ani głodu, ani potrzeby, aby iść do toalety.

Jakiś kot przemknął przez krzaki. To był jeden z tych wieczorów, które nigdy nie mrocznieją, zdawało się, że ludzie nie chcą wracać do domów. Był tam dym z grillów na podwórkach i muzyka nastolatków, którzy zbierali się w parku za blokami, były dzieciaki na rowerkach, choć dochodziła północ.

Szczęknięcie otwieranej bramy, kiedy tamta w końcu wyszła.

Helene Bergman.

Przeszedł ją dreszcz, chociaż powinna była już się przyzwyczać.

Te jej blond włosy i szczupła sylwetka. Ten sposób, w jaki pochyliła głowę, kiedy pośpiesznie zerknęła na swoją komórkę. Niosła coś na rękę, czego nie miała, kiedy tam wchodziła, coś zawiniętego w gazetę. Bukiet kwiatów. Trudno było odnaleźć związek między tą wysoką postacią w beżowym płaszczu i małą dziewczynką ze zdjęcia. Drobne ciało tulące się do niej, obrazy placów zabaw takich jak ten, alejek, którymi chodziła z dziecięcym wózkiem w śnieżnej brei.

Helene nie mogła jej zobaczyć siedzącej na swym posterunku, była tego zupełnie pewna. Chodziło o światło i mrok, latarnię, która świeciła Helene w oczy, i mrok na drugim końcu placu zabaw, za drabinkami, gdzie siedziała Claudia.

Napięła mięśnie, przygotowała się do zmiany miejsca. Ciało nie było takie giętkie jak kiedyś, ale wytrenowane do działania w znacznie trudniejszym terenie.

Wcześniej tego wieczoru spotkały się przez moment spojrzeniami. W tunelu pod Slussen, gdy wracała z tamtego hotelu, Helene nagle się obejrzała. Claudia zamarła i spojrzała w dół, na coś, co niby miała w rękach. Gdy znów podniosła wzrok, Helene szła już dalej, schodząc do metra. Tylko przelotny moment, i co zobaczyła? Nieznajomą w podeszłym wieku, obcą wśród obcych?

A potem Jakobsberg. Wrażenie, jakby czas się zatrzymał. W podmiejskiej kolejce siedziała siedem rzędów za Helene, patrząc na jej jasny kark, widziała siebie samą albo tę, którą była kiedyś, a za nią siedziała starzejąca się kobieta, także będąca nią, albo może to Claudia była tą starą kobietą, a jednocześnie Ing-Marie, która ostatecznie opuściła jej ciało.

Helene przystanąła, zaledwie parę metrów od bramy. Zdawała się zastanawiać, dokąd ma pójść. Była nazbyt widoczna tam, gdzie stała, pod uliczną latarnią nadającą jej twarzy zielonkawy odcień. Pomimo odległości Claudia mogła rozróżnić jej rysy, był w nich jakiś niepokój. Delikatna skóra kogoś niezahartowanego, kto spędzał swoje noce w czterech ścianach. Ktoś się nimi zajął. Ktoś, kto wiedział lepiej, jak to robić, kto wiedział, czego potrzebują małe dzieci, gdy płaczą. Z Ing-Marie nigdy nie miały żadnego pożytku. Stanowiła dla nich zagrożenie, zapomniała wyłączyć kuchenkę i nie umiała kłaść ich o właściwej porze, zdarzało się, że przychodziły do przedszkola bez skafanderków i personel musiał dzwonić na uniwersytet ludowy.

Że też akurat to się jej przypomniało.

Powoli podchodziła bliżej, posuwała się brzegiem trawnika, wzdłuż krzaków, miękkim krokiem, na lekko ugiętych nogach, dzięki czemu mogła stawiać stopy bezgłośnie. Po drugiej stronie placu zabaw wznosił się punktowiec, a za nim był prześladowca.

Claudia czuła jego obecność, obserwowała go przez cały wieczór, odkąd Helene wyszła z pracy. Wykrycie go zajęło jej nie więcej jak pięć minut, chociaż był zawodowcem.

Ten sam mężczyzna na trzech skrzyżowaniach, wybierający tę samą drogę.

Nie był wysoki, ale masywny i wysportowany. Głowa całkiem łysa, ciemna kurtka. Nie wyróżniał się z tłumu wyglądem, ale Claudia go rozpoznała. Nie osobę, tylko tego, kim był. Skoncentrowany, uparty, niestrudzony.

Tę twardość wyczuwała w jego ruchach nawet z daleka.

Pod kamienicą w Vasastan, gdzie Helene pozostawała przez czterdzieści minut, zanim znów wyszła, już w innym ubraniu, mężczyzna czekał w bramie po drugiej stronie ulicy. Pod hotelem, w którym Helene miała jakieś spotkanie, siedział w kawiarnianym ogródku nad szklanką piwa. Pił je nienaturalnie powoli.

Parę razy Claudia znalazła się tak blisko niego, że wydawało jej się, iż czuje jego zapach, nie miała jednak żadnej dobrej okazji, żeby go uziemić.

Broń trzymała w ręce, w kieszeni.

Wszędzie pełno ludzi. Dorośli, młodzież, dzieci. Takiej Szwecji nie znała. Pamiętała puste ulice i ciszę, a nie tabuny ludzi przechadzających się w wieczornym słońcu, kawiarniane ogródki, rowerzystów i muzykę.

Mężczyzna jej nie zauważył, była tego pewna. Jej niepozorność i jej wiek sprawiały, że właściwie była niewidzialna, a on był skoncentrowany na Helene. To

przed nią się ukrywał, a nie przed kimś, kogo miał za plecami.

Podobnie jak Claudia czekał na okazję. Ten moment, który musi nadejść, gdy nikt nie będzie widział, kiedy to letnie rojowisko rozproszy się i pozostawi wolny dostęp.

Helene zaczęła iść chodnikiem. Przez osiedle prowadziła ulica, zaparkowane samochody zasłaniały widok. Jakiś mężczyzna przeszedł z psem na smyczy. W oknie na drugim piętrze Claudia spostrzegła cień starszej kobiety patrzącej w ślad za Helene. Widziała w innych oknach migotanie telewizorów, słyszała łomot granej gdzieś głośnej muzyki, ale na dworze było już mniej ludzi.

Dotknęła broni w kieszeni.

Helene powinna teraz skręcić i pójść alejką prowadzącą do stacji kolejki. Przeszłaby wtedy tuż obok, w odległości paru metrów. Claudia skryła się w bramie punktowca, żeby poczekać na mężczyznę, który pójdzie za Helene. Było już dostatecznie pusto, możliwa okazja.

On rozumował na pewno podobnie. Przypuszczalnie był już zniecierpliwiony. Chciał zakończyć robotę, ale jednocześnie zredukować ryzyko do minimum, inaczej już by coś zrobił.

Żeby go zlokalizować, zrobiła parę godzin wcześniej rundę wokół budynku. Dołączyła do grupy emerytów idących do sklepu Konsum i była pewna, że nie zwrócił na nią uwagi. Natomiast ona go znalazła, na ławce, z papierosem i gazetą.

Teraz, kiedy zapadła letnia noc, na pewno już opuścił ławkę i ukrył się w cieniach.

Claudia stała zupełnie nieruchomo. Wątpliwe, czy ktoś w ogóle widział, że stoi tam człowiek. Wątpliwy mrok zamazywał kontury. Parę sekund temu Helene zniknęła jej z widoku, za budynkiem. Claudia czekała, aż znów zobaczy jej jasny płaszcz, dziesięć metrów dalej, tam gdzie alejka znów się wyłaniała.

Minęło parę sekund, nim zrozumiała, że coś jest nie tak. Dwa szybkie kroki, żeby móc wyjrzeć za róg. Zobaczyła plecy Helene, wybrała inną drogę i zamiast skręcić, poszła prosto, przyśpieszając teraz kroku. Za chwilę miała dojść do ramp towarowych za sklepem, gdzie prawdopodobnie schował się mężczyzna.

Claudia błyskawicznie oszacowała sytuację, potem wybrała oświetloną alejkę. Było za późno na kluczenie wśród krzaków. Poszła zdecydowanym krokiem w stronę ulicy, jak starsza pani, której trochę śpieszy się do domu.

Widziała przed sobą jasny płaszcz Helene i dostrzegła jakieś poruszenie w mroku. Ciemna postać za sklepem, koło ramp. Ścisnęła mocniej broń. W jakiejś

bramie obściskowały się pary nastolatków, wciąż było słycać głozy ludzi siedzących jeszcze na balkonach. Nie przywykła do takich warunków. Do tego chyba konsternacja, że śledzi jakby samą siebie, uczucia, jakie budził tamten szczupły kark daleko przed nią. Wahała się parę sekund za długo.

Mężczyzna ruszył za Helene. Przeciął ukosem ulicę, ale szedł dalej za nią. Claudia musiała odczekać chwilkę, żeby zwiększyć dystans, zanim poszła za nimi.

Helene znikła z widoku i mężczyzna podbiegł kawałek. Na końcu ulicy był parking, to tam Helene skręciła. Teraz jej jasny płaszcz wychodził przez bramkę obrotową po drugiej stronie, szła szybciej. Może wyczuła w powietrzu zagrożenie, że bezpieczeństwo w tłumie ludzi jest już rozrzedzone. Claudia musiała się zatrzymać. Nie widziała mężczyzny, lecz instynkt szepnął jej, że ją być może teraz obserwuje.

Jakiś ruch w mroku, a potem coś błysnęło. Claudia podniosła broń, gdy zobaczyła jakąś postać, ale to był ktoś inny, wyższy, wsiał do samochodu. Uruchomił silnik.

Kiedy reflektorami omiótł parking, znów zobaczyła prześladowcę. Schodził z parkingu, w stronę trasy Viksjöleden, gdzie przejeżdżało jeszcze trochę samochodów. Coś zaświtało Claudii z głębin zapomnienia, te alejki i tunele przechodzące pod wszystkimi przelotówkami, zdecydowała się zaryzykować i pobiegła, lekko pochylona, za rzędami zaparkowanych samochodów. Gdy dotarła do bramki, zobaczyła, tak jak przypuszczała, jasną postać podążającą do tunelu pod trasą.

Mężczyzna postanowił najwyraźniej przeciąć jej drogę po drugiej stronie, ale przystanął, żeby przepuścić przejeżdżający autobus.

Ryzyko, że się obejrzy, było niewielkie, zbyt był skoncentrowany na swym celu. Claudia pobiegła wzdłuż alejki. Kiedy znalazła się w tunelu, narósł odgłos jej kroków, nie nawykła do tego, że jest słyszana, w terenie zawsze poruszała się bezgłośnie. Przystanęła dwadzieścia metrów od wylotu, teraz ostrożnie i bezdźwięcznie przemknęła pod betonową ścianą aż do wyjścia.

Nikogo tam nie zobaczyła. Alejki prowadzące w różne strony. Tutaj zaczynało się osiedle willowe, teren stopniowo się wznosił, usłyszała brzęczenie komarów i jeszcze jakiś samochód. Nic poza tym.

Claudia wdrapała się na zbocze, żeby się rozejrzeć, strąciła przy tym trochę żwiru i kamieni, które stuknęły o asfalt alejki. Spojrzała nad dachami garaży i willi. Nieco dalej drzewa były wyższe. Coś ją ukłuło w dłoń, komar. Zostawiła go w spokoju.

Wpatrywała się w mrok, który gęstniał w oddali.

Helene przystanęła dopiero, gdy doszła do płotku wokół starego stawu. W parku koło budynków uniwersytetu ludowego było zupełnie pusto, to zapewne głupi pomysł, by tam iść, ale nie nadkładała zbyt wiele drogi, i skoro już dostała te kwiaty...

Nic nie błyskało w lustrze wody. Kilka wielkich klonów zasłaniało światło z pobliskich dróg. Nie dało się dostrzec, gdzie kończą się dzika trawa i kamienie, a gdzie zaczyna woda. Pamiętała, jak stawek był zabagniony, może zdążył już całkiem zarosnąć.

Odwinęła papier i wyjęła kwiaty, piękne orchidee, które Barbro wyhodowała z prowansalskich nasion.

Nie było to wcale proste, jak się dowiedziała, chodziło o to, aby do mieszanki, w której kiełek ma rosnąć, dodać właściwą ilość brukwi lub ziemniaka.

Helene nie powiedziała, co chce zrobić z kwiatami. Ta myśl przyszła jej do głowy dopiero, gdy stała pod wejściem na klatkę Barbro. Potrzeba zatrzymania się i dokończenia czegoś, zanim wróci kolejką do domu i weźmie się za własne życie. Wieczór był cichy i łagodny, pełen tych wszystkich aromatów lata, których dotąd właściwie nie czuła.

To nie przypadkiem ludzie celebrowali pogrzeby i wynaleźli ceremonie. Człowiek czegoś takiego potrzebuje, jakiegoś symbolicznego zakończenia.

Dlatego wyciągała z bukietu jeden strzelisty biały kwiat za drugim i rzucała je na stawek. Idąc tutaj, szukała odpowiednich słów, ostatniego pożegnania z matką, której przecież nigdy nie miała, ale chyba obejdzie się bez wielkich słów. Wystarczy gest.

Kiedy tam stała, pojawił się księżyc, zamienił wodę w srebrne migotanie. Helene widziała, jak kwiat za kwiatem spada, wywołując słabe kręgi na wodzie. Usłyszała wołanie kukułki, tuż nad sobą.

Potem dobiegł ją odgłos kroków. Stuk szybkich stóp o asfalt, ktoś był tuż za nią. Prąd przez ciało, szarpnięcie strachu. Odwróciła się i ujrzała zbliżającego się mężczyznę, jednym zwinnym ruchem znalazł się bliżej niż metr od niej. Nie rozróżniała rysów jego twarzy, było za ciemno, ale w świetle księżycyca świeciła łysa czaszka. Było też coś w kształcie jego głowy, albo po prostu wiedziała.

Helene cofnęła się do płotka.

– Ja poszłam przodem – powiedziała. – Pozostali zaraz tu dojdą.

Błysnęły zęby i wydało jej się, że widzi go teraz wyraźnie, tę twarz, którą oglądała tyle razy na marnym, małym zdjęciu, to spojrzenie, to był on.

– Nie sądzę – powiedział. – Myślę, że jesteś sama, Helene Bergman, i już najwyższy na to czas. Już mnie zaczęło męczyć to łożenie za tobą, zresztą za całą rodziną. Co za uparte mendy.

Helene nie mogła cofać się dalej, sztachety płotka wcisnęły jej się w uda. Poczła ciepło jego oddechu, gdy objął jej szyję ramieniem. Ścisnął ją. Helene krzyczała, lecz bezgłośnie. Za mocno przycisnął jej gardło. Prężyła ciało, próbowała kopać go po nogach, słyszała tylko wyrywkowe słowa z tego, co syczał gdzieś nad nią.

Wsadzać nos twoja siostra przestań, kurwa mordę w kubek, szurnięta...

Tu nie ma nikogo, myślała, nie chcę umrzeć. Udało jej się chyba trafić go kopniakiem, bo zwolnił chwyt, rzuciła się do przodu, żeby biec, ale dostała pchnięcie w plecy, upadła na trawę, w pokrzywy parzące jej dłonie i twarz. Macała w trawie, szukając jakiegoś kamienia albo byle czego. Chwycił ją za ubranie na karku, postawił na nogi i teraz miała jego twarz tuż obok swojej, widziała go wyraźnie, coś w jego oczach, czego nie rozumiała. Gniew, ale także coś pustego, jakby obojętność. Nie mogła krzyczeć. To by nie pomogło. Właśnie to widziała Charlie w swoich ostatnich sekundach na balkonie, i w tym momencie stały się jedną osobą, czuła strach Charlie i wiedziała, że po tym nie ma już nic. Nie krzyknęła nawet wtedy, gdy rzucił ją na płotek i ostre drewniane sztachety ubodły ją w plecy. Płaszcz się zahaczył i rozerwał, a Helene spadła na kamienie na brzegu i usłyszała walnięcie własną czaszką. I już był nad nią, widziała księżyc za jego głową i poczuła, jak łapie jej chustkę na szyi i zaciska, wetknęła tam jedną dłoń i ciągnęła ze wszystkich sił, dzieci, w tej chwili były tylko dzieci, musi dla nich przeżyć.

Zamknij się mówię cię wyjebię jak aj, kurwa...

Powietrze znikło i poczuła, jak zanurza się w wodzie, poczuła błoto w ustach i jego dłonie na twarzy, cisnęły w dół, choć gryzła i kopała, pogrążyła się w szlamie, tonęła w jamie bez dna.

Mogła oddychać. To jedyne, co wiedziała, wznosząc się ku powierzchni, że tam jest powietrze. Później usłyszała, jak ptaki drą się jak opętane.

Helene otworzyła oczy.

Zobaczyła pomalowany na czerwono słup i kawałek jakiegoś dachu. Potem niebo, które było za jasne, żeby zobaczyć jakiegokolwiek gwiazdy. Coś twardego pod nią, podłoga. Gdy przekręciła trochę głowę, poczuła, jak ją boli. Były tam dwa schodki prowadzące na dół, na podwórze. Ręka zdrętwiała jej pod głową. Przez krótką chwilę leżała bez ruchu i patrzyła na jakąś trawę przyklejoną do przegubu. To wszystko prawda. Leżała przedtem w stawie, wciskana pod wodę, tak że straciła oddech, pamiętała szlam, w którym się pogrążyła, i moment, kiedy już zabrakło tlenu, a potem głowa jej eksplodowała, brzmiało to jak wybuch bomby, a potem już nic.

Helene przekręciła głowę trochę bardziej. Rozpoznała jasny, podobny do dworu budynek kawałek dalej. Tuż przy niej była tablica o wystawie plastycznej studentów drugiego roku, wernisaż miał być w niedzielę. Znajdowała się na terenie uniwersytetu ludowego, na ganku jednej z oficyn.

Nie poruszając zbyt gwałtownie głową, udało jej się usiąść. Bolały i piekły ją plecy, ręka zdawała się zwichnięta i obie dłonie miała poranione. Spróbowała zlokalizować ból. To była szyja, czoło, dotknęła ostrożnie palcami, jest skaleczenie, ale krew już skrzepła. Głowę miała czymś przewiazaną. Swoją chustką. Obmacała ostrożnie potylicę i zobaczyła krew na dłoni. Rana lepiała się, ale chyba nie krwawiła. Materiał chyba zatamował upływ krwi. Spróbowała przypomnieć sobie, jakim sposobem wydostała się ze stawu i obwiązała głowę, a potem pomaszerowała na szczyt wzgórza, żeby położyć się tutaj i przespać, ale nic nie znalazła, żadnych wspomnień. Ostatni był staw. Potem nic, aż obudziła się na ganku.

Ubranie było ciągle mokre. Nie miała pojęcia, jak długo mogła tu leżeć. Rozjaśniało się szybko i ptaki już się obudziły, ale sądząc po ciszy i po niskim słońcu, musiała jeszcze być noc. Mogła minąć najwyżej godzina, może dwie.

Helene obmacała kieszenie, szukając komórki. Nie było jej, musiała zgubić ją, kiedy walczyła o życie. Rozejrzała się i oto była tam przynajmniej jej torebka, oparta porządnie o ścianę, pod drewnianą ławą.

Była całkiem sucha. Komórki w środku też nie znalazła, ale poza tym było

wszystko. Nie napadł na nią żaden drobny złodziej, karty kredytowe i pieniądze leżały w portfelu i to sprawiło, że strach powrócił z całą mocą, świadomość, że chodziło mu o nią i o nic innego.

Helene przytrzymała się słupa i wstała. Nasłuchiwała, panowała cisza. Powoli zaczęła schodzić w stronę bramy wyjazdowej. Nie ma tam już mężczyzny, który na nią napadł, uspokajała swoje dygoczące serce. W przeciwnym razie poszedłby za nią i dokończył robotę. Nie chciała znowu zbliżyć się do stawu, ale jeśli znajdzie komórkę, to będzie mogła zadzwonić po taksówkę i wynieść się stąd.

Powinna teraz pojechać do szpitala, powiadomić policję, to jedyne wyjście.

Mężczyzna nazywany J.R. wiedział, kim ona jest, wiedział o jej rodzinie, i miała ponieść karę za wtykanie nosa w cudze sprawy. Tyle zrozumiała z tego, co mówił. Była w tym pewna logika, którą zakłócał tylko fakt, że ciągle żyła.

Trawnik był usiany białymi stokrotkami. Kiedy skręciła między drzewa, zieleń stała się tak intensywna, że aż bolały oczy, niemal uduchowiona obecność. Nad stawem pochylała się wierzba, poranne słońce wpadało skośnie między liście, igrając światłem na wodzie. Zobaczyła jedną ze swoich orchidei, leżącą nieruchomo wśród pyłku kwiatowego i rzęsy, ważkę podrygującą nad powierzchnią.

Tuż nad brzegiem, między kamieniami, gdzie przedtem upadła, błysnęło coś metalowego. Helene rozejrzała się na wszystkie strony. Wyżej na zboczu przycupnął zajac. Poczucie zagrożenia istniało tylko w jej głowie. Przekroczyła płotek i kiedy się pochyliła, poczuła w nozdrzach mdlący zapach stęchłej wody, przełknęła ślinę. Rzeczywiście leżał tam jej telefon, nawet się nie zamoczył. Gdy go podniosła, jej spojrzenie padło na ciemną plamę na jednym z kamieni. To mogła być jej własna krew. Helene wyprostowała się trochę za szybko i musiała stać pochylona przez kilka sekund, by opanować zawrót głowy. Kilka orchidei odpłynęło dalej od brzegu i pomyślała, że to dziwne, w takiej stojącej wodzie, jedna z nich nawet uniosła się trochę i wydawało się, że stoi w wodzie, prawie ukryta za listowiem wierzby.

Potem spostrzegła, że kwiat wcale nie ma kształtu orchidei, tylko coś świeci tak samo biało. Podeszła tam powoli, aż kontury stały się wyraźne.

To była ręka. Ludzka ręka wystająca z wody. Wrażenie, że coś się wokół niej kłębiło, że sam staw ożył. Słońce przebiło się przez korony drzew i wtedy zrozumiała, że tak naprawdę jest, są tam tysiące małych larw komarów, które się właśnie wylęgały, i teraz w słońcu zobaczyła także to, co leżało pod powierzchnią, ciemna marynarka unosiła się w wodzie wokół ciała jak skrzydła. Twarz

mężczyzny nabrała żółtawego odcienia, a oczy były o wiele większe niż wtedy, gdy żył, otworzył usta, gdy umierał. Wyglądał na zdumionego. Zdawało się, jakby mu brakowało kawałka głowy, że pływa we krwi. Poczowała mocny skurcz żołądka. Wszystko to stęchłe, obrzydliwe, wezbrało w niej, była pełna tej wstrętnej wody, tych larw i tej krwi. Zrobiła coś, co go zabiło, lecz nie wiedziała co. To przeraziło ją jeszcze bardziej, że pamiętała wszystko do tej chwili, a potem już nic.

Potykając się, ruszyła z powrotem przez pokrzywy i patyki, byle prędzej, musiała wesprzeć się rękami o ziemię, żeby nie upaść wśród kęp trawy i gałęzi. Znów przeszła przez płotek, poprawiła na sobie ubranie. Potem poszła najszybciej jak mogła, nie przystając ani na moment i nie oglądając się za siebie.

Nowe spodnie były troszeczkę za szerokie w pasie. Rycerz je podtrzymywał jedną ręką, gdy wychodzili ze szpitala, jakby się bał, że je zgubi.

Personel pomógł mu się ogolić, a Helene zapłaciła za fryzjera. Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek widziała go tak schludnego.

Rycerz schylił się, zanim wszedł do samochodu, i otrzepał dłonią siedzenie. Helene zastanawiała się, czy boi się pobrudzić sobie spodnie, czy fotel. Siadła bez słowa za kierownicą, pojechali w stronę drogi E4. Rycerz gładził się ciągle po podbródku, jakby nie mógł nadziwić się, że jest taki gładki.

– To już niedługo kajtki będą miały wakacje – rzucił.

– Tak, ale koniec roku szkolnego już był – powiedziała Helene.

Patrzyła na drogę. Nie przywykła siedzieć z nim w jednym samochodzie, może to w ogóle był pierwszy raz. Na wysokości Rinkeby ruch się zmniejszył. Po stronie Rycerza rozciągał się rezerwat Järvafältet.

– Znaczy, że teraz on wacha kwiatki od spodu, ten bandzior.

– Można tak powiedzieć – przytaknęła Helene.

– Jak by się mnie ktoś zapytał, to dobrze mu tak, skurwielowi. – Rycerz przystawił sobie palec do głowy i wydał dźwięk naśladujący wystrzał. – Powiem więcej. Jeszcze by wypadało podziękować temu, co to zrobił.

Helene skręciła z E18 i pozwoliła GPS-owi zdecydować, którędy będzie najbliżej na cmentarz Görvälns Griftegård. Ciągle miała sińce na rękach, widziała je, kiedy dłonie leżały na kierownicy.

Rycerz zagłębił się w lekturze gazety „Metro”, którą dostał w szpitalu. Kiedy zbliżali się do uniwersytetu ludowego, zwolniła trochę, widziała budynki wznoszące się na wzgórzu, gdy je mijali. Ścisnęła mocniej kierownicę i oddychała spokojnie, żeby nie zacząć znów się trząść, tak jak przez pierwsze dni potem.

Myślała, że zabiła człowieka.

Tamtej nocy dotarła na stację kolejki i dopiero tam odważyła się przystanąć, żeby zadzwonić. Przechodziło koło niej trochę ludzi, jedni późno wracali z imprez, inni wcześniej jechali do pracy. Oparła się o budkę, w której siedział kontroler biletów, i przetrząsnęła portfel w poszukiwaniu wizytówki.

Aurek Krawczyk odebrał, chociaż był środek nocy. Helene słyszała po jego

głosie, że go obudziła.

Przyjechał po nią z koleżanką i zawieźli ją do szpitala. Najwyraźniej inne patrole miały się zająć tym, co było do zrobienia koło stawu. Lekarz nie stwierdził u niej poważniejszych urazów, poza tym, co było widać gołym okiem. Trochę plastrowych opatrunków wystarczyło, bandaże wokół przegubu.

Pobrali także próbki spod jej paznokci, zbadali dłonie.

Dzień później poddano ją formalnemu przesłuchaniu.

Trup w stawie został zidentyfikowany jako Jan Rune Norlander. Jego ciało istotnie nosiło ślady bójki, między innymi zadrapania na twarzy i na ramionach. Technicy wypompowali wodę ze stawu, ale broni, którą zadano śmierć, nie znaleziono.

– Jakiej broni? Nie było przecież żadnej broni.

Helene myślała o kamieniach i butelkach, czymś, czym musiała uderzyć go w głowę, i zapomnieć. Zamykała oczy i próbowała odtworzyć wszystko w pamięci, naprawdę mocno próbowała.

– Według wstępnej analizy Norlander został zastrzelony prawdopodobnie z pistoletu Bajkał, rosyjskiej produkcji, który się zwykle rozwierca, żeby móc strzelać z niego nabojami dziewięć milimetrów. Dość często takie widzujemy, czeska amunicja.

Nie zrozumiała.

– Co to niby znaczy? On nie mógł zostać zastrzelony. Przecież mówię, że to było w samoobronie. Zaatakował mnie, biliśmy się, próbował mnie utopić. Więcej nie pamiętam.

Dowody techniczne potwierdzały poza tym jej wersję, jak dalece sięgała pamięcią. Ślady bójki, resztki jego skóry za jej paznokciami, ale żadnych oznak, by miała użyć broni palnej.

– I rzeczywiście nie widziała pani nikogo innego w parku lub w drodze do parku?

– Nie – powiedziała Helene. Naprawdę o tym myślała, odtwarzała sobie tę drogę raz po raz. – Nikogo podejrzanego.

Z miejsca, w którym wysiedli z samochodu, widziała krzyże i kwiaty między drzewami, rozsiane po lesie groby. Rycerz stękał, idąc po schodach. Łąka pamięci znajdowała się na szczycie góry. Były tam trawniki, stojaki na kwiaty, nieczynna fontanna.

Rozejrzył się dokoła, stał niezdecydowany z kwiatami w ręce.

– To gdzie ją znaczy położyli?

– Tego nie wiemy – powiedziała Helene. – Rozsypują popioły wśród popiołów innych, tak to jest.

Wskazała na stojak z małymi wazami z plastiku, gdzie można było wstawić swoje kwiaty. Rycerzowi nie bardzo szło ustawianie przyniesionego bukietu, był trochę za duży. Helene powstrzymała jednak odruch, by podejść i mu pomóc. Zastanawiała się, jak wygląda jego ból, ale nie mogła spytać.

Patrzyła na leżące w dole łąki i lasy, na kaplicę, gdzie odbył się pogrzeb.

W pewnym sensie to dobrze, że ciała Charlie już nie było. Oznaczało to, że nikt nie mógł wyciągnąć go z jakiejś szafy i zacząć kroić ją od nowa, na to było za późno, niech spoczywa w pokoju.

Dochodzenie zostało wznowione. Nie można było zignorować związku z napadem na Helene. DNA Norlandera znaleziono w ciele Charlie.

Helene nie chciała myśleć o niej razem z tym mężczyzną. Pamiętała jego spojrzenie tam, przy stawie, ręce, które wpychały ją pod wodę. To, że Charlie znalazła w nim coś pociągającego, było dla niej zupełnie niepojęte.

– W jego kieszeniach była niewielka ilość kokainy – powiedział jej Krawczyk. – Może to on nią poczęstował pani siostrę.

Jeżeli Charlie rzeczywiście została zamordowana, to motyw pozostawał tajemnicą, może narkotyki, a może coś innego, co miało związek z działalnością Norlandera, a może tylko padła ofiarą bezrozumnej agresji.

I potem Rycerz, a później Helene zaczęli węszyć i stawiać pytania tam, gdzie przestępczość zorganizowana ich nie chciała.

Może to było takie proste.

Badanie interesów Norlandera potrwa prawdopodobnie długo. Odkryto powiązania i transakcje prowadzące tu i tam za granicę, daleko poza zasięgiem urzędu skarbowego.

Policja pracowała, wychodząc z założenia, że zabójstwo Norlandera nie miało nic wspólnego z tamtym. Strzał, który go zabił, odległość, z jakiej go oddano, i precyzja wskazywały na zawodowego strzelca.

– Wygląda na to, że trafiła pani w sam środek jakichś porachunków grup przestępczych – powiedział Krawczyk. – No, chyba że to pani anioł stróż.

Bukiet tkwił w wazie krzywo. Rycerz idąc po trawie, stawiał stopy ostrożnie,

jakby nie chciał zakłócać spokoju.

– No tak – bąknął i stał chwilę w milczeniu, jakby poddając się tej ciszy lub smutkowi, albo dlatego, że nie wiedział, co powiedzieć. – To ładnie z twojej strony, że mnie tu przywiozłaś.

– Możesz już zacząć schodzić – powiedziała mu Helene. – Ja zaraz przyjdę.

Przeszła powoli w przeciwny róg łąki pamięci, gdzie drzewa ocieniały trawnik. Według tabliczek to właśnie tam zakopywano popioły zmarłych, dlatego apelowano o poszanowanie tego miejsca. Nie wolno było umieszczać tu własnych nagrobków, lampionów czy fotografii, zostawiać żywych ani sztucznych kwiatów.

Helene przysiadła na niskim murku okalającym łąkę, położyła dłoń na trawie.

Brak mi cię, pomyślała, chcę, żebyś tu była.

Usiłowała wyczuć coś większego, jakąś obecność, jakiś odzew, ale były tam głównie zapachy iglastego lasu i trawy, powiew letniego wiatru.

Zaczekała, aż dwie starsze panie zakończą swoje medytacje i odejdą stamtąd wolnym krokiem, potem schyliła się i wykopała kępę trawy. Ziemia była wilgotna, powstała całkiem spora jamka. Po raz ostatni dotknęła bransoletki. Wytarta skóra, srebrna nitka. Potem włożyła ją do dołka i przykryła ziemią i trawą.

Powiedziała cicho „do widzenia”.

– Tu możesz mnie wysadzić. Będzie dobrze.

Rycerz pokazał jej, gdzie ma się zatrzymać, przy parku za centrum Jakobsberga. Był jakiś zapach w jego ruchach, jakby tęsknił za powrotem do domu.

– Poradzisz sobie teraz? – spytała Helene.

– Bez problemu.

Dała mu torbę, do której włożyła trochę dodatkowych ciuchów. Rycerz zajrzał do środka.

– Ty, a to niezły staf. – Wyciągnął szalik z kaszmiru i zarzucił go sobie na ramiona. Helene zwinęła go z garderoby Jockego, prezent gwiazdkowy sprzed lat, nie widziała nigdy, żeby go nosił.

Myśl, że powinna pośpieszyć się do domu. Mieli spakować się przed jutrzejszym wyjazdem na wieś. Czas dla rodziny, czas na rozmowy, czas na sprawdzenie, jakie tajemnice są w stanie zaakceptować i jaka miłość jeszcze pozostała.

Gdy policjanci wyszli już z mieszkania, Jocke, trzymając ją za posiniaczoną rękę, powiedział jej, że bardzo się przestraszył, że mógłby ją stracić.

Powiedział także, że to tak, jakby poznawał ją na nowo. Że myślał o tym w swojej samotności w domku, że to właściwie niezwykła historia.

A ty? Ty sama czego chcesz?

To był głos Charlie, a jednak jakby nie, bardziej jak myśl.

– No tak – powiedział Rycerz i zarzucił sobie torbę na ramię. – To się widzimy, jak się zobaczymy.

Za jego plecami widziała z dala wieżowce przy Frihetsvägen, rodzinny dom, z którego nie miała żadnych wspomnień. Tylko wrażenie, że jest mała, a to jest jej tata.

Naprawdę wyglądał inaczej. Rzuciło się to w oczy zwłaszcza tu, w jego naturalnym otoczeniu, czyste ubranie, włosy przeredzone, ale porządnie ostrzyżone, z wyjątkiem łysej plamy wokół rany. W szpitalu przybrał trochę na wadze, nie był już taki wychudzony. W samochodzie poczuła, że pachnie mydłem.

– Mógłbyś wpaść do nas, do domu – powiedziała. – I zjeść obiad.

Rycerz się rozpromienił. Zęby miał rzeczywiście w marnym stanie, powinna dopilnować, żeby trafił do dentysty.

– No, to by było fajnie – odparł. – Człowiek by spotkał kajtki przy okazji.

Helene spojrzała w stronę ławek, gdzie siedziało paru, sądząc na oko, z jego towarzystwa, kilku rozczochrańców posyłających między sobą puszkę piwa.

– Może teraz od razu – zaproponowała. – Możesz jechać ze mną do miasta.

Rycerz rozejrzał się trochę niespokojnie. Potarł dłonią brodę.

– Aj, wiesz, to będzie raczej trudne. Akurat dziś. Mam trochę spraw do załatwienia.

– Okej.

– Ale byłoby fajnie innym razem – powiedział.

Helene przeszła dokoła wozu i otworzyła bagażnik, wyjęła stamtąd gitarę. Prawie nową. Było jej jednak trochę wstyd, kiedy mu ją wręczała.

– To chyba nie jest najlepsza gitara – zauważyła.

– To dla mnie? Kurde mol.

– Malte ją dostał, jak zaczął chodzić na lekcje gitary. Prawie nieużywana. Jego szczególnie to nie interesowało, bo to chyba był bardziej mój pomysł.

Patrzyła, z jakim dziecięcym zachwytem szarpie struny.

– Jest też stroik – dodała i włożyła mu go do ręki.

Rycerz zmarszczył czoło, przyglądając się temu urządzonek, pewnie nigdy takiego nie widział.

– Neeee, taki raczej niepotrzebny. Jeszcze człowiek potrafi sobie nastroić wioso.

Pomachał gitarą do kumpli, idąc w stronę ławek.

Helene siedziała jeszcze chwilę w samochodzie, widziała, jak usiadł, patrzyła na wędrującą ku niemu puszkę z piwem. Opuściła szybę i usłyszała z daleka, jak zaczął grać.

Have you seen the old man in the closed-down market...

Znała ten tekst, jeszcze nim zrozumiała słowa, kiedy były tylko dźwiękami. *So let me tejk jo baj de hend...*

On tego nie widzi, pomyślała, że stał się jednym z tych, o których mówi ta piosenka, tych żałosnych, z marginesu, w zniszczonych butach, ze swoim domem w paru reklamówkach, on może nawet nie rozumie, że to o nim.

So let me take you by the hand and lead you through the streets of London...

Myśl, że może powinna jednak zostawić mu trochę pieniędzy albo kupić mu coś do jedzenia, nim pojedzie z powrotem do miasta. Wyjęła portfel i znowu zatrzymała się przy tej pustej przegródce.

Zdjęcie, które zniknęło. Fotografia jej i Charlie, ręka w rękę przy płonącym stosie w Walpurgię.

Helene była zupełnie pewna, że miała ją w domu u Barbro tamtego wieczoru, pokazywała jej.

Gdy kilka godzin później ocknęła się na schodach oficyny uniwersytetu ludowego, zdjęcia już nie było. Sprawdziła zawartość portfela, pieniądze i karty, i oczywiście wtedy o tym nie myślała, dopiero później, że zniknęło.

Przy okazji któregoś z przesłuchań spytała Krawczyka, czy przypadkiem nie znaleźli zdjęcia przy stawie, powiedziała, że bardzo jej na nim zależy. Rozpytał o to. Technicy przebadali dokładnie każdy milimetr roślinności i szlamu, gdy szukali broni, ale żadnego zdjęcia dwóch dziewczynek nie znaleźli.

I pomyślała o ludziach, których widziała tamtej nocy, idąc w stronę uniwersytetu ludowego, o tym nie powiedziała policji. Kiedy wchodziła do tunelu pod trasą Viksjöleden, obejrzała się, zdawało jej się, że widzi kogoś nieco dalej, przy parkingu. Gdy reflektory jakiegoś samochodu omiotły teren, uspokoiła się. To

była tylko jakaś drobna starsza pani w szarym płaszczu.

Helene podniosła szybę i już nie słyszała piosenki. Przekręciła kluczyk i odjechała stamtąd.

Lena Morberg zawahała się na progu pokoiku syna.

Nie była pewna, czy jej obecność nie pozostawi jakichś śladów. Nigdy by jej nie wybaczył, gdyby wiedział.

Jestem jego matką, pomyślała, przysługują mi pewne prawa.

Mimo to czuła się jak przestępca, gdy usiadła przy jego biurku, prawie jakby powinna mieć na sobie rękawiczki ze względu na odciski palców.

Niewiele brakowało, a syn by się spóźnił pierwszego dnia do wakacyjnej pracy, popędził na złamanie karku i wyjątkowo zapomniał wyłączyć swój komputer.

Nie była pewna, czy w ogóle spał.

Ekran zapalił się, gdy tylko dotknęła klawiatury, mnóstwo plików i ikon, Lena próbowała zorientować się w nich, powtarzając sobie w głowie argumenty. Matki robiły takie rzeczy jak świat światem. Nie jest to nielegalne, dopóki dzieci nie są pełnoletnie, tylko trochę bardziej skomplikowane niż tamte małe zamki przy pamiętniku, które jej własna mama, jak podejrzewała, umiała kiedyś dyskretnie otwierać.

Każdy ma prawo do prywatnego życia. Chciała mieć tylko jakieś pojęcie o tym, co syn robi nocami, kiedy nie śpi.

Siedziała dłuższą chwilę w rozterce, nie miała odwagi w nic kliknąć. To było zbyt nieprzejrzyste. Kiedyś przynajmniej można było wyczuć, czy od dzieciaków jedzie piwem lub gandzią, jak wracały do domu, ich tajemnice miały jakiś zapach.

Lena spróbowała pomyśleć logicznie, potraktować to jako komputer, nieważne czyj. Weszła na ikonkę u samej góry, otworzyła menu i wybrała „Ostatnio otwierane”. Najwyraźniej surfował po sieci. Lekka ulga, że to coś prostego, co rozpoznawała. Otworzyła jego przeglądarkę i weszła w „Historię”, gdzie miała całą historię jego aktywności na przejrzystej liście.

Poczuła, jak oblewa się rumieńcem.

Romans.se.

To nie było coś, co matka powinna wiedzieć o swoim nastoletnim synu. Jednak weszła na stronę, dokładnie na tę, gdzie był ostatnio.

Nie zrozumiała najpierw tego, co ujrzała.

Witaj, Dwudziestosiedmiolatku, przeczytała.

Kliknęła w „Twój profil”.

Tam też Dwudziestosiedmiolatek. Stopniowo do niej dotarło. W ten sposób się nazywał. Nie miał żadnego własnego zdjęcia, tylko ten anonimowy nick. Prezentacja taka jak wiele innych. Sama kiedyś próbowała randkować, zaraz po rozwodzie, ale już miała tego dosyć. Ta gra nie była tego warta. To wystawianie się tam w sieci na lustracje i oceny, jakby z powrotem była na szkolnym dziedzińcu, tylko że tym razem przez okrągłą dobę.

Tekst syna wyglądał jak plagiat wszystkich innych, które czytała.

Pisał, że sporo trenuje, lubi przyrodę, szuka dojrzałej kobiety.

Lena znów się zaczerwieniła.

A jej zaczęło się już zdawać, że go te sprawy nie interesują, bo przecież prawie nie wychodził z domu, nie sprowadzał do siebie żadnych dziewczyn ani chłopców. Z listy korespondencji wynikało, że miał kontakt z kilkoma kobietami. Otworzyła i zobaczyła jedną z nich, sensacyjnie piękną dwudziestopięciolatkę. Z zażenowaniem przeczuciła listy. Dwudziestosiedmiolatek wymyślał wymówki, kiedy dziewczyna chciała się z nim spotkać, akurat dokądś wyjeżdżał, a to to, a to tamto.

Było coś niewinnego w jego sposobie pisania. Jakby próbował sformułowań. Pożyczył słowa tej kobiety i sam używał ich w następnym liście.

Lena posłyszała ciche psie kroki i wzięła suczkę na ręce. Pogładziła Happy po grzbiecie, przyglądając się profilowi, który był jej synem.

Bawi się w dorosłego, pomyślała. O to chodzi.

Już miała wyłączyć, gdy zawadziła wzrokiem o zdjęcie jednej z kobiet. Billie Jean.

To niemożliwe.

Lena drżała z obawy przed tym, co zobaczy, wklikując się w tę konwersację. Zauważyła daty. To jakiś absurd. Wiedziała, że ta kobieta nie żyje, jeśli to nie był ktoś podobny do niej kubek w kubek. A mimo to rozmowa trwała dalej.

Wyimki z ostatnich listów:

„Cześć, Billie Jean, jeszcze nigdy nie pisałem do kogoś, kto nie żyje. Jak tam jest?”

„Jesteś materią czy antymaterią?”

„Nie sędę, że ciągle tu jesteś, bo nie odpowiadasz. Weszłaś w jakiś nowy wymiar, a tam pewnie nie ma połączenia z internetem. Szkoda, bo ja naprawdę mam całe mnóstwo pytań”.

„Okej, nie żyj sobie, do widzenia”.

Lena zamknęła program. Spróbowała ustawić krzesło tak, jak stało przedtem, i wyszła z pokoju.

Czuła się lekko wstrząśnięta. Ktoś sobie z niego żartował. Zirykowało ją to, jednak była trochę spokojniejsza niż przedtem.

On ciągle jeszcze wierzył w duchy.

Ziggy Stardust przekrzywił zdziwiony łebek, kiedy został wyniesiony na balkon.

Serce krajało się na ten widok. Uffe rzadko odważał się zostawiać tam otwarte drzwi, mimo że balkon był oszklony. Ziggy miał mocny dziób i był chytrym ptakiem. Niewykluczone, że potrafiłby rozepchać szparę między szybami, dość dużą, aby papuga mogła się przecisnąć.

Dlatego rzadko miał okazję poczuć wiatr, tak jak teraz, gdy wszystkie szyby były rozsunięte.

Zatrzepotał i przysiadł na poręczy. Uffe wrócił do mieszkania, żeby przynieść Ebbę Grön.

Było już posprzątane. Wszystko, co było osobiste, wszystkie zdjęcia, notatki i stare mikstejpy, nawet książki, które coś znaczyły, powyrzucał. Mogli go zabrać w każdej chwili, proszę bardzo. Jego przestępstwo miało zostać zakwalifikowane jako paserstwo i podżeganie do ciężkiej kradzieży, powiedzieli. Przystępstwo będzie traktowane jako szczególnie ciężkie, wyrządził bowiem krzywdę innej osobie oraz dlatego, że lekarstwa były droższe, niż się komukolwiek śniło. Uffe Rainer wiedział, co zrobił i dlaczego. Przyznał się do wszystkiego i poniesie karę, ale nikt, kto nie kochał, nie będzie tu łąził i szperał w jego życiu, i osądzał.

Sum quod sum, pomyślał.

Jestem tym, czym jestem.

Ebba Grön schowała się w łazience. Ta nimfa zawsze miała taką wrażliwą duszę, denerwowała się o byle co. Uffe wyciągnął rękę i ptak wylądował lojalnie na jego palcu.

Gdyby zaczęła teraz prezentować swój punkowy repertuar i choć raz zawołała „zamarzniemy na śmierć”, nie miałyby siły zrobić tego, co zamierzał.

Ziggy Stardust siedział wciąż na poręczy, kiedy Uffe wyszedł, pewnie się zastanawiał, co to za wymysły.

Ground control to Major Tom. Ground control, ground control.

Chyba oba ptaki czuły, że wszystko ma się zmienić.

Uffe przemyślał różne możliwości. Oddać je do sklepu zoologicznego, wystawić na aukcję w Blocket^[39].

Jako towar handlowy.

Może zadziobią je drapieżne ptaki. Może polecą w złym kierunku i zamarzną, gdy przyjdzie zima. Może nie wiedzą nawet, jak ptak znajduje sobie pożywienie, jeśli nie poda się im go w miseczkach.

Nie było gwarancji, że przeżyją noc, jednak to zrobił, mimo wszystko.

Wyciągnął rękę, potrząsnął nią. Ebba Grön zatrzepotała i wzbiła się w powietrze, podfrunęła trochę zrywami, to tu, to tam, a potem nabrała pędu.

Uffe wziął Ziggy Stardusta w obie dłonie, szybko, żeby się nie rozmyślić. Wysunął ręce za balkon i puścił.

Wyglądało to tak, jakby ptak ślizgał się na wietrze. Ebba Grön zanurkowała pionowo w dół, w kierunku drzewa, a potem znowu wzbiła się do góry.

Stał i patrzył, dopóki nie znikły.

Przynajmniej raz w życiu zobaczą, że niebo to nie sufit.

Chata stała na leśnej polanie. Od szosy nie było jej widać, dochodziła tam tylko wąska leśna dróżka. Gdy pierwszy raz tam przyjechała, trawa sięgała aż po parapety, ale już ścięła ją, najpierw kosą, a potem kosiarką.

W kuchni koza na drewno była jedynym źródłem ciepła, w komorze kominek. Prawie wszystko, czego potrzebowała, znalazła w domu, gdy się wprowadziła. Szklanki marki Durablex, cerata na małym stoliku. Meble wyglądające, jakby stały tam od czasu, gdy wyniósł się stamtąd ostatni zagrodnik.

Znalazła chatę przez niepozorne ogłoszenie w sieci. Chłop, właściciel ziemi, nawet wolał załatwić sprawę bez umowy i rachunków. Jak długo będzie płacić gotówką i z góry, i udostępnić mu chatę w sezonie polowań na łosie, może tam sobie mieszkać, ile zechce.

Rozpalenie ognia w piecyku pierwszego wieczoru zajęło jej trochę czasu, drewno było lekko zawilgocone, ale pamiętała, jak to się robiło, najpierw nastrugała szczapek, znalazła parę starych gazet, które podarła i pogmiotła w kulki. Gdy ogień już się rozhajcował, włożyła do niego paszport Claudii Viehhauser i patrzyła, jak kurczy się i skręca w nieforemną grudkę.

Claudii już nie było.

Faktem jest, że zmarła w Monachium już w 1977 roku.

Nazwisko znajdowało się na niemieckiej stronie internetowej poświęconej genealogii. Prawdziwa Claudia urodziła się w 1922 roku, a nie w 1952, jak było napisane w zwęglonym już paszporcie, natomiast dzień i miesiąc się zgadzały. Ktoś najwyraźniej kradł tożsamości zmarłych, żeby zamieniać je na całkiem inne, żywe osoby, przypuszczalnie z pomocą prostego fałszerstwa, które było skuteczne w latach siedemdziesiątych.

Wysłała ostatnią wiadomość do swego syna. David miał odpowiedzieć prawnikom z Buenos Aires, że ta Claudia Viehhauser, której poszukują, nie żyje od trzydziestu siedmiu lat, a więc nie będzie mogła świadczyć w żadnym procesie.

Ramón niech gnije w więzieniu.

Był wczesny ranek i już tak przedziwnie jasno. Cienka zasłona mgły unosiła się nad pochyłą ku jezioru łąką. Któregoś dnia na skraju lasu stały dwie sarny.

Na śniadanie zjadła chorizo i jajecznicę.

Z wolna przyzwyczajała się do tego, aby znowu myśleć o sobie jako o Ing-

Marie. To jakby coś zmieniało w jej osobowości, dawało jej pewną lekkość. Na dobrą sprawę Ing-Marie przestała istnieć w wieku lat dwudziestu siedmiu, nie osiągnęła nigdy prawdziwej dorosłości.

Między południową częścią doliny Fryksdalen, gdzie się wychowała, a Övre Fryken, nad którego brzegiem teraz osiadła, ciągnęło się długie jezioro i dziesiątki kilometrów lasów. Nie widywała wielu ludzi. Chłopów, od których kupowała jajka i warzywa, kobietę w kasie sklepu Coop w Lysviku. Raz czy dwa pojechała autobusem do Sunne, by kupić farby i bloki rysunkowe, trochę nowych książek do czytania. Znowu wślizgnęła się w melodię värmlandzkiego dialektu, lecz nie mówiła więcej niż potrzeba. Sahlin to w Värmlandzie dość częste nazwisko. Gdyby ktoś spytał, czy jest spokrewniona z tym czy tamtym, mogła zaprzeczyć i powiedzieć, że jest z wżenionych Sahlinów, pochodzących na przykład z Dalarny. Nie miała żadnego paszportu i żadnej legitymacji, i nigdy więcej w życiu nie będzie musiała iść do banku. Jeżeli zachoruje, to poradzi sobie sama, jak wiele razy przedtem. Jezioro zawsze tam było, jako opcja, połyskiwało wśród brzoź.

Pieniądzy miała dosyć. Pod podłogą, w ścianach.

Powylaływała luźne deski i przybiła je z powrotem, powycinała dziury w grubych warstwach tapet i pozrywała panele, by je potem poskładać z powrotem i zamaskować ślady, wieszając jakiś obraz. Było tego więcej, niż mogłaby wydać przez resztę swojego życia, pieniądze, które wyjęła ze swoich kont w Berlinie i przywiozła tutaj w walizkach, paczki euro i szwedzkich banknotów, kupionych, zanim się pozbyła tożsamości Claudii.

Wartość tej prostej chaty wzrosła przypuszczalnie dziesięciokrotnie.

Ing-Marie dopiła kawę i wstawiła naczynia do miski.

W jedną ze starych ramek, z której wyrzuciła zdjęcie jakichś obcych zmarłych, oprawiła fotografię dziewczynek i powiesiła ją nad kuchennym blatem.

Wyraz oczekiwania w ich twarzyczkach, te białe sandałki, wszystko zastygłe w chwili, kiedy żadne z nich nic nie wiedziało.

To nie była kradzież. To było jej zdjęcie. Tak dobrze je znała, nawet ślad po tym, jak było złożone. To niepojęte, jakim cudem tam trafiło, do przegródki w portfelu Helene.

Kiedy zaniósła Helene na teren uniwersytetu ludowego, wróciła po torebkę porzuconą przy stawie.

To było prawie niemożliwe, nieść na rękach nieprzytomnego człowieka, ale myślała sobie, że przecież niesie dziecko. Ranę na głowie dziewczynki przewięzała

chustką i siedziała tam tak długo, aż była pewna, że krwawienie jest zatamowane i oddech spokojny.

Claudia była wyszkolona w strzelaniu do ruchomych celów w trudnym terenie. Wystarczył tylko jeden strzał. Mężczyzna nie zdążył zauważyć, co się dzieje. Natychmiast była przy nim, zwała go na bok, wyciągnęła dziewczynkę spod wody. Zapadała się w szlamie po kolana, wlokąc ją na brzeg. Chciała ją jak najszybciej stamtąd zabrać.

Jej dawna szkoła leżała w mgiełce nierzeczywistości.

Pogładziła ostrożnie dziewczynkę po policzku i wydało jej się, że widzi w jej twarzy jakiś spokój, pomimo sińców i zadrapań.

Była w niej myśl, żeby pozostać. Czy raczej coś, co nie było myślą, tylko mocniejszą siłą. Uciekła jednak stamtąd. Zeszła ze wzgórza i opuściła park ścieżką za budynkami szkoły. Pojawiłyby się pytania, a nie było na nie prostych odpowiedzi. Następnego dnia wsiadła do pociągu w kierunku zachodnim.

Ing-Marie wzięła pod pachę swoje sztalugi i poszła ścieżką schodzącą do jeziora. Trawa iskrzyła się od rosy, wirowały puszki dmuchawca.

Stała zawsze w tym samym miejscu na brzegu. Zdarzało się, że ktoś przepływał łodzią i patrzył. Zdawała sobie sprawę, że ten obraz mógł się wydawać idylliczny: malarka nad wodą ze swoimi sztalugami pośrodku cudownego lata.

Ing-Marie powoli zarysowała na papierze pierwsze linie. Kontury postaci, która leży skulona. Czy tak leżała? U góry skośny sufit, ciemna postać pochylająca się nad inną, stalowe belki, do których przytwierdzone były łańcuchy.

Wszystko, czego nie mogła wtedy widzieć.

Mijały godziny, wędrowało słońce. Nie patrzyła na gładką jak lustro taflę wody ani na lasy po drugiej stronie. To nie pejzażu szukała, tylko spokoju ducha.

Przestrzeni, która właśnie tam zdawała się nieskończona.

PODZIĘKOWANIA

Część swoich dni poświęcam na wyobrażanie sobie brutalnych zbrodni, nigdy jednak nie potrafiłabym wymyślić tego, co stało się w Argentynie w latach 1976–1982.

Wciąż jeszcze nie jest jasne, ile osób padło w tych latach ofiarą systematycznych „zniknięć” dokonywanych przez juntę prezydenta Jorgego Videli. Udokumentowano około 15000 przypadków, ale organizacje praw człowieka szacują tę liczbę na około 30000.

Moje główne postacie nie istnieją i dla potrzeb tej opowieści zmieniałam parokrotnie czas i miejsce. Poza tym opis tego, co działo się w Argentynie, jest bliski rzeczywistości, z jednym wyjątkiem. Żadnej z osób, które zniknęły, nie udało się przeżyć.

Rokowania pokojowe między rządem Kolumbii a partyzancką organizacją FARC–EP toczą się dalej w chwili, gdy ta książka idzie do druku, jednak grupa rozłamowa, którą opisuję, jest fikcyjna.

W pierwszym rzędzie chcę podziękować kilku osobom, bez których pomocy nie mogłabym przenieść się do Buenos Aires lat siedemdziesiątych.

Norze Schmeichel i Juliowi Fernándezowi Baraibarowi za niemal całodobowe rozmowy, spacery i podróże po Buenos Aires, za wszystkie wasze wspomnienia. Leonorze Camauer, Claudiowi Tamburriniemu i Nicolasowi Iñigo Carrerze za rozmowy między innymi o ucieczce i emigracji, o piłce nożnej i niewoli, Marcellowi Mancilli za wędrówki po San Telmo i La Boca.

Spośród wszystkich książek o tym okresie kilka było ważniejszych od innych, na przykład *Nunca más* – raport komisji prawdy, której przewodniczył pisarz Ernesto Sabato, *Soldiers of Perón* Richarda Gillespiego – o guerilli Montoneros, *The Condor Years* Johna Dingesa oraz *Confessions of an Argentine dirty warrior* Horacia Verbitsky’ego – o pierwszym z oficerów, który złamał znowę milczenia. Cieszę się, że widziałam filmy *Infancia clandestina* (Jak mam na imię), *Crónica de una fuga* (Historia pewnej ucieczki) i *Nueces para el amor*. Niech państwo je zobaczą, jeżeli państwu mało!

Dziękuję bardzo Lorenie Balardini z Centro de Estudios Legales y Sociales w Buenos Aires i Wolfgangowi Kalekowi z European Center for Constitutional and

Human Rights w Berlinie za poświęcony mi czas.

Wychowałam się w Jakobsbergu, lecz człowiek zapomina o wiele więcej, niż zapamiętuje. Dziękuję Evie Linder, Lotcie Ringnér i Suzan Nettelbjer – dzięki wam moja pamięć zawsze ożywa. Dziękuję także rodzinie Mobacków na Aspnäsvägen, Ingemarowi Sallnäsowi, byłemu rektorowi uniwersytetu ludowego w Jakobsbergu, paniom Bettan Eriksson i Ingmarie Höidén, które pracowały w fabryce prezerwatyw, oraz Perowi Erixonowi i Lassemu Lindquistowi, którzy napisali książkę reportażową *Jakan*, o grupie młodych z Jakobsberga, do której wtedy nie należałam, bo byłam za mała.

Ulrice Berggren i Ann Bexelius za pracę i spojrzenie architekta, Stinie Almqvist i Inger Zachrisson za sztukę zakładania apteki, Rolandowi Bredbäckowi ze Strukton Rail za rozeznanie w pracy na kolei oraz Ulrice i Lennartowi Frykskogom, Karin Hatzenbühler i Tove Granqvist za przeróżne rzeczy, dziękuję!

Dziękuję także Hansowi Ewerlöfowi, ambasadorowi Szwecji w Wenezueli w latach 1976–1980, Christianowi Jofurowi, oficerowi śledczemu z Komendy Rejonowej Północ, i Hansowi Cederbergowi, byłemu sędziemu Sądu Rejonowego w Sztokholmie.

Wszystko w tej książce, co nie zgadza się z rzeczywistością, jest zmyśleniem.

Na koniec chcę serdecznie podziękować Ebbie Helmerson, Gith Haring, Magnusowi Lintonowi oraz Fridzie Hessel za to, że zechcieliście czytać na różne sposoby i pomogliście mi zrobić to wszystko dużo lepiej.

Szanowne wydawnictwo Lind & Co, Kristoffera Linda, Kaję Willén i wszystkich was pozostałych zapewniam: jestem szczęśliwa, że to właśnie wy wydajecie moje książki. Niklasowi Lindbladowi, który robi moje okładki, Lenie Stjernström oraz wam wszystkim w Grand Agency, którzy wyprowadzacie moje książki w świat – dziękuję!

I oczywiście Lizie Marklund, która czyta jako pierwsza i wszystko ze mną dyskutuje, dziękuję ci, że zawsze jesteś i masz siłę.

Tove Alsterdal

- [1] Dzielnica na północnych obrzeżach Sztokholmu (wszystkie przypisy w książce pochodzą od tłumacza).
- [2] Osiedle na południu Jakobsberga.
- [3] Prawicowy minister finansów Szwecji w latach 2006–2014.
- [4] Tradycyjna pieśń na powitanie wiosny, śpiewana przez chóry studenckie.
- [5] Ebba Grön (Ebba Zielona) – kultowa szwedzka kapela punkowa (1977–1983). *Osiemset stopni* to tytuł jednego z jej hitów.
- [6] Ziggy Stardust, Major Tom – postacie z piosenek Davida Bowie.
- [7] Gmina na północ od Sztokholmu.
- [8] Północna dzielnica Sztokholmu.
- [9] Podmiejski rezerwat przyrody.
- [10] Kolektyw komików i satyryków, twórców kultowych szwedzkich seriali telewizyjnych i filmów.
- [11] Blackeberg – dzielnica Sztokholmu.
- [12] Riddarparken – park w centrum Jakobsberga.
- [13] Premier Szwecji, zastrzelony w zamachu w 1986 r.
- [14] Szwedzka służba bezpieczeństwa.
- [15] Szwedzka księżniczka Madeleine Bernadotte i Christopher O’Neill, jej mąż; Silvia – królowa Szwecji.
- [16] Dzielnica Sztokholmu.
- [17] Największa w Szwecji spółdzielnia mieszkaniowa.
- [18] Robotnicze Towarzystwo Oświatowe.
- [19] Dagmar Hagelin (1959–1977); ojciec dziewczyny do dziś walczy o postawienie winnych przed sądem.
- [20] Escuela de Mecánica de la Armada – Wyższa Szkoła Techniczna Marynarki w Buenos Aires; w latach 1976–1983 największe tajne więzienie polityczne w Argentynie.
- [21] Hasło kampanii reklamowej z 1968 roku; aluzja do skrupulatnej kontroli jakości.
- [22] Chrześcijańska organizacja pomocowa.
- [23] Plac i park w centrum Sztokholmu.

- [24] Aluzja do słów Marcina Lutera na sejmie Rzeszy Niemieckiej w Wormacji:
„Tu stoję, inaczej nie mogę, tak mi dopomóż Bóg”.
- [25] Görvålns Griftegård – cmentarz w Jakobsbergu.
- [26] Najtańsza szwedzka wódka.
- [27] Sztokholmski klub sportowy z pierwszoligową drużyną piłkarską.
- [28] *Fuerzas Armadas Revolucionarias de Colombia – Ejército del Pueblo* –
Rewolucyjne Siły Zbrojne Kolumbii – Armia Ludowa.
- [29] Kolumbijska partyzantka marksistowska, tzw. Armia Wyzwolenia
Narodowego.
- [30] Jezioro w dzielnicy Solna.
- [31] Największa w Skandynawii hala widowiskowo-sportowa, stadion narodowy
Szwecji.
- [32] X2000 – typ szwedzkiego pociągu ekspresowego.
- [33] Avicii – szwedzki DJ i producent muzyczny.
- [34] Vasastan – solidna, mieszczańska dzielnica w śródmieściu Sztokholmu.
- [35] Nix-register – lista blokująca niepożądane połączenia telemarketingowe.
- [36] Osiedle na północ od Jakobsberga.
- [37] W 2009 roku doszło w Szwecji do wyprzedazy państwowego monopolu
aptecznego.
- [38] Węzeł komunikacyjny w centrum Sztokholmu.
- [39] Odpowiednik polskiego serwisu Allegro.

Wydawnictwo Akurat
imprint MUZA SA
ul. Marszałkowska 8
00-590 Warszawa

tel. 22 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: 22 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz